HARALD
GILBERS
GERMANIA
PWN

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

HARALD
GILBERS

GERMANIA

Z języka niemieckiego przełożyła
Agnieszka Hofmann

Copyright © for the Polish edition
by Dom Wydawniczy PWN Sp. z o.o., 2015
Grupa Wydawnicza PWN
ul. Gottlieba Daimlera 2
02-460 Warszawa
tel. 22 695 45 55
www.dwpwn.pl

Menedżer pionu wydawniczego: Monika Kalinowska
Wydawca: Marcin Kicki
Przekład: Agnieszka Hofmann
Redakcja: Olga Gorczyca-Popławska
Korekta: Julia Celer, Katarzyna Juszyńska
Projekt okładki: Magdalena Kuc
Zdjęcia na okładce: Magdalena Kuc
Przygotowanie wersji elektronicznej: Ewa Modlińska
Skład wersji elektronicznej na zlecenie Domu Wydawniczego PWN: Tomasz Szymański

Tytuł oryginału: *Germania*
Copyright: © 2013 Knaur Taschenbuch.
Ein Unternehmen der Droemerschen Verlagsanstalt
Th. Knaur Nachf. GmbH & Co. KG, München

ISBN 978-83-7705-844-2 (ePub)
ISBN 978-83-7705-845-9 (Mobi)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, zwielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

prawolubni Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo.
Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

Peterowi Dahmenowi,
który o wszystkim wiedział wcześniej

Prolog

wczesne lato 1939

Światło wskazywało na dziesiątą przed południem. W stolicy Trzeciej Rzeszy wąwozy ulic lśniły oślepiającą bielą. Panował jednak całkowity bezruch, wszystko wyglądało jak zamarłe, ścięte mrozem wiecznej zimy.

Minęło jeszcze trochę czasu, zanim codzienny chaos miasta wdarł się do tych zaułków. W tamtej chwili opustoszałe ulice promieniowały jeszcze symetrią i ładem, przy krawężnikach nie parkowały pojazdy, nikt nie spacerował alejami. Wrażenie pełnego uporządkowania burzyły tylko zaschłe pęcherzyki kleju, który mimo sumienności budowniczych tu i ówdzie wypłynął spod bryły budynku na chodnik.

Szeroka oś ulicy prowadziła prosto jak strzelił ku potężnej kopule, która będzie widoczna na horyzoncie z odległości kilku kilometrów. W dalekiej przyszłości. Biały okazały gmach górujący na widnokręgu kiedyś – przykryty zieloną patyną miedzi – opromieni całe miasto. W Wielkiej Hali, mogącej pomieścić sto osiemdziesiąt tysięcy osób, będą obchodzone zwycięskie święta, jakich nie widział świat.

Wysoko ponad dachami zabrzmiał szept:

– Znakomicie, Speer.

Tutaj głos nie był odległym charkotem z charakterystycznym twardym „r”, każdemu towarzyszowi tak dobrze znanym z radia czy kroniki filmowej, nie był chrapliwym szczekiem, który dyktator miał w repertuarze, kiedy trzeba było rozpalać ludzkie masy. Nad trzydziestometrowym modelem przyszłej alei Wspaniałości rozbrzmiał naturalny baryton, zadumany, niemal łagodny. Dyktator, zwykle unikający podobnych póz, pochylał się z wypiętymi pośladkami, aby wypróbować perspektywę bliską ziemi.

Nie dało się zaprzeczyć, że w osobie Alberta Speera znalazł architekta, któremu pod względem wielkości i monumentalnej skali udawało się

czasem przewyższyć śmiałe pomysły zleceniodawcy. Długa na ponad pięć kilometrów aleja Wspaniałości, łuk triumfalny z cienistymi krużgankami, pięćdziesięciokrotnie przewyższający paryski Arc de Triomphe, Wielka Hala mająca stać się największą budowlą świata, z kopułą o sklepieniu sięgającym na wysokość ponad dwustu dwudziestu metrów – wszystkie te urbanistyczne plany były elementem rywalizacji z innymi światowymi metropoliami, skamieniałym wyrazem zranionej narodowej dumy, nadwrażliwej i pragnącej wywyższyć się z całą mocą.

Centrum stolicy Rzeszy miało się zamienić w ogromną scenę dla defilad i parad. Dyktator rzadko zadawał sobie pytanie, czy w tym mieście da się mieszkać. Wszak kamienice nie były niczym innym jak jednolitymi prostopadłościanami, które można dowolnie dzielić, jeśli wymagało tego planowanie ulic.

W tej monumentalnej wizji nie było miejsca dla starego Berlina ze wszystkimi jego sprzecznościami, nie było miejsca dla wulgarnej, niekiedy na wskroś prowincjonalnej metropolii. Dyktator od dłuższego czasu przemyśliwał, że warto zawczasu temu przeciwdziałać. Nazwa Berlin brzmiała dla niego zbyt nikczemnie, potrzeba było nowej, imponującej, monumentalnej, godnej światowej stolicy. Może takiej jak Germania.

Przyciągany w magiczny sposób wzrok dyktatora raz po raz zatrzymywał się na kopule Wielkiej Hali. W końcu przywarł krytycznie do jej szczytu, gdzie na swastyce przylepionej do nadbudówki zasiadał orzeł Trzeciej Rzeszy. Dyktator potrząsnął głową, zdjęty nagłym przeświadczeniem.

– Musimy to zmienić, Speer. Lepiej, by ptak nie wznosił się nad swastyką. Niech ukoronowaniem tej budowli będzie orzeł na kuli ziemskiej.

Kiedy Hitler wyszedł, główny inspektor budowlany Speer odwrócił się w drzwiach. Salę wystawową Akademii rozświetlał już tylko system lamp, pozwalający wiernie symulować każdy rodzaj dziennego światła. Model miasta spoczywał w mroku pokoju – jasna plama w czarnej nieskończoności, obietnica przyszłych czasów. Zanim nastąpią, jest jeszcze dużo do zrobienia. Speer wyłączył oświetlenie.

Na Germanię spadła noc.

1

niedziela, 7 maja 1944

„Przyszli po mnie” – przemknęło mu przez głowę. Kiedy ta myśl powoli okrzepła i Oppenheimer uświadomił sobie jej konsekwencje, instynktownie naciągnął kołdrę na głowę. Ale było już za późno. Nieproszony gość znajdował się w pokoju. Ze względu na zaciemnienie do ciasnego lokum nie wpadał z zewnątrz najmniejszy promień światła. Intruz był ledwie cieniem, czającym się tuż przy łóżku.

Zaspany Oppenheimer otoczył ramieniem żonę i wyczuł jej spięte ciało. Lisa uniosła się lekko, ledwie ośmielając się oddychać. Za oknem było cicho. Nocy nie zakłócały wyjące syreny, w powietrzu nie huczały bomby, w oddali nie terkotały wystrzały flaków – dział przeciwlotniczych i przeciwpancernych. To nie alarm bombowy ją wystraszył. Oppenheimer obrócił się i spojrzał na nią pytająco, a wtedy także on dostrzegł obcego stojącego obok.

Niewyraźna postać zachowywała się spokojnie, oddychała regularnie. W mroku zapłasał ognik, poszybował w górę i rozżarzył się, kiedy intruz zaciągnął się dymem. Z mrocznej nicości pokoju wionął zapach tytoniu.

Przybysz musiał być gestapowcem. Oppenheimer dobrze znał berliński podziemny światek i wiedział, że żaden normalny złodziej nie włamywałby się do *Judenhausu*, by następnie, nonszalancko paląc papierosa, czekać, aż ofiary zbudzą się i go nakryją. „Oppenheimer wie, co w trawie piszczy”. Koledzy z policji, kiedy jeszcze służył, z upodobaniem cytowali to powiedzonko. Żaden włamywacz nie ryzykowałby ściągania na siebie Gestapo dla paru nędznych moniaków. Gestapowcy uważali, że nachodzenie i okradanie Żydów to ich wyłączny przywilej. Nawet jeśli w ostatnich miesiącach rewizje już się nie zdarzały, Oppenheimer dobrze je pamiętał. Gestapowcy zjawiali się zwykle w kilku. Zupełnie normalne było bicie mieszkańców po twarzy, opluwanie ich i obrzucanie obelgami. Ale ten

człowiek przyszedł sam, i do tego po kryjomu. To ze wszech miar zły znak. Po grubiańskich gestapowcach przynajmniej było wiadomo, czego się spodziewać. Jeśli przychodzili cichcem, należało się przygotować na wszystko.

Na nieskończenie długą chwilę zastygli w bezruchu: Oppenheimer w łóżku, Lisa obok niego, obcy oparty o framugę drzwi. W końcu rozległ się głos mężczyzny:

– Wiem, że pan nie śpi, Oppenheimer. Służba bezpieczeństwa. Może zechciałby pan wreszcie wstać i udać się ze mną?

Wprawdzie sformułował to jak pytanie, ale ton nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości. Mówiący nie zamierzał tolerować odmowy.

Oppenheimer nie odważył się włączyć lampki nocnej. Trzęsąc się w środku, wstał i wziął ubranie z oparcia krzesła. Nawet się nie zastanawiał, czego właściwie chce człowiek z SD. Machinalnie przeszedł przez kuchnię, którą dzielili z innymi mieszkańcami *Judenhausu*. Nie po raz pierwszy poczuł zdumienie, jak bezwolnie się poddawał, kiedy był zastraszony, kiedy wiedział, że jego los leży w cudzych rękach. Pomyślał przelotnie o Lisie, którą musiał zostawić bez ochrony. Dla niej, urzędowo potwierdzonej Aryjki, i tak byłoby lepiej, gdyby go zabili. Stałaby się wolna, przestałaby być wykluczona z narodowej wspólnoty tylko dlatego, że poślubiła Żyda. Mimo porażającego strachu ta myśl przyniosła mu pewne pocieszenie.

Na klatce schodowej paliło się światło i Oppenheimer po raz pierwszy ujrzał obcego. Jego fizjonomia była rozczarowująca. Mężczyzna nosił okulary i był niewielkiego wzrostu. Ale ręka w wypchanej kieszeni płaszcza zdradzała, że ma przy sobie broń. Oppenheimer zdziwił się, że nikt z pozostałych mieszkańców nie jest na nogach. Nawet ciekawscy Schlesingerowie nie przemykali chyłkiem przez korytarz. Najwyraźniej bezpieczniak przyszedł tylko po niego.

Agent SD zmarszczył czoło na widok walizki w jego ręku. To był odruch. Wychodząc, bezwiednie chwycił kuferek, spakowany na wypadek alarmu lotniczego. W środku miał najpotrzebniejsze rzeczy, przydatne, gdyby musiał się schronić przed nalotem w piwnicy. W Berlinie często widywało się takie walizki.

– Nie będzie panu potrzebna – powiedział człowiek z SD i zawrócił go gestem.

Oppenheimer odstawił walizkę do nieoświetlonej kuchni.

Przed domem czekało dwóch esesmanów z karabinami. Gdy tylko bezpieczniak wypchnął Oppenheimera za drzwi, ruszyli do przodu. Nocne niebo zasłaniały chmury. Ukryty za nimi księżyc był jedynie rozmazaną poświatą, odbijającą się matowo w stalowych hełmach esesmanów. Oppenheimer patrzył niespokojnie na szare plecy poruszające się równym rytmem i wsłuchiwał się w metaliczne pobrzękiwanie karabinów. Czy zdołałby uciec? Niemal natychmiast porzucił tę myśl. Dopóki miał za plecami agenta SD uzbrojonego w broń palną, nie mógł nic zrobić.

Dotarli do samochodu zaparkowanego dyskretnie w najbliższej przecznicy. Tylne drzwiczki się otworzyły i Oppenheimera otoczyła czerń.

Przez ostatnie dni w Berlinie panował niezwykły spokój. Również i tej nocy nie było alarmu. Wszyscy wiedzieli, jak złudna jest ta cisza. Samoloty kiedyś wrócą. Bomby zniszczyły niezliczone budynki i zamieniły stolicę Rzeszy w świat gruzu i popiołu. Nowe wyrwy w szeregach ulic świadczyły o niedawnych atakach. Mieszkańcy już dawno przywykli do ciągłych zmian. W Berlinie życie zawsze toczyło się bardzo szybko, ale budowlane szaleństwo, które ogarnęło to miasto po przejęciu władzy przez Hitlera, nawet wedle tutejszych kryteriów było niespotykane. Nazistowscy włodarze kazali zrównać z ziemią najpiękniejsze place w centrum, by zamienić je w przestrzenie nadające się pod parady wojskowe, poprzenosili fontanny i pomniki, herkulesowym wysiłkiem przeflancowali nawet Kolumnę Zwycięstwa spod Reichstagu na Großer Stern w parku Tiergarten.

Oppenheimer, wyglądając podczas jazdy przez boczną szybę, drgnął. Przez moment wydało mu się, że spogląda w czyjąś wystraszoną twarz. Jednak po chwili okazało się, że to światło księżyca spłatało mu figla. Zapadłe policzki i oczy leżące głęboko w oczodołach należały do niego. Kiedy zdał sobie sprawę, że wystraszył się własnego odbicia, poczuł się jak głupiec.

Na zewnątrz mignął wysoki cokół Kolumny Zwycięstwa. Esesman za kierownicą skręcił w lewo i ruszył osią Wschód-Zachód w stronę śródmieścia. Po chwili przejechali przez Bramę Brandenburską. Mimo ciemności Oppenheimer bez trudu orientował się w okolicy. Znał tu każdy zaułek i nie musiał patrzeć do góry, by wiedzieć, że nad ich głowami przemknęły kamienne skrzydła, sięgające głęboko w noc.

Arteria, którą jechali, nosiła nazwę Unter den Linden, Pod Lipami, ale architekci Hitlera już parę lat temu sprowadzili ją *ad absurdum*. Wpadli na pomysł, by powycinać stare drzewa, robiąc miejsce dla niezliczonych marmurowych kolumn, na których królowała formacja orłów Rzeszy. Młode lipy, które następnie zasadzono, wyglądały w swej karłowatości jak kiepski żart.

W tym miejscu było słychać gromkie wiwaty, kiedy tereny kontrolowane przez Ligę Narodów wcielono z powrotem do Rzeszy, jeszcze większa euforia wybuchła, gdy obwieszczono pierwsze sukcesy na froncie, a armia niemiecka w całej Europie kontynuowała swój zwycięski marsz.

Aplauz cichł coraz bardziej, kiedy spadły bomby.

A potem był Stalingrad.

Militarna klęska w bezkresie rosyjskich stepów sprawiła, że sukces zaczął smakować cierpko, a ufność w dobrze naoliwioną niemiecką maszynerię wojenną została trwale podkopana.

Kiedy świeciło słońce, oślepiająco białe marmurowe kolumny Hitlera nadal opromieniały centrum miasta, ale nocą zamieniały się w upiorny las cieni pośrodku pustyni gruzów, przez który teraz przebijał się z mozołem ich samochód.

Kierowca wyminął załatany prowizorycznie krater w nawierzchni. Spłoszone światłem reflektorów szare cienie o świecących oczach pośpiesznie umykały do swych kryjówek. Szczury. W ruinach gnieździły się ich tysiące. Nie zważając na zniszczenia, centymetr po centymetrze odzyskiwały swój dawny teren.

Esesman otworzył drzwiczki. Oppenheimer dostrzegł niewyraźną sylwetkę innego pojazdu zaparkowanego w pobliżu. Nieco dalej w mroku stali mężczyźni z latarkami.

– Wysiadać – rozkazał człowiek z SD.

Oppenheimer z ociąganiem wygramolił się ze środka. Jazda trwała nieoczekiwanie długo. W końcu w ciemnościach stracił orientację. Panika, którą początkowo odczuwał, coraz bardziej ustępowała miejsca zdumieniu. Kiedy przekroczyli Szprewę i na przeciwległym brzegu rozpoznał potężne hale fabryczne AEG, domyślił się, że znajdują się w podmiejskiej miejscowości Oberschöneweide. Imponujące przemysłowe zabudowania, okalające w tym miejscu północny brzeg Szprewy, znał każdy berlińczyk,

ale Oppenheimer nie potrafił sobie wyjaśnić, co mogło skłonić służbę bezpieczeństwa do przywiezienia go tutaj w środku nocy.

Tajniak gestem skierował go ku rozchwianym snopom światła. Wycelował w niego broń wyjętą z kieszeni płaszcza, a ten opornie ruszył przed siebie.

Agent poprowadził go na rozległy zieleniec, gdzie pośrodku na granitowym piedestale tkwił wysoki na trzy, cztery metry kamienny kikut. Nieukończony kloc nie pełnił żadnej rozpoznawalnej funkcji. Po bliższym przyjrzeniu zapewne okazałoby się, że to nędzne pozostałości po jakimś pomniku, bo takich pełno w Berlinie. Większość monumentów była nowszej daty i przypominała o okropieństwach ostatniej wojny. Teraz, gdy wojny światowe można już było numerować, określano ją mianem pierwszej wojny światowej, ale potocznie nazywano krótko i treściwie wojną „zafajdaną”. Ponieważ w tych heroicznych czasach panował dotkliwy brak wszelkich metali, niebagatelny zapas żelastwa, jakim były pomniki, niezwłocznie przetopiono, gdy tylko rozpoczęła się nowa, jeszcze większa wojna. W miejscu, gdzie niedawno zapewne górował jakiś posąg, teraz ziała pustka.

Tego ranka pod obeliskiem znajdowało się coś jeszcze, co zupełnie nie licowało z tym miejscem. Bezpośrednio za cokołem prowizorycznie rozpostarto sporą płachtę. Oppenheimer natychmiast rozpoznał rysujący się pod nią kształt – leżało tam ludzkie ciało.

W świetle latarek zdołał lepiej przyjrzeć się twarzom obu mężczyzn. Mieli na sobie polowe szare mundury SS. Za ich plecami majaczyła spora budowla, zapewne kościół.

Przez chłodne powietrze poranka dotarły do niego strzępki rozmowy.

– Okropność – westchnął jeden z nich i popatrzył chmurnie na przykryte zwłoki u swych stóp. – Naprawdę sądzi pan, że to mądre, by mieszać w to Żyda?

– Mam swoje powody, Graeter – odparł drugi mężczyzna i zapalił papierosa.

– Niech pan mówi, co chce, Vogler. Moim zdaniem to błąd.

Zauważywszy zbliżającego się Oppenheimera wraz z obstawą, umilkł zakłopotany.

– Oppenheimer, jest pan wreszcie – odezwał się drugi.

Esesman o nazwisku Vogler skierował latarkę na przybyłych. Stożek światła zatrzymał się nieco dłużej na żółtej gwieździe Dawida. Po twarzy Voglera przemknął wyraz zakłopotania, natychmiast jednak zniknął, ustępując miejsca wymuszonej pewności siebie, zwykłej u przedstawicieli elit Hitlera.

– Jestem Hauptsturmführer Vogler. Dwie godziny temu znaleziono tutaj zwłoki.

Podszedł bliżej. Drugi z mundurowych, Graeter, westchnął znacząco przed odsłonięciem ciała, choć na jego twarzy malował się wyraz udawanej obojętności.

Oppenheimer, zobaczywszy zamordowaną kobietę, poczuł znane ukłucie w okolicy żołądka. Przez lata służby w policji miał do czynienia z licznymi trupami, ale nie zobojętniał na tyle, by widok ofiary morderstwa nie wywoływał w nim żadnych emocji. Jednocześnie odezwał się w nim odruch śledczego. Poczuł, że jego umysł budzi się i daje rozkaz opornym początkowo oczom, aby przyjrzały się dokładniej.

– Niech pan nam powie, co pan widzi – rozkazał Hauptsturmführer Vogler.

Nie ulegało wątpliwości, że ciało kobiety zostało zmasakrowane. Oppenheimer zauważył stalowe paliki znakujące wbite w ziemię obok zwłok i domyślił się, że ekipa zabezpieczająca ślady już dawno tu była. Machinalnie zaczął się rozglądać za innymi wskazówkami, które mogły umknąć specjalistom, i nagle zamarł w bezruchu.

Przemknęło mu przez głowę pytanie, co on tu właściwie robi. Minęło sporo czasu, odkąd przestał pracować w policji. Po dojściu Hitlera do władzy usunięto go ze służby, podobnie jak innych Żydów. Oficjalnie nie wolno mu było nawet zbliżyć się do wydziału zabójstw, a jednak stał tu teraz nad denatką.

Rozejrzał się wokół pytającym wzrokiem. Poczuł wzbierającą panikę. Chcieli go wrobić w morderstwo? Nie spodziewał się po służbie bezpieczeństwa takiej inwencji. Zwykły dół i kulka w łeb wystarczyłyby, by pozbyć się go na zawsze. Po co ta fatyga?

– Nie może pan dać nam żadnych wskazówek? – zapytał Vogler. – Rozczarowuje mnie pan. Pokładałem w panu pewne nadzieje. – Podał mu latarkę.

Oppenheimer przyjął ją z ociąganiem. A zatem chcieli od niego pomocy. Nie miał innego wyboru, musiał podjąć tę grę.

Z namysłem zwrócił się ku zwłokom. Zaczął mówić chrapliwym głosem:

– Szacuję jej wiek na jakieś dwadzieścia pięć lat. Na szyi widać ślady duszenia. Prawdopodobnie to właśnie było przyczyną zgonu.

Czy to chcieli od niego usłyszeć? Ich zachmurzone twarze wyrażały obojętność. Tylko Hauptsturmführer Vogler zadawał sobie trud śledzenia jego wywodów. Oppenheimer chciał zbadać zwłoki dotykiem, ale zatrzymał się i zwrócił do Hauptsturmführera:

– Mogę?

– Niech pan robi, co uważa za stosowne – odparł Vogler.

Oppenheimer przesunął palcami po dolnej szczęce denatki. Z trudem dawała się poruszyć. Za to mięśnie dłoni były stosunkowo luźne.

– Stężenie pośmiertne jeszcze nie nastąpiło w pełni. Nie objęło dolnej połowy ciała. Zatem morderstwa dokonano niedawno. Sądzę, że jakieś sześć godzin temu. Ale mogę się mylić, na zimnie stężenie postępuje wolniej. Lekarze określą to dokładniej. Na nadgarstkach są otarcia. Prawdopodobnie była skrępowana.

Wyprostował się i ogarnął wzrokiem całe ciało zmarłej. Podbrzusze młodej kobiety było skierowane ku kamiennemu obeliskowi, nogi miała rozłożone jak do miłosnego aktu. Sprawiało to wrażenie, jakby zostało zainscenizowane z pedanterią. Sprawca poświęcił dużo czasu, by w ten obsceniczny sposób ułożyć martwe ciało przed pomnikiem.

Na wewnętrznej stronie nogi denatki Oppenheimer zauważył nagle małą zaschniętą plamę krwi. Uklęknął, aby ustalić jej pochodzenie. Tajniak, który go tutaj przywiózł, wzdrygnął się i odwrócił. Nie chciał patrzeć, jak Żyd zagląda pod spódnicę ofierze morderstwa? Oppenheimer wiedział, że martwym niedyskrecja jest obojętna, toteż uniósł rąbek tkaniny.

Widok, który ukazał się jego oczom, sprawił, że cofnął się bezwiednie. W tym samym momencie zrozumiał reakcję człowieka z SD.

– Coś nie tak?

Potrząśnięciem głowy skwitował pytanie Voglera, choć czuł, jak ściskają mu się wnętrzności. Wciągnął powietrze i zareagował tak jak zawsze w takich sytuacjach. Stłumił odrazę i skupił się na metodycznym działaniu.

Kobieta nie miała bielizny. Jej krocze było jedną wielką raną.

– Występują tu duże obrażenia. Genitalia zostały okaleczone, być może nawet usunięte.

Kiedy upewnił się, że zobaczył wszystko, co trzeba, wyprostował się i po raz pierwszy zlustrował otoczenie. Gdzieś nad jego głową szeleściło listowie. Sylwetki okolicznych domów zaczynały rysować się niewyraźnie, ale zwłoki nadal spowijała ciemność. Jego umysł porządkował fakty, podczas gdy wokół powoli budziło się życie.

Mieszkańcy – nieświadomi, że tuż obok wydarzyło się coś okropnego – spali błogim snem, wyjątkowo niezakłóconym alarmem lotniczym. Inni, choć nie musieli stawić się w pracy, siłą nawyku zrywali się o świcie, szli do łazienki, przygotowywali śniadanie. Życie, jak w każdą niedzielę, toczyło się zwykłym torem. Chociaż żadnej z tych czynności nie dało się dojrzeć przez zaciemnione okna, Oppenheimer wyraźnie wyczuwał, że mieszkańcy zaczynają się z wolna budzić. Niedaleko przejechał samochód, jego warkot przebrzmiał gdzieś wśród domów. Jeszcze trochę, a pierwsi wierni zaczną się schodzić na poranne nabożeństwo. By dojść do kościoła, będą musieli przejść akurate przez ten plac.

– I jakie są pana wnioski? – Głos Voglera wyrwał go z zamyślenia.

Tymczasem pojawili się dwaj mężczyźni z metalowymi noszami, by odtransportować zwłoki. Pozostali niespokojnie szurali nogami. Tylko Vogler stał bez ruchu i wbijał wzrok w Oppenheimera. Ten odchrząknął zmieszany. Długoletnie doświadczenie pomogło mu nie zbłaźnić się całkowicie i streścić w krótkich słowach własne spostrzeżenia:

– Na pierwszy rzut oka powiedziałbym, że nie została zamordowana w tym miejscu. Niewiele tu krwi. Na spodniej części spódnicy znajduje się tylko kilka plam, poza tym w bezpośredniej bliskości rany, ale to już wszystko. Żadnej krwi na ziemi, żadnych śladów w pobliżu, nie, zamordowano ją gdzie indziej, a później przeniesiono tutaj. Sposobu, w jaki ułożono zwłoki, nie widziałem nigdy przedtem. Uważam też za mało prawdopodobne, by zrobiono to przypadkowo. To miejsce publiczne. Ryzyko nakrycia jest duże. Nie, mężczyzna, który dokonał zbrodni, zawczasu przygotował plan. I wykonał go co do joty. Z powodzeniem, gdyż w przeciwnym razie ktoś zwróciłby na niego uwagę. Wszystko to pozwala na jeden tylko wniosek: to dzieło kogoś wyjątkowo bezwzględnego. Tylko człowiek o bestialskich skłonnościach mógł tak brutalnie okaleczyć ciało,

a potem wystawić je na widok publiczny. Nie robiłbym sobie płonnych nadziei. Nie będzie łatwo schwytać tego zbrodniarza.

Syrena zawyła przeciągle, a jej dźwięk wznosił się i opadał. To oznaczało pełny alarm. Oppenheimer machinalnie przyśpieszył kroku, ale jego myśli nie zaprzątały nadlatujące wrogie bombowce.

Po tym, jak wyraził swoją opinię na temat morderstwa, odwieziono go do centrum miasta. Nikt nie zadał sobie najmniejszego trudu, by wyjaśnić mu sytuację, w jakiej się znalazł. Gdy tylko rozległ się alarm, tajniak wysadził go przy Hansabrücke i natychmiast odjechał. Nie było w tym nic dramatycznego, bowiem *Judenhaus* znajdował się zaledwie paręset metrów dalej.

Po długiej nocy Oppenheimer właściwie powinien był odczuwać zmęczenie, ale jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Obrazy nie chciały wyjść z głowy.

Zbliżając się do swego tymczasowego lokum, wrócił myślami do mężczyzn, którzy czekali na niego w miejscu znalezienia zwłok. Esesmani mieli na sobie identyczne mundury, zatem zapewne obaj byli w randze Hauptsturmführera. Nie umiał zgadnąć, co na miejscu zabójstwa robiła SS.

W przeciwieństwie do obu esesmanów tajniak ze służby bezpieczeństwa miał więcej powodów, by tam się znaleźć. SD pojawiała się natychmiast w przypadku ciężkiego naruszenia prawa. A przy tym ta organizacja początkowo nie miała nic wspólnego z policją kryminalną. Pierwotnie służba bezpieczeństwa Reichsführera SS była służbą wywiadowczą NSDAP działającą wewnątrz partii, ale po przejęciu władzy przez Hitlera granice między państwem a aparatem nazistów zaczęły się zacierać. Organizacje NSDAP zdobywały coraz większe kompetencje i już wkrótce SD, Gestapo i kripo zostały skonsolidowane w ramach Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Z czasem zwykli funkcjonariusze kryminalni przestali mieć cokolwiek do powiedzenia i stali się wyłącznie sługusami, którym pozwalano działać samodzielnie jedynie przy niewielkich naruszeniach porządku. Ciężkie przestępstwa mieli rozpracowywać członkowie partii. W obliczu ogólnych przepychanek kompetencyjnych trudno było dociec, na jakiej podstawie dana sprawa ląduje w SD lub w Gestapo.

Oppenheimer do tego stopnia pogrążył się w rozmyślaniach, że nie zwrócił uwagi na zalegającą wokół upiorną ciszę. Tego ranka dokonała się w nim decydująca przemiana: po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł własną suwerenność. Przez krótką chwilę znowu był komisarzem Oppenheimerem, a nie urzędnikiem, którego zwolniono ze służby państwowej ze względu na żydowskie pochodzenie. Nieoczekiwanie przestał być ofiarą łaski i niełaski Hitlera, a stał się łowczym, jak niegdyś. I dlatego nie przemykał ulicami ze zwieszoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię. Wkroczył do żydowskiej kamienicy, jakby było najoczywistszą rzeczą na świecie, że tu mieszka.

Ponieważ obowiązywał alarm, zszedł schodami do piwnicy. Mieszkańcy doraźnie przerobili ją na schron. Zresztą nie mieli innego wyboru, bowiem do dużych schronów o metrowych betonowych ścianach Żydów nie wpuszczano. Ze względu na wysokie drewniane wsporniki, którymi podparto strop piwnicy, Oppenheimer nieodmiennie miał wrażenie, jakby znajdował się w kopalnianej sztolni. Mimo tych zabezpieczeń nędzny drewniany strop nie wytrzymałby siły wybuchu bomby. Ściśle rzecz biorąc, rozsądniej było szukać schronienia pod gołym niebem, gdzie niebezpieczeństwo pogrzebania żywcem okazywało się mniejsze. Mieszkańcom *Judenhausu*, jako potencjalnym wrogom państwa, nie przydzielono także masek gazowych, nie wolno im było też mieć odbiorników radiowych, zabronione były nawet głośniki radiowęzłowe w piwnicy, pozwalające śledzić, co dzieje się na zewnątrz.

Kiedy komisarz wszedł do schronu, zastał w środku pozostałych mieszkańców kamienicy: małżeństwo Bergmannów, Schlesingerów i doktora Kleina, który jak zawsze sprawował dozór nad domową apteczką i trzymał pod ręką torbę lekarską. Stary Schlesinger zmrużył oczy spod stalowego hełmu, pamiątki z pierwszej wojny światowej.

– Żona w fabryce? – zapytał. – Nie pojawiła się jeszcze.

Oppenheimer się zdumiał.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nic nie mówiła.

– Mówiłem, żeby pan sprawdził, Schlesinger – burknął z kąta doktor Klein.

Podparł się z wysiłkiem, chcąc dźwignąć zwaliste ciało.

– Pan zostawi, doktorze – rzucił Oppenheimer. – Zajmę się tym.

Znajdował się już w połowie schodów do swego mieszkania, kiedy zamarł. Gaz! Coś było nie w porządku. Pokonał ostatnie stopnie i szarpnięciem otworzył drzwi do kuchni.

W twarz uderzył go smród gazu. Oszołomiony cofnął się o krok. Okno w kuchni, nie wiedzieć czemu, było zamknięte. Lisa zawsze zwracała uwagę, by podczas nalotów otwierać okna na oścież, aby fala uderzeniowa detonacji nie zbiła szyb.

Wziął głęboki wdech i rzucił się do środka. Przez chwilę bezskutecznie szarpał się z oknem. Był zbyt rozdygotany. Niewiele myśląc, sięgnął po wiadro z piaskiem znajdujące się na podłodze i roztrzaskał nim szybę.

Stojąc w rozbitym oknie, łapczywie chwytał powietrze. Napełnił płuca tlenem i zobaczył, że włączony jest jeden z palników kuchenki. Był na nim czajnik, ale ktoś musiał zapomnieć zapalić ogień.

Oppenheimer dwoma susami dopadł do kuchenki i wyłączył gaz. Otworzył drzwi pokoju i zobaczył Lisę. W ubraniu leżała nieprzytomna na łóżku. Rzucił się do okna i otworzył je jednym szarpnięciem.

Twarz owionęło mu chłodne powietrze. W tym samym momencie usłyszał grzmot ciężkich silników przetaczający się nad domem i ostry gwizd spadających bomb.

Poczuł się jak pod kołami pędzącego pociągu. Za oknem szalało piekło. Następowała eksplozja za eksplozją. Gołym okiem widział kontury samolotów wyłaniających się z szarych chmur. Nawet flaki były bezradne, kiedy te leciały tak nisko jak teraz. Ale on nie miał czasu zaprzątać sobie tym głowy. Chwycił Lisę pod pachy i pociągnął do okna. Nie panując nad sobą z przerażenia, spoliczkował ją.

Nagle otworzyła oczy i z westchnieniem wciągnęła powietrze. Trzymał ją mocno; czuł, jak jej ciało zwija się, wykasłując gaz.

2

niedziela, 7 maja 1944

W ostatnich miesiącach *Judenhaus* opustoszał. To zwiększało prawdopodobieństwo, że pozostali mieszkańcy wkrótce będą musieli się przenieść do nowego, jeszcze ciaśniejszego lokum. Dawni lokatorzy jedni po drugich znikali: najpierw nieustannie zajęty szkicowaniem dekorator Schwartz, który jak Oppenheimer ożenił się z Aryjką, potem rodzina Lewinskych z czworgiem dzieci, dystyngowany adwokat doktor Kornblum, mający się za liberała i nieakceptujący ani judaizmu reformowanego, ani ortodoksów, zmuszony mieszkać drzwi w drzwi z pobożnym chasydzkim małżeństwem Jacobich, niesłychanie działającym mu na nerwy swymi wiecznymi modłami. Zniknął także dmuchacz szkła Franck skłaniający się ku proletariackim poglądom, ze swymi nieustannymi pretensjami do Żydów ze Wschodu. Wszyscy oni, ewakuowani przez Gestapo, pozostawili po sobie puste miejsca, zaryglowane pomieszczenia, do których nie wolno było wchodzić.

Oczywiście określenie „ewakuacja”, jak władze oficjalnie nazywały deportacje, było wyłącznie koloryzowaniem. Nie chodziło bynajmniej o to, by uchronić rodziny Lewinskych czy Jacobich przed bombami zrzucanymi na Berlin, tylko o wywóz na wschód, do kacetów. Sąsiedzi Oppenheimera z krążących pogłosek domyślali się, że czeka ich niemal pewna śmierć. Ale aż do końca, do pojawienia się Gestapo i załadunku do wagonów, nie chcieli pogrzebać nadziei, że opowiadane szeptem bestialstwa są przesadzone, że jakoś uda im się przeżyć. Nie ulegało wątpliwości, że Gestapo wkrótce przyjdzie i po doktora Kleina. Ponieważ jego aryjska żona zmarła przed tygodniem, utracił status ochronny małżeństwa mieszanego. Mimo wszystko doktor żywił nadzieję, że ze względu na podeszły wiek trafi do obozu w Theresienstadt, który miał nieco lepszą opinię. Niedługo opustoszeje i jego pokój.

Niewiele brakowało, a także Lisa w tragiczny sposób pozostawiłaby po sobie ziejącą pustkę.

– Chyba zapomniałam zapalić gaz pod czajnikiem – mamrotała oszołomiona. – To całe zamieszanie z Richardem… chciałam zaparzyć sobie kawy zbożowej.

– Na szczęście po alarmie wyłączono gaz, bo inaczej źle by się to skończyło – powiedział doktor Klein. Zapakował z powrotem przyrządy do podniszczonej torby lekarskiej. Oppenheimer popatrzył w zamyśleniu na dwa blankiety z czerwonym stemplem, przyklejone przez Gestapo do przeciwległych drzwi. – Szkoda, że nie ma już Lewinskych. Oni na pewno wyczuliby zapach gazu.

Doktor taksował wzrokiem siedzącą przy stole Lisę. Zagwizdał czajnik, wstawiony na jego polecenie.

– Cóż, myślę, że nam wszystkim dobrze teraz zrobi łyk zbożówki. Albo, proszę zaczekać… – Pogrzebawszy ukradkiem w torbie, wyczarował z niej najprawdziwszą kawę ziarnistą. – Proszę, to na pobudzenie krążenia. Lepsze niż erzac – oznajmił.

Efekt nie mógłby być bardziej piorunujący, gdyby rzucił na stół grudkę złota. Na chwilę zapomnieli nawet o pechowej przygodzie Lisy, tak bardzo pochłonęło ich wpatrywanie się w ziarna kawy. Taką żywność jak mięso, jajka czy mleko racjonowano i w pierwszej kolejności przydzielano osobom czystej krwi. Towary deficytowe, na przykład pomidory czy kalafior, były dla Żydów zabronione. Spośród mieszkańców *Judenhausu* tylko Lisa od czasu do czasu otrzymywała przydział paru gramów „aryjskiej” kawy. Specjalne racje wydzielano głównie po ciężkich nalotach, przez co prędko ochrzczono ją kawą bombową. Mimo swego pobudzającego działania czarne ziarna najwyraźniej skutecznie obłaskawiały naród.

Mieląc kawę, Oppenheimer zastanawiał się, gdzie doktor ukrywa swoje tajemne zapasy. Zważywszy na tuszę Kleina, wiele przemawiało za tym, że ten gdzieś chomikuje żywność, ale ani uważni współmieszkańcy, ani plądrowania Gestapo nie zdołały wydobyć na światło dzienne choćby okruszka z jego rezerw.

– Tyle osób odeszło, odkąd tu mieszkam – zauważył doktor. – Dla mnie, jako lekarza, to szczególnie bolesne. Przysięga Hipokratesa i tak dalej, prawda? Z drugiej strony, jeśli ktoś w naszej sytuacji bierze we własne ręce

decyzję o zakończeniu życia, potrafię to zrozumieć. Jednak to nie przypadek powinien o tym decydować.

Mrugnął znacząco do Lisy. Czyżby dawał do zrozumienia, że celowo odkręciła gaz, by odebrać sobie życie? Oppenheimer nie był tego pewien.

Lisa zignorowała aluzję doktora i umoczyła usta w parującym napoju, który postawił przed nią mąż.

– Ze mną już wszystko w porządku – mruknęła. – Trzeba uzupełnić piasek przeciwko bombom zapalającym, Richard go rozsypał. No i stary Schlesinger będzie musiał coś zrobić z rozbitą szybą.

Kiedy zaczęła się zbierać, Klein położył rękę na jej ramieniu.

– Pani musi teraz wypoczywać. Przekażę wiadomość staremu Schlesingerowi. Pan niech lepiej tutaj zostanie, panie Oppenheimer.

W jego oczach pojawił się konspiracyjny błysk. Komisarz zrozumiał.

– Czy musi pan zgłosić ten… – zaczął szukać właściwego słowa – … incydent?

– Jeśli dozorca nie zapyta, to nie będę musiał kłamać. Ale proszę się nie zdziwić, kiedy przyjdzie rachunek za gaz. Na pana miejscu zapłaciłbym bez komentarza – odpowiedział Klein, po czym się pożegnał.

Oppenheimer niezdarnie otoczył Lisę ramieniem. Miał wyrzuty sumienia, bo to z jego powodu musiała żyć w ten sposób. Ale nie tylko sumienie go gryzło. W ciągu ostatnich lat do ich uczucia wkradł się lęk. Oppenheimer wiedział, że sytuacja nie jest dla niej nowa, żona od dawna martwiła się o niego. W końcu w kripo często miał do czynienia z rozmaitymi podejrzanymi typami. Ale dopiero kiedy rozpoczęły się bombardowania i Lisie również zaczęło grozić niebezpieczeństwo, zrozumiał, przez co przechodziła przez te wszystkie lata. Gdy nie byli razem, nieustannie towarzyszył im strach, że drugiej połowie coś się może stać.

– Gdzie byłeś? – zapytała.

– Okazało się, że to nic poważnego. Śledztwo w sprawie zabójstwa, rutynowe czynności – zbagatelizował.

– Ale przecież ty już nie jesteś w kripo.

– Cóż, sam nie wiem, czego oni chcą. I to akurat ode mnie. To jakieś wariactwo, ale wygląda na to, że SS potrzebowała mnie jako doradcy.

Lisa wzdrygnęła się na samą wzmiankę o SS. W jej wzroku pojawiła się panika.

– Nic strasznego się nie stało – usiłował ją uspokoić. – Przecież mnie wypuścili.

– Musisz się ukryć – nalegała – natychmiast. Nie możesz tu już nocować. W przeciwnym razie cię zwiną.

– Nie przyjdą więcej.

– To zbyt ryzykowne. Idź do Hilde. Ja i tak muszę odwiedzić Heinrichów. Obiecałam Evie, że do niej zajrzę.

– Słyszałaś, co powiedział doktor Klein – przekonywał. – Nie powinnaś nigdzie chodzić, masz wypoczywać. Nie mogę zostawić cię teraz samej. W końcu nie muszę chodzić do Hilde w każdą niedzielę.

Potrząsnęła głową.

– Nie rozumiesz. Już raz nam przecież pomogła. Powinna coś dla ciebie zrobić. Mówiłeś, że ma wejścia. Zna ludzi w podziemiu. To zbyt niebezpieczne, skoro już teraz nawiedza cię SS. Musisz zniknąć!

W pierwszej chwili zareagował niechęcią, ale w końcu musiał przyznać Lisie rację. Hilde była ich jedyną nadzieją.

– No dobrze, może rzeczywiście będzie mogła coś załatwić. Tyle że to wcale nie jest konieczne.

– Richardzie, obiecasz mi, że się ukryjesz?

Wymamrotał coś niewyraźnie pod nosem. Nie cierpiał, gdy żona wymuszała na nim obietnice. To był jej sposób wydawania rozkazów.

Dobrze było uwolnić się na trochę z *Judenhausu*. Choć stanowili z Lisą dość harmonijne małżeństwo, ciasnota ich mieszkania okazała się ciężarem. Dlatego z czasem weszło im w nawyk, że w niedzielne popołudnia każde z nich chadzało własnymi drogami.

Lisa rzadko mu towarzyszyła, kiedy odwiedzał Hilde. Wiedział, że inna żona raczej nie pozwoliłaby mu co niedziela bez świadków spotykać się z przyjaciółką. Mimo iż Lisa nie pałała zazdrością, zdumiewało, z jakim opanowaniem przyjmowała taki układ. Oppenheimer mógł jedynie spekulować co do powodów. Jedną z możliwości było to, że Hilde miała dobre dziesięć lat więcej od niego i Lisa nie widziała w niej rywalki. A może jakąś rolę odgrywała zyskiwana w ten sposób pewność, że nie groziło mu wówczas żadne niebezpieczeństwo? Hilde wielokrotnie dowiodła, że można na nią liczyć.

Z kolei on nieraz zachęcał Lisę do pielęgnowania własnych znajomości; nie chciał jej od siebie uzależniać. Nie mógł wykluczyć, że pewnego dnia

przyjdzie po niego Gestapo. Zbyt wielu Żydów z mieszanych małżeństw już wymordowano, by można było liczyć na ochronę aryjskiego partnera.

W końcu wziął kapelusz i płaszcz i zaczął zbierać się do wyjścia, ale zawahał się w ostatniej chwili. Wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza fiolkę z lekarstwem.

– Masz, weź to – powiedział i wcisnął Lisie do ręki jedną z tabletek pervitinu.

Oniemiała.

– Ale przecież są ci potrzebne…

– Mam jeszcze dosyć – skłamał i objął ją na pożegnanie.

Nie chciał jej puszczać, lecz musiał iść.

Zanim odważył się wyjść na ulicę, też zażył pervitin. Z braku wody rozgryzł tabletkę i połknął. Rzadko odczuwał jakieś emocje, o ile nie przejmował się akurat Lisą. Zbyt wiele wydarzyło się w ostatnich miesiącach. Śmierć stała się czymś powszednim. Człowiek nie miał wpływu nawet na własny los. Ale Oppenheimer wiedział, że za niecałe pół godziny pervitin zacznie działać, a wtedy on sam stanie się odporny na wszystko. Jedna tabletka dawała mu energię niezbędną do przetrwania dnia. Działanie specyfiku po kilku miesiącach regularnego zażywania osłabło, a on powinien właściwie zwiększyć dawkę, ale ze względu na skromne zapasy pozwalał sobie tylko na jedną tabletkę dziennie.

Wzmocniony w ten sposób wyszedł przed dom. W nozdrza uderzył go zapach spalenizny. Światło było zamglone, niebo zasnute siarkową żółcią. Chociaż zegarek wskazywał dopiero drugą po południu, odnosiło się wrażenie, że na wschodzie przedwcześnie nastała noc – centrum miasta spowijały gęste kłęby dymu. Rozważył, czy jest sens jechać do Hilde tramwajem lub metrem, lecz porzucił tę myśl. Po dzisiejszym nalocie pewnie i tak wszędzie panował bałagan i nic nie jeździło punktualnie. By dotrzeć pieszo do domu przyjaciółki, potrzebował niecałych dwóch godzin. Skierował się ku Kolumnie Zwycięstwa i przekroczył Hansabrücke, jak gdyby udawał się na zwykły niedzielny spacer.

Przechodnie rzadko reagowali nieprzyjaźnie na widok gwiazdy Dawida. Niektórzy nawet ze zrozumieniem kiwali głowami. Trzeba było jednak wystrzegać się dzieci i stupięćdziesięcioprocentowych nazistów. Gestapo, o dziwo, w ostatnich miesiącach zachowywało się spokojnie i zdawało się

ignorować Żydów pozostałych w mieście. Zapewne wynikało to z tego, że gestapowcy od początku ofensywy aliantów mieli na głowie ważniejsze problemy, mimo to Oppenheimer nie potrafił traktować tego spokoju z ufnością.

Dawniej Gestapo trzymało Żydów żelazną ręką. Nawet jego nie oszczędzali. Niecałe dwa lata temu dorwał go w metrze jeden z hycli i zabrał ze sobą w celu sprawdzenia personaliów. Komisarz z czystej przekory postanowił, że nie będzie się bawił w te hocki-klocki. Mógł, jak wielu innych, wydeptywać korytarze w Reichssippenamt[1] w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, obładowany starymi fotografiami, ważnymi dokumentami i zaświadczeniami, mającymi poprzeć tezę, że rodzinne podobieństwo nie jest aż tak wielkie. Tak zwane kukułcze dzieci albo, jeszcze lepiej, dzieci adoptowane mogły liczyć na zaszeregowanie jako pół- lub ćwierć-Żyd. Ale on ani przez chwilę nie brał tego pod uwagę. Zamiast tego poszukał możliwości dyskretnego pozbycia się gwiazdy Dawida.

Teraz, kiedy zbliżył się do Kolumny Zwycięstwa, nadeszła pora na jego osobisty proces aryzacji.

Przy placu Großer Stern skręcił w lewo. Naczelny architekt Rzeszy Albert Speer kazał za jednym zamachem przenieść tu i Kolumnę, i pomnik Bismarcka. Odlany z brązu pierwszy niemiecki kanclerz stanął na granitowym czerwonym cokole na skraju ronda, w otoczeniu najwyższych rangą wojskowych, Roona i Moltkego. Obaj feldmarszałkowie dostali po piedestale, odgrodzonym od reszty skweru niewysokim kamiennym murkiem. Dziś Oppenheimer wybrał posąg Albrechta Grafa von Roona.

Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, zaczął powolnym krokiem okrążać cokół. Co jakiś czas spoglądał ku dowódcy, którego zastygłe oblicze z demonicznymi brwiami i ze spiczastą bródką przypominałoby prowincjonalnego aktora w roli Mefistofelesa, gdyby nie paradny mundur i pikielhauba nonszalancko oparta o biodro. Tył cokołu był na tyle szeroki, by mógł się za nim schować dorosły człowiek. Oppenheimer mocnym szarpnięciem odpruł przyszytą prowizorycznie gwiazdę Dawida i wetknął ją do wewnętrznej kieszeni. W Berlinie wielu Żydów tak robiło, dobrze wiedząc, że chroni ich anonimowość wielkiego miasta.

Nikt nie zwrócił uwagi na mężczyznę w średnim wieku, który wyłonił się po chwili zza pomnika, bowiem bez gwiazdy Oppenheimer doskonale

stapiał się z tłumem. Nie widać było, że ma kenkartę, oznakowaną dużym J od słowa *Jude*, i że od kilku lat jest zmuszony nosić drugie imię Israel. Każda z mijających go osób przysięgłaby, że Richard Israel Oppenheimer nie może być nikim innym jak czystej krwi Aryjczykiem.

Jego stosunek do żydowskiej wiary był od najwcześniejszej młodości ambiwalentny. Chociaż rodzice nie przywiązywali wielkiej wagi do religii, rozumiało się samo przez się, że i on w wieku trzynastu lat będzie świętował bar micwę. Ceremonia w synagodze, podczas której żydowscy chłopcy przejmują religijne „obowiązki mężczyzny" i stają się pełnowartościowymi członkami wspólnoty, podobała się młodemu Oppenheimerowi; jeszcze bardziej podobało mu się, że z tej okazji pozwolono mu odczytać przed całą parafią fragment Tory. Ale kiedy w miesiącach poprzedzających uroczystość musiał wyuczyć się na pamięć sześciuset trzynastu „poważnych zobowiązań i nieodwołalnych zakazów", czyli micwot, zaczął się buntować. Być może nie widział sensu w niektórych z nich, być może dotrzymywanie micwot wydało mu się zbyt uciążliwe – z perspektywy czasu sam nie umiał sobie tego wytłumaczyć. W każdym razie wątpliwości przerodziły się w sceptycyzm, a ten w późniejszą niechęć do wszelkiej religii. Oppenheimer był urodzonym powątpiewającym, który zbyt dużo w życiu widział, by jeszcze wierzyć w istnienie Boga.

Kiedy dotarł do Potsdamer Platz, naocznie przekonał się, gdzie dzisiejsze bombardowania wyrządziły najwięcej szkód. Równolegle do Saarlandstraße wisiała w powietrzu nieprzenikniona zasłona dymu, wywnioskował więc, że dostało się głównie Wilhelmstraße.

W pobliżu Anhalter Bahnhof, od strony naziemnego bunkra śpieszyła do pożaru grupa kobiet. Maszerowały parami z chustkami na głowach i łopatami na ramieniu, tworząc długi szpaler. Zauważył na ich ubraniach niebieskie naszywki z białym napisem „*Ost*" – były to robotnice ze Wschodu.

Niecałe trzy tygodnie przed zbliżającymi się urodzinami Hitlera, w całych Niemczech jak zwykle obchodzonymi z wielką pompą, obawy mieszkańców Berlina sięgnęły zenitu. Zgodnie z zaleceniem Ministerstwa Propagandy tego dnia w oknach zawisły niezliczone czerwone flagi ze swastyką. Jacyś dowcipnisie udekorowali nawet czerwonymi chorągiewkami sterty gruzu. Nikt jednak nie zauważył, jak szeleszczą na

wietrze, bo z ulic dawno wymiotło ludzi. Ci, którzy mogli sobie na to pozwolić, wcisnęli się do przepełnionych pociągów, by uciec przed budzącymi przerażenie nalotami. Okazało się jednak, że strategowie w kwaterze dowodzenia Royal Air Force nie zaprzątali sobie głowy takimi drobiazgami jak urodziny Führera. Prezent w postaci kilku ton materiałów wybuchowych nie nadszedł, i tak ten dzień, wbrew powszechnym oczekiwaniom, minął spokojnie. Wielkie uderzenie nastąpiło dopiero w zeszłą sobotę.

Oppenheimer przemierzał halę Anhalter Bahnhof zdumiony, jak bardzo posunęły się prace porządkowe. Niemal nic nie wskazywało już na to, że podczas nalotu pociąg pośpieszny pozbawiony maszynisty, za to pełen płonących wagonów, z całą prędkością wjechał w dworzec. Uderzył w halę niczym płomienny pocisk, przebił kozioł odbojowy i przeorał peron. Pozostałości pociągu już uprzątnięto, a ziejącą wyrwę w hali wyłożono nowymi płytami chodnikowymi.

Przy wyjściu na Möckernstraße komisarz musiał przecisnąć się przez tłumek. Pod kamiennymi łukami podcieni koczowały ofiary ostatnich nalotów w otoczeniu dobytku uratowanego ze zniszczonych mieszkań. Nieme z przerażenia dzieci, niezliczone walizy i torby, a pośrodku starzec w bujanym fotelu – panoptikum osobistych katastrof.

– W końcu musiał nadejść odwet. – W głosie starego brzmiała apokaliptyczna żarliwość. – To było jasne, że Anglicy nie zostawią tak tego po Coventry.

– Daj spokój, tato – uspokajała córka, rozglądając się wokół ukradkiem w obawie przed denuncjantami. Na wszelki wypadek dorzuciła: – Każdy wie, że to Anglicy zaczęli.

Jakiś przechodzień w filcowym szarym kapeluszu próbował przedostać się na dworzec.

– Ależ, proszę państwa! Tędy muszą przechodzić ludzie! Bardzo dziękuję.

– Niech pan poczeka, aż użyjemy naszych samolotów-robotów – odezwał się może dwunastoletni *Pimpf*. Z dumą prezentował na piersi okrągłą odznakę Deutsches Jungvolk[2]. – Zobaczy pan, jak wtedy odeprzemy atak.

– Mam nadzieję, że już niedługo będzie gotowa nasza Wunderwaffe – zawtórował mu inny chłopiec z taką samą odznaką. – Najwyższy czas pokazać wreszcie tym świniom.

– Nie plećcie andronów – zaperzył się stary. – Widzicie chyba, co się dzieje. Te terrorystyczne bombowce latają już nawet w dzień. W dzień! Jak stawić im opór?

– Nasze myśliwce nie mogły wystartować ze względu na chmury – wyjaśnił fachowo jeden z *Pimpfów*.

Starzec chciał coś dodać, jednak jego córka łagodnie, ale stanowczo wcisnęła go z powrotem w fotel.

– Bądźże cicho!

Niepewnie zerkała w stronę chłopców, jakby chciała przeprosić za słowa starego. Ale ten nie pozwolił zatkać sobie ust.

– Mnie tam nikt już nic nie zrobi. To wszystko i tak diabli wzięli! Wszystko!

To były ostatnie słowa scysji, jakie dotarły do Oppenheimera. Ludzi nieprzychylnych Hitlerowi było dość. Hilde opowiadała, że za granicą coraz bardziej dziwiono się, że bombardowania nie obudziły w niemieckiej ludności ducha oporu. Ludzie wprawdzie narzekali, ale nic poza tym.

Hildegard von Strachwitz miała duży dom na obrzeżach Schönebergu. Jej wuj, oficer cesarskiej marynarki, kazał wybudować go na przełomie wieków. Bezdzietny mężczyzna ustanowił Hildegard jedyną spadkobierczynią, ponieważ w ostatnich latach jego życia opiekowała się nim ofiarnie, a poza tym i tak była jedyną krewną, której nie odstraszały coraz większe dziwactwa starego. Niewątpliwie pomogło jej to, że była lekarką i miała pewną wprawę w obchodzeniu się z trudnymi ludźmi. O czasach wcześniejszych Oppenheimer wiedział jedynie, że Hilde była zamężna. Małżeństwo jednak okazało się nieszczęśliwe i zakończyło zaledwie po paru latach rozwodem, po którym ponownie przyjęła panieńskie nazwisko.

Oprócz imponującego domu mieszkalnego do posiadłości należały jeszcze dwa pomniejsze budynki gospodarcze, które wuj kazał dobudować z czasem. Były to garaż i domek dla szofera. Ponieważ Hilde nie miała ani samochodu, ani szofera, przed około dziesięciu laty urządziła tam swój gabinet lekarski. Zdaniem narodowych socjalistów dysponowała większą ilością miejsca, niż potrzebowała, toteż w ostatnich miesiącach do dużego domu dokwaterowano kilka rodzin, które straciły dach nad głową podczas

bombardowań. Skutek był taki, że Hilde, niewiele myśląc, spakowała rzeczy i przeprowadziła się do domku z gabinetem.

Oppenheimer z ulgą stwierdził, że posiadłość przyjaciółki bez uszczerbku przetrwała dzisiejsze naloty. Jak zwykle skręcił w małą boczną uliczkę, gdzie przez nikogo niezauważony mógł skorzystać z tylnego wejścia. Wielokrotnie zadawał sobie pytanie, skąd Hilde czerpie odwagę, by spotykać się z nim bez świadków. W końcu gdyby wyszło na jaw, że widuje się z Żydem, groziłby jej proces o hańbienie rasy. Ale ona rzadko przejmowała się rozporządzeniami nazistowskich władz.

Skierował właśnie kroki ku gabinetowi lekarskiemu, kiedy zataczając się, wyszła mu naprzeciw kobieta, na oko może trzydziestoletnia. Mijając go, potknęła się i chwyciła go kurczowo za ramię.

– Och! – zawołała rozweselona. – Przedtem tego schodka tu nie było.

O ile dobrze widział, teraz też nie.

– O matulu! Niech pan się nie zdradzi, że wypaplałam, ale ta wódzia pani doktor jest o niebo lepsza od markowych trunków.

To rzekłszy, chwiejnym krokiem ruszyła dalej. Skołowanemu Oppenheimerowi nawet nie przyszło do głowy, by zaoferować jej pomoc. Zamiast tego wcisnął dzwonek.

Chwilę potem otworzyła się brama i w progu stanęła Hilde. Choć o tej porze zwykle nie wychodziła z domu, miała jak zawsze dyskretny makijaż i starannie ułożoną fryzurę. Jej figura z wiekiem stała się nieforemna, co udawało jej się zatuszować schludnym strojem, mimo to jak dotąd czas obchodził się z nią łaskawie. Patrzący na nią nie miał ani cienia wątpliwości, że stoi przed nim światowa dama. Choć widziała już w życiu niejedno, na widok przyjaciela otworzyła szerzej oczy.

– A niech to cholera, wyglądasz do bani – wypaliła.

3

niedziela, 7 maja 1944

Stwierdzenie, że Hilde lubi przeklinać, byłoby wielkim eufemizmem. Jej słowne wybryki przypominały raczej wokabularz nieokrzesanego szewca. Oppenheimera ogarnęła nerwowość. Nagle uświadomił sobie całą nędzę swego położenia.

– Może się zdarzyć, że nie będę mógł przychodzić przez jakiś czas.

Hilde zamarła na moment, a potem wciągnęła go do środka.

– Przede wszystkim wejdź i zdejmij płaszcz.

Przygnębiony przekroczył próg niedużego pokoju badań. Powiesił kapelusz i płaszcz na wieszaku i kolejnymi drzwiami wszedł za przyjaciółką do jej przypominającego jaskinię mieszkania. Niemal każdy wolny centymetr niegdysiejszego lokum szofera zajmowały książki, co sprawiało, że wydawało się ono jeszcze ciaśniejsze. Nawet parapety uginały się od papierzysk.

Sterty zawierały nie tylko fachowe publikacje medyczne. W miarę zorientowany w literaturze nazista dostałby tu pewnie zawału, ponieważ większość zbiorów Hilde stanowiły książki, które od jakiegoś czasu uchodziły za sprzeczne z niemieckim duchem. Pisma Kurta Tucholsky’ego leżały obok powieści Ericha Marii Remarque’a, traktaty Karola Marksa sąsiadowały z naukowymi dziełami Alberta Einsteina, Kafkę można było znaleźć przy Hemingwayu, Kästnera obok Maksyma Gorkiego – wszystko to książki, które nazistowscy studenci kilka lat temu cisnęli w płomienie stosów płonących nocą na Opernplatz.

Rozsierdzona zuchwalstwem publicznego palenia książek Hilde natychmiast zaczęła kolekcjonować tak zwane pisma destrukcyjne. A niczego w życiu nie robiła połowicznie. Chciała dać przykład innym, chciała zachować potępioną literaturę dla przyszłych pokoleń i zakonserwować myśli zakrzepłe w farbie drukarskiej, by w przyszłości

autorzy mogli przemówić do czytelników ze stronic książek. Oppenheimer odnosił wrażenie, jakby te ściany pełne tomów tworzyły coś w rodzaju ideologicznej palisady, chroniącej serce przyjaciółki przed obłędem szalejącym na zewnątrz. W każdym razie znalazły tu azyl dzieła wyklętych autorów, a ona była ich patronką.

Komisarz chciał się rozsiąść w fotelu dla gości, ale poczuł coś pod pośladkiem. Poderwał się.

– Och, całkiem o tym zapomniałam – powiedziała Hilde i sięgnęła po czasopismo leżące na siedzeniu. – Właśnie trochę porządkowałam.

– Z okazji odwiedzin tej niewiasty?

– Natknąłeś się na to bezmózgie stworzenie? Tfu, nie wpuściłam tej starej hitlerówki.

Położyła pismo na stosie i wyszła do kuchni. Oppenheimer pozostał zagubiony w zbyt wielkim fotelu. Powstała po wyjściu przyjaciółki cisza miała w sobie coś przygnębiającego. Bez przekonania podjął konwersację.

– To niezbyt miły epitet – zawołał za nią.

– Ach, proszę cię, ta flądra jest z NS-Frauenschaft[3] – odparła. – Sam powiedz, co sądzić o kobiecie, która nazwała własne dzieci Adolf, Joseph i Hermann? Dokładnie w takiej kolejności.

– To porządne niemieckie imiona.

Hilde stanęła w drzwiach. Choć prawdopodobieństwo, że podsłuchają ją sąsiedzi, było bliskie zeru, odparła szeptem:

– Tak, to porządne imiona dla niemieckich skurwysynów. Brak mózgu to naprawdę najmilsza rzecz, jaką można o niej powiedzieć.

Wiedział, że Hilde lubi czasami upraszczać pewne rzeczy.

– Znam pewnego Żyda o imieniu Adolf – próbował ją sprowokować. – Służył w wojsku przez długie lata. Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Może musiał zmienić imię.

– A nie miał przypadkiem stopnia gefreitera i nie mieszka teraz w Kancelarii Rzeszy?

Machnął ręką. To było bezcelowe. Nie wiedział, jak ona to robi, że zawsze wyprzedza go o dwa posunięcia.

– Czego tu chciała?

Hilde wróciła z kieliszkiem i paczką papierosów.

– To właśnie było najlepsze. Ma za zadanie chodzić po sąsiadach i namawiać niepracujące kobiety do zaangażowania się w służbę narodowi.

Jakbym nie miała nic innego do roboty. Nie wiem, co by musiało się wydarzyć, żebym zaczęła urabiać sobie ręce dla hitlerowców. A ja, głupia, zamiast z nią dyskutować, wolałam ją spoić. Sądząc po tym, jak ciągnęła, jutro nic nie będzie pamiętać.

Oppenheimer zmierzył wzrokiem opróżnioną do połowy flaszkę, przyniesioną przez przyjaciółkę.

– Szkoda dobrej gorzałki – zauważył bez entuzjazmu.

– Cóż, coś mi się zdaje, że tobie bardziej się dziś przyda.

Napełniła kieliszek i przesunęła w jego kierunku. Wpatrywał się w płyn, jakby nie był pewien, czy mu nie zaszkodzi.

– Własnego pędzenia. Nie znajdziesz lepszej – namawiała. – No już. Za mamusię…

W końcu przemógł wstręt i jednym haustem wlał do gardła zawartość kieliszka. Kiedy czyściocha spłynęła palącym strumieniem w dół przełyku, mimowolnie zacisnął oczy w łzawiące szparki. Hilde westchnęła teatralnie.

– Że też zawsze musisz się tak certolić. Nasza pijaczka przynajmniej umiała docenić mój trunek.

Podała mu dwa papierosy.

– Lepiej dam ci od razu. Masz.

Wziął je od niej z wdzięcznością. Hilde miała w zwyczaju co niedziela dawać mu na pożegnanie dwa papierosy. Poszukał w kieszeniach cygarniczki. Przyjaciółka mierzyła go wzrokiem, kiedy zapalał pierwszego.

– Jak już upadać, to z klasą, co? Chyba nie jest z tobą aż tak źle. Co się w ogóle stało?

Zdał relację z nocnego wypadu w towarzystwie służby bezpieczeństwa, a jej twarz aż pałała z przejęcia. Konikiem Hilde była psychologia, a zwłaszcza zgłębianie przestępczych umysłów. Spodziewał się, że zainteresuje ją ta sprawa. Ale na razie jej uwagę zaprzątała inna kwestia.

– Chyba mnie coś zaraz trafi – odezwała się. – Dlaczego, do diabła, śledztwo w sprawie tego morderstwa prowadzi akurat SS?

– To może oznaczać tylko jedno: że ta sprawa ma ogromne znaczenie dla partii. Ale co dokładnie się za tym kryje, nie mam pojęcia. Nie pisnęli słówkiem.

– Taaa… Co zamordowana kobieta może mieć wspólnego z bezpieczeństwem państwa?

Przez kolejne minuty siedzieli w milczeniu i rozmyślali. Kiedy Oppenheimer wciągał przez lufkę z pianki morskiej dym drugiego papierosa, zauważył, z jaką chciwością Hilde wdycha niebieski obłok.

– Powiedz no, nie chcesz sama zapalić?

– Eee, daj spokój. Są zbyt cenne. Masz pojęcie, co można zorganizować na czarnym rynku za parę fajek? To lepsze od pieniędzy. Wolę żyć wstrzemięźliwie.

– No wiesz, przez ciebie gryzie mnie teraz sumienie.

– Ach, mam jeszcze rezerwy. No cóż, Richardzie, nie wiem, czy to mądre.

– Co masz na myśli?

– No, ten pomysł z ukrywaniem się. Wprawdzie rozumiem Lisę, ale wygląda na to, że SS już się tobą zainteresowało. Jeśli teraz znikniesz tak po prostu, tylko ich to zaalarmuje. Z pewnością już wywęszyli, gdzie pracujesz.

Führer, niemiecki naród czy kto tam jeszcze zarządził, że nawet Żyd taki jak Richard Oppenheimer ma wspierać wojenną gospodarkę. W związku z tym i on od paru miesięcy musiał pracować w niewielkim zakładzie jako czyściciel maszyn.

– Może już więcej nie przyjdą i zostawią mnie w spokoju.

– W takim wypadku nie ma powodu, by się ukrywać.

– Kręcimy się w kółko. – Jęknął. – Przypuszczam, że masz jeszcze te swoje kontakty?

– W razie czego gdzieś cię utknę, to na pewno da się załatwić. Nie będzie łatwo, ale najlepiej, jeżeli od razu załatwimy ci nową tożsamość. Wiesz, przez te bombardowania urzędy wystawiają masę nowych dowodów osobistych. Od dawna nie ma jak kontrolować tych wszystkich danych. Najpierw trzeba uzyskać w urzędzie okręgowym zaświadczenie o zbombardowaniu twojego mieszkania. Przy odrobinie szczęścia załapiesz się nawet na zastępcze aryjskie kartki na żywność na cały miesiąc. Jeśli uda się ciebie wtrynić gdzieś przy meldunku, to możliwe, że dostaniesz sfingowane nazwisko wraz z pełnoprawnym obywatelstwem. Dopóki nie przyłapią cię z opuszczonymi spodniami, niczego nie zauważą.

– A jeśli się nie uda?

– Wtedy nie pozostanie ci nic innego, jak ukrywać się u osób prywatnych i siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Będziesz musiał nieustannie zmieniać

kryjówkę. To oznacza wieczną ucieczkę. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

– Obawiam się, że nie mam innego wyboru – odpowiedział posępnie.

Hilde pomyślała chwilę.

– Więc dobrze. Zrobimy tak: prześpij się jeszcze z tą sprawą, a ja w tym czasie uruchomię, co trzeba. Zawsze możemy się wycofać. Tymczasem musisz się przygotować.

– Te parę rzeczy, które mam, już spakowałem.

– Jak z pracą?

– Dwa dni mogę opuścić bez zaświadczenia lekarskiego. Jeśli nieobecność miałaby potrwać dłużej, potrzebowałbym jakiegoś zaufanego lekarza.

Hilde rozważała chwilę jego słowa.

– Hm, z kim w pracy utrzymujesz bliższe kontakty?

– Głównie z Arnoldem. Opowiadałem ci o nim, to Żyd, z którym razem czyścimy maszyny, wygląda jak sam Zygfryd. No i jest jeszcze Ludovic. Przychodzi, żeby pogadać, choć właściwie mu nie wolno.

– To Francuz?

– Tak. Niestety, tak samo źle mówi po niemiecku, jak ja po francusku. To młody chłopak z Awinionu, tyle zdołałem z niego wyciągnąć. Wzięli go na roboty.

– Ach, przewieźli go do Berlina. Brawo. – Potrząsnęła głową. – Więc dobrze. Zasymuluj jutro parę objawów. Najlepsze byłyby zaburzenia równowagi, trudności z oddychaniem, coś w tym rodzaju. Wymyśl coś, ale bez przesady. Dobrze wiem, jakim jesteś kiepskim aktorem. Przyjdź do mnie jutro. Większość innych spraw powinnam wyjaśnić do tego czasu.

– Dobrze. Czyli mam wielkie plany.

– I jeszcze jedno: jeśli ktoś będzie wypytywał Lisę o ciebie, niech powie, że wziąłeś nogi za pas, bo mieliście problemy małżeńskie. To powinno postawić ją poza podejrzeniami.

– Mam nadzieję – skwitował przygaszony Oppenheimer.

Hilde nachyliła się ku niemu. Jak zwykle potrafiła czytać w jego myślach.

– Będę się o nią troszczyć. To i tak nie potrwa długo. To ostatnie podrygi tej hitlerowskiej bandy.

– Słyszę to już od półtora roku, a wszystko jest po staremu.

– Nie, naprawdę. Wróble ćwierkają, że wkrótce rozpocznie się ofensywa. W radiu brytyjskim apelują, aby bojownicy ruchu oporu na Zachodzie nie atakowali, dopóki nie dostaną rozkazu. Hitlerowcy będą prowadzić wojnę na dwa fronty. To nie może potrwać długo.

– No nie wiem.

Skinęła głową w stronę gramofonu.

– Pora na Jana Sebastiana?

– Jasne. Jak tam mój gramofon?

– Jeszcze się nie skarżył. Ale wiesz, że nie mam dla niego żadnego zastosowania.

Kiedy Oppenheimer, jak każdy inny Żyd, dostał rozkaz zdania wszystkich wartościowych rzeczy, zdeponował urządzenie u Hilde. Głupotą byłoby udawać, że gramofon i kolekcja płyt należą do Lisy. A ponieważ i tak nie miał innej możliwości, uznał, że prowadzona przez Hilde arka Noego z zakazaną literaturą będzie właściwym miejscem dla jego sprzętu. Niezliczone płyty Brahmsa, Bacha i Beethovena pozwoliłyby przyjaciółce przygotować się na czasy po brunatnym potopie, gdyby tylko miała choć cień wyczucia muzyki. Wielokrotnie podejmował próby jej nawrócenia, na próżno. Zdarzało się, że podczas niedzielnych wizyt u niej nie robił nic innego, tylko godzinami słuchał muzyki, podczas gdy ona zajmowała się swoimi sprawami.

Przejrzał płyty, by coś wybrać.

– Trochę chłodno, nieprawdaż? – odezwała się Hilde. – Aż się wierzyć nie chce, że to już maj. Zaczekaj, w tym tygodniu udało mi się zdobyć ładny egzemplarz.

Wyszła do kuchni i wróciła z książką.

– Proszę – powiedziała, przekazując mu z dumą tomik.

Przekartkował parę stron.

– Prezent z okazji ślubu? – zapytał.

– Oczywiście. Ale spójrz, oprawna w skórę, z własnoręczną dedykacją Führera.

Przyjrzał się kulfonom Hitlera, lecz nazwisko obdarowanego nic mu nie mówiło. Zapewne ten ktoś musiał być grubą rybą. Oppenheimer uśmiechnął się wbrew swej woli. Mimo że w tych czasach niemal wszystko było racjonowane, egzemplarzy *Mein Kampf* nie brakowało. Gdyby ktoś się

uparł, mógłby kupować traktat Hitlera na tuziny. Hilde była ekspertką w tej dziedzinie.

– No to uczcijmy ten dzień – rzekła i wzięła od niego książkę. Otworzyła drzwiczki czarnego pieca, stojącego w kącie pokoju, stanęła przed nim i wydeklamowała: – Za Stefana Zweiga. – I wrzuciła luksusowe wydanie *Mein Kampf* do paleniska, a potem zapaliła zapałkę.

„O Radości, iskro bogów!” – huknął z tuby gramofonu chór, kiedy książkę zajęły płomienie. Hilde odwróciła się zaskoczona.

– Niezbyt oryginalnie – skomentowała wybór Oppenheimera.

– Ale stosownie – skontrował.

– Ach, już lepiej. – Wyciągnęła dłonie w stronę ciepła, powoli rozchodzącego się po pomieszczeniu. Zobaczyła, że przyjaciel siedzi przy gramofonie z przymkniętymi oczami, słucha muzyki i nie kwapi się do rozmowy. – Wybaczysz? – rzuciła. – Mam jeszcze do załatwienia parę spraw.

Powoli ogarniało go zmęczenie. Nie miał nic więcej do roboty. Wszystko zostało omówione, przygotowane. Mógł już tylko rozmyślać nad tym, jak wiele zmienił jeden jedyny dzień.

Hilde krzątała się głośno po pokoju lekarskim. Rejestrował to, nie przejmując się zbytnio jej poczynaniami. Był rad, że nie musi niczego udawać i zachowywać ostrożności. Za przyjacielskie przysługi Hilde nie żądała niczego w zamian. Można było niemal odnieść wrażenie, jakby jego obecność była wystarczającą nagrodą.

Po dłuższej chwili wróciła i usiadła przy nim.

– Proszę – powiedziała, podając mu kardigan dziergany na drutach. – Widzę, że znów chodzisz w pocerowanych ubraniach.

Z ociąganiem wziął od niej prezent. Czuł się zakłopotany, że obdarowuje go tak hojnie. Ale w czasach ścisłego racjonowania dóbr ciepły sweter mógł się przydać.

– Naprawdę nie będziesz go potrzebować?

Potrząsnęła głową.

– Nie mój rozmiar. Poza tym nie do twarzy mi w jasnym brązie. Wolę sprezentować kardigan tobie, niż przy następnej zbiórce ubrań oddać go na pożarcie hitlerowcom.

– Dziękuję. – Nie mógł powstrzymać uśmiechu. – Zastanawiam się, dlaczego SS zwróciła się do mnie. Jest tylu śledczych. Chyba znalazłby się

wśród nich ktoś lojalny w stosunku do partii? Po co zrywać mnie w środku nocy i zawozić w pośpiechu na miejsce zbrodni?

– Myślę, że to oczywiste. Pogrzebali w aktach i ustalili, że brałeś udział w śledztwie przeciwko Karlowi Großmannowi.

Wzdrygnął się, słysząc po tylu latach nazwisko potwora. Dla lekarki, zainteresowanej psychiką patologicznych morderców, Großmann stanowił oczywiście nie lada gratkę. Choć od tamtej pory minęło wiele lat, mieszkańcy Berlina wciąż z zimnym dreszczem wspominali niewyobrażalne zbrodnie. Oppenheimer niejednokrotnie dyskutował z Hilde o rozmaitych zabójstwach, ale teraz nieomal pożałował, że wtajemniczył ją w szczegóły tej sprawy. W ostatnim czasie coraz rzadziej zdarzało mu się myśleć o Großmannie, lecz wspomnienie tych bestialstw drzemało w zakątkach jego umysłu i czekało na przebudzenie. To właśnie ta pierwsza sprawa, w której wyjaśnieniu brał udział jako młody śledczy, okazała się najgorszą w jego karierze.

– To było wieki temu – zaprotestował. – Poza tym byłem wtedy zaledwie asystentem. Robiłem za chłopca na posyłki i parę razy protokołowałem przesłuchanie Großmanna. To wszystko.

– Großmann uchodzi za typowego mordercę na tle seksualnym. Może ci z SS myślą, że tu też zbrodnię popełnił ktoś taki.

– Nie widzę związku – upierał się.

Właściwie ta myśl zaświtała mu już znacznie wcześniej, ale jakaś część jego umysłu wzbraniała się przed wizją, że miałby ponownie spotkać bestię w ludzkiej skórze.

Kiedy się pożegnał, Hilde stała jeszcze chwilę w drzwiach, patrząc, jak odchodzi.

– Uważaj na siebie – powiedziała bezdźwięcznie.

Nie usłyszał jej oczywiście, ale ponieważ w dzisiejszych czasach każde pożegnanie mogło być tym ostatnim, poczuła, że się roztkliwia.

Weszła po schodach i udała się do sypialni, by zamknąć szafę, z której wyjęła dziergany kardigan.

Należał do Ericha.

W najodleglejszym kącie szafy wisiało jeszcze parę ubrań po mężu. Hilde poznała go na studiach medycznych. Podziwiała jego intelekt, idący

w parze z radykalizmem. Przez kilka lat naprawdę wierzyła, że znalazła bratnią duszę.

Ich małżeństwo początkowo przebiegało harmonijnie. Hilde pogodziła się z rolą gospodyni domowej, którą chciał mieć w niej Erich, choć ona widziała siebie jako lekarkę. Jej mąż z czasem coraz bardziej interesował się biologią genetyczną i higieną rasy i w którymś momencie zaczął jej się wymykać.

Walczyła o to małżeństwo, ale kiedy Erich w końcu wstąpił do SS, gdzie jako Hauptscharführer Hauser wyszkolił się na lekarza wojskowego, postanowiła się z nim rozstać.

Erich wspinał się po szczeblach nazistowskiej hierarchii. Mimo wszystko Hilde nadal czuła do niego coś w rodzaju sympatii, co sama sobie wyrzucała. Z drugiej strony – chronił ją. Zrobiłby wszystko, by nie utracić poważania u partyjnych bonzów. Stał się podatny na szantaż. A ona o tym wiedziała. Mogła sobie pozwolić na ryzyko, pewna, że w razie czego Erich wszystko ureguluje.

Pragnęła o nim zapomnieć. To dlatego zaczęła rozdawać jego ubrania. Postawiła sobie za cel, że wygna go z myśli, kiedy już pozbędzie się ostatniej sztuki jego garderoby. Więc rozdawała wspomnienia. Kawałek po kawałku. Jeszcze jedna mroźna zima i zapomni o Erichu. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Kiedy zamknęła szafę i zadała sobie pytanie, czy Oppenheimer też oczekiwał od żony, że będzie zajmowała się domem, z dołu dobiegło pukanie do drzwi gabinetu. Dopiero teraz przypomniała sobie, że spodziewa się kogoś jeszcze. Zamieszanie wokół Richarda odwróciło jej myśli od innych spraw.

Otworzyła drzwi.

– Czy dobrze trafiłam do… – Młoda piegowata dziewczyna zamilkła lękliwie i zerknęła na karteczkę w ręku.

W końcu podała ją Hilde.

Krótkie spojrzenie wystarczyło.

– Tak, dobrze trafiłaś. Lepiej wejdź do środka.

Dziewczyna zdjęła płaszcz i stanęła niepewnie na środku pokoju lekarskiego.

– Nie bój się – usiłowała uspokoić ją Hilde. – Jestem lekarką. Nic ci się nie stanie. Ile masz lat?

– Mam… w przyszłym miesiącu skończę siedemnaście.

Hilde dałaby jej dwa lata mniej. Westchnęła na tę myśl.

– Wszystko przygotowałam. Jeśli nie chcesz, żeby to się stało, nie musimy tego robić. Jedno twoje słowo i wszystko uznaję za niebyłe.

Dziewczyna wysłuchała jej wskazówek, położyła się na leżance i rozłożyła nogi.

4

poniedziałek, 8 maja 1944

Noc minęła bez zakłóceń. Oszczędziły ich nawet moskity, samoloty latające w pojedynkę i zrzucające bomby w nieskoordynowany sposób. Był wczesny ranek. Oppenheimer wyruszył do pracy i apatycznie zszedł po schodach.

Przed domem zauważył człowieka wyczekującego na najbliższym rogu ulicy. Wyczuł, że facet musi być z Gestapo lub ze służby bezpieczeństwa. Już po kilku krokach usłyszał głos.

– Pan Oppenheimer?

Odwrócił się i ujrzał przed sobą twarz nieznanego mężczyzny.

– Tak – odparł.

– Służba bezpieczeństwa. Proszę ze mną.

– Muszę iść do pracy…

– Tym niech się pan nie kłopocze – odpowiedział lakonicznie mężczyzna.

Do uszu Oppenheimera dotarł metaliczny brzęk. Potem wołanie, po którym rozległ się kolejny brzęk. Kilka sekund później dwie białe postacie nieruchomo stanęły naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem.

– Niech pan siada – rozkazał tajniak.

Oppenheimerowi nie pozostało nic innego, jak przycupnąć na drewnianej ławce w ogromnej hali i śledzić pojedynek szermierzy. Na koniec zwycięzca zdjął z twarzy maskę. Był nim Vogler. Komisarz po raz pierwszy zobaczył go w świetle dnia. Mężczyźnie, którego ocenił na jakieś dwadzieścia parę lat, opadały na czoło włosy w kolorze popielatoblond. Szwagierka Oppenheimera, pracująca w pewnym salonie fryzjerskim w Lipsku, mówiła na taki nijaki kolor „psi blond”. Vogler podszedł bliżej sprężystym krokiem, zdejmując rękawice. Oppenheimer ze zmarszczonym

czołem powiódł wzrokiem po smolistoczarnych runach SS na białej metalowej kamizelce.

– Pan pójdzie za mną, Oppenheimer – rzucił Hauptsturmführer zamiast powitania.

Komisarz podniósł się i poszedł za nim. W przebieralni Vogler obrzucił go zaciekawionym wzrokiem. A potem zaczął się rozbierać. Oppenheimer, niepewny, w co z nim grano, poczuł się nieswojo. Sytuacja przypominała odbyty przed chwilą pojedynek. Każdy czekał na ruch przeciwnika. Esesman wziął ręcznik i przespacerował się nago przed Oppenheimerem. Zapewne chciał w ten mało subtelny sposób dać światu do zrozumienia, że nie ma nic, czego trzeba by się wstydzić.

– Więc po co tu jestem? – zapytał w końcu Oppenheimer.

– Mówiąc krótko: potrzebujemy pana pomocy w wyjaśnieniu morderstwa – odpowiedział, nie zatrzymując się, Vogler.

Komisarz w milczeniu podążył za nim do pomieszczenia z prysznicami. Jasne, że włączenie się w tę sprawę go korciło, ale nie miał pojęcia, w co się wpakuje, jeżeli zacznie współpracować z SS. Poza tym musiał uwzględnić jeszcze parę innych kwestii. Ostatecznie miał pracę, w której co dzień musiał się zjawiać. Jeśliby tego zaprzestał, wpadłby w tarapaty. Rozważył, czy Vogler mógłby zinterpretować jego obiekcje jako odmowę.

– W tej chwili pracuję jako czyściciel maszyn – odezwał się wreszcie.

– Pański pracodawca został już powiadomiony. – Stojący pod strumieniem wody Vogler zbył jego argument. – Do czasu wyjaśnienia sprawy został pan zawieszony w obowiązkach.

Oppenheimer nie wiedział, co powiedzieć. Wyglądało na to, że wszystko zostało już postanowione.

– Dlaczego zwrócono się z tym akurat do mnie?

– Myślę, że jest pan człowiekiem, jakiego potrzebujemy. Podobno jest pan jednym z najlepszych śledczych w wydziale zabójstw.

– Nie pełnię już służby w policji. Poza tym są jeszcze inni, tak samo dobrzy policjanci.

– Nie, nie w tej sprawie.

Przerwał mu nagły rumor. Do łazienki wpadł tajniak z SD.

– Ciężkie, pięć! – zawołał.

– Cholera, przecież zapowiedzieli zmianę kursu! – krzyknął gniewnie Vogler. – Prędko, do bunkra. Nie mamy czasu do stracenia. – Wytarł się

pośpiesznie i sięgnął po ubranie.

Kiedy zbiegali do schronu, już wyły syreny. Ciężkie żelazne drzwi zamknęły się za nimi z głuchym tąpnięciem, a Oppenheimer zorientował się, że oprócz nich w środku nie ma nikogo. Piwnicę dzielili między siebie Vogler, tajniak i on.

– Ponieważ spędzimy tu zapewne jakiś czas, możemy się zająć pana aktami – rzucił Vogler. Usiadł na jednej z drewnianych ławek i wziął od tajniaka cienki skoroszyt. Przeglądając papiery, ściągnął brwi. Coś przyciągnęło jego uwagę. – Walczył pan pod Verdun?

– Tak.

To było dawno temu, ale Oppenheimer nadal doskonale pamiętał, jak wyskoczył z okopu i rzucił się na ziemię niczyją, gdzie każdy krok mógł się okazać śmiertelny. Był wtedy żołnierzem, młokosem zbyt niedojrzałym na konfrontację z jatką, jaką stanowiła wojna. Mieszanina niepewności i lęku, która dziś go trawiła, nie różniła się wiele od emocji odczuwanych wtedy pod ostrzałem wroga.

Kąciki ust Voglera drgnęły pogardliwie. Oppenheimer bez trudu odgadł, co chodzi po głowie esesmanowi. Nie odpowiadał wizerunkowi Żyda, rysowanemu w przemówieniach Hitlera. Stanowił żywy dowód przeczący legendzie o ciosie w plecy, głoszącej, że Żydzi komuniści podczas pierwszej wojny światowej celowo osłabiali i demoralizowali bohaterską armię niemiecką. Tego rodzaju myśli były mu całkowicie obce. W swym młodzieńczym idealizmie chciał tylko walczyć za ojczyznę i cesarza. Za swe bohaterskie czyny dostał nawet Krzyż Żelazny, wprawdzie tylko drugiej klasy, ale zawsze. Zważywszy na to, co od tamtej pory stało się z Niemcami, było to może dziecinne, lecz wciąż czuł dumę, że uhonorowano go tym odznaczeniem. Tyle że order nie znajdował się już w jego posiadaniu, Gestapo zabrało go bowiem podczas ostatniego przeszukania *Judenhausu*.

– Hm, jak widzę, ma pan córkę. Dlaczego znajduje się tu ta informacja?

– Widać, ktoś odwalił dobrą robotę – odparł zwięźle Oppenheimer.

Vogler zaszeleścił papierami.

– Hm, wstąpienie do służby w policji pruskiej, najpierw jako szeregowy policjant, następnie *Kriminalmeister*, wreszcie awans na komisarza. A potem… cóż.

„Wykluczenie ze służby” – uzupełnił w myślach własną biografię.

– Kto to właściwie był ten Großmann? – zapytał niespodziewanie Vogler.

Oppenheimer wzdrygnął się w środku.

– Nigdy nie słyszał pan o Karlu Großmannie?

– Miałem nadzieję, że to pan mnie uświadomi. Kim był? Elementem aspołecznym?

– Dziś zapewne określono by go takim mianem. Niewielu już o nim pamięta. Ludzie znają już tylko Friedricha Haarmanna czy Petera Kürtena.

Esesman z zainteresowaniem podniósł na niego wzrok.

– Sprawa Haarmanna coś mi mówi.

– Haarmann? Taa, Haarmann był pederastą. Mieszkał w Hanowerze. Podczas stosunku płciowego przegryzał swemu kalamicie krtań lub tętnicę szyjną. Następnie ćwiartował zwłoki.

– A ten Kürten? Co to za jeden?

– Nazywany „wampirem z Düsseldorfu”. Skazany bodajże w 1930 roku. Również wielokrotny morderca. Dźgał ofiary nożem i pił krew z ich ran, by uzyskać seksualne zaspokojenie. Ale to wszystko nic w porównaniu z Großmannem.

– Co takiego nabroił ten Großmann?

– Zabijał podczas aktu seksualnego. Prostytutki, często bezdomne kobiety, którym obiecywał schronienie. Niektóre z nich pracowały nawet dla niego jako gosposie. Jeśli nie były chętne, gwałcił je. Czasami okaleczał genitalia i odbyt ofiary przyborami kuchennymi. Nie oszczędzał nawet dzieci. Zwłoki ćwiartował. W pobliżu jego mieszkań ciągle znajdowano części ciała. Ponadto sprzedawał wyroby wędliniarskie. Niewykluczone, że niektóre zwłoki przerobił na kiełbasę lub konserwy. Chodziły też pogłoski, że sam spożywał części swych ofiar. To było… cóż, próżno o tym mówić.

– O czym?

– Bez cienia wątpliwości mogliśmy mu przypisać tylko trzy zabójstwa, śledztwo jeszcze trwało. Naturalnie chcieliśmy dokładnie ustalić, ile było ofiar. Ale odebrano nam sprawę. Śpieszono się z postawieniem Großmanna przed sądem. Oskarżono go o trzy morderstwa. Powiesił się w trakcie procesu. Nigdy się nie dowiemy, ilu ludzi zamordował. Zapewne odpowiadał za cały szereg niewyjaśnionych zabójstw na tle seksualnym. Ofiar musiały być dziesiątki. Jeśli nie więcej. Nigdy później nie spotkałem kogoś takiego jak on.

Umyślnie opisał zbrodnie Großmanna w bardzo drastyczny sposób. Chciał sprawdzić, czy Voglera da się sprowokować. Ale ten nawet nie mrugnął okiem.

– Jeśli się popatrzy na policyjne fotografie, wyraźnie widać, że był podczłowiekiem. Budowa czaszki, nos, typowy wygląd.

Esesman podsunął mu zdjęcie. Przez wszystkie te lata przeleżało w aktach. Oppenheimer znowu zajrzał w koszmarne oblicze potwora. Na widok twarzy ponad białą koszulą bez kołnierzyka poczuł, jak mimowolnie jeżą mu się włosy na karku. Zmrużone oczy Großmanna, na skutek oświetlenia sprawiające wrażenie ciemnych szczelin, wpatrywały się w niego wrogo. Przez kilka sekund gapił się na fotografię jak zahipnotyzowany.

Twarz zbrodniarza przywołała inne skojarzenia. Powalany krwią i kałem materac, ślad po linie werżnięty głęboko w skórę ofiary, wybroczyny na ciele nieszczęsnej kobiety, poszarpane krocze, przyrządy kuchenne na podłodze, leżące w śmierdzącej ciemnej kałuży – wszystko to złożyło się na obraz wyryty głęboko w pamięci.

W końcu chrząknął. Pomyślał. I powoli pokręcił głową.

– Proszę wybaczyć, że zaneguję, ale doświadczenie mówi mi, że po człowieku nie widać, co dzieje się w jego umyśle. Wprawdzie istnieją pewne teorie na ten temat, ale ja wypowiadam się wyłącznie na podstawie praktyki.

W spojrzeniu Voglera dostrzegł sceptycyzm i zorientował się, że być może posunął się za daleko. Musiał uważać. Pod wpływem pervitinu zdarzało mu się tracić czujność.

– Może się mylę – dodał pośpiesznie. – Czasy się zmieniły. Dlaczego nie mieliby się zmieniać i przestępcy?

Vogler uśmiechnął się, rozbawiony, ale nic nie powiedział.

Stalowe drzwi otworzyły się nagle i stanął w nich esesman.

– Alarm odwołany! – zawołał.

– Już? – zdziwił się Vogler.

Oppenheimer także nie spodziewał się tak prędkiego końca. Zwykle podczas nalotu spędzało się w schronie trzy–cztery godziny.

Przez otwarte drzwi wdarło się do środka odległe wycie syren odwołujące alarm. Vogler wyprostował się i spojrzał na Oppenheimera.

– Wszystko dziś idzie niezgodnie z planem – oświadczył. – Prawie wszystko. Oppenheimer, zaproponuję to panu tylko jeden jedyny raz. Jest morderca, którego chcę schwytać za wszelką cenę. Otrzyma pan możliwość wsparcia dochodzenia w charakterze doradcy. W żaden sposób to panu nie zaszkodzi. Musi pan się zdecydować tu i teraz. Jeśli nie przyjmie pan mojej oferty, druga taka okazja się nie zdarzy.

Komisarz zastanowił się krótko, co mogło oznaczać zapewnienie, że mu to nie zaszkodzi. Nasunęło mu się oczywiste pytanie.

– Co się stanie, jeśli nie przyjmę propozycji?

– Niech pan zapyta swojego sumienia. Nie mam wiele czasu, tam gdzieś grasuje morderca. To jak?

To jakieś wariactwo, zaprotestował jego rozsądek. Jednocześnie myśl, by uciec od ogłupiającego czyszczenia maszyn, na którym trawił dzień za dniem, była wyjątkowo nęcąca. Czując na sobie wzrok Voglera, próbował rozważyć konsekwencje. Musiał coś postanowić, ale czy w ogóle miał jakiś wybór? Zwlekał z decyzją. Nie zamierzał dać esesmanowi okazji do triumfu, zgadzając się bez namysłu. Zamiast tego zapytał:

– Kiedy zaczynamy?

Metalowa plakietka z trupią czaszką huśtała się na wietrze. Pod spodem ostrzegał duży napis: „Niewypał! Zagrożenie życia!”. Oppenheimer uśmiechnął się na widok tego podstępu. Osoba, która miała dopilnować, by gapie nie zbliżali się do miejsca znalezienia zwłok, wpadła na genialny pomysł. Mimo że od jakiegoś czasu ostrzegawcze tabliczki były już stałym elementem codzienności berlińczyków, nadal budziły lęk. Ci, którzy nie chcieli niepotrzebnie ryzykować, omijali oznaczone nimi miejsca szerokim łukiem. Kiedy Oppenheimer z Voglerem podeszli bliżej, przy barierce zastali dwóch esesmanów w pełnym rynsztunku. Jeden z nich zasalutował, po czym podniósł łańcuch, aby ich przepuścić.

– Czy coś się wydarzyło podczas mojej nieobecności?

Esesman, ścięty ostrym tonem Voglera, odruchowo wyprostował się na baczność. Strzelił głośno obcasami.

– Nie, żadnych incydentów, *Herr Hauptsturmführer*! – odpowiedział.

Oppenheimer otrzymał już w życiu wiele rozkazów, zarówno od przełożonych w policji, jak i w wojsku, ale w SS panował inny ton. Niewiele miał wspólnego z napuszonym gardłowaniem, do jakiego

przyzwyczaił go feldfebel w koszarach. Członkowie SS dokładali wszelkich starań, by sprawiać wrażenie niezwykle prężnych, ale ich skazą było szatkowanie słów na sylaby, z których każdą wypluwali z impetem. Gdy wyższy rangą przemawiał do podkomendnego, pogarda w jego głosie przywodziła na myśl gestapowców terroryzujących Żydów. Komisarz zastanawiał się, jak to się ze sobą łączy.

– Chodźmy – zwrócił się do niego Vogler innym, cywilizowanym tonem.

– Czy przeprowadzono już obdukcję? – zapytał.

– W tej chwili mamy problemy z łącznością, ponieważ zostały przerwane linie telefoniczne. Wkrótce będziemy mieli do dyspozycji radiotelefon. Mam nadzieję, że otrzymam raport z obdukcji, kiedy tylko będzie gotowy. Mówiłem już, że nie ma sensu tu przychodzić. Wszystko zostało obfotografowane.

– Hm. Chciałem obejrzeć to miejsce w świetle dziennym. Aparat fotograficzny nie może ująć wszystkiego. Nie ma świadków?

– Tylko strażnik ochrony przeciwlotniczej. To on znalazł zwłoki.

Przystanęli przed kamiennym kikutem. Znajdowali się dokładnie w miejscu, gdzie poprzedniego dnia rano leżała zamordowana. Z tyłu wąska ścieżka dzieliła ich od kościoła z czerwonej cegły, wznoszącego się ponad białym kamieniem postumentu. Oppenheimer popatrzył w górę. Architekt postawił sobie za cel sczepienie ze sobą rozmaitych brył i blanek. Efekt okazał się osobliwy, ale imponujący.

Położone naprzeciwko górne piętra sąsiednich domów były ledwie widoczne zza czterech lip. Dla sprawcy stanowiły optymalną ochronę.

– Nie dziwię się, że nie ma żadnych świadków – skonstatował Oppenheimer. – Czy w pobliżu były jakieś ślady krwi?

– Niczego nie znaleźliśmy.

– Dobrze. To znaczy, że ciało zostało w jakiś sposób przetransportowane. Przypuszczam, że pojazd zatrzymał się tutaj, pomiędzy kościołem a pomnikiem. Stąd jest już tylko parę metrów do pomnika. Choć to plac publiczny, z ulicy raczej nikt nie mógł zobaczyć, co się dzieje za cokołem. Najwyżej mieszkańcy pierwszego piętra i parteru, ale działo się to w nocy, a okna od wpół do dziesiątej były zaciemnione. Istniało minimalne ryzyko, że ktoś mu przeszkodzi.

– Więc to nie przypadek, że ciało znaleziono właśnie tu?

– Bardzo bym się zdziwił, gdyby tak było. Wszystko wskazuje na to, że sprawca doskonale zna to miejsce i że wybrał je celowo. Nie mam tylko pojęcia po co.

Oppenheimer z namysłem powiódł wzrokiem dokoła. Wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza cygarniczkę i wetknął ją do ust. Ze spojrzeniem utkwionym w ziemi chodził wokół, żując ustnik z morskiej pianki. Vogler przez jakiś czas przypatrywał się temu widowisku, a w końcu zapytał:

– Chce pan może papierosa?

Oppenheimer spojrzał na niego zaskoczony.

– Papierosa? – powtórzył, a kiedy zdał sobie sprawę, jak musi wyglądać, poczuł się jak głupiec. – Och, dziękuję bardzo. Proszę się nie fatygować. Cygarniczka to stary nawyk. Pan wybaczy, pomaga mi w myśleniu.

Vogler uniósł brwi. Cokolwiek sądził o osobniku, który do myślenia potrzebował papierosowej lufki, nie skomentował tego.

– Czyli sprawca dysponuje jakimś pojazdem? – zapytał zamiast tego.

– Przynajmniej zdołał w niezauważony sposób przetransportować tutaj zwłoki. Przy czym ów pojazd niekoniecznie musi mieć silnik. Ręczny wózek mógł wystarczyć. To by jednak oznaczało, że mieszka niedaleko. Czy mieszkańcom w nocy nie rzucił się w oczy żaden pojazd?

– Musi pan zrozumieć, to dochodzenie jest ściśle tajne. Nie możemy, nie budząc podejrzeń, przesłuchać wszystkich sąsiadów. Dlatego powiadomiliśmy Blockwartów[4] w okolicy. Popytają wśród lokatorów i złożą na ten temat meldunek.

– Zakładając oczywiście, że lokatorzy zwierzają się Blockwartom ze wszystkiego. – Oppenheimer nie mógł się powstrzymać, by nie posłać Voglerowi dwuznacznego uśmieszku, lecz tamten zdawał się nie rozumieć aluzji.

Nie ulegało wątpliwości, że Blockwarci zachowają absolutne milczenie jako lojalni członkowie partii, poza tym byli wręcz predestynowani do tego rodzaju dyskretnych usług, bo mieli za zadanie szpiegować mieszkańców. Jednak właśnie z tego względu z reguły nie cieszyli się wielką sympatią.

Znowu popatrzył na kościół.

– A proboszcz? – zapytał.

Vogler odczytał jego myśli.

– Został przesłuchany. W sobotę wieczorem odprawił mszę. Potem nie zauważył niczego niezwykłego.

– A co z kościelnym?

– O dziesiątej wieczorem zamknął drzwi i nikogo nie widział.

– Dobrze. Kolejne pytanie: dlaczego tutaj? Zwłoki umieszczono akurat w tym miejscu. Jeśli się zastanowić, w jakiej pozycji znaleziono tę kobietę, nasuwa się podejrzenie, że ułożono ją tak celowo. Jej nogi były rozchylone i skierowane w tę stronę. Co to właściwie jest?

Obszedł kamienny blok i znalazł inskrypcję.

– Ach, tu coś mamy. – Przeczytał na głos: – „Poległym za ojczyznę w wojnie światowej 1914–1918”. – Znieruchomiał na chwilę. Pogrążony w myślach postukał w ciężki kamień. – Możemy zreasumować: miejscem znalezienia ciała jest kościelny plac. Zwłoki znaleźliśmy przed pomnikiem upamiętniającym poległych w pierwszej wojnie światowej. Sposób, w jaki je ułożono, przypomina inscenizację. Sprawca chciał, żebyśmy znaleźli je właśnie tak.

– Może tylko szukał miejsca, w którym zostaną od razu zauważone? – rzucił Vogler.

– Być może. Będziemy musieli się tym zająć. Skąpe ślady krwi mogą wskazywać na to, że genitalia okaleczono dopiero po śmierci ofiary. Nie można wykluczyć, że mamy do czynienia z nekrofilem. Ślady wiązania na przegubach dłoni i kostkach przemawiają wprawdzie przeciwko temu, ale w dzisiejszych czasach trupów jest pod dostatkiem. Może znalazł gdzieś ciało młodej dziewczyny i je okaleczył. Prawdopodobieństwo tego jest wprawdzie znikome, ale pewność będziemy mieli dopiero po uzyskaniu raportu z obdukcji. Do tego czasu musimy wziąć pod uwagę, że sprawca być może nie zamordował jej sam.

Pytania rodzące kolejne wątpliwości. Oppenheimer się nie łudził. Wskazówki były bardziej niż skąpe. Zapowiadało się nader trudne śledztwo.

Vogler również zdawał się tego świadom.

– Jak zatem postąpić, pana zdaniem? – odezwał się po namyśle.

– Najważniejsza jest identyfikacja denatki. To nas posunie spory krok naprzód. Zwykle istnieje jakieś powiązanie ze sprawcą. Musimy się dowiedzieć jak najwięcej o życiu ofiary. W jej biografii może się znaleźć wskazówka co do motywu.

– Jakie kroki najprędzej doprowadzą do pomyślnego rozwiązania?

– Ba, żeby to było wiadomo. Obawiam się, że nie ma uniwersalnej recepty. Musimy nastawić się na dłuższe śledztwo. Tygodnie, może miesiące – nie da się tego przewidzieć. Nie wiemy nawet, czy nasze poczynania w ogóle zostaną zwieńczone sukcesem. Często tylko głupi traf sprawia, że wpada się na właściwy trop. A tego niestety nie da się zaplanować. W gruncie rzeczy można zrobić tylko jedno: mieć baczenie, na co się da, i wystrzegać się przedwczesnego ferowania wyroków.

5

poniedziałek, 8 maja 1944 – środa, 10 maja 1944

Deszcz padający z szarych chmur nie zdołał jeszcze wyprać atmosfery. Chociaż niebo było już wolne od dymu, nad zgliszczami miasta wciąż uparcie wisiał klosz kurzu i pyłu.

Po rozmowie z Voglerem Oppenheimer pośpieszył do Hilde z wiadomością, że na razie nie musi się konspirować. Kiedy ona z kolei oznajmiła, że w pobliżu Moabitu spadły bomby, natychmiast pognał do *Judenhausu*. Siedząc w schronie z Voglerem, całkiem wyparł myśl o niebezpieczeństwie grożącym w czasie nalotu, o tym, że bomby mogą zniszczyć także jego nędzne mieszkanko. Jak zwykle najpierw pomyślał o Lisie. Na szczęście poszła tego dnia do pracy, gdzie na pewno znalazło się dla niej miejsce w schronie.

Gdy dotarł do swej dzielnicy, potykając się o fragmenty murów i szkła, przekonał się, że ulice tym razem porządnie oberwały. Przy każdym kroku rozlegał się głośny chrzęst. Spodziewał się, że zelówki butów nie wytrzymają długo. W roztaczającym się przed nim chaosie gruzów, ludzkich ciał i maszyn mimo wszystko panował pewien ład. Najgorsze już minęło. Ludzie, łańcuchami podający sobie wiadra z wodą do gaszenia pożarów, już się rozeszli. Niektórzy trwali jeszcze w załomach murów i wejściach do piwnic, oślepieni sadzą i gryzącym pyłem. Sanitariuszka Czerwonego Krzyża w powiewającej czarnej pelerynie i białym czepku, wspierana przez dwie dziewczyny z BDM[5], zbierała z ulic ostatnich ślepców, by zaprowadzić ich do tymczasowego lazaretu, gdzie mieli zostać poddani płukaniu oczu.

Kurz w powietrzu sprawił, że jemu też zaczęły łzawić oczy, chociaż od nalotu minęło już kilka godzin. Gdzieś z nieszczelnej instalacji ulatniał się gaz i zatruwał powietrze – ot, typowe problemy po bombardowaniach.

Oppenheimer miał tylko nadzieję, że nikt nie wpadnie teraz na pomysł, żeby zapalić papierosa.

Kiedy na miasto spadły pierwsze bomby, wstrząśnięci berlińczycy tłumnie gapili się na zrujnowane domy. Wtedy było to coś nowego, niesłychanego. Z czasem powab nowości zniknął. Nocne naloty dawno stały się czymś normalnym, gazety donosiły już tylko o atakach w dzień, zwykle w paru linijkach, lakonicznie pisząc o „stratach w ludności".

Naloty stały się częścią codzienności, a wraz z codziennością nadeszła rutyna. Uratowany dobytek mieszkańców dotkniętych bombardowaniami – meble i drobne sprzęty – piętrzył się przed zrujnowanymi budynkami. Koczowali przy nim ludzie pilnujący swego mienia. Niektórzy siedzieli na walizkach spakowanych na wypadek nalotów, inni wyczerpani spoczywali na krzesłach obitych pluszem czy innych meblach, ostatkiem sił uratowanych z płonących mieszkań.

Zaledwie parę metrów dalej na samym środku chodnika ułożono rządkiem zwłoki wydobyte z gruzów. Oppenheimer nie mógł się powstrzymać, by przechodząc obok, nie rzucić okiem na trupy. Zobaczył mężczyznę, którego ludzie z ochrony przeciwlotniczej wyciągnęli spod ważących tony gruzów; miał zdeformowaną czaszkę, przypominającą ugotowane na miękko jajko bez skorupki.

Szkielet budynku wznoszący się za trupami oznakowano płachtą z napisem: „Przeszukano pod względem zasypanych". Jak wszystkie miejsca, w których ochrona przeciwlotnicza zaprzestała poszukiwań, ruiny posypano wapnem, by zdezynfekować teren.

Więźniowie w pasiakach z grubsza odgruzowywali ulicę. Pilnowali ich esesmani z bronią gotową do strzału. Oppenheimer minął kobiety z policji ogniowej, zajęte zwijaniem węży gaśniczych. W ciemnych mundurach, ciężkich trzewikach i furażerkach sprawiały obce, dziwnie męskie wrażenie.

– Oppenheimer! – dobiegło go wołanie z prawej. Z bocznej uliczki wyłonił się, wymachując ręką, doktor Klein. Pomimo swej tuszy zdumiewająco lekkim krokiem wymijał hałdy gruzu. – Jakie to szczęście, że pana widzę! Myślałem, że też pan oberwał!

– Cisza! – fuknął na niego z pobliskiego gruzowiska mężczyzna ze słuchawkami na uszach.

Klein drgnął i zamarł. Mężczyzna nie zwrócił jednak uwagi na przepraszający gest doktora, tylko z wysiłkiem docisnął słuchawki do uszu. Powoli przykucnął obok granatów nasłuchowych, za pomocą których łowił uchem odgłosy z głębi ziemi.

– Nic się nie stało – wyszeptał Klein. – Wszystko w porządku. Dom stoi. Tym razem nam się udało, niewiele brakowało, a ogień zająłby piwnicę z gazem w sąsiednim budynku. Całe szczęście, zdążyli ugasić na czas. Stara Schlesingerowa zatruła się dymem, ale niegroźnie.

Z pobliska dobiegł inny głos.

– Richard! – zawołała, zbliżając się, Lisa.

– Dzięki Bogu! – odezwał się Klein. – Właśnie chciałem o panią pytać. Jak dobrze, przynajmniej mieszkańcy naszego domu wyszli z tego cało.

Twarz Lisy była zaczerwieniona z przejęcia. Oppenheimer wziął ją w ramiona i zauważył, że ledwie oddycha z podekscytowania.

– Richard, czemu ty tu jeszcze jesteś? – wydusiła z siebie wreszcie.

– Wszystko w porządku – szepnął jej do ucha. – Dziś rano zabrali mnie znowu, ale nic mi nie grozi. Rozumiesz? Potrzebują mnie.

– Czego od ciebie chcą?

– Mam pomóc w śledztwie.

– Richard! Czyś ty oszalał?

– Nie miałem wyboru. Jeśli się dobrze zastanowić, być może to najlepsze, co nas mogło spotkać. Dopóki nie zakończy się dochodzenie, nic nam nie zagraża! Jestem właściwie pod ochroną SS! I nie muszę już czyścić maszyn, na razie.

Spojrzał jej w oczy. Próbował pokazać, że jest dobrej myśli, ale była zbyt mądra na takie sztuczki. Czuł, że stanęło między nimi niewypowiedziane pytanie. Lisa zastanawiała się niechybnie, co nastąpi, kiedy dochodzenie się skończy.

Doktor Klein dołączył do nich i wskazał na dymiące zgliszcza.

– Widzicie? Został trafiony tylko jeden dom. Sąsiednie jeszcze stoją. Zdaje się, że to jakiś nowy rodzaj bomby. – Podszedł do krawędzi krateru i przyjrzał się ciekawie. – Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Ślad po wybuchu sięga dużo głębiej niż zwykle. A otoczenie zupełnie nietknięte. Dziwne.

Oppenheimer z roztargnieniem obrzucił wzrokiem lej po bombie. Jego amatorskie oko dostrzegło jedynie, że coś przebiło sklepienie piwnicy.

Wapienny pył niczym śniegiem przysypał pomieszczenie pozbawione powały. Niewiele go obchodziły techniczne niuanse wojny. Zamiast tego przyjrzał się sąsiadowi. Od paru dni Klein kipiał niezwykłą energią. Może to był jego sposób na otrząśnięcie się po śmierci żony. Komisarz zachodził w głowę, jak doktor zareaguje, kiedy już ochłonie i spojrzy w oczy rzeczywistości.

– W dole znaleziono tylko spopielone zwłoki – wyjaśnił Klein. – Nie mam pojęcia ile. Atak nastąpił tak nagle, że ludzie nie mieli czasu na dotarcie do schronu koło zoo.

Oppenheimer dostrzegł poruszenie wśród osób stojących na ulicy. Klein obejrzał się przez ramię.

– Ach, chyba rozeszła się wiadomość, że otworzyli punkt aprowizacyjny. Obiecali kawę. Ciekawie jest obserwować, jak prędko potrafią śmigać ludzie, kiedy jest coś do zdobycia.

Lisa i Oppenheimer popatrzyli po sobie. Nęcąca perspektywa prawdziwej kawy sprawiła, że oboje przez moment zastanawiali się, czy nie pójść w ślady innych. Ale komisarz nie miał najmniejszych szans – w sąsiedztwie zawsze znajdzie się ktoś, kto mógł go zadenuncjować jako lokatora *Judenhausu*. Tylko Klein stał nieruchomo jak skała. Ze swymi tajnymi zapasami żywności nie miał kłopotów z zachowaniem spokoju.

Oppenheimer obudził się zdjęty przerażeniem. Coś go obejmowało. To nie była iluzja. Ramię. Mimo chłodu na czoło wystąpiły mu kropelki potu. W głowie trzepotały resztki snu. Pamiętał, że unosił się w morzu odciętych kończyn, płynął ku wyspie, która okazała się gębą miażdżącą kości. Drgnął na wspomnienie tej wizji, bojąc się nawet rozglądać na boki.

W słabym świetle żarówki poznał, gdzie się znajduje. Piwniczna sztolnia. A zatem jest w schronie, na podłodze, tam gdzie zwykle. Spoczywające na nim ramię należy do Lisy.

Za nią kuliła się stara Schlesingerowa. Poznał ją po kubraku, który kiedyś był czerwony. Głęboki oddech wskazywał, że śpi. Trochę dalej na podłodze leżeli pozostali mieszkańcy *Judenhausu*. Przypomniał sobie jak przez mgłę, że słyszał w nocy syreny. Znowu bombardowali miasto. Ale na zewnątrz było cicho. Jak w grobie.

Jeszcze nigdy nie spał tak mało jak w ciągu ostatnich miesięcy. A jednak, mimo ciągłego niewyspania mieszkańców, miasto funkcjonowało jak

zawsze. Wszystko toczyło się normalnym rytmem, działały urzędy, roznoszono pocztę, zwykle były prąd i woda. Oppenheimer pomyślał, że niedługo znowu nastanie pełnia. Wtedy nalotów było mniej. Przez parę dni uda się przespać noc bez konieczności pośpiesznego zbiegania do piwnicy w niepełnym ubraniu. Parę centymetrów od niego Lisa zamrugała oczami.

– Obudziłeś się?

Skinął głową.

– Długo spałem? – zapytał szeptem.

– Może z pół godziny. Ależ się miotałeś.

– Hm – mruknął. Oparł się o ścianę. Dziwne, ale teraz nie mógł już sobie przypomnieć tak realistycznego jeszcze przed chwilą snu. W końcu odchrząknął. – Zastanawiam się, czy to nie jest niepatriotyczne – wyszeptał.

Gdy popatrzyła na niego pytająco, poczuł się zmuszony wyjaśnić jej, o co mu chodzi.

– Za każdym razem, kiedy jest nalot, zdejmuje mnie przerażenie, ale z drugiej strony przepełnia nadzieja, że zwyciężą. To jakaś sprzeczność, nie sądzisz? Może to wina tego, że nie należę do narodu niemieckiego.

Lisa też usiadła.

– Takie myślenie to tylko woda na ich młyn. Niewielu znam ludzi, którzy są bardziej niemieccy od ciebie. Nie istnieje coś takiego jak rasa żydowska. U mnie w pracy również wiele osób ma nadzieję, że naziści przegrają. Wśród nich katolicy i protestanci. Zadają sobie te same pytania. Nie uważam, by życzenie im klęski było niepatriotyczne. W końcu ten kraj to nie tylko naziści.

Później w nocy Oppenheimer leżał i gapił się w sufit, a po głowie tłukły mu się ostatnie słowa Lisy. Żona wreszcie przekręciła się na bok i wtuliła w niego.

Mimowolnie powracał myślami do wydarzeń ostatniego roku, kiedy na długo przed świtem wielkimi ciężarówkami przyjechali esesmani. Z bronią gotową do strzału zapędzili jego i innych mężczyzn na pakę. Rzesza Niemiecka w ciągu sześciu tygodni miała zostać oczyszczona z Żydów. Tego ranka jak bydło upchnęli wszystkich spowinowaconych z Aryjczykami Żydów z całego Berlina w prowizorycznym obozie przy Rosenstraße. Na ulicy zaczął się zbierać tłum żon zatrzymanych. Była to manifestacja kobiet, które porwały się na coś niesłychanego, na co nie poważyłby się żaden *Volksgenosse*: one przestały siedzieć cicho i publicznie

zademonstrowały swoje oburzenie. Lisa też wyczekiwała pod budynkiem, na przekór zimnym marcowym nocom, marząc o tym, by wziąć w ramiona męża, całego i zdrowego. Żon przybywało, aż w końcu nie sposób już było ignorować tłumu rosnącego u stóp muru. Nazistowskie państwo ugięło się i bez żadnego komentarza wypuściło uwięzionych.

Lisa przywarła do niego, jakby mógł ją ochronić. A przecież sprawy miały się dokładnie na odwrót. Zastanawiał się, czym zasłużył sobie na tę miłość. Wiedział, że jego największym mankamentem było to, iż nie potrafi ochronić Lisy przed tym całym obłędem. Poczuł się jak hochsztapler.

Kiedy we wczesnych godzinach rannych Oppenheimer wysiadł z samochodu, w pierwszej chwili był zupełnie zdezorientowany. Drzewa w niczym nie przypominały swych udomowionych pobratymców z berlińskich parków. Otaczał go głęboki, nieprzenikniony, pierwotny niemiecki las.

Zgodnie z tym, co ustalił z Voglerem, o siódmej zjawił się kierowca. Oppenheimer domyślał się, że człowiek, który po niego przyjechał i zdawkowo przedstawił się nazwiskiem Hoffmann, ma go jednocześnie pilnować. Nie przejął się tym, bowiem radość, że będzie poruszał się po mieście dużo bardziej komfortowo niż zwykle, przewyższała wszystko inne. Hoffmann miał za zadanie co rano przywozić go do centrali, skąd Vogler koordynował działania zmierzające do ujęcia sprawcy. Teraz jednak Oppenheimer znalazł się w miejscu przypominającym bajkową knieję.

Nie potrafił powiedzieć, czy dźwięk unoszący się w powietrzu był jeszcze hałasem wielkiego miasta, czy już szumem lasu. Wokół pachniało mchem i sosnowymi igłami, światło gubiło się w wierzchołkach wysokich drzew, sprawiając, że panował tu przyjemny półmrok, tylko gdzieniegdzie przecinany promieniami światła. Ożyły wspomnienia z dzieciństwa, kiedy matka czytała mu o Jasiu, Małgosi i chatce z piernika. Tutaj też dostrzegł dom czarownicy, i to nie jeden, jak u braci Grimm, tylko kilka, ustawionych w równym drobnomieszczańskim szeregu. Domy nie były ani luksusowe, ani szczególnie duże, dwuspadowe dachy pokryto dachówką, wykusze wyłożono ciemnym drewnem, a szprosowe okna okolono dużymi okiennicami.

Tuż po skręcie w Argentinische Allee Hoffmann odbił w bok i zostawił samochód na pętli. Oppenheimerowi wydało się niemal absurdalne, że

wąskie uliczki pośrodku tej dziczy w ogóle noszą jakieś nazwy.

Napełnił płuca aromatycznym powietrzem i popatrzył na gałęzie w górze. Nie wątpił, że niektórzy byli gotowi zabić, by zamieszkać w tym ekskluzywnym miejscu. W końcu znajdowali się w południowo-zachodniej części Berlina, nieopodal Grunewaldu. Nie wiedział, jak prorocza okaże się ta myśl.

Hoffmann wskazał na najbliższy dom.

– To tu. Trzeba nacisnąć dzwonek.

Drzwi się otworzyły, zanim Oppenheimer dotarł do wejścia. Na progu czekał na niego umundurowany Vogler i gestem zaprosił go do środka.

Wnętrze przypominało zwykły dom mieszkalny. Wprawdzie pokoje nie były szczególnie duże, ale w porównaniu z jego teraźniejszym lokum wydały mu się ogromne.

– Proszę się rozebrać. Czego się pan napije? Kawy? Koniaku? Szampana? – Vogler obojętnie wyliczał drogocenne trunki.

Komisarz dawno już nie słyszał, by ktoś tak beznamiętnie proponował deficytowe produkty, nie mówiąc o alkoholu. Zdjął kapelusz i skołowany wydusił z siebie:

– Kawy.

– Proszę się rozgościć – odezwał się Hauptsturmführer i gestem zaprosił go do salonu.

Dom umeblowano, ale po dokładnym przyjrzeniu się sprawiał wrażenie powłoki pustej w środku. Kredensy i półki w salonie były pozbawione jakichkolwiek przedmiotów, nigdzie nie dało się zauważyć żadnych osobistych drobiazgów. Ciszę dzieliło na sekundy głuche tykanie zegara ściennego. Vogler wrócił z filiżanką kawy.

– Kto tutaj mieszka? – zapytał Oppenheimer.

– My – odparł Vogler i zapalił papierosa. – Przynajmniej dopóki nie rozwiążemy sprawy. Ten pokój jest do pana dyspozycji, powiedzmy, jako biuro. Telefon i radiotelefon są w piwnicy. Gdybym był nieobecny, znajdzie pan tam również radiotelegrafistę w ciągłej gotowości.

Komisarz skinął tylko głową i usiadł w najbliższym fotelu. Nagle wydało mu się, że Vogler, w mundurze i z wyprostowaną posturą, dziwnie kłóci się z kwiecistą tapetą pokoju. Umoczył wargi w ciemnym płynie, ciekaw, czy to prawdziwa kawa. Była prawdziwa, węch go nie zawiódł.

– Czy jest jakiś postęp w sprawie identyfikacji zwłok?

– Obawiam się, że nie. Moi ludzie nadal nad tym pracują. Co powinniśmy zrobić pana zdaniem?

– Dopóki nie dowiemy się, kim jest denatka, mamy mało punktów zaczepienia. Możemy jednak sprawdzić, czy sprawca jest nekrofilem. Najlepiej będzie, jeśli skontaktuje się pan z komendami kryminalnymi, z osobami odpowiedzialnymi za identyfikację zwłok. Mnie pewnie nie zechcą udzielić informacji. Niech pan pyta o zwłoki, które zaginęły, lub o inne nieprawidłowości. Ja zajmę się cmentarzami.

Vogler popatrzył na niego zaskoczony.

– Chce pan oblecieć wszystkie berlińskie cmentarze?

– Przynajmniej dopóki nie otrzymamy innych wskazówek. Zacznę od Oberschöneweide i będę się przesuwał w kierunku śródmieścia. Może dopisze nam szczęście.

– Dobrze, niech tak będzie – odrzekł Vogler i oparł ręce na biodrach. – Spotykamy się tu na naradę każdego ranka o ósmej. Jakieś pytania?

– Nie – odpowiedział, choć nurtowały go rozliczne kwestie.

Oppenheimer, przygnębiony, maszerował żwirową alejką. Zarządca cmentarza musiał być na terenie nekropolii, ale w biurze nie umiano mu powiedzieć gdzie dokładnie. Jasnoszare niebo raziło go w oczy, miał poczucie, jakby coś rozsadzało mu czaszkę. Może złapał przeziębienie. Odruchowo powędrował ręką do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Chciał zażyć pervitin, by jakoś przeżyć ten dzień, ale po dłuższym namyśle zrezygnował, bo w fiolce znajdował się już tylko tuzin tabletek. To były jego ostatnie, a nie miał pojęcia, skąd wziąć nowe. Nie było łatwo zdobyć ten specyfik. Sprzedawano go tylko na receptę, a on nie chciał zawracać tym głowy Hilde. Może doktor Klein będzie mógł go wesprzeć.

Hoffmann szedł parę kroków za nim, okulary motocyklowe zwisały dziwacznie na daszku jego cyklistówki. Jakiś czas temu obaj przesiedli się na motocykl, który okazał się idealnym środkiem poruszania się po mieście, nawet jeśli Oppenheimer za każdym razem z trudem gramolił się do bocznego wózka. Pojazd był wystarczająco zwrotny, aby omijać sterty gruzu i leje po bombach, pojawiające się znienacka na drodze. Mimo tych walorów komisarz wolałby czasem samochód, a przynajmniej innego kierowcę. Powoli kiełkowało w nim podejrzenie, że Hoffmann opacznie zinterpretował polecenie zawiezienia go na cmentarz. Motocyklista gnał na

złamanie karku, niejednokrotnie omal nie przyprawiając Oppenheimera, jedną ręką przyciskającego do siebie kapelusz, a drugą przytrzymującego się kurczowo, o atak serca.

Cmentarz Baumschulenweg graniczył z terenem leśnym Königsheide i był oddalony od miejsca znalezienia zwłok zaledwie o kilka kilometrów. Rozległą nekropolię trudno było ogarnąć wzrokiem, bo droga dojazdowa dzieliła ją na dwie połowy. Oppenheimer uznał, że zagubienie zwłok było tu dość prawdopodobne.

Krocząc wzdłuż grobów, zauważył nieopodal krematorium mężczyznę, który, żywo gestykulując, perswadował coś dwóm grabarzom.

– Nie obchodzi mnie, kiedy robicie przerwę – pomstował. – Mają się dziś znaleźć pod ziemią i basta!

– Nie byłoby prościej, gdybyśmy wykopali wspólny dół dla wszystkich ciał? – zapytał jeden z uzbrojonych w łopaty mężczyzn. – Przecież takie chuchra jak my nie wykopią we trzech tuzina grobów w parę godzin.

– Nic z tego. Masowe groby są zabronione. Osobisty rozkaz Führera. – Na wzmiankę o wodzu grabarz odruchowo skulił głowę. – Kończy nam się lód. Mamy pozwolić, żeby zwłoki się rozkładały? Nie, ja tam nie chcę żadnych pierepałek z urzędem. Choćbyście kopali całą dobę na okrągło. Nic na to nie poradzę, że nie przydzielili nam jeszcze do pomocy przymusowych!

Drugi grabarz z zakłopotaniem miętosił kaszkiet.

– Bo my chcieli tylko powiedzieć, że to nie jest sprawiedliwe – rzucił niepewnie.

– Życie nie jest sprawiedliwe, i umieranie też nie. Spróbuję jak najszybciej pozyskać nowych robotników. A na razie inaczej się nie da. Do roboty!

– Przecież się nie rozdwoimy – burknął pierwszy grabarz z niezadowoleniem i wskoczył do wykopanego w połowie grobu.

Jego kolega sięgnął po łopatę i wyszeptał:

– Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Dysputa wydawała się zakończona, więc Oppenheimer chrząknął głośno, by zwrócić na siebie uwagę zarządcy.

– Domyślam się, że pan jest zarządcą cmentarza?

– Owszem, jestem – odpowiedział tamten, ruszając przed siebie. Komisarz nie miał innego wyboru, jak pójść za nim. – Znalazł pan kogoś

z rodziny? W takim razie proszę zgłosić się do dyżurnego. Wraz z aktem zgonu dostanie pan kwit na trumnę. Przyniesie go nam pan, a resztą już się zajmiemy. O termin złożenia do trumny musi pan się dowiedzieć. Nie zezwala się na przekazanie odzieży dla zmarłego. Rozporządzenie o przędziwach, pan rozumie. Ciało zostanie pochowane w ubraniu, w którym je znaleziono. Mam nadzieję, że wszystko jasne?

– Nie przyszedłem w sprawie pogrzebu – odpowiedział Oppenheimer. – Chodzi o sprawę kryminalną.

Zarządca zatrzymał się nagle i zmierzył go wzrokiem. Potem zauważył gwiazdę Dawida.

– Zaraz, co to ma znaczyć? – zapytał podejrzliwie. Zwrócił się do Hoffmanna: – Czy ten Żyd ma tu coś do powiedzenia?

Hoffmann pokazał legitymację służby bezpieczeństwa i dyskretnie wziął zarządcę na stronę. Podczas gdy obaj cicho wymieniali zdania, Oppenheimer myślał chmurnie, że to dochodzenie może się okazać niezmiernie trudne, jeśli przed każdym rozmówcą trzeba się będzie tłumaczyć z jego statusu doradcy. Po chwili zarządca odwrócił się do niego.

– Przepraszam, nie miałem pojęcia. Moje nazwisko Krüger. – Chciał podać mu rękę, ale zerknąwszy z ukosa na Hoffmanna, zmienił zdanie. Z zakłopotaniem potarł dłonie. – Jaką ma pan sprawę? Szuka pan kogoś zmarłego?

– Wręcz przeciwnie – odpowiedział Oppenheimer. – Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy nie zginęły żadne zwłoki.

Zarządca popatrzył na niego wielkimi oczami.

– Na litość boską, a skąd mam wiedzieć? Czy pan ma pojęcie, ilu zmarłych dostarcza się nam każdego dnia?

– Nie prowadzicie żadnych rejestrów?

– Rejestrów? – Prychnął ze wzgardą. – Z rejestrami to jest tak. Widzi pan to? – Pokazał na fragment murawy, gdzie niezliczone mosiężne plakietki odbijały światło słońca. – Chowamy ludzi, nie wiedząc, kim są. I wtedy na grobie nie ma nic. A za każdym razem, kiedy Angole podrzucają nam te swoje jajka, dochodzą następni. Tu jest taki bałagan, że nawet pan sobie nie wyobraża.

– Więc nikt nie może nam pomóc? – zapytał bezradnie Oppenheimer.

– Niech panowie idą do kostnicy – rzekł zarządca, wzruszając ramionami. – Może któryś ze stróżów coś zauważył. Gdyby mnie kto pytał,

czy możliwe, że zginęły u nas jakieś zwłoki, musiałbym odpowiedzieć: owszem, to możliwe. I nikomu nie rzuciłoby się to w oczy.

Ciała leżały w chłodni. Pomiędzy nimi w bezładnej procesji przesuwały się postacie ubrane na czarno. Zasępione spojrzenia szukały brata, którego mieszkanie legło w gruzach, żony, której miejsce pracy zamieniło się w morze ognia, dziecka, które już od kilku dni nie wracało na obiad. Gdzieniegdzie było widać także radosne oblicza bliskich, czerpiących nową nadzieję, bo ich obawy się nie potwierdziły. Dopóki w poszukiwaniu kogoś ukochanego nie przestąpią progu kolejnej kostnicy.

Oppenheimer zauważył kotarę, zza której wyszedł mężczyzna drobnej budowy. Na jego twarzy nie malowała się ani nadzieja, ani obawa; człowiek ów z przyjemnością odgryzł kawałek prymki. Niewątpliwie należał do personelu.

– Czy pan jest tu stróżem?

Mężczyzna obrzucił wzgardliwym wzrokiem żółtą gwiazdę na płaszczu Oppenheimera, a potem wykrzywił usta w uśmiechu.

– Popatrz no ty! Żydków też tu przyniosło.

Widać było, że nie zamierza powiedzieć nic więcej. W tym momencie zainterweniował Hoffmann. Kiedy wyjaśnił sytuację i nakazał stróżowi, by kooperował, ten w końcu zaczął odpowiadać na pytania. W jego oczach pozostał jednak wrogi błysk.

Oppenheimer prędko się zorientował, że właściwie mógł sobie darować tę rozmowę. Stróż powtórzył informacje, które otrzymali uprzednio od zarządcy cmentarza. Kostnicę zwykle zamykano o piątej po południu, podobnie jak zakratowaną furtkę prowadzącą na teren cmentarza. Bywało jednak, że otwierano i po godzinach, po nocnych nalotach, kiedy trzeba było wpuścić ciężarówki, którymi ochrona przeciwlotnicza zwoziła ofiary bombardowań.

– Czy ktoś mógłby niepostrzeżenie dostać się wtedy do środka? – zapytał komisarz.

– Móc, mógłby – odpowiedział chudy stróż. – Ja tam tych, co z nimi jeżdżą, nie znam.

Oppenheimer uświadomił sobie, że zabrnął w ślepą uliczkę. Wprawdzie, jak pamiętał, ostatnio było parę nocnych alarmów, ale bomby spadły tylko

podczas nalotów dziennych. Mało prawdopodobne, by ktoś w biały dzień niezauważenie przeszmuglował zwłoki poza teren cmentarza.

Stróż splunął prymką, a brązowy śluz dziwnym trafem znalazł się zaledwie kilka centymetrów od buta Oppenheimera. Ten spojrzał na dozorcę, ale na twarzy mężczyzny malowała się ostentacyjna obojętność.

– Co jest za tą kotarą? – zapytał komisarz.

Stróż odwrócił się na chwilę, a potem wyszczerzył się w uśmiechu.

– Tam jest dział specjalny. Nie sądzę, żebyś pan chciał to zobaczyć. Kładziemy tam poszarpanych. Mamy ich w najróżniejszych kształtach i kolorach.

Dozorca rzucił mu wyzywające spojrzenie. Zachowywał się jak dzieciuch. Co było za kotarą, nie miało znaczenia dla śledztwa, ale Oppenheimer nie chciał mu dać satysfakcji, wycofując się w ostatniej chwili. Poza tym nie cierpiał, kiedy ktoś próbował go nastraszyć. Niewiele myśląc, bez słowa odchylił zasłonę.

6

piątek, 12 maja 1944

Następne dni zeszły mu na odwiedzaniu kolejnych cmentarzy. Sytuacja wszędzie wyglądała podobnie. Jeśli istniały specjalne pomieszczenia na zwłoki lub kaplica, gdzie je wystawiano, to były one zamykane po zwykłych godzinach otwarcia. Oppenheimer opracował zestawienie firm dostawczych obsługujących wszystkie cmentarze, wypisał adresy zakładów stolarskich dostarczających trumny i kwiaciarni. Pracownicy tych firm byli potencjalnymi podejrzanymi. Teraz należało ustalić, kto dysponuje pojazdem, którym łatwo przetransportować ciało. Lista wydłużała się coraz bardziej, a on już w piątek musiał przyznać, że ten trop to porywanie się z motyką na słońce.

Tymczasem wyjaśniła się przynajmniej kwestia wyżywienia podczas jego misji. Obawiał się już, że będzie musiał znaleźć w pobliżu jakąś gospodę, oferującą bez kartek tak zwane danie dnia. Do tego dochodził tak nieistotny szczegół, że jako Żydowi oficjalnie nie wolno mu było stołować się w restauracjach. Jednak już pierwszego dnia, kiedy był zajęty tworzeniem listy cmentarzy, koło południa zjawił się z obfitym prowiantem Hoffmann. Także w inne dni, gdy byli w drodze, zawsze miał przy sobie suto obłożone kanapki. Ponieważ jadłospis Oppenheimera w ostatnim czasie składał się głównie z kartofli, chętnie korzystał z tej gratyfikacji.

Był już piątek, zbliżał się weekend. Oppenheimer zastanawiał się, czy oczekiwano od niego, że będzie pracował również w niedzielę. Wciąż nie dotarł raport z obdukcji. Najwyraźniej administracja wydziału kryminalnego ucierpiała od bombardowań bardziej, niż Vogler się spodziewał. Urzędy od jakiegoś czasu zlecały transport dokumentów nieletnim kurierom rowerowym, płacąc im w zamian kieszonkowe, nie należało się więc dziwić, że czasem jakaś przesyłka ginęła. Oppenheimer tymczasem przeniósł swe cmentarne poszukiwania do Neukölln.

Wprawdzie dzielnica ta była położona dobrych parę kilometrów od miejsca znalezienia zwłok, ale postanowił działać skrupulatnie. Cały dzień zszedł mu na Hermannstraße. Znał tę okolicę. Na niewielkim obszarze znajdowało się aż osiem cmentarzy. Tłoczyły się na wąskich parcelach na południe od stacji metra Leinestraße. Na koniec zostawił sobie przykościelny cmentarz przy Jerusalemkirche. Spodziewał się, że wizyta tam potrwa nieco dłużej; chciał kogoś odwiedzić.

Bez trudu odnalazł zarządcę i uzyskawszy od niego żądane informacje, rozejrzał się po terenie. Natknął się przy tym na paru robotników, którzy z łopatami na ramionach zmierzali w stronę wykopu. Gdy przypatrzył się bliżej, stwierdził, że dół był kraterem po wybuchu. Zarządca cmentarza wyjaśnił mu, że cmentarz często obrywa, ponieważ tuż obok znajduje się lotnisko Tempelhof, stanowiące ulubiony cel bombowców.

Oppenheimer nie potrafił powiedzieć, czy lej powstał podczas wczorajszego dziennego nalotu, w każdym razie prace porządkowe jeszcze trwały. Między krzewami stały trumny, które trzeba było zakopać z powrotem.

– Czy mógłby mnie pan na chwilę zostawić samego? – zwrócił się do Hoffmanna, który zatrzymał się przy jednym z grobów, z typową dyskrecją tajniaka udającego żałobnika.

Minęło sporo czasu, odkąd Oppenheimer po raz ostatni odwiedził grób Sonji. Była sekretarką w wydziale kryminalnym. Prawie codziennie spóźniała się do pracy i pędem biegła do biura. A jednak, kiedy rankiem widywał ją w korytarzu, zawsze obdarzała go uśmiechem. Z czasem zaczął umyślnie prowokować ich poranne spotkania. A one nagle przerodziły się w coś więcej. To, że stał tu teraz, było chyba dowodem jego słabości. Być może nic z tego by się nie wydarzyło, gdyby żyła jeszcze jego córka. Taka strata niektóre pary cementuje, ale Oppenheimer i Lisa po śmierci Emilii zaczęli się od siebie oddalać. Jego romans z Sonją był epizodem, którego nadal żałował. Mimo wszystko udało im się uratować małżeństwo, choć trochę to trwało. Właściwie zbliżyli się do siebie dopiero wtedy, kiedy na ulicach zaczął szaleć brunatny terror.

Kiedy patrzył na nagrobek Sonji, ogarnęła go niepewność, co tu właściwie robi. Groby zawsze tak na niego działały. Wmawiał sobie, że ludzie potrzebują tych miejsc i utartych rytuałów, by zachować iluzję, że są blisko zmarłych. Nie potrafił tego zrozumieć, jedyne, na co go było stać, to

konstatacja, że u niego to tak nie działa. A jednak stał nad grobem Sonji, nie bardzo wiedząc, co go tutaj przygnało.

Z roztargnieniem zarejestrował zbliżające się ciężkie kroki. Ale to nie Hoffmann pojawił się w polu widzenia, lecz Vogler.

– Pańska znajoma? – zapytał, patrząc na nagrobek.

– Koleżanka. – Obecność Voglera wydała mu się nagle ogromnie uciążliwa. – Są jakieś nowiny?

– Mamy nazwisko denatki. Nazywała się Inge Friedrichsen.

Serce Oppenheimera zabiło szybciej. To mogło oznaczać przełom.

– Kobieta, która wynajmowała jej mieszkanie, niejaka pani Korber, zgłosiła jej zaginięcie – ciągnął Vogler. – Opis się zgadza.

– Czy zwłoki zostały już zidentyfikowane?

– Wezwano panią Korber.

A więc to wciąż nie było pewne. Vogler musiał się jeszcze sporo nauczyć. Doświadczony śledczy nigdy nie rozgłaszał tożsamości ofiary, jeśli nie miał co do niej całkowitej pewności.

– No to zobaczmy – rzucił Oppenheimer i ruszył przed siebie.

– Dokąd pan idzie?

– Do kostnicy, a co pan myślał? Przy okazji zapytamy, gdzie się podziewa raport z obdukcji.

W kostnicy już dawno nie było śladu po pani Korber. Jeszcze przed południem zidentyfikowała denatkę jako swoją lokatorkę Inge Friedrichsen.

Udali się do chłodni, prowadzeni przez jednego z asystentów. Źrenice za grubymi szkłami jego okularów przypominały ryby za szybą akwarium. Vogler znów musiał zawile tłumaczyć funkcję Oppenheimera. Mimo to asystent w białym fartuchu nie mógł się powstrzymać, by nie zerkać ukradkiem na gwiazdę Dawida, zupełnie jakby obecność Żyda stanowiła jakiś test, on zaś nie był pewien, czy go zdał.

– Sześćdziesiąt trzy lata. Myślałem, że sama mi tu padnie na miejscu – odezwał się, mając na myśli panią Korber.

– I dopuścił pan do tego? – zapytał Oppenheimer.

– A był ktoś jeszcze, kto mógł zidentyfikować Inge Friedrichsen?

Vogler wzruszył ramionami.

– Innych lokatorów nie ma, a synowie na froncie. Nie było wyjścia.

– No, jesteśmy na miejscu – zauważył asystent.

Uderzył w nich lodowaty podmuch, kiedy wprowadził ich do chłodzonego pomieszczenia, gdzie przechowywano zwłoki. Przeleciał wzrokiem trzymaną w ręku listę.

– Inge Friedrichsen, czyli numer 46513 – odczytał i już ruszył szukać ciała, gdy Oppenheimer go powstrzymał.

– Chwileczkę. Ja już widziałem zwłoki.

Asystent podniósł wzrok.

– To czego pan chce? Protokołu z oględzin?

– Cały tydzień na niego czekamy! To dochodzenie o najwyższym priorytecie. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno. Kto przeprowadzał obdukcję?

– Ehem… doktor Gebert.

– Stary Gebert? – Oppenheimer oniemiał na moment. W przeszłości ścięli się parę razy. Mieli całkowicie odmienne temperamenty. – Hm, no cóż, trudno. Czy jest teraz zajęty?

– Nie sądzę.

– Dziękuję – skwitował zwięźle Oppenheimer, odwrócił się i zostawił asystenta tak, jak stał.

– Co pan robi? – zawołał ten za nim.

– Zamierzam wyjaśnić tę sprawę z doktorem Gebertem.

– Nie może pan tak po prostu! Doktor Gebert to bardzo zajęty człowiek!

– Ja również – zapewnił go Oppenheimer i opuścił pomieszczenie.

Niemal od razu przypomniał sobie, gdzie znajduje się gabinet Geberta. Dotarłszy do drzwi, przystanął na chwilę i wciągnął powietrze w płuca. Potem zapukał i wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie.

Doktor siedział za biurkiem, pochylony nad papierami. Podniósł wzrok.

– Co takiego? Przecież powiedziałem…

Jego irytacja ulotniła się, kiedy poznał Oppenheimera. Zaskoczony odchylił się do tyłu.

– Patrzcie no. To może być tylko nasz komisarz Oppenheimer. Któż inny ni z tego, ni z owego wparowuje do gabinetu? – Skinął przelotnie głową. – Miło pana widzieć – skłamał.

– Przeprowadził pan obdukcję Inge Friedrichsen?

– Friedrichsen? Nic mi nie mówi to nazwisko. Musiałbym sprawdzić.

– Przywieziona w niedzielę, około dwudziestu pięciu lat, blondynka z ciężkimi obrażeniami w okolicach genitaliów.

– Tak, przypominam sobie. Ale co pana łączy z tą sprawą? O ile wiem, wystąpił pan ze służby w policji. Mądra decyzja, jak sądzę.

Do pokoju wszedł Vogler. Musiał usłyszeć przez drzwi ostatnie słowa.

– *Heil Hitler!* Hauptsturmführer Vogler. To ja kieruję dochodzeniem.

Gebert spojrzał na niego, uniósł do góry jedną brew i przeniósł wzrok na Oppenheimera. Zrozumiał.

– *Heil Hitler*. Proszę spocząć, panowie. Czym mogę służyć?

Vogler usiadł i gestem wskazał Oppenheimera. Ten podjął rozmowę.

– Co było przyczyną zgonu? – zapytał. – Domyślam się, że została uduszona?

– Ewidentnie.

– Czy okaleczenie genitaliów nastąpiło *post mortem*?

– Również i to można przyjąć z dużym prawdopodobieństwem. Nie stwierdziłem wybroczyn. Krążenie musiało ustąpić przedtem.

Oppenheimer pomyślał, że przynajmniej w tym nieszczęsna kobieta miała szczęście.

– Co może pan powiedzieć o ranach?

– O ile zdołałem ustalić, cięcia były dość precyzyjne. Wykonano je celowo. Okoliczne tkanki pozostały niemal nieuszkodzone. Ktokolwiek tego dokonał, wiedział, co robi.

– A zatem ktoś, kto potrafi obchodzić się z nożem – myślał na głos Oppenheimer. – Kiedy nastąpiła śmierć?

– Można założyć, że w sobotę po południu.

– Czy oprócz tego znalazł pan coś niezwykłego? – wtrącił się Vogler.

– Można tak powiedzieć! Chwileczkę. – Gebert wstał, otworzył drzwi szafy i wrócił ze szklanym naczyniem, w którym połyskiwało coś metalowego. – Niejedno przeszedłem w życiu, ale coś takiego… W głowie denatki znaleźliśmy dwa ciała obce.

Oppenheimer przełknął ślinę, kiedy doktor podał mu naczynie. W środku leżały dwa żelazne gwoździe o długości około sześciu centymetrów.

– Gdzie się znajdowały? – zapytał beznamiętnie.

– Znalazłem je w kanałach słuchowych. Zostały wepchnięte tak głęboko, że tkwiły w masie mózgowej.

Wzrok Oppenheimera zwęził się, kiedy to sobie wyobraził.

– Wystąpiło krwawienie?

– Obfite. Bez wątpienia jeszcze żyła, gdy to nastąpiło.

Mężczyźni przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Oddawali się własnym nieprzyjemnym myślom. Oppenheimer obrócił w dłoniach naczynie. Główki gwoździ zadźwięczały o ściankę.

– Dziękuję za informacje – powiedział w końcu Vogler. – Nie będziemy dłużej zabierać panu czasu. – Wstał. – Muszę pana uprzedzić, że dochodzenie jest objęte ścisłą tajemnicą.

Doktor Gebert wstał i wykonał dłonią gest aprobaty.

– Oczywiście.

Vogler wyrzucił rękę w górę.

– *Heil Hitler!*

– *Heil Hitler* – odpowiedział doktor Gebert, odwzajemniając salut, który w jego wykonaniu wypadł nieco mniej energicznie.

Oppenheimer uchylił tylko kapelusza i odwrócił się do wyjścia.

– Dowody rzeczowe może pan oczywiście zabrać – dorzucił Gebert.

Oppenheimer zastygł i zorientował się, że wciąż trzyma w ręku słoik z gwoździami. Bez słowa skinął głową.

– I jeszcze jedno, panie komisarzu – dodał doktor. – Nie wiem wprawdzie, kogo pan szuka i jak długo to potrwa, ale mam nadzieję, że znajdzie pan tego parszywca.

Opuściwszy budynek, Oppenheimer i Vogler stali przez jakiś czas na trotuarze. Hauptsturmführer patrzył w jaśniejący błękit nieba, ale minę miał posępną. Wyłowił z kieszeni płaszcza piersiówkę i pociągnął łyk. Oppenheimer stał obok niezdecydowany.

– Nie da się dłużej podtrzymać hipotezy, że to nekrofil – zrekapitulował wreszcie. – Ofiara była poddawana torturom za życia.

– Myślę, że nie ma sensu dalej zajmować się cmentarzami – zgodził się Vogler.

– Hm, to chyba do niczego nie doprowadzi. Zgodnie z informacjami gospodyni panna Friedrichsen opuściła mieszkanie sama w piątek wieczorem. Następnego dnia została zamordowana, a jej ciało znaleziono w nocy w Oberschöneweide.

– Dlaczego tam? – zapytał Vogler. – Dlaczego akurat pod tym pomnikiem? Jej mieszkanie znajduje się w północnej części miasta, w Pankow.

Oppenheimer w zamyśleniu żuł ustnik cygarniczki.

– Kolejne istotne pytanie, to czy morderca wybrał ją przypadkiem, czy miał ją na oku od dłuższego czasu.

– Zakłada pan, że zbrodnia została zaplanowana z góry.

Dobitność w głosie Voglera sprawiła, że Oppenheimer zastrzygł uszami.

– Skąd ten pomysł? – zapytał.

– Myślę… – zaczął Vogler. Przez moment sprawiał wrażenie, jakby został na czymś przyłapany. – Myślę, że to by była najbardziej praktyczna przesłanka.

Oppenheimer udał, że nie zauważył niepewności esesmana.

– Może ma pan rację.

– Spotykamy się w poniedziałek rano, wtedy omówimy dalsze postępowanie. – Vogler przywołał gestem samochód, który parkował przy krawężniku. Otwierając tylne drzwiczki, popatrzył krótko na Oppenheimera. – Niech pan posłucha, dopóki bierze pan udział w tym dochodzeniu… Myślę, że byłoby lepiej, gdyby nie nosił pan w tym czasie żydowskiej gwiazdy. – Ostatnie zdanie dopowiedział półgłosem.

Oppenheimer zmarszczył czoło, słysząc to nieoczekiwane polecenie. Chcąc się upewnić, powtórzył:

– Mówi pan, że mam zdjąć gwiazdę?

– Prowadzimy dochodzenie, które wymaga maksymalnej dyskrecji. Z tym czymś rzuca się pan w oczy jak kolorowy pies.

– Cóż, nie wiem, co mam powiedzieć. Czy jeśli ktoś zacznie dociekać w tej sprawie, mogę się powołać na pana?

– Nie pojmuje pan? To rozkaz! – Z tymi słowy Vogler zatrzasnął drzwiczki.

Kiedy auto odjechało, Oppenheimer zwrócił się do Hoffmanna, który czekał przy motocyklu parę metrów dalej.

– Rozkaz to rozkaz. Jest pan świadkiem – rzekł, wzruszył ramionami i odczepił żydowską gwiazdę.

Niewzruszona twarz Hoffmanna zdradzała, że było mu to całkowicie obojętne.

7

niedziela, 14 maja 1944

Niemrawy ruch w Marienfelde, podmiejskiej dzielnicy Berlina, każdemu mieszkańcowi gwarnego centrum stolicy Rzeszy musiał wydać się obcy. Tego niedzielnego poranka niewielka miejscowość sprawiała wrażenie wyjątkowo zaspanej. W mętnym świetle brzasku przez wieś przechadzała się wolnym krokiem samotna postać. Dla pierwszych wiernych śpieszących do kościoła był to niezwykły widok, tym bardziej że człowiekiem tym był Hauptsturmführer SS. Zapewne żaden z parafian nie podejrzewał, że przybysza sprowadziło tu akurat morderstwo.

Vogler rozpiął płaszcz. Niebo było bezchmurne. Słońce wkrótce ogrzeje chłodne powietrze. Rześkość okazała się niczym w porównaniu z przenikliwym zimnem, które poznał na froncie wschodnim. Przypomniał sobie, co Oppenheimer powiedział w miejscu znalezienia zwłok. Przez ostatnie dni wnikliwie obserwował byłego komisarza, by się od niego czegoś nauczyć. Teraz próbował przełożyć uzyskaną wiedzę na praktykę. Zaczął od tego, że poszukał zbieżności między Oberschöneweide a Marienfelde. W obu miejscach był pomnik, przy którym rosło kilka drzew i znajdował się kościół.

Zarówno w Oberschöneweide, jak i w Marienfelde pod pomnikiem znaleziono zamordowaną kobietę.

Vogler przystanął obok klinowatego krańca zielonej murawy, przy którym rozwidlała się ulica. Uważnie badał wzrokiem otoczenie, potem zerknął na zegarek. Wpół do ósmej. Niemal o tej samej porze, parę miesięcy wcześniej, znaleziono tu trupa. Do kościoła ściągało coraz więcej wiernych. Oppenheimer powiedział, że aparat fotograficzny nie wyłapuje wszystkiego. Vogler byłby rad, gdyby w Marienfelde w ogóle ktoś zrobił jakieś zdjęcia. Wtedy jednak nikt nie powiadomił SS, co być może

tłumaczyło, dlaczego niemal nikt nie zadał sobie większego trudu, by wyjaśnić sprawę tej śmierci.

„Naszym drogim poległym na wojnie” – głosił napis na wznoszącym się przed nim kamiennym monstrum. Po bokach obelisku wyryto niezliczone nazwiska, posegregowane latami. Monument był osłonięty przez wysoki na trzy metry szpaler krzewów, zaś bezpośrednio za nim znajdowała się sadzawka. Kilkaset metrów dalej stał prosty budynek kościoła, którego surowe kamienne mury sprawiały wrażenie bardzo średniowiecznych. Jedyną inną budowlę przewyższającą niewysokie domy dostrzegł po przeciwległej stronie ulicy. Liczyła trzy piętra i wyróżniała się niesłychanym luksusem – kamiennym balkonem. Choć przypominała spory budynek mieszkalny z przełomu wieków, na jej parterze rozlokował się sklep mięsny. Vogler pochodził z Hunsrück, ale Marienfelde w jakiś sposób przypominało mu jego rodzinną miejscowość. Tutaj też wyczuwał ową szczególną małomiasteczkową atmosferę, nieodmiennie wywołującą u niego przygnębienie.

Westchnął z rezygnacją, uświadomiwszy sobie, jak bardzo odpłynął myślami od tematu. Rejestrował wprawdzie otoczenie, ale nie miał bladego pojęcia, jakie wyciągnąć z tego wnioski. Przywiodła go tu intuicja. Choć posiadał niewiele konkretnych wskazówek, był niemal pewien, że obie sprawy są ze sobą powiązane. Ale jego postanowienie, by nie zdradzać tej informacji Oppenheimerowi, pozostawało niezachwiane.

Uważał, że lepiej nie wtajemniczać we wszystko autorytetów. Tyle że Oppenheimer, jako Żyd, już dawno przestał cieszyć się jakimkolwiek autorytetem. Właśnie dlatego wybrał go spośród innych komisarzy. Fakt, że trzymał w ręku jego los, stanowił jednocześnie gwarancję kontroli nad byłym policjantem.

Zapalił papierosa. Wiedział, że nic tu po nim, a jednak ciężko mu było opuścić to miejsce. Że też akurat tutaj odzyskał wreszcie spokój, którego tak bardzo brakowało mu w ostatnich latach.

Przyszło mu do głowy pytanie, czy Oppenheimer przypomina mu w czymś ojca, sztywnego nauczyciela łaciny, który terroryzował całą rodzinę i niezwykle serio traktował samego siebie. Wiele lat temu Vogler senior podniósł wielki raban, kiedy jego latorośl wstąpiła w szeregi Deutsches Jungvolk. W swym zacietrzewieniu nalegał, by syn porzucił organizację. Ale ten odwrócił kota ogonem i doniósł na ojca do miejscowej

sekcji SA. Przyszli kilka dni później i na jedną noc osadzili starego w areszcie.

Podziałało.

Kiedy następnego ranka ojciec wyszedł na wolność, na zawsze stał się innym człowiekiem. Ludzie z SA zmusili go do wypicia oleju rycynowego, wskutek czego był uwalany własnym kałem. Ten jego rodzic, który tak wielką wagę przywiązywał do umysłu, musiał się boleśnie przekonać, że posiadał również ciało. Po latach Vogler zrozumiał, że było to być może najgorsze upokorzenie, jakie można zadać własnemu ojcu. Niegdysiejszy patriarcha stał się po tym cieniem samego siebie. Już nigdy więcej nie ośmielił się skarcić syna. Dudniący bas, jakże często rozbrzmiewający w całym domu, umilkł na zawsze. Vogler złamał ojca i po raz pierwszy zaznał oszałamiającego uczucia władzy.

Narodowy socjalizm dał mu wiele okazji, aby przeżyć ten rausz na nowo. Vogler wziął sobie do serca ideały ruchu i wstąpił do SS. Mimo że czasem podpadał przełożonym, nie zaszkodziło to jego karierze. Nikt nie mógł bowiem zaprzeczyć, że był urodzonym wojownikiem, co być może wynikało również z tego, że przez całe życie właśnie do walki przysposabiały go organizacje partyjne. Wprawdzie nie zabłysnął na froncie jako bohater, ale zawsze dostarczał spodziewanych rezultatów, bo dążąc do celu, nie cofał się przed skrajną brutalnością. Vogler niszczył życia, okaleczał ciała. Ale uważał, że jego motywacja usprawiedliwia bezwzględność. W walce wyróżniał się zimną krwią, awans gonił awans. Mimo wszystko nie spodziewał się, że jego przełożeni uznają, iż tak dobrze wykonuje swe obowiązki, by oddelegować go do Berlina, do sztabu dowodzenia.

Vogler był zbyt skonsternowany bieżącą sytuacją, by czuć się zaszczycony. Poza frontem znajdował się na nieznanym terenie. Kiedy przybył do stolicy Rzeszy, cieszył się z nowych wyzwań. Niedługo potem przyszło pierwsze rozczarowanie. Tuż po przyjeździe dano mu do wyjaśnienia sprawę tego idiotycznego morderstwa, zamiast powierzyć ważniejsze zadania. By pogłębić jeszcze jego poniżenie, nakazano mu współpracować z tym wszarzem Graeterem. W walce Vogler czuł, że żyje, ale tu, na froncie domowym, miał wrażenie, że jest zbędny. Co gorsza, zmitrężyli już z Graeterem trzy miesiące, nie osiągnąwszy żadnych rezultatów. Im dłużej to trwało, tym większy wywierano na niego nacisk.

Włączenie do sprawy Oppenheimera było aktem desperacji, ostatnią deską ratunku.

Zgnębiony, jeszcze raz skierował wzrok na sklep mięsny. Nad oknami na pierwszym piętrze w charakterze ozdobnika umieszczono na ścianie kamienne twarze, wpatrzone nieruchomo w miejsce, gdzie znaleziono trupa. Vogler zastanawiał się, co zobaczyły tamtej nocy.

Tymczasem niemal wszyscy mieszkańcy wsi znaleźli się już pod kościołem. Wkrótce miało sie zacząć poranne nabożeństwo. Vogler łowił zaciekawione spojrzenia. Sporadycznie jakiś przechodzień unosił rękę w hitlerowskim pozdrowieniu, ale on czuł, że od normalności dzieli go nieprzekraczalna przepaść. Zbyt wiele widział w życiu, by móc czerpać radość z tej wiejskiej sielanki. Ostatnie lata spędził niemal wyłącznie za granicą. Ale obraz ojczyzny, jaki tam sobie wyrobił, nie odpowiadał rzeczywistości. Jego towarzysze narodowi nie mieli w sobie ani krzty heroizmu. W jego oczach byli otępiałymi indywiduami, zaprzątniętymi wyłącznie własnymi błahymi sprawami, wiodącymi nic nieznaczące życie. Czy naprawdę za nich walczył? Za tych starych mężczyzn z zapadłymi policzkami, za kobiety, których spódnice zwisały na wychudzonych biodrach? Kiedy zadawał sobie pytanie, co różni dumną germańską rasę od złamanych postaci, jakie widział w Polsce i w Rosji, narastał w nim niepokój. W ostatnich miesiącach zaaplikowano mu zbyt dużą dawkę rzeczywistości. Wiedział, że długo nie wytrzyma w ojczyźnie.

Tej niedzieli Oppenheimer, składając Hilde cotygodniową wizytę, zdecydował się pójść wzdłuż Potsdamer Straße. Od ostatniego spotkania z Voglerem stał się ostrożny. Za każdym razem, kiedy szedł do przyjaciółki, wybierał inną trasę, godząc się na to, że nadkłada spory kawałek drogi. To była stara sztuczka, dzięki której upewniał się, że nie jest śledzony. Poprzednim razem psia pogoda sprawiła, że prawie się zmuszał do tych taktycznych forteli. Teraz jednak, kiedy przestało padać, a chłód nie wślizgiwał się już pod nogawki spodni, rozkoszował się przechadzką i przyjemnym powietrzem. Nie potrafił sobie wyobrazić większego kontrastu z zatęchłą ciasnotą *Judenhausu*. Mijał kwitnące maki, zdobiące łąki jaskrawoczerwonymi kleksami, podziwiał krzewy bzu, które nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pokryły się białymi cętkami. Był

niemal pewien, że nikt za nim nie idzie. Ale miało się to zmienić, i to akurat tego spokojnego wiosennego dnia.

Skręcił właśnie w Kolonnenstraße, kiedy coś zauważył. W pierwszej chwili nie potrafił dokładnie powiedzieć, co to było, ale kiedy się zatrzymał, udając, że musi zawiązać sznurowadło, kątem oka dostrzegł jakąś postać, która również przystanęła, by ostentacyjnie sprawdzić godzinę na kieszonkowym zegarku. Na pierwszy rzut oka był to tylko niepozorny mężczyzna w letnim kapeluszu. Oppenheimer zdjął marynarkę i nieśpiesznie otarł chustką pot na karku. Obok niego w kierunku stacji kolejki przesuwały się sznury wycieczkowiczów, mijały go całe rodziny, a także grupka rozchichotanych dziewcząt z BDM w obligatoryjnych granatowych spódniczkach, białych bluzkach i czarnych chustach na szyi, powracających zapewne ze szkolenia światopoglądowego i wciąż rozradowanych, że udało im się wymknąć spod opieki rodziców w tak piękny słoneczny dzień. Tylko mężczyzna w letnim kapeluszu stał nieporuszenie. Był jedynym, który nie uczestniczył w tym pośpiechu.

Może się mylił. Postanowił to sprawdzić. Zamiast przekroczyć Kolonnenstraße, zboczył z chodnika i zagłębił się w chaszcze. Do torów było tylko kilka metrów. Przebijając się przez oporne zarośla, zsunął się z nasypu i przeklął zniszczone zelówki butów. Upewniwszy się, że nie jedzie pociąg, przebiegł przez tory i skierował się prosto ku nasypowi po drugiej stronie. Stwierdził przy tym, że mocno wyszedł z wprawy. Już po paru krokach się zasapał, a kiedy zerknął za siebie, czepiając się gałęzi i wspinając po skarpie, przekonał się, że podążający za nim mężczyzna wcale nie jest w lepszej formie.

Ten potykał się właśnie na torowisku i klął cicho pod nosem. A więc jednak Oppenheimer się nie mylił. Zamiast napawać się triumfem, że z taką łatwością zdemaskował śledzącego, zebrał siły i w pocie czoła wspinał się dalej po pochyłości.

Jego celem był szary betonowy blok, górujący nad otoczeniem. Kiedy zobaczył ten obiekt po raz pierwszy, sądził, że to naziemny schron albo zbiornik na wodę. Dopiero Hilde uświadomiła mu, że ten niepozorny kloc postawił sam Albert Speer. Niedaleko stąd miał zostać wzniesiony gigantyczny łuk triumfalny, ale statycy zgłosili wątpliwości, czy berliński grunt zdoła unieść tak monumentalne budowle, jakie roił sobie Führer.

Wylano więc wiele metrów sześciennych betonu i zbudowano ten oto blok w celu sprawdzenia, jak głęboko się zapadnie.

Oppenheimer najszybciej jak się dało przekroczył General-Pape-Straße i skierował się prosto ku cylindrowi z litego betonu. Otaczający go sztachetowy płot stanowił znakomitą kryjówkę. Pobiegł wzdłuż niego, aż dotarł do miejsca, skąd mógł zza sztachet obserwować przeciwległy nasyp.

Nie musiał długo czekać na pojawienie się mężczyzny w kapeluszu. Rozglądał się wokół. Potem zdyszany zdjął nakrycie głowy i otarł błyszczące czoło. Miał około trzydziestki i był szczupły, mimo to koszula opinała mu się na brzuchu. Na pewno doskonale nadawał się na dyskretnego obserwatora. Teraz wodził wzrokiem wzdłuż General-Pape-Straße.

Jego uwagę przyciągnął betonowy kloc. Oppenheimer cofnął się wystraszony i wstrzymał oddech, nasłuchując z wysiłkiem. Usłyszał zbliżające się niepewne kroki. Czy tamten go zauważył? Chciał go wypłoszyć z kryjówki? Na czoło wystąpił mu pot. Zaczął się powoli wycofywać, starając się nie robić hałasu. Gorączkowo rozglądał się wokół, szukał wyjścia.

Rozległ się trzask. Oppenheimer drgnął.

Dwie poluzowane sztachety wisiały na jednym gwoździu. Niewiele myśląc, odsunął deski i przecisnął się przez otwór. Podstawa wyrastającego przed nim betonowego cylindra była nieco węższa, żeby zwiększyć obciążenie na podłoże. Powstała w ten sposób nisza miała taką wysokość, że z jej cienia można było obserwować otoczenie, samemu pozostając niewidocznym.

Wszedł do niszy i odetchnął. Prędko uświadomił sobie jednak, że schronienie, które znalazł, jest iluzoryczne. Nie miał pewności, że w płocie nie ma więcej przejść. Jeśli śledzący go mężczyzna wpadnie na pomysł, by zajrzeć do niszy, Oppenheimer znajdzie się w pułapce.

Ostrożnie cofnął się o parę kroków, aż natrafił plecami na obłą podstawę cylindra. Skądś dobiegało coraz głośniejsze sapanie. Mężczyzna w kapeluszu skradał się powoli, bezskutecznie usiłując uspokoić oddech. W końcu przystanął i zaczął filować nad płotem. Potem chrząknął z niezadowoleniem i wyciągnął szyję. Najwyraźniej zastanawiał się, czy można było wdrapać się na cylinder.

Obszedł betonową budowlę dokoła i w końcu zrezygnował. Z ociąganiem wrócił na ścieżkę, po czym wyszedł z powrotem na ulicę.

Kiedy się oddalił, Oppenheimer się odprężył. Wiedział, że tym razem on jest górą.

– Słyszałeś najnowsze wieści o panu Contim?

Oppenheimer ledwie zdążył zdjąć kapelusz, a Hilde już zaskoczyła go pytaniem.

– Conti? – powtórzył, próżno szukając w pamięci nazwiska. – Obawiam się, że nic mi to nie mówi.

– Tak, Conti, Leonardo Conti, ten bydlak. Nasz minister zdrowia. Wyobraź sobie, że zażądał od matek maksymalnej wydajności rodzenia, aby mężowie mogli w spokoju iść na front. Bo przecież każdy z ochotą da się zaszlachtować, wiedząc, że w domu czeka dziatwa.

– To kwestia priorytetów – odpowiedział osowiale Oppenheimer.

Hilde jak zawsze zasypała go najświeższymi wiadomościami, które – jako kryminalistka we własnych czterech ścianach łamiąca rozporządzenie o zakazie słuchania zagranicznych radiostacji – zaczerpnęła z radia BBC. We Włoszech rozpoczęła się ofensywa aliantów. Inne wieści też nie prezentowały się dla narodowosocjalistycznej gwardii różowo. W wyniku nalotów w osiemdziesięciu procentach zostały zniszczone zakłady Leuna. Spłonął także skład benzyny.

– Próbowali uzyskać surowce z frontu wschodniego – zakończyła raport. – Nie udało się, więc jadą na ostatniej rezerwie.

Oppenheimer słuchał jednym uchem, zajęty myszkowaniem w kolekcji płyt. Wybór padł na pierwszą z brzegu symfonię Mozarta. Czuł, że to właściwy moment na szemrzącą leniwie kompozycję, pozwalającą się odprężyć. W momentach herezji zdarzało mu się myśleć, że muzykę osiemnastego wieku tworzono wyłącznie w tym celu. Dopiero pod koniec tego stulecia pojawili się młodzi zapaleńcy tacy jak Beethoven, którzy swymi utworami wymagali od słuchaczy większej uwagi.

W przeciwieństwie do wielu miłośników muzyki Oppenheimer nigdy nie darzył Mozarta wielką miłością. Owszem, jego opery były interesujące, ale jeśli chodzi o symfonie, to z trudem je od siebie odróżniał. Nagrania symfonii *Praskiej* i *Jowiszowej* miał właściwie tylko po to, aby skompletować kolekcję. Nadal jednak wzbraniał się przed słuchaniem

niesławnej serenady nr 13 G-dur KV 525, nazywanej powszechnie *Eine kleine Nachtmusik*, którą uważał za banalną. Mimo popularności Mozarta od dawna dziwił się, że jeszcze żaden nazistowski autorytet nie wpadł na pomysł, by zaklasyfikować jego muzykę jako zdegenerowaną. W końcu jako mason kompozytor należał do tej grupy, której Hitler nienawidził tak samo jak Żydów i komunistów. Tak rozmyślając, Oppenheimer opuścił igłę na rowek czarnej płyty.

– Domyślam się, że poniedziałek przetrwaliście bez szwanku? – zapytała Hilde.

W pierwszym momencie nie wiedział, co miała na myśli, aż przypomniał sobie dzienny nalot. W ostatnim czasie było tak wiele ataków, że wszystkie zlewały mu się w jedno.

– Lisa na szczęście była w pracy, kiedy nastąpił atak. Mają tam dobry bunkier. Nasz dom nadal stoi, choć tak naprawdę chyba nikt nie żałowałby tej budy. – Zmienił temat. – Nie zapytałaś, jak dochodzenie.

– Chcesz przez to powiedzieć, że coś drgnęło?

– W każdym razie jestem od niedawna śledzony.

Hilde wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami.

– Od kiedy o tym wiesz?

– Ustaliłem to przed paroma minutami.

Opowiedział jej o incydencie, a potem zrelacjonował rozwój wydarzeń w sprawie morderstwa. Kiedy opisał jej osiedle, na którym mieściło się jego biuro, z zaskoczenia zachłysnęła się sznapsem. Z poczerwieniałą twarzą, kaszląc, chwytała łapczywie powietrze, wreszcie wykrztusiła z siebie parę urwanych słów, których nie zdołał rozszyfrować.

– Już dobrze? – zapytał, gdy zaczęła normalnie oddychać.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie, gdzie byłeś?

– Gdzieś w Zehlendorfie.

– No właśnie. Do kurwy nędzy! Dobrze, może to jeszcze nie jest jaskinia lwa, ale blisko.

Popatrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Z tego, co mówisz, całkiem miła okolica, ładne domki i tak dalej. – Parsknęła pogardliwie. – W dodatku jest tam miłe sąsiedztwo. Sami lojalni towarzysze partyjni. Ty ciemniaku bez pojęcia! Nigdy nie słyszałeś o osiedlu funkcjonariuszy w Zehlendorfie? Gdziekolwiek byś spojrzał, wszędzie członkowie SS. Na łonie rodziny urzeczywistniają tam swe

najśmielsze drobnomieszczańskie marzenia. Jeśli o mnie chodzi, nawet palcem bym dla nich nie kiwnęła.

– Wiem, wiem. – Westchnął. – Tylko mi powiedz, czy mam jakiś wybór.

– W każdym razie nie wygląda na to, byś mógł dalej grać na zwłokę, łażąc po cmentarzach.

– Przynajmniej wciąż uwzględniają mnie w swoich planach – uspokajał sam siebie. – W przeciwnym razie nie kazaliby mi przyjeżdżać w poniedziałek.

– Tak czy siak, ten świński ryj… jak mu tam? Vogler? Ten Vogler najwyraźniej zalicza cię do grona z dostępem do tajemnic państwowych. Nie dziwię się, że masz na karku eskortę. Powiedz, czy w protokole z obdukcji było coś niezwykłego?

– A owszem. Liczba obrażeń. Zauważyłem to już podczas oględzin miejsca, w którym porzucono zwłoki. Nie potrafię znaleźć na to wytłumaczenia.

– Spróbujmy odtworzyć przebieg zbrodni. Sprawca najpierw wbija ofierze gwoździe w głowę. To mi wygląda na jakiegoś sadystę. Powstaje pytanie, dlaczego dodatkowo okalecza kobietę po tym, jak ją zabija.

– Taaa, a na koniec umieszcza denatkę na publicznym placu, gdzie ktoś musi ją znaleźć. – Hilde chciała coś powiedzieć, ale przerwał jej gestem. – Wiem. On oczywiście chciał, aby została znaleziona. To jedyne możliwe wyjaśnienie. Hm, kiedy tak nad tym myślę, cokół, rozłożone nogi… Odnoszę wrażenie, że on w jakiś sposób… – szukał odpowiedniego słowa – …zainscenizował to wszystko.

– Jakie mógłby mieć powody, by nie pozbywać się zwłok bez śladu, tylko wyeksponować je w sposób szczególnie zwracający uwagę?

Oppenheimer myślał intensywnie. Po chwili zaśmiał się z zakłopotaniem. Już zanim wypowiedział swoją hipotezę, wiedział, że jest błędna.

– Najprostsze rozwiązanie jest takie, że to superego mordercy broni się przed zbrodnią. Sprawca chce być ujęty, aby ktoś powstrzymał go przed dalszym zabijaniem.

– Ach, przestań wygadywać pierdoły!

– Czekałem na taką reakcję – odparł z szerokim uśmiechem. – Ale już samo to, że ułożył ciało w szczególny sposób, sugeruje, że chce coś zakomunikować.

– Jest tylko jedno ale – zakwestionowała Hilde. – Jeśli ktoś chce coś zakomunikować, musi mieć adresata. To przypadek, że ciało znalazł akurat strażnik ochrony przeciwlotniczej. Równie dobrze mógł to być ktoś inny. Kto przybył na miejsce potem?

– Służba bezpieczeństwa, SS, kripo, a na końcu ja – odparł.

Hilde namyślała się intensywnie.

– Czy to możliwe, że on chce zakomunikować coś wam? Śledczym?

Oppenheimer ściągnął brwi. Ta idea była niepokojąca, zakładała bowiem istnienie bezpośredniego powiązania między nim a sprawcą.

– Owszem – zgodził się. – Jeśli się nad tym zastanowić, jest to możliwe.

– Wiesz, co pomyślałam w pierwszej chwili, kiedy opisałeś miejsce znalezienia tej kobiety? Że to nie Großmann. On okaleczał zwłoki, żeby nie dało się ich zidentyfikować, żeby łatwiej było się ich pozbyć. Tu jest inaczej.

– Wiem. – Skinął głową. – Był jeszcze Kürten. Pomyślałem o tym samym. Ale analogie w którymś momencie się kończą.

– Może i tak. Więc co wyróżniało wampira z Düsseldorfu? Kürten mordował ofiary, sztyletując je. Nasza denatka została zabita za pomocą noża.

Potwierdził skinieniem głowy.

– Kürten pił krew swych ofiar i wykorzystywał je seksualnie – mruknął. – Ani jednego, ani drugiego nie da się tutaj potwierdzić w sposób jednoznaczny. Kürten nie ukrywał swych ofiar, po prostu zostawiał je w miejscu morderstwa. Chciał się prędko oddalić i nie zaprzątał sobie głowy tym, czy trup zostanie znaleziony. To by była pierwsza różnica. W przypadku naszego zabójcy miejsce zbrodni i miejsce znalezienia ofiary nie są identyczne.

– Czy są już jakieś wskazówki, gdzie należy szukać miejsca zbrodni? – zapytała Hilde.

– Z tego, co wiem, nadal błądzą w ciemności.

Hilde z namysłem zapatrzyła się w kieliszek.

– Kolejna różnica to oczywiście obrażenia. Rany spowodowane przez Kürtena były bezpośrednio powiązane z zabijaniem lub zaspokajaniem popędu płciowego. Ciosy nożem, uderzenia w głowę, pęknięte lub zmasakrowane pochwy. Ale cięć dokonywał po amatorsku. Właściwie facet był tylko kiepskim nożownikiem, niewartym zapamiętania.

– Jego ofiary tak nie myślały – zauważył z naganą Oppenheimer. – Ale masz rację, rany cięte to druga różnica. Kürten okaleczał swoje ofiary głównie nożem. Kiedy podrzynał gardła, za każdym razem robił to inaczej. W naszym przypadku cięcia są czyste i precyzyjne. Na bazie tego spostrzeżenia można już pracować. Kto, oprócz lekarza, wchodzi w rachubę? Hm. Rzeźnik, to jasne. To najbliższe, co się nasuwa.

– To nas sprowadza z powrotem do Hartmanna i Großmanna. Obaj pracowali jako rzeźnicy. Większość wielokrotnych morderców stosowała wcześniej przemoc wobec zwierząt albo była podpalaczami. W przypadku wielu z nich zgadza się i jedno, i drugie.

Oppenheimer znieruchomiał. Przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Czy zastanawiałaś się już nad tym, ilu potencjalnych przestępców seksualnych chodzi po świecie?

– Może to cena, jaką musimy płacić za to, że na naszych talerzach lądują sznycle.

– Kiedy musiałem protokołować przesłuchania Großmanna, przez dziesięć miesięcy nie jadłem wędlin – przypomniał sobie. – Nadal za nimi nie przepadam.

– W takim razie doskonale pasujesz do naszego wojennego społeczeństwa. Wędliny pojawią się dopiero po ostatecznym zwycięstwie. Dopóki to nie nastąpi, muszą wystarczyć ziemniaki i rzepa. – Zachichotała wesoło, ale niemal natychmiast spoważniała.

– Masz jakiś pomysł? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała powoli. – Tylko pomyślałam o Kürtenie. Pamiętasz, co się działo, kiedy w okolicach Düsseldorfu znajdowali wszędzie nagie zwłoki dzieci i kobiet? Wybuchła ogólna panika. A kiedy parę lat temu u nas, w Lichtenbergu morderca grasował na stacjach kolejki, było naprawdę gorąco, a przecież ludziom nie latały jeszcze bomby nad głowami.

– Nic dziwnego, że tym razem od razu włączyła się SS. – Oppenheimer skinął głową. – Nie wiadomo, jak ludzie zareagują, kiedy dowiedzą się o takim mordzie.

– Zauważyłeś, że żyjemy w kraju uśmiechu? Nie? To musisz kiedyś posłuchać propagandy. W zdrowym społeczeństwie nie może istnieć coś takiego jak przestępczość. Wszystko pięknie, ładnie. Prasie można zatkać

usta, ale wobec pogłosek partia jest bezsilna. To może być kropla, która przeleje czarę.

– Chwileczkę, nic nie wskazuje na to, że mamy tu wielokrotnego mordercę, w przeciwnym razie pojawiłoby się więcej trupów. Co oczywiście nie zmienia faktu, że bardzo pomógłbym reżimowi, ujmując mordercę. – Westchnął ciężko.

– Z tego, co widzę, już się z tego nie wykręcisz. – Hilda wzruszyła ramionami. – Pozostałoby ci tylko jedno wyjście: opuścić Niemcy. Ale musiałbyś się nazywać co najmniej Harry Piel albo jeszcze lepiej Houdini. Granice są szczelne. A co dopiero teraz, kiedy jesteśmy o krok od inwazji.

– Najpierw trzeba wyjaśnić morderstwo – zaoponował.

– Jakie to do ciebie podobne, pracusiu. – Uśmiechnęła się.

Oppenheimer pomyślał chwilę, po czym oświadczył:

– Nie. Sądzę, że porównanie do Großmanna i jemu podobnych nie na wiele nam się zda.

Podszedł do gramofonu i podniósł ramię urządzenia. *Presto* symfonii *Praskiej* urwało się w pół tonu. Ostrożnie wsunął płytę do koperty, a potem odłożył ją na miejsce.

– Chyba już pójdę. Zrobiło się późno.

Hilde jak zwykle dała mu papierosy, a potem spytała:

– Co teraz zrobimy? Będziesz dalej przychodził, mimo że jesteś obserwowany?

– Daj mi parę dni. Coś wymyślę, podsunę jakiś fałszywy trop. Żeby nie zaczęli niczego podejrzewać. W najbliższą niedzielę przyjdę z nowymi rezultatami śledztwa. Możesz na to liczyć. Wiesz, jak tak teraz myślę, to może rzeczywiście zdołalibyśmy razem rozwiązać tę sprawę.

Spojrzał na papierosy w ręku. Wzdychając tęsknie, ułożył je ostrożnie w papierośnicy i zamknął wieczko. Nadszedł czas, by ponieść ofiarę.

8

poniedziałek, 15 maja 1944 – wtorek, 16 maja 1944

Inge Friedrichsen zamieszkiwała pokoik na mansardzie. Kiedy Oppenheimer oglądał pomieszczenie, pani Korber stała w drzwiach. Czuł, że gospodyni czujnie śledzi każdy jego ruch. Ponieważ rezolutna jejmość najwyraźniej nie zamierzała odstępować go na krok, równie dobrze mógł przepytać ją od razu.

– Kto pierwotnie zamieszkiwał ten pokój?

– Mój bratanek – odparła. – Theo. Jest na froncie, więc pomyślałam, że na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, abym do ostatecznego zwycięstwa wynajmowała jego pokój.

Nie umknęło jego uwadze, z jaką pewnością kobieta wypowiadała słowa „ostateczne zwycięstwo”. Nie pobrzmiewała w nich nawet najmniejsza nutka ironii. Pani Korber wierzyła w wygraną, jak wierzy się w prawa natury. Oppenheimer spodziewał się czegoś podobnego od momentu, gdy spostrzegł w kącie salonu ołtarzyk z kunsztownie oprawionym egzemplarzem *Mein Kampf* i reprodukcją obrazu przedstawiającego Adolfa Hitlera w lśniącej rycerskiej zbroi. Mimo wszystko uznał za mało prawdopodobne, by pani Korber kiedykolwiek przeczytała książkę Hitlera. Nawet pośród stuprocentowych nazistów niewielu było takich, którzy dobrowolnie zrobiliby sobie coś takiego. Dzieło to, jak zakurzoną rodzinną Biblię, należało zaliczyć raczej do dewocjonaliów służących do afiszowania się z poglądami niż do lektur pochłanianych ku pokrzepieniu serc.

Oppenheimer wodził wzrokiem po pokoju Inge Friedrichsen, zdominowanym przez skośny strop. Mimo że w wykuszu znajdowało się okno, światło dnia z trudem rozświetlało pomieszczenie.

– Pani pozwoli? – zapytał i nacisnął włącznik.

Naga żarówka wypłoszyła cienie. W pokoju nie było nic oprócz łóżka, ogromnej szafy, krzesła i nocnego stolika. Niewiele wskazywało na to, że

zamieszkiwała go kobieta. Wnętrze urządzono praktycznie, jedyną dekorację stanowiły dwie oprawione w ramki fotografie na ścianie. Pierwsza przedstawiała młodego mężczyznę w mundurze. Na drugiej ten sam mężczyzna siedział w towarzystwie przyjaciół i wznosił toast w stronę aparatu.

– Bratanek? – zapytał Oppenheimer, wskazując na zdjęcia.

Pani Korber potwierdziła skinieniem głowy.

– Wybiera się do akademii lotniczej. Potrzebne mu będzie doświadczenie na froncie, żeby się ubiegać o przyjęcie.

– Gdzie panna Friedrichsen trzymała swoje rzeczy?

– Miała do dyspozycji prawą połowę szafy i nocny stolik.

Oppenheimer otworzył drzwi szafy i przyjrzał się jej zawartości. Nie było tego dużo, zaledwie dwie pary butów, trzy bluzki, najwyraźniej już przerabiane, a także ciężka jesionka, kupiona pewnie przed wejściem w życie rozporządzenia o przędziwach.

– Od kiedy tu mieszkała?

Pani Korber zastanawiała się chwilę.

– Będzie jakieś dziesięć miesięcy. Wprowadziła się chyba w lipcu poprzedniego roku.

– Skąd przyjechała? Miała jakichś znajomych albo krewnych w Berlinie?

– Krewnych chyba nie miała. Przynajmniej nic o nich nie wspominała. Pochodziła spod Hanoweru. Wychodziła gdzieś wieczorami, chociaż powtarzałam jej, że niezamężnej kobiecie to nie uchodzi. I tyle jej z tego przyszło.

– O której opuściła w piątek mieszkanie? – Usiadł na łóżku i zaczął przeszukiwać nocny stolik.

– Zaraz z rana. Później już się nie pojawiła. W weekendy często tak robiła, mówiła, że jest u przyjaciółki. Kto chce, niech wierzy…

– Czyli potem pani nie widziała już panny Friedrichsen?

– Dopiero gdy już nie żyła.

Zmierzył ją ostrym spojrzeniem, ale potem przypomniał sobie słowa asystenta w kostnicy.

– Ma pani na myśli identyfikację zwłok?

Kobieta przełknęła ślinę i skinęła głową.

– Gdzie pracowała panna Friedrichsen?

– O ile wiem, u handlarza wódką. Ücker się nazywał, czy jakoś tak.

– Ücker? Pierwsze słyszę. No cóż, moi koledzy to ustalą.

Ludzie Voglera już w sobotę rzucili okiem na mieszkanie Inge Friedrichsen. Oppenheimer chciał jednak sam zobaczyć pokój, żeby się upewnić, czy niczego nie przeoczyli. Na stoliku nocnym stała pusta miednica, obok niej zobaczył budzik. W szufladzie znalazł kilka broszurek z repertuarem, jakie jeszcze niedawno można było kupić w każdym kinie. Przewertował obojętnie stosik. Na samej górze leżała ulotka do filmu *Immensee* z Carlem Raddatzem i Kristiną Söderbaum, nazywaną przez miłośników kina „naczelną topielicą Rzeszy", nader chętnie wcielała się bowiem w role tragicznych bohaterek, które na końcu nieodmiennie znajdowały mokrą śmierć. Pod spodem leżały broszury z *Powierzam ci moją żonę* z ulubieńcem publiczności Heinzem Rühmannem w roli głównej, *Melodią wielkiego miasta* z Wernerem Hinzem i Hilde Krahl, a jeszcze niżej wiele innych, których Oppenheimer już nie kartkował. Chociaż większość tych filmów była stosunkowo nowa, fotosy z nich sprawiały wrażenie znalezisk archeologicznych z zamierzchłych czasów, radosnych i beztroskich, niemających nic wspólnego z rzeczywistością. Pośród wizerunków wszystkich tych pięknych, pogodnych ludzi natknął się na teczkę. Kiedy ją otworzył, ujrzał twarz Inge Friedrichsen.

Widok fotografii ludzi widzianych uprzednio wyłącznie jako martwe powłoki mógł szokować. Zdjęcia sprawiały, że przestawali być anonimowymi zmarłymi, a stawali się osobami, i odtąd nie dało się traktować ich jako czegoś abstrakcyjnego. Dopiero teraz dotarł do niego cały tragizm tego morderstwa.

Inge Friedrichsen nie zwracała uwagi na aparat, tylko spoglądała z uśmiechem na niemowlę, mogące mieć zaledwie parę dni. Promieniowała dumą i niedowierzaniem nad cudem, który spoczywał w jej ramionach. Oppenheimer już parę razy w życiu widział taki wyraz twarzy. Nie dało się go pomylić z niczym innym. Widział go też u Lisy przez pierwsze dni po przyjściu na świat ich córeczki. Inge Friedrichsen musiała być matką tego dziecka.

– Gdzie dziecko? – zapytał.

Pani Korber wyraźnie nie zrozumiała.

– Co pan ma na myśli? – wyjąkała.

– Dziecko pani Friedrichsen. Gdzie ono jest?

– No wie pan! – zawołała oburzona. – Ona nie była mężatką! Nie mogła mieć dziecka. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Gdyby mi powiedziała coś takiego, nie pozwoliłabym jej się tu wprowadzić! To porządny dom!

Oppenheimer patrzył na Inge Friedrichsen w zupełnie nowy sposób. Nagle stała się dla niego kobietą z przeszłością – i z tajemnicą.

Kiedy wyszedł z domu pani Korber, Hoffmann już na niego czekał. Na jego widok esesman usiadł wyczekująco na siodełku motocykla, gotów do szalonej jazdy z przeszkodami po parkurze, w jaki zamieniły się ulice Berlina. Oppenheimer niechętnie obrzucił wzrokiem boczny wózek i się zawahał. Było dopiero południe, ale bez adresu handlarza wódką, u którego pracowała Inge Friedrichsen, niewiele mógł zdziałać. Poza tym miał do załatwienia jedną pilną sprawę, o jakiej SS nie powinno było wiedzieć.

– Dziękuję, dziś już nie będę pana potrzebował – zwrócił się do Hoffmanna. I dodał wspaniałomyślnie: – Niech pan spędzi resztę dnia w jakiś miły sposób. Widzimy się jutro rano.

Hoffmann bez słowa popatrzył na niego przez motocyklowe okulary, dotknął na pożegnanie pilotki i uruchomił silnik. „Tego się nie spodziewałeś, prawda?” – pomyślał Oppenheimer, spoglądając za oddalającym się motocyklistą. Był pewien, że Hoffmann – albo któryś z jego kompanów – wkrótce wróci, by podążyć jego śladem. Nie miał czasu do stracenia. Musiał niezauważenie dostać się do Ciężkiego Edego i z nim porozmawiać, inaczej cały plan na nic.

Dziesięć lat temu, kiedy jeszcze służył w policji, wiedziałby, gdzie szukać Edego. Miał nadzieję, że od tamtej pory berliński półświatek Berlina nie zmienił się aż tak bardzo.

Śpiesząc przez Pankow w kierunku Prenzlauer Berg, stwierdził z ulgą, że nie ma problemów z orientacją, chociaż ziejące kratery i zrujnowane domy zmieniły wygląd ulic.

Mała knajpa na rogu, którą zamierzał odwiedzić, jeszcze istniała. Jak zwykle w południe panował tu spory ruch. Oppenheimer dostrzegł wśród klientów wiele nowych twarzy, ale za ladą jak zawsze stał gruby Karlheinz. Jego też czas nie oszczędził. Zniknęły imponujące podkręcone wąsiska, zamiast nich górną wargę zdobił kwadratowy wąsik, spopularyzowany w całej Rzeszy przez ikonę mody – Hitlera. Zniknął również wielki kałdun, który niegdyś dźwigał knajpiarz. Być może zmniejszenie swej objętości

o połowę zawdzięczał racjonowaniu żywności, ale zapadłe policzki wskazywały raczej, że po prostu miał kłopoty z żołądkiem. Karlheinz polerował szklankę do piwa, wodząc wzrokiem po wnętrzu knajpy. Na widok Oppenheimera zastygł na moment.

– Co podać, panie komisarzu? – zapytał, kiedy ten podszedł do lady.

Umyślnie podniósł głos. Na dźwięk słowa „komisarz” jak na komendę dyskretnie ulotniło się z lokalu kilku klientów.

– Muszę pogadać z Edem.

– Ede? Pierwsze słyszę.

Oppenheimer dobrze znał tę szopkę. W kręgach, w których obracali się Karlheinz i Ede, z policją gadało się tylko wtedy, gdy nijak nie dało się tego uniknąć. Nie wiedzieć czemu, tego dnia słowna fanfaronada knajpiarza sprawiała mu przewrotną satysfakcję.

– Nie udawaj większego imbecyla, niż jesteś – warknął w odpowiedzi. – Wiem, że Ede jest tu stałym bywalcem. Powiedz mi, gdzie się zadekował, albo wrócę tu z oddziałem policji i rozniosę tę budę w drzazgi.

Groźba nie zrobiła na Karlheinzu większego wrażenia. Uznał jednak, że zadośćuczynił już niepisanej etykiecie półświatka, nakazującej opór wobec władzy, i przestał się stawiać.

– Ach, może pan komisarz ma na myśli E…edwarda? Tak, chyba żem go już dziś widział. Ale nie mam pojęcia, czy jeszcze jest. – Niespodziewanie wydarł się w głąb lokalu. – He, Paule, sprawdź no, czy jest E…edward?

Blady drągal w oprychówce wstał i popatrzył na niego głupkowato.

– Jaki Edward? – zapytał osłupiały.

– Ruszaj się, mała gadzino! – huknął Karlheinz.

Paule upił porządny haust i zniknął za grubą zasłoną.

– Najlepiej będzie, jak sam sprawdzę – oznajmił Oppenheimer.

Zapowiedziawszy się w ten sposób, wszedł do zadymionej kanciapy za zasłoną. Czterech mężczyzn siedziało przy stoliku, każdy z plikiem kart w ręku. Paule stał obok niezdecydowany, co powinien zrobić.

– Ede? – rzucił Oppenheimer.

Facet o byczym karku podniósł głowę i popatrzył na niego bez wyrazu.

– Czego pan chcesz? – zapytał. – Jeśli przyniosłeś mi wreszcie rentę, to zostaw pan grosiwo na ladzie.

– Wczorajszej nocy w Grunewaldzie napadnięto i obrabowano parę w samochodzie – skłamał Oppenheimer. – Chciałbym zamienić na ten kilka

słów.

– A co ja mam z tym wspólnego? Nie, nie, nie pytaj się pan mnie. Powiedzmy, że się zreformowałem. Ja tam już w machlojkach nie robię.

– Wolałbym sam się o tym przekonać.

– A pocałujże mnie w dupę, człowieku! – odwarknął grubiańsko Ede.

Zanim zdążył podnieść kartę, Oppenheimer brutalnie chwycił go za manatki i sprawnym ruchem pociągnął do góry. Kiedy z rumorem holował łotrzyka do tylnego wyjścia, ten pomstował na cały głos:

– To jest wbrew prawu, co pan robi, panie komisarzu! Wbrew prawu!

Nie minęła chwila, a Oppenheimer znalazł się z przyskrzynionym Edem na podwórzu, gdzie zawlókł go do pierwszych z brzegu piwnicznych stopni.

– Popatrz no pan, stary Oppenheimer – odezwał się Ede poufałym tonem, kiedy już jako tako poprawił kołnierz i rozsiadł się wygodnie na schodach. – A ja już myślałem, że pana dawno powiesili.

Oppenheimer wolał stać, żeby mieć oko na podwórze.

– Jakoś udało mi się uniknąć szubienicy – odparł lakonicznie.

Ede wyjął chustkę i wytarł swoje błyszczące czoło. Dawniej Oppenheimer korzystał czasem z jego usług w charakterze szpicla. Dobrze się rozumieli, choć znali się tylko nieoficjalnie. Ede nigdy go nie kantował. Nawet w sprawach godzących w jego gangsterski honor nie miał skrupułów, żeby sypać kompanów.

– No dobra, jeśli potrzebuje pan informacji, to muszę się szczerze przyznać, że jestem, by tak rzec, na emeryturze.

– Ale z tym jest jak z jazdą na rowerze, tego się nie zapomina, prawda?

Ede, przyłapany, wyszczerzył zęby.

– Już nie pracuję w policji – dodał Oppenheimer. – Przyszedłem, że tak powiem, prywatnie.

Ede zerknął na niego z ciekawością.

– A dalej?

– Potrzebuję pokoju na zmianę.

Ciężki Ede natychmiast załapał.

– Ktoś depcze panu po piętach?

– Powiem wprost: śledzi mnie SS. Od czasu do czasu muszę się pozbyć cienia.

– Uuu. – Ede zmarszczył czoło. – To nie będzie proste, szefuniu. Z SS się nie zadziera. Ma pan przynajmniej trochę szmalcu?

Oppenheimer wyjął papierośnicę i pokazał papierosy, które dostał od Hilde.

– Cztery tygodniowo. Więcej nie da rady.

Ede popatrzył z namysłem w niebo, które z ich perspektywy było niebieskim kwadratem zawieszonym nad głowami.

– Hm, to nawet godziwa gaża. Ale z SS będzie ciężko. Chyba że… – namyślał się – …mamy taki pokój na Moabicie. Wykorzystujemy go jako skład, ale przeważnie stoi pusty.

– Będę przychodził niespodziewanie. Nie mogę się zapowiedzieć.

– Kapuję. Jak tylko obadam sprawę, dostanie pan klucz i adres. Pewnie się da, ale muszę zapytać. Gdzie pana znaleźć, panie komisarzu?

Oppenheimer wyrwał kartkę z notesu i zapisał adres.

– Jestem ci winien przysługę – powiedział na pożegnanie.

– Przypomnę się – zapewnił go Ede.

Oppenheimer w to nie wątpił.

W hali magazynowej hurtowni wyrobów spirytusowych Höcker & Söhne GmbH piętrzyły się zalakowane skrzynki. Znajdował się w nich niezwykle wzięty towar, starannie owinięty w wełnę drzewną. Oppenheimer oszacował w myślach, ile litrów napojów wyskokowych mogło się tu znajdować. Doszedł do wniosku, że wystarczająco, by na parę dni unieszkodliwić całą kompanię wojska. W składzie nie było jednak zapijaczonych żołnierzy; pomiędzy oznakowanymi rzędami regałów uwijał się tylko magazynier nazwiskiem Häffgen. Odkąd lekarz zabronił mu spożywać alkohol, był przymusowym abstynentem. Ta okoliczność ani chybi wpłynęła na decyzję właściciela składu Gerda Höckera, aby powierzyć odpowiedzialne stanowisko zarządcy magazynu właśnie jemu. Bez zgody Häffgena hali nie mogła opuścić nawet kropla trunku. Sądząc po tym, jak podczas obchodu firmy nieufnie mierzył wzrokiem Voglera i Oppenheimera, można by sądzić, że strzegł co najmniej skarbu Nibelungów.

Vogler z samego rana zaserwował nowinę, że Inge Friedrichsen pracowała właśnie tutaj. Przedsiębiorstwo nie było zbyt duże. Höcker zatrudniał w sumie osiem osób, oprócz magazyniera jeszcze czterech kierowców, dwóch pomagierów do przenoszenia skrzynek i sekretarkę. Inge Friedrichsen została przyjęta w lipcu zeszłego roku na stanowisko drugiej

sekretarki. Nigdy się nie spóźniała, obowiązki wykonywała sumiennie, a ponadto była członkinią NSDAP, co w jego oczach dowartościowywało jej godny zaufania charakter. Przedtem pracowała w Klosterheide, maleńkiej wiosce położonej jakieś sześćdziesiąt kilometrów na północ od Berlina. Oppenheimer zastanawiał się, kto na takim odludziu mógł potrzebować sekretarki.

Höcker osobiście oprowadził ich po firmie i przekazał im najważniejsze informacje, po czym Vogler i Oppenheimer postanowili porozmawiać z załogą. Esesman wycofał się w tym celu do osobnego pokoju.

Po jego wyjściu Höcker popatrzył niepewnie na Oppenheimera.

– Oppenheimer… – mruknął. – Znałem kiedyś jednego Oppenheimera. Na wojnie służyliśmy w tym samym regimencie.

Komisarz przypomniał sobie nagle, gdzie już widział przysadzistą sylwetkę Höckera. Momentalnie ożyły wszystkie kiepskie kawały, jakimi tamten zwykł uszczęśliwiać towarzyszy broni.

– Znów się spotykamy, Gerd.

– Richard, stary druhu – ucieszył się Höcker i wielką grabą zmiażdżył mu rękę.

W wojsku nie byli blisko, ale też nie schodzili sobie z drogi. Höcker jednak nie zamierzał niweczyć nostalgicznych wspominków i przejmować się takimi drobiazgami. Uradowany ze spotkania ze starym kamratem, złorzeczył na wiecznie pijanego feldfebla i wypytywał o innych, których nazwiska Oppenheimer słyszał po raz pierwszy w życiu. W końcu zapytał poufale:

– Nie chciałem nic mówić w obecności tego Voglera. Ale o ile wiem, jesteś Żydem, prawda? Jakim cudem pracujesz teraz dla SS?

– Zmieniłem wyznanie.

Było to pierwsze lepsze kłamstwo, jakie przyszło mu do głowy. Nie miał ochoty wyłuszczać zawile, dlaczego zajmuje się tą sprawą. Wiedział, że przejście na chrześcijaństwo niewiele zmieniłoby jego fatalną sytuację. Małżeństwo Bergmannów też musiało mieszkać w *Judenhausie*, chociaż oboje zmienili wyznanie i przyjęli katolicki chrzest. Dobre było przynajmniej to, że jako tak zwani żydowscy chrześcijanie jeszcze nie zostali deportowani. Höcker zadowolił się tą banalną wymówką.

– Bardzo rozsądnie, Richard, bardzo rozsądnie. Nie ma sensu marnować sobie życia, upierając się przy statusie rasowego Żyda, prawda? Nie zrozum

mnie źle, ja nie mam nic przeciwko Żydom. Ale przecież nikt nie zaprzeczy, że Żyd nie może być Niemcem. A jak tak posłuchasz, co gadają o Żydach, to w tym musi tkwić ziarno prawdy, no nie mam racji? Ech, powiem ci, tak między nami, Führer to jednak trochę przesadza z tą swoją polityką wobec Żydów. W końcu są wyjątki, takie jak ty. Niestety, nikogo to nie obchodzi.

Oppenheimera ogarnęły poważne wątpliwości, czy powinien czuć się zaszczycony. Höcker wyjął cygaro z pudełka leżącego na okazałym biurku.

– Poczęstujesz się?

Skinął głową i wziął od razu dwa. Wziąłby je nawet od najgorszego wroga. Z ciężkim sercem przypatrywał się, jak Höcker odgryza końcówkę cygara i je zapala.

– Ognia?

– Nie, dziękuję – odpowiedział. – Zachowam je na potem.

– Ach, rozumiem. No dobrze, masz ochotę na coś więcej? Gin, whisky, może lampkę wina?

– Wielkie dzięki, ale obawiam się, że muszę poprowadzić jeszcze rozpytanie.

– Ależ oczywiście. Praca nie może czekać. Jasne. Już mnie nie ma. Mój gabinet jest do twojej dyspozycji. Czy mam kogoś poprosić?

– Kto pracował z panną Friedrichsen?

– Hm, na pewno panna Behringer. – Z dumą posiadacza dodał: – Moja sekretarka.

– Chętnie bym z nią porozmawiał.

– Już się robi – rzekł Höcker i tanecznym krokiem opuścił pokój.

Przy jego korpulentnej figurze ten widok był absurdalny.

Kiedy Oppenheimer ujrzał pannę Behringer, natychmiast zrozumiał, dlaczego Höcker ją zatrudnił. Podczas gdy sekretarki w rodzaju panny Friedrichsen dla zdobycia posady potrzebowały znajomości ortografii i dobrych referencji, panna Behringer należała do klejnotów służących ozdobie szefów. Mimo to nie wydała się Oppenheimerowi wulgarna. Ubierała się prosto, ale twarzowo. Tego dnia, jakby spodziewając się żałoby, założyła czarny damski garnitur. Całość ubarwiały jedynie kasztanowe włosy i czerwona szminka, której kolor przywiódł mu na myśl tylne światła samochodu.

Początkowo podejrzewał, że obie kobiety rywalizowały ze sobą, lecz już po kilku minutach musiał zrewidować swój przedwczesny osąd. Panna Behringer otrzymała wiadomość o śmierci Inge Friedrichsen tego ranka i była nią wyraźnie wstrząśnięta. W rozmowie okazała się osobą inteligentną i afirmującą życie. Z jej słów wynikało, że Inge Friedrichsen cechował podobny charakter. Obie rozumiały się tak dobrze, że często spędzały wspólnie czas po pracy.

– W piątek wieczorem umówiłyśmy się na wspólne wyjście, a potem Inge nagle zniknęła.

– Kiedy panie się spotkały?

– Zaraz po pracy wstąpiła do mnie, żeby się odświeżyć. Potem poszłyśmy na Dworzec Zoo. Tam spotkałyśmy Güntera. Był z kolegą, który nazywał się chyba Hans-Georg.

– A kim jest Günter?

Panna Behringer próbowała wykręcić się od odpowiedzi, a po chwili przyznała się, że Günter to jej narzeczony. W biurze nikt oprócz Inge Friedrichsen o tym nie wiedział. Oppenheimer zanotował adres mężczyzny.

– Jakie plany miały panie na ten wieczór?

– Poszłyśmy się czegoś napić. Odkąd wprowadzili zakaz potańcówek, nie ma wielkiego wyboru. Potem chciałyśmy wstąpić do kabaretu, do Beroliny na Aleksie. Ale zagapiliśmy się, w Berolinie przedstawienie zaczyna się już o wpół do szóstej. Inge wolała iść do kina. Na wieczorny seans.

– Często chodziła do kina?

– Ach, bez przerwy. Tamtego dnia wszędzie grali najnowszy film z tym aktorem, no, z Georgem. *Głos ma obrońca* czy jakoś tak. Tylko w Titania-Palast w Steglitz leciał jakiś inny film. Coś z Hansem Moserem. Chciała to obejrzeć. Nie miałam ochoty jechać aż do Steglitz, poza tym nie przepadam za austriackimi filmami. Więc Inge wybrała się sama.

– Nikt jej nie towarzyszył?

W odpowiedzi na to pytanie zadrżały jej usta. Westchnęła głęboko i powiedziała:

– Wiem, nie powinniśmy. Ale Günter chciał jeszcze trochę ze mną pobyć, a Hans-Georg, obawiam się, był niezbyt trzeźwy. Tak sobie myślę, że mogłam temu zapobiec. Czasami odnoszę wrażenie, że wszystkie decyzje, jakie człowiek podejmuje, są złe.

– O której się pożegnała?

– Mniej więcej o wpół do szóstej. O wpół do ósmej rozpoczynał się seans… Czy bardzo cierpiała?

Oppenheimer uznał, że nie ma sensu obarczać panny Behringer prawdą.

– Nie, zginęła od razu. Niczego nie poczuła.

– Bogu dzięki. Dobre i to.

Zapytana o atmosferę pracy, kobieta nie owijała w bawełnę.

– Tak między nami mówiąc, to Inge była rada, że nie ma na karku tego starego capa – zwierzyła się, nie oszczędzając swego pryncypała. – Ja na szczęście umiem sobie radzić z napastliwymi przełożonymi i wiem, jak rozładować sytuację. Nie mam pojęcia, jak zareagowałaby Inge. – Znowu zwilgotniały jej oczy.

– Czy pan Höcker czynił jej awanse?

– Nie. Wiem to na pewno. Powiedziałaby mi. Poza tym ona taka nie była, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

– Miała narzeczonego?

– Jej narzeczony przebywa, zdaje się, na froncie. Nigdy nie wymieniła jego imienia.

– A jak się zachowywała, kiedy panie gdzieś razem wychodziły? Robiła do kogoś słodkie oczy?

Panna Behringer kategorycznie pokręciła głową.

– Nigdy. Przynajmniej nie w mojej obecności.

– Więc nie miała w mieście nikogo, z kim łączyłby ją, ujmijmy to tak, bliższy związek?

– Nie miała tu krewnych, a o przyjaciołach nic nie wspominała.

W ten sposób niczego się nie dowie. Zmienił temat.

– Gdzie pracowała przedtem?

– Tego… dokładnie nie wiem – odpowiedziała z wahaniem. A potem wyrzuciła z siebie niespodziewanie: – W każdym razie Inge to porządna dziewczyna.

Coś go tknęło. Zdziwił się, co ten wybuch miał wspólnego z jego pytaniem.

– Nie wątpię, młoda damo – uspokoił ją. – Nie zamierzałem niczego insynuować. Ale muszę ustalić, co się wydarzyło. Każdy, nawet najmniejszy szczegół, może mieć znaczenie.

Wyczuł, że panna Behringer coś przed nim zataja. Zdecydował się na frontalny atak.

– Gdzie jest dziecko?

– Co ma pan na myśli? – zapytała z przestrachem.

W odpowiedzi wyjął fotografię Inge Friedrichsen z niemowlęciem. Na jej widok panna Behringer zakryła twarz i zaczęła szlochać.

– Tego… nie… wiem… – wydusiła zza dłoni. – Nie chciała mi powiedzieć. Wspomniała tylko, że ma się dobrze.

Nadszedł krytyczny moment. Oppenheimer czuł, że kobieta zaraz wszystko wyjawi.

– Najlepiej zacznijmy od początku – zasugerował spokojnie.

Chyba każdy słyszał pogłoski o nazistowskim programie hodowlanym. Odpowiedzialna zań instytucja nosiła miano Lebensborn e.V. i podlegała samemu Heinrichowi Himmlerowi, co dowodziło, że projekt cieszył się wysokim priorytetem aparatu partyjnego. Stowarzyszenie dysponowało kilkoma ośrodkami, rozsypanymi po całym kraju z dala od większych miast. Nikt dobrze nie wiedział, co noc w noc działo się za grubymi murami „w wierze w Hitlera i dla wiecznego życia aryjskiej krwi”.

Jako cel Lebensborn zadeklarowano umocnienie rasy aryjskiej i produkcję dzieci czystej krwi. Ponieważ ogólnodostępne informacje na temat projektu były skąpe, krążyło mnóstwo plotek i domniemań co do sposobu, w jaki to osiągano. Od dawna już przebąkiwano o rozkazie Himmlera wydanym SS i policji, nakazującym produkcję dzieci dobrej krwi z niemieckimi kobietami. W wątpliwych przypadkach miało się to odbywać nawet bez oglądania się na obyczajność i moralność, bo tu cel uświęcał środki. Większość kojarzyła Lebensborn z czymś w rodzaju luksusowego burdelu, w którym z błogosławieństwem Hitlera odbywały się orgie. Plotki głosiły, że rozpłodowe byczki z SS pokrywały młode dziewczęta z płowymi warkoczami, by urzeczywistniać sen o wyższości rasy nordyckiej.

Oppenheimerowi też przemknęły przez głowę te obrazy, kiedy panna Behringer po raz pierwszy wymieniła nazwę Lebensborn. Przez kilka sekund trudno mu było pogodzić zdjęcie uszczęśliwionej Inge Friedrichsen z wizją niepohamowanych nazistowskich orgii.

– Powiedziała pani Lebensborn? – zapytał, chcąc się upewnić, że się nie przesłyszał.

– Tak, mają ośrodek w Klosterheide. Inge była tam sekretarką.

– A co należało do jej… obowiązków? – zawahał się.

– Nie to, co pan myśli. – Panna Behringer przewróciła oczami. – Zajmowała się papierkową robotą. Akta, formularze, tego typu rzeczy.

– A co to ma wspólnego z dzieckiem?

– Inge poszła do Lebensborn, kiedy zaszła w ciążę z Horstem.

– Horst to jej syn?

– Tak, zgadza się. Spodziewała się dziecka, nie będąc mężatką. Nie miała wielkiego wyboru. W Lebensborn mogła urodzić syna w tajemnicy przed światem. Trafiła najpierw do domu Friesland gdzieś niedaleko Bremy. Nie miała pracy, a nie chciała wracać do rodziców, którzy oczywiście nie mogli dowiedzieć się o Horście. W końcu zapytała w organizacji, czy by nie mieli dla niej posady.

– Została zatrudniona przez Lebensborn jako sekretarka?

– Tak, przyjechała tu prosto z Klosterheide. W ośrodku mają także ochronkę dla dzieci. Mogła być tam razem z synkiem. Ale z czasem to zajęcie chyba zaczęło ją nudzić, zresztą sama nie wiem. Być może nie chciała już tam pracować, bo Lebensborn ma taką złą opinię. A może po prostu ciągnęło ją do miasta. W każdym razie znalazła sobie coś w Berlinie, a Horst został w ośrodku. Tak trafiła do nas.

– Czy kiedykolwiek wspominała o ojcu dziecka? Zna pani jego nazwisko?

– Wiem tylko, że pochodził z jej wsi.

– To ten narzeczony na froncie, o którym pani mówiła?

– Tak. – Panna Behringer spojrzała nań wzrokiem winowajczyni. Speszona dodała: – No, to nieprawda, że byli zaręczeni. Przepraszam. Zdaje się, że ją zostawił, kiedy zaszła w ciążę. Zaraz potem dostał wezwanie do wojska.

Miały to być jedyne wartościowe informacje, które Oppenheimer uzyskał tego dnia. Pozostali rozmówcy w większości nie mieli o niczym pojęcia. Robotnicy magazynowi rzadko widywali pannę Friedrichsen. Od czasu do czasu przychodziła, żeby zabrać od magazyniera dokumenty przewozowe albo przekazać pilne zamówienia. Tylko dzięki nieustępliwym pytaniom ustalił, że wśród mężczyzn krążyła pogłoska, jakoby Inge Friedrichsen miała coś wspólnego z Lebensborn. Jeden z pracowników magazynu

składał jej dwuznaczne propozycje, ale – zgodnie ze słowami panny Behringer – bez powodzenia.

Jedno pytanie pozostawało nadal otwarte. Oppenheimer mógł zadać je dopiero wtedy, kiedy do drzwi zapukał Höcker i ciekawie zapuścił do środka żurawia.

– Przepraszam, nie chciałbym być natrętny, ale muszę się dostać do dokumentów.

– Wejdź. Już skończyłem. Mam jeszcze jedno pytanie. Kto jest współwłaścicielem firmy? Domyślam się, że twoi synowie?

– W sumie właścicieli jest troje. Prawdę mówiąc, mam tylko jednego syna. Firma nosi nazwę Höcker & Söhne wyłącznie dlatego, że w liczbie mnogiej lepiej to brzmi.

– A gdzie był twój syn, kiedy zniknęła panna Friedrichsen?

– Przypuszczam, że we Włoszech.

Oppenheimer popatrzył na niego ze zdziwieniem. Potem zrozumiał.

– Stacjonuje we Włoszech?

Höcker westchnął znacząco.

– I owszem, we Włoszech. W piątek Amerykanie ruszyli tam z ofensywą. No i dobrze, przynajmniej chłopak zdobędzie trochę doświadczenia w walce. To wyrabia charakter. Widać to po nas, nieprawdaż? – Zaśmiał się, po czym spoważniał i nachylił się poufale. – Sam nie wiem, co z tym chłopakiem. Wiesz, jak to jest, Richardzie. Początkowo wcale nie chciał iść w kamasze, wyobraź sobie! Ale powiedziałem mu: „Karl, nie możesz się uchylać, kiedy ojczyzna i Führer cię potrzebują. To twój obowiązek jako towarzysza narodu”. No, ale dopiero jak mu zagroziłem, że go wydziedziczę, to się zgłosił. Ta dzisiejsza młodzież. – Potrząsnął z rezygnacją głową.

– Wspomniałeś o trojgu właścicieli – przypomniał mu Oppenheimer.

– Ach, tak, naturalnie, trzecim współwłaścicielem naszej firmy jest SS.

– Jak to? – zdumiał się Oppenheimer.

– Tak, nie wiedziałeś? Kiedyś handlowaliśmy wodami mineralnymi i lemoniadą. Przed paroma laty do interesu dołączyła SS. Oczywiście pod inną nazwą. Byli w posiadaniu kilku źródeł wód mineralnych, potem przejęli jeszcze parę. Niederselters, Apollinaris – nie uwierzysz, gdzie oni mają udziały. Od jakiegoś czasu kontrolują trzy czwarte rynku wód, wyobraź sobie. No i cóż, naszym dostawcą stała się niejako sama partia.

W którymś momencie stwierdziłem, że w przypadku wyrobów alkoholowych marża jest znacznie wyższa, dlatego założyłem nową firmę i zmieniłem asortyment. Nie było żadnych trudności, musiałem tylko omówić sprawę z partnerami w Głównym Urzędzie Gospodarki i Administracji, i interes się kręci. Tylko trudno zdobyć przyzwoite piwo. Mogę załatwić ci każdy trunek, jaki zechcesz. Whisky, szkocką, sherry, każdą ilość bordeaux czy szampana. SS ma dojścia do wszystkiego. Na terenach okupowanych są ogromne składy. Ale piwo? Ani dudu! Choć prawdę mówiąc, co tam Francuzi mogą wiedzieć o piwie. Nad tym jeszcze muszą trochę popracować. – Höcker wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Vogler i Oppenheimer usiedli później razem w bazie w Zehlendorfie, żeby wymienić się uzyskanymi informacjami.

– Przesłuchał pan Bertrama Mertensa? – zapytał Oppenheimer.

– Mertensa? Chwileczkę. – Vogler zajrzał do materiałów. – Tak, mam tu takiego. Podobno parę miesięcy temu zapytał pannę Friedrichsen, czy zechciałaby się z nim umówić. Dostał kosza. Poza tym mógł niewiele powiedzieć. Podał, że tego wieczora był nad Wannsee. Spacerował nad jeziorem. Trudno będzie to sprawdzić.

– Niedokładnie sprawdziliśmy przeszłość panny Friedrichsen.

– Myśli pan o czymś konkretnym?

– No cóż, przede wszystkim dobrze byłoby wiedzieć, kim jest ojciec jej syna. Dziecko z nieprawego łoża to możliwy motyw morderstwa.

Vogler popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Ona miała dziecko?

Oppenheimer podał mu fotografię.

– Proszę. Pana ludzie zdaje się to przeoczyli. Pracowała w ośrodku Lebensborn o nazwie Kurmark. Niewykluczone, że nasz sprawca również pochodzi z tamtych okolic. Do Berlina jest niedaleko. Można bez problemu dojechać koleją. Myślę, że sensownie będzie rozszerzyć śledztwo na Klosterheide. Trzeba również sprawdzić alibi byłych kolegów Friedrichsen z pracy.

– Hm, pracowała w Lebensborn. – Vogler zmarszczył czoło. – Do ciekawych rzeczy pan się dokopał, Oppenheimer. To oznacza, że liczba potencjalnych podejrzanych nagle się powiększyła.

– Obawiam się, że tak. Tak to działa. Nie możemy pominąć niczego. Kiedy jedziemy odwiedzić ośrodek? – Posłał Voglerowi wyczekujące spojrzenie.

9

środa, 17 maja 1944 – piątek, 19 maja 1944

Dom na osiedlu funkcjonariuszy w Zehlendorfie pozostawał dla Oppenheimera zagadką. W kolejnych dniach spędził w nim większość swego czasu, zajęty porządkowaniem informacji. Vogler niezmiennie odjeżdżał po porannej naradzie, pozostawiając go z radiotelegrafistą, samotnie przesiadującym w piwnicy przy swej aparaturze. Ponieważ Oppenheimer czuł się niemal niepilnowany, ostrożnie badał otoczenie, kiedy tylko mógł się oderwać od stosu papierów. Parter składał się z korytarza, salonu, w którym pracował, kuchni i spiżarni. Kuchnia była całkowicie wyposażona, ale niemal brakowało w niej artykułów spożywczych. Potwierdziło się jego początkowe wrażenie, że nikt tutaj nie mieszka. Na szczęście znalazł sporą puszkę z ziarnami kawy, które mielił, gdy chciał pokrzepić się tym napojem. Hoffmann nadal zaopatrywał go w kanapki. Oppenheimer bez skrupułów korzystał z tego luksusu.

Górnego piętra prawie nie znał. Drzwi do pokoi były pozamykane, więc schody na górę prowadziły w mrok. Musiały tam być sypialnie. Odważył się wejść po cichu na drugi, trzeci stopień, żeby zapuścić żurawia między szczeble barierki. Na próżno, nie dowiedział się niczego.

Zupełnie inaczej sprawa wyglądała z pracownikami firmy Höcker & Söhne. Tutaj został wręcz zasypany informacjami. Już w środę rano otrzymał pierwsze raporty, następnego dnia sterta ze starannie sporządzonymi listami nazwisk i danych jeszcze urosła. Dla Voglera pracowali głównie tajniacy z SD, najlepsi w tego typu szpiegowskich zadaniach. Trudno im było robić wyrzuty, że informacje o kolegach z pracy Inge Friedrichsen były pozornie mało spektakularne. Oppenheimer spodziewał się, że w takim tempie już wkrótce uporają się z przesłuchaniem ostatnich świadków.

Zaczęła się faza dochodzenia, która zawsze wywoływała u niego znużenie. Rutynowe czynności. Jak zwykle wynotował na kartce nazwiska podejrzanych. Radiotelegrafista zaopatrzył go w pineski, którymi poprzypinał karteluszki do ścian. Trzymał się przy tym schematu zrozumiałego wyłącznie dla niego. Kiedyś podjął wysiłek wytłumaczenia swego systemu pewnemu aspirantowi, ale poddał się po tygodniu, sfrustrowany i poirytowany. A przecież dla niego wszystko było takie proste.

Najpierw przypiął pośrodku ściany kartkę z nazwiskiem Inge Friedrichsen. Po niej następne, które umieszczał wokół, tworząc szeroki krąg. Im bliżej centrum znajdowała się kartka z podejrzanym, tym bardziej prawdopodobne, że to on był sprawcą. Po krótkim namyśle przesunął kartkę z nazwiskiem Bertrama Mertensa parę centymetrów bliżej środka. Facet dostał kosza od panny Friedrichsen, a to mogło stanowić motyw. Tak samo postępował z pozostałymi kartkami. Im więcej poszlak udało mu się zebrać, tym bardziej złożony obraz powstawał na ścianie.

W czwartek stwierdził jednak z rozczarowaniem, że mimo tego całego przesuwania niewiele się zmieniło. Poza tym uzmysłowił sobie, że to dopiero najłatwiejsza część pracy. Kiedy dojdą do tego dane podejrzanych z Klosterheide, możliwe, że wkrótce cała ściana będzie upstrzona karteluszkami.

Pomijając to, dostrzegł jedną istotną kwestię. Dawniej podczas rozpracowywania jakiejś sprawy musiał walczyć, by do reszty nie stracić rozeznania. Zawsze miał kłopoty z zapamiętaniem tych wszystkich nazwisk i twarzy, z którymi stykał się w ramach dochodzenia. Przeglądanie stert z aktami odczuwał jako coś ponad swoje siły. Jednak teraz, kiedy przekopywał się przez materiały, stwierdził ku swemu zdumieniu, że jego umysł znajduje niemal perwersyjną przyjemność w nawet najmniejszych szczegółach. Zupełnie jakby jego mózg był chłonną gąbką, czekającą długie lata na nasycenie informacjami, na ich analizowanie, porządkowanie i wiązanie ze sobą.

Oppenheimer umówił się z Voglerem, że w piątek pojadą do ośrodka Kurmark. Szczerze mówiąc, nawet był rad, że wyrwie się z miasta. Wprawdzie nie należał do zagorzałych miłośników natury, ale w obliczu nieustających bombardowań i nalotów cieszył się perspektywą wycieczki do spokojnego i nietkniętego bombami miejsca.

Hoffmann nie przepuścił takiej okazji i osobiście zasiadł za kierownicą czarnej limuzyny, którą mieli się udać do Ruppiner Land. Gdyby nie rozsądek, Oppenheimer wziąłby krajobraz, jaki roztoczył się przed nimi zaledwie parę kilometrów za Berlinem, za dawno zapomniany sen. Co rusz przyłapywał się na tym, że gapi się przez szybę z rozdziawionymi ustami. Spędziwszy w mieście nieskończenie długi czas, zatapiał wzrok w oddali, a w środku kiełkowało poczucie, że jest tu w przyjemny sposób obcy.

Zabudowań było coraz mniej. Oprócz budynków z czerwonej cegły, jakich pełno w Berlinie, mijali nieduże otynkowane domy, strzelające w niebo stromymi dachami. Od czasu do czasu przejeżdżali obok jakiegoś pensjonatu, w którym mieszczuchy znalazły schronienie przed nalotami. Poza nimi widziało się tu głównie miejscowych, prostych ludzi o zaróżowionych twarzach i uczciwym spojrzeniu. Oppenheimer zdawał sobie sprawę, że takie myślenie to pobożne życzenia. Ludzie wcale nie byli tu lepsi niż gdzie indziej. Hilde twierdziła, że na wsi partyjniacy są lojalniejsi i kręcą nosami nad upadkiem wartości w miastach. Jednak w tej chwili chciał po prostu wierzyć, że mimo wszystko istnieje inny, pozytywny świat, chciał oglądać tę pocztówkową idyllę. Nikt tu nie śpieszył do bunkra, by schronić się przed nalotem, powietrza nie przecinały syreny alarmowe, a wokół panował spokój, jakiego nie uważał już za możliwy. Przejechali obok kościoła, którego dzwonnica przypominała blanki średniowiecznego zamczyska. W następnej miejscowości zza zakrętu wyłoniła się kolejna świątynia, zbudowana z muru pruskiego. Dumnie prezentowała światu swą drewnianą konstrukcję bejcowaną na ciemno. Pojedyncze domy zagubione przy drodze, łagodne wzgórza, ciemne sosnowe lasy, przez które jechali – ta rzeczywistość trwała tu niezmiennie, chociaż w świecie Oppenheimera już przestała istnieć.

Po trzech kwadransach jazdy spróbował skupić się na sprawie, uporządkować w głowie fakty. W tym tempie, jakie narzucił Hoffmann, wkrótce dotrą na miejsce, a nie chciał zjawić się tam nieprzygotowany.

– A zatem Inge Friedrichsen widziano po raz ostatni w piątek wieczorem – zreasumował. – Do morderstwa musiało dojść następnego dnia. W niedzielę rano odkryto zwłoki. Jazda samochodem z Klosterheide do Berlina w normalnych warunkach trwa półtorej godziny, koleją około dwóch i pół. Jest pięć połączeń dziennie, pierwszy pociąg w kierunku Berlina odjeżdża o piątej dwadzieścia siedem, a ostatni o dwudziestej

dziesięć. Podobnie w przeciwną stronę. Istnieje więcej możliwości dostania się do Berlina, ale musimy założyć, że morderca został w mieście przez całą sobotę. Powinniśmy się skoncentrować na ustaleniu, kto był nieobecny aż do niedzieli.

Vogler pokiwał głową z aprobatą. Potem popatrzył na pustą cygarniczkę, tkwiącą w kąciku ust Oppenheimera.

– Niech pan weźmie – powiedział, podając mu papierosa. – Nie musi pan palić, ale niechże włoży go pan do cygarniczki. Pusta mnie irytuje.

Oppenheimer bez wahania spełnił jego prośbę. W ten sposób jego kolekcja wzbogaciła się o kolejnego cennego papierosa.

Wieś, w której mieścił się ośrodek, leżała na południowym skraju Pojezierza Meklemburskiego, rozciągającego się aż po Wismar. W okolicach Klosterheide królowały trzy duże jeziora: Großer Strubensee, Wutzsee i największe, Gudelacksee; w niewielkiej odległości od jego brzegów znajdował się dom Kurmark. Oppenheimer nie zdziwiłby się, gdyby ośrodek Lebensborn górował nad pobliską wsią; zakazane miejsce na stromym urwisku, odpychająca fasada niczym zamku Draculi, ponura aura opromieniająca Klosterheide, gdzie chałupinki stoją przytulone do siebie, jakby szukały ochrony. Ale rzeczywistość nie mogła być bardziej odmienna. Wieś liczyła zaledwie kilka domów, rozrzuconych w sporej odległości od siebie. Miejsca było wystarczająco.

Zbliżali się do krańca wsi, kiedy Hoffmann niespodziewanie odbił z głównej drogi w lewo. Znaleźli się na dukcie prowadzącym do lasu. Oppenheimer zacząłby posądzać szofera o zgubienie drogi, gdyby nie to, że ten jechał uparcie przez las. W końcu po lewej dostrzegł w gęstym listowiu niewielką przecinkę. Zamiast nieba, które spodziewał się ujrzeć, spomiędzy wierzchołków drzew wyłonił się imponujący komin z żółtej cegły. Tkwił pośród zarośli niczym wybryk natury. Kiedy podjechali bliżej i zatrzymali się na niewielkiej polanie, za zamkniętą bramą dostrzegli budynek. Byli u celu.

Siostra zaprowadziła ich do dużej, całkowicie pustej sali. Na parkiecie załamywało się światło okien, osłoniętych przykurzonymi firankami, jakby od dziesięcioleci nietkniętych ludzką ręką. Pod ścianą, na której udrapowano z tuzin flag ze swastyką, stało czarne popiersie Hitlera. Oppenheimer nie dostrzegł w pomieszczeniu żadnych innych przedmiotów.

– Panowie zechcą chwilę zaczekać – powiedziała siostra, rzucając płochliwe spojrzenia na Voglera. – Proszę o wyrozumiałość, przygotowujemy właśnie ceremonię nadania imienia. – I zniknęła w półmroku za drzwiami, jak halucynacja.

– Ceremonia nadania imienia – powtórzył Oppenheimer. – Oczekują, że wniesiemy jakiś wkład?

– Nie… nie sądzę – odpowiedział Vogler.

Nie wiedział, co ze sobą począć, i przestępował z nogi na nogę.

Oppenheimer przeszedł się wzdłuż rządku flag. Na ścianie pośród nich wisiał portret kobiety. Przyjrzał mu się ciekawie.

– Hm, a kogo tu mamy? Domyślam się, że to założycielka ośrodka? Sądząc po fotografii, dama nie pierwszej już młodości.

Vogler westchnął nad jego niewiedzą.

– To matka Führera.

– O… ach tak. – Tyle tylko zdołał wydusić z siebie zaskoczony Oppenheimer. Po chwili dodał ze sporą dozą fałszywej skruchy: – Przepraszam, mój błąd. – Powinien był wiedzieć, że w każdym domu Lebensborn wisi portret matki Hitlera. – Ładna ramka – rzucił, ale milczenie Voglera stało się jeszcze bardziej lodowate.

Nagle tuż obok utorowały sobie drogę dwie zasapane postacie w szarych kitlach, obładowane krzesłami. Na widok munduru Voglera tragarze natychmiast postawili ładunek na podłodze i zakrzyknęli:

– *Heil Hitler!*

Zanim esesman zdążył skinieniem głowy pozwolić im na kontynuowanie pracy, błyskawicznie chwycili za krzesła i zanieśli je do kąta. Kiedy skonsternowany Oppenheimer odprowadził ich wzrokiem, pojawiła się siostra w białym fartuchu. Nie wyróżniała się spośród reszty personelu ani białym kołnierzykiem, ani olśniewająco białym czepkiem przypiętym do ciemnych włosów. Ale jej dziarskie przybycie i reakcja pracowników pozwalały przypuszczać, że mimo niewielkiego wzrostu cieszy się pewnym autorytetem.

– Dzień dobry, pan komisarz Oppenheimer, jak przypuszczam. Jestem Berg, siostra przełożona w domu Kurmark. – Mocno uścisnęła mu rękę. – Pan doktor niestety nie może panów przywitać, ponieważ asystuje przy porodzie. Później będą mieli panowie okazję, by porozmawiać z nim osobiście.

Przez salę przeszedł sznur spoconych sprzątaczek, dźwigających wiadra pełne mydlin. Nabożnie szerokim łukiem ominęły siostrę Berg.

– Jak panowie widzą, jesteśmy w samym środku przygotowań do ceremonii nadania imienia. Najlepiej będzie, jeśli poszukamy sobie spokojniejszego miejsca. Czy chcą panowie obejrzeć dom?

Oppenheimer nie miał nic przeciwko temu, pozwolili więc oprowadzić się po budynku. Musiał przyznać, że to, co zobaczył, zawiodło jego oczekiwania. Nigdzie nie było obitych pluszem saloników, jakie widział oczyma wyobraźni. Brakowało też i innych udogodnień, zachęcających do radosnej prokreacji. Monotonne korytarze, wypełnione zapachem stęchlizny, przypominały raczej ośrodek porodowy niż burdel. I rzeczywiście właśnie to zdawało się naczelnym celem i przeznaczeniem Lebensborn.

– Pierwotnie kompleks budynków był domem wypoczynkowym AOK[6]. Oprócz oddziału porodowego mamy również ochronkę dla dzieci.

– Kto tu jest kierownikiem? – chciał wiedzieć Oppenheimer.

– W tej chwili to stanowisko pozostaje nieobsadzone. Pan doktor i ja dzielimy się obowiązkami.

– W takim razie z pewnością będzie mogła mi pani pomóc. Panna Friedrichsen była tu zatrudniona jako sekretarka. Niestety, niewiele wiem o jej pracy. Co należało do jej zadań?

– W gruncie rzeczy sekretarka zarządza u nas kasą i zajmuje się papierkową robotą.

– A co to za papierki?

– Jest do wystawienia cała masa urzędowych dokumentów, czyli akty urodzenia, akty zgonu, do tego dochodzi księgowość i rejestr meldunkowy. Pani Friedrichsen, zdaje się, raz udzieliła nawet ślubu pewnej parze.

– Nie ma tu urzędu stanu cywilnego, który byłby odpowiedzialny za coś takiego?

– Musi pan zrozumieć jedno: nasze dzieci to przypadki utajnione. Nasza praca w dużej mierze polega na tym, że przyjmujemy żony członków SS i odbieramy porody. Ale mamy też inne zobowiązania. Między innymi to, że umożliwiamy niezamężnym kobietom dyskretne wydanie na świat potomstwa. Troszczymy się o dzieci, a jeśli matka zdecyduje się na adopcję, staramy się pośredniczyć w znalezieniu rodzin odpowiadających linii partii. Zobowiązujemy się przy tym do najwyższej dyskrecji.

W przypadku urodzonych tutaj dzieci nie obowiązuje zwykła procedura meldunkowa.

– A zatem panna Friedrichsen była w posiadaniu tajemnic państwowych?

– Można to tak nazwać. Do sekretarki spływają wszystkie ważne informacje. Zna prawdziwe adresy matek, wie, które z nich są zamężne, w niektórych przypadkach ma nawet dostęp do danych ojców. Jak każda sekretarka, także i panna Inge została pouczona przez doktora o konieczności dochowania najwyższej tajemnicy.

Zdziwiło go, że sekretarka taka jak Inge Friedrichsen była w posiadaniu tajemnic państwowych. To mógł być motyw.

Siostra Berg wyszła wraz z nimi przed dom. Była to czteropiętrowa budowla z portalem i dwiema potężnymi lukarnami. Do tego dochodziły liczne budynki gospodarcze. Sądząc wyłącznie po skąpej przecince, służącej za wjazd do ośrodka, nikt nie wpadłby na to, że kryje się tu tak duża posiadłość z tyloma solidnymi murowanymi zabudowaniami. Siostra Berg oraz „pan doktor” prowadzili naprawdę spory ośrodek. Oppenheimer spróbował oszacować liczbę potencjalnych podejrzanych. Wyszło mu kilkadziesiąt osób.

Choć teren był duży, to jednak chroniony przed ciekawskimi spojrzeniami pasmem drzew. Oppenheimer zobaczył między pniami srebrzyste przebłyski. Po lewej stronie połyskiwało Gudelacksee, podczas gdy po prawej znajdował się nieduży staw – będący zaledwie ciemną plamą wśród drzew.

– To, co pan widzi, to jeziorko, nad którym wypoczywa czasem nasz personel – wyjaśniła siostra Berg.

– Bardzo interesujące. Ile osób tu pracuje?

– Pan doktor poda panu konkretne liczby. W sumie powinno być nas około stu pięćdziesięciu osób. Pielęgniarki, położna, przedszkolanki, personel kuchenny, oczywiście także personel sprzątający, ogrodnik, szofer, zbierze się tego trochę.

Z pesymizmem przyjął jej słowa.

– Czy jest ktoś, z kim panna Friedrichsen utrzymywała bliższe kontakty?

– Tego nie wiem.

– Jak znalazła tę posadę? Czy aby dostać stanowisko związane ze znajomością tajemnic państwowych, nie potrzeba szczególnych… referencji?

– Panna Inge była pierwotnie pensjonariuszką jednego z naszych ośrodków. Którego, nie mogę powiedzieć. Te dane są tajne, a tylko pan doktor ma dostęp do centralnych akt.

– Pensjonariuszką?

– Przepraszam, już wyjaśniam. Tak nazywamy kobiety przyjęte na oddział porodowy. Do każdej z nich zwracamy się wyłącznie po imieniu, by chronić ich tożsamość. Poza tym nie zwracamy się per „panno”, ponieważ w interesie matek nie chcemy wskazywać na ich stan cywilny.

– Czyli panna Friedrichsen została polecona przez ośrodek, w którym urodziła syna?

– Właśnie tak. – Skinęła głową. – Miała jak najlepsze referencje dotyczące swych kwalifikacji światopoglądowych i charakterologicznych. Podczas pobytu na oddziale porodowym wstąpiła do partii. Kierownictwo ośrodka potwierdziło również, że z wielkim zaangażowaniem zaliczyła kursy.

– Jaki rodzaj kursów ma pani na myśli?

– W każdym ośrodku organizowane są rozmaite imprezy dla pensjonariuszek. Staramy się przekazać matkom wszystko, co niezbędne do wychowania dziecka i zdrowia narodu. Czasami słuchamy audycji radiowych z przemówieniami Führera, wieczorami wspólnie śpiewamy. Ale nasza odpowiedzialność sięga dalej. Oprócz pogadanek o dzieciach i gospodarstwie domowym oferujemy też szkolenia polityczne. W końcu chcemy wychować nasze matki na dobre narodowe socjalistki, aby mogły opuścić dom wzmocnione światopoglądowo.

– Co się dzieje z synem panny Friedrichsen? Czy nadal przebywa w Lebensborn?

– Horst? Tak, jest tu u nas, w ochronce. Odwiedzała go co drugi weekend. Jest tam, razem z innymi. – Siostra wskazała na polanę, na której brykała beztrosko gromadka dzieci. Jeśli jedno z nich było synem Inge Friedrichsen, to bawiło się tak samo radośnie jak pozostałe, nieświadome, że ktoś odebrał mu matkę.

Oppenheimera zaczął ogarniać pewien niepokój. Nie spodziewał się tego, sądząc, że zastanie tu czystą stację hodowlaną. Codzienność w ośrodku była o wiele bardziej normalna i może właśnie dlatego tym straszniejsza. To, że Inge Friedrichsen pracowała w Lebensborn, nie oznaczało, że była kobietą lekkich obyczajów. Dostrzegła możliwość zarabiania na życie, bycia

niezależną, a jednocześnie zatrzymania dziecka. Ale musiała trzymać się zasad i robiła to z ochotą. Nie da się już ustalić na pewno, czy wstąpiła do NSDAP z przekonania, czy z wyrachowania. Uznał, że małe jest prawdopodobieństwo, by skłoniły ją kursy Lebensborn. Z tego, w jaki sposób siostra Berg opisywała ośrodkowe imprezy, wynikało, że niewiele się one różniły od indoktrynacji, jakiej poddawano od wielu lat Niemców – czy to w szkole, czy w pracy – za pośrednictwem prasy bądź radia. Ale rozmowa z przełożoną pozwoliła mu zrozumieć, jak to wszystko się ze sobą łączy. To, że partia pomagała matkom w wydaniu na świat nieślubnych dzieci, o ile spełniały one wymogi teorii ras i były dobrej krwi, nie działo się z dobroci serca. W tym sielankowym miejscu trwała wojna. Każdego dnia toczono bitwy, w których nie szło o bieżącą sytuację na froncie rosyjskim, lecz o walkę, jaka rozegra się w przyszłości. Naziści zbroili się, ale nie w wyrafinowane śmiercionośne maszyny, tylko w materiał ludzki. Przeciętna niemiecka matka miała dostarczyć tyle dzieci, ile się dało, a potem co najwyżej odznaczano ją krzyżem uznania za to, że jej synowie posłużą za mięso armatnie. Ale w Lebensborn miała się narodzić przyszła kadra przywódcza, elity, jakich życzył sobie Hitler, które, wyposażone w rzekomo czysty materiał genetyczny, miały stworzyć fundament dla przyszłych przywódców. Tyle teorii. Inge Friedrichsen stanowiła w tej machinie maleńki trybik. Jej współpraca nie była może decydująca, ale jednak przyczyniała się do sprawnego funkcjonowania systemu.

– Myślę, że pan doktor będzie teraz miał czas – oznajmiła siostra Berg i ruszyła w kierunku głównego budynku.

Oppenheimer podążył za nią. Do jego uszu dobiegły dźwięki, których w pierwszej chwili nie potrafił niczemu przyporządkować. Zastanawiał się, czy się przesłyszał, czy rzeczywiście ktoś w tym miejscu, służącym utrzymaniu germańskiej rasy w czystości, mówi w obcym języku. Obejrzał się i zobaczył chłopczyka, może trzy- lub czterolatka, ściskającego w rękach skórzaną piłkę. Jego płowe włosy były białe od słońca. Spoglądał buńczucznie na opiekunkę.

– Piłka – powiedział po polsku chłopiec, trzymając mocno zabawkę.

– Nie, powiedz *Ball* – poprawiła go opiekunka. – To jest *Ball*. Masz przestać mówić „piłka”!

Chłopiec nachmurzył się i pokręcił energicznie głową. Scenie przypatrywała się przez chwilę dziewczynka w sukience i z warkoczykami,

zabrana w końcu przez pielęgniarkę. Opiekunka westchnęła głośno, popatrzyła na upartego podopiecznego i podparła boki rękoma.

– Nie chcesz rozumieć? Do wieczora nauczysz się mówić *Ball* albo nie dostaniesz kolacji.

Oppenheimer zwrócił się do siostry Berg.

– Jaki to język?

– To dziecko ze Wschodu. Dostajemy czasem i takie, by sprawdzić, czy są zdolne do zniemczenia.

– Skąd pochodzą te dzieci?

– Przeważnie z Kraju Warty. Współpracujemy z ośrodkami w Brockau i Kaliszu. Do naszych zadań należy też zasilanie aryjskiego materiału dziećmi dobrej rasy.

Oppenheimer nie ośmielił się zapytać, gdzie są rodzice tych dzieci. Czy im je odebrano? Kiedy obejrzał się ponownie na chłopca, stojącego na środku polany, malec wyraźnie nie wiedział, co robić i czego od niego żądano. Wszystko, co w jego życiu było pewne, czemu mógł ufać, z dnia na dzień straciło ważność. Gdy ich spojrzenia się zetknęły, Oppenheimer na krótką chwilę doznał wrażenia, jakby patrzył na samego siebie.

– Muszę się poskarżyć – oznajmiła kobieta w prostej sukience.

Nie omieszkała założyć do niej błyszczącego kosztownego naszyjnika, chociaż kierownictwo ośrodka uczyło pensjonariuszki skromności.

– Chwileczkę – rzekła siostra Berg i zaprowadziła gości do gabinetu doktora.

Kobieta nie dała się zbyć i żaliła się dalej:

– Ten tutejszy wikt jest nie do wytrzymania. Ileż można jeść tej kapusty. Obawiam się, że mój mały będzie miał wzdęcia.

Siostra Berg znieruchomiała.

– Przecież to noworodek. Jakim cudem miałby mieć wzdęcia?

– To się przenosi przez mleko matki, przecież to oczywiste.

Przełożona zmarszczyła chmurnie czoło. Zaprosiła Oppenheimera i Voglera do środka, ale zza zamkniętych drzwi nadal docierały strzępy konwersacji.

– Poza tym domagam się lepszego pokoju. Czy siostra w ogóle wie, że jestem małżonką oficera SS Kruga?

– Pani Lore, mówiłam już pani wielokrotnie: u nas nie ma specjalnego traktowania.

– Hauptsturmführer Vogler i komisarz Oppenheimer, jak się domyślam? – zagrzmiało od strony biurka. Oppenheimer przeniósł wzrok na mężczyznę, który wyprężył rękę w hitlerowskim salucie. – *Heil Hitler!* Proszę spocząć, panowie.

Pan doktor nie zadał sobie trudu, by się przedstawić. Ponieważ każdy z mieszkańców tytułował go wyłącznie per „pan doktor", Oppenheimerowi przemknęło przez myśl, że może tak miał na nazwisko. W rozmowie mężczyzna potwierdził jedynie informacje uzyskane od przełożonej. Na pytanie, w którym ośrodku Lebensborn Inge Friedrichsen urodziła syna, również nie udzielił konkretnej odpowiedzi. Mimo że Oppenheimer uzyskał już nazwę ośrodka od panny Behringer, chciał zweryfikować tę informację.

– Proszę zrozumieć, te dane są ściśle tajne – wyjaśnił pan doktor. – Tego rodzaju informacji mogę udzielić wyłącznie po konsultacji z centralą w Monachium.

– Zdaje się, że to pan nie rozumie. Te dane są niezbędne dla naszego dochodzenia – obstawał przy swoim Oppenheimer.

– Jak mówiłem: nie mogę dać panu innej odpowiedzi.

– Wyjaśnimy to – włączył się Vogler. I dodał, zwracając się do Oppenheimera: – Lebensborn podlega Głównemu Urzędowi Rasy i Osadnictwa SS. Skontaktuję się bezpośrednio z nimi.

– Tak będzie najszybciej – zgodził się skwapliwie pan doktor.

Siedzący między nimi Oppenheimer obserwował, jak odbijają między sobą piłeczkę. Zarówno Vogler, jak i pan doktor należeli do tej samej organizacji i rozumieli strukturę aparatu, który ze swymi licznymi powiązaniami i kompetencyjnymi przepychankami był dla Oppenheimera nieprzenikniony. W zaistniałej sytuacji czuł się nie jak prowadzący dochodzenie komisarz, lecz jak pasywny widz w obcym świecie. Mężczyźni mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Vogler zdawał się czekać na kolejne pytanie Oppenheimera, ale jedyne, co mu przychodziło do głowy, to to czy zdoła tu cokolwiek zdziałać.

W końcu ciszę przerwał pan doktor.

– Domyślam się, że siostra Berg pokazała panu ośrodek, panie Oppenheimer?

– Tak, zwiedzanie mamy już za sobą.

– I co pan sądzi o naszym domu?

– Jest zupełnie inny, niż oczekiwałem – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Lebensborn pełni ważną funkcję. Większość o tym zapomina. Faktem jest, że od początku wojny płodność zmalała. Poza tym nadal rodzi się zbyt mało dzieci w szeregach elit. Już w niedalekiej przyszłości dojdzie do deficytu, który trzeba będzie jakoś wypełnić, musimy to uwzględnić w naszych planach. Naród niemiecki we własnym interesie potrzebuje pokolenia wybitnych istot ludzkich. W końcu ktoś musi stanąć na czele państwa i społeczeństwa, kiedy Führera nie będzie już wśród nas. Wielu ludzi nie chce tego rozumieć, nawet liczni członkowie SS wzbraniają się przed spełnieniem swego obowiązku wobec niemieckiej rasy.

– Muszę przyznać, że właśnie w tym względzie spodziewałem się czegoś innego.

– Pan ma na myśli…?

– Większość widzi w ośrodkach Lebensborn coś w rodzaju… burdeli.

Pan doktor zaśmiał się protekcjonalnie.

– Ach, to! Ta historia z reproduktorami. Niestety, nadal jest rozumiana opacznie. Ale może dobrze się stało, że mam sposobność wyjaśnić parę nieporozumień. Mówiąc wprost: Lebensborn nie zamierza podkopywać instytucji małżeństwa. Nic bardziej mylnego. Jednakże małżeństwo może stanowić fundament państwa tylko wtedy, gdy jest wielodzietne. To prawda, istnieją koncepcje pomocy w spełnieniu marzenia o dziecku chętnym do rodzenia matkom, niemogącym znaleźć partnera. Pomoc ta polegałaby na udostępnieniu specjalnych reproduktorów. Ale to nie ma nic wspólnego z prostytucją. Koncepcja ta na razie nie została wdrożona. Owszem, nie zaprzeczę, były pewne próby, na razie niezbyt pomyślne. Z tego względu projekt przesunięto na dalszą przyszłość.

– Jakie z tym były problemy?

– Widzi pan, w charakterze reproduktorów zgłaszali się mężczyźni, których wartość genetyczna i charakterologiczna była poniżej przeciętnej. My w Lebensborn mamy świadomość wielkiej odpowiedzialności, dlatego na jakiś czas zaprzestaliśmy ofensywnego poszukiwania reproduktorów. Naczelnym celem naszej organizacji nie jest zadzierzganie związków partnerskich. Myślę jednak, że po ostatecznym zwycięstwie każda kobieta będzie poczytywała sobie za honorowy obowiązek obdarzyć dziećmi

Führera i niemiecką ojczyznę. Wtedy na pewno wzmocnimy również nasze zaangażowanie na polu reproduktorów.

Pan doktor nabrał rozpędu. Kiedy tak perorował, udała mu się rzecz niesłychana: chodził jak paw, nie ruszając się nawet zza biurka.

– Wie pan, Reichsführer SS wyznaje fascynującą tezę. Otóż znalazł poszlaki, wskazujące na to, że już plemiona Germanów i Dorów miały swoich reproduktorów. To prastara tradycja, którą podchwytujemy i interpretujemy na nowo w myśl odpowiedzialności rasowej. Przez długi czas istniał zwyczaj, że jeśli jakaś kobieta w wieku zdolnym do zawarcia małżeństwa nie mogła jeszcze poszczycić się mężem, jej ojciec wybierał dla niej mężczyznę spośród wiejskiej wspólnoty. Nocą wybranek odbywał z nią stosunek na grobie przodków i pozostawał przy tym anonimowy. Niech pan sobie wyobrazi, że w niektórych regionach obyczaj ten jest praktykowany do dziś. – Doktor utkwił wzrok w oddali.

Oppenheimer oniemiały wpatrywał się w mężczyznę w białym fartuchu, rozstrojony zupełnie niespodziewaną i osobliwą zmianą tematu. Poruszył się nerwowo na krześle. Postanowił skierować rozmowę na inne tory.

– Czy wie pan może przypadkiem, z kim panna Friedrichsen utrzymywała bliższe kontakty?

– Tego nie wiem. Przypuszczam, że najbliżej była z pielęgniarkami. Niektóre z nich zostały przeniesione przez NSV.

Znów jakiś nieprawdopodobny skrót. Rozdmuchany aparat nazistowski pęczniał od podobnych rzeczy.

– NSV? – powtórzył Oppenheimer.

– Nationalsozialistische Volkswohlfahrt[7]. To oni decydują, dokąd zostanie oddelegowany personel.

– Czy możliwe byłoby stworzenie listy wszystkich pracowników zatrudnionych tutaj, kiedy w ośrodku pracowała panna Friedrichsen?

Pan doktor wodził zdumionym wzrokiem między nimi.

– Ja… nie rozumiem pytania. Panie Hauptsturmführer, przecież dałem panu tę listę przedwczoraj, kiedy pan tu był!

Oppenheimer był bezgranicznie wściekły. Czuł się wystawiony do wiatru. Zjeżony siedział w samochodzie z rękoma założonymi na piersi i próbował odzyskać spokój. Kiedy znaleźli się kilka kilometrów za Klosterheide, uznał, że udało mu się poskromić gniew.

– Oczywiście możemy dalej bawić się w te gierki – zaczął. – Ale wydaje mi się, że ta sprawa jest zbyt poważna. W końcu mamy wyjaśnić morderstwo. Nie wiem, dlaczego w ogóle włączył mnie pan do dochodzenia. Mogę rozsądnie pracować tylko wtedy, jeśli będę miał do dyspozycji wszystkie informacje. Możemy ciągnąć to dalej jak do tej pory, ale zmitrężymy sporo energii i czasu. Nie ma sensu, bym podążał tropami, które zostały już sprawdzone. Muszę mieć wgląd w stan śledztwa, inaczej nie mogę panu pomóc. Przykro mi.

Zmierzchało już, kiedy zaczęli się zbliżać do stolicy. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by rozpoznać, że w powietrzu unosi się czarny dym. Pewnie znowu był nalot. Po całym dniu spędzonym w wiejskiej idylli, z dala od woni śmierci i zepsucia przenikającej w Berlinie każdy zakątek, ten widok okazał się szokiem, który błyskawicznie przywrócił go do rzeczywistości. Była to rzeczywistość, w której wciąż mieszkał w *Judenhausie*, wciąż pozostawał wykluczony. Rzeczywistość, w której jego życie nie było warte funta kłaków. Ta myśl sprawiła, że zdał sobie sprawę, w jakim niebezpieczeństwie się znalazł, robiąc wyrzuty Voglerowi, ba, stawiając mu ultimatum. Hauptsturmführer SS trzymał w ręku jego życie i mógł je wymazać wedle własnego widzimisię. Nie dało się przewidzieć, kiedy to się stanie. Może wystarczy, że Vogler poczuje się obrażony lub znudzony. Nikt nie pociągnie go za to do odpowiedzialności. Iluzja śledztwa uczyniła Oppenheimera nieostrożnym. Ale było za późno, by cofnąć raz wypowiedziane słowa.

10

sobota, 20 maja 1944 – niedziela, 21 maja 1944

– Oppenheimer, obawiam się, że niewłaściwie oceniłem pańskie zdolności – rzucił zamiast powitania Vogler.

Hoffmann odebrał Oppenheimera o zwykłej porze. Tym razem dotarli do Zehlendorfu nawet nieco wcześniej, ponieważ w sobotę rano panował niewielki ruch. Kiedy wszedł do salonu, na stole piętrzyły się dwie sterty papierów. Ogarnęły go złe przeczucia.

– To było głupie z mojej strony, że nie wtajemniczyłem pana we wszystko od razu – ciągnął Vogler. – Jednakże musiałem się upewnić, że sprosta pan moim wysokim wymaganiom. Przekonałem się, że intuicja naprowadziła pana na właściwy trop, chociaż nie znał pan wszystkich faktów. Miał pan rację, kiedy na widok obrażeń wysnuł przypuszczenie, że sprawca dokładnie wie, co robi. Że ma pewną rutynę. On zaatakował nie po raz pierwszy. Przed Inge Friedrichsen zamordował w ten sposób co najmniej dwie inne kobiety.

Oppenheimer musiał usiąść. Nie zauważył miękkości obicia fotela, w którym się zanurzył, nie zdawał sobie nawet sprawy, że nie zdjął płaszcza ani kapelusza. Jedyne, co dotarło do jego świadomości, to gorzkie przeświadczenie, że się mylił.

– A dalej? – zapytał bezbarwnie.

– Julie Dufour i Christina Gerdeler. – Vogler na chwilę zawiesił głos, pozwalając wybrzmieć słowom. – To nazwiska pozostałych ofiar. Na stole leżą kompletne raporty wraz z fotografiami, zeznaniami świadków i całą resztą. Ma pan pełen wgląd.

W Oppenheimera nagle wstąpiło życie. Przesunął się na krawędź siedzenia i przerwał Voglerowi.

– Chwileczkę, zachowajmy chronologię. Z jakim okresem mamy do czynienia?

– Christina Gerdeler została zamordowana w sierpniu 1943 roku. Julie Dufour w lutym tego roku.

– Więc to już trwa dziewięć miesięcy?

– SS przejęło sprawę dopiero po znalezieniu panny Dufour. Zlecił ją nam pański… – Vogler zawahał się chwilę – …pracodawca, Gruppenführer SS Reithermann. Dopiero później dowiedzieliśmy się o sprawie Gerdeler. Właściwie to niezamierzenie. Przeprowadzaliśmy czynności w hotelu Adlon, kiedy powiedziano nam o podobnym przypadku parę miesięcy wcześniej. Obawiam się, że władze dochodzeniowe nie zajęły się tamtą sprawą z należytą starannością. Zarówno panna Gerdeler, jak i panna Dufour bywały w hotelu regularnie. Niektóre poszlaki wskazywały na to, że sprawy się ze sobą łączą. Odkąd zamordowano pannę Friedrichsen, mamy pewność, że tak jest.

Znów się zaczęło. Czuł się dziwnie osłabiony. Znowu ścigał szaleńca, zabijającego człowieka za człowiekiem. Jakby nie dość miał doświadczeń z Großmannem. Po mieście kolejny raz grasowała bezlitosna bestia i nikt nie potrafił przewidzieć, jakim koszmarem to się zakończy. Oppenheimer zobaczył za oknem kilka promieni słońca, przeświecających przez świerki, ale dla niego nie był to dobry dzień. Zadał sobie pytanie, co w tej sytuacji powiedziałaby Hilde.

– Pieprzone gówno.

Vogler popatrzył na niego zaskoczony. Oppenheimer zdał sobie sprawę, że nie tylko pomyślał, ale wypowiedział na głos słowa Hilde. Nie było co upiększać.

– Pieprzone gówno – powtórzył z naciskiem, zdjął płaszcz, rzucił kapelusz w przeciwległy kąt pokoju i zabrał się do roboty.

Można się spierać, czy pierwsza ofiara, Christina Gerdeler, była tylko nimfomanką, czy też z wyrachowania utrzymywała liczne związki z zamożnymi mężczyznami w średnim wieku. Oppenheimer podejrzewał, że kobiecie chodziło głównie o korzyści finansowe, jakie niosą ze sobą tego rodzaju znajomości oparte na seksie. Jej konto oszczędnościowe mówiło samo za siebie. Regularnie wpłacano na nie gotówką wysokie sumy. Wśród zebranych materiałów znajdował się także szkolny zeszyt, w którym kobieta skrupulatnie notowała wszystkie wpływy i wydatki. Zaledwie dwudziestokilkuletnia Christina Gerdeler zamieszkiwała pokój w centrum

miasta, który dzieliła z drugą lokatorką. Większość pieniędzy wydawała na eleganckie ubrania, co stanowiło nieuniknione koszty w przypadku poszukiwaczki przygód jej rodzaju. Była częstym gościem hotelu Adlon, będącego swoistą oazą dla lepszego towarzystwa, kiedy wokół szalała wojna i świszczały bomby. Każdy szanujący się obywatel co najmniej raz dziennie starał się tam wpaść celem spożycia wykwintnego posiłku, wymiany informacji albo przeżycia przelotnej przygody z chętną i kulturalną damą, polującą w luksusowym hotelu na mężczyzn – jak panna Gerdeler. Mały, ale doborowy zbiorek literatury niemieckiej, znaleziony pośród światowej garderoby, nie pozostawiał wątpliwości, że panna Gerdeler interesowała się kulturą.

Oppenheimer przestudiował uważnie trzy fotografie, które znajdowały się w aktach. Panna Gerdeler najwyraźniej zleciła ich wykonanie profesjonalnemu fotografowi, by się trochę rozreklamować wśród panów. Pierwsze ujęcie ukazywało ją z półprofilu, we fraku i w cylindrze. Miała twarz o regularnych rysach, wygolone brwi, zastąpione dwiema cienkimi kreskami nakreślonymi ołówkiem. Fotograf wykonał dobrą robotę. Zdjęcie podkreślało urodę modelki i dzięki interesującym kontrastom miało ujmujący artystyczny wyraz. O ile fotografia kobiety w męskim ubraniu była dość śmiała, o tyle na drugim zdjęciu Christina Gerdeler zbliżała się do partyjnego ideału, przynajmniej wizualnie. Ubrana w ludowe wdzianko, z włosami zaplecionymi w warkocze, siedziała roześmiana na pniu drzewa. Oppenheimer nie miał pojęcia, z jakiego regionu pochodził ów strój ludowy, ale nie ulegało wątpliwości, że skutecznie podkreślał obfity dekolt panny Gerdeler, dzięki czemu jego nadrzędny cel należało uznać za spełniony.

Za to powątpiewał, czy trzecia fotografia często widywała światło dzienne. Kobieta prezentowała się na niej nago, rozciągnięta na aksamitnym szezlongu. Podczas gdy jej ciało, wsparte o zgięte ramię, spoczywało na wydłużonym siedzeniu, głowa wyginała się do tyłu, w pełnej krasie ukazując włosy. Refleksy światła nadawały długim puklom błysk, zacienione partie kontrastowały z rozjaśniaczem, który podkreślał olśniewające ciało panny Gerdeler. Oglądający zdjęcie mógł niemal poczuć ciężar jej miękkich piersi i kusicielskich wdzięków, jakich można się było domyślić w ciemnym trójkącie włosów łonowych. Fotografię niewątpliwie

przeznaczyła dla wyjątkowych klientów. Skuteczna reklama, uznał Oppenheimer.

Były to jedyne zdjęcia w dokumentacji. Najwyraźniej nie wykonano żadnych ujęć miejsc zbrodni i znalezienia ciała. W ogóle całą sprawę Gerdeler potraktowano w sposób zastraszająco dyletancki. Jej zwłoki znaleziono w niedzielę 8 sierpnia 1943 roku w pobliżu wiejskiego kościoła ewangelickiego w Alt-Marienfelde. Jeden z wiernych, zmierzający na poranną mszę, zauważył na terenie kościoła coś jasnego, co przy bliższym zbadaniu okazało się nie odpadem, lecz sukienką, którą miała na sobie denatka. Ciało leżało u stóp pomnika upamiętniającego poległych w pierwszej wojnie światowej, jednak nikt na serio nie brał pod uwagę winy osoby trzeciej. Podobnie jak w sprawie Friedrichsen obnażone podbrzusze panny Gerdeler było zwrócone ku kamiennemu monumentowi, a organy płciowe usunięte. Raport policji konstatował jednak, że ciało zbezcześciły wałęsające się psy, i ignorował okoliczność, iż okaleczone zostały tylko genitalia.

Policjanci postępowali jak zupełni nowicjusze, co zapewne wynikało z faktu, że w czasie wojny trup nie był zjawiskiem rzadkim. Mimo wszystko Oppenheimer mógł tylko kręcić głową. Śledczym w pierwszej linii chodziło o to, by jak najszybciej usunąć ciało. Postępowanie dowodowe okazało się zupełną porażką. Pośpiesznie sporządzony raport, nieobecność policyjnego fotografa, brak rozpytania wśród świadków. Nie mógł pojąć tej niebywałej fuszerki.

Drugi stos zawierał akta sprawy Dufour. Materiał dowodowy wyglądał tu zupełnie inaczej. Chociaż w dokumentach nie było niemal żadnych danych o samej Julie Dufour, to ludzie Voglera wzorowo udokumentowali okoliczności znalezienia zwłok i rezultaty śledztwa. Do mordu doszło prawie dokładnie sześć miesięcy po pierwszym zabójstwie. Panna Dufour zniknęła podczas dziennego alarmu w piątek 11 lutego. Gruppenführer SS Reithermann zgłosił jej zaginięcie i podał, że pracowała dla niego w charakterze asystentki zajmującej się korespondencją w języku obcym. Wykorzystał przy tym swoje niebagatelne wpływy w partii, by uruchomić szeroko zakrojone poszukiwania zaginionej. W nocy z soboty na niedzielę ciało Julie Dufour znaleziono na skrzyżowaniu Baerwaldstraße i Urbanstraße na Kreuzbergu. Tym razem podobieństwo do trzeciego zabójstwa było wyraźniejsze. Uduszona kobieta znowu leżała u stóp

pomnika, a okaleczone podbrzusze było skierowane ku kamiennemu monumentowi. Inaczej niż u Christiny Gerdeler w przewodach słuchowych panny Dufour znajdowały się dwa długie stalowe druty, których szpice tkwiły w mózgu, ale Oppenheimer uważał za prawdopodobne, że policja po prostu przeoczyła tę okoliczność przy pierwszej ofierze.

To, że ciała nie znaleziono na terenie przykościelnym, nie stanowiło jedynej różnicy w odniesieniu do obu poprzednich zbrodni. Podczas gdy w przypadku Inge Friedrichsen i Christiny Gerdeler jako świadków wymieniono jedynie osoby, które znalazły denatki, tutaj problem polegał na istnym tłumie potencjalnych naocznych świadków, ponieważ panna Dufour zniknęła w biały dzień z hotelu Adlon.

Oppenheimer wertował godzinami setki stron protokołów z przesłuchań, ale mimo najlepszych chęci nie natknął się na żadną przydatną wskazówkę. Po raz ostatni kobietę widziano, kiedy rozległ się alarm. Podczas gdy goście kierowali się do hotelowego bunkra, wychodziło na to, że Julie Dufour zaginęła na oczach wszystkich. Po fakcie nikt nie potrafił dokładnie opisać, co wydarzyło się w ogólnym zamieszaniu, bo każdy był zaprzątnięty sobą. Przesłuchano pracowników, gości hotelowych, którzy w danym czasie zarezerwowali pokój, a także zwykłych berlińczyków, którzy mieli w zwyczaju wpadać do Adlona, aby się pokazać. Ale nikt nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ostatni raz widziano młodą kobietę.

Oppenheimer roztrząsał w myślach dwa pierwsze morderstwa. Było zrozumiałe, że śledczy początkowo nie byli pewni, czy sprawę Gerdeler można połączyć z zabójstwem Dufour. Dokumentacja pierwszej zbrodni była zbyt niekompletna. Ale Vogler wbił sobie do głowy, że pierwsza denatka, znaleziona w Marienfelde, jest pierwszą z serii, a Oppenheimer też się ku temu skłaniał. Ogółem mówiąc, charakterystyczne podobieństwa spraw Dufour i Friedrichsen nie pozostawiały wątpliwości, że obie się ze sobą wiązały, ale i pierwsze zabójstwo z dużym prawdopodobieństwem nosiło sygnaturę tego samego mordercy.

Wiedział już, jak powinien postąpić. Priorytetem było przeanalizowanie wszystkich trzech przypadków pod kątem kolejnych analogii. Tylko w taki sposób będzie można ustalić motyw, a być może i odpowiedzieć na pytanie, jakiego typu kobiety są szczególnie narażone. Jednak najbardziej rzucającą się w oczy analogią pierwszych dwóch zbrodni nie była jakaś szczególna

cecha ofiar czy ich cielesne atrybuty, nie, oba wątki zbiegały się w hotelu Adlon.

W ciągu tygodnia dużo się wydarzyło i Oppenheimer miał wiele do opowiedzenia Hilde. W niedzielę przyszła pora na zastosowanie przygotowanego fortelu. Po obiedzie założył starą kurtkę i wziął list, który parę dni temu dostał od Edego. W kopercie znajdowały się obiecany klucz wraz z adresem.

Kiedy wszedł do kuchni, Lisa zmywała naczynia. Popatrzyła na niego z przerażeniem.

– Ależ Richard, nie możesz wyjść w tej kurtce. Muszę ją najpierw wyprać.

– To dla kamuflażu – odparł i założył płaszcz przeciwdeszczowy, który też swe najlepsze lata miał już za sobą.

– Nie będzie dziś padać – zauważyła Lisa. – Czy ty się wybierasz do gałganiarza? Przecież to jedyne rzeczy, jakie jeszcze mamy!

– Nie, nie zamierzam ich oddawać. Wybieram się do Hilde i chcę zmylić tych, którzy będą mi deptać po piętach. Nie ma obawy, wszystko zaplanowałem.

– A to, że się spocisz jak mysz, też zaplanowałeś?

Zastygł na chwilę, słysząc ten argument.

– Hm, chyba inaczej się nie da. Będę najpóźniej na kolację.

Na pożegnanie Lisa pokręciła głową.

Nie mylił się. Kiedy wyszedł na zewnątrz, po przeciwnej stronie ulicy zauważył osobnika przyklejonego do ściany i czytającego gazetę. Widać postawili go tu, żeby go obserwował.

Pokój, do którego pasował klucz od Edego, znajdował się w dzielnicy Beusselkiez. Oppenheimer musiał tylko przejść parę kroków do stacji kolejki Beusselstraße, a potem trzymać się zachodniej strony torów. Okolica była idealna dla chcącego się ukryć. Niezliczone budynki, wzniesione jako mieszkania dla robotników zakładów Loewe, przylegały do siebie niczym plastry miodu w ogromnym ulu. I tak jak w ulu tętniło tu życie. Nie dało się oszacować, ilu ludzi znalazło tutaj schronienie dzięki bezładnym działaniom budowlanym ostatnich dziesięcioleci. Liczne mieszkania w podwórzach na tyłach kamienic zamieniły ten rejon w istny

labirynt. Oppenheimer pamiętał, że w Beusselkiez często były problemy. Mieszkańcy tradycyjnie żywili sympatię do socjaldemokratów. Wielu z nich uważało się nawet za radykalnych komunistów. Ponieważ bardzo aktywne były tu także lewicowe grupy powiązane ze Związkiem Spartakusa, wraz z pojawieniem się narodowych socjalistów wielokrotnie dochodziło do ulicznych potyczek z oddziałami SA.

Dotarłszy do celu, bez wahania wszedł do kamienicy. Na trzecim piętrze znalazł pakamerę, do której pasował klucz. W środku jako pierwsze rzuciło mu się w oczy okno wychodzące na ulicę. Poza tym pomieszczenie było niemal puste. Tylko piec z żelazną rurą, przebiegającą przez cały pokój, łóżko i kredens – więcej nic. Więc to był składzik, o którym wspominał Ede. Nie dostrzegł jednak śladu po rzeczach, które zwykle tu przechowywano.

Zdjął oba okrycia, które miał na sobie. Lisa się nie myliła. Pod pachami na koszuli wykwitły duże mokre plamy. Dał sobie parę minut na ochłonięcie, potem podszedł ostrożnie do okna, by przyjrzeć się przeciwległej stronie ulicy. Na szczęście na zewnątrz było na tyle jasno, że w ciemnym pokoju nikt nie zdołałby go zobaczyć. Nie zaskoczył go widok mężczyzny w bramie naprzeciwko, tego samego, który czekał na niego przed *Judenhausem*.

Upewniwszy się, że tajniak jest sam, Oppenheimer założył z powrotem kurtkę. Płaszcz przeciwdeszczowy przewiesił przez oparcie krzesła. Będzie go potrzebował dopiero w drodze powrotnej. Na szczęście budynek dało się opuścić przez tylne drzwi. Ede pomyślał o wszystkim.

Ulica, na której został tajniak, była skąpana w słońcu, ale na wąskie podwórze na tyłach kamienicy nie docierał ani jeden promyk. Mimo to Oppenheimer założył zabrane ze sobą okulary przeciwsłoneczne. Zdawał sobie sprawę, jak żałosne jest to przebranie, mimo to miał nadzieję, że w kurtce i w okularach nikt go nie rozpozna, przynajmniej z daleka.

Nie licząc gromadki dzieciaków, bawiących się głośno pośród sznurów z suszącą się bielizną, na podwórzu nie było nikogo. Tknięty nagłym impulsem przebiegł przez studnię i zniknął za najbliższym rogiem.

Vogler słuchał echa własnych kroków w korytarzu. Kiedy dostał wezwanie do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, ogarnęły go złe przeczucia. Gdyby wezwał go jego bezpośredni przełożony, nie przejmowałby się

zbytnio, ale to, że miał się stawić przed niejakim Oberführerem Schröderem, nie wróżyło nic dobrego. Voglerowi wiele można było zarzucić, ale nie naiwność. Jeszcze zanim stanął przed tym człowiekiem, wiedział, że będzie musiał się wytłumaczyć ze współpracy z Oppenheimerem.

W biurokratycznym aparacie SS każdy starał się wykorzystać słabostki kolegów do własnych celów. W tych wąskich kręgach nie można było liczyć na solidarność. Kiedy Vogler przybył do Berlina, nie miał co do tego żadnych złudzeń. Dla kogoś o jego pozycji najważniejsze było, aby się nie wychylać, jeśli nie chciało się zostać zdegradowanym lub pominiętym przy awansie.

Zapukał i wszedł do sekretariatu.

– *Heil Hitler!* Hauptsturmführer Vogler do Oberführera Schrödera – zameldował się.

Mężczyzna za biurkiem podniósł wzrok znad papierów.

– *Heil Hitler*. Proszę zaczekać.

Sekretarz wstał i wszedł do pokoju obok. Przez ciężkie dębowe drzwi dobiegały przytłumione męskie głosy. Po chwili wychynął z powrotem zza drzwi. Zanim zdążył poprosić Voglera, ze środka dobiegło władcze:

– Wejść!

– Hauptsturmführer Vogler melduje się na rozkaz!

– Niech pan siada – rozkazał Schröder i powrócił do dokumentów, prezentując Voglerowi swój profil, zdominowany przez łysinę i czarną opaskę na oko.

Przez chwilę pisał coś zawzięcie. Vogler natychmiast się zorientował, że tamten chce tylko potrzymać go w niepewności.

Rozejrzał się ukradkiem po pomieszczeniu. Gdziekolwiek spojrzeć, drewniane okładziny. Na ścianie wisiały dwie fotografie. Obie przedstawiały banalne motywy – portrety Hitlera i Himmlera. Ani śladu indywidualnej nuty. Albo Oberführer rezydował tu dopiero od niedawna, albo korzystał z biura tylko sporadycznie. Vogler zastanowił się, jakie wrażenie robiłby on sam, gdyby siedział za tym biurkiem.

Wreszcie Schröder odłożył pióro.

– Pan zajmuje się sprawą Dufour?

– Tak jest, *Herr Oberführer*.

– Niech mi pan powie, czego ja się dowiaduję? Choć sprawcy należy szukać w kręgach żydowskich, pan wziął do jej wyjaśnienia akurat Icka?

– Tak jest, *Herr Oberführer*.

Jego usta jeszcze nie skończyły wypowiadać tych słów, kiedy myśli zaprzątnęło pytanie, kto go zdradził. Na pewno krył się za tym Hauptsturmführer Graeter. Już na początku śledztwa pokazał, że ma własne wyobrażenie co do sposobu jego prowadzenia i że kłócą się one z wizją Voglera. Tyle że Graeter nie zwrócił się do swego przełożonego, tylko poszedł od razu na samą górę, do Oberführera Schrödera. Trzeba przyznać, że miał świetne wejścia w SS i żadnych skrupułów, by je wykorzystać.

– Czy pan do reszty postradał zmysły? – zapytał Oberführer z poczerwieniałą twarzą. – Żeby Żyd prowadził dochodzenie? Mam nadzieję, że potrafi pan to wytłumaczyć, Vogler!

– Zasięgnąłem języka i powiedziano mi, że najlepszym śledczym jest Oppenheimer. Poza tym jest doskonale obeznany w temacie.

– A przy tym umknął panu tak maleńki szczegół, że jest obcej rasy? Muszę panu przypomnieć, że to dochodzenie ma najwyższy priorytet. Pańskie zachowanie może postawić nas w kompromitującym świetle.

– O ile wiem, śledztwo obłożono klauzulą tajności, więc nic nie powinno przedostać się do wiadomości publicznej.

– Jeśli coś wycieknie, znajdzie się pan w niezłych tarapatach, już ja się o to postaram!

– Czy wolno mi przedstawić powody, dla których wybrałem akurat Oppenheimera?

Oberführer pomyślał chwilę.

– Niech pan mówi.

– Włączyłem go do sprawy, żeby lepiej kontrolować dochodzenie. Mój plan zakłada pracę na bazie oddzielnych jednostek, którym będę udostępniał możliwie jak najmniej informacji o rezultatach innych grup. Wszystkie nitki zbiegają się w moim ręku. Sprawa mordercy z kolejki podmiejskiej dowiodła, że musimy zachować największą ostrożność.

– Co, do cholery, ma z tym wspólnego ten skurwysyn Ogorzow? – zapytał zdumiony Oberführer.

– Jako członek SS Ogorzow miał dostęp do rezultatów śledztwa. Był poszukiwanym mordercą, a jednocześnie jako członek naszej organizacji miał wgląd we wszelkie poczynania policji.

– Szaleniec, którego teraz ścigamy, nie może być esesmanem. Czy ten… Oppenheimer wie, że to tajne do-chodzenie?

– Powiadomiłem go o tym w sposób niepozostawiający wątpliwości.

– I naprawdę sądzi pan, że nie puści pary z ust?

– Oppenheimer znajduje się pod stałą obserwacją, od chwili włączenia go do sprawy. – To było tylko pół prawdy. Vogler dopiero dzień później uznał za konieczne podesłanie mu ogona, ale ufał, że Graeter o tym nie wie.

Oberführer odchylił się do tyłu. Vogler czuł, że Schröder mimo wszystko jest pod wrażeniem jego działań.

– Obserwowałem Oppenheimera – dodał Vogler. – Pracuje bardzo dokładnie. Poza tym możemy skorzystać z jego fachowego doświadczenia. Jeśli rzeczywiście ścigamy Żyda, to sprzyjające może się okazać nasłanie na niego innego Żyda.

Oberführer ściągnął z namysłem usta.

– Mam nadzieję, że jest pan świadom tego, że czas nagli. Gruppenführer Reithermann porusza niebo i ziemię, aż po kwaterę Führera. Skarży się, że nikt jeszcze nie wyjaśnił morderstwa tej jego znającej języki dziwki. Jeśli wkrótce nie dostarczymy rezultatów, będzie źle.

Vogler wiedział, że Reithermann mógł przysporzyć im kłopotów. Poznał już Gruppenführera. W jego oczach był jednym z tych oportunistycznych padalców, którzy wypłynęli wraz z narodowym socjalizmem. A jednak zajmował w partyjnym aparacie mocną pozycję, której nie można było lekceważyć.

Kiedy Voglerowi i Graeterowi powierzono śledztwo w sprawie morderstwa panny Dufour, wszystko wskazywało na to, że to rutynowa sprawa. Jednak po zamordowaniu Inge Friedrichsen nawet w najwyższych kręgach Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy nikt nie wątpił, że mieli do czynienia z przestępczym umysłem, który mógł się stać dla nich niebezpieczny. Vogler miał świadomość, że jego poczynania, zmierzające do wyjaśnienia sprawy, są uważnie obserwowane. Musiał dostarczyć rezultatów. I to prędko.

– Szybko, wpuść mnie – rzucił mężczyzna w okularach słonecznych i wtargnął do praktyki lekarskiej Hilde.

Osłupiała kobieta zamknęła drzwi i dopiero po chwili poznała intruza.

– Richard?

Oppenheimer zdjął okulary.

– Mam ci do opowiedzenia mnóstwo rzeczy. Jest kawa?

– Zaraz zaparzę. Hm, nie chcę nic mówić, ale jedzie od ciebie jak od starego capa. Pozbyłeś się przynajmniej cienia?

Podążył za nią do kuchni.

– Wymyśliłem mały fortel, żeby go zmylić, i zdaje się, że mi się udało.

Hilde wstawiła wodę na kawę i nalała sobie przezroczystego płynu do kieliszka.

– Muszę ci powiedzieć, że nie mogę się oderwać od radioodbiornika, choć to niebezpieczne. Jeśli wiadomości BBC nie są wyłącznie propagandą, to już wkrótce sytuacja stanie się naprawdę gówniana. Cóż, ostatnio nie było nocnych nalotów, może rzeczywiście coś jest na rzeczy. Najwyższy czas, nie mogę już patrzeć na te hitlerowskie gady. Te sukinkoty zrobiły z Niemiec operetkową dyktaturę. Kiedy tylko wychodzę z domu, czuję się jak w kiepskiej inscenizacji *Barona cygańskiego*. Weź choćby tego wieprza Göringa. Wbity w ten swój śmieszny mundur, wygląda zupełnie jak baleron. Czy ty wiesz, kto to jest marszałek Rzeszy, jak on się tytułuje? Ja tam nie wiem. Nigdy przedtem nie było takiego tytułu, nie mam pojęcia, co to takiego. Określenie „as myśliwski Cesarstwa Niemieckiego” przynajmniej coś mi mówi. Ci nazistowscy bonzowie to same durnie z przerostem ambicji. – Zanim umoczyła usta w trunku, zapytała: – Nalać ci? To coś wyjątkowego. Według prawdziwej włoskiej receptury.

– Włoskiej? – powtórzył zaintrygowany. – Co to jest?

Podała mu kieliszek, ale on zawahał się na myśl, że miałby wlać w gardło na pewno obrzydliwą berbeluchę.

– Ach, chyba jednak nie chcę wiedzieć. Wiesz, sporo ustaliliśmy w tym tygodniu. To nie jest pierwsza ofiara. Wygląda na to, że mamy do czynienia z wielokrotnym mordercą.

Hilde ze zdumieniem odstawiła kieliszek, nie upiwszy ani krztyny.

– Do chrzanu z takimi nowinami. Opowiadaj.

Oppenheimer nastawił kwintet fortepianowy A-dur opus 114 zwany *Pstrągiem* Franza Schuberta i streścił najważniejsze poszlaki dwóch pierwszych morderstw. Kiedy wspomniał o powiązaniach Inge Friedrichsen z Lebensborn, Hilde zmarszczyła czoło.

– Friedrichsen była w Lebensborn? I co, ośrodek nie wyglądał jak luksusowy burdel dla Aryjczyków?

– Nie wyglądał. Ale pełno tam dziwnych ludzi.

– To akurat nic nowego. Zdziwiłabym się za to, gdyby jakiś hitlerowiec zdołał poderwać do góry coś więcej niż tylko prawą rękę do hitlerowskiego salutu. Gdyby mogli, rozmnażaliby się w probówkach.

– Gruppenführer Reithermann najwyraźniej reprezentuje inny typ hitlerowca. Tajemnicą poliszynela jest, że Julie Dufour była nie tylko jego asystentką, lecz także metresą.

– Czyli ogólnie rzecz biorąc, sprawa nabiera rumieńców. Nie dziwię się, że pojawiło się więcej ofiar. Wyraźnie przemawiał za tym rytualny charakter zabójstw. A pamiętasz, do kogo porównywaliśmy mordercę? Großmann, Kürten, sami wielokrotni. Te trzy ofiary, o których wiemy, to dopiero początek, jestem tego pewna. W każdym razie możemy teraz ustalić chronologię zbrodni. Zastanawiam się tylko, co nam mówią te obrażenia.

– Sądzisz, że on chce coś w ten sposób powiedzieć?

– Oczywiście. Nie wiem, czy to się nadaje do psychoanalizy. Ponieważ możemy zbadać wyłącznie ofiary, nasuwałaby się metoda behawiorystyczna.

– Tak, wiem, co zaraz powiesz. – Westchnął.

Hilde wsiadła na swojego ulubionego konika, czyli dzieła Johna B. Watsona.

– Ach tak? – zapytała. – No dobrze, to powiedz mi w takim razie, co Watson mówi o zachowaniu?

Zapędzony w kozi róg, podjął wysiłek przypomnienia sobie szczegółów.

– Więc – zaczął – wszystkie zachowania odpowiadają schematowi, w którym bodziec wywołuje określoną reakcję.

– Grzeczny chłopczyk. Schemat bodziec–reakcja. Watson wychodzi z założenia, że istnieją tylko trzy rodzaje reakcji emocjonalnych: lęk, złość i miłość. Wszystkie inne są wyuczone, a właściwie nabyte przez warunkowanie.

Rozmawiali już kiedyś o warunkowaniu. Oppenheimer znał oczywiście eksperyment z psami Pawłowa, cytowany zwykle w tym kontekście.

– Wszystko to cacy – zaprotestował – ale ludzie są bardziej skomplikowani od psów.

– Bo ja wiem. W przypadku niektórych wcale nie jestem tego taka pewna. Popatrz tylko na świński ryj Voglera. Psy Pawłowa śliniły się, kiedy

słyszały dzwonek, Vogler zabija, kiedy słyszy dzwonek. Gdzie tu różnica?

– Hilde, to nie to samo. Behawioryści mówią, że ludzki umysł to nic innego jak… jak to się nazywało?

– Masz na myśli czarną skrzynkę?

– Tak, cała ta teoria, że człowiek nie jest niczym więcej jak maszyną, przemieniającą bodźce na reakcje, po prostu nie wystarcza, by wyjaśnić zachowanie. Przy biurku może to się sprawdza, w laboratorium też, ale w rzeczywistości, a mówię to jako policjant, nie działa. Poza tym, jak to ma nam pomóc? Co powinniśmy zrobić zdaniem Watsona?

– Powinniśmy znaleźć *stimulus* wywołujący reakcję, w tym przypadku morderstwo.

– Powiedz od razu, że szukamy jakiegoś wyzwalacza, czyli przyczyny zbrodni. Dlaczego musisz mówić w tak skomplikowany sposób?

Hilde z rozbawieniem odchyliła się na oparcie.

– Czyli jesteśmy jednomyślni.

Czasami doprowadzała go do szału. Lekko poirytowany, burknął coś pod nosem i poszukał nowej płyty. Miał dziś ochotę na muzykę kameralną. Postanowił puścić *Vivace ma non troppo* z sonaty na fortepian i skrzypce G-dur opus 78 Johannesa Brahmsa. Symfonie Brahmsa nigdy nie wzbudzały w nim wielkich emocji. Może z wyjątkiem pierwszej, bardzo beethovenowskiej, którą uważał za całkiem znośną. Jego zdaniem prawdziwą siłą Brahmsa była muzyka kameralna. Sposób, w jaki kompozytor umiał pobudzić do śpiewu instrumenty – niczym ludzkie głosy – graniczył z magią.

Rozbrzmiały pierwsze dźwięki, a on zaczął myśleć na głos.

– Spróbujmy podejść do tego inaczej. Jeśli nasz sprawca zabija kobiety, które nawinęły mu się przypadkiem, nie uda nam się go dorwać. Wtedy pozostaje tylko nadzieja, że ktoś w końcu przyskrzyni go na gorącym uczynku, tak jak to było z Großmannem. Mamy tylko jedną sensowną szansę, mianowicie taką, że on wybiera ofiary nieprzypadkowo. Musimy ustalić, co łączyło wszystkie trzy zamordowane kobiety i co może stanowić motyw zbrodni.

– Czy te damy były podobne do siebie z wyglądu?

– Nie powiedziałbym. Różniły się budową ciała, kolorem włosów. Panna Gerdeler była brunetką, ale raczej jasną, panna Dufour miała czarne włosy, Inge Friedrichsen popielatoblond. Panna Gerdeler ubierała się krzykliwie,

by podkreślić swą atrakcyjność. Panna Friedrichsen wręcz przeciwnie, o ile potrafię to ocenić. Wygląd zdaje się nie jest decydującym czynnikiem.

– Ale były prawie w takim samym wieku.

– Zgadza się. Wszystkie miały po dwadzieścia parę lat. A jeśli przypatrzymy się, jak żyły, to okaże się, że każda z nich w jakiś sposób miała do czynienia z NSDAP lub z kimś z jej szeregów.

Zapadła cisza, niedostatecznie wypełniana muzyką. Ani myśl, ani płynące z niej wnioski nie były przyjemne.

– Chwileczkę, w przypadku Christiny Gerdeler nie można powiedzieć tego jednoznacznie – zaoponowała Hilde. – Dawała się dymać zamożnym facetom, których wyłapywała w Adlonie.

– A kto bywa w Adlonie? Kto ma tyle pieniędzy, że może je tam wydawać? Z reguły partyjne szychy. Jest duże prawdopodobieństwo, że niektórzy z nich byli jej klientami. Inge Friedrichsen pracowała w Lebensborn i należała do partii, panna Dufour pracowała dla Gruppenführera SS. Pod tym względem wszystkie panie ewidentnie coś łączy.

Hilde wzbraniała się przed zaakceptowaniem tej myśli. Potrząsnęła energicznie głową.

– Wątpię, aby to było rozstrzygające. Pomyśl, ile w ogóle kobiet zostało po ewakuacji rodzin. W ciągu ostatniego roku Berlin stał się miastem mężczyzn. Kobiety, które tu mieszkają, przeważnie pracują. A że naziści zagnieździli się wszędzie, gdzie tylko się da, niemal niemożliwe jest nie mieć styczności z partią, obojętnie, w życiu zawodowym czy prywatnym. Zwłaszcza tu, w Berlinie, gdzie są wszystkie urzędy i władze. Przypatrz się dobrze, prawie każdy jest w jakimś stopniu związany z nazistami.

– Hm, może masz rację – skapitulował. – Spróbujmy inaczej. Skąd pochodzą? Inge Friedrichsen mieszkała w Pankow, Christina Gerdeler w śródmieściu, a panna Dufour w Friedrichshain. Miejsca ich zamieszkania znajdują się niedaleko siebie.

Przemyślała to, spoglądając na niego sceptycznie.

– Dobrze, ale trzeba jeszcze wziąć pod uwagę miejsca znalezienia zwłok. Oberschöneweide, Kreuzberg i Marienfelde.

Oppenheimer zastanowił się, potem popatrzył na Hilde.

– I, widzisz coś?

– Owszem. Oberschöneweide i Marienfelde leżą poza miastem.

– Oba te miejsca to już prawie osobne miejscowości – podjął wątek. – Oba znajdują się na południu.

– Kreuzberg leży w śródmieściu, lecz także na południe od ścisłego centrum – mówiła z przejęciem Hilde.

Chyba na coś wpadli.

– Czyli miejsca zamieszkania ofiar znajdują się w bliskiej odległości od śródmieścia, ale ciała znaleziono poza miastem, w rejonach południowego wschodu. Dlaczego?

– Bo niebezpieczniej jest przetransportować zwłoki niż nieprzytomnego człowieka?

– Możliwe – zgodził się Oppenheimer. – Nie zdziwiłbym się, gdyby morderca również był z południowego wschodu. Musi mieć tam jakąś bazę.

– W takim razie możemy pójść o krok dalej i przeanalizować jego sposób działania. Pokonuje ze swymi ofiarami stosunkowo duże odległości, musi mieć zatem jakiś środek lokomocji, na tyle duży, by zmieściły się w nim zwłoki.

– Uprowadza kobiety z ich zwykłego otoczenia, zawozi je w jakieś nieznane miejsce, tam dręczy i w końcu morduje. W nocy z soboty na niedzielę deponuje zwłoki.

– Wszystko to dzieje się w weekend – dodała Hilde. – To sugeruje, że być może wykonuje zawód o uregulowanych godzinach pracy i w dni powszednie nie ma czasu.

– Innymi słowy: szukamy mordercy, który ma cztery kółka i silnie wykształcony etos pracy – podsumował z satysfakcją Oppenheimer.

– Z ust mi to wyjąłeś – zgodziła się przyjaciółka.

Kiedy Oppenheimer się pożegnał, Hilde zaczęła niespokojnie krążyć po salonie. Jej pogodny nastrój był udawany. Miała nadzieję, że Richard tego nie zauważył. Sprawy nie wyglądały dobrze, a wkrótce mogło być jeszcze gorzej. A wszystko to być może z winy samego Oppenheimera, akurat tego człowieka, którego miała za bliskiego przyjaciela. Jeśli śledztwo będzie rozwijać się tak, jak się obawiała, już niedługo nadejdą kłopoty.

Wychyliła jeszcze jedną czystą i zastanowiła się, czy udałoby się jej wpłynąć na Oppenheimera. Zamierzenie to nie miało jednak najmniejszych szans powodzenia. W sprawach zawodowych był nieprzekupny. Swego

wyjątkowego talentu dowiódł już dawno temu, na długo zanim się poznali, nim jeszcze rozpoczęły się prześladowania.

To był jeden z tych pozornych przypadków, które potrafiły zmienić całe życie. Był wieczór, kiedy znalazła go na chodniku przed domem. Wieczór „nocy kryształowej". Oppenheimer był struchlałym ludzkim stworzeniem, chowającym się przed światłem latarń i szukającym schronienia przed osiłkami z SA. Czy naprawdę w listopadzie minie dopiero sześć lat, odkąd płonące synagogi zabarwiły czerwienią nocne niebo nad Berlinem? Tyle się od tamtej pory wydarzyło.

Dobrze pamiętała propagandę poprzedzającą noc pogromu. Pretekstu dostarczył Herschel Grynszpan, żydowski emigrant, który zastrzelił w Paryżu Ernsta vom Ratha, sekretarza niemieckiej ambasady i członka NSDAP. „Żyd zrywa maskę" – krzyczały w wyrachowanym oburzeniu nagłówki gazet. Berlińczycy jednak niemal wcale nie rozpalili w sobie antysemickiej nienawiści, tylko zachowali spokój. Ich nastroje przygasły pod ciężarem niepokoju, bo przeczuwali, co się szykuje.

Rzekomy spontaniczny gniew ludu, jaki wyładował się w konsekwencji na Żydach, zaplanowano w zaciszu sztabów generalnych. Kurfürstendamm zamienił się w morze połyskujące lodem. Ale to nie nagły mróz ściął ulice w przypływie kaprysu pogody, powlekając je warstewką gołoledzi. To były okruchy z rozbitych okien wystawowych żydowskich sklepów.

Tego dnia ludzie po raz pierwszy poczuli, jak to jest być więźniem własnego państwa. Hilde także. Jadąc tramwajem, mijała zwęglone zgliszcza synagog. W wagonie nikt nie triumfował. „Antysemityzm – wszystko ładnie, pięknie, ale bez przesady" – tak brzmiały mamrotane pod nosem komentarze pasażerów. Ale nikt nie interweniował. Byli tchórzami. I wstydzili się tego. Ona też.

Przez kolejne dni na Żydów urządzano prawdziwe nagonki. Obowiązywało prawo pięści, egzekwowane brutalnie i bez żadnego uzasadnienia. Hilde bezsilnie śledziła wydarzenia, świadoma tego, że opór jednej kobiety nic nie da. By zachować choć cień szacunku dla siebie, przysięgła sobie uroczyście, że przyjmie pierwszego prześladowanego, na którego się napatoczy. Był nim Oppenheimer. Przez trzy dni ukrywała go w swym wielkim domu, aż fala aresztowań opadła i mógł wrócić do bliskich. Wtedy poznała jego żonę. Po zniknięciu Richarda Lisa niezmordowanie nawiedzała więzienia w Plötzensee, Moabicie i przy

Alexanderplatz, dopóki Hilde nie przekazała jej wiadomości, że mąż jest bezpieczny. Przez ten czas spędzony za zamkniętymi okiennicami Hilde i Oppenheimer prowadzili nadzwyczaj interesujące rozmowy, szczególnie po tym, jak dowiedziała się, że jej gość jako były komisarz kryminalny brał udział w sprawie Großmanna. To wtedy wkradł się w jej łaski. Przyjęła go, aby ratować własną duszę, a w zamian otrzymała znacznie więcej.

Teraz istniało ryzyko, że służba bezpieczeństwa SS posługiwała się właśnie nim, by zlikwidować osoby o podobnych zapatrywaniach co Hilde.

A znała takich ludzi mnóstwo. W młodości często odwiedzała wuja, który uważał za oczywiste, że należy wprowadzić ją w wyższe kręgi społeczeństwa. Prędko przekonała się, że wojskowi to szczególna kasta – zwłaszcza ci ze szlacheckim pochodzeniem. Jako bystra młoda kobieta nawiązywała mnóstwo znajomości również i poza tymi kręgami. Kolejne kontakty doszły, kiedy zaczęła studiować w Berlinie medycynę. Tak zetknęła się z wieloma osobami myślącymi podobnie, które jak ona były nastawione krytycznie do faszystowskiej ideologii. Odtąd była zapraszana na „dyplomatyczne herbatki” i potrafiła z wprawą ocenić, kto w Ministerstwie Spraw Zagranicznych sympatyzuje z nazistami, a komu można ufać. Nawet małżeństwo z Erichem Hauserem, późniejszym Hauptscharführerem SS, w kręgach przeciwników reżimu nie było jej poczytywane za przewinę. Przyjaciele wiedzieli, że ten związek skłonił ją do jeszcze większego zaangażowania w działania opozycji przeciwko ideom narodowego socjalizmu. Jednak kiedy pod koniec stycznia aresztowano Helmutha Grafa von Moltkego z urzędu Canarisa za to, że chciał ostrzec przed zaaresztowaniem przez Gestapo konsula generalnego Kiepa, stała się ostrożniejsza, a jej kontakty z osobami o podobnych zapatrywaniach się rozluźniły. Teraz sytuacja się zaogniła. Czuła, że musi interweniować, by zapobiec czemuś gorszemu, nawet jeśli to oznaczało, że będzie musiała poświęcić przyjaźń z Richardem. Nadszedł czas, aby złamać milczenie.

Kiedy Hilde wyprowadzała się do budynku gospodarczego, uparła się, żeby doprowadzono do nowego lokum telefon. Dzięki temu mogła rozmawiać, nie narażając się na podsłuchiwanie przez obcych lokatorów. Nie mogła wykluczyć, że jej telefon był na podsłuchu. Z czasem stała się jednak prawdziwą mistrzynią w przekazywaniu zakodowanych wiadomości. Jej kontakty musiały dowiedzieć się o śledztwie

Oppenheimera. Już i tak zwlekała z tym zbyt długo. Odsunęła skrupuły na bok, wzięła z widełek słuchawkę i wybrała numer.

11

poniedziałek, 22 maja 1944 – czwartek, 25 maja 1944

W poniedziałek, inaczej niż zwykle, Oppenheimer nie kazał się wieźć prosto do Zehlendorfu. Przed oficjalną porą rozpoczęcia pracy czekał już z rękoma w kieszeniach płaszcza przy wjeździe do firmy Höcker & Söhne. Pogrążony w rozmyślaniach obserwował poranny ruch, żując cygarniczkę. Miał nadzieję, że jego dawny towarzysz broni Gerd Höcker nie pojawi się nagle i nie uwikła w banalną konwersację, zanim nadarzy się okazja do porozmawiania z panną Behringer.

Akurat minął go dostawczak z terkoczącym gazogeneratorem, kiedy ją dostrzegł. Wprawdzie owinęła dolną połowę twarzy szalem, ale jej wyprostowana sylwetka i kasztanowe włosy pod czarnym beretem nie pozostawiały wątpliwości. Ona również go zauważyła. Podchodząc bliżej, opuściła szal i się uśmiechnęła. Jej jaskrawoczerwona szminka była jedyną barwną plamą w szarości poniedziałkowego poranka.

– Dzień dobry, panie komisarzu – przywitała go przyjaźnie. – Posunął się pan dalej w śledztwie?

– Jest kilka poszlak. Dlatego tu jestem. Miałbym jedno małe pytanie.

– Niech pan strzela. – Popatrzyła na niego z wyczekiwaniem, a potem wyjęła pudełko z zapałkami. – Ognia?

Zaniemówił. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że za radą Voglera wetknął do cygarniczki papierosa.

– Dziękuję, ale… właśnie się odzwyczajam.

– Ciekawa metoda – skwitowała bez przekonania panna Behringer, przyglądając się papierosowi.

– Czy panna Friedrichsen kiedykolwiek była w hotelu Adlon?

Panna Behringer aż się zaśmiała na tę myśl.

– Drogi panie komisarzu, naprawdę nie wiem, jakie pan ma wyobrażenia o naszym wynagrodzeniu. No wie pan, Aaadlon – powtórzyła przeciągle. –

Gdybym mogła pozwolić sobie na kolacje w Adlonie, z pewnością nie musiałabym pracować w tym miejscu. Otóż, nie mogę przysiąc, że Inge nigdy tam nie była, ale… nie, powiedziałaby mi o tym.

– Nigdy o tym nie wspominała? Może przy jakiejś innej okazji?

– Może pan pytać i sto razy. Nigdy nie wspominała o tym hotelu i nie robiła do niego żadnych aluzji.

– Dziękuję pani za pomoc – mruknął niezadowolony, kiwając głową. – Gdyby przypomniała pani sobie o czymś, proszę się ze mną skontaktować przez Hauptsturmführera Voglera.

Jadąc do Zehlendorfu, Oppenheimer nawet nie dostrzegał karkołomnego stylu jazdy Hoffmanna, tak bardzo rozczarowała go odpowiedź panny Behringer. Nie było żadnego punktu zaczepienia, niczego, co wiązałoby Inge Friedrichsen z hotelem Adlon. Nie wątpił, że informacje panny Behringer są prawdziwe. Obojętne, jak bardzo się wysilał, musiał w końcu przyznać, że trafił w ślepą uliczkę.

Przybywszy na miejsce, Oppenheimer podjął porządkowanie lawiny danych, która go przysypała w ciągu ostatnich dni. W oddali raz po raz wyły syreny, ale nie przejmował się tym. Dwa całe dni i przedpołudnie trzeciego zajęło mu usystematyzowanie informacji i uzupełnienie schematu na ścianie salonu. Najpierw przypiął pośrodku dwa kolejne skrawki papieru z nazwiskami Christiny Gerdeler i Julie Dufour, tuż pod karteluszkiem Inge Friedrichsen. Nadeszła też wreszcie lista „pana doktora”. Znajdowały się na niej nazwiska wszystkich pracowników Lebensborn, którzy znali Inge Friedrichsen i nadal przebywali w Klosterheide. Było to jakieś czterdzieści osób. Oppenheimer wypisał ich dane na nowych karteczkach i dopiął je do pozostałych. Dwie osoby były nieobecne wtedy, kiedy dokonano morderstwa: położna o nazwisku Erika Möller, która – jak sprawdzono – brała udział w pogrzebie, oraz Irmgard Hupke, „brunatna siostra” z NSV, która akurat w ten weekend wypowiedziała pracę w Klosterheide. Chociaż Oppenheimer uważał za mało prawdopodobne, by sprawcą była kobieta, przesunął nazwiska ich obu bliżej środka. Tę samą procedurę powtórzył z podejrzanymi i ze świadkami w sprawie Dufour. Było ich tak wielu, że co rusz musiał sprawdzać w aktach, czy nikogo nie pominął. Liczba podejrzanych w sprawie łowczyni przygód Christiny Gerdeler pozostawała rozczarowująca. Nie było na razie żadnych niezbitych wskazówek, skąd

kobieta brała pieniądze. W jej zapiskach znajdowały się jedynie zagadkowe zdrobnienia imion, których przy najlepszych chęciach nie sposób było rozszyfrować. Z kubkiem gorącej kawy w dłoniach Oppenheimer wpatrywał się w karteluszki na ścianie. Może ofiary miały wspólnego coś jeszcze, poza Adlonem.

– Chyba będę musiał porozmawiać z Gruppenführerem Reithermannem – oświadczył, kiedy w środę w południe zajrzał do niego Vogler. – Czy mógłby to pan jakoś zaaranżować?

Vogler pomyślał chwilę.

– Chce go pan przesłuchać?

– Cóż, nie pozostaje mi chyba nic innego. W sprawie Dufour mamy wprawdzie mnóstwo naocznych świadków, ale mało szczegółów dotyczących jej samej. Potrzebuję więcej informacji o jej życiu. Tylko Reithermann może ich dostarczyć.

– Zajmiemy się tym jutro. – Vogler skinął głową. – Stawiam tylko jeden warunek: chcę być obecny przy rozmowie.

Oppenheimerowi bardzo to odpowiadało.

Siedzenia daimlera były tak wygodne, że Oppenheimer zasnął niemal od razu. Wczesne godziny poranne spędził z innymi lokatorami w piwnicy, ponieważ w nocy znowu był alarm. Ostatnie dni udało mu się jako tako przetrwać tylko dzięki tabletkom pervitinu. Kiedy dziś rano wziął do ręki fiolkę z lekami, zauważył, że jego zapasy skurczyły się do trzech pastylek. Postanowił tego dnia ich nie zażywać, co może było lekkomyślne, skoro musiał zachować czujność przy przesłuchaniu Reithermanna.

Z drzemki wyrwał go dźwięk syren. Rozpoznał w nim narastające wycie próbnego alarmu. Przed jego oczami przesuwały się ciągi ulic, ciało poddawało się lekkiemu kołysaniu – a więc nadal znajdował się w samochodzie.

– Zaraz będziemy na miejscu – rzucił czyjś głos z przodu.

Oppenheimer poznał tył głowy Voglera, który dziś sam usiadł za kierownicą.

Wyprostował się i przetarł oczy, odganiając sen. Kiedy je otworzył, Vogler już zatrzymał samochód przy krawężniku. Byli w Horst-Wessel-Stadt, dzielnicy znanej starym berlińczykom pod nazwą Friedrichshain. Przed nimi wznosiły się ruiny jakiejś willi. Za pękniętą fasadą widać było

belkowanie, które runęło do wnętrza domu. Przypuszczalnie bomba trafiła prosto w willę. Obok budynku leżały pojedyncze zwały gruzu, wyglądające jak abstrakcyjne rzeźby poustawiane przez kochającego sztukę właściciela na angielskim trawniku, ogród w absurdalny sposób wyglądał bowiem na nietknięty.

Vogler podrapał się po głowie.

– A niech to jasna cholera – zaklął bezradnie. – To musi być gdzieś tutaj. Numer czterdzieści dwa.

Zaczął studiować plan Pharusa. Ponieważ ulice dawno przestały się zgadzać z mapą, łatwo było zgubić drogę.

– Rozejrzę się wokół – oznajmił Oppenheimer i wysiadł.

Na żeliwnej bramie wisiała duża i wyraźna tabliczka z numerem 42. Nie było zamknięte, więc wszedł na teren posiadłości, zrobił parę kroków i zawołał. Ale w ruinach nikt już nie mieszkał.

Ulicą, kuśtykając, przechodził starszy człowiek, pchający wózek z manatkami.

– Przepraszam – zawołał do niego Oppenheimer. – Czy tu mieszka Gruppenführer Reithermann?

Starzec przystanął.

– Już go tu pan nie znajdziesz. Sam pan popatrz, zdmuchnęło budę na amen. – Uzębienie mężczyzny było w niewiele lepszym stanie niż zrujnowany dom. – Kiedyś to tu mieszkali Epsteinowie. Dopóki wielki pan nie kazał ich wywieźć i sam się tu nie rozgościł. Takie czasy. A potem w zeszłym tygodniu przyleciał ten prezent od Amerykańców. Sam w to nie mogłem uwierzyć, ale złociste bażanty też trafia.

„Złocistymi bażantami” nazywano wyższych rangą funkcjonariuszy partyjnych. Ludzie zazdrościli im, że zbierają śmietankę i opływają w dostatki. Jednocześnie większość była święcie przekonana, że Führer nie dopuściłby do tych ekscesów, gdyby tylko o nich wiedział. Nikt jednak nie odważył się sprawdzić tej teorii i donieść na beneficjentów.

– Czy Reithermann zginął?

– Gdzie tam, tylko bomby rozwaliły mu dom. Licho go wie, gdzie jest.

Vogler wysiadł z wozu, a stary przytknął rękę do czapki.

– Sami sobie popatrzcie. Ja tam muszę lecieć – rzucił na odchodne i zniknął za rogiem.

– Sprawdźmy – polecił Vogler. – Może Reithermann zostawił wiadomość, gdzie go znaleźć.

Oppenheimer skinął głową i podążył za esesmanem. Ten rodzaj komunikacji był dość rozpowszechniony. Wszędzie na fasadach zrujnowanych domów można było znaleźć tak zwane „gazetki ścienne", czyli kartki z nowymi adresami byłych mieszkańców lub komunikaty o poszukiwaniu zaginionych członków rodzin. Może Reithermann był na tyle przytomny, by zostawić tu swój nowy adres.

Vogler zlustrował framugę, gdzie na zawiasach wisiały szczątki drzwi. Oppenheimer zaczął obchodzić dom dokoła, kiedy usłyszał basowe dudnienie. Wyprostował się zaskoczony. Całkiem zapomniał o próbnym alarmie, który wyrwał go z drzemki. Uświadomił sobie, że popełnił śmiertelny błąd.

Chociaż niebo było zamglone, w skrzydłach samolotów odbijały się promienie słońca. Oślepiająco jasne plamy pikowały, mierząc prosto w niego.

– Nadchodzą! – zdołał jedynie wrzasnąć.

Znad kupy kamieni wyłoniła się głowa Voglera. Esesman podążył wzrokiem za wyciągniętym w górę palcem Oppenheimera i pobladł.

– Idioci! Nie dali pełnego alarmu! – krzyczał wzburzony. – Chodź pan! Do piwnicy!

Chwycił Oppenheimera za rękę i wciągnął go do środka przez wyrwę w ścianie. Kilka metrów dalej było widać schody prowadzące w dół. W ciemności niewyraźnie majaczyły drzwi. Potykając się, zeszli po schodach. Huk narastał. Vogler nacisnął klamkę, lecz drzwi były zamknięte.

Oppenheimer rzucił się na nie z impetem, ale ledwie drgnęły. Także Vogler napierał raz po raz. Na próżno.

Oppenheimer powstrzymał go gestem.

– Razem! – krzyknął.

Obaj stanęli na najniższym stopniu i wzięli rozbieg. Framuga zadrżała pod uderzeniem ich ciał. Po czole Oppenheimera spływał pot.

– Jeszcze raz! – Głos Voglera przeszedł w falset.

Znów najniższy stopień, potem jeden wyżej i rozbieg. Z całej siły walnęli barkami o drzwi. Ustąpiły. Oppenheimer ledwie zdążył wyrzucić przed siebie dłonie, by zamortyzować upadek. Poczuł, jak jego ręce szorują po szorstkim betonie. Uderzył o coś skronią i wylądował na brzuchu. W tym

samym momencie piwnica zawirowała, zdając się obracać wokół własnej osi. Sprzęty zaczęły żyć własnym życiem, butelki z winem potoczyły się we wszystkie strony, zatrzęsło się całe uniwersum. Jego plecy owionął ognisty podmuch. Miał wrażenie, jakby znalazł się w środku burzowej chmury, bezbronny i zdany na łaskę żywiołów, grę ognia i powietrza. Nagle nastąpił ogłuszający rumor i wokół zgasło światło. Ostatnie, co usłyszał, to przeraźliwy gwizd, któremu towarzyszył głuchy odgłos walących się cegieł.

Potem zrobiło się cicho. Spróbował odzyskać kontrolę nad ręką. Pył dostał mu się do płuc, wywołując dławienie w krtani. Prędko zakrył usta rękawem płaszcza i starał się oddychać przez tkaninę.

Zasypało ich. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Nad ich głowami piętrzyły się dziesiątki metrów sześciennych gruzu. Oppenheimer nie sądził, że umrze w taki sposób. Początkowo jego umysł wzbraniał się przed tym przeświadczeniem, w końcu jednak zaakceptował je jako nieuniknione. Zaczął się przygotowywać na śmierć.

12

czwartek, 25 maja 1944 – sobota, 27 maja 1944

Najpierw dobiegł go zniekształcony bólem głos Voglera. Potem usłyszał straszliwy jęk, ale nie potrafił zlokalizować, skąd dochodzi. W końcu uznał, że jęczał on sam. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Stracił wszelkie poczucie rzeczywistości. Sekundy, godziny, dni – w ciemnościach wszystko to nie miało żadnego znaczenia. Jedynie widok pyłu, który opadł, przemawiał za tym, że upłynęło trochę czasu.

Spróbował się poruszyć. Ignorując ból w lewym ramieniu, zaczął badać dotykiem otoczenie. Tuż przy głowie znalazł coś z drewna. To chyba szafa, o którą uderzył. Podłoga była usiana ostrymi przedmiotami. Musiał zapalić światło, inaczej się pokaleczy. Drżącą ręką sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i z trudem wyciągnął dwoma palcami zapałki. Pomyślał chwilę. Było prawdopodobne, że do piwnicy nie dochodziło powietrze. W tym wypadku musieli oszczędzać tlen, wolno mu było zapalić zapałkę tylko na moment. Najlepiej, gdyby od razu zajął pozycję pozwalającą na możliwie dobry ogląd sytuacji. Leżąc na boku, niewiele zobaczy. Pomału przetoczył się na wznak. W plecy wbiło mu się coś ostrego; nie dało się tego uniknąć. Ostrożnie wyciągnął rękę do góry. Nie napotkał oporu, a zatem mógł usiąść. Z trudem się wyprostował i potarł zapałką o draskę.

Pomieszczenie wypełnił nikły blask. Znajdowali się w spiżarni. Niezliczone rozbite butelki świadczyły, że właściciel piwnicy był koneserem win. Oppenheimer wyczuł ciężki zapach alkoholu. Obok leżał Vogler. Tam, gdzie kiedyś były drzwi, tkwiły jego nogi, unieruchomione w stercie gruzu.

Już chciał zdmuchnąć zapałkę, kiedy dokonał ważnego odkrycia. Płomień zachybotał. Gdzieś musiał być przeciąg. A więc przynajmniej się nie uduszą. Zanim płomyk zgasł, wydało mu się, że w kącie pomieszczenia

widzi świecę. Policzył zapałki w pudełku. Jedenaście sztuk. Niezbyt dużo, ale jeśli znalazłby świecę, wystarczyłaby jedna.

Chwycił się półki i zdołał się podciągnąć do góry. Kiedy stanął na nogi, zapalił drugą zapałkę i wyciągnął ramię przed siebie, by światło sięgnęło głębiej w mrok. Nie mylił się. Dalej leżały białe świece. Ostrożnie zaczął torować sobie drogę przez pobojowisko. Już sięgał ręką, ale wzdrygnął się mimo woli. Świece nie tkwiły w zwyczajnym świeczniku. W pełgającym światełku zapałki rozpoznał siedmioramienną menorę, jeden z najważniejszych żydowskich symboli. Opuszki palców przeszył mu ból, kiedy dopaliła się zapałka. Znowu ogarnęły go cienie, a piwnica pogrążyła się w mroku, lecz obraz menory jak upiorny powidok pozostał mu przed oczami. Czy to znak od Boga?

Niemal natychmiast włączył się jego krytyczny umysł, jakim zawsze się szczycił. Menora nie była boskim znakiem. Świadczyła tylko o tym, że Gruppenführer SS Reithermann bez skrupułów wzbogacił się kosztem byłego właściciela, którego pewnie już dawno odtransportowano do obozu koncentracyjnego.

Oppenheimer zapalił jedną ze świec i wtedy dotarło do niego, że Reithermann żył jak pączek w maśle. W piwnicy znajdowały się zapasy jedzenia, niepojęte dla kogoś, kto musiał sobie radzić z kartkami żywnościowymi. Ale nie miał czasu na dokładną inspekcję. Najpierw musiał zająć się Voglerem.

– Może pan ruszyć nogami? – zapytał.

Esesman pokręcił głową.

– Próbowałem je wyciągnąć. To bezcelowe.

Jego nogi były przysypane prawie do kolan. Oppenheimer zaczął ostrożnie usuwać gruz, ale pomijając kilka pomniejszych odłamków, niewiele mógł odgarnąć. Większe kawały były beznadziejnie zakleszczone.

– Może uda mi się wyciągnąć pańskie nogi z oficerek – rzucił do Voglera. – Niech pan da znać, jeśli ból będzie zbyt duży.

Odstawił menorę na bok. Nachylił się i chwycił zasypanego pod pachy. Stanął w stabilnej pozycji i zaczął ciągnąć. Vogler oddychał nierówno. Oppenheimer zacisnął zęby i zebrał wszystkie siły. Centymetr po centymetrze przyciągał ciało mężczyzny do siebie. W końcu coś puściło i komisarz klapnął na ziemię. Vogler upadł na niego. Przez jakiś czas obaj zupełnie wyczerpani leżeli na podłodze. W końcu esesman stoczył się

z niego. Jego stopy spuchły i przypominały nieforemne buły, ale nie było widać krwi.

– Niewiele tu można zrobić – oświadczył Oppenheimer. – Nie mamy jak ich schłodzić, żeby zmniejszyć obrzęk. Pozostaje nadzieja, że ktoś nas odkopie.

– Willa była już zrujnowana – powiedział dobitnym tonem Vogler. – Komu przyjdzie do głowy, że kogoś tu zasypało na nowo?

– Rozejrzę się. Może jest jakieś wyjście awaryjne.

Bezskutecznie obszukał ściany. Nie było nawet komina, którym można by się dostać na górę. Tkwili w pułapce.

– Nic. – Westchnął. – Przynajmniej nie zginiemy z głodu. – Pokazał na puszki z konserwami, ustawione w jednej z szafek. – Do picia też jest dość. Zupełnie jak w składzie Höcker & Söhne.

Większość butelek była wprawdzie rozbita, ale nawet reszta wystarczyłaby, żeby nie trzeźwieć przez parę tygodni.

Nagle dobiegł ich głuchy dźwięk. Oppenheimer musiał dobrze nadstawić uszu, by rozpoznać go przez grube ściany piwnicy.

– To… znowu alarm. Zaczyna się.

– Te podłe świnie – zaklął Vogler. – Dlaczego Göring nic z tym nie robi?

Oppenheimer poszukał radioodbiornika. Skoro składowano tu zapasy żywności, możliwe, że Reithermann traktował to pomieszczenie jako schron. Dzięki komunikatom radiowym mieliby przynajmniej jakie takie pojęcie, co się dzieje na zewnątrz, nie byliby zdani na domysły, które zwykle rysowały mroczniejszy obraz sytuacji, niż był on w rzeczywistości. Gdziekolwiek jednak zaglądał, radia nigdzie nie znalazł. Byli całkowicie odcięci od świata. Nie minął kwadrans, a ziemia znowu zadrżała. Oppenheimer zgasił sześć świec, żeby oszczędzać światło. Zastanawiał się, czy Lisa zdążyła zejść do schronu. Odgłosy nad ich głowami były stłumione, ale jeśli dobrze się wsłuchać, dało się rozpoznać nie tylko huk bomb, lecz także terkot przeciwlotniczych flaków. Wyglądało to na ciężki atak. Wyobraźnia podsuwała mu okropne obrazy, wizje piekła pożaru, szalejącego nad ich głowami i rozgrzewającego ściany piwnicy, w której upieką się żywcem, wizje walącego się stropu, grzebiącego ich pod wielotonowym ciężarem, wizje bomby, przebijającej betonową powłokę, by rozerwać ich na strzępy. Czuł, jak powoli ogarnia go przerażenie. Już nie był zwolnionym ze służby komisarzem, nie był już Żydem, był tylko

bezbronnym stworzeniem, drżącym ze strachu o własne życie. Instynktownie sięgnął po fiolkę w kieszeni płaszcza. Musiał wziąć tabletkę, inaczej nie wyjdzie z tego o zdrowych zmysłach.

Powiódł językiem po krawędziach pigułki. W przypływie paniki nie przyszło mu do głowy, by otworzyć butelkę wina i popić tabletkę. Połknął ją na sucho i już po chwili poczuł pierwsze objawy ulgi. Głód jego organizmu, domagającego się kolejnej dawki, wreszcie został zaspokojony, ciało wiedziało, co teraz nastąpi, i nastawiało się na błogie efekty. Jeszcze chwila i groza zelżeje. Będzie tak jak dawniej, kiedy w niezawisły sposób piastował swoje stanowisko w policji kryminalnej. Czekał, aż jego dawna osobowość weźmie górę.

Vogler łypnął na niego okiem.

– Co to jest? – zapytał. Zmrużył oczy, żeby odczytać napis na fiolce. – Czy to… pervitin?

Oppenheimer przytaknął.

– Da mi pan jedną?

Prośba trafiła go jak walnięcie obuchem. Poczuł się rozdarty, wszak była to jego żelazna rezerwa. Z drugiej strony Vogler był w wielkiej potrzebie. Doskwierał mu ból, nawet jeśli przez ostatnie minuty trzymał się w ryzach i nawet nie pisnął. Z ociąganiem dał mu tabletkę. Vogler rozgryzł ją i połknął.

– Dobre. – Westchnął z zadowoleniem. Po chwili zapytał: – Potrzebuje pan trochę?

– W jakim sensie?

– Pervitin. Mogę załatwić bez recepty. Osoby na służbie dostają własny kontyngent. Wiedział pan, że to jest również w naszej czekoladzie dla czołgistów? – Vogler nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

Oppenheimer pokręcił głową. A potem też zaczął się śmiać.

– Mój dowódca na froncie nazywał pervitin „pigułkami Göringa” – zarechotał Vogler.

– Dobre. – Oppenheimer zanosił się od śmiechu, chwytając powietrze.

Właściwie wcale nie było mu wesoło, a mimo to zaśmiewał się do łez.

– Jest jeszcze jedno określenie – wydusił z siebie Vogler. – „Sztukasowe tabletki”!

Zarżeli z uciechy. Wkrótce potem Oppenheimera zaczęła boleć przepona.

– Załatwię panu nowe, jeśli się stąd wydostaniemy. Ile pan potrzebuje? Tysiąc sztuk?

Komisarz spoważniał. Tysiąc tabletek to niewyobrażalna liczba.

– No, jeśli by pan mógł… – wyjąkał.

– Ależ naturalnie. Musimy przecież trzymać sztamę, my dwaj.

Oppenheimer rozejrzał się wokół.

– Nie licząc pervitinu i radia, mamy tu właściwie wszystko, co trzeba. Konserwy, alkohol. Dałoby się wytrzymać jakiś czas. Może odkopią nas dopiero po zakończeniu wojny. – Roześmiał się znowu.

– Wtedy wreszcie zobaczę Germanię.

Oppenheimer wziął słowa Voglera za żart, ale błyszczące oczy Hauptsturmführera przekonały go, że się myli.

– Może. Jeśli odkopaliby nas za sto lat, ciekawe, co byśmy wtedy zobaczyli.

Oppenheimer dostrzegł nowy rys w osobowości Voglera: w głębi duszy tamten był marzycielem.

– Wie pan – ciągnął esesman – mój kuzyn pracuje w biurze architektonicznym Speera. Jest taki szkic, narysował go Speer, by pokazać Hitlerowi, co zostanie kiedyś po Germanii. Jak będą wyglądały ruiny za tysiące lat. Nasze dziedzictwo dla potomności. Widziałem ten rysunek. Czegoś bardziej podniosłego nigdy wcześniej nie miałem w ręku. Wyglądało to prawie jak… – szukał właściwych słów – …jak starożytny Rzym.

– To żyjemy w nowożytnym Rzymie? – rzucił powątpiewająco Oppenheimer.

– Istnieją niezbite analogie – obstawał przy swoim Vogler. – Niemiecki salut, który Rzymianie zapożyczyli z naszej germańskiej kultury, a nawet SS. Leibstandarte Adolf Hitler, gwardia przyboczna Führera, pełni dokładnie tę samą funkcję co gwardia pretorianów – ciągnął z dumą. – Jak pan myśli, do którego rzymskiego cesarza podobny jest Hitler?

– Właściwie to znam tylko Juliusza Cezara i Nerona – odpowiedział zaskoczony komisarz.

Vogler się roześmiał.

– Chyba najprędzej do Nerona. Niestety, błędnie się go dziś ocenia. W rzeczywistości był dobrym politykiem. Pokładał zaufanie

w pretorianach, rozumiał, że trzeba reagować siłą. I że należy wyplenić stare, jeśli chce się stworzyć nowe.

– Gdzieś czytałem, że Neron, by umocnić swą sławę, chciał stworzyć nową stolicę Neropolis. Dlatego podpalił Rzym.

Vogler myślał przez chwilę, a na jego ustach błąkał się uśmiech.

– Oczywiście jest jedna istotna różnica między Führerem a Neronem – powiedział w końcu. – Neron był wariatem.

I zaśmiał się znowu, ale tym razem z lekkim opóźnieniem. Czy mu się wydawało, czy tamten naprawdę spojrzał przy tym znacząco? Oppenheimer stanął przed zagadką. Czyżby Vogler miał też inne oblicze? W co tak naprawdę wierzył?

– Muszę się wysikać – odezwał się w końcu.

Vogler wskazał kąt piwnicy.

– Tam chyba jest kubeł.

Esesman ciekawie przyglądał się obrzezanemu penisowi Oppenheimera, kiedy ten załatwiał się do wiadra.

– Skąd pan wie tyle o Rzymie? – zapytał komisarz.

– Mój ojciec był nauczycielem łaciny. To właściwie jedyna rzecz, jakiej mnie nauczył.

– Użył pan czasu przeszłego. Czyżby już nie żył?

– Myślę, że żyje – odpowiedział zdawkowo. Kiedy Oppenheimer usiadł, rzekł poufnym tonem: – Nie rozumiem jednego. W pańskich aktach stoi, że ma pan córkę. Ale zgodnie z moimi informacjami w *Judenhausie* zameldowani jesteście tylko pańska żona i pan.

Oppenheimer milczał chwilę, zanim odpowiedział.

– To było takie… niepotrzebne. Zachorowała na odrę, jak inne dzieci. Nie przejmowaliśmy się tym zbytnio. Ale jej organizm był osłabiony, a potem doszło zapalenie płuc. Nie dała rady. Umarła, mając sześć lat. W kwietniu tego roku stałaby się pełnoletnia.

– Jak to jest, kiedy umiera własne dziecko? – dopytywał Vogler.

Oppenheimer nie potrafił powiedzieć, czy w oczach Hauptsturmführera dostrzegł współczucie, czy ciekawość.

– Początkowo się myśli, że to tylko zły sen, że nazajutrz człowiek się obudzi i wszystko będzie po staremu. Tymczasem budzi się, następnego dnia znowu i znowu, ale zły sen nie chce się skończyć. Jest w tym pewna tajemnica. Obojętne, co się robi, przetrzymać tego się nie da. Można to

najwyżej zaakceptować. Myślę, że z czasem mi się udało. Pomijając wszystko inne, w naszym życiu na zawsze pozostaje pustka, przypominająca nam o zmarłych. Zwłaszcza wtedy… – oczy mu zwilgotniały, odchrząknął – …kiedy się ich kochało. Nigdy nie gadałem po próżnicy, gdy jeszcze żyła. Mogę mieć tylko nadzieję, że Emilia wiedziała, że jest kochana. Nigdy nie będę mógł jej o tym powiedzieć albo udowodnić tego własnym postępowaniem. Tęsknię za nią każdego dnia. Może wkrótce ją zobaczę.

Pomieszczenie wypełniła cisza. Nalot ustał na jedną krótką chwilę, jakby odegnany nadprzyrodzoną siłą. Stopniowo Oppenheimer zaczął powracać do rzeczywistości, a wraz z nim dźwięki. Z nieba sypał się deszcz metalu i ładunków wybuchowych.

Wydawało mu się, że śpi. Pomieszczenie wypełniało metaliczne stukanie. Zerknął na świecę w menorze. Został z niej tylko płonący ogarek. Musiało minąć trochę czasu, ale nie potrafił ocenić ile. Nie miał pojęcia, jak długo zwykle pali się taka świeca. Może powinien był lepiej uważać w szkole. Usiadł z wysiłkiem i zapalił następną. Działanie pervitinu ustało. Jego wnętrzności znów ścinał niepokój. Ale odczuwał coś jeszcze. Burczało mu w brzuchu. Rozejrzał się i popatrzył na Voglera. Esesman doczołgał się do rur wodociągowych i walił w nie rytmicznie. Sygnalizował, że w piwnicy są zasypani, na wypadek gdyby ktoś ich szukał.

Widząc spojrzenie Oppenheimera, wyjaśnił:

– Radiotelegrafista wie, gdzie jesteśmy. Może przyśle kogoś, jeśli nie będzie miał ode mnie wiadomości.

Oppenheimer popatrzył na konserwy. Pora uszczuplić zapasy. Przeglądając półki w poszukiwaniu czegoś smacznego, odkrył puszkę z golonką. Zdawało mu się dość nieprawdopodobne, by żydowscy właściciele domu przechowywali tu żywność, która nie jest koszerna. Tym samym jasne było, że to Reithermann chomikował w piwnicy jedzenie. Komisarz zastanawiał się, skąd on wytrzasnął taką liczbę konserw – wypełniały dwie wielkie szafy. Zdecydowanym ruchem sięgnął po puszkę z golonką. I tak miał do wyrównania dawne porachunki z Panem Bogiem. Nie rozumiał, jak Bóg mógł do tego dopuścić – nie tylko do tego, co się działo z jego narodem, ale do cierpienia, jakie przyniosła ta wojna. To mogło oznaczać jedno z dwojga: albo Bogu było to obojętne, albo po prostu

nie istniał. Oppenheimer poczuł wielki gniew na siebie, na swoje dziecinne przesądy, które wzięły nad nim górę na widok menory. W końcu postanowił stawić Bogu czoła i zignorować zasady kaszrutu. Zamierzał spożyć niekoszerną golonkę.

Sięgnął do kieszonki na piersi po scyzoryk. Zmienił jego funkcję na otwieracz do konserw, parę razy wbijając ostrze w metalowy brzeg, a potem odgiął część wieczka.

Krojąc golonkę na kawałki i wkładając je sobie do ust, pomyślał, że dawno już nie miał okazji jeść czegoś tak pysznego. I że aby tego dostąpić, musiał zostać zasypany. Zwariowany świat.

– Chce pan trochę? – zapytał Voglera, ale ten potrząsnął głową.

W mrocznym kącie piwnicy Oppenheimer dostrzegł gramofon. Już samo jedzenie okazało się błogością, jednak jedzenie przy muzyce było czymś dużo, dużo lepszym.

– Pohałasuję trochę, żeby nas było lepiej słychać – oznajmił i sięgnął po pierwszą lepszą płytę, nie zwracając uwagi na okładkę.

Spodziewał się muzyki marszowej, może jakiejś operetki. Ale dźwięki, które popłynęły z tuby, były zupełnie inne. Okazały się przesłaniem z dalekiej przeszłości. Kurt Gerron i Willy Trenk-Trebitsch śpiewali *Song armatni*. Oppenheimer już prawie nie pamiętał *Opery za trzy grosze*. Partia pogardzała muzyką Kurta Weilla, uznawała ją za wynaturzoną. A ponieważ autorem tekstu był Bertold Brecht, otwarcie sympatyzujący z komunistami, dzieło musiało wylądować na indeksie. Szkoda, bo podobała mu się ta muzyka. Jej gorączkowy rytm przypominał Berlin lat dwudziestych. Wtedy miasto było głośne, wulgarne, brudne, zuchwałe i ekscytujące. Chociaż jego blask w rzeczywistości okazał się może tylko tanią pozłotką, jednak świecił daleko poza granice. Ludzie żyli jak na autostradzie i z gazem dociśniętym do deski pędzili ku przepaści światowego kryzysu. Teraz miasto było cieniem tamtego Berlina. Zniknęło wrażenie, że jest pępkiem świata, że tętni pełnią życia. Teraz Berlin stanowił co najwyżej pępek Tysiącletniej Rzeszy, a od jednolitej szarości odcinał się tylko jeden kolor: czerwień flag ze swastyką.

Vogler należał do pokolenia, które nie dzieliło już wspomnień Oppenheimera o młodym i pełnym temperamentu Berlinie. Ale przynajmniej podobała mu się muzyka tamtej epoki. Z uśmiechem stukał w rury do taktu.

– Co to jest? Nigdy tego nie słyszałem! Ha ha! – zawołał.

Oppenheimer prawie udławił się kawałkiem golonki. Kiedy tak o tym myślał, to znajdował się w ciekawym położeniu. Zasypany tonami gruzu, siedział razem z oficerem SS i słuchał muzyki żydowskiego kompozytora do słów lewicowego poety. Czy to już podchodziło pod działania dywersyjne? Cóż, przynajmniej mógł się usprawiedliwić, że nie znalazł w piwnicy żadnych innych płyt.

„Żołnierze mieszkaaaaają na armaaaatach…” – niosło się chrypliwie po piwnicy.

Nie minęła chwila i Vogler zaśpiewał do wtóru refren.

Oppenheimer, pochłonąwszy golonkę, przejrzał inne płyty, ale mimo najlepszych chęci nie znalazł niczego, co nie godziłoby w tak zwane niemieckie poczucie narodowe. Po jakimś czasie zaczął znajdować perfidną satysfakcję w bombardowaniu Voglera wywrotową muzyką. Puścił kolejny utwór z *Opery za trzy grosze*. Po *Jenny Piratce* zabrzmiała *Ballada o przyjemnym życiu*, a po niej *Pieśń o daremności ludzkich wysiłków*. Vogler zdawał się nie zwracać uwagi na teksty. Raz po raz wesoło porykiwał tylko refren *Songu armatniego*. W komisarzu zakiełkowało niemiłe podejrzenie, że esesman nie dostrzega satyrycznego przesłania piosenki.

Po paru godzinach się zmienili. Oppenheimer stukał w rury, a Vogler zajął się gramofonem. Właśnie podniósł ramię znad płyty, kiedy ołowiana rura zawibrowała pod dotykiem Oppenheimera i dało się słyszeć słabe stukanie. Mężczyźni drgnęli. Ktoś na powierzchni zwrócił na nich uwagę.

– Halo!!! – wrzasnął komisarz i uderzył w rurę, a potem przyłożył do niej ucho.

Ktoś ponownie zastukał w przewód.

Odstukał dwa razy. Z góry odpowiedziały dwa stuknięcia.

– Znaleźli nas – wyszeptał.

Vogler przysunął się do rury i nasłuchiwał z natężeniem.

– Jesteśmy na dole! – zawołał Oppenheimer.

Miał nadzieję, że rura przesyłała fale dźwiękowe.

Z przewodu dobiegło coś w rodzaju nikłego „halo?”.

– W piwnicy! – krzyknął. – Zasypało wejście! Przy schodach!

Rozległ się dźwięk, którego nie potrafił zidentyfikować. I nic więcej.

– Halo? – zawołał Vogler.

Nic.

– Do jasnej anielki, nie mogą tak po prostu sobie pójść! – rozjątrzył się Oppenheimer.

Ponownie uderzył w rurę. Nic.

– Niech pan zaczeka – odezwał się Vogler.

Wziął do ręki kawał kamienia i uderzył w rurę ostrą krawędzią. Wystarczyło parę ciosów i w rurze pojawił się otwór.

– Halo! – zawołał do środka.

Żadnej odpowiedzi.

– To nie może… – zaczął i urwał w połowie zdania.

Od strony zasypanego wejścia dobiegło nikłe szuranie. W napięciu wpatrywali się w tamto miejsce. Rumowisko drgnęło nieznacznie, posypał się gruz.

Vogler podskoczył.

– Ktoś tam kopie! – A potem zakrzyknął co sił w płucach: – Tu Hauptsturmführer Vogler!!! Jesteśmy na dole!!

W odpowiedzi usłyszeli czyjś niewyraźny głos.

– Szybko, na bok z tym – zarządził Oppenheimer i zaczął odsuwać kamienie.

Większość była zakleszczona, potrzebował mnóstwo siły, by odciągać fragmenty muru. Nie zwracał uwagi, gdzie je rzuca, pracował coraz bardziej zawzięcie. Vogler przyłączył się do niego.

Wreszcie znowu usłyszeli głos. Był już tak blisko, że mogli rozumieć słowa.

– Halo! Macie tam powietrze?

– Tak, da radę! – zawołał Oppenheimer. – Tylko nas stąd wyciągnijcie!

– Trochę to jeszcze potrwa! – dobiegła stłumiona odpowiedź. – Ale posiłki już wezwane!

Przez kolejne dwie godziny byli zajęci odgruzowywaniem. Zaczęło rwać go w barku, mięśnie protestowały, ale nie odpuszczał, odsłaniał kolejne zwały, kopał gołymi rękoma w rumowisku, aż połamał paznokcie i zdarł naskórek z dłoni. Powietrze było gęste od kurzu, lecz nie zaprzątali sobie głowy kaszlem, tylko coraz głębiej wgryzali się w hałdę gruzu.

Nagle w ich stronę posypały się cegły. Snop światła przeciął półmrok, a do środka tchnął powiew powietrza, rozganiając pył. Oppenheimer

zobaczył jakiegoś człowieka. Spod przymrużonych powiek rozpoznał starca, którego spotkał przed willą. Stary uśmiechał się z zadowoleniem.

– Tak se myślałem, że tu będziecie! – zawołał. – Przecież byście nie zostawili samochodu!

Usunęli na bok jeszcze parę cegieł, a potem zdołali się przedrzeć przez otwór. Silne ręce chwyciły Oppenheimera za nadgarstki. Należały do dwóch strażaków w mundurach. Uwolniony komisarz zauważył, że młokosom jeszcze nawet nie sypał się wąs. Dawał im jakieś dwanaście, piętnaście lat. Musieli zająć miejsce ojców, którzy zapewne pojechali na wojnę.

– Wielkie dzięki – powiedział wyczerpany i otrzepał płaszcz.

– Jaki dziś mamy dzień? – zapytał Vogler, siedzący na kupie gruzu w kącie zrujnowanej klatki schodowej.

– Sobota – rzekł stary. – Jutro Zielone Świątki. Udało wam się wydostać przed świętami. Byliście uwięzieni pięćdziesiąt godzin.

„Pięćdziesiąt godzin” – z przerażeniem powtórzył w myślach Oppenheimer. Stracone ponad dwa dni. Może szalony morderca znowu zaatakował, a oni nie zdołali go powstrzymać, walcząc o przetrwanie pod zwałami kamieni.

– Musi pan iść do lekarza – zwrócił się Oppenheimer do Voglera. – Ja poprowadzę dalej dochodzenie. Może pan stać?

Esesman dźwignął się na próbę. Wspierany przez młodziutkich strażaków, zdołał dojść do samochodu. Kiedy usadowili go na siedzeniu pasażera, Oppenheimer usiadł za kierownicą i włożył kluczyk do stacyjki.

– Na pewno może pan jechać? – upewnił się jeden z chłopców.

– A ma któryś z was prawo jazdy? – zapytał Oppenheimer.

Zwiesili głowy z zażenowaniem.

– Ja umiem jeździć tylko na rowerze – przyznał stary.

– W takim razie nie mam wyboru – uciął Oppenheimer. Zanim zapuścił silnik, przyszła mu jednak do głowy pewna myśl. – Tia, właściwie to nie wiem, czy mogę – mruknął.

– Co? – chciał wiedzieć Vogler. – Czego pan nie może?

– Prowadzić samochodu. Otóż sprawy mają się następująco: jako Żydowi odebrano mi prawo jazdy. Oficjalnie nie wolno mi kierować tym pojazdem.

Vogler jęknął z irytacją i burknął:

– Niechże pan jedzie!

W drodze do najbliższego szpitala esesman pogwizdywał *Song armatni*. Oppenheimer uśmiechał się ukradkiem, myśląc, że jedno trzeba było przyznać: wrogowie zdrowego niemieckiego ducha potrafili jednak pisać dobre melodie.

13

sobota, 27 maja 1944 – niedziela, 28 maja 1944

Zawiózłszy Voglera do Szpitala Miejskiego przy Landsberger Allee, Oppenheimer poczuł, jak wzbiera w nim gorączkowy niepokój. Nie chciał siedzieć bezczynnie. Sprytnie wymusił na Hauptsturmführerze zgodę na wypożyczenie samochodu na święta. Dzięki temu mógł się swobodnie poruszać i bez Hoffmanna. Jeśli zostałby zatrzymany przez policjanta z drogówki lub jakiegoś partyjniaka, co ze względu na numery rejestracyjne SS było raczej mało prawdopodobne, miał się powołać na Voglera. Wiedział, że nie będzie mógł zatankować. Benzyna była towarem deficytowym, niedostępnym dla osób prywatnych. Ale bak był w połowie pełny, to musiało wystarczyć na te parę dni.

Oppenheimer miał bolesną świadomość, że brakuje mu doświadczenia za kółkiem. Jechał więc nieco wolniej, licząc, że nie spowoduje wypadku. Był już w drodze do Zehlendorfu, kiedy zmienił plany i wrócił do *Judenhausu*. Lisa nie widziała go od dwóch dni i na pewno się zamartwiała. Nie zastał jej jednak. Stał bezradnie w kuchni, potem wyrwał kartkę z notesu i skreślił krótką wiadomość, że nic mu nie jest i wróci za trzy godziny. To powinno wystarczyć, by obejrzeć miejsce znalezienia drugiej ofiary na Kreuzbergu.

Prawa ręka kamiennego giganta była zaciśnięta w pięść i spoczywała na udzie, podczas gdy lewa leżała na piersi. Olbrzym spoglądał z cokołu na ziemię. W zasięgu jego wzroku znajdowało się dokładnie to miejsce, w którym przed prawie piętnastu tygodniami znaleziono szczątki Julie Dufour. Oppenheimer odniósł wrażenie, jakby posąg swym ponurym wyrazem twarzy kwitował tę barbarzyńską zbrodnię, ale napis na postumencie wyraźnie mówił, że kolos opłakuje poległych w pierwszej wojnie światowej. Niegdyś u jego stóp rozciągał się trawnik, teraz rosła tu marchew. Zaopatrzenie w żywność było tak złe, że niemal każdy skrawek

zieleni wykorzystywano pod uprawę warzyw. Również i tutaj z ziemi kiełkowała zielona nać i trudno było sobie wyobrazić, że jeszcze kilka miesięcy temu leżał tu trup.

O ciało Julie Dufour potknął się pijany muzyk orkiestry, który chwiejnym krokiem przemierzał plac. Kiedy w swym upojeniu rozpoznał w końcu, na co upadł, ogarnęło go bezgraniczne przerażenie. Zataczając się, pośpieszył ku pierwszej lepszej bramie i dzwonkiem wyrwał mieszkańców ze snu. Trochę to trwało, zanim zdołał wyartykułować nowiny. Kiedy dwaj z lokatorów naocznie przekonali się, że bełkot odpowiada jednak prawdzie i w pobliżu rzeczywiście leży okrutnie zmasakrowana kobieta, zawiadomili policję.

Oppenheimer wnikliwie przeczytał protokół. Pijak nie widział sprawcy. Prowadzący dochodzenie funkcjonariusze SD pytali nawet, czy w pobliżu nie zauważył jakiegoś podejrzanego pojazdu. Ale alkohol do tego stopnia zamroczył jego umysł, że jako świadek był bezużyteczny.

Stojąc przed pomnikiem i przyglądając się okolicznym kamienicom, komisarz odnotował pewne podobieństwo do Oberschöneweide. Tutaj także trupa zasłaniały gęste korony drzew. Łatwo było zaparkować w pobliżu i niezauważenie przenieść nieżywą kobietę. Od północnej strony poczynania mordercy przesłaniał kamienny monument, za to od południowej rozciągał się widok na szeroką Baerwaldstraße. Chociaż zabójca złożył ciało w samym środku Berlina, to akurat w tym miejscu niebezpieczeństwo nakrycia było stosunkowo niewielkie. Plac okazał się wręcz idealny do pozbycia się zwłok. Oppenheimer zastanawiał się, czy to przypadek, że tu również stoi pomnik upamiętniający ofiary wojny, ale przypomniawszy sobie oba pozostałe miejsca, porzucił tę hipotezę. I w Oberschöneweide, i w Marienfelde morderca zaprezentował kobiece zwłoki u stóp obelisku. W całym mieście było mnóstwo podobnych. Sprawca mógł bez trudu wybrać te, które odpowiadały jego wyobrażeniom. To oznaczało jednocześnie, że planował ze sporym wyprzedzeniem. Nie popełniał zbrodni w afekcie, tak jak Großmann. Wniosek był zatem taki, że najprawdopodobniej wyszukiwał ofiary celowo. Ale co łączyło te trzy kobiety? Oppenheimer znów stanął przed kwestią, która zaprzątała go już w zeszłym tygodniu.

Zmierzchało. Czuł narastające zmęczenie. Na domiar złego zużył wszystkie tabletki pervitinu. Akurat teraz przydałby mu się zastrzyk energii.

Potrząsnął głową. Nie, pora wracać do domu. Musi zatroszczyć się o Lisę.

Kiedy wrócił do *Judenhausu*, żony nadal nie było. Słaniając się na nogach, zdołał jakoś dowlec się do pokoju, zdjąć płaszcz, po czym padł na łóżko i natychmiast zasnął.

Obudził go szloch. Poczuł otaczające go ramiona. Jak przez mgłę zobaczył twarz Lisy i na wpół śpiąc, wyjaśnił, że został zasypany. Zanim zdążył sprecyzować, zapadł ponownie w głęboki sen pozbawiony marzeń.

Z łóżka zgonił go głód. Przez okno zaglądało do środka słońce. Lisa spała obok niego. Pocałował ją w policzek, ostrożnie, żeby jej nie obudzić. Wstał i poczłapał do kuchni. Znalazł w garnku ugotowaną marchew. Natychmiast stanęła mu przed oczami policyjna fotografia, przedstawiająca ciało Julie Dufour rozpostarte na posłaniu z warzywnej zieleniny. Myśl ta w żaden sposób nie pomniejszyła jego apetytu. Wyczuł za plecami ruch – to Lisa objęła go od tyłu.

W pierwszej chwili zdołał jedynie przełknąć i nakryć dłońmi jej dłonie.

– Nic się nie stało – powiedział. – Coś przegapiłem?

Żona wzięła się w garść i odpowiedziała załamującym się głosem:

– Niewiele. Stara Schlesingerowa kazała wymienić szybę w oknie. Wczoraj powiedziałeś, że cię zasypało. Gdzie byłeś?

Początkowo chciał tylko w skrócie opowiedzieć jej, co się wydarzyło. Ale jego relacja okazała się dłuższa, niż planował. Po dniach wypełnionych lękiem Lisa miała prawo wiedzieć, czego dotyczy śledztwo. Do tej pory oszczędzał jej szczegółów, bo sprawa była drażliwa, a w dodatku miała klauzulę tajności. We wczesnych latach ich małżeństwa wielkim problemem było to, że chciał ochronić żonę przed tym, czego doświadczał w pracy. Dość prędko zauważył jednak, że ich związek cierpi na skutek tego zatajania. Z czasem nauczyli się rozmawiać o potwornościach, którymi się zajmował.

Lisa ze spokojem przyjęła nowinę, że Oppenheimer ściga szaleńca. Podejrzewał, że z biegiem lat zaakceptowała to, iż musi dzielić się mężem z gangsterami i kryminalistami. Mimo wszystko potrząsnęła głową.

– Powinieneś się wycofać. Podejmujesz niepotrzebne ryzyko.

– Nie mam wyboru – odpowiedział. – SS trzyma mnie w garści. Dopóki będę robił, czego chcą, jesteśmy bezpieczni. Może nawet moglibyśmy wyciągnąć z tego jakieś korzyści.

– Nie mają nikogo innego?

– Większość moich kolegów jest na froncie albo nie żyje.

– To już nie są twoi koledzy. Nie jesteś policjantem.

– Wiesz, co mam na myśli. Zaraz muszę lecieć do Hilde, ze względu na śledztwo. Potem od razu wracam do domu. Chcesz jutro pojechać ze mną do Marienfelde?

Może to i mało romantyczne, zabierać damę swego serca na oględziny miejsca znalezienia zwłok, ale po godzinach wypełnionych śmiertelnym strachem chciał mieć Lisę przy sobie.

– Baranek ofiarny polubił swego oprawcę. Czy ktoś słyszał coś podobnego?

To była cała Hilde. Oppenheimer wyraził tylko przypuszczenie, że Vogler może nie jest taki jak inni hitlerowcy. W ciągu tych godzin, które spędzili razem zasypani, odniósł wrażenie, że poznał innego Voglera, człowieka, który może nosi w sobie jakieś pokłady dobroci. W nieokreślony sposób, którego nie potrafił dokładniej zdefiniować, czuł, że czas w piwnicy połączył ich jakąś więzią.

Hilde oczywiście nie chciała o tym słyszeć. Oppenheimer prawie pożałował, że podzielił się z nią swoimi przemyśleniami.

– Nie, świński ryj to świński ryj – oświadczyła i wychyliła kieliszek czystej. – Uważaj, żeby nie zaczął cię indoktrynować. To typowy wzorzec: najpierw pozyskuje się zaufanie, a potem manipuluje.

– A co on tam może manipulować. – Machnął ręką. – W śledztwie to fakty mówią za siebie.

– A jeśli on chce cię przywieść do tego, byś poprowadził śledztwo w pewnym określonym kierunku?

– I co z tego będzie miał? Jemu też chodzi o schwytanie mordercy.

– Vogler to oportunista, jak wszyscy partyjniacy. Zrobi to, co mu przyniesie największą korzyść. W tajnym śledztwie wszystko kręci się wokół polityki.

– Bredzisz. Sprawę utajniono tylko dlatego, że ten Reithermann ma odpowiednie wejścia. Nic więcej się za tym nie kryje.

– Obyś miał rację. Niestety, moje obawy mają ten brzydki zwyczaj, że się sprawdzają.

– Lepiej powiedz, co sądzisz o mojej hipotezie, że zbrodnie były zaplanowane z dużym wyprzedzeniem.

– Brzmi logicznie. W Marienfelde jeszcze nie byłeś?

– Niestety nie. Załatwię to jutro z samego rana.

– Zdziwiłabym się, gdyby tam było inaczej. Już samo to, że nikt nie widział mordercy, przemawia za stwierdzeniem, iż sprawca dobrze wiedział, co robi. Rzuciło ci się w oczy coś jeszcze?

– Hm… wszystkie zwłoki kobiet znaleziono przy pomnikach. Coś je łączy.

– Pierwsza wojna światowa – dokończyła jego myśl Hilde. – Przewija się cały czas. Sprawca złożył te kobiety u stóp pomników jak na ołtarzu. Może motywem jest zemsta. Tylko za co? Kiedy wojna wybuchła, ofiar nie było jeszcze na świecie. Mimo to nie zdziwiłabym się, gdyby zbrodniarz miał coś wspólnego z „zafajdaną wojną”.

– To może oznaczać tylko jedno: że sam walczył. Jeśli to prawda, musiałby mieć więcej niż czterdzieści lat.

– Tak – zgodziła się i utkwiła wzrok w oddali.

Oppenheimer zmienił płytę. Poniewczasie pożałował, że nie zabrał płyt z piwnicy. Nie miał pojęcia, kiedy znów będzie miał okazję słuchać urywków z *Opery za trzy grosze*. Zamiast tego puścił pierwszy lepszy krążek z kolekcji.

– No, to już jest coś – powiedziała Hilde. – Wreszcie wiemy więcej o sprawcy. Pytanie oczywiście, dlaczego zaczyna mordować kobiety akurat teraz. Nie jest już młodzieniaszkiem. Sporo przemawia za tym, że stał się zbrodniarzem w trakcie długotrwałego procesu.

– Musimy w każdym razie sprawdzić, czy wcześniej były podobne przypadki – rzucił. – Ale obawiam się, że niewiele znajdziemy.

– Sadystyczne ciągoty mordercy musiały się już kiedyś objawić. Zwykle bywa tak, że po prostu nie wiąże się ze sobą pewnych faktów.

– Wiem. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje w umyśle takiego mordercy.

Prychnęła wzgardliwie.

– Nigdy się tego nie dowiemy. Jeśli Vogler go dorwie, panowie doktorzy zadowolą się pobraniem wymiarów czaszki. Zastanawiam się, dlaczego wszyscy mają taką obsesję, by oceniać człowieka po wyglądzie.

– A ja byłbym ciekaw, jakie rezultaty przyniosłyby pomiary czaszek naszych nazistowskich elit.

Hilde skwitowała tę myśl uśmiechem.

– Na koniec okazałoby się, że Rudolf Hess tylko dlatego dał drapaka do Anglii, ponieważ ma czaszkę jak Frankenstein.

Oppenheimer zaśmiał się głośno. Historia z Hessem, zastępcą Hitlera, który trzy lata temu pod osłoną nocy poleciał messerschmittem do Szkocji, narobiła sporo kłopotów propagandowej maszynerii Goebbelsa. Nikt nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego wysoki rangą nazista znienacka składa wizytę wrogowi. Naród gubił się w spekulacjach, co się mogło kryć za tą akcją, krążyły nawet pogłoski, że Hess chciał doprowadzić w ten sposób do pokoju z Anglią. Prasa i radio, zupełnie zaskoczone wyczynem hitlerowskiego księcia koronnego, zareagowały gorączkowo. Aby ograniczyć szkody, podano w końcu w oficjalnym komunikacie, że Hess stał się ofiarą omamów. W to absurdalne wytłumaczenie uwierzyło mniej osób, niż liczyli przywódcy partii.

Komisarz przypomniał sobie krążącą wówczas anegdotę.

– Lud od lat wyśpiewuje *Ruszamy na Anglię*, a kiedy już znajdzie się śmiałek, który rzeczywiście wprowadza w życie znaną wojenną pieśń, robią z niego wariata.

Śmiech Hilde zagłuszył na chwilę *Muzykę na wodzie* Händla, sączącą się z gramofonu. Oppenheimer uznał, że nadszedł właściwy moment, by poruszyć niewygodny temat. Dokładając starań, by jego słowa zabrzmiały jak rzucone mimochodem, zapytał:

– A tak przy okazji, czy nie dałoby się załatwić nowej recepty na pervitin?

Hilde spoważniała.

– Znowu? Dostałeś jedną trzy miesiące temu. Czyżbyś już wszystko zużył?

– Tylko profilaktycznie – zbagatelizował.

Wolał się nie przyznawać, że zaopatrzył się już w tabletki u doktora Kleina.

– Wiesz przecież, co ci mówiłam – upomniała go. – Uważaj, żebyś nie brał za dużo. Od amfetaminy łatwo się uzależnić, nie zapominaj. Jak myślisz, dlaczego od jakiegoś czasu to świństwo jest tylko na receptę? Osobiście uważam za wielką nieodpowiedzialność, że pervitin kiedykolwiek był dostępny bez recepty.

– Pomyślałem sobie, że dobrze byłoby mieć zapas – wykręcał się. – Kto wie, co nas jeszcze czeka. Lisa niezbyt dobrze radzi sobie z tą sytuacją i…

– Urwał, usłyszawszy jakiś obcy dźwięk. – Chwileczkę. Co to było? W gabinecie lekarskim.

Nadstawili uszu. Oppenheimer podniósł ramię gramofonu. Hilde wstała i otworzyła drzwi swej niewielkiej praktyki. W ciszy wyraźnie było słychać, że ktoś stoi na zewnątrz przy drzwiach wejściowych. Dał się słyszeć pełen udręki jęk. A potem nieśmiałe pukanie.

Hilde ostrożnie zbliżyła się do drzwi. Oppenheimer przygotował się na najgorsze. Zastanawiał się, czy nie przebiec przez mieszkanie i wymknąć się przez przednie drzwi. Innej drogi ucieczki nie było, bo na parapetach okiennych stały książki. Z drugiej strony, jeśli ludzie Voglera przyszli za nim aż tutaj, ucieczka nie miała sensu. Specjalnie nie wziął samochodu, zbytnio rzucałby się w oczy. Czy mimo wszystko stał się nieostrożny, ufając, że uda się fortel z zamianą ubrań?

Hilde zacisnęła dłoń na klamce, ale nie odważyła się otworzyć drzwi.

– Jest tam kto? – zapytała.

W odpowiedzi usłyszeli przepełniony bólem skowyt, jakby za drzwiami było zranione zwierzę. Popatrzyli po sobie osłupiali. Zdali sobie sprawę, że to nie mógł być nikt ze służby bezpieczeństwa ani z Gestapo. Za drzwiami z głuchym łoskotem uderzyło o ziemię ciało. Hilde szarpnęła za drzwi.

Na progu leżała skulona postać. Zza ramienia przyjaciółki Oppenheimer zauważył jedynie długie czarne włosy. Dopiero kiedy lekarka nachyliła się, by podnieść tę osobę, zobaczył młodą kobietę. Przyciskała ręce do podbrzusza. Jej sukienka była przesiąknięta krwią.

14

niedziela, 28 maja 1944 – środa, 31 maja 1944

– Prędko, na leżankę z nią – poleciła Hilde.

Razem zaprowadzili kobietę do tylnej części gabinetu. Podczas gdy Oppenheimer ją podpierał, Hilde rozpostarła prześcieradło. Potem możliwie delikatnie ułożyli dziewczynę na kozetce.

– Jeśli chcesz się na coś przydać, to wytrzyj krew z podłogi – odezwała się Hilde. – Zwłaszcza na zewnątrz przed drzwiami. I zagrzej wody. Potrzebuję wrzątku, prędko!

Oppenheimer nie mógł wiele zrobić. Kiedy niezdarnie wytarł podłogę i przyniósł gorącą wodę, usiadł w poczekalni. Hilde tymczasem udzielała pomocy medycznej. Minęła dobra godzina, zanim wyłoniła się z gabinetu i poprosiła, żeby zaprowadził pacjentkę na górę i położył ją do łóżka. Był tak zaskoczony, że nawet nie zapytał, co Hilde łączy z tą dziewczyną.

– Ty głupiutka gąsko – wyszeptała Hilde i delikatnie pogłaskała śpiącą po czole. – Najpierw dajesz sobie zrobić dziecko, a teraz to.

– Chyba jesteś mi winna wyjaśnienie – rzucił.

– Hm, na to wygląda. Ona ma na imię Thea. Odwiedziła mnie parę dni temu. Chciała usunąć ciążę. Wygląda na to, że poszła do jakiegoś felczera, zamiast pozwolić, bym się nią zajęła. Nie rozumiem dlaczego. Podczas zabiegu doznała wewnętrznych obrażeń. Ostrzegałam ją przed tym. U mnie nie spotkałoby jej coś takiego. Dlaczego mnie nie posłuchałaś? – zwróciła się do dziewczyny.

Wezbrało w nim straszliwe podejrzenie.

– Ty jesteś… jesteś…

– Aborterką, fabrykantką aniołków… możesz to nazwać, jak chcesz. Nie jestem z tego dumna, ale ktoś musi pomagać tym nieszczęsnym kobietom. Widzisz, co się dzieje, kiedy chodzą do rzeźników, majstrujących haczykami od wieszaków i tym podobnym. Jak tylko o tym pomyślę! –

Poczerwieniała z gniewu. Kiedy dziewczyna jęknęła cicho, zniżyła głos. – Wyjdzie z tego. Na szczęście miała na tyle oleju w głowie, żeby przyjść do mnie. Prawie się wykrwawiła, a w szpitalu zadawaliby pytania. Podejrzewam, że jestem jedyną osobą, która mogła udzielić jej pomocy lekarskiej, nie donosząc na nią jednocześnie.

Jej wyznanie było dla niego jak cios w splot słoneczny. Nagle zobaczył wszystko w zupełnie innym świetle. Nie mógł zaprzeczyć, że Hilde jest inteligentną, wyrozumiałą i serdeczną osobą. Ale tak samo nie mógł zaprzeczyć, że bywa wręcz nieprzenikniona, nawet dla niego. Niekiedy zbyt prędko oceniała ludzi po charakterze, często też pokazywała swe cyniczne oblicze. Teraz okazało się, że niszczyła ludzkie życie, wszystko jedno, czym się przy tym kierując. Wzdrygnął się.

– Czy ty sobie zdajesz sprawę, co robisz? – zapytał. – Jeśli ktoś się dowie, powieszą cię.

Westchnęła przeciągle.

– Wiem, że to niebezpieczne. Ale muszę to robić. A może mam wysłać kogoś takiego jak Thea do tych wariatów z Lebensborn? Nie potrafiłabym. Tak, pomogliby jej wydać na świat dziecko, a co potem? Wychowaliby je na dzielnego nazistę. A zastanawiałeś się, co się dzieje, jeśli zaklasyfikują jakieś dziecko jako niewarte życia? Panna Friedrichsen prowadziła w ośrodku urząd meldunkowy. Jak myślisz, ile sfingowanych aktów zgonu wystawiła?

– To nie jest usprawiedliwienie.

– Nie rozumiesz? Hitlerowcy chcą zrobić z kobiet maszyny do rodzenia. Nasze macice nie mogą być osobistą własnością Hitlera! Walczę z tym sukinsynem wszelkimi środkami, jakimi dysponuję.

Oppenheimer potrząsnął głową.

– Nie podzielam tego punktu widzenia.

– Cóż, chyba powinnam się była tego spodziewać. W końcu jesteś mężczyzną.

– Nie w tym rzecz. Na marginesie, jestem też policjantem. Wybrałem tę profesję, bo chcę pozbawiać ludzi możliwości zabijania się nawzajem.

– Hm, rozumiem. I sądzisz, że jesteśmy w przeciwnych obozach?

– Nie wiem, co mam sądzić. Godzinę temu byłaś tamtą Hilde, jaką znam, a teraz… teraz muszę poważnie zadać sobie pytanie, czy nie miałem o tobie błędnego wyobrażenia.

Potarła zmęczone oczy.

– Myślę, że nie dojdziemy dziś do porozumienia.

– Tak, chyba powinienem się z tym przespać – potwierdził zasępiony na pożegnanie.

Zgodnie z planem w zielonoświątkowy poniedziałek Oppenheimer pojechał z żoną do Marienfelde, by obejrzeć miejsce znalezienia pierwszej ofiary, Christiny Gerdeler. Na widok limuzyny SS Lisa znieruchomiała. Stojąc w otwartych drzwiach, z niedowierzaniem wodziła wzrokiem po wnętrzu i gładziła siedzenie.

– Rany Julek – wyrwało jej się – to prawdziwa skóra.

Oppenheimer nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Niestety, zazwyczaj nie podróżuję w podobnych luksusach.

Dawniej w wolne dni jeździli na letnisko do podmiejskich miejscowości Berlina lub do Havellandu. Wtedy, kiedy miał posadę w wydziale zabójstw, a Lisa nie musiała pracować, żeby mogli związać koniec z końcem, wszystko było takie proste. Chociaż od tamtej pory minęło zaledwie kilka lat, miał wrażenie, że te wspomnienia sięgają minionego stulecia.

W Marienfelde wiele nie odkrył, mimo to zdołał wyciągnąć kilka istotnych wniosków. Miejsce przy kościelnej sadzawce było dalekie od ideału, jeśli ktoś chciał dyskretnie pozbyć się ciała. Z pobliskich domów roztaczał się nieograniczony widok na plac. Morderca musiał działać bez żadnej osłony. Ale ponieważ Christina Gerdeler była pierwszą znalezioną ofiarą, mógł to być typowy błąd nowicjusza. Nie ustalono, czy tamtej nocy ktoś mu przeszkodził, ponieważ policja najwyraźniej nie uznała za konieczne przepytać okolicznych mieszkańców. W każdym razie sprawca dokładniej zaplanował kolejne zbrodnie i zadbał o odpowiednią osłonę, kiedy składał zwłoki u stóp pomników. Uczył się i z każdym zabójstwem zyskiwał na pewności siebie. Może z czasem nabierze takiej wiary we własne możliwości, że zacznie popełniać błędy. Oppenheimer nie potrafił się cieszyć tymi przypuszczeniami, oznaczały one bowiem, że będą musiały zginąć kolejne kobiety.

Zaraz po świętach na osiedlu funkcjonariuszy zjawił się Vogler. Miał sporo szczęścia, bo ani kości śródstopia, ani piszczele nie były złamane. Kuśtykając i opierając się na lasce – opuchlizna jeszcze nie zniknęła –

wyszedł na spotkanie Oppenheimerowi. Bez problemu odnalazł Gruppenführera Reithermanna, który, odkąd bomba zniszczyła jego willę, rezydował w hotelu Adlon. Po południu mieli się z nim tam spotkać.

– Reithermann nie zajmuje się bzdetami – dodał ponuro Vogler. – Nie zadał sobie trudu, by zostawić nowy adres, bo wyszedł z założenia, że i tak każdy wie o zbombardowaniu jego domu. Naturalnie, wszyscy o tym wiedzą, tylko mnie nikt nie raczył poinformować.

Oppenheimer z trudem powstrzymał uśmieszek. W głębi duszy już od dawna powątpiewał, czy państwo nazistowskie rzeczywiście funkcjonuje tak perfekcyjnie, jak każdy sądził.

Vogler myślał zdaje się o tym samym.

– No cóż. – Potrząsnął głową. – Proszę, to dla pana. Powinno wystarczyć na jakiś czas. – To mówiąc, wcisnął Oppenheimerowi do ręki hurtowe opakowanie tabletek.

Ten popatrzył na napis, by się upewnić, że mu się nie przywidziało. To był pervitin. Jego oczy rozwarły się pożądliwie.

– Jeśli będzie pan potrzebował więcej, proszę się po prostu zwrócić do mnie – oznajmił Vogler i zniknął w piwnicy.

Oppenheimer, upewniwszy się, że nikt nie patrzy, połknął trzy tabletki naraz. Wreszcie. Najwyższy czas. Czując, jak zaczynają działać, zastanowił się, gdzie ukryć ten bezcenny skarb. Deponowanie tabletek w *Judenhausie* było niebezpieczne. Jedyna możliwość to zamelinowanie ich tutaj, w tym domu.

Schowawszy zapas pigułek w kuchni, zabrał się do roboty. Zamierzał wnieść poprawki do schematu na ścianie salonu, bo sądził, że dzięki nowym ustaleniom dotyczącym mordercy zdoła uporządkować nieco karteluszkowy chaos. Wysortował wszystkie osoby poniżej czterdziestki i przypiął odpowiednie karteczki dalej od środka. To samo zrobił z podejrzanymi płci żeńskiej. Nazwiska denatek otaczało już tylko około dwudziestu świstków. Pozostałe tłoczyły się wokół wiszącej nieopodal oprawionej w ramki fotografii Hitlera. Wyglądało to niemal tak, jakby kanclerz Rzeszy również znajdował się wśród podejrzanych. Vogler, który wszedł do środka, skwitował to pełnym dezaprobaty spojrzeniem, ale darował sobie komentarze.

Łukowe sklepienie nad głową Oppenheimera było bogato zdobione sztukaterią. Pośrodku widniał okazały fresk, wpisany w gipsowe obramowanie. Podobne łuki powtarzały się wielokrotnie, tworząc sufit hotelowego lobby.

Hotel Adlon był więcej niż zwykłym hotelem. Już sama nazwa tchnęła ekskluzywnością. Stał w Dorotheenstadt przy ulicy Unter den Linden, zaledwie parę kroków od Bramy Brandenburskiej, najbardziej reprezentacyjnej lokalizacji w mieście. Bawiło tu mnóstwo dostojnych gości: bywał car Rosji, John D. Rockefeller, Charlie Chaplin, rezydowali przedstawiciele szlacheckich rodów łącznie z cesarzem Wilhelmem II. W porównaniu z nowymi, wystawnymi budowlami nazistowskich włodarzy fasada hotelu Adlon wyróżniała się w przyjemny sposób dyskrecją. Budynek nie próbował zadawać szyku ani tym bardziej zdominować swą bryłą placu Paryskiego, tylko klarowną linią harmonijnie wtapiał się w otoczenie. W środku jednak panowały skrajny luksus i komfort. Oprócz pokoi i suitów hotel miał między innymi: oranżerię, salonik muzyczny, bibliotekę, salę balową, kilka sal konferencyjnych, palarnię, a nawet osobny salon dla pań. Na błyszczących marmurowych posadzkach leżały dywany, w niszach rosły egzotyczne palmy, nad licznymi łukowatymi przejściami prężyły się kasetonowe sklepienia.

W przeszłości, jako policjant, Oppenheimer odwiedzał czasem hotel Adlon. Nigdy jednak nie czuł się zbyt komfortowo w tym miejscu. Ta ekskluzywność onieśmielała go tak bardzo, że bał się ośmieszenia. Nieustannie zaprzątnięty kontrolowaniem samego siebie, boleśnie zdawał sobie sprawę, że zachowuje się jak prostak ze wsi, który po raz pierwszy przyjechał do wielkiego miasta i z niedowierzaniem chłonie wrażenia.

Ale dziś było inaczej. Wyniośle przemierzył wielki hol, jakby hotel był jego własnością. Zdawał sobie sprawę, że jego pewność siebie to zasługa pervitinu. Mimo obdartego ubrania nie miał oporów, by wmieszać się w tłum nobliwych gości. Wszedł po trzech stopniach szerokich marmurowych schodów i oparł się nonszalancko o barierkę, aby z wysoka przyglądać się ożywionemu ruchowi w lobby. Obserwował partyjniaków w wyjściowych mundurach, w skrzypiących oficerkach i z przywieszonymi na piersi błyskotkami, których jedynym celem było pobrzękiwanie przy najmniejszym poruszeniu; mężczyzn z aktówkami, grubymi cygarami i byczymi karkami; umalowane damy – niektóre z nich w odważnych

garniturach ze spodniami, inne już po południu odziane w eleganckie wieczorowe suknie; dyplomatów i żołnierzy na urlopie. Wśród nich uwijali się hotelowi boye w niebieskich liberiach; od czasu do czasu rozpoznał nawet jakąś twarz znaną z filmowych fotosów. Raczej przypadek sprawił, że mężczyzna z pośpiechem zdążający w stronę schodów zwrócił na niego uwagę. Na moment zatrzymał na nim zatroskane spojrzenie, zupełnie jakby go rozpoznawał. Nie zwalniając kroku, odwrócił głowę i wszedł po schodach.

Oppenheimer spochmurniał. Znał aż za dobrze twarz tamtego człowieka, krótko ostrzyżone siwe włosy, krzaczaste brwi i wydatny nos. Mężczyzną, który przemknął obok, był jego dawny rywal Arthur Nebe. Wstąpili do służby w policji niemal w tym samym czasie i jednocześnie zaczęli się piąć po szczeblach kariery. Jako aspirant Oppenheimer był jeszcze górą. Znalazł się w grupie najlepszych absolwentów, Nebe zaś zdał egzamin na komisarza kryminalnego dopiero za drugim podejściem. Pomimo całej swej zawiści Oppenheimer musiał przyznać, że Nebe miał talent i wykazywał wielkie zaangażowanie. Ledwie skończył trzydzieści lat, powierzono mu dowodzenie wydziałem narkotykowym. Wkrótce potem stary Gennat awansował ich obu na komisarzy w nowo utworzonym wydziale kryminalnym A. W ten sposób stali się bezpośrednimi rywalami i nie ustawali w wysiłkach, by zaimponować swemu mistrzowi, nieustannie próbując prześcignąć konkurenta. Ale to nie umiejętności Nebego jako śledczego wygładziły mu ścieżkę na wyżyny kariery, o wiele bardziej pomogło mu to, że – w przeciwieństwie do Oppenheimera – wykorzystywał do wybicia się politykę. Już na początku lat dwudziestych na własną rękę założył tak zwaną Niemiecką Młodzieżówkę Prenzlauer Berg. Niedługo potem wraz z paroma podobnie myślącymi funkcjonariuszami zawiązał narodową grupę występującą przeciwko Żydom i masonom w szeregach policji. Podczas gdy Oppenheimer zadowalał się stopniowym wyrabianiem sobie marki koryfeusza berlińskich śledczych, Nebe miał znacznie większe ambicje. W 1931 roku wstąpił do SS. Jakiś czas później stał się członkiem hitlerowskiej NSDAP, a zaraz potem także SA, zapewne po to, by niczego nie pozostawiać przypadkowi. Chociaż ówczesne władze berlińskiej policji niechętnym wzrokiem przyglądały się, jak ich radca kryminalny obnosi się ze swymi poglądami, prędko się okazało, że Nebe jednak miał nosa. Został zwerbowany przez Göringowską Tajną Policję Państwową, czyli Gestapo,

i okrężną drogą został dyrektorem kryminalnym Rzeszy, czyli szefem całej niemieckiej policji kryminalnej.

To niespodziewane spotkanie z Arthurem Nebem sprawiło, że Oppenheimer poczuł dawno zapomnianą zawiść. Nigdy do końca nie wiedział, co sądzić o tym człowieku. Nie potrafił powiedzieć, czy tamten rzeczywiście jest zwolennikiem nazistowskiej ideologii, czy traktuje ją jako narzędzie kariery. Ostatecznie i tak było to bez znaczenia. Oppenheimer jako Żyd musiał codziennie walczyć o przetrwanie, Nebe zaś awansował na „złocistego bażanta".

Vogler przykuśtykał do niego od recepcji.

– Zameldowano nasze przyjście. Reithermann mieszka na pierwszym piętrze. – Zmierzył Oppenheimera wzrokiem. – Co z panem?

– Spotkałem dawnego znajomego – wyjaśnił zdawkowo.

Vogler nie ukrywał zdziwienia.

– Tutaj? W Adlonie?

– Niestety, człowiek nie ma wpływu na to, na kogo się napatoczy. – Komisarz wzruszył ramionami.

– Teraz, kiedy już nie ma Kaiserhofu, Adlon przejął rolę najlepszego hotelu w Berlinie – oznajmił Reithermann. Jego twarz pałała arogancją. – Personel, wyżywienie, wszystko prima sort. A co dopiero schron w piwnicy. Lite dziewięć metrów żelazobetonu. Wytrzyma każdy ładunek. Murowane. Angole mogą zrzucać te swoje bombki.

Reithermann siedział na sofie, bo raczej nie zmieściłby się na żadnym z filigranowych krzeseł. Mundur, który miał na sobie, ze względu na niebagatelną tuszę jego właściciela niemal na pewno nie był towarem masowym. Oppenheimer zastanawiał się, czy Gruppenführer obstalował ubranie u tego samego krawca co Göring. Mimo to mundur zdawał się za ciasny, przez rozpięte dolne guziki wyłaziła na wierzch koszula.

Reithermann należał do tak zwanej starej gwardii. Hitler odznaczył go nawet Orderem Krwi, najwyższym wyróżnieniem NSDAP. Okazją do tego honoru była kara dwóch lat pozbawienia wolności. Działo się to na początku lat dwudziestych, w czasach ulicznych zamieszek, kiedy narodowi socjaliści podobnie jak komuniści zbierali się w bandy, by wzajemnie rozbijać sobie łby. Reithermanna skazano za współudział w zabójstwie

towarzysza partyjnego, który okazał się komunistą i zdradził plany okręgowej grupy SA.

Po odbyciu kary Reithermann przeniósł się z SA do SS i zajął się administracją. To była dobra posada, prezent za zasługi. Od jakiegoś czasu zaczął prowadzić ożywiony handel łupami z okupowanych terenów, wyspecjalizował się nawet w dziełach sztuki. Partia umyślnie ignorowała tę jego działalność.

Wszystkie te informacje Oppenheimer otrzymał od Voglera, oczywiście w wielkiej tajemnicy. Kiedy tak się przyglądał Reithermannowi, chyba wiedział, dlaczego tamten zgromadził w piwnicy taką liczbę konserw. Esesman, bez chwili przerwy zajęty jedzeniem, wyraźnie postawił sobie za cel utuczyć się na śmierć. Oppenheimer nie mógł wyjść ze zdumienia nad jego obżarstwem. Ukryta agresja, jaką odczuwał po spotkaniu z Arthurem Nebem, pogłębiła się jeszcze bardziej, gdy tamten zaczął traktować go jak petenta.

– Więc to pan przejął śledztwo? – zapytał Reithermann. – Dlaczego jeszcze nie ujęto sprawcy? Za co pan właściwie bierze pieniądze?

Komisarz pohamował się, licząc, że nie widać po nim rozdrażnienia. Streścił pokrótce wyniki dochodzenia.

– Jest jeszcze coś, o czym chciałbym z panem pomówić – zakończył relację i złowił zaniepokojone spojrzenie Voglera.

Wypowiedziane słowa w zasadzie były zupełnie niewinne, ale musiał się w nie zakraść jakiś zaczepny ton. Vogler przypomniał mu wzrokiem, że powinien mieć się na baczności.

– Czego pan jeszcze chce? – zażądał odpowiedzi Reithermann.

– Zna pan tę kobietę? – Oppenheimer podał mu fotografie panny Gerdeler.

Gruppenführer znudzonym gestem wziął od niego zdjęcia, jednak młoda kobieta we fraku i w cylindrze wyraźnie wzbudziła jego zainteresowanie.

– Hm, czy to możliwe, że widziałem ją w jakimś filmie?

– Raczej nie – odparł Oppenheimer. – Często bywała w tym hotelu. Można powiedzieć, że tu niejako miała swoje miejsce pracy.

– Pokojówka? – Reithermann popatrzył z irytacją.

– Nie. Nazywała się Christina Gerdeler. Takie kobiety chyba określa się mianem poszukiwaczek przygód. Polowała na mężczyzn.

– Hm, trochę zbyt germańska jak na mój gust. Wolę typ prerafaeliczny. Chociaż… – Urwał, bowiem jego wzrok padł na fotografię przedstawiającą akt. Głośno sapiąc, oblizał z namysłem wargi. – Niestety, nigdy mi się nie trafiła. Chętnie bym ją schrupał.

Oppenheimer wolał sobie tego nie wyobrażać. Jego niechęć do zapasionego partyjniaka narastała. Odebrał zdjęcia z przypominających serdelki palców Reithermanna.

– Więc nigdy nie widział pan tej damy?

– Nie przypominam sobie.

– Dla pewności zapytam: czy kiedykolwiek słyszał pan jej nazwisko? Czy ktoś kiedyś rozmawiał z panem o Christinie Gerdeler?

– Czy pan jest głuchy? – naskoczył na niego Reithermann. – Nie znam tej małej dziwki i basta!

– Czy kiedy zniknęła panna Dufour, zauważył pan kogoś podejrzanego?

– Panowało takie zamieszanie… nikt nie rzucił mi się w oczy. Kiedy ogłosili ten cholerny alarm, byliśmy tutaj, w hotelu, jedliśmy kolację w restauracji. Panna Dufour zapomniała w Friedrichshain walizki z rzeczami. Chciała prędko coś jeszcze dokupić. Nie mam pojęcia co. Nie powiedziała mi. Nie interesowało mnie to zresztą. Powiedziała, że spotkamy się w schronie. Zamówiłem jeszcze u kelnera dwie butelki wina i zszedłem na dół.

– Nie widział pan, w jakim kierunku się udała?

– Czy wy wszyscy jesteście nierozgarnięci?! – wściekł się Reithermann. – Tysiąc razy już mówiłem. Nie mam pojęcia! Zajmij się pan lepiej łapaniem morderców, zamiast mi się tu naprzykrzać!

– Na jakim stanowisku pracowała u pana panna Dufour?

– Sekretarki! Może by pan tak z łaski swojej zajrzał do akt? To tak prowadzi się teraz dochodzenie?

– Od kiedy dla pana pracowała?

– Jakieś dwa lata.

– Miała jakieś szczególne obowiązki?

– Chce pan wiedzieć, czy ją posuwałem? No pewnie, że tak! I lubiła, jak jej dogadzałem! Jak wszystkie!

Oppenheimer usiłował zachować spokój. Rozważał przez chwilę, czy powinien na tym poprzestać. Ale chciał jeszcze wyjaśnić jedną kwestię.

W końcu to dla tego jednego pytania chciał osobiście porozmawiać z Reithermannem.

– Jeszcze tylko jedno: czy może mi pan powiedzieć, gdzie pan był na początku sierpnia zeszłego roku? – zapytał od niechcenia.

– Nie mam pojęcia. Dlaczego?

Vogler domyślił się, że Oppenheimer chce wyjaśnić kwestię alibi Reithermanna, i natychmiast zakończył rozmowę.

– Dziękuję bardzo. Myślę, że to wszystko.

Reithermann nie był głupcem. Przejrzał strategię Oppenheimera. Wzburzony dźwignął się z sofy i przyjął groźną postawę.

– Pan chyba upadł na głowę! – warknął. Jego oczy błyszczały z gniewu. – Myśli pan, że to ja je zamordowałem? Akurat ja? A kto się postarał, by wszczęto dochodzenie?

– Niech pan zaczeka na zewnątrz! – rozkazał Vogler.

Wychodząc, Oppenheimer słyszał odprowadzający go wrzask Reithermanna.

– Przyrzekam, Oppenheimer, na miazgę cię zetrę, zgnoję…

W daimlerze Voglera pulsowało światło. Gra światła i cienia nadawała jeździe osobliwy rytm. Ciemne obszary, przez które przejeżdżali, powstały na skutek zawieszenia nad Charlottenburger Chaussee maskujących siatek, przytwierdzonych do długich drewnianych tyczek. Konstrukcje te rozpanoszyły się wzdłuż całej Osi Wschód–Zachód. Łatwo było wytłumaczyć ich strategiczne walory. Bez siatek wrogie samoloty bez trudu orientowały się po arterii prowadzącej prosto do centrum miasta.

Odkąd wyszli ze suitu Reithermanna, Vogler nie odezwał się ani słowem, co odrobinę niepokoiło komisarza. Nie wiedział, jak interpretować jego milczenie. Czy Vogler jest rozczarowany? Zamierza go wykluczyć ze śledztwa? Zastanawiał się, czy to działanie pervitinu sprawiło, iż postąpił tak nierozważnie. Wreszcie podjął nieśmiałą próbę usprawiedliwienia się.

– Każdemu zadałbym pytanie o alibi.

– Chce pan do reszty pogrążyć nas w gównie? – wysyczał Vogler. – Reithermann to nie byle chłystek. Lepiej nie mieć w nim wroga, obojętne, co się o nim myśli. Może być bardzo niebezpieczny.

– W aktach nie było o tym ani słowa, więc zapytałem.

Vogler zaśmiał się krótko.

– No pewnie. Jakie to proste. Całe szczęście, że poszedłem z panem. Obawiałem się tego, że potraktuje go pan jak pierwszego lepszego podejrzanego.

Nachylił się ku kierowcy.

– Niech się pan zatrzyma przy rondzie. Tam pan Oppenheimer wysiądzie. – Opadł na oparcie i popatrzył przez okno. Po chwili dodał: – Właściwie to nie powinienem się uskarżać. Właśnie po to pana zwerbowałem.

– Żebym prześwietlił kogoś takiego jak Reithermann?

– Pan może sobie na to pozwolić. Nie ma pan żadnych uprzedzeń. Zadaje pan pytania, o jakich żaden narodowy socjalista nie odważyłby się nawet pomyśleć. Tylko tak to śledztwo ma sens.

Hoffmann zatrzymał się przy parku otaczającym zamek Bellevue, ale Vogler jeszcze nie skończył.

– Udało mi się go załagodzić. Kiedy ochłonie, będzie otwarty na argumenty. Wyjaśniłem, że chciał pan tylko ustalić miejsce pobytu panny Dufour, by znaleźć analogie do innych ofiar. Łyknął to. Nadal ma pan to śledztwo, Oppenheimer. Oczekuję pana jutro rano. Jak zawsze.

Następnego dnia w zaimprowizowanym biurze Oppenheimera pojawiła się tablica korkowa.

– Na karteluszki – skomentował nowy nabytek Vogler. – To praktyczniejsze. I porządniej wygląda, gdyby ktoś chciał tu zajrzeć.

Oppenheimer musiał się z nim zgodzić. Schludny początkowo salon od jakiegoś czasu przypominał pobojowisko. Na stole, na kanapie, nawet na podłodze walały się papiery i otwarte teczki z aktami. Do tego dochodziła ściana, pierwotnie zarezerwowana na portret Führera, teraz zakryta białymi świstkami. Szeleściły cichutko za każdym razem, kiedy Oppenheimer przechodził obok.

Oczywiście Vogler nie miał pojęcia, że były komisarz zawsze pracował w ten sposób, a tego rodzaju chaos pomagał mu w pracy. Oppenheimer postanowił jednak okazać dobrą wolę i przeniósł schemat na tablicę.

Zanim przyszpilił do niej karteczkę z nazwiskiem Reithermanna, zawahał się na krótko. Właściwie nie wchodził on w grę jako sprawca, ponieważ na czas zniknięcia swej towarzyszki miał solidne alibi. Szef kelnerów przypominał sobie, że Reithermann tuż po ogłoszeniu alarmu zamówił dwie butelki wina i zaczekał przy stoliku na ich przyniesienie. Kilku świadków

potwierdziło, że był w mieszczącym się pod placem Paryskim bunkrze, mającym bezpośrednie wejście z hotelu. Mimo to Oppenheimer miał niejasne wrażenie, że Reithermann mógł być jakoś zamieszany w morderstwa.

Zdawał sobie sprawę, że u źródeł jego podejrzeń zapewne leży antypatia. Mimo wszystko kilka szczegółów dawało mu do myślenia. Życie Reithermanna składało się wyłącznie z konsumowania. Ze słów Voglera wynikało, że miał on dostęp do dzieł sztuki z krajów okupowanych przez hitlerowców i wykorzystywał przy tym jakieś mroczne dojścia. Uwagę komisarza zwrócił sposób, w jaki esesman wypowiadał się o pannie Dufour i kobietach w ogóle. Czy to możliwe, że traktował je jak przedmioty i chciał zaliczyć ich jak najwięcej? Innymi słowy – że je konsumował? A skoro tak, to zabójstwo kobiety było dla niego najwyżej drobnym przewinieniem? A może rzecz sięgała znacznie głębiej, a on skrycie gardził kobietami?

Po namyśle sam musiał przyznać, że ten trop jest mocno naciągany. Większość mężczyzn charakteryzowało podobne nastawienie do kobiet. To, że Reithermann nie miał w sobie za grosz romantyzmu, nie oznaczało jeszcze, że jest mordercą. Poza tym to przecież on doprowadził do wszczęcia dochodzenia. Trudno byłoby to zrozumieć, gdyby rzeczywiście okazał się sprawcą. A może to tylko perfidny wybieg? Czy dlatego polecił SS znaleźć kozła ofiarnego, bo był pewien, że podejrzenie nie padnie na niego?

Wszystkich mężczyzn, którzy mieli jakiś związek ze sprawą i więcej niż czterdzieści lat, Oppenheimer rozmieścił wokół karteluszek z nazwiskami denatek. Chciał dopiąć do nich karteczkę Reithermanna, ale się rozmyślił. Przesunął świstek bliżej środka.

Wciąż był pogrążony w rozmyślaniach, kiedy na schodach z piwnicy rozległ się tupot. Dobiegło go przejęte wołanie Voglera.

– Oppenheimer! Musimy jechać!

Obejrzał się z niemym pytaniem na twarzy. Vogler gorączkowo dokuśtykał do garderoby i narzucił na ramiona płaszcz.

– Jedziemy na Zimmerstraße. Natychmiast! To nie do pojęcia, ale ten bydlak naprawdę przekazał nam wiadomość!

Oppenheimer w pierwszej chwili nie zrozumiał, o co tamtemu chodzi. Kiedy jednak pojął, że Vogler mówi o mordercy, serce zabiło mu mocniej.

– Ten drań rzeczywiście napisał list! – Głos esesmana przeszedł w falset.

15

środa, 31 maja 1944 – piątek, 2 czerwca 1944

„Der Angriff” nie był zwyczajną gazetą codzienną. Nawet wtedy, gdy na polecenie ministra propagandy Goebbelsa już dawno ujednolicono prasę, w kioskach wciąż można było dostać różne wersje „organów bojowych”. Każda z dużych organizacji partyjnych miała własną gazetę, od SS po Niemiecki Front Pracy.

Organy prasowe sporo różniły się od prasy mieszczańsko-konserwatywnej. Najważniejszym z nich był „Völkischer Beobachter”, należący do NSDAP. W kioskach nie dało się go przeoczyć. Strony tytułowe drukowano wielką czcionką, czerwone i czarne krzyczące nagłówki biły po oczach. Za zaletę można uznać to, że nie trzeba było dużo czytać, bo większą część gazety wypełniały zdjęcia i ilustracje.

Dużą popularnością cieszył się też „Der Stürmer”. Poświęcono go właściwie tylko jednemu tematowi – światowemu spiskowi żydowskiemu. Za główny cel tygodnika obrano nawoływanie przeciwko tak zwanym podludziom i szkodnikom narodu. Na porządku dziennym były skrajnie antysemickie apele wzywające do tępienia wszystkiego co żydowskie. Pismo miało znacznie więcej regularnych czytelników, niż sugerował to jego nakład, ponieważ w wielkich miastach na co drugim rogu wisiały tak zwane *Stürmerkästen*, specjalne gabloty, w których można było czytać za darmo. Szczególnie lubiana była stała rubryka zatytułowana *Pręgierz*. Denuncjowano w niej osoby utrzymujące kontakty z Żydami albo, jak przebąkiwano, dopuszczające się zhańbienia rasy. Sporą część rubryki zajmowały opisy niemoralnych postępków. „Der Stürmer” lubował się w zamieszczaniu brudnych szczegółów perwersyjnych praktyk seksualnych, tak że artykuły te nierzadko przypominały najgorszą pornografię.

„Der Angriff” niewiele różnił się od pozostałych periodyków, zarówno pod względem linii politycznej, jak i tonu. Czymś szczególnym czyniło tę gazetę wyłącznie to, że założył ją sam Joseph Goebbels, nadal sprawujący funkcję wydawcy. Oficjalnie była ona organem NSDAP i tym samym stanowiła bezpośrednią konkurencję dla „Völkischer Beobachter”. Na przedpolu przejęcia władzy Goebbels wykorzystał gazetę, by zwiększyć swe wpływy i bez przeszkód prowadzić nagonkę na politycznych przeciwników. Na podobny pomysł wpadli też inni partyjni funkcjonariusze, którzy masowo zakładali nadworne wydawnictwa, aby wzmocnić własne wpływy w przepychance do koryta. Podczas gdy Hitler prędko przyciął te bujnie krzewiące się rozrosty, „Der Angriff”, osobista tuba Goebbelsa, mógł się ukazywać dalej, a z czasem stał się jedną z najważniejszych codziennych gazet Berlina.

Pierwotnie redakcja mieściła się – co było bardzo praktyczne – w okręgowej siedzibie NSDAP przy Hedemannstraße 10. Z czasem dział wiadomości znacznie poszerzono, wskutek czego potrzebowała wygodniejszych pomieszczeń. Niedawno przeprowadziła się na Zimmerstraße 68–91. Pikanterii dodawało to, że redakcja Goebbelsowskiego dziennika dzieliła czteropiętrowy budynek z konkurencyjnym „Völkischer Beobachter”. To ta właśnie nazwa wraz ze stylizowanym orłem Rzeszy widniała na fasadzie obwieszonej flagami.

Oppenheimer podążał za Voglerem, przemierzając redakcyjne pomieszczenia. Początkowo się pogubili, ale gdy wyjaśnili, że szukają redakcji „Der Angriff”, sekretarka wskazała im właściwą drogę. Musieli minąć dziesiątki biurek, aż w końcu dotarli do redaktora zajmującego się listami od czytelników. Ten, nie marnując czasu, od razu wręczył Voglerowi kartkę papieru.

– To leżało dziś rano w skrzynce na listy.

Oppenheimer podszedł do esesmana, by rzucić okiem. List był napisany na maszynie. Podczas gdy Vogler uważnie czytał, komisarz zwrócił się do redaktora.

– Czy ktoś jeszcze widział ten list?

– Nie, sam go otworzyłem i natychmiast powiadomiłem Gestapo. To u nas normalna procedura. Jesteśmy w stałym kontakcie ze służbą bezpieczeństwa i wiemy, jak wrażliwe mogą być poufne informacje. Jeśli panowie potrzebują się naradzić, tam jest pusty pokój z telefonem.

Gdy tylko drzwi pokoju zamknęły się za nimi, Vogler, z poczerwieniałą twarzą i zaciśniętymi ustami, podał pismo Oppenheimerowi.

– Ten szubrawiec bawi się z nami – warknął.

Komisarz usiadł na najbliższym krześle i zaczął czytać.

> Sprzątnąłem kolejną kurwę. Niech nas nie zararzają. Przenoszą w cipach różne france. Żeby się każdy pohorował. Na policji nie czytają moich listów. Więc piszę do Was. Niech wiedzą czemu robie to co robie. Dziwki są niebespieczne. Nawet bardziej niż żydki i bolszewiki. Toczą naszą ojczyznę jak robale. Chańbią naszą krew i rabują nam życiowom siłe. Ktoś musi to ludziom powiedzieć. Ta kurwa com ją podłożył, w Schöneweide nie jest ostatnia. Czemu Führer paczy jak w burdelach Lebensborn skarzone zostaje całe SS? Nasz ruch zmierza w złum kierunku. Nikt tego nie widzi. Skoro nikt nie robi czegoś z tymi kurwami to musze ja. Trzeba je wytempić. Tylko martwe są czyste. Dlaczego partia nic nie robi z tymi szkodnikami narodu? Szanowny panie mam nadzieje, że pan napisze o tym, zeby mie wspierali inni towarzysze narodu. Miejcie baczenie, wnet zginie kolejna kurwa.
>
> Heil Hitler!

Oppenheimer opadł na oparcie krzesła i zmrużył oczy. Ostatnie zdanie nie wróżyło nic dobrego. Szaleniec zapowiadał kolejną zbrodnię.

Włożył papierosa do cygarniczki. Vogler spoglądał przed siebie posępnym wzrokiem.

– No dobrze. Nie ma co spuszczać nosa na kwintę. Morderca dostarczył nam w liście kilku wskazówek. Jeśli uda się je rozszyfrować, zapobiegniemy kolejnym zabójstwom.

W Voglera wstąpiło życie. Upewniwszy się, że mogą korzystać z biura przez następne parę godzin, usiedli razem, aby się naradzić.

– Co możemy powiedzieć o autorze listu? – zapytał Oppenheimer.

– Znamy jego motyw – odpowiedział Vogler. – Chce pozabijać wszystkie kurwy.

– Wszystkie kobiety, które jego zdaniem są kurwami – sprecyzował Oppenheimer. – To może być istotna różnica. Czy te trzy ofiary były kurwami?

– Nie w zwykłym znaczeniu tego słowa. Może najprędzej panna Gerdeler, bowiem sypiała z zamożnymi mężczyznami poznanymi w Adlonie.

– I kazała sobie za to płacić. W każdym razie nie była żadną ordynarną ulicznicą. Ostatnia ofiara, Inge Friedrichsen, musiała umrzeć, bo pracowała w Lebensborn. Nasz sprawca nie miał pojęcia, że była tam zatrudniona tylko jako sekretarka. Poza tym zdaje się, że bierze za dobrą monetę pogłoskę, jakoby ośrodki Lebensborn były burdelami dla członków SS. To zawęża krąg podejrzanych.

– W jakim sensie? – Vogler popatrzył na niego pytająco.

– Morderca nie ma pojęcia, jak tam naprawdę jest. Ma w głowie same stereotypowe wyobrażenia. Sam je miałem, zanim odwiedziłem ośrodek. Możemy zatem z wielkim prawdopodobieństwem przyjąć, że nie jest pracownikiem Lebensborn.

– Brzmi logicznie. Ale dlaczego zamordował pannę Dufour? Była asystentką, nie prostytutką.

– Reithermannowi było to obojętne. I tak z nią sypiał. Przypuszczalnie tylko po to ją zatrudnił. Nasz morderca może myśleć tak samo.

– Jest jeszcze coś, co sprawca kilkakrotnie podaje w uzasadnieniu swych czynów – dodał ostrożnie Oppenheimer. – Nazywa te kobiety szkodnikami narodu. Mają być bardziej niebezpieczne od Żydów i bolszewików razem wziętych. Obawia się, że infekują SS chorobami. Wykonuje brudną robotę, polegającą na unieszkodliwieniu ogniska chorób. Robotę, którą jego zdaniem powinna przejąć partia. Wszystko wskazuje na to, że jest zagorzałym narodowym socjalistą.

– To może być podstęp. – Vogler się skrzywił. – Może on właśnie chce, żebyśmy tak myśleli.

Esesman oczywiście musiał wysunąć ten argument, choć tok rozumowania komisarza wcale nie był nieuzasadniony.

– Być może. Musimy mieć to na uwadze. List może być pokerową zagrywką. Ale w tej chwili to jedyne, co mamy.

– Swoją drogą, sprawca chyba nie zwykł pisać na maszynie. Robi masę błędów i literówek.

– Hm. Ponadto używa raczej prostych zdań. Niepoprawna interpunkcja. Zastosowane formalne zwroty typu „szanowny panie” sprawiają wrażenie, jakby były nie na miejscu. Z drugiej strony umie też bezbłędnie napisać niektóre trudniejsze wyrazy. Tak, to może być podstęp, ale ja myślę, że autor tego listu raczej nie para się pisaniem.

– Jakieś inne wnioski? – zapytał Vogler.

– Nie, to na razie wszystko, co mogę powiedzieć. Ale powinien pan się niezwłocznie skontaktować z policją.

Vogler popatrzył na niego pytająco.

– On wspomina o kilku listach, które wysłał na policję – wyjaśnił Oppenheimer. – Musimy je znaleźć. Być może dostarczą kolejnych wskazówek.

Po powrocie do *Judenhausu* Oppenheimer natknął się na doktora Kleina. Lekarz wyraźnie nie czuł się zbyt dobrze. Jego twarz miała szarawy odcień. By mu poprawić nastrój, komisarz opowiedział, jak odkrył w piwnicy willi Reithermanna skład konserw.

– Dziękuję za podpowiedź. Obawiam się jednak, że jeśli zjawię się tam, żeby zabrać żywność, zostanę posądzony o plądrowanie.

Nie pomyślał o tym. I to akurat on, były komisarz policji. Gdyby Kleina nakryli, groziłaby mu kara śmierci. Zdał sobie nagle sprawę, jak bardzo zmieniło się jego życie w ostatnich tygodniach. Śledztwo w sprawie morderstwa dodało mu autorytetu. Słuchano jego rad, mógł nawet wydawać polecenia agentom służby bezpieczeństwa. Ledwie pamiętał, że poza ochronnym buforem, zapewnianym mu przez Voglera, nadal dyskryminowano, prześladowano i deportowano Żydów. Zwiesił ze wstydem głowę.

– Oczywiście, ma pan rację – przyznał. – Nie ma pan nic przeciwko temu, jeśli podsunę to komuś innemu?

– Ależ skąd – mruknął Klein. – Życzę panu miłego dnia.

Ze spuszczoną głową zszedł po schodach. Oppenheimer ledwie to zauważył, wpadł bowiem na nowy pomysł. Podzieli się tą informacją z Ciężkim Edem. Ede miał pod ręką ludzi, którzy zajmą się opróżnieniem piwnicy. W ten sposób mu się odwdzięczy. Poza tym warto było utrzymywać z nim dobre stosunki. W końcu nie wiadomo, kiedy znowu będzie musiał skorzystać z jego pomocy.

Mimo nowych punktów zaczepienia przez resztę tygodnia nie posunęli się ze śledztwem ani o krok. Dni ciągnęły się niemiłosiernie. Vogler przebywał poza biurem, by przycisnąć trochę władze policyjne, gdyż nikt dotychczas nie zgłosił żadnych listów od mordercy. Albo nigdy się nie pojawiły, albo leżały pogrzebane pod stertą nieprzejrzanej korespondencji.

Podczas gdy Oppenheimer zajmował się ponownym przeglądaniem materiałów, do miasta nagle zawitało lato. Było coraz cieplej. Słońce nie skrywało się już za chmurami i bez przeszkód nagrzewało ulice. Oppenheimer był tak zaprzątnięty dochodzeniem, że nawet nie zauważył zmiany pogody. Wychodził z domu bladym świtem, a kiedy wracał, słońce przeważnie już zachodziło.

W piątek postanowił skorzystać z pięknej pogody i przejść się po osiedlu. Zaprzątnięty szczegółami sprawy, oglądał pobieżnie okolicę. Szybko przekonał się, że ruch na świeżym powietrzu dobrze wpływa na myślenie. Dzieci bawiące się w lesie, kobiety zajęte pracą w ogrodzie lub przyrządzaniem posiłku – wszystko to sprawiało wrażenie szczęśliwego, uporządkowanego życia. On wiedział jednak, że mieszkanie w tej okolicy było drogo okupione.

Myślami nieustannie wracał do Reithermanna. Z głowy nie wychodziło mu pytanie, czy łączyło go coś z pierwszą ofiarą, Christiną Gerdeler. Problem polegał na tym, że panna Gerdeler nie zostawiła żadnych notatek, w których widniałyby pełne nazwiska jej klientów. Przeglądając jej zapiski, Oppenheimer natknął się na pieszczotliwe zdrobnienia męskich imion i mógł wykazać, że przez ostatnie dwa lata kobieta była utrzymanką osiemnastu panów. Niektórzy z nich pojawiali się w notatkach tylko raz. Z czterema Gerdeler spotykała się mniej lub bardziej regularnie. Postanowił ustalić, kim byli ci mężczyźni, a w szczególności, czy był wśród nich Reithermann. Panna Gerdeler zajmowała niewielkie mieszkanko niedaleko dworca, przy Friedrichstraße. Jej dawna współlokatorka Lizzi Ebner nadal tam mieszkała.

Vogler nie pojawiał się od czwartku. Może i dobrze, bo Oppenheimer nie chciał wywoływać wilka z lasu. Niewykluczone, że przesadzał z ostrożnością, Vogler obiecał mu w końcu każde możliwe wsparcie. Nie wiedział jednak, jak esesman zareagowałby, gdyby zaczął prowadzić śledztwo przeciwko Reithermannowi. Na szczęście nie miał problemu ze zdobyciem fotografii Gruppenführera SS. W aktach sprawy Dufour było

tylko jedno zdjęcie, zrobione jeszcze za życia ofiary. Przedstawiało uśmiechniętą pannę Dufour na jakiejś uroczystości. U jej boku Reithermann wlewał właśnie w siebie szampana.

Oppenheimer kazał się wysadzić Hoffmannowi przy stacji Friedrichstraße. Unoszące się na wspornikach tory znikały w sklepionym kolebkowo budynku, zbudowanym ponad szynami. Nie wszedł na perony, tylko podążył schodami w dół do kolejki i metra. Z biegiem lat dworzec rozbudowano, tworząc labirynt podziemnych korytarzy. Było to idealne miejsce na zgubienie Hoffmanna, na wypadek gdyby ten zechciał go śledzić. Już po kilku metrach Oppenheimer przekonał się, że jego kierowca najwyraźniej nie widział powodu, by za nim iść.

Przemierzając przejścia wyłożone żółtymi płytkami, zauważył, jak bardzo zmienił się ten dworzec w ostatnich latach. Można było odnieść wrażenie, że spotykają się tu przybysze z całego świata. Oppenheimer wiedział o żyjącej w Niemczech sporej grupie robotników napływowych. Było to kilka milionów ludzi w charakterystycznych kombinezonach z wyszytą na białym kwadracie literą „F”, od *Fremdarbeiter*. Pojawiały się głosy, że przybysze ci są współczesnym koniem trojańskim. Niektórzy czuli się zaniepokojeni i przebąkiwali o zalewie obcym żywiołem. Zbyt wielu mężczyzn wyjechało jednak na front. Rzesza nie mogłaby funkcjonować bez tej dodatkowej siły roboczej.

Oppenheimer poczuł się przygnieciony tym zbiorowiskiem obcych narodowości w dworcowych katakumbach. Nie sądził, że w państwie o tak nacjonalistycznej orientacji możliwe jest coś takiego. Jakież to było miłe zaskoczenie, jaka błoga odmiana od namolnej, przesadnej niemieckości partii! Zwolnił kroku, by przyjrzeć się ludziom. Jakaś jejmość, konwersująca ze znajomą po francusku, rzuciła mu wyzywające spojrzenie. Za rogiem zobaczył grupę żywo gestykulujących Włochów w podartych płaszczach, dobijających swych targów. Jakiś robotnik ze Wschodu obejrzał się na niego podejrzliwie. Oppenheimer uśmiechnął się i pomyślał, że oto znalazł się w najlepszym z możliwych miejsc: podziemia dworca uchodziły za całkowicie wytrzymałe na bomby.

Kiedy znalazł mieszkanie panny Gerdeler i Lizzi Ebner, spotkało go rozczarowanie. Drzwi otworzyła mu nowa lokatorka i poinformowała go, że panna Ebner wyszła do pracy w zakładzie zbrojeniowym. Wróci dopiero

w godzinach wieczornych, ponieważ miała dziś późną zmianę. Zasugerowała, by spróbował ponownie we wtorek, w jej wolny dzień.

Przygnębiony wrócił na dworzec. Trudno mu było pogodzić się z myślą, że nie może nic zrobić, tylko czekać, aż sprawca znów zaatakuje. To, że wszystkie zbrodnie popełniono w weekend, napawało go niepokojem. W końcu był już piątek, dzień, w którym zniknęły panna Dufour i Inge Friedrichsen. Mógł tylko mieć nadzieję, że kolejne dwa dni miną bez złych wiadomości.

16

niedziela, 4 czerwca 1944 – środa, 7 czerwca 1944

Billhardt wyglądał na szczerze zdziwionego.

– Skąd ty się tu wziąłeś? – zapytał, odstawiając grabie.

Choć się zachmurzyło, widoczna spod rzadkich włosów skóra jego czaszki błyszczała od potu. Billhardt zawsze twierdził, że ma czoło myśliciela, a od ich ostatniego spotkania jeszcze się powiększyło o parę centymetrów. Ale i on sam się zmienił. Brakowało mu ręki. Oppenheimer usiłował nie okazywać zbyt otwarcie, jak bardzo nim to wstrząsnęło.

– Złe ziele najlepiej się krzewi – odpowiedział. To był oklepany frazes, ale w scenerii ogródków działkowych wydał mu się dość trafny. – Szukałem cię. Całe szczęście pamiętałem jeszcze, gdzie masz ogródek.

– O co chodzi?

– O śledztwo, w którym biorę udział w charakterze doradcy. Nieoficjalnie, rzecz jasna.

Billhardt przez chwilę stał nieruchomo z rozdziawionymi ustami. Potem podszedł bliżej i rozejrzał się wokół nieufnie.

– Myślałem, że jesteś… no wiesz. – Głową wskazał oddalony o parę metrów szyld, ustawiony przy wejściu na działki. Widniał na nim napis „Żydowskie chałaty mącą lasu aromaty”.

Wprawdzie kiedy jeszcze razem służyli w policji, Oppenheimer nie miał przed nim tajemnic, ale teraz, zamiast długo objaśniać swoją bieżącą sytuację, wolał posiłkować się sprawdzonym kłamstewkiem.

– Zmieniłem wyznanie.

Billhardt zadowolił się tym i otworzył furtkę do swej parceli.

– No to zdążyłeś w ostatniej chwili. Wchodźże, chłopie. Nie widzieliśmy się kopę lat.

Tej niedzieli Oppenheimer nie palił się zbytnio do odwiedzin u Hilde. Wciąż był do głębi zaniepokojony odkryciem, że jego przyjaciółka

przeprowadza aborcje. Zgodnie ze swym zwyczajem poszedł rutynowo na Beusselkiez, by się przebrać. Wczesnym rankiem świeciło jeszcze przepiękne słońce i było cieplej, niż się spodziewał.

Jednak kiedy w pakamerze Edego zdjął z siebie wierzchnie okrycie, zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma pojęcia, dokąd iść. W końcu postanowił odwiedzić komisarza Billhardta. Nie wiedział, czy służy jeszcze w policji, prawdę mówiąc, nie miał nawet pewności, czy tamten w ogóle żyje. Udał się do kolonii działkowej w Neukölln, gdzie Billhardt zwykle spędzał weekendy.

– Obawiałem się, że cię nie zastanę – rzekł, kiedy usiedli razem na ławce.

– Wróciłem dopiero parę miesięcy temu. Poszczęściło ci się, Oppenheimer.

Mieli dziwny nawyk zwracania się do siebie po nazwisku, choć jednocześnie byli ze sobą na ty.

– No to opowiadaj, z czym przychodzisz?

Oppenheimer w paru słowach zrelacjonował, nad czym pracuje. Nakreślił najważniejsze fakty, nie zdradzając, kto jest zamieszany w śledztwo.

– A więc tajne dochodzenie? – Billhardt zmarszczył brwi. – Niezmiernie interesująca sprawa, mimo to ci nie zazdroszczę. Pachnie mi to jakimś szaleńcem, jak tamten Großmann. Na czym polega twój problem? Utknąłeś w miejscu?

– Morderca musiał ujawnić się już wcześniej. Dlatego chciałem cię zapytać, czy nie spotkałeś się z podobnym przypadkiem. Niekoniecznie w związku z zabójstwem.

– Wiem, co masz na myśli. – Billhardt skinął głową. – Chodzi o sposób, w jaki atakuje kobiety, zgadza się?

Oppenheimer potwierdził.

– To, że je dusi, nie jest niczym szczególnym. Chodzi mi przede wszystkim o obrażenia, jakie zadaje ofiarom. Po pierwsze, okaleczane genitalia, po drugie, przedmioty w kanałach słuchowych. Czy kiedykolwiek natknąłeś się na coś podobnego?

Billhardt podszedł do budki na narzędzia.

– Napijesz się ze mną wina?

– Białego?

– Białe też mam. – Z szerokim uśmiechem przyniósł butelkę. – Trzymam tu swoją żelazną rezerwę.

Kiedy Oppenheimer kosztował wina, jego kolega zaczął sobie coś przypominać.

– Chyba kojarzę coś takiego – przyznał z wahaniem. – Znajomy mi opowiadał. Ty też służyłeś już wtedy w policji. To musiało być tuż przed przejęciem władzy. Jakoś tak w trzydziestym drugim albo trzecim. Nie pamiętam dokładnie.

– A co sobie przypominasz?

– Obrażenia. U kobiety. Została zaatakowana nożem i miała kilka ran w okolicach pochwy. Nie mam pojęcia, czy ci to w czymś pomoże.

Oppenheimer z napięciem wstrzymał oddech. To wyglądało na przydatną wskazówkę.

– Co z dochodzeniem? Pamiętasz coś jeszcze?

Billhardt westchnął z frustracją.

– Nic. Wszystko uleciało. Musiałbym sprawdzić w archiwum. Wiem, że wstrząsnęła mną tamta sprawa.

– Więc jesteś jeszcze w czynnej służbie?

– Owszem, można to tak nazwać. Jeśli przyjdziesz w następny weekend, będę mógł ci opowiedzieć o tej sprawie więcej, pod warunkiem że odnajdę akta. Odkąd zimą prezydium przy Aleksie zaliczyło parę bomb, panuje spore zamieszanie. Poszczególne działy, dokumentacje, wszystko jest rozproszone po całym mieście.

– Bardzo by mi to pomogło. To okropne, być zmuszonym do siedzenia i bezczynnego czekania na następne morderstwo.

– Doskonale to rozumiem. – Billhardt upił łyk wina.

Oppenheimer nie mógł się powstrzymać od wpatrywania się w kikut, będący niegdyś ramieniem kolegi.

– Co z twoją ręką? – zapytał w końcu.

– Zostawiłem ją na froncie wschodnim.

– Rozumiem. – Pokiwał głową z zadumą. – Nie musisz o tym mówić, jeśli nie chcesz.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu. Billhardt wyraźnie odczuwał potrzebę powierzenia komuś swej historii.

– Jesteś jedynym, któremu mógłbym o tym opowiedzieć. Myślę, że potrafisz mnie zrozumieć. Jeśli chodzi o innych, sam już nie wiem, komu można ufać. A Dorothee nie chcę tym obciążać.

Oppenheimer dobrze pamiętał żonę kolegi.

– Jak ona się miewa?

– Bardzo schudła. I nic dziwnego, skoro brakuje porządnego jedzenia. Mieszka teraz u siostry, która ma gospodarstwo rolne. Tak jest lepiej, a w każdym razie bezpieczniej niż w Berlinie. Widujemy się raz w miesiącu. Jeszcze nawet nie mogłem jej opowiedzieć, co się wydarzyło w Polsce. – Zamilkł. Jego twarz pobladła. Wyglądał, jakby ciążył na nim niewyobrażalny ciężar. Usta wykrzywił mu wzgardliwy grymas. – Zabijałem. Mówili, że za ojczyznę. Czy zagrożenie ojczyzny rzeczywiście maleje, kiedy zabija się dziecko?

Wyobrażając to sobie, Oppenheimer poczuł, że ma gęsią skórkę. Utkwił wzrok w koledze, ale ten nie zwracał na niego uwagi.

– Kazali wam zabijać dzieci? – zapytał z niedowierzaniem.

– Zdarzało się. Dzieci, starców, mężczyzn, kobiety, bez różnicy. Wszystko jedno, w końcu to podludzie. Przeważnie… przeważnie rozstrzeliwaliśmy ich na leśnych polanach. Za miastem. Ciała grzebaliśmy w wielkich dołach. Zwykle kazaliśmy je kopać garstce mężczyzn. Zaraz po odebraniu im łopat dostawali po kulce i sami też wpadali do wykopu. Potem z miasta docierali pozostali Żydzi. Słychać ich było już z daleka, śpiewali te swoje pieśni. Ale na widok dołu z trupami prędko milkli. Docierało do nich, co się dzieje. Nam mówiono, że ci ludzie pomagają partyzantom. Ale byli pośród nich nie tylko Żydzi z Polski. Raz widziałem nawet kogoś z Berlina. Mieszkał niedaleko mnie. Pomyślałem sobie: co on ma wspólnego z polskimi partyzantami? Próbowałem na niego nie patrzeć. Jednocześnie widziałem, że się we mnie wpatruje. Poznał mnie. Kiedy padł rozkaz strzału, jego zastrzeliłem pierwszego. Nie mogłem znieść, jak na mnie patrzy. – Z jego słów wyzierała rozpacz. – Rozumiesz? Zastrzeliłem człowieka, bo nie mogłem znieść jego spojrzenia. Gdy byłem na froncie, nie myślałem o tym, ale odkąd wróciłem…

Oppenheimer usiłował spłukać swoje emocje winem, ale na próżno. Billhardt umilkł, czekając pewnie, aż coś powie.

– Skoro to był rozkaz, to chyba nie mogłeś się mu przeciwstawić, prawda?

– Paru z nas nie zamierzało brać w tym udziału. Dostali naganę, ale nic więcej. Ja jakoś… no, nie chciałem się migać. Przecież przebywaliśmy we wrogim kraju, powinniśmy byli trzymać się razem. Inaczej bylibyśmy zgubieni. Nie mogłem tak po prostu zwalać brudnej roboty na innych. Nie

potrafię ci powiedzieć, czy to, co robiliśmy, było złe. Wiesz, dziwne, ale kiedy już zabijesz parę razy, zaczyna ci to przychodzić całkiem lekko. Trzeba tylko uważać, strzelając w głowę. Czaszka może pęknąć, a mózg – opryskać ci mundur albo twarz. Niektórzy z chłopaków byli prawdziwymi sadystami, im sprawiało to przyjemność. Mnie nie. Po egzekucji zawsze upijaliśmy się wódką. Nie wiem, skąd się brała. Wlewałem ją w siebie litrami, a mimo to nigdy nie byłem tak naprawdę pijany. A przynajmniej nie na tyle, by pomogło.

– Jak się z tego wyrwałeś? – zapytał Oppenheimer.

– Musiałem poświęcić rękę. – Billhardt demonstracyjnie poruszył kikutem. – Napadli na nas partyzanci. Wpadliśmy w zasadzkę, maszerując przez las. Mieli granaty. Jeden mnie trafił. Początkowo dowódca mi nie wierzył. Myślał, że miałem dosyć wojny i wziąłem do ręki odbezpieczony granat, żeby wrócić do domu. No cóż, przed trybunałem wojskowym jednak nie stanąłem. Poszczęściło mi się, tym razem.

Oppenheimer westchnął ze smutkiem. Billhardt skończył. Popatrzył na kolegę nerwowo, wzniósł toast winem i duszkiem wypił je do dna.

W ciszy, która zaległa, komisarz zadał sobie jedno nieprzyjemne pytanie. Billhardt niewątpliwie był do głębi wstrząśnięty, ale czy rzeczywiście żałował tego, co zrobił, czy może raczej rozczulał się nad sobą? Prawdopodobnie nawet on sam nie wiedział tego do końca.

Następnego dnia Vogler przyniósł listy, które udało mu się wreszcie zdobyć w ostatnich dniach. Zdając relację, wciąż jeszcze pienił się z wściekłości. Oficjalnie posterunki policji miały za zadanie przyjmować wszystkie zgłoszenia i przekazywać je Gestapo. Policja często otrzymywała od lojalnych towarzyszy narodu anonimowe listy denuncjujące znajomych za wykroczenia „złej woli”. Donosów przychodziło tak dużo, że nie nadążano z ich rozpatrywaniem.

Vogler musiał nieźle przycisnąć kogo trzeba, by w aparacie policyjnym wreszcie coś drgnęło. Oddelegowano ludzi do przekopywania stert papierzysk i w końcu w sobotę znaleziono dwa listy od mordercy. Sądząc po dacie stempla pocztowego, sprawca wysłał je bezpośrednio po zamordowaniu Christiny Gerdeler i Julie Dufour. Vogler początkowo poważnie rozważał poproszenie Reithermanna, by odpowiedzialnych za to

niechlujstwo wysłać na front wschodni, ale rozpatrywaniem korespondencji zajmowało się tyle osób, że musiałby przenieść na wschód całe działy.

Cały ten trud właściwie mogli sobie darować, listy nie różniły się bowiem wiele od wysłanego do redakcji „Der Angriff”. Morderca oburzał się na nierządnice i rozwodził o przenoszonych przez nie chorobach. Podejrzenia Oppenheimera, że sprawca roi fantazje o wszechwładzy, zagęściły się. Autor wzywał do naśladownictwa. W liście wysłanym po morderstwie Julie Dufour zaapelował nawet do samego Hitlera, by ten przepędził z Rzeszy wszystkich cudzoziemców. Ten tekst okazał się szczególnie pouczający, gdyż morderca nazwał w nim pannę Dufour francuską dziwką. To potwierdzało teorię, że uważał ją za prostytutkę.

Po tym, jak w piątek Oppenheimer bezskutecznie próbował porozmawiać ze współlokatorką panny Gerdeler, udał się jeszcze raz do Horst-Wessel-Stadt, aby popytać trochę wśród sąsiadów Reithermanna. Dowiedział się, że cała dzielnica trzęsie się od plotek na temat Gruppenführera SS i Francuzki. Niemal każdy z zagadniętych wiedział, co jest na rzeczy, i służył pikantnymi szczegółami. Możliwe, że morderca mieszkał w okolicy. Ale przecież były jeszcze dwie inne ofiary, wynajmujące lokum w różnych częściach miasta. Oppenheimer, siedząc w salonie domku w Zehlendorfie, po wielokroć roztrząsał wszystkie fakty, co nieodmiennie kończyło się tym, iż drapał się z niezadowoleniem po głowie, po czym szedł zaparzyć sobie kolejną mocną kawę. Morderca znał ofiary i bez wątpienia obserwował je przez dłuższy czas. Ale, pomijając teorię, że okrutnie dręczył i zabijał je gdzieś w południowo-wschodniej części miasta, nie dało się ustalić żadnego wspólnego punktu na mapie. Sprawca zdawał się być wszędzie i nigdzie.

– Nie, to zdjęcie nic mi nie mówi. – Lizzi Ebner beznamiętnie studiowała fotografię Reithermanna. – Ale głowy nie dam, że go nie znała. Nie przedstawiała mi swych kawalerów.

Jazgoczące w tle radio działało Oppenheimerowi na nerwy.

– Może wspominała jego nazwisko? Reithermann, Günther Reithermann, Gruppenführer SS.

– Znała paru takich z SS, to na pewno. Ale jak się nazywali, tego już nie wiem.

Komisarz pogrzebał wszelką nadzieję, że uda mu się znaleźć jakiś związek między Reithermannem a panną Gerdeler. Współlokatorka nigdy

nie widziała mężczyzn, z którymi tamta się spotykała, i znała wyłącznie ich przezwiska.

Była dziesiąta rano, kiedy panna Ebner przyjęła go, odziana w powycierane kimono i czarne pończochy z oczkami. Tylko starannie ufryzowane włosy przeczyły wrażeniu, że właśnie wstała z łóżka. Była mniej więcej w wieku panny Gerdeler, ale ważyła z dwadzieścia kilogramów mniej. Oppenheimer zastanawiał się, czym tak drobna istota mogła się zajmować w zakładzie zbrojeniowym.

– Chwileczkę – rzuciła i podkręciła głośniej radio.

Nadawano wiadomości. Panna Ebner już wcześniej ledwie mogła skupić się na jego pytaniach. Sprawiała wrażenie dziwnie rozkojarzonej, cały czas śledziła audycję. Oppenheimer nigdy wcześniej, przez całe lata pracy w policji, nie przeżył podobnego przesłuchania świadka. Lizzi Ebner wyglądała, jakby na coś czekała.

– Mogę wiedzieć, co takiego ważnego jest w tej audycji? – zapytał w końcu gniewnie.

Popatrzyła na niego, jakby zupełnie zapomniała o jego obecności.

– No jak to, słucham, czy powiedzą coś o inwazji – odparła i odwróciła się w stronę radioodbiornika.

Wprawdzie członkowie partii nawet myśl o tym zbywali niczym kiepski żart, jednak nie udało im się zapobiec inwazyjnej gorączce, która dopadła cały naród. W przeciwieństwie do większości Oppenheimer stopniowo przestał wierzyć w inwazję. Zdziwił się więc, że histeria ogarnęła nawet kogoś takiego jak panna Ebner.

– I co, wiadomo coś nowego? – zapytał bez większego zainteresowania. – Może nasze oddziały ukończyły kolejną fortyfikację Wału Atlantyckiego?

Panna Ebner wybałuszyła oczy.

– To pan nic nie słyszał? Dziś w nocy wylądowali!

Oppenheimer zerwał się z krzesła.

– Co? Skąd pani wie?

– Wiem, jak bonie dydy. Sąsiad mi powiedział, pan Blank. Zapukał do mnie parę godzin temu. Aż se pomyślałam: a temu co się stało?

Teraz i on skupił się na komunikatach radiowych. Ale po wiadomościach zabrzmiała muzyka, a spiker ani się nie zająknął o inwazji.

– Jest pani pewna, że to prawda?

– Nie no, absolutnie, musowo. Blank pracuje w gazecie. On zaraz najsamprzód wie, jak co się dzieje.

Nagle zdjął go wielki niepokój.

– Jeśli to prawda… – zaczął, nie dopowiadając.

W końcu nie wiedział, po czyjej stronie jest panna Ebner.

– Zły dzień dla *Gröfaza* – mruknęła panna Ebner, mając na myśli Adolfa Hitlera. Zorientowała się, że wymknęło jej się nieoficjalne przezwisko Führera, jakim ochrzcili go berlińczycy, oznaczające *den Größten Feldherrn aller Zeiten*, największego wodza wszystkich czasów, i ścierpła. – To znaczy, oczywiście… – wyjąkała z poczuciem winy.

– Widzę, że można się z panią dogadać! – Oppenheimer nie mógł powstrzymać śmiechu.

Panna Ebner odpowiedziała mu uśmiechem ulgi.

– Nie mam nic wspólnego z nazistami – wyjaśnił, pochylając się ku niej poufale. – Chcę tylko ustalić, co się stało z pani przyjaciółką. Jeśli podejrzewa pani kogoś z partii, może się pani nie obawiać. Nie doniosę na panią. Nikt się o niczym nie dowie. Potrzebuję tylko jakiegoś punktu zaczepienia.

Panna Ebner popatrzyła na niego niemal błagalnym wzrokiem.

– Ja przecież też chcę, żeby złapał pan tego podleca, co jej to zrobił. Niczego bardziej nie pragnę, jak pomóc, panie komisarzu. Ale naprawdę nic nie wiem.

Miał jeszcze mnóstwo pytań do panny Ebner, ale w końcu musiał się pogodzić z tym, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

Po półgodzinie pożegnał się i wyszedł. Początkowo sam nie chciał się do tego przyznać, ale odkąd usłyszał o inwazji, z trudem koncentrował się na przesłuchaniu. Głowę zaprzątało mu pytanie, czy Amerykanie i Brytyjczycy przystąpili w końcu do natarcia. Postanowił udać się na dworzec Friedrichstraße. Już przedtem, idąc do panny Ebner, zauważył, że przy kioskach z gazetami gromadzi się tłumek rozpytujących o świeżą prasę. Teraz dopiero pojął, co się działo.

Gdy dotarł do dworca, ludzie wciąż tłoczyli się wokół kiosku.

– O co chodzi? Nie ma jeszcze gazet? – zapytał.

Jakiś mężczyzna w kolejce odwrócił się, wzruszając ramionami.

– Nieee, jeszcze nie przywieźli. Czekam i czekam.

– Tam, jadą – odezwał się ktoś szeptem.

Oppenheimer w pierwszym momencie niczego nie zauważył, ale po chwili usłyszał warkot furgonetki. Kiedy się zatrzymała, młody chłopak zrzucił na chodnik cztery pakiety gazet. Wśród czekających zapanowało poruszenie. Wreszcie przywieźli codzienną prasę. Właściciel kiosku dźwignął pierwszy stos na ladę, żeby poprzecinać sznurki. Ledwie wziął do ręki nóż, kiedy wyrośli przed nim dwaj policjanci.

– Konfiskujemy to – wyjaśnił jeden z nich i mocno chwycił dwa pakiety.

Drugi wziął pozostałe dwa. I odeszli.

Ludzie zaczęli szemrać. Oppenheimer też czuł niezadowolenie. Już prawie trzymał w ręku gazetę, prawie widział, co jest na pierwszej stronie. To było jak Wigilia bez prezentów.

– Jasny gwint! – denerwował się ktoś w pobliżu. – Dlaczego nie skonfiskowali gazet od razu w wydawnictwie?

Zagadnięty tylko bezradnie wzruszył ramionami.

– A mnie tam ganc pomada, co na pierwszej stronie – zagrzmiał pierwszy. – Mogliby zostawić przynajmniej to, co z tyłu. Chcę się tylko dowiedzieć, co będzie dalej! W tej powieści w odcinkach. Nosi tytuł *Przygody na Lofotach*. Musi pan przeczytać, fascynujące.

Hoffmann, zapytany przez Oppenheimera, potwierdził, że o świcie rozpoczęła się inwazja w Normandii. Melancholijne spojrzenie szofera stało się jeszcze smutniejsze. Za to komisarz był jak naelektryzowany. Nastąpił koniec niepewności. Jeśli ofensywa się powiedzie, na zachodzie utworzy się kolejny front i Niemcy będą osaczone z kilku stron. Od wschodu napierali Rosjanie, a we Włoszech od jakiegoś czasu siedzieli Amerykanie. Musiał przyznać rację pannie Ebner. To nie był dobry dzień dla *Gröfaza*.

Oppenheimer nie mógł tak zwyczajnie wrócić teraz do Zehlendorfu i siedzieć w czterech ścianach. Przeprosił Hoffmanna, wymawiając się tym, że postanowił zjeść w domu. Dał mu instrukcje, by przyjechał po niego za dwie godziny. Esesmanowi było to, zdaje się, na rękę. Nie czekając, zapuścił silnik i na złamanie karku popędził motocyklem Friedrichstraße. Oppenheimer podejrzewał, że chciał kogoś powiadomić o inwazji.

Śródmieście tętniło życiem. Nie tylko dlatego, że akurat była pora obiadu. Coś wisiało w powietrzu. Coś trudnego do zdefiniowania, ale prawie namacalnego. Ludzie to wyczuwali. Komisarz skierował się ku Unter den Linden, czując się jak dwunastolatek pierwszego dnia letnich

wakacji. Miał ochotę wyrywać dęby, skakać do góry, krzycząc z radości, pobiec przez Bramę Brandenburską do domu. Świat nagle stał się za ciasny dla pokładów energii, które nawarstwiły się przez lata czekania. „Hopla, teraz ja”, chciało mu się śpiewać, zupełnie jak Hans Albert parę lat temu w filmie z sekstetem Comedian Harmonists.

Ale nie wyrywał dębów. Nie wiwatował. A tym bardziej nie przebiegł przez Bramę Brandenburską. Za podobną polityczną demonstrację Gestapo ani chybi wysłałoby go do obozu w Oranienburgu, i nawet Vogler by mu nie pomógł. Wracając do domu, musiał ostro się pohamowywać, by nie okazywać radości połączonej ze złośliwą satysfakcją. Mijał ludzi, którzy sprawiali podobne wrażenie. Na twarzach przechodniów malowały się nieskrywane uśmiechy. Tylko zadeklarowani partyjniacy z tak zwanym krabem – odznaką NSDAP – na wyłogach śpieszyli przed siebie, zszokowani.

Oppenheimer skręcił w prawo na Oś Wschód–Zachód. Minął hotel Adlon i znalazł chwilę, by po raz pierwszy od bardzo dawna zerknąć ku zwieńczeniu Bramy Brandenburskiej, na zastygłą w brązie boginię zwycięstwa w kwadrydze ciągniętej przez cztery konie w stronę śródmieścia. Minął przybudówkę, w której stał bóg wojny Mars, chowający do pochwy swój miecz. Miał nadzieję, że wszystko niedługo się skończy i Mars znów będzie bezrobotny. Wiedział jednak, że to jeszcze nie koniec umierania. Na froncie zachodnim dopiero się zaczynało. Właściwie za wcześnie na wiwaty.

Mimo to jak na skrzydłach zmierzał w kierunku placu Großer Stern. Rozsądek radził mu zachować ostrożność, ale nogi nie słuchały. Maszerował szeroką ulicą i mijał siatki ochronne, przypatrywał się masztom flagowym. Stały szpalerem na długości siedmiu kilometrów aż do niegdysiejszego Reichskanzlerplatz na Charlottenburgu, który od niedawna nazywał się Adolf-Hitler-Platz. Ile razy Hitler kazał ozdabiać tę trasę chorągwiami dla uczczenia swych triumfów! Ulicę dekorowały tysiące czerwonych flag – każda z nich była ziejącą raną w błękicie nieba. A pośród tego wojenny karnawał: żołnierze, partyjna kadra, dziewczynki sypiące kwiaty, wszyscy ścieśnieni w powoli płynącym ludzkim strumieniu, grożącym zatkaniem arterii.

Dziś maszty flagowe były nagie. Oppenheimer z nikłym uśmiechem na twarzy przypomniał sobie ich ironiczną nazwę powtarzaną ukradkiem:

„przyszłe szubienice dla bonzów”. Miał nadzieję, że wkrótce będą mogły spełnić to zadanie.

Niebo znowu zasnuło się chmurami, ale księżyc w pełni co jakiś czas się przez nie przedzierał i oświecał mdłym blaskiem plac rozpościerający się po lewej stronie. Giesebrechtstraße była tak wąska, że te parę drzew posadzonych wzdłuż chodnika dawało dość cienia, by przyczaić się niezauważenie pod pensjonatem Schmidt.

Wiedział już, że nie traktowali go poważnie. Listu, który wysłał do redakcji „Der Angriff”, nie opublikowano. Nie mogło pomieścić mu się w głowie, że Goebbels i Führer nie byli świadomi zepsucia czyhającego między rozłożonymi nogami wypacykowanych bab. A przecież ta niewiedza zagrażała aryjskiej rasie. Chyba powody, jakimi się kierował, mówiły same za siebie. Wyłuszczył je w listach i starał się jasno przedstawić to, co pozostawało w ukryciu przed resztą narodu.

Po ukatrupieniu ostatniej dziwki zaczaił się w pobliżu i obserwował. O świcie znaleziono trupa, a zaraz potem zjawili się mężczyźni w mundurach. To mogło oznaczać, że miało na niego oko SS. I właśnie o to mu chodziło. A jednak ktoś wyraźnie się starał, aby informacja o jego czynach nie trafiła do Führera i bliskich współpracowników. Miał tylko jedno wyjście: musiał wysłać wyraźny sygnał, musiał pokazać, że nie działa przeciwko nim. Opracował plan, z którego był dumny. Arcydzieło. Nie sposób będzie go nie zauważyć. Każdy zrozumie, co chciał pokazać. Choć dużo ryzykował, uważał, że po prostu musi się na to zdobyć. Ale najpierw musiał znaleźć odpowiednią ofiarę.

Dobrze się orientował w ciemnościach, nie potrzebował światła, by obserwować otoczenie. Przez długie godziny, które spędził przy Giesebrechtstraße, nie zauważył go żaden ze sporadycznie mijających go przechodniów. Wiedział, że znajdzie tu swoją ofiarę, pensjonat Schmidt był bowiem jednym z najbardziej haniebnych miejsc w Berlinie. Tu uprawiały swój proceder wypacykowane rozsiewające choroby kurwy. W tym burdelu bywali przedstawiciele najwyższych kręgów. Widział już tu tak wielu: żołnierzy i esesmanów każdej rangi, znanych aktorów i oczywiście bogaczy mających forsy jak lodu, wysiadających z reprezentacyjnych limuzyn. Dziwki w Salonie Kitty dwoiły się i troiły, aby sączyć jad w najważniejsze głowy narodu. Obawiał się, że zaszły w tym już dość daleko.

Usłyszał kroki od strony Ku’dammu. Zbliżały się jakieś postacie. Mężczyzna i kobieta. Szli spacerowym krokiem, zajęci sobą. Nawet nie podejrzewali, że stoi pod drzewem i śledzi ich wzrokiem.

Kiedy skierowali się w jego stronę, zmusił się do bezruchu. Ciało nie zawsze robiło, co mu kazał. Czasem zdawało się mieć własną wolę. Winne były na pewno kurwy. Zaraziły go. Ich zepsuta krew wniknęła w niego głęboko. Chciały uzyskać kontrolę nad jego ciałem, ale on nie podda się bez walki. Musiał skupić się maksymalnie, tak by nawet nie drgnąć. Obejmował ramionami pień i koncentrował się na szorstkiej korze pod dłońmi. Z całych sił wyobrażał sobie, że jest częścią drzewa.

Otworzył oczy i zamarł. Para się nie oddaliła. Stali tuż obok. Niemal wyczuwał ich oddechy. Zaledwie parę centymetrów od niego mężczyzna oparł swą towarzyszkę o pień. Obejmowali się. Nie ośmielił się nawet oddychać. Rejestrował, jak tamci się całują, słyszał lekki szelest ubrań i wyczuł kolano mężczyzny wsuwające się między nogi kobiety. Babsztyl westchnął. W tym momencie ogarnęło go to uczucie. Powoli, nieskończenie powoli sięgnął do kieszeni.

Dobrze było trzymać w ręku nóż. Wyobraził sobie rozchylone uda kobiety i połyskujące między nimi ostrze, na sekundę przed tym, zanim stal przetnie skórę. Mimowolnie pomyślał o krwi, której musi się wystrzegać, brudnej kurewskiej krwi. Był przekonany, że i ta bezwstydna szmata jest jedną z nich.

Miał na sobie nieprzemakalny płaszcz. W kieszeni rękawiczki. Jeśli je założy, będzie bezpieczny. Igrał z myślą o zabiciu kobiety, o ostatecznym uciszeniu jej ciężkiego oddechu, teraz, zaraz. Parę ciosów nożem w bok, dla zachowania wprawy.

Zawahał się jednak. Dziwka nie była sama. To problem. Jej towarzysz mógłby błędnie zinterpretować atak, mógłby nawet uznać, że był wymierzony w niego.

W ulicę skręcił samochód. Na ułamek sekundy oślepiło go jasne światło. Potem oczy zasłonił czerwony welon, który przykrył czerń nocy. Minęła chwila, zanim zaczął normalnie widzieć. Miłosna para odeszła. Usłyszał niedaleko prędkie kroki. Ruch w ciemności. Kobieta obejrzała się w jego stronę. Pewnie zobaczyli go w świetle reflektorów.

Przy przeciwległym krawężniku stał samochód z włączonym silnikiem. Ze względu na zaciemnienie jego reflektory były tylko dwiema wąskimi

wiązkami w mroku. Dziwne. Jeszcze chwilę temu mógłby przysiąc, że wóz miał włączone długie światła.

Ze środka ktoś wysiadł, pewnie jakiś żołnierz. Miał na sobie mundur, ale nie dało się rozpoznać jaki. Zachwiał się i oparł o drzwiczki samochodu. Miał już mocno w czubie. Przez otwarte okno nieskładnie podał kierowcy banknot.

– Reszty nie trzeba – rzucił.

– Przepraszam, ale czy się pan nie pomylił? To naprawdę za dużo – wzbraniał się taksówkarz.

Umundurowany machnął nonszalancko ręką.

– Zachowaj resztę – polecił bełkotliwie. – Teraz, kiedy wylądowali Amerykanie, i tak jest już po sprawie. Postaraj się prędko wydać. – Rozejrzał się wokół. – A na dymanko to gdzie?

– Pierwszy dzwonek od dołu.

Taksówkarz pokazał mu drzwi, podziękował i odjechał. Żołnierz odprowadził wzrokiem samochód, wytoczył się na środek ulicy i ryknął na całe gardło:

– Korzystaj z wojny, towarzyszu! Pokój będzie straszny!

17

sobota, 10 czerwca 1944 – poniedziałek, 12 czerwca 1944

Deszcz nie przestawał padać. Upalne dni minionego tygodnia były już tylko odległym wspomnieniem. Oppenheimer niechętnie przyznawał, że jego humor jest uzależniony od czegoś tak trywialnego jak pogoda. Deszcz łatwo wprawiał go w melancholię, zwłaszcza kiedy przez kilka dni z rzędu nieustannie lało. Nastroju nie poprawił mu bynajmniej nocny alarm wywołany atakiem moskita. Ale przynajmniej wiadomo było, że Luftwaffe niewiele może zdziałać, żeby się temu przeciwstawić. Wcześniej przy pełni księżyca naloty zdarzały się rzadko, bo jego światło zwiększało ryzyko wykrycia. Teraz strategowie Royal Air Force zdawali się tym już nie przejmować.

Oppenheimer miał jeszcze do przejścia spory kawałek. Idąc od stacji metra Schlesisches Tor wzdłuż Szprewy, prędzej czy później powinien dotrzeć do mieszkania Billhardta położonego niedaleko Treptower Park. Rankiem, kiedy stało się jasne, że zła pogoda się utrzyma, postanowił odwiedzić kolegę u niego w domu. Nie miał ochoty gnieść się wraz z nim w zawilgoconej altance.

Niestety, nie pomyślał o tym, by dla zmylenia ogona zorganizować sobie drugi parasol. Zorientował się dopiero wtedy, gdy już zamierzał opuścić pokoik na Beusselkiez. Nie pozostało mu nic innego, jak wystawić się na deszcz pod ochroną kapelusza, bo inaczej jego przebranie natychmiast zostałoby zdemaskowane. Już po kilku minutach woda kapała mu z ronda za kołnierz. Z posępną miną wymijał wielkie kałuże, nie mogąc przestać myśleć o tym, jak bardzo nienawidzi takiej pogody.

Od 6 czerwca, kiedy to rozeszła się wieść o wylądowaniu aliantów w Normandii, podano niewiele oficjalnych informacji. W dniu inwazji pojawiło się jeszcze nowe wydanie dzienników. „POCZĄTEK INWAZJI: NATYCHMIASTOWE KONTRNATARCIE” – informowała na pierwszej

stronie „Berliner Börsen-Zeitung”, dodając pod spodem: „WALCZYMY O EUROPĘ”. Relacje z walk zawierały głównie zalecaną propagandę sukcesu, w obliczu powagi sytuacji sformułowaną nieco subtelniej niż zwykle.

Jeszcze parę tygodni wcześniej Hitler przechwalał się, że może odeprzeć każdy atak wroga w ciągu dziewięciu godzin, ale w dniu inwazji niewiele zostało z tej obietnicy. Oppenheimer przewertował nawet „Völkischer Beobachter” w poszukiwaniu nowych informacji, lecz szmatławiec NSDAP rozwodził się tylko o „perfidnym ataku na Europę” i rozpowszechniał plotkę, jakoby Stalin wbrew wszelkiemu rozsądkowi zmusił „wasali Moskwy” do natarcia. Następnego dnia donoszono jedynie o ciężkich stratach w szeregach wroga.

Po pierwszym szoku w mieście znów zapanował względny spokój. U mijanych przechodniów komisarz widywał jednak znacznie mniej partyjnych odznak. Tu i ówdzie wyławiał uchem brednie o akcji odwetowej, rzekomo od dawna planowanej przez Führera. Vogler i radiotelegrafista przez kilka kolejnych dni wyglądali na dość zaniepokojonych, co tylko dobrze wróżyło aliantom. W Normandii panowała jednak tak samo zła pogoda, co z kolei sprzyjało Wehrmachtowi, gdyż w takich warunkach siły lotnicze wroga mogły działać tylko w ograniczony sposób. Z tego, co wiedział, Anglicy i Amerykanie chwilowo nie posuwali się naprzód.

Podobnie jak alianci, on też w ostatnich dniach dreptał w miejscu. Udało mu się jedynie przekonać Hauptsturmführera Voglera do przejęcia inicjatywy i ostrzeżenia członków SS przed niebezpieczeństwem grożącym kobietom ze strony mordercy. Chciał także zawiadomić działające w mieście burdele, ale Vogler stanowczo się przed tym wzbraniał, śledztwo miało bowiem klauzulę tajności.

Zwykle ostrzeżenia tego typu skutkowały nieustającym napływem wskazówek, lecz członkowie SS, w przeciwieństwie do reszty ludności, znacznie mniej chętnie dzielili się informacjami. Może czuli się zbyt bezpiecznie, aby traktować zagrożenie poważnie. Wpłynęła tylko jedna błaha informacja, która okazała się zresztą wyssana z palca, gdyż rzekomo zaginiona dama, pijana w sztok, spędziła noc u jakiegoś mężczyzny. Kiedy ludzie Voglera wyjaśnili okoliczności zdarzenia, nastąpiła typowa scena

zazdrości. Oppenheimerowi ten incydent nie wydał się ani trochę zabawny. Boleśnie uświadamiał mu on bowiem, że nie poczynili żadnych postępów.

Nacisnął dzwonek, a po chwili Billhardt otworzył drzwi.

– Właśnie skończyłem służbę – powiedział gospodarz na powitanie.

– A czym się aktualnie zajmujesz?

– Nie zgadniesz: wracam z dworca, służbowo. Mam namierzać nielegalnych handlarzy owoców i konfiskować towar.

Oppenheimer popatrzył na stojący w sieni kosz, obficie wypełniony żywnością. Pewnie łapówka od któregoś z handlarzy.

– Hm, rozumiem – mruknął tylko. – Co powiesz o inwazji? Myślisz, że Wał Atlantycki się utrzyma?

Billhardt nie zareagował. Zaprowadził Oppenheimera do salonu. Potem, zanim jeszcze usiedli, z miejsca oznajmił, że znalazł stosowne akta policyjne. Przez chwilę napawał się powstałym napięciem, nalewając gościowi lampkę wina.

– Nie myliłem się. To było we wrześniu 1932 roku. Wtedy doszło do wielu podobnych incydentów. Ze względów światopoglądowych i tak dalej. Pewien związkowiec, będący jednocześnie członkiem KPD, został napadnięty we własnym mieszkaniu na Moabicie przez grupkę bojowników SA. Pobili go do nieprzytomności, ale skończyło się na paru złamaniach, bo z pomocą przyszli mu sąsiedzi. – Przerwał dla wzmożenia efektu. – Jego żona miała mniej szczęścia.

– Niech zgadnę – wtrącił Oppenheimer. – Została okaleczona nożem?

– Właśnie – przytaknął Billhardt. – Jeden ze zbirów SA rzucił się na nią z nożem. Przynajmniej tak zeznał potem jej mąż. Sprawca w amoku dźgał kobietę, nie przestawał nawet wtedy, gdy sąsiedzi zjawili się z odsieczą. Podobno urządził straszną jatkę. Świadkowie zeznali, że wpadł w jakiś rodzaj szału. Zupełnie nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Dopiero trzech silnych chłopów zdołało jakoś przywrócić go do rozsądku. Otrzymał karę śmierci.

– Co szczególnego było w tej sprawie, że zapadła ci w pamięć?

– Ten facet z SA – Billhardt zawahał się na chwilę – zadawał ciosy wyłącznie w podbrzusze. Obrażenia były zbyt ciężkie, żeby kobietę udało się odratować.

– Interesujące. – Oppenheimer słuchał z uwagą. – To pasowałoby do naszego sprawcy. Ale wspomniałeś, że tamten bandyta dostał wyrok

śmierci?

Usta gospodarza rozciągnęły się w krzywym uśmiechu.

– Wypuszczono go na wolność.

Oppenheimer o mały włos nie zachłysnął się winem.

– Słucham? – zapytał z niedowierzaniem.

– Odsiedział zaledwie pół roku. Dopisało mu szczęście. Kiedy czekał na wykonanie wyroku, ogłoszono amnestię. To było w marcu 1933 roku, zaraz po przejęciu władzy. Amnestia dotyczyła wszystkich przestępstw popełnionych w związku z nacjonalistycznym ruchem oporu. Słyszałeś? Wszystkich. Kiedy Hitler był już u władzy, natychmiast oficjalnie oczyścił z winy swoich bojowników. Obojętne, co przeskrobali. Dopilnował, by nie wykonano wyroków. Jak jeden mąż wyszli z więzienia. Z aresztu zwolniono także naszego mordercę.

Oppenheimer na chwilę oniemiał.

– Jasna cholera – rzucił w końcu. – Mieli go i puścili wolno.

– Ostrożnie, nie masz pewności. Wiem, co myślisz. Ale brakuje dowodów, że to ten sam sprawca, którego ścigasz. W jego aktach nie ma dodatkowych wskazówek. Później już się nie wychylał. Żadnych wykroczeń. Najwyraźniej zaczął żyć jak przykładny obywatel.

– Muszę mieć wgląd w jego akta.

Billhardt drgnął.

– Wiesz, że to niemożliwe. Nie jesteś już policjantem.

– W takim razie daj mi adres, cokolwiek. Mógłbyś przynajmniej zdradzić nazwisko.

Gospodarz pokręcił głową.

– Nie, nie zrobię tego. I tak powiedziałem ci więcej, niż powinienem. Jeśli to się wyda, będzie po mnie. Wiesz, że nie jestem świnią, ale muszę zadbać o własne bezpieczeństwo. Powiedziałem ci, kiedy do tego doszło. To wystarczy. Ten Hauptsturmführer, dla którego pracujesz, załatwi ci resztę informacji.

Oppenheimer przez chwilę rozważał jego słowa.

– Wolałbym powiedzieć mu o tym dopiero wtedy, gdy będę miał w ręku coś konkretnego. Już raz dałem plamę, podejrzewając pewną szychę z SS. A ten facet też byłby jednym z nich.

– Naprawdę nie mogę ci pomóc – oświadczył stanowczo Billhardt.

Oppenheimer widział, że niełatwo mu było trwać w swej decyzji.

Około trzeciej w nocy wreszcie odwołano alarm. Oppenheimer, sennie powłócząc nogami, przeszedł z piwnicy do mieszkania, padł na łóżko i natychmiast zasnął. Kiedy się obudził, dochodziło południe. Słyszał Lisę krzątającą się w kuchni. Wciąż zaspany, przekręcił się na wznak i popatrzył przez okno na szare niebo. Była niedziela, ale rozsądek nie pozwalał mu na odpoczynek. Ubierając się, powrócił myślami do sprawy zbira z SA, o którym opowiedział mu Billhardt. Może rzeczywiście powinien zwrócić się do Voglera z prośbą o dostęp do akt. Wystarczyłoby małe kłamstwo. Mógł powiedzieć, że słyszał o tej sprawie, gdy jeszcze pracował w policji.

Kiedy wszedł do kuchni, Lisa stała przy kuchence. W czajniku gotowała się woda. Stół uginał się pod rozmaitymi artykułami spożywczymi. Oppenheimer ze zdumieniem odkrył takie rarytasy jak czekolada, kawa i konserwy mięsne. W pierwszym odruchu odłamał kostkę od jednej z tabliczek czekolady. Kiedy słodycz rozlała mu się w ustach, nie mógł powstrzymać błogiego uśmiechu. Natychmiast włożył do ust drugi kawałek nieoczekiwanego szczęścia. Dopiero potem zapytał:

– Skąd to mamy?

– Od doktora Kleina – odpowiedziała Lisa. Jej głos brzmiał dziwnie matowo. – Dziś rano rozdawał to w całym domu.

– Tak myślałem, że ma swoje tajemne zapasy. Co świętujemy? Postępy inwazji?

Lisa z brzękiem odstawiła czajnik i popatrzyła na męża z wyrzutem.

– Ty zupełnie nie wiesz, co się wokół ciebie dzieje, co?

Zauważył wilgotny błysk w oczach żony, ale nie rozumiał jej reakcji.

– Co zrobiłem nie tak?

– Jesteś tak pochłonięty tym swoim śledztwem, że inni są ci zupełnie obojętni.

Poczuł się niezrozumiany.

– Powiesz mi, co się dzieje? Proszę.

– Doktor Klein dostał wczoraj nakaz ewakuacji. Teraz, po śmierci żony, utracił wszelkie przywileje. Miał nadzieję, że trafi do Theresienstadt, ale chcą go wysłać do Polski, bo jeszcze nie skończył sześćdziesiątki. Przyjdą po niego jutro. Dziś rozdał wszystko, co miał. Podejrzewam, że chce zażyć weronal. Gestapo nie zastanie go żywego.

Czekolada w jego ustach straciła smak. Zaszokowany wypluł resztę. Spojrzał na sufit. Gdzieś tam na górze doktor Klein zażywał właśnie

śmiertelną dawkę środków nasennych. Poczuł, że musi coś zrobić. Chciał zakończyć ten obłęd. Tylko co on mógł? Jakkolwiek się przed tym wzbraniał, musiał zaakceptować, że w tym wypadku lepiej nie interweniować. Śmierć oszczędzi doktorowi wiele innych trudów: znęcania się, kopania własnego grobu, zanim go rozstrzelają albo zagazują, i innych okrucieństw, jakie zgotowaliby mu hitlerowcy. Jedyne, co mu pozostało, by zademonstrować swą wolność, by nie kapitulować przed maszynerią zagłady i nie poddawać się bez walki losowi, który obmyślił dla niego łajdak nazywany przez naród wodzem, to samobójstwo.

Powietrze wydało się nagle Oppenheimerowi gęste. Szarpnięciem otworzył okno i popatrzył na ulice mokre od deszczu. Nie miał już ochoty na czekoladę.

Cmentarny stróż zaklął pod nosem. Nie włączył latarki, choć wokół panowały egipskie ciemności. I po ciemku dobrze się orientował na terenie nekropolii. Przy jego parszywym szczęściu włóczył się tu jeszcze jakiś gagatek. Jeśli rzeczywiście tak było, jakoś nie miał ochoty ściągać na siebie jego uwagi, choć uważał, że jest całkiem krzepki jak na swoje sześćdziesiąt siedem lat. Jeśli ktoś mu się napatoczy, podejdzie go cichcem i postara się obezwładnić. Na tę myśl mocniej zacisnął dłoń na motyce. Dobrze, że miał ją przy sobie, tak na wszelki wypadek.

Po odwołaniu alarmu ledwie zdążył lec wygodnie, kiedy ta głupia gęś wyciągnęła go dzwonkiem z łóżka. Nad ranem, otwierając bramę, sam by zauważył, że jest niedomknięta, a łańcuch przecięty. A tak musiał znowu wyleźć w noc i deszcz, aby dopełnić obowiązku.

Już parokrotnie widywał pannę Becker w sąsiedztwie. Uważał ją za niemądrą paniusię, ale tyłeczek miała ładny, musiał przyznać. Z czystej złośliwości kazał jej iść na najbliższy posterunek policji, żeby zgłosiła włamanie. Wyraz, jaki wymalował się na jej twarzy, kiedy oznajmił, że on sam nie może się tym zająć, ponieważ do chwili przybycia policji musi zabezpieczyć teren, był wprost niezapomniany. Cóż, taki mały odwet. O ile bardziej wolałby teraz leżeć w łóżku. Może nawet razem z panną Becker.

Przeszukanie w ciemnościach całego cmentarza graniczyło z niemożliwością. Teren obejmował pół kilometra kwadratowego. W powietrzu wisiała w dodatku deszczowa zgnilizna, przez co stróż postanowił sprawdzić tylko szeroką alejkę prowadzącą do wieży ciśnień.

Wmawiał sobie, że już w ten sposób uczyni zadość swym obowiązkom. W duchu liczył, że panna Becker jednak nie poleciała na policję i że będzie mógł się przekimać jeszcze parę godzin. Intruz i tak niewiele zdoła tu nabroić. Kwiaty ukraść, na przykład. Czy w ogóle istniał czarny rynek na kwiaty? Poza tym mógł co najwyżej zbezcześcić grób. Rzecz niewarta zachodu. I dla czegoś takiego wygania się go z łóżka. Potrząsnął z niezadowoleniem głową, stąpając po chrzęszczącym żwirze. Na wprost majaczyła olbrzymia wieża, do której prowadziła alejka. Kiedy świeciło słońce, blask czerwonej cegły, z której wzniesiono tę cylindryczną budowlę, opromieniał cały cmentarz. Ale teraz, wczesnym świtem, barwy zlewały się z czernią nocnego nieba.

Dozorca dotarł do końca alejki, zatrzymał się pod wieżą i chciał zawrócić. Nagle znieruchomiał. Coś tam było. Czy rzeczywiście słyszał jakiś szelest? A może zmysły spłatały mu figla? Nadstawił uszu, ale poza łopotem ogromnych flag nie dochodził do niego żaden dźwięk. To pewnie tylko spłoszony ptak. A może ktoś tu się jednak włóczy?

Uniósł motykę, napiął mięśnie, przygotowując się na nagły atak. Już on pokaże temu zbójowi, że nawet dziadek nie jest całkiem bezbronny. Powoli zaczął obchodzić wieżę. Z największą ostrożnością sunął naprzód. Starał się poruszać jak najciszej, ale ten przeklęty żwir chrzęścił przy każdym kroku.

Właśnie mijał halę pamięci wzniesioną u stóp wieży, gdy tuż przed głównym wejściem trącił stopą jakąś przeszkodę. Zatrzymał się z przestrachem. Na wprost niego coś leżało, ledwie widoczne w mroku. Wczoraj jeszcze tu tego nie było.

Zdawał sobie sprawę, z jaką łatwością można by go zaatakować w tym miejscu. Znajdował się na otwartej przestrzeni. Powstrzymał odruch, każący mu zbadać obiekt leżący u jego stóp. Najpierw musiał się upewnić, że nikogo tu nie ma.

Panował całkowity spokój. Z zarośli nie dochodziła żadna zdradliwa poświata. Niczego nie było też widać w krużganku hali. Żadnego czyhającego za kolumną cienia, żadnych niezwykłych dźwięków. Stał tu tylko on, a obok leżało to coś.

Upewniwszy się, że w pobliżu nikogo nie ma, skupił się na nieruchomym obiekcie. Jeśli chciał cokolwiek zobaczyć, nie miał wyjścia, musiał włączyć latarkę. Skierował snop światła w dół i ujrzał, co leżało przy jego stopach. Zetknął się już z czymś podobnym na froncie, ale nic z tego, czego

doświadczył na wojnie, nie mogło przygotować go na widok okrutnie zmasakrowanego ludzkiego ciała. Czym prędzej zgasił latarkę i z trudem powstrzymał torsje. Nagle, choć uzbrojony w motykę, poczuł się bezbronny.

Całą noc Oppenheimer nie zmrużył oka. Tym razem nie przez nalot, który wygonił go z łóżka. Kiedy wreszcie mogli wrócić do mieszkania, Lisa od razu zapadła w sen, ale on wiercił się z boku na bok. Myśli o doktorze Kleinie nie dawały mu spokoju. Gdzieś głęboko w sobie czuł gorycz, której nie zdołał się pozbyć. Leżał w łóżku i nie mógł zrobić nic poza gapieniem się w ciemność.

Nagle rozległ się głuchy dźwięk. Kroki. Ktoś był na klatce schodowej, wchodził na ich piętro. Kilka sekund później otworzyły się drzwi kuchni. Kroki zbliżały się do ich pokoju. Czy to Gestapo? Kolejna rewizja? Wstrzymał oddech. Ktoś zapukał do drzwi.

– Oppenheimer? – zapytał głos.

Ociągając się, założył spodnie i otworzył. W jasno oświetlonej kuchni stał Hoffmann.

– Wezwanie – rzucił krótko.

Oppenheimer wiedział, co to oznacza.

– Jasna cholera! – wymamrotał.

Sprawca uderzył ponownie. Znów zabił jakąś kobietę. W takich chwilach komisarz nienawidził swojej profesji.

Deszcz zelżał o świcie. Vogler stał przed wejściem na cmentarz przy Bergstraße. W świetle poranka jego twarz miała niezdrowy odcień, ale Oppenheimer był przekonany, że on sam nie wygląda lepiej.

– Mamy świadka! – oznajmił z szerokim uśmiechem Vogler.

Oppenheimer, poruszony, otworzył szerzej oczy.

– Co widział?

– To kobieta. Właśnie posłałem dwóch ludzi na posterunek. Kazano jej zostać, żebyśmy mogli ją przesłuchać. O ile dobrze zrozumiałem cmentarnego stróża, widziała kogoś, kto dobierał się do bramy. Tuż przed tym, jak znaleziono zwłoki.

Wyjaśnił, że północne wejście na cmentarz składa się z bramy i dwóch furtek po obu jej stronach. Na noc stróż zwykle zamyka bramę na łańcuch,

który intruz przeciął, prawdopodobnie nożycami do metalu.

Vogler poprowadził Oppenheimera szeroką alejką wiodącą przez środek cmentarza. Okazałe grobowce, wzniesione tuż po przełomie wieków, sąsiadowały tu ze skromnymi nagrobkami świeższej daty, ale ich zarysy zacierały się jeszcze w pozbawionym cieni półmroku brzasku. Płaska budowla, do której zmierzali, w porównaniu z górującą nad nią smukłą sylwetką wieży ciśnień sprawiała nieco toporne wrażenie. Komisarz przypominał sobie niejasno, że wieża nigdy nie służyła celom, w jakich ją wzniesiono, czyli jako rezerwuar wody. NSDAP znalazła inne zastosowanie dla tego reprezentacyjnego, choć jednocześnie dość bezsensownego budynku: mianowicie jako pomnik ku chwale poległych w pierwszej wojnie światowej i w ruchu narodowosocjalistycznym.

W pobliżu hali pamięci Oppenheimer dostrzegł błysk magnezji. Policyjni fotografowie byli już zajęci zabezpieczaniem dowodów.

– To tam? – upewnił się, przyśpieszając kroku.

Voglera wyraźnie zaskoczył ten nagły przypływ wigoru.

– Tuż przed głównym portalem – odrzekł i pośpieszył za nim.

Oppenheimer minął esesmana, pilnującego miejsca zbrodni z karabinem na ramieniu. Kiedy skręcił za róg sali kolumnowej, zobaczył plandekę. Fotograf do spółki z pomocnikiem przykrywał nią właśnie zwłoki. Spod płachty wyglądały pojedyncze rude pukle. Ciało leżało w pobliżu głównych schodów, prowadzących do wejścia do budynku.

„Znowu ten sam schemat” – pomyślał komisarz. Trupa znowu złożono na czymś w rodzaju ołtarza ofiarnego, tyle że w tym przypadku ołtarz ów wznosił się czterdzieści metrów nad ziemią. Serce zabiło mu mocno, kiedy uniósł brzeg płachty.

Widok, jaki ukazał się jego oczom, był przerażający. Rozchylone nogi kobiety sprawca zwrócił w stronę wieży. Obrażenia wyglądały identycznie jak te, których doznały trzy poprzednie ofiary. Tak jak we wcześniejszych przypadkach tutaj też dało się dostrzec tylko niewielkie ślady krwi. Nie było wątpliwości, że to dzieło tego samego sprawcy. Mimo to pierwsze wrażenie okazało się mylne. Schemat nieco się różnił. Tym razem czegoś brakowało.

– Co to ma znaczyć? – zapytał osłupiały.

– Odciął jej ręce – wyjaśnił Vogler. – Przeszukujemy już teren, może leżą gdzieś w pobliżu.

– Nie ma rąk? – myślał na głos Oppenheimer.

Dopiero teraz zaczęło do niego docierać coś więcej poza obrażeniami. Leżąca u ich stóp kobieta była ubrana na czarno. Deszcz prawie zmył jej makijaż. Niewyobrażalne męki, które musiała przeżyć, w magiczny sposób nie odbiły się na twarzy.

Komisarz trwał w kucki obok niej, pogrążony w rozmyślaniach. Ogarnęła go wściekłość. Wściekłość i rozpacz. Ona mogłaby jeszcze żyć, gdyby tak straszliwie nie zawiódł. Bezsensownie zmarnował ostatnie tygodnie. Morderca uczynił go współwinnym. Stanowił dla niego zagadkę. Za każdym razem, kiedy sądził, że zaczyna kojarzyć fakty, działo się coś, co wszystko niweczyło.

– Czy ktoś zgłosił zaginięcie? – zapytał.

Vogler, oparty o jedną z kolumn, potrząsnął głową.

– Na razie nic nie wpłynęło.

Oppenheimer podniósł się, podszedł do schodów i popatrzył na rozpościerającą się przed nim murawę.

– Kobieta nie ma przy sobie nic, co ułatwiłoby jej identyfikację. Musimy poszukać sami. Sprawia wrażenie zadbanej. Nie sądzę, by była zwykłą ulicznicą. Nosiła drogą biżuterię, a także, jeśli się nie mylę, używała perfum. Ma zbyt wielką klasę. Najlepiej, jeśli wyśle pan kogoś ze zdjęciem do różnych burdeli. Jeżeli miała jakieś powiązania z SS, prędko do tego dojdziemy. Nie wydaje mi się, by nikt nie zauważył jej zniknięcia. A tymczasem, gdzie świadek?

– Chyba wciąż siedzi na posterunku.

– W takim razie przepytam ją osobiście. To najlepsze, co mamy.

Elfriede Becker patrzyła na Oppenheimera zaczerwienionymi oczami. Od bitych czterech godzin tkwiła wyczerpana na posterunku, siedząc na drewnianej ławce ze zwiniętą w rulon kurtką pod głową.

– Nie chciałabym ponaglać, ale pana koledzy już mnie przesłuchiwali. Pół nocy spędziłam w bunkrze, a niedługo muszę iść do pracy.

– To potrwa tylko chwilę – zapewnił ją Oppenheimer i usiadł obok. – Więc wracała pani do domu i widziała domniemanego sprawcę? Na Bergstraße, przy samym wejściu?

Panna Becker poprawiła okulary, wyjęła kurtkę spod głowy i złożyła ją porządnie. Jej ruchy sprawiały wrażenie machinalnych.

– Nie wiem, czy to był sprawca. Zanim podeszłam do bramy, zobaczyłam tam jakąś postać.

– Jak daleko pani była?

Komisarz mimowolnie przysunął się bliżej, przypatrując się jej cały czas. Panna Becker była zbyt zmęczona, by odnotować jego zachowanie. Odpowiedziała ze spuszczoną głową:

– Może piętnaście metrów. Wydało mi się dziwne, że on ucieka.

– Jak wyglądał?

Kobieta jęknęła z irytacją i odchyliła się do tyłu.

– Niestety, nie potrafię dokładnie powiedzieć. Prawie nic nie było widać. Ze względu na zaciemnienie. Zrobiło się jasno tylko na moment, kiedy księżyc wyjrzał zza chmur. Po chwili znowu było ciemno, a ja już tylko słyszałam kroki. On chyba przeszedł przez ulicę albo zniknął między drzewami, bo ja wiem. W każdym razie, kiedy podeszłam do bramy, już go tam nie było.

– Ale widziała go pani przez ten krótki moment, prawda?

– Widziałam, to zbyt wiele powiedziane, ale owszem, zdołałam rzucić na niego okiem.

– Jak by go pani opisała?

– Był normalnego wzrostu. Może metr siedemdziesiąt. Długi płaszcz. Bez kapelusza.

– Skoro był bez kapelusza, to jaki miał kolor włosów?

Panna Becker popatrzyła na niego niepewnie.

– Chyba jasne. Nie pamiętam dokładnie.

– Jasne? Ma pani na myśli: białe?

– Nie, takie… rozświetlone. Jak Jean Harlow w amerykańskich filmach.

Oppenheimer usiłował pogodzić wizerunek tlenionej blondynki z domniemanym sprawcą, ale nie bardzo mu się to udawało. Panna Becker musiała zauważyć jego zdumione spojrzenie, bo dodała przepraszająco:

– Obawiam się, że jestem trochę przemęczona. W każdym razie nie zapamiętałam nic więcej.

Z doświadczenia wiedział, że można wpłynąć na każdego świadka. Bywało, że podczas ponownego przesłuchania zaczynali powątpiewać we własny zmysł obserwacji i potwierdzali wszystko, co im się powiedziało. Uznał, że właśnie osiągnęli ten krytyczny punkt.

– To by było na tyle – oznajmił. – Dziękuję pani za starania.

Panna Becker z ponurą miną założyła kurtkę i wyszła bez pożegnania.

18

poniedziałek, 12 czerwca 1944 – sobota, 17 czerwca 1944

Rano pozwolił sobie na krótką drzemkę. Położył się na kanapie w salonie w Zehlendorfie i przez dwie godziny odpoczywał pośrodku karteluszek z notatkami rozrzuconych po całym pokoju. Choć ludzie Voglera przeszukali cały cmentarz i jego okolice, nie znaleźli rąk ofiary.

Vogler dopilnował, by sekcja zwłok odbyła się natychmiast. Wczesnym popołudniem pojechali do prosektorium na oględziny. Obdukcję zamierzał przeprowadzić osobiście doktor Gebert. Widać było, że nie jest zachwycony widokiem Oppenheimera. Jego i tak już posępne oblicze spochmurniało jednak jeszcze bardziej, kiedy zobaczył ciało.

Uwagę komisarza przykuły rany po odciętych ramionach.

– Interesujące – rzucił Gebert, studiując cięcia.

– W jaki sposób udało mu się odciąć ręce? – zapytał Oppenheimer.

Gebert niechętnym spojrzeniem skwitował to, że ktoś przerywa jego rozważania.

– Prawdopodobnie użył do tego noża. To dość proste. Postaram się sformułować to w sposób zrozumiały dla laika. W normalnym przypadku w panewce stawowej łopatki, czyli tutaj, tkwi *caput humeri*, czyli głowa gości ramiennej. – Gebert wskazał na jasny kawałek kości, wyraźnie widoczny w tkance mięśniowej. – Jest tu zagłębienie. Sprawca przeciął tkankę aż do tego miejsca. Potem wystarczyło tylko ciąć wokół stawu.

– Czyli sprawca zna się na anatomii? – zapytał Oppenheimer.

– Sugeruje pan, że może być lekarzem? Niekoniecznie. Stawy zwierzęce i ludzkie pod wieloma względami mają podobną budowę. Za pomocą zastosowanej tu metody dokonuje się także rozbioru bydła rzeźnego.

Na podstawie temperatury ciała doktor Gebert oszacował, że sprawca dokonał morderstwa jakieś osiemnaście godzin temu. Pozostałe

okaleczenia, łącznie ze stalowymi gwoździami w kanałach słuchowych, okazały się identyczne z tymi u Inge Friedrichsen.

Oppenheimer dowiedział się, czego chciał, i opuścił prosektorium, zanim doktor przeszedł do właściwej sekcji zwłok. Zastanawiał się, co morderca mógł zrobić z rękoma kobiety. Po powrocie do Zehlendorfu zadumał się nad fotografiami z pozostałych miejsc, gdzie znaleziono zwłoki. Próbował odnaleźć w obrażeniach jakiś wzór, do którego pasowałyby odcięte ramiona. Ale mimo wszelkich wysiłków nie potrafił dostrzec żadnego sensownego związku.

Za to poproszona o pomoc służba bezpieczeństwa miała więcej szczęścia. Późnym popołudniem do pokoju wpadł rozpromieniony Vogler.

– Zidentyfikowaliśmy ofiarę i wiemy, gdzie uprawiała swój proceder – oświadczył z triumfem.

– Więc to profesjonalistka? – upewnił się Oppenheimer.

– Nie mylił się pan. Miała zbyt wielką klasę jak na uliczną dziwkę. Zleciłem tę sprawę Güttlerowi. Miał popytać w znanych luksusowych burdelach, pokazać jej zdjęcie. Już pierwszy lokal okazał się strzałem w dziesiątkę: Salon Kitty przy Giesebrechtstraße.

Następnego dnia Oppenheimer kazał się zawieźć do Salonu Kitty. Siedział na tylnym siedzeniu limuzyny Voglera, a towarzyszył mu Güttler ze służby bezpieczeństwa, ten sam, który ustalił powiązania zmarłej z burdelem. Był mężczyzną o zwinnych ruchach i przyjaznym uśmiechu, niemal całkowicie łysym, choć miał dopiero trzydzieści parę lat. Oppenheimer sam nie wiedział, co go skłoniło do zabrania go ze sobą. Może potrzeba posiadania przyzwoitki w tym podejrzanym lokalu? Vogler w każdym razie polecił go jako człowieka zdolnego i godnego zaufania, a tacy byli przydatni w każdej sytuacji. Właściwie już wczoraj miał zamiar złożyć wizytę w Salonie Kitty, ale jego właścicielka, Kitty Schmidt, nalegała na późniejszy termin, kiedy w jej zakładzie będzie panował nieco mniejszy ruch. Było wczesne popołudnie, pora idealna.

Giesebrechtstraße leżała na południowym krańcu Charlottenburga. Oficjalnie lokal działał jako pensjonat Schmidt, ale ze względu na nocne hałasy oraz limuzyny co wieczór parkujące przed budynkiem właściwie wszyscy w sąsiedztwie wiedzieli, że klientom oferowano tu nie tylko wikt i nocleg. A sąsiedztwo było jak najbardziej prominentne, bowiem tuż obok,

w domu z numerem 12, mieszkał Obergruppenführer SS doktor Ernst Kaltenbrunner, który jako szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy był jednocześnie zwierzchnikiem Policji Bezpieczeństwa i SD, a tym samym – również najwyższym przełożonym Güttlera. Gdzieś przy tej ulicy musiał też mieszkać Eduard Künnecke. Oppenheimer bardzo cenił jego operetkę *Kuzynek z księżyca*, naprawdę zabawną i zawierającą parę dobrze zinstrumentowanych szansonetek. Stanowiła miłe urozmaicenie od operowego tragizmu ostatnich utworów Franza Lehára, która to maniera zdusiła dawną lekkość jego dzieł.

Kitty Schmidt nie mogła znaleźć lepszego adresu dla swego domu uciech, znajdował się on bowiem w odległości zaledwie paru metrów od Ku’dammu. Ożywiony ruch ekskluzywnego bulwaru znakomicie pasował do koncepcji luksusowego przybytku rozkoszy dla prominentnych klientów z wyższych kręgów. Zdaniem Güttlera obracały się tu znane osobistości, wśród nich wysocy rangą wojskowi, dyplomaci i funkcjonariusze partyjni. W tej chwili większość klienteli stanowili jednak żołnierze na przepustce. Oppenheimer zastanawiał się, czy dogłębna wiedza Güttlera o Salonie Kitty nie wynikała przypadkiem z tego, że sam zaliczał się do klientów.

Swego czasu, kiedy pracował jeszcze w policji kryminalnej, sporo słyszał o tym przybytku. Salon Kitty cieszył się renomą najlepszego lokalu w mieście. Nie tylko ze względu na pracujące w nim panie, ale też dlatego, że właścicielka i jej podopieczne przywiązywały wielką wagę do dyskrecji. Mgliście przypominał sobie zasłyszaną historię, jakoby w dniu przejęcia władzy przez Hitlera w obszernym mieszkaniu Kitty odbyło się przyjęcie, na którym wspólnie bawili się przywódcy SA i Żydzi. Güttler oczywiście przemilczał ten pikantny szczegół.

Hoffmann zatrzymał samochód przed domem oznakowanym numerem 11. Güttler oznajmił, że lokal mieści się na parterze. Ze względu na drewnianą protezę nogi wysiadanie zajęło mu trochę więcej czasu.

Oppenheimer popatrzył na fasadę kamienicy. Wydało mu się, że rozpoznaje krawędź prowizorycznego dachu, co oznaczałoby, że budynek jakiś czas temu został trafiony przez bombę.

Znaleźli się na progu mieszkania i drzwi otworzyła im pokojówka w białym czepku i takimże fartuszku.

– Jesteśmy umówieni z panią Schmidt – wyjaśnił Güttler.

– Proszę wejść – zaprosiła ich do środka.

Weszli do przedpokoju, z którego wychodziło kilkoro drzwi. Wystrój był jota w jotę taki, jak sobie wyobrażał: dużo pluszu, ciężkie kotary, roślina palmowa w kącie, grube dywany wyścielające podłogę, sztukaterie na suficie. Dziewczyna już miała zaanonsować przybyłych, kiedy otworzyły się jedne z drzwi.

– Panowie ze służby bezpieczeństwa – zapowiedziała pokojówka kobiecie, która z szumem wypadła na korytarz.

– Dziękuję, Elviro, ja się tym zajmę – odparła.

Pani Schmidt zachowywała się z niewymuszoną uprzejmością. Choć Oppenheimer nie miał najmniejszych wątpliwości, że jej układność jest wystudiowana, to osiągnęła ona swój cel. Kitty w mig udało się sprawić, że goście poczuli się u niej dobrze.

– To miło, że panowie zgodzili się przełożyć nasze spotkanie. Nawet sobie panowie nie wyobrażają, jaki u nas w tej chwili ruch. Klienci walą drzwiami i oknami.

Oppenheimer dopiero teraz mógł przyjrzeć się jej bliżej. Była korpulentną osobą o sympatycznej twarzy, jedną z tych, których wieku nie da się oszacować. Przypuszczał, że dobiega czterdziestki.

Do przedpokoju weszła młoda kobieta. Była wyraźnie zmęczona, ale na widok mężczyzn natychmiast wzięła się w garść.

– Do widzenia, Kitty – pożegnała się.

Oppenheimer nie był całkiem pewien, lecz wydało mu się, że przechodząc, poufale mrugnęła okiem do Güttlera.

– Do widzenia, dziecino – rzuciła Kitty, po czym zwróciła się do komisarza: – Jak mówiłam, ruch w interesie. Doprawdy nie wiem czemu, ale od jakiegoś czasu mamy natłok klientów. Przejdźmy może do mojego buduaru, tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Na ścianie pomieszczenia nazwanego buduarem wisiał duży obraz olejny. Przedstawiał panią Schmidt z półprofilu, z rękami założonymi na piersi.

– Ach, podziwia pan obraz – zauważyła kobieta, widząc jego zainteresowanie. – Cóż, nie jest to może Tintoretto, ale on tworzył na długo przed moją erą – skwitowała z dobrotliwym uśmiechem. – Pan jest…

Oppenheimer drgnął, uświadomiwszy sobie, że jeszcze się nie przedstawił. Podał jej rękę.

– Komisarz Oppenheimer. Güttler, jak przypuszczam, wprowadził już panią w sprawę, pani Schmidt?

Znieruchomiała na moment, słysząc nazwisko Oppenheimera.

– Proszę mówić mi Kitty. Wszyscy się tak do mnie zwracają. – Uśmiech zniknął z jej twarzy, kiedy przypomniała sobie, z czym przyszli. – Tak, pan Güttler wspominał już o tej sprawie z Friederike. To hańba, w rzeczy samej. Czy mogę panom zaproponować coś do picia? Szampana, koniak, kawę?

Wcisnęła przycisk dzwonka. Po chwili zjawiła się pokojówka.

– Czy mamy jeszcze w zapasie numer jeden? – zwróciła się do niej Kitty.

– Szampan niestety się skończył. Nowa dostawa jeszcze nie nadeszła. Musimy zamówić gdzie indziej.

– Och, niezmiernie mi przykro. – Pani Schmidt przeniosła wzrok na Oppenheimera. – Obawiam się, że moi klienci są bardzo spragnieni. Niestety, trudno jest zdobyć szampana.

– Och, proszę się nie fatygować – odparł. – Jestem na służbie. Ale wspomniała pani o kawie?

– Naturalnie. Prawdziwa, ziarnista. Przynieś dwie, Elviro.

Pokojówka dygnęła i znikła.

– Przed chwilą wymieniła pani imię Friederike – zauważył Oppenheimer. Zerknął w notatki. – Z moich informacji wynika, że ofiara nazywała się Edith Zöllner.

– Ależ oczywiście, umknęło mi. Nasze dziewczęta mają pseudonimy artystyczne. – Otworzyła album i podała go mu. – Proszę, to jej zdjęcie.

Skojarzenie z Christiną Gerdeler nie było przypadkowe. Roznegliżowana panna Zöllner prężyła się przed kamerą w podobny sposób. Reszta zdjęć pokazywała inne panie w podobnych pozach.

– Tę fotografię chyba mogę już wyjąć. – Kitty westchnęła ze smutkiem i wydobyła z czeluści biurka butelkę likieru Mampe. – Napije się pan, komisarzu? Och, zapomniałam, pan na służbie. – Nalała sobie kieliszeczek i upiła trochę.

– Czy pani dziewczęta tu mieszkają? – zapytał.

– Nie, to byłoby niemożliwe. Pracuje dla mnie trzydzieści pięć pań. To zbyt dużo w tych warunkach mieszkaniowych. Klientom prezentuje się albumy. Mogą wybrać, z którą damą chcieliby spędzić czas. Potem dzwonię do niej albo posyłam po nią kierowcę, a my czekamy na jej przybycie.

– Kiedy widziała pani pannę Zöllner po raz ostatni?

– To było w sobotę w nocy. Panował wzmożony ruch. Poszła do domu około wpół do czwartej. Przedtem miała jeszcze jakąś sprawę do gospodyni, ale tamta już się położyła. A w niedzielę nie mogłam się już skontaktować z Friederike, znaczy, z panną Zöllner.

– Kto jeszcze tu pracuje?

– Tylko dwie pokojówki i gospodyni.

– Zatrudnia pani jedynie kobiety?

– Zgadza się.

W Salonie Kitty nie pracował nikt, kto odpowiadałby opisowi sprawcy. Informacje otrzymane od właścicielki były mało przydatne. Nie miała pojęcia, kim mógł być morderca, i udawała, że nie może sobie przypomnieć nazwisk stałych klientów panny Zöllner.

Oppenheimer przesłuchał jeszcze gospodynię, pełną rezerwy kobietę w prostej ciemnej sukience, z włosami zebranymi w koczek, która zupełnie nie pasowała do tego otoczenia.

– Rosalie, to jest komisarz Oppenheimer. – Kitty przedstawiła swego gościa.

Przez krótką chwilę kobieta wpatrywała się w niego z zaskoczeniem. Uważnie mierzyła go wzrokiem, jakby czegoś szukała.

– Dzień dobry – powiedziała i zerknęła na Kitty.

Ta ledwie zauważalnie skinęła głową i poprowadziła ją do krzesła.

Oppenheimera ogarnęły złe przeczucia. Zachowanie obu kobiet było jednoznaczne. Przejrzały go. Wystarczyło dodać jeden do jednego, jego nazwisko, dziury w tkaninie płaszcza, w miejscu gdzie była przyszyta żółta gwiazda. Wiedziały, że jest Żydem. Ale żadna nie poruszyła tej kwestii.

Rosalie nie miała pojęcia, jaką sprawę miała do niej panna Zöllner. Dzień przed jej zniknięciem nawet się nie widziały. Oppenheimer pożegnał się, rozczarowany. Wyszedł już z Güttlerem przed drzwi, kiedy usłyszał za sobą cichy głos Kitty.

– Panie komisarzu? – Odciągnęła go na bok, tak aby Güttler nie mógł ich zobaczyć. – To muszą być dla pana ciężkie czasy – wyszeptała. Potem wcisnęła mu do ręki kilka banknotów i dodała normalnym tonem: – Proszę zaszczycić nas rychło swoją obecnością. Zawsze chętnie widzimy tu nowe twarze. Do widzenia.

I zamknęła mu drzwi przed nosem. Osłupiały tkwił przez chwilę w bezruchu, po czym prędko schował pieniądze.

Güttler czekał na ulicy. Nie mógł widzieć tej osobliwej transakcji. Mimo to Oppenheimer miał potrzebę wytłumaczenia, dlaczego dłużej mu się zeszło.

– Bardzo jej zależy na pozyskaniu nowych klientów. – Wysilił się na słaby uśmiech.

Güttler tego nie skomentował. Skinął głową w kierunku ciężarówki, z której wyładowywano właśnie skrzynki z szampanem.

– Nowa dostawa dla Kitty. Nasz pech, przyszliśmy za wcześnie.

Mieszkania panny Zöllner nie trzeba było długo szukać. Znajdowało się zaledwie paręset metrów od Salonu Kitty. Właścicielka kamienicy nic nie wiedziała o profesji swej lokatorki i opisała ją jako osobę przyjemną, niehałaśliwą, płacącą na czas i nieprzyjmującą mężczyzn. Ostatni raz widziała ją w sobotę po południu, kiedy panna Zöllner wychodziła. Z tego wynikało, że morderca uprowadził kobietę w sobotnią noc, gdy wracała do domu. Ponieważ z niewiadomych powodów nie zaatakował – jak zawsze – w piątek, tym razem zwłoki odkryto w poniedziałek rano.

Oppenheimer rzadko miał tak niewiele poszlak. Nawet opis sprawcy był tak ogólnikowy, że na niewiele się zdawał. Jednak kiedy ponownie zabrał się do czytania protokołu z przesłuchania panny Becker, sporządzonego przez ludzi Voglera, coś go tknęło. Porównał dokument z własnymi zapiskami i stwierdził, że kobieta podała sprzeczne informacje. Podczas pierwszego rozpytania zeznała, że widziany mężczyzna miał ciemne włosy. Później opisała go jako blondyna. Oppenheimer dobrze pamiętał porównanie do Jean Harlow. Zdarzało się, że świadkowie nie mieli pewności co do swych zeznań, ale taka sprzeczność była niezwykła. Sięgnął po kurtkę i zawołał:

– Gdzie jest Hoffmann?

„Miejsce MĘŻCZYZN w wieku od 16 do 70 lat jest w walce, a nie w BUNKRZE” – przypominał napis na ścianie budynku. „Nasze mury pękają, nasze serca – nie. Führer rozkazuje – my idziemy za nim” – stwierdzał plakat. Takich haseł było na mieście pełno. Zdobiły również dom, który podała jako swój adres panna Becker. Oppenheimer bezradnie stał na ulicy. Mniej niż prawdopodobne okazało się to, że zostanie poproszony do środka, kamienica bowiem przestała istnieć. Zostały po niej,

o ironio, tylko zewnętrzne mury. Budynek wyglądałby na nienaruszony, gdyby nie to, że fasada była osmalona sadzą, w oknach zaś widniało szare niebo, a nie firanki.

Oppenheimer, skonsternowany swym odkryciem, przestępował z nogi na nogę. Odtworzył w myślach chronologię wydarzeń ostatnich dni. W nocy z niedzieli na poniedziałek doszło do ostatniego nalotu bombowego. Panna Becker podczas przesłuchania zeznała, że właśnie wracała z pobliskiego schronu. Czy to możliwe, że nie wiedziała jeszcze wtedy o zniszczonym mieszkaniu?

Naprzeciwko znajdował się sklep mięsny. Oppenheimer wszedł do środka. Nie było tam żadnego klienta, co w czasach racjonowania żywności nikogo nie dziwiło. Za pustą ladą siedział, drzemiąc, rzeźnik.

– Przepraszam? – powiedział donośnym tonem komisarz, by zbudzić mężczyznę w białym fartuchu.

– Pan przyjdzie jutro. Dziś już nie będzie – mruknął tylko tamten.

– Może mógłby mi pan pomóc. Szukam panny Becker. Mieszkała naprzeciwko, pod trzydziestym czwartym.

Rzeźnik przesunął czapkę na tył głowy i się wyprostował.

– Pod trzydziestym czwartym? No to miał pan pecha. Nie wie pan? Berlin to miasto tulei. Tu lej, tam lej. – Zarżał z uciechy.

– Czy kamienica została zbombardowana w niedzielę w nocy?

– W niedzielę? Nieee, będzie ze dwa tygodnie albo dłużej.

Oppenheimer w pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał. Ale kiedy się upewnił, rzeźnik potwierdził, że panna Becker straciła dach nad głową przed inwazją. Sklepikarz nie miał pojęcia, gdzie mieszkała teraz, ale czasem zachodziła jeszcze po mięso.

Komisarz wyszedł ze sklepu, przeszedł na drugą stronę ulicy i przejrzał kartki poprzypinane do drzwi kamienicy. Nie było wśród nich nowego adresu panny Becker. Pozostało mu już tylko popytać wśród sąsiadów.

Jak w wielu innych dzielnicach także i tu największy ruch panował przy publicznych studniach. Ponieważ wiele wodociągów było zniszczonych, a zaopatrzenie w wodę kulało, życie skupiało się wokół miejskich studni. Oppenheimer znalazł pompę za wypalonym szkieletem samochodu, a przy niej kobietę napełniającą dwa wiadra. Jej kumoszka siedziała na krawężniku i gawędząc z sąsiadką, namydlała pranie. Chociaż obie okazały

się dość rozmowne, nie potrafiły powiedzieć, dokąd przeprowadziła się panna Becker.

Zły, kazał się zawieźć z powrotem do Zehlendorfu. Podczas gdy Hoffmann jak zwykle pędził jak szalony, on, ściśnięty w bocznym wózku, oddawał się rozmyślaniom. Świadek podała sprzeczne informacje co do sprawcy, w dodatku zostawiła nieaktualny adres.

– Czy ci ludzie do reszty powariowali? – Zaklął pod nosem.

Jeszcze tego samego popołudnia poprosił do siebie Güttlera.

– Mam dla pana pewne zadanie – zakomunikował. – Niech pan znajdzie dla mnie pannę Elfriede Becker. To pilne. Tu jest jej dawny adres. Jakieś dwa tygodnie temu straciła w bombardowaniu mieszkanie. Nie wiadomo, gdzie mieszka teraz, ale to musi być Steglitz. Nadal robi zakupy u dawnego rzeźnika.

Güttler wziął od niego kartkę z adresem.

– Rozumiem. Najpierw pojadę do wydziału osób zaginionych i do urzędu meldunkowego. Wprawdzie w tej chwili panuje tam wielki bałagan, ale może uda mi się coś wskórać. Ponieważ sprawa jest pilna, sugerowałbym ponadto, żeby postawić człowieka u tego rzeźnika. Sklepikarz mógłby ją wskazać, kiedy Becker się tam zjawi.

Oppenheimer zgodził się ochoczo. Vogler nie obiecywał zbyt wiele, Güttler rzeczywiście był bystrym facetem.

– Bardzo dobrze, zróbmy tak. Proszę poinformować mnie bezzwłocznie, kiedy już będzie miał pan ten adres.

Güttler się zawahał.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Jestem w tej chwili zaangażowany w inne śledztwo.

– Proszę powiedzieć Voglerowi, że usilnie proszę o pańskie wsparcie. Daję panu wolną rękę, Güttler. Wszystko jedno jak, ale niech pan znajdzie tę damę.

– Już się robi – odparł i założył kapelusz.

Oczy pałały mu gorliwością łowczego.

Pomimo sporej bieganiny kolejny dzień nie przyniósł żadnych rezultatów. Ponieważ Kitty nie mogła lub nie chciała podać nazwisk swoich klientów, Oppenheimer sporządził dla niej listę wszystkich podejrzanych. Zapytana,

czy rozpoznaje na niej kogoś, nikogo nie zidentyfikowała, ale obiecała, że popyta wśród dziewcząt.

Vogler kazał obserwować skrzynkę pocztową redakcji „Der Angriff”. Poprzednio morderca sam wrzucił do niej list, ale po ostatnim zabójstwie kolejny się nie pojawił.

Güttler również nie miał szczęścia. Nie udało się odnaleźć panny Becker. Oficjalnie nie była nigdzie zameldowana, nie pojawiła się też więcej u rzeźnika. Zamierzał obejść jeszcze urzędy meldunkowe w okolicach Berlina. Niepowodzenia wyraźnie tylko podsycały jego ambicję.

W piątek Vogler był w euforycznym nastroju, co nieco zdziwiło Oppenheimera, bo nadal nie mieli żadnych nowych rezultatów. Wywnioskował z tego, że jego stan musi mieć coś wspólnego z sytuacją militarną na froncie zachodnim. On sam siedział osowiały pośród sterty papierów, litrami pił kawę, dopóki nie zbuntował mu się żołądek, i wreszcie skończył pracę wcześniej niż zwykle.

Kiedy wrócił do *Judenhausu*, Lisa była jeszcze w pracy. W kuchni znalazł stary kawałek komiśniaka i zjadł go z kiełbasą od świętej pamięci Kleina. Z trudem się przemógł, by spożyć podarowaną żywność, nie mógł bowiem przestać myśleć o starym doktorze. Tym większą odczuwał nadzieję, że alianci wkrótce staną u bram miasta i koszmar się skończy. Ale front wschodni był jeszcze daleko, w Karelii i we Włoszech wszystko szło ślamazarnie, a o inwazji na zachodzie ostatnio ucichło. To, że z Normandii nie docierały niemal żadne wieści, pozwalało przypuszczać, że obie strony gromadziły siły i nie były jeszcze gotowe do natarcia. Poza tym pogoda w Normandii nadal się nie poprawiała, co ograniczało możliwości sił powietrznych wroga. Wszystkie nadzieje naziści pokładali w feldmarszałku Rommlu, który przejął obronę Wału Atlantyckiego. Oppenheimer uważał, że Rommel to łebski facet, który niestety stoi po niewłaściwej stronie. Amerykanie i Anglicy nie zajęli jeszcze żadnego portu, skąd mogliby dosyłać posiłki. Dopóki to nie nastąpi, wynik całej operacji pozostanie niewiadomy.

Po powrocie Lisy dowiedział się, co było powodem znakomitego nastroju Voglera.

– Te świnie posłały skrzydlate bomby na Anglię – wyrzuciła z siebie, zanim jeszcze zdjęła płaszcz. – Wyobrażasz to sobie? Wystrzelili je przez

kanał. Koleżanki nie przestają mówić o broni V. Podobno zniszczony jest cały Londyn.

Kawałek chleba utknął mu w gardle.

– O czym ty mówisz? Myślałem, że to tylko propaganda.

– Najwyraźniej nie. Niektórzy już robią zakłady, że wojna skończy się w ciągu tygodnia. Może byś załatwił maski przeciwgazowe?

– Myślisz, że Anglicy zaserwują nam wojnę gazową?

– Wiele osób o tym mówi.

Już sama myśl wydała mu się przerażająca. W ostatniej wojnie po wielokroć byli narażeni na ataki broni chemicznej, w nieustającym lęku połączonym z nadzieją, że maska gazowa zadziała. Miał niewyobrażalne szczęście, że wyszedł z tego bez szwanku, inaczej niż towarzysze broni, zdychający w straszliwych męczarniach, kiedy gaz w ich płucach zamieniał się w kwas solny. Jedno było pewne: Führer otwierał bronią V nową fazę wojny. To jasne, że Brytyjczycy wkrótce się zrewanżują. Oppenheimer nie chciał grzebać nadziei, że jednak nie sięgną po ten ostateczny, brudny sposób.

– Może nie będzie aż tak źle. Nie można oceniać Anglików wedle niemieckiej miary. Churchill to nie Hitler.

– Mimo wszystko obiecujesz, że załatwisz maski?

Pomyślał chwilę.

– Jak tylko będę w Zehlendorfie, zobaczę, co da się zrobić.

W obliczu tej niepewnej sytuacji postanowił zainwestować część pieniędzy otrzymanych od Kitty w kino. Miał nadzieję, że z kroniki filmowej dowie się czegoś więcej. Powinien jeszcze zdążyć na wieczorny seans o wpół do ósmej.

– Może wybrałabyś się ze mną na film? – zwrócił się do Lisy. – Co ty na to?

Z trudem udało mu się ją przekonać. Obawiała się ryzyka, bo Żydom nie wolno było chodzić do kina. W końcu obiecał jej, że wejdzie na salę dopiero po zgaszeniu świateł, kiedy już zacznie się kronika. Schodząc po schodach, natknęli się na starego Schlesingera, który zatrzymał ich ze słowami:

– Panie Oppenheimer, mam dla pana list!

Wymienili z Lisą spojrzenia. Często dyskutowali między sobą, dlaczego właściwie Schlesinger jest upoważniony do odbioru i rozdzielania

korespondencji po lokatorach. Lisa podejrzewała, że stary otwiera koperty nad parą, by czytać cudze listy. Ale komisarz nie chciał się wdawać w długie dyskusje i zrobił dobrą minę do złej gry.

– To miło, że wziął go pan dla mnie! – rzucił uprzejmie.

Schlesinger poszedł do siebie i wrócił z kopertą. Oppenheimer zlustrował ją krótko. Nazwiska nadawcy nie było.

– Dla pana – dodał zachęcająco Schlesinger.

– Dziękuję bardzo, panie Schlesinger – odezwał się, chowając pismo do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Co to może być? – zapytała Lisa, kiedy wyszli przed dom.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Ale nie chciałem przy nim otwierać.

Oppenheimer postanowił nie przebierać się w Beusselkiez. Było mu wszystko jedno, czy śledzący go zwąchają, że nielegalnie wkrada się na seans filmowy. Dopóki pracował dla Voglera, mógł podjąć takie ryzyko. Wsiedli do kolejki miejskiej na stacji Tiergarten i przejechali dwa przystanki do Savignyplatz. Przy Ku’dammie było kilka kin, nie wiedział jednak, czy nie zostały zbombardowane. Ku jego zadowoleniu już pierwsze, UFA-Palast Kurfürstendamm, było czynne. Grali *Wielką nagrodę* z Gustavem Fröhlichem i Ottonem Wernickem. Choć dla niego nie miało znaczenia, na co kupuje bilety.

Czekając w foyer na wejście, upewnił się, że koperta nadal tkwi w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Nie odważył się otworzyć listu, w czasie gdy widzowie przepychali się do sali. Bezpieczniej było zaczekać, aż skończy się kronika.

Zabrzmiał gong i zgaszono światła. Oppenheimer i Lisa wśliznęli się do sali i usiedli na pierwszych wolnych miejscach z brzegu. Kurtyna rozsunęła się i odsłoniła orła Rzeszy otwierającego kronikę filmową. Pojawiła się stylizowana kartka z kalendarza z datą 6 czerwca 1944. „To dzień o historycznym znaczeniu”, komentował spiker. „Pod naciskiem Moskwy Brytyjczycy i Amerykanie rozpoczęli zapowiadaną od dawna i oczekiwaną przez nas inwazję. Zastała ona Niemcy w pogotowiu”.

Przez ekran przewijały się obrazy żołnierzy biegnących umocnieniami Wału Atlantyckiego. Po nich nastąpiły nocne starcia artyleryjskie, widoczne jedynie jako świecące smugi pocisków. Rozległ się huk wystrzałów, towarzyszący błyskowi eksplozji. Do tego momentu zdjęcia nie pokazywały niczego niezwykłego, ale kolejna scena zmroziła widzom krew

w żyłach. Została nakręcona z dużej odległości, tuż przed początkiem inwazji. Były to zaledwie dwa krótkie ujęcia, lecz te parę sekund wystarczyło, by zaparło mu dech w piersi.

Zobaczył Atlantyk. Fal nie zwieńczały białe bałwany, tylko megatony żelaza. Horyzont zdawały się wypełniać okręty. Na ekranie zobaczył strzelające działa, płomienie wyrzucane przez miotacze ognia, kłęby dymu. Tego, co się działo na plaży, nie pokazano. Pojawiły się tylko puste barki desantowe wraz z komentarzem, że ich załogi zostały zgładzone lub wzięte do niewoli. Potem przewijały się obrazy roztrzaskanych szybowców wojskowych, spadochronów wiszących w koronach drzew, zrujnowanego miasta Caen i jeńców wziętych do niewoli, przeplatane zdjęciami panujących – jak się zdawało – nad wszystkim niemieckich żołnierzy. Oppenheimer przestał słuchać blaszanego głosu spikera. Czegoś takiego nie widział jeszcze nigdy przedtem. Nie miało żadnego znaczenia, jak brzmiał komentarz do tych wydarzeń; impet obrazów sprawiał, że nie było sensu ich bagatelizować.

Nieprzyjaciel dysponował niewyczerpanymi rezerwami, mnóstwem broni i najwyraźniej nie wiedział, co to niedobory benzyny. Narody reszty świata miały tylu synów, że mogły składać z nich krwawą ofiarę na brzegach wolności. Oppenheimer niemal fizycznie czuł, jak widzów ogarnia lodowaty niepokój. Ludzie z przerażeniem wpatrywali się w ekran.

Upłynęły długie minuty, zanim pierwsze osoby ośmieliły się drgnąć. Niektórzy opuszczali salę, nie dbając o główny punkt programu, który dopiero miał się rozpocząć. W rzędzie przed nim rozległ się czyjś szept.

– Wiesz, że niedługo znowu będzie więcej cukru?

– Nie, czemu?

– Bo ludzie zaczną wyjmować z ramek wizerunki Hitlera.

Tym razem nie było zwykłej reakcji na żart. Zamiast chichotu dało się słyszeć pełne aprobaty mruknięcie.

Oppenheimer ukradkiem wyłowił z kieszeni kopertę. Światło odbijane przez ekran z trudem wystarczało, by przeczytać treść.

Wiadomość pochodziła od Hilde. Co było tak istotne, że wysłała mu list? Przybliżył kartkę do oczu.

„Muszę z Tobą porozmawiać. To naprawdę niezmiernie ważne. Przyjdź w sobotę o pierwszej po południu”.

To wszystko. Podpisane „H.”.

Zawyły syreny. Traudel Herrmann wyszła na ulicę pogrążoną w mroku nocy, chwiejąc się niepewnie na wysokich obcasach.

– Na pewno nie chcesz schronić się w naszym bunkrze? – zapytała Marga, żona Gruppenleitera Krieglera.

Mieli za sobą mocno zakrapiany wieczór. Pozostali goście już wcześniej się pożegnali, ale Traudel jak zwykle została do samego końca.

– Możemy zejść do piwnicy – przekonywała Marga. – Jest bezpieczna. Żelazobeton. Byłoby nam miło.

Traudel potrząsnęła przecząco głową.

– Lepiej, żebym była w domu, kiedy wróci Rainer. Jest na naradzie i nie wiedział, ile to potrwa.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że to kłamstwo. Rainer miał romans z inną kobietą. Widziała zdradzieckie oznaki: raz obcą szminkę na kołnierzyku koszuli, innym razem podrapane plecy. Nie mógł tego przed nią ukryć, nawet gdyby próbował. Ale jej było obojętne, jaką dziwkę obskakiwał akurat jej mąż. Życie u jego boku dawało dość wygód, by mogła przymykać oko na tak nieważne szczegóły. Poza tym on wykazywał podobną tolerancję pod tym względem.

Coś w spojrzeniu Margi mówiło jej, że tamta nie chce tak po prostu pozwolić odejść przyjaciółce.

– To niebezpieczne. Zostań tutaj. Nie wiadomo, co się może stać. Nie słyszałaś ostrzeżeń?

Traudel niejasno przypomniała sobie ostrzegawczy meldunek, w którym przestrzegano rodziny członków SS przed możliwymi uprowadzeniami.

– Nic mi się nie stanie. Przecież zawiezie mnie Gustav. Już on zadba o moje bezpieczeństwo. Do Köpenick jest tylko parę kilometrów, zdążymy przed nalotem.

– Poczekaj, pójdę z tobą – zaoferowała Marga i zawiązała na głowie chustkę.

Traudel była rada z towarzystwa przyjaciółki, bo wciąż kręciło jej się w głowie od wina.

– Wiesz, ta nowa dziewczyna – podjęła. – To był chyba błąd, że ją zatrudniliśmy. Nieustannie muszę kontrolować, czy wykonała swoją robotę. Kiedy Rainer wraca do domu i nie wszystko jest dla niego gotowe, strasznie się żołądkuje.

Marga zatrzymała się i rozejrzała wokół.

– Gdzie właściwie jest twój samochód?

Traudel wbiła wzrok w ciemność. Limuzyny nie było. Już chciała przyjąć ofertę przyjaciółki i wrócić do jej domu, kiedy sobie przypomniała.

– Ach, czeka w bocznej uliczce. Tam.

Zmieniła kierunek i poszła w stronę mrocznego zaułka. W ciemnościach można było się tylko domyślać sylwetki wozu. Nie wiedziała czemu, ale Gustav niechętnie parkował przy głównej ulicy. Może się bał, że jakiś przechodzień z zawiści zdemoluje samochód. Nie każdy mógł sobie pozwolić na tak luksusowy wóz, nie mówiąc o benzynie, którą połykał.

Marga odprowadziła Traudel do rogu. Drzwiczki samochodu otwarły się i dało się rozpoznać znajomą postać w uniformie szofera. Traudel przystanęła.

– Już dobrze. Idź, wracaj lepiej do bunkra.

Na pożegnanie objęła przyjaciółkę i zniknęła w mroku. Marga zobaczyła niewyraźnie, jak zbliża się do pojazdu. Gustav przytrzymał jej tylne drzwi i pomógł wsiąść do środka.

Zawarczał uruchamiany silnik.

Marga pomachała ręką w stronę mijającego ją wozu, a przyjaciółka odwzajemniła gest zza szyby. Przemknęło jej przez głowę, że ciężkie limuzyny z ich wielkimi oknami przypominają akwaria. Ich pasażerowie wyglądają jak uwięzione ryby. Prędko odsunęła od siebie tę myśl, próbując śmiechem złagodzić wewnętrzne napięcie. Warkot silnika umilkł.

Już miała zawrócić i pośpieszyć do bunkra, gdy kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Dawno się przekonała, że lepiej rozpoznaje obiekty w całkowitej ciemności, kiedy mija je wzrokiem. W uliczce coś leżało na ziemi. Obiekt był zaledwie jaśniejszą plamą.

Zawahała się, stojąc niezdecydowanie na chodniku. Przyszło jej do głowy ostrzeżenie sprzed paru dni. Czy nie naraża się niepotrzebnie, w środku nocy zagłębiając się w zaułek? Rozejrzała się jeszcze raz. Ludzie kierowali się w stronę bunkra, sunąc główną ulicą. Na ten widok poczuła się pewniej. W razie czego może zawołać o pomoc.

Z ociąganiem postąpiła w głąb uliczki, najpierw krok, potem następny. Potrzebowała ich pięciu, zanim trąciła prawą stopą ciało. Nie myliła się. To był człowiek.

Schyliła się i rozpoznała, czym jest ta jaśniejsza plama. Na ziemi leżał mężczyzna w białej koszuli. Pomacała ręką po jego twarzy. Wyczuła

palcami zarost i poklepała go po policzkach, żeby go ocucić.

– Halo, źle się pan poczuł? Mamy alarm. Musi pan iść do bunkra.

W odpowiedzi usłyszała stęknięcie. Zauważyła, że jej lewa ręka jest wilgotna. Przysunęła palce do twarzy. Poczuła metaliczną woń krwi.

– Mój Boże, co się panu stało?

W mężczyznę zaczęło wstępować życie. Usiłował usiąść. Marga pomagała mu, jak mogła, ale minęła dobra chwila, zanim zdołał wstać, trzymając się ściany budynku. Wzięła go za rękę.

– Chodźmy, musimy iść do bunkra.

Pociągnęła go za sobą, mijając uchylone drzwi swojego domu. Światło padało z korytarza na ulicę. Zganiła się w myślach za to niedbalstwo. Zupełnie zapomniała o obowiązku zaciemnienia.

– Niech pan tu zaczeka.

Zostawiła go opartego o ścianę. W słabej poświacie jego twarz wydała jej się znajoma. Podeszła do drzwi i nie zważając na zalecenia, otworzyła je na oścież. Kiedy światło lampy rozjaśniło twarz mężczyzny, Marga zamarła. Jej oczy rozwarły się z niedowierzaniem. Oczywiście, znała go. To był Gustav, szofer Traudel.

– Gustavie, co pan tutaj robi?

Zbiegła po schodkach, by przyjrzeć mu się dokładniej. Z tyłu na głowie miał krew. Ktoś go uderzył.

Marga popatrzyła skonsternowana w kierunku, w którym zniknęła jej przyjaciółka. Skoro Gustav był tutaj, to kto siedział za kierownicą? Poczuła, jak coś ją ściska w środku. Ogarnął ją poważny niepokój o Traudel.

Kiedy Oppenheimer stanął przed domem Hilde, zegarek wskazywał za kwadrans pierwszą. Przyszedł za wcześnie, ale nie chciał już dłużej czekać. Podjął prędką decyzję i zapukał do drzwi budynku, w którym mieściło się mieszkanie przyjaciółki. Otworzyła po kilku sekundach. Jej spojrzenie zdradziło, że nie spodziewała się go o tej porze.

– Och, jesteś już – przywitała go, rzucając spojrzenie na ulicę.

– Nikt za mną nie szedł – zapewnił ją.

– Chodź, wejdź do środka.

Zdjął płaszcz i chwilę stali naprzeciwko siebie. W końcu Hilde odezwała się pierwsza:

– Gówniana pogoda, prawda?

– Mam nadzieję, że nie całe lato będzie takie deszczowe.

– Domyślam się, że nie masz ochoty na sznapsa? – Przeszła przez pokój lekarski do salonu.

– Wolałbym kawę. To znaczy, jeśli masz.

– Oczywiście, już parzę.

Odniósł wrażenie, że jest rada, mogąc zniknąć w kuchni. Został sam i stał na środku pokoju jak kupka nieszczęścia. Zatrzymał wzrok na swoim gramofonie i na kolekcji płyt. Był dziś w nastroju na Bacha. Wyszukał nagranie *Kantaty o kawie*, uznając je za stosowne do sytuacji. Jej właściwy tytuł brzmiał – o ironio – *Zamilczcie, nie paplajcie*, ale Hilde pewnie by tego nie doceniła. Gdy tylko rozległy się pierwsze dźwięki, stanął w drzwiach kuchni i zapytał:

– To teraz powiedz, dlaczego kazałaś mi przyjść? Co to za ważna sprawa?

Zalała wrzątkiem kawę.

– Jest parę rzeczy o zamordowanej dziwce ze Steglitz, o których powinieneś wiedzieć.

Popatrzył na nią zdumiony.

– Hilde, skąd ty o tym wiesz?

– Nie masz pojęcia, czego się dowiedziałam.

Kawa sączyła się przez filtr, a Hilde stała oparta o kuchenny stół, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Richardzie, muszę ci się do czegoś przyznać. Wtajemniczyłam w sprawę pewnych ludzi. Nie zrozum mnie źle, nie chcę cię nadzorować. Ale kiedy się dowiedziałam, że wszystkie ofiary były mniej lub bardziej powiązane z partią lub jej funkcjonariuszami, nie miałam innego wyjścia. Musisz mi zaufać. To polityczna sprawa i może się okazać dla ciebie niebezpieczna. Chciałam wiedzieć, o co w tym chodzi, i dlatego zwróciłam się do znawców materii.

Chciał zapytać, kogo miała na myśli, ale w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– To pewnie oni – oznajmiła i wyszła, żeby otworzyć.

Z pokoju lekarskiego dobiegły głosy. Hilde rozmawiała chwilę z przybyłymi, po czym wprowadziła ich do salonu. Dwóch mężczyzn w garniturach. Wprawdzie ich ubrania można było uznać za nierzucające się w oczy, ale ich samych już nie. Przedstawiła im swego przyjaciela.

– To jest komisarz Oppenheimer.

– Lüttke – powiedział duży facet w okrągłych okularach i podał mu rękę.

Jego ruchy były precyzyjne. Oppenheimer podejrzewał, że jest wojskowym. Potem uścisnął rękę drugiemu.

– Bauer – przedstawił się tamten i skinął głową.

Był raczej krępej budowy. Jego eleganckie ruchy wyraźnie kontrastowały ze sposobem poruszania się jego towarzysza. Lewy policzek przecinała mu głęboka szrama – cięcie po szpadzie. Stanowiła znak rozpoznawczy członków korporacji studenckiej.

Rozgościli się i Hilde podała kawę. Gorący napój nie zdołał ogrzać lodowatej atmosfery. Oppenheimer lustrował przybyszów, próbując ocenić, kim są. Lüttke i Bauer także taksowali go wzrokiem. Wyczekiwali jak pokerzyści, żaden nie chciał pokazać pierwszej karty. Pewnie przeciągałoby się to w nieskończoność, gdyby Hilde nie przejęła inicjatywy.

– Ale się czaicie – rzuciła w końcu, powiódłszy wzrokiem od jednego do drugiego. – W takim razie to ja rozpocznę. – Popatrzyła Oppenheimerowi w oczy. – Ta sprawa jest ściśle tajna. Nawet świński ryj Vogler nie ma na tyle jaj, żeby ci o tym powiedzieć. Ta zamordowana dziwka, którą znaleźliście w Steglitz, była członkinią Waffen-SS.

19

sobota, 17 czerwca 1944

Oppenheimer nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Kobieta, która leżała martwa pod wieżą ciśnień, była osobą o wielu tożsamościach. W Salonie Kitty klienci znali ją pod pseudonimem Friederike, mieszkanie wynajęła na nazwisko Edith Zöllner, ale w swym wcześniejszym życiu nazywała się Verena Opitz.

Była nadzwyczaj inteligentną kobietą, mówiła płynnie po francusku i po włosku. Zanim zaczęła pracować u Kitty, z rozkazu SS odbyła kursy gospodarstwa domowego i gastronomii w twierdzy szkoleniowej NSDAP w bawarskim Sonthofen, a niejako przy okazji wyszkolono ją w strzelaniu i judo. Friederike *alias* Edith Zöllner *alias* Verena Opitz nie była jednak jedyną prostytutką z podobną przeszłością w Salonie Kitty. Należała do grona około dwudziestu kobiet wyszkolonych przez SS do szpiegowania klientów burdelu. Wszystkie wyglądały olśniewająco, pochodziły z różnych krańców Rzeszy, z Austrii, z Protektoratu Czech i Moraw, a nawet z Polski. Każda przed rozpoczęciem aktualnej kariery miała na koncie wykroczenia przeciwko obyczajności.

– Szpiegują dla SS – wyjaśnił Lüttke. – Pierwotnie podlegały służbie bezpieczeństwa Reichsführera SS, którą od jakiegoś czasu przejął Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy, RSHA. Uważamy, że za wszystkim stoi Oberführer SS Walter Schellenberg. To on dowodzi Departamentem IV, czyli służbą wywiadu.

Oppenheimer wpatrywał się w swoich rozmówców z powątpiewaniem.

– Skąd taki pomysł? – Pokręcił głową. – Rzadko zdarzało mi się słyszeć coś równie idiotycznego. Panowie, szpiegujące prostytutki ze znajomością judo? To brzmi jak fantazje małego Jasia z Matą Hari w roli głównej.

– Ta idea pochodzi od samego Heydricha, z czasów kiedy jeszcze był szefem RSHA.

Bauer prychnął, słysząc to nazwisko.

– Heydrich zdecydowanie naczytał się kiepskich powieści i rzeczywistość pomyliła mu się z absurdalną fikcją.

Oppenheimer odszukał w pamięci informacje na temat Heydricha. W zasadzie wiedział tylko tyle, że był niegdyś szefem RSHA. W którymś momencie mianowano go tymczasowym protektorem Czech i Moraw, przez co musiał się przenieść do Pragi. W 1942 roku padł tam ofiarą zamachu, partia urządziła mu szumne uroczystości pogrzebowe, w ramach których został pochowany na Cmentarzu Inwalidów. Zrobiono z niego męczennika, a tymczasem jego stanowiska cichcem pozajmowali inni. Kimkolwiek byli ci dwaj przybysze, nie żywili szczególnej sympatii do RSHA w ogóle, a do Heydricha w szczególności.

– Schellenberg i jego ludzie ze służby wywiadowczej to amatorzy – przekonywał Bauer. – Ale właśnie to czyni ich tak niebezpiecznymi. Nie da się przewidzieć ich reakcji. Ich plan polegał na tym, by umieścić agentki w burdelach, aby szpiegowały wojskowych, dyplomatów i partyjnych dygnitarzy. Niejako podczas miłosnego aktu. Założyli podsłuch w całym burdelu, co udało nam się ustalić dopiero w styczniu 1941, kiedy Obersturmführer Schwarz kazał zainstalować bezpośrednią linię do placówki RSHA przy Prinz-Albrecht-Straße.

Oppenheimer spoglądał na niego lekko skołowany, więc Bauer poczuł się w obowiązku wyjaśnić.

– Akcję tę zlecił Schwarzowi Schellenberg. A ten kretyn naprawdę sądził, że nie rzuci nam się w oczy zamówienie kilku kilometrów miedzianego kabla. Mieliśmy pewność, że coś się kroi. Dziesiątki stenotypistek w RSHA było zajętych wyłącznie spisywaniem rozmów transmitowanych bezpośrednio z burdelu. Dodatkowo wszystko zapisywano na płytach woskowych.

– Burdel początkowo mieścił się na trzecim piętrze – ciągnął Lüttke. – Po tym, jak budynek został zbombardowany, lokal trzeba było przenieść na parter. Podejrzewamy, że nie zamontowano tam nowych podsłuchów. Oficjalnie akcję zawieszono. Chyba uzyskiwali zbyt mało informacji.

– Swoim dziwkom oczywiście niczego nie powiedzieli – zauważył Bauer z obleśnym uśmiechem. – Nadal im się wydaje, że dają się posuwać za naród i ojczyznę.

– Czy to znaczy, że wszystkie prostytutki Kitty należą do SS? – zapytał Oppenheimer.

– Nie, mniej więcej połowa – sprecyzował Lüttke. – Reszta zajmuje się przypadkowymi klientami.

– Tak było kiedyś – skorygował Bauer. – Teraz po prostu się prostytuują. Od czasu do czasu napiszą jakiś raport i tyle. W RSHA nie interesuje się nimi pies z kulawą nogą. Sprawa umarła. – Rzucił Lüttkemu rozbawione spojrzenie. – Schellenberg pewnie już się dziwi, czemu żaden z naszych chłopaków nie wygadał się u Kitty.

– Na szczęście w porę się zorientowaliśmy – potwierdził Lüttke.

– Przepraszam – przerwał im Oppenheimer. – Ale z jakiej panowie są firmy?

– Są po naszej stronie – oświadczyła kategorycznie Hilde.

– A co to znaczy „po naszej stronie”? Z kim mam do czynienia? Dlaczego tu jestem?

Lüttke i Bauer w milczeniu wymienili spojrzenia. W końcu Hilde zaczęła mówić:

– Możesz im zaufać – powtórzyła. – Są z urzędu Canarisa.

– A właściwie z tego, co po nim pozostało – dodał posępnie Lüttke.

– Nic mi to nie mówi. – Oppenheimer pokręcił głową.

– No dobrze, spróbuję streścić ci w paru zdaniach – oznajmiła z westchnieniem Hilde. – Poprawcie mnie, jeśli coś powiem nie tak. Niemcy mają dwie organizacje zajmujące się wywiadem. Pierwsza z nich to Departament IV w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy kierowany przez Heydricha. Od czasu jego śmierci rządzi tam Schellenberg. Drugą organizacją jest Abwehra, czyli służba wywiadu wojskowego, kierowana przez admirała Canarisa.

– To istnieją dwa aparaty zajmujące się tym samym? – zapytał z niedowierzaniem Oppenheimer.

– Dziwi cię to? W końcu gdzieś musi tkwić przyczyna nadmiernego rozrostu aparatu partyjnego.

– Ale jak to może funkcjonować, skoro dwie organizacje zajmują się tym samym?

– Właśnie w tym tkwi szkopuł – rzekł Lüttke. – To nie funkcjonuje. I nigdy nie funkcjonowało. Oficjalnie kompetencje służb zostały ściśle rozdzielone. Definiujący je dokument nazywamy naszymi dziesięcioma

przykazaniami. Każdy dostał swoją działkę. My mieliśmy przejąć resort wojskowy.

– Tyle że nikt tego nie przestrzega – uzupełnił Bauer. – Te sukinsyny z SS nieustannie brużdżą. Kiedy jeszcze żył Heydrich, pozostawał w ciągłym konflikcie z Canarisem.

Hilde posłała Oppenheimerowi drwiące spojrzenie.

– Możesz sobie wyobrazić, co to oznacza. Jedna służba wywiadowcza sabotuje inną. Do tego dochodzi wzajemna inwigilacja. Sytuacja wygląda następująco: Canaris zatrudniał ludzi, którzy jawnie zwalczali reżim. Wiedział o tym i dotychczas udawało mu się ich kryć.

– Udawało mu się do lutego, ściśle rzecz biorąc – wtrącił Lüttke.

Dla Oppenheimera była to nowość, że Hitler miał przeciwników we własnych szeregach. Nagle zrozumiał, skąd się w tym wszystkim wzięła Hilde. Krąg jej znajomych obejmował wielu wrogów Hitlera, ponadto jej wuj był oficerem. Wehrmacht istniał dłużej niż NSDAP. Ludzie z SS mogli stroszyć piórka, ale oficjalnie byli tylko psami partii i mieli niewiele wspólnego z wojskowymi z krwi i kości. Oppenheimer mógł sobie łatwo wyobrazić, że ci burzyli się przeciwko karierowiczowi z wąsikiem. To zrozumiałe, że obie organizacje starały się podkopać konkurencję. Wychodziło na to, że wojenka toczyła się także w resorcie wywiadowczym.

– Dlaczego Canaris nie może już dłużej kryć swoich ludzi? Co się wydarzyło w lutym? – dopytywał.

– Jedna z naszych agentek w Turcji przeszła do wywiadu brytyjskiego – wyjaśnił Lüttke. – Dla Schellenberga był to znakomity pretekst, by pozbawić Canarisa stanowiska. Do końca miesiąca ma oficjalnie złożyć urząd. Został przewieziony na zamek Lauenstein we Frankenwaldzie, gdzie odsiaduje swe dni, dopóki ostatecznie nie wysiudają go ze stanowiska. Co się wtedy stanie z naszą służbą, nie wiadomo. Prawdopodobnie zostanie zlikwidowana, a pracownicy zaczną podlegać RSHA.

Oppenheimer wzruszył ramionami.

– No dobrze. Nadal jednak nie wiem, co ja mam z tym wszystkim wspólnego.

– Teraz do gry wchodzą morderstwa i twoje dochodzenie – odpowiedziała Hilde. – Kiedy zaczęłam podejrzewać, że mogą mieć tło polityczne, poinformowałam o nich Lüttkego.

– Chcielibyśmy pana zapytać, czy zgodziłby się pan na współpracę z nami – zakomunikował Lüttke.

– Co miałbym robić?

– Potrzebujemy informacji, nic więcej. Chcemy szczegółów dotyczących bieżącego śledztwa. Zwłaszcza gdyby się okazało, że istnieje jakieś powiązanie z Abwehrą lub którymś z naszych pracowników.

– Uważa pan, że mordercą może być ktoś z waszych szeregów? – zainteresował się komisarz.

– Do cholery, nie! – wybuchnął Bauer. Już od dłuższego czasu wiercił się niespokojnie na krześle i mierzył Oppenheimera wrogim spojrzeniem. – Oczywiście, że to nie jest nikt z naszych. Ale te świnie będą próbowały powiązać morderstwa z naszym departamentem. I teraz, po zabójstwie tej dziwki z burdelu Schellenberga, nadarza im się ku temu wspaniała okazja. Mają wolną rękę i mogą zrujnować każdego z nas. Jeśli tylko zechcą. Ten Hauptsturmführer Vogler jest ich sługusem. Prawdopodobnie dla nich pracuje. Należą bądź co bądź do jednej firmy.

– Nam nie chodzi o to, kto to zrobił – sprecyzował Lüttke. – Chcemy chronić swoich ludzi.

– Hm, musiałbym się zastanowić nad tą propozycją – rzekł Oppenheimer.

– Rozmawiałam już o tym z Richardem – odezwała się niespodziewanie Hilde. Popatrzył na nią zdumiony. To było wierutne kłamstwo, wyglądało na to, że jego przyjaciółka coś knuje. – Byłby gotów przekazać wam rezultaty śledztwa, jeśli w zamian za to przerzucicie go za granicę. Jego i jego żonę.

– To absolutnie niemożliwe! – zacietrzewił się Bauer.

Lüttke odchylił się do tyłu i wciągnął powietrze. Potem powiedział powoli:

– Nie powiedziałbym, że niemożliwe. Ale bardzo, bardzo trudne.

– Nikt tego nie autoryzuje – sprzeciwił się Bauer.

Hilde wykonała dobrą robotę. Oppenheimer musiał przyznać, że nie bez powodu nadużyła jego zaufania. Przy odrobinie szczęścia będzie miał w ręku bilet pozwalający mu opuścić ten pogrążony w morderczym amoku kraj Hitlera i jego zauszników. Zdecydował, że zagra o najwyższą stawkę.

– To jest mój warunek, tak jak powiedziała Hilde.

– Niech pan zażąda czegoś innego – sprzeciwił się Bauer.

– Nie wychodźcie mi tu z czymś takim – wtrąciła Hilde. – Macie odpowiednie środki. Jeśli ktokolwiek może przemycić kogoś za granicę, to tylko wy. Mówimy tylko o dwóch fałszywych paszportach, o niczym więcej. Wehrmacht ma wieloletnie doświadczenie w przewożeniu ludzi na długich dystansach. Dwie dodatkowe osoby nie zrobią wam różnicy.

Bauer energicznie potrząsnął głową.

– Ależ wy, kobiety, macie wyobrażenia.

– Cokolwiek by mówić, mój wuj był oficerem – skontrowała, wysuwając z dumą podbródek. – Wiem, jak to działa. Richard jest w posiadaniu tajemnic państwowych. Macie pojęcie, co się stanie, jeśli wyjdzie na jaw, że szpiegował dla was? Jeżeli wejdzie z wami w układ, narazi się na niebezpieczeństwo. Więc postarajcie się, żeby wyszedł z tego cało.

Lüttke pomyślał chwilę.

– Nie mogę zadecydować o tym od razu, rzecz jasna. Odezwiemy się do pana. – Sięgnął po kapelusz i pożegnał się, podając mu rękę.

– Jeśli o mnie chodzi, to jestem przeciw – burknął Bauer.

Po ich wyjściu Oppenheimer podzielił się z przyjaciółką ostatnimi nowinami. Szczególne zainteresowanie wzbudził w niej list od mordercy.

– Kiedy tak się nad tym zastanawiam, to coś mi się zdaje, że Kruszynka i Antoś mogą się mylić – zauważyła.

Oppenheimer popatrzył na nią pytająco, ale zaraz przypomniał sobie, że przyjaciółka miała w zwyczaju nadawać wszystkim przezwiska. Wywnioskował, że chodziło jej o Lüttkego i Bauera. Tyle że pomyliła ze sobą powieści Kästnera *Kruszynka i Antoś* oraz *Emil i detektywi*.

Pogrążona w myślach Hilde pokręciła głową.

– Sądzę, że ta cała polityczna otoczka jest dla mordercy tylko pretekstem.

Ta konkluzja zupełnie go zaskoczyła.

– Co masz na myśli?

– Jeśli twoje informacje są prawdziwe, to on wyszukuje kobiety, które jego zdaniem są prostytutkami. Czuje do nich patologiczną awersję, sięgającą tak głęboko, że je zabija. Zdarza się, że wielokrotni mordercy szukają usprawiedliwienia dla własnych zbrodni. Skąd ta potrzeba, nie jest jednoznacznie wyjaśnione. Myślę, że przyczyn u każdego trzeba szukać gdzie indziej. Wielu z nich na pewno odczuwa potrzebę uzasadnienia swych czynów przed sobą samym. Nie zapominaj, że przy pierwszym morderstwie

sprawca nie ma jeszcze rutyny, być może jest przerażony tym, co zrobił. Mimo to czuje przymus dalszego zabijania. A zatem zabójca, mordujący na tle seksualnym, potrzebuje jakiegoś powodu, by uzasadnić przed sobą kolejne zbrodnie.

Oppenheimer musiał się upewnić, że ją dobrze zrozumiał.

– Myślisz, że to jak ze schizofrenikami? Oni twierdzą, że ich czyny są sterowane z zewnątrz.

– Podobnie, tyle że w tym przypadku nie jest to żadna siła zewnętrzna, która wpływa na mordercę, to on sam szuka przyczyn swych zachowań, by móc je zaakceptować. Te racjonalne pobudki są trudne do zrozumienia dla ludzi o zdrowym umyśle. Oczywiście na podstawie diagnozy na odległość nie mogę powiedzieć, skąd się biorą te chorobliwe wyobrażenia mordercy, ale wziąwszy pod uwagę jego listy, uważam, że stara się usprawiedliwić swe czyny przed samym sobą.

– I myślisz, że podawany przez niego powód, jakoby prostytutki infekowały nazistowską ideologię, nie jest jego najważniejszą pobudką?

– Te wszystkie jego polityczne farmazony można o kant dupy potłuc. Wyraźnie pisze, że nienawidzi kurew, bo roznoszą choroby. Nie zdziwiłabym się, gdyby przydarzyło mu się coś w tym rodzaju. On przenosi swoje doświadczenia na państwo, co oczywiście jest wyraźną oznaką manii wielkości.

– Jeśli to prawda, to dlaczego wybrał akurat prostytutkę, która szpiegowała dla SS?

– To równie dobrze mógł być przypadek. Salon Kitty jest wymarzonym miejscem dla naszego mordercy. Znany w mieście dom rozpusty, odwiedzany przez partyjnych dygnitarzy i wojskowych. Już te okoliczności wystarczają, by stał się dla niego interesującym miejscem. Prędzej czy później musiał się tam pojawić. Gdybym wcześniej wiedziała o jego listach, być może razem wpadlibyśmy na to i udałoby się nie dopuścić do ostatniego morderstwa.

– Szpiegowaniem zajmowała się ponoć połowa kobiet – rozmyślał na głos Oppenheimer, gryząc cygarniczkę. – Prawdopodobieństwo trafienia na jedną z nich było zatem dość wysokie. Morderca nie musiał wiedzieć o działalności szpiegowskiej. Właściwie szkoda, bo to zawęziłoby krąg podejrzanych.

– Przynajmniej Kruszynka i Antoś ucieszą się, jak się dowiedzą o listach. – I dodała poufałym tonem: – Ale nie podsuwałabym im tego zbyt szybko. Potrzymaj ich trochę w niepewności i spróbuj ugrać dla siebie jak najwięcej.

– Zastanawiam się, co tak naprawdę chcą zrobić z tymi informacjami – mruknął, zadumany.

– To nie gra roli. Tak funkcjonują służby wywiadowcze. Każdy próbuje gromadzić informacje. Czy okażą się użyteczne, to już inna sprawa. Obaj twierdzą, że chcą chronić swoich ludzi, działających przeciwko partii. Może i tak. Ale być może zamierzają użyć tych informacji do zdobycia lepszych stanowisk, kiedy ich firma zostanie wcielona do RSHA. Nie zaprzątaj sobie tym głowy. Masz szansę wyjechać z Niemiec. Wykorzystaj ją.

Kiedy Oppenheimer wyruszył z Beusselkiez w drogę powrotną do domu, zaczęło lać jak z cebra. Hilde również dziwiła się, że morderca odstąpił od dotychczasowego schematu. Irytowało ją szczególnie, że tym razem nie wysłał listu. Komisarza zaś niepokoiło podejrzenie, że sprawca być może zaprzestał pisania listów, by skontaktować się z nimi w jakiś inny sposób. Zastanawiał się, jak to zrobi. Miał złe przeczucia.

Musiał pokonać parę hałd gruzu zawalających drogę i złościł się na dziurawe podeszwy. Jego skarpety nasiąkły wodą z kałuż, sprawiając, że marzły mu palce u nóg. A przecież Hilde podarowała mu dziś parę nowych butów ze swych zapasów. Ale Oppenheimer niósł podarek pod pachą, by go oszczędzać. Przynajmniej inna dzisiejsza decyzja okazała się słuszna: zabrał drugi parasol. W ten sposób mógł wyprowadzić w pole ogon, a mimo to ochronić się przed deszczem.

Pozostało mu już tylko parę metrów, kiedy z oddali dobiegło wycie syreny, a z bliska doleciał jakiś inny dźwięk. W pierwszej chwili nie potrafił go zidentyfikować, dopóki nie zobaczył stalowego hełmu strażnika ochrony przeciwlotniczej. Mężczyzna walił w gong, aby ostrzec mieszkańców kwartału przed nalotem. Widać, najbliższa syrena została zniszczona.

Z powodu gongu nie spostrzegł nadchodzącego prześladowcy, który szedł dziś za nim do Beusselkiez. Był coraz bliżej. Kiedy Oppenheimer usłyszał za plecami chlupot kroków po kałuży, było już za późno. Czyjaś ręka sięgnęła od tyłu i spoczęła ciężko na jego ramieniu.

– Richard Oppenheimer? – zapytał obcy głos.

Odwrócił się gwałtownie. Stanął twarzą w twarz z jakimś mężczyzną i uświadomił sobie, że jest uzbrojony tylko w dwa parasole. Parę metrów dalej podjechał cicho samochód i zatrzymał się przy krawężniku. Po kolejnych słowach obcego Oppenheimer wiedział już, że wszelki opór mija się z celem.

– Służba bezpieczeństwa. Proszę wsiadać.

20

sobota, 17 czerwca 1944 – niedziela, 18 czerwca 1944

– Do diabła ciężkiego, gdzieżeś się pan podziewał? – Vogler był rozjuszony. – Rozebraliśmy na kawałki tę budę, w której pan zniknął, i nic! Komisarza Oppenheimera nie ma!

To znaczy, że jego przykrywka została zdemaskowana. Oppenheimer, nie zdjąwszy nawet płaszcza, stał w korytarzu domku w Zehlendorfie. Jeśli w przyszłości chce nadal odwiedzać Hilde, musi wymyślić coś innego.

– Poszedłem się przespacerować, żeby uporządkować myśli – odpowiedział słabym głosem.

Jego wymówka była tym bardziej absurdalna, że w rękach trzymał dwa parasole i parę butów.

– Jest mi obojętne, co pan wyprawia, byleby tylko nas pan informował! Mamy kolejny mord.

Oppenheimer poczuł, jak ścina mu się krew w żyłach. Obstawa w samochodzie jak zwykle milczała, zamiast go ostrzec.

– Tak prędko? – zapytał, zdjęty niepokojem.

– Owszem, tak prędko! Traudel Herrmann, żona Gruppenleitera SS. Zgłoszono jej zaginięcie kilka godzin temu. Proszę się nie rozbierać. Pojedzie pan do Köpenick.

„Jeszcze jej nie zabił. Możemy jeszcze zapobiec morderstwu” – pomyślał, kiedy znalazł się w salonie Herrmannów. Wiele wskazywało na to, że Gruppenleiter SS jest dość próżnym człowiekiem – w pokoju porozwieszano liczne zdjęcia przedstawiające go wyglansowanego na błysk, w pełnym rynsztunku SS. Postawny mężczyzna w kwiecie wieku i z zadatkami na brzuch prężył się na zdjęciach z wypiętą dumnie piersią, zaopatrzony w stalowy hełm i ekwipunek bojowy. Chyba nikt nie rozpoznałby go w tym czymś zwiniętym w fotelu i przypominającym kupkę nieszczęścia. Jego ciało wyglądało, jakby skurczyło się w ciągu ostatnich

godzin, twarz miał zaczerwienioną z podenerwowania, a spojrzenie szkliste, jakby daremnie próbował znaleźć pocieszenie w alkoholu.

– Proszę się dobrze zastanowić – tłumaczył Oppenheimer. – Każdy szczegół może być ważny. O której dokładnie wrócił pan dziś w nocy do domu?

– Nie patrzyłem na zegarek – odpowiedział Herrmann zachrypniętym głosem. – Musiało być koło trzeciej. Najpierw zauważyłem, że samochód stoi na ulicy. Zdziwiłem się, dlaczego Gustav, nasz kierowca, nie wprowadził go do garażu. To niedbalstwo. Nigdy nie wiadomo, co się stanie, jak się tak zostawi auto. Gustav jest zwykle bardzo sumienny. Postanowiłem, że nazajutrz przemówię mu do rozumu. Potem od razu poszedłem do łóżka i zasnąłem.

– Mają państwo z małżonką osobne sypialnie?

– Tak. Silke nie wyłożyła mi piżamy. Ale byłem tak zmęczony, że nie zaprzątałem sobie tym głowy. Po prostu zasnąłem.

– A Silke to…

– Nasza pomoc domowa. Jest u nas od niedawna.

– Co się stało dziś rano?

Herrmann wstał i podszedł do barku. Nalał sobie koniaku.

– To było zaledwie parę godzin później. Marga Kriegler, przyjaciółka żony, w końcu telefonem wypłoszyła Silke z łóżka. Twierdziła, że po nocnym alarmie próbowała dodzwonić się do nas parę razy, ale nikt nie podchodził do aparatu. Powiedziała, że Gustav został pobity, w samochodzie siedział ktoś obcy, a Traudel uprowadzono. Początkowo nie chciałem jej wierzyć, ale żony nie było w sypialni, a Silke też jej nie widziała. Wtedy zadzwoniłem na policję. Od tamtej pory siedzę tu i czekam, aż coś się wydarzy.

– Czy w tym czasie poruszał się pan samochodem?

– Nie, stoi dokładnie w tym samym miejscu, gdzie go wczoraj widziałem.

To był przynajmniej jakiś trop. Oppenheimer wyszedł na deszcz, Vogler za nim.

– Co powiedziała Kriegler? – zapytał komisarz. – O której obcy odjechał z panią Herrmann?

– Około dwunastej.

– A więc miał najwyżej trzy godziny. Trzy godziny, by wywieźć kobietę i odstawić samochód tutaj. Dlaczego podjął ryzyko powrotu?

– Możliwe, że w tamtej okolicy taki samochód rzucałby się w oczy – wyraził przypuszczenie Vogler.

– Niezła myśl – zgodził się Oppenheimer. Skierował uwagę na pojazd. – Czy ktoś już zabezpieczył ślady we wnętrzu?

– Chciałem, żeby pan obejrzał je pierwszy. – Vogler otworzył tylne drzwi po stronie pasażera.

Oppenheimer nachylił się nad tapicerką.

– Skóra, bardzo dobrze. Może zostawił odciski palców. Hm. Tutaj doszło do szarpaniny. Podejrzewam, że ta kępka włosów należy do pani Herrmann. – Oppenheimer pokazał Voglerowi kilka kosmyków, znalezionych na tylnym siedzeniu. – Ma pan jakąś kopertę?

Esesman podał mu kopertę i Oppenheimer schował do niej pukiel. Potem odwrócił się z powrotem ku tylnej kanapie.

– Tu jest krew. Niezbyt dobrze to wygląda. Ale to tylko parę kropel. Pani Herrmann została obezwładniona i natychmiast wyciągnięta z samochodu.

Zajął się siedzeniem kierowcy i zastygł.

– Aha.

– Co takiego? – chciał wiedzieć Vogler.

Oppenheimer schylił się i wyciągnął z kieszeni scyzoryk. Potem kazał sobie podać drugą kopertę i zeskrobał coś z pedału hamulca. Wyprostował się i dokładnie przyjrzał substancji.

– Glina – oznajmił.

Vogler również obejrzał zawartość koperty.

– Dość duża grudka.

Oppenheimer odłamał kawałek zaschniętego błota i roztarł go w palcach. Przez prawie minutę tkwił na mokrym od deszczu chodniku i wpatrywał się w glinę. I nagle go olśniło.

– Bardzo dobrze. Zrobimy tak – zwrócił się do Voglera i pokazał na samochód. – Trzeba natychmiast zabezpieczyć ślady. Potem potrzebna nam będzie ekipa poszukiwawcza z psami, ze wszystkim, co zdołamy załatwić. Chyba wiem, gdzie znajdziemy mordercę.

Kolejnej nocy znów ogłoszono alarm, ale Oppenheimer się tym nie przejął. Cały czas był na nogach, chodził tam i z powrotem po salonie domku

w Zehlendorfie, podczas gdy Vogler przez radiotelefon w piwnicy wydawał rozkazy, aby zorganizować ludzi do ekipy poszukiwawczej.

Deszcz ustał parę godzin temu i kiedy o brzasku komisarz przemierzał wreszcie pola z jedną z grup, powietrze było jeszcze chłodne, ale miało już w sobie zapach nadchodzącego letniego dnia. Niebo się przecierało. W oddali dało się już dostrzec pierwsze delikatne przebłyski jutrzenki. Zapowiadała się przepiękna niedziela, prawdziwa „cesarska pogoda", jak mawiali Niemcy. Przejęcie władzy przez Hitlera odcisnęło ogromne piętno nawet na potocznym języku, gdyż teraz ludzie słoneczną pogodę z błękitnym niebem nazywali „pogodą Führera".

Ekipa poszukiwawcza, do której dołączył Oppenheimer, przeczesywała teren na północ od Köpenick. Inne grupy sprawdzały obrzeża miasta w Treptow i okolice Schmöckwitz. Jeszcze dalej na północ jedna ekipa przetrząsała okolice Dahlwitz. Czas naglił, jeszcze trochę i pierwsi berlińczycy wyruszą na weekendowe wycieczki za miasto. Za kilka godzin na rozległym leśnym obszarze zaroi się od wycieczkowiczów, złaknionych odpoczynku od gruzów i pragnących zaczerpnąć energii na łonie natury albo odwiedzić tor wyścigowy w Hoppegarten.

– Szukamy jakiegoś budynku położonego na obrzeżach miasta – tłumaczył ludziom Oppenheimer. – Im odleglejsza lokalizacja, tym bardziej prawdopodobne, że wchodzi w grę jako miejsce zbrodni. To może być piwnica.

„W piwnicy nie słychać krzyku ofiar" – dodał w myślach.

Pierwsza kolejka miejska z turkotem przetoczyła się po szynach. Tymczasem ekipa przedarła się przez las i dotarła do bezludnych bagien.

– To szukanie igły w stogu siana – odezwał się Vogler. Oparł na biodrach ręce zaciśnięte w pięści i zatrzymał wzrok na kolonii ogródków działkowych, w porannej mgle odcinających się niebieskawo od pobliskiego lasu. – Czy my w ogóle jesteśmy we właściwym miejscu?

Oppenheimer zatrzymał się przy nim. Choć jeszcze nie było upału, już się pocił. Przetarł chustką twarz.

– Sprawca miał tylko trzy godziny, by uprowadzić panią Herrmann, wyciągnąć ją z auta, zamknąć gdzieś i wrócić do Köpenick, żeby odstawić samochód. To bardzo mało czasu. To musi być gdzieś tutaj. W grudce gliny, którą znalazłem na pedale hamulca, nie było odłamków cegieł ani

cząsteczek wapna. W mieście tego pełno. Wszędzie zrujnowane domy i gruz. Sprawca nie mógł przebywać w śródmieściu.

– To przeogromny teren. Gruppenleiter Herrmann chce zaangażować do poszukiwań drużynę Hitlerjugend z Köpenick.

– Bardzo dobry pomysł. Oni najlepiej znają tu wszystkie zakamarki. Mam nadzieję, że nikt im nie powiedział, iż chodzi o morderstwo?

– Dopilnowałem tego. Dałem Herrmannowi precyzyjne instrukcje.

– Dobrze. Nie uda nam się przeczesać całego terenu. Musimy liczyć na łut szczęścia.

Oppenheimer właśnie chciał zdjąć płaszcz, kiedy w odległości paru metrów rozległo się szczekanie. Mężczyźni drgnęli.

– Znaleźli coś – oznajmił Vogler i puścił się biegiem przez wysokie trawy w stronę przewodników z psami, zgromadzonych koło drewnianej szopy.

Kiedy Oppenheimer do nich dobił, Vogler wdarł już się do środka. Po chwili wyszedł rozczarowany.

– Nic, pusto. Nawet nie była zamknięta.

– To co się stało? Psy coś wyczuły! – żachnął się Oppenheimer.

Przewodnicy rzucali mu ukradkowe spojrzenia. W końcu jeden z nich wskazał na zarośla.

– To tylko zwierzęta – zauważył, wzruszając z zakłopotaniem ramionami.

Oppenheimer spuścił głowę, rozczarowany. W zaroślach leżał martwy królik.

Był na nogach prawie przez całą niedzielę, wspomagając się pervitinem. Co cztery godziny zażywał tabletkę, by zwalczyć objawy zmęczenia. Kiedy późnym popołudniem ich starania nadal nie przyniosły żadnych rezultatów, Vogler musiał niemal siłą nakłaniać go, aby dał się odwieźć do domu Hoffmannowi. Zgodził się w końcu, uświadomiwszy sobie, że nie spał już trzydzieści sześć godzin. Mieli pecha. Nie dane im było szybkie rozwiązanie sprawy. Musiał oszczędzać siły na kolejny dzień. Wiedział, że jego organizm będzie się domagał snu. W końcu nie był już młodzieniaszkiem.

Kiedy przygnębiony wszedł do kuchni, Lisa oczekiwała go z zatroskanym wzrokiem. Osunął się na pierwsze z brzegu krzesło.

– Byłem zajęty przy dochodzeniu. Hoffmann cię zawiadomił?

– Powiedział tylko, że wrócisz później, nic poza tym. Co się stało? Już po wszystkim?

– Nie. Jeszcze długo nie. Kolejne dni pewnie będą ciężkie. – Odchylił się do tyłu, wyczerpany. Potem postawił na stole parę nowych butów. – Patrz, to od Hilde. Będę musiał włożyć w czubki trochę papieru, żeby pasowały.

Popatrzył zmęczonym wzrokiem na Lisę, która postawiła na stole dwa kubki kawy zbożowej. Zapatrzyła się w napar, po czym powiedziała:

– Tak myślałam, że to jeszcze nie koniec. Hilde sugerowała coś takiego.

Nagle rozbudzony, nadstawił uszu.

– Rozmawiałaś z Hilde?

– Nie tylko rozmawiałam. Była tu parę godzin temu.

– Tu, u nas?

– Szkoda, że nie widziałeś miny starego Schlesingera. Mało nie wyszedł z siebie z ciekawości. Hilde wyjaśniła mu, że jest moją siostrą z Lipska. Miała ważną wiadomość.

– Jaką?

– Powiedziała, że Kruszynka i Antoś akceptują twoje warunki. – Zniżyła głos. – Chcą z tobą porozmawiać. Jutro około dziesiątej wieczorem masz się udać w kierunku Hansabrücke. Skontaktują się z tobą po drodze. Powiedziała, że pomogą nam wyjechać z Niemiec. Czy to prawda, Richardzie? Czy mamy szansę opuścić kraj?

Nachylił się ku niej.

– Tak. Stoi za tym Abwehra, ale to dość delikatna sprawa.

W ostatnich latach często rozmawiał z Lisą o wyjeździe. Jego siostra uciekła z mężem do Paragwaju. Sądząc z listów, żyło im się nieźle, szwagier był inżynierem i po początkowych trudnościach udało mu się dostać pracę. Oppenheimer wątpił jednak, by w Ameryce Łacińskiej było duże zapotrzebowanie na berlińskich policjantów kryminalnych. A kiedy w końcu z ciężkim sercem zdecydował się na opuszczenie kraju, było już za późno. Wprawdzie udało im się zdobyć wizę brytyjską, ale zaraz potem Hitler wkroczył do Polski i zamknięto granice. Później pojawiła się jeszcze możliwość wyjazdu do Stanów Zjednoczonych przez Szanghaj, ale Oppenheimer nie mógł spełnić warunku, by każde z nich wyłożyło po czterysta dolarów plus koszty podróży. Teraz zupełnie niespodziewanie nadarzyła się kolejna okazja. Nie wiedział tylko, co sądzi o tym Lisa.

– Co o tym myślisz? Wyjechałabyś ze mną? – zapytał.

– Zrobiłabym wszystko, żeby opuścić ten zasrany kraj – oznajmiła z niezwykłą mocą. – Nie chcę już być Niemką. Całe to szaleństwo. Nienawidzę tutejszych ludzi.

Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech.

– Przypominasz mi teraz Hilde. Szkopuł w tym, że mam przekazać Kruszynce i Antosiowi rezultaty dochodzenia. A sprawę utajniono.

– Zrób to. Inaczej się stąd nie wydostaniesz. Wprawdzie ten cały Vogler traktuje cię z szacunkiem, ale i tak cię wykorzystuje. Być może chciałbyś w to wierzyć, lecz rasa panów nigdy nie zaakceptuje cię jako równego sobie. Nie jesteś jednym z nich i nigdy nie będziesz. – Popatrzyła mu w oczy. – Nie czuj się zbyt pewnie z ludźmi z SS, Richardzie. Nie zapominaj, kim jesteś i skąd pochodzisz. Wiem, co myślisz. To nie będzie zdrada, jeśli przekażesz Abwehrze wyniki śledztwa. To nie są czasy na lojalność. Powinniśmy przyjąć ich ofertę i uciec.

21

poniedziałek, 19 czerwca 1944 – środa, 21 czerwca 1944

Nad nimi rozciągała się nieskończoność. Kilka lat temu gwiazdy powróciły do Berlina. Rozporządzenie o zaciemnieniu uwolniło stolicę od świateł miasta i teraz gwiazdozbiór Kasjopei świecił jaśniej niż kiedykolwiek. Planetom było jednak obojętne, czy na jednej z nich, tej błękitnej, panuje wojna, czy nie. Krążyły niezmordowanie wokół Słońca i żadna siła nie mogła zmienić ich biegu.

Z głębin kosmosu planeta zwana Głową Diabła zimnym wzrokiem spoglądała na troje ludzi, którzy o czwartej nad ranem spotkali się na Niemieckim Placu Sportowym. Na ogromnym terenie, powstałym przed dziesięcioleciem na potrzeby igrzysk olimpijskich, sprawiali wrażenie małych i niewiele znaczących. Jeden z nich otworzył żelazną bramkę obok niskiego podłużnego budyneczku kontroli biletów i przepuścił dwóch pozostałych. Obojętnie minęli gigantyczną elipsę Stadionu Olimpijskiego i ruszyli w stronę pola kukurydzy. Po drodze musieli przejść przez bramę składającą się jedynie z dwóch wąskich kolumn, wznoszących się ku nocnemu niebu i niknących w czerni gdzieś nad ich głowami.

– Dlaczego Hoffmann zatrzymał się przy południowym wejściu? – utyskiwał Oppenheimer, bowiem mieli do przejścia jeszcze prawie kilometr.

– W nocy tylko to wejście jest otwarte – wyjaśnił Vogler.

– Myślałem, że zachodnia brama i tak jest wyłamana. Nie jestem zainteresowany zwiedzaniem całego obiektu.

Nie mieściło mu się to w głowie. Nawet ludzie z SS w głębi serca byli biurokratami. Zaklął pod nosem, ale jego słowa stłumił szal, który kazała mu założyć Lisa. Oppenheimer nie zdołał zapobiec zbudzeniu jej, kiedy zjawił się niosący złe wieści posłaniec, czyli Hoffmann. Obojętne, co się wydarzy, Traudel Herrmann nie mogli już pomóc.

Mimo dość wczesnej pory właśnie świtało. Przypomniał sobie, że za dwa dni będzie przesilenie. Naziści zawsze urządzali z tej okazji wielkie uroczystości, podczas których tysiące płonących pochodni formowano w gigantyczną swastykę. Ale radość ludności z podobnych imprez podczas wojny znacznie zmalała. Oppenheimer nie słyszał, żeby tego roku organizowano jakieś obchody, wszak ogromne płonące nocą swastyki kłóciły się z nakazem zaciemnienia. Park olimpijski był chętnie wykorzystywany przez partię. Kilka lat przed wojną, podczas gdy cały świat miał jeszcze nadzieję, że pierwsza wielka wojna zakończyła wszystkie inne, w Niemczech gotowano się już do kolejnej. Hitler i jego zausznicy nie przebierali w subtelnych metodach, by odpowiednio nastroić naród do zbrojnej walki. I tak na Stadionie Olimpijskim co roku odbywały się igrzyska SA. Z ich okazji wymyślono całkiem nowe dyscypliny sportowe, w rodzaju rzutu granatem albo bardzo popularnego przed wojną biegu sztafetowego w maskach gazowych. Szybko miało się okazać, że propagowany przez partię zdrowy tryb życia nie jest celem samym w sobie. Chwalebne było to, co hartowało naród – zarówno na stadionie, jak i na froncie.

Podążając z Voglerem za nocnym dozorcą, Oppenheimer miał dość czasu na rozmyślania. Przestrzeń, przez którą prowadził ich stróż, wydawała się bezgraniczna. Kierowali się w stronę dzwonnicy, górującej nad tak zwanym wałem zachodnim. Oppenheimera naszła złowieszcza myśl, że morderca za każdym razem znajdował falliczne symbole, przy których zostawiał ofiary. Budowla, do której się zbliżali, wałem była tylko z nazwy. Stanowiła jeden z wielu typowych betonowych kloców wzniesionych przez partię i – jeśli nie odbywały się akurat parady wojskowe czy inne bombastyczne uroczystości – niepełniących żadnej sensownej funkcji. Mieściły się tu rozległe trybuny z niezliczonymi rzędami krzeseł.

Dotarli do najniższych stopni na skraju trybun. Przesadzili barierkę i aby dostać się do trybuny honorowej, znajdującej się bezpośrednio pod dzwonnicą, mieli jeszcze do pokonania kawałek po łuku. Oppenheimer dostrzegł podest, z którego wystawał kamienny słupek. Była to mównica Führera, z której – widoczny dla wszystkich – mógł odbierać defilady.

– Stać! Kto idzie? – zawołał ktoś.

Oślepiło go światło latarki. Stuknęły obcasy i komisarz dojrzał za latarką salutujący Voglerowi cień.

– Pilnować dalej – rozkazał Vogler i esesman usunął się w mrok.

Vogler skierował snop światła własnej latarki w dół. Przed nimi leżały szczątki Traudel Herrmann.

Zwłoki zostały ułożone jak zwykle. Tułów zwrócony w stronę mównicy Führera, nogi rozłożone. Krocze stanowiło jedną wielką ranę, brakowało rąk. Oppenheimer nie wątpił, że w kanałach słuchowych kobiety znajdą stalowe gwoździe.

Ale i tym razem coś było inaczej. Ze zmarszczonym czołem popatrzył na głowę zamordowanej. Sprawca zadał sobie trud i zgolił jej włosy. Do ubrania klamerką przymocował tabliczkę, na której widniał napis: „ŻYDOWSKA KURWA”.

– Hm, to by tłumaczyło zgoloną głowę – powiedział po namyśle Oppenheimer.

Słyszał, że niektórym kobietom golono głowy na ulicy, na oczach wszystkich, bo popełniły ten błąd, że zadały się z mężczyzną, który zgodnie z nazistowską definicją nie był krwi niemieckiej, a w najgorszym razie należał do klasy tak zwanych podludzi. Zgodnie z *Ustawą o ochronie krwi niemieckiej i niemieckiej czci* niewłaściwy – zdaniem nazistów – wybór partnera należało karać. Komisarz zastanawiał się, czy wystawianie na pokaz kobiet z ogolonymi głowami miało służyć odstraszaniu czy rozrywce tłuszczy.

– Dlaczego nazywa ją „żydowską kurwą”? Czy kryje się za tym jakaś tajemnica? Można wszak przypuszczać, że Gruppenleiter Herrmann ma dowód aryjskości. Proponuję, by kazał pan to sprawdzić. Może zaprowadzi nas to dalej.

Vogler nie odpowiedział, z grobową miną wpatrując się w trupa.

Oppenheimer usiadł i powiódł wzrokiem po placu defiladowym. Na razie był jeszcze spowity mrokiem, ale za odległymi domami już wschodziło słońce. Błękit powoli zakradał się na niebo, a Mgławica Andromedy, jeszcze parę godzin temu widoczna gołym okiem obok Wielkiego Kwadratu Pegaza, stała się nierozpoznawalna. Za to wyraźnie widać było jeszcze Kapellę na północnym wschodzie i cieniutki sierp Księżyca. Nawet ziemski satelita zdawał się dostosowywać do architektury parku olimpijskiego. Wisiał dokładnie nad Bramą Maratońską, szeroką przesieką przecinającą owal stadionu.

Oppenheimer myślał intensywnie.

– Właściwie to nie jest rewir naszego mordercy.

– Jeśli pańskie przypuszczenia są prawdziwe, to podjął ogromne ryzyko – powiedział Vogler. – Musiał przetransportować zwłoki przez całe miasto, co ktoś mógł zauważyć. Poza tym w pobliżu jest kilka jednostek Wehrmachtu.

– Zaczyna się robić nieostrożny. To typowe dla wielokrotnych morderców. Nie został jeszcze schwytany i wydaje mu się, że jest bezpieczny. Poza tym czuje się niezrozumiany przez oficjalnych przedstawicieli partii, więc składa zwłoki tuż pod mównicą Führera. Można to zinterpretować jako osobisty apel do Hitlera.

– Tak, to może być wytłumaczenie – przyznał Vogler. – W swym szaleństwie wierzy, że Führer mu przyklaśnie.

– A jednak to miejsce nie ma nic wspólnego z pierwszą wojną światową. To zagadka. Wszędzie indziej znajdowało się coś w rodzaju pomnika ku czci poległych.

– Ale przecież tu jest coś takiego – dotarł do nich głos z półmroku. Nocny dozorca odezwał się po raz pierwszy. – Hala Langemarck. Zaraz tam, w dole.

– Racja – potwierdził Vogler. – To miejsce doskonale pasuje do pozostałych.

Oppenheimer popatrzył na obu mężczyzn pytająco.

– O jakiej hali panowie mówią?

– Chodźcie za mną – rzucił dozorca i zabrzęczał kluczami.

Oppenheimer rozpoznał w świetle latarki wypukłość topornych liter. W ciemnościach pomieszczenie sprawiało wrażenie grobu faraona, przez tysiąclecia skrytego pod grubymi ciosanymi kamieniami i czekającego na odnalezienie go przez badaczy. Poczuł się jak jakiś odkrywca w rodzaju Howarda Cartera i nie zdziwiłby się, gdyby za załomem muru natknęli się na mumię.

Nie wiedział o tym wojennym incydencie. Wydarzyło się to 10 listopada 1914 roku w Langemarck we Flandrii. Ochotnicy – gimnazjaliści i studenci z hymnem Niemiec na ustach – porwali się na wroga, by ponieść żałosną klęskę. Śpiewali pod ostrzałem nieprzyjaciela, tak przynajmniej opowiadał dozorca, z pałającym wzrokiem i promiennym uśmiechem na twarzy. Według niego zginęło wtedy dwa tysiące niemieckich żołnierzy.

Dla Oppenheimera ta potyczka była tylko jedną z owych wątpliwych strategicznie bitew, jakich setki stoczono podczas „zafajdanej wojny”.

– Muszę wyjść na powietrze – rzucił i opuścił halę. – Domyślam się, że to pan znalazł ciało? – zapytał po chwili dozorcę.

– Zobaczyłem, że przy zachodnim wejściu parkuje furgonetka – odpowiedział. – Właśnie byłem przy wyłamanej bramie, a tu nagle ktoś włącza silnik i odjeżdża.

Oppenheimer przystanął i chwycił dozorcę za ramię. Uświadomił sobie, że stróż musiał spłoszyć mordercę.

– Może mi pan pokazać, gdzie to dokładnie było?

Wyszli na wolną przestrzeń. Stąd nie dało się już dostrzec pola kukurydzy, przysłaniały je trybuny. Dozorca wskazał pusty obszar.

– Niech pan popatrzy w tamtą stronę. Są tam miejsca do parkowania, zaraz przy wejściu na scenę. Ale furgonetka stała tu, za rogiem.

– Może mi pan dokładnie wskazać to miejsce?

Dozorca ruszył przed siebie. Oppenheimer czuł, jak z podekscytowania krew pulsuje mu w głowie. Chciał natychmiast dostać się tam, gdzie stał samochód, ale dozorca złaził po schodach irytująco powoli. Komisarz, chcąc wykorzystać jakoś te minuty, wypytywał dalej:

– Skoro to była furgonetka, czy mógł pan rozpoznać jakiś napis albo może zapamiętał pan numery rejestracyjne?

– Widziałem tylko wielki cień. I nic więcej. Nie wiem, czy coś było na plandece.

– Na plandece? – zainteresował się Oppenheimer.

– No, widziałem, jak odjeżdżał. Jak wjechał w dziurę, to aż się wszystko zatrzęsło.

– Chce pan przez to powiedzieć, że nad skrzynią ładunkową była rozpięta plandeka?

– Tak, akurat na taką wysokość, żeby można było swobodnie stać.

Dozorca podszedł do podstawy wału: kamiennego podestu wysokiego na jakieś dwa metry. Zaparkowany w tym miejscu pojazd w dzień widać byłoby tylko z górnych rzędów zachodniego wału. W nocy okazałby się tu niemal niewidoczny.

Podeszli bliżej i Oppenheimer zauważył na ziemi coś błyszczącego. Instynktownie drgnął.

– Stop! – zawołał i powstrzymał towarzyszy.

Podekscytowany wyrwał Voglerowi latarkę i jął badać podłoże.

Na wprost nich dostrzegł kałużę. W ostatnich dniach sporo padało, ziemia wciąż była nasiąknięta wodą. Wczorajszy słoneczny dzień nie zdołał wysuszyć podłoża w cieniu kamiennego podestu. Oppenheimer przykucnął i obejrzał nawierzchnię. Wyraźnie dało się rozpoznać pewien wzór. Furgonetka przejechała przez kałużę i pozostawiła w wilgotnym podłożu odcisk opony.

– Potrzebuję natychmiast kogoś od zabezpieczania śladów – rozkazał. – Musimy zrobić gipsowy odlew.

– W porządku – odparł Vogler i odwrócił się, by odejść. Widząc, że Oppenheimer nie rusza się z miejsca, przystanął. – Nie idzie pan?

Komisarz prychnął opryskliwie.

– Do diabła ciężkiego, nie ruszę się stąd ani na krok, dopóki ślady nie zostaną zabezpieczone. Jeszcze mi je zadepcze jakiś pijany głąb. Niech pan kogoś sprowadzi. Jak najprędzej.

Vogler i dozorca się oddalili. Świetlny stożek latarki malał i w końcu znikł w cieniu wału. Oppenheimer wytężył wzrok i poszukał na ziemi dalszych śladów. Kilka centymetrów dalej znalazł odcisk stopy.

Po raz pierwszy podczas tego śledztwa poczuł coś w rodzaju nadziei.

– Psst – dobiegło z prawej, po czym rozległ się ochrypły szept: – Oppenheimer, chodź pan tu.

Dochodziła dziesiąta wieczorem. Komisarz zastanawiał się już, gdzie właściwie miał się spotkać z Lüttkem i Bauerem. Zamierzał właśnie wejść na most, kiedy usłyszał, że ktoś szepcze.

Na schodach wiodących w dół ku brzegowi Szprewy stał Lüttke i machał ręką. Oppenheimer, starając się nie zwracać na siebie uwagi, skierował kroki w jego stronę. Nieco dalej dostrzegł Bauera, który również wymachiwał energicznie.

– No już, zdejmuj pan płaszcz – polecił i wcisnął Oppenheimerowi własne okrycie. Kiedy już zamienili się ubraniami i kapeluszami, Bauer wszedł na schody. – Daję wam dwie godziny.

Odprowadzili wzrokiem przechodzącego przez most Bauera. W gęstniejącej ciemności jego sylwetka była już mocno niewyraźna, gdy pojawiła się jeszcze jedna postać. Mężczyzna rzucił krótkie spojrzenie

w dół schodów, ale Lüttke i Oppenheimer już wycofali się w cień mostu. Mężczyzna poszedł dalej. Podążał za Bauerem w odległości około stu metrów. To musiał być ten sam facet, który tego dnia śledził Oppenheimera.

– W samą porę – powiedział Lüttke i odetchnął z ulgą. – Jeszcze chwila i byśmy nie zdążyli. Mój kolega pobawi się z nim trochę w kotka i myszkę, żebyśmy mogli porozmawiać w spokoju. Proszę za mną. Zaparkowałem niedaleko stąd.

Oppenheimer zamierzał wsiąść do samochodu, kiedy zauważył, że w środku już ktoś siedzi. Mężczyzna miał przylizane czarne włosy, ułożone w równiutkie fale na okrągłej czaszce.

– Proszę się nie krępować – odezwał się Lüttke. – To jeden z naszych stenotypistów. Na wypadek, gdybyśmy sfinalizowali transakcję. – Po czym włączył silnik i ruszył.

Na jego polecenie spuścili osłony na boczne szyby. Stenotypista tkwił już chyba w samochodzie od jakiegoś czasu, bo powietrze przesączone było zapachem oleistej pomady do włosów. Niestety, z zaciągniętymi osłonami nie dało się przewietrzyć wnętrza. Oppenheimer, chcąc nie chcąc, pogodził się z tym.

Lüttke potwierdził wiadomość od Hilde, że Abwehra zamierza przyjąć żądania Oppenheimera i przerzucić jego oraz Lisę za granicę. Kiedy to sobie wyjaśnili, komisarz złożył relację z najistotniejszych ustaleń śledztwa. Wspomniał nawet o mglistych sugestiach, jakie otrzymał od byłego kolegi, Billhardta. Stenotypista sumiennie notował.

– Rzeczywiście, to brzmi bardzo interesująco – skwitował Lüttke. – To zrozumiałe, że ten pana kolega nie mógł pomóc w sprawie podejrzanego członka SA. Aparat policyjny nie jest już tym, co pan zna z dawnych czasów. Normalni funkcjonariusze mają niewiele do powiedzenia. Gestapo i SD wszędzie wtykają nosy. To oni decydują, które sprawy przejmą, a resztę przydziela się pozostałym departamentom. Jeśli uda się panu ustalić nazwisko tamtego człowieka, moglibyśmy poruszyć parę kontaktów i zdobyć akta.

– Spróbuję podjąć ten wątek – oświadczył Oppenheimer. – Ale nie mogę obiecać, że Billhardt będzie mówił. Jak mam pana powiadomić?

– Uruchomiliśmy martwą skrzynkę kontaktową. Dostanie pan hasła, których pan użyje w razie chęci skontaktowania się z nami. Od tej chwili pański pseudonim to Schiller.

Poczuł się jak bohater jakiejś gry. I choć jemu wydawała się śmieszna, ludzie pokroju Lüttkego i Bauera grali w nią śmiertelnie poważnie. „To naprawdę jak w powieści *Emil i detektywi*” – pomyślał z westchnieniem.

Vogler potrząsnął głową.

– Jeśli to prawda, co ustalili moi ludzie, to z tej Traudel Herrmann było niezłe ziółko.

Choć zegar wskazywał dopiero wpół do dziesiątej, Vogler musiał zapalić biurkową lampę w swym gabinecie w piwnicy, by mieć dość światła. Niecałe pół godziny wcześniej znów ogłoszono alarm, z tego względu również i Oppenheimer udał się na dół.

Natychmiast po znalezieniu ciała Vogler zlecił dalsze poszukiwania w sądach specjalnych okręgu Berlin, które zajmowały się tak zwaną drobnicą. Rozpatrywały wszystkie wykroczenia, których nie zakwalifikowano jako polityczne. Procesy odbywały się w trybie przyśpieszonym, a mniejsze sprawy rozstrzygano nawet w trybie doraźnym.

Sytuacja pechowców, stających przed takim sądem, była nie do pozazdroszczenia. Zgodnie z *Rozporządzeniem przeciwko szkodnikom narodu* właściwie za każdy czyn karalny można było nałożyć karę więzienia lub śmierci. Wystarczyło jedynie, by przestępstwo godziło w „narodowe poczucie sprawiedliwości”, przy czym ustawodawca dość niejasno definiował to ostatnie.

W rezultacie sądy orzekały, jak im się podobało. Gazety niemal codziennie donosiły o nowych wyrokach śmierci. Raz wymierzona kara nie podlegała odwołaniu. Dopuszczano jedynie tak zwane skargi o uznanie nieważności, ale widoki na ich powodzenie były zastraszająco nikłe. Jeśli pani Herrmann rzeczywiście dopuściła się zhańbienia rasy, to było więcej niż prawdopodobne, że stanęła przed jednym z takich sądów. Jednak liczba wykroczeń popełnionych przez zamordowaną zaskoczyła nawet Voglera.

– W latach 1938–1942 stawała przed sądem specjalnym sześciokrotnie – oznajmił. – Za każdym razem z powodu zhańbienia rady. Miała, zdaje się, ciągoty do zamożnych Żydów. Wszystko odbywało się zgodnie z niezmiennym schematem: denuncjacja, oskarżenie, wyrok. Jej kochankowie trafiali do kacetu, dwóch ostatnich skazano na śmierć. Jednak Traudel Herrmann, a właściwie Traudel Ruggenbrecht, jak się wtedy nazywała, za każdym razem wymierzano uderzająco łagodną karę.

W normalnym przypadku trafiłaby do obozu koncentracyjnego. W rzeczywistości musiała spędzić parę tygodni w więzieniu. Nic nie wskazuje na to, aby kiedykolwiek się tam jednak stawiła. W życiu nie widziała więzienia od środka. A jeśli chodzi o pieniądze bogatych ramoli…

– Niech zgadnę: majątek żydowskich kochanków w cudowny sposób trafiał do kieszeni Gruppenleitera Herrmanna, zgadza się?

– Tak jest. Przynajmniej o ile zdołaliśmy ustalić. W zeszłym roku w końcu ją poślubił. Źródło łatwych łupów wyschło.

Współczucie Oppenheimera dla Traudel Herrmann błyskawicznie spadło do zera.

– To sugerowałoby, że Herrmann smarował, kogo trzeba. Zagarnął ze wspólniczką ogromny majątek, i to na pozór w miarę legalnie. Intratna działalność. – Przejrzawszy pobieżnie akta, dodał: – Patrząc na adresy oskarżonych, można odnieść wrażenie, że pani Herrmann przewaliła się przez połowę łóżek w Köpenick. Przynajmniej już wiemy, dlaczego morderca wybrał akurat ją. Najważniejsze pytanie to takie, kto wiedział, że wyspecjalizowała się w uwodzeniu Żydów.

– Raczej się z tym nie obnosiła – odparł Vogler. – Żeby wejść w posiadanie takich informacji, sprawca musiał widywać ją częściej, może to jej dawny znajomy. Herrmann cały czas mieszkała w Köpenick, a zatem równie dobrze to może być były sąsiad. No i pozostaje… – odchrząknął krótko – …pozostaje jeszcze sędzia, który wymierzał wyroki. Za każdym razem ten sam.

Oppenheimer zaskoczony zajrzał jeszcze raz do papierów. Informacje Voglera się zgadzały, wszystkie wyroki wydał ten sam sędzia. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej cała ta sprawa śmierdziała.

– Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, sędzia również czerpał z tego korzyści. To nie pasuje do naszego mordercy. Sprawca ostro potępia zachowanie pani Herrmann. Gdyby był sędzią, równie dobrze mógłby ją skazać na śmierć i nikt nie miałby podstaw, by mu coś zarzucić, nawet Gruppenleiter. W grę wchodziłby jeszcze jakiś pracownik sądu. Tyle że ze względu na ogromną liczbę rozpraw jest mało prawdopodobne, by woźny sądowy stykał się z panią Herrmann częściej czy w ogóle ją zapamiętał. Nie sądzę, aby istniało jakieś powiązanie z sądem. – Z namysłem gryzł ustnik cygarniczki. Potem walnął płaską dłonią w stół. – Nie, morderca

przynajmniej przez jakiś czas musiał mieszkać w Köpenick. Idę o zakład, że tak było.

Ogarnęła go niepohamowana gorączka, tak wielka, że aż poderwał się z krzesła i zaczął krążyć po niewielkiej piwnicy.

– Pięknie, mamy coraz więcej informacji o mordercy. Właściwie dosyć, by móc go ująć. Nie ma rady, musi pan posłać ludzi do urzędów meldunkowych.

Vogler przyglądał mu się bacznie, najwyraźniej próbując podążyć za tokiem jego rozumowania.

– Trzeba zbadać, kto z podejrzanych mieszkał w danym czasie w Köpenick – mruknął.

– Właśnie. To będzie niezła dłubanina, bo w tej chwili nie mamy na celowniku nikogo konkretnego. Musimy prześwietlić wszystkich mężczyzn, z którymi zetknęliśmy się w ramach śledztwa. Trzeba dojść, kto miał sposobność zaobserwowania poczynań pani Herrmann. Zaraz sporządzę listę. Osoby, które najbardziej odpowiadają tymczasowemu opisowi sprawcy, zaznaczę osobno. Miejsce ich pobytu będzie stanowiło najpilniejszy priorytet.

– Już się robi – zgodził się Vogler i usiadł przy radiostacji. Zawahał się chwilę. – Trzeba jeszcze raz przesłuchać Gruppenleitera Herrmanna, aby wyjaśnić, z kim w ciągu ostatnich lat utrzymywała kontakty jego żona.

Oppenheimer pokiwał głową.

– Obawiam się, że to niewiele da, ale musimy spróbować.

– Sam się tym zajmę – powiedział Vogler. – Proponuję, żeby pan w tym czasie jeszcze raz przejrzał akta i sprawdził powiązania z Köpenick w pozostałych sprawach.

Wydał polecenie radiotelegrafiście. On też zdawał się rad, że może wreszcie zająć się czymś konstruktywnym.

Alarm jeszcze się nie skończył, mimo to Oppenheimer opuścił piwnicę domku w Zehlendorfie, zasiadł w salonie i wynotował nazwiska zapisane na karteluszkach. Potem zajął się studiowaniem akt, zawzięcie szukając jakiejś nici wiążącej sprawę z Köpenick, dopóki nie przerwał mu radiotelegrafista, który przyszedł zaciemnić okna. Dopiero wtedy zorientował się, że na zewnątrz już zmierzcha i zrobiło się za późno na wizytę u Billhardta.

Kazał się zawieźć Hoffmannowi do domu i uświadomił sobie, że zanim odwiedzi dawnego kolegę, powinien wymyślić jakiś nowy fortel w celu zmylenia śledzących go tajniaków. Nie miał ochoty ściągać uwagi Voglera na swojego szpicla w kripo.

Kiedy otworzył drzwi do kuchni, Lisa właśnie przygotowywała kolację. Nie była sama. Przy stole siedziała stara Schlesingerowa i paplała jak najęta. Lisa stała odwrócona do niej plecami, by jej dodatkowo nie zachęcać – na próżno. Na widok Oppenheimera stara sąsiadka wybałuszyła oczy. Miała nową ofiarę.

– Ach, pan Oppenheimer – zawołała. – Co za szczęście, że pan przychodzi. Mówiłam już pańskiej małżonce. Toaleta na waszym piętrze jest niestety zepsuta. Mąż już się tym zajął, ale nie wiem, ile mu się zejdzie. Sam pan wie, jak ciężko dziś znaleźć hydraulika, który byłby gotów naprawić coś w *Judenhausie*. Więc mąż rzekł: nawet nie będę próbował, i wziął sprawę w swoje ręce.

Oppenheimer pomyślał, że Schlesingerowa i jej mąż byliby idealnymi współpracownikami służby bezpieczeństwa. Nieustannie wtykali nos w cudze sprawy. Podczas gdy jej mąż zachowywał się dość opryskliwie, ona stanowiła jego całkowite przeciwieństwo. Wykazywała ciągłą, wręcz chorobliwą pogodę ducha. Do twarzy w każdej sytuacji miała przylepiony uśmiech. Oppenheimer nie był pewien, czy to z prostoduszności, czy z niewiedzy. A może jedno i drugie.

– Cóż, tak pewnie jest najrozsądniej – zgodził się.

Zdjął kapelusz oraz płaszcz i powiesił je na wieszaku. W pogodnym spojrzeniu taksującej go badawczo Schlesingerowej nagle pojawił się wyrzut.

– Ależ, panie Oppenheimer!

– Tak? – Odwrócił się do niej ze zdziwieniem.

– Ale… pana gwiazda! Gdzie pan zostawił gwiazdę?

W pierwszej chwili nie załapał, o co jej chodzi. Dopiero kiedy powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem, zauważył brak gwiazdy Dawida na płaszczu. Ostatnio przestał zadawać sobie trud przyszywania jej co dnia.

– Och, to głupie nieporozumienie – skłamał. – Ja… właśnie odebrałem płaszcz z pralni. Całkiem zapomniałem przyszyć gwiazdę.

Schlesingerowa popatrzyła na zabrudzony płaszcz i skrzywiła się znacząco.

– No to miał pan szczęście, że pana nie zwinęli. Nie wiem wprawdzie, na co to panu, ale lepiej, żeby tacy jak my przestrzegali nakazu. Inaczej same z tego kłopoty. Niech pan nosi swą gwiazdę z dumą, panie Oppenheimer. Z dumą.

Przyszył gwiazdę, żeby ułaskawić sąsiadkę, choć najchętniej kazałby jej się wynosić.

Tym razem nie było alarmu wstępnego, o dziewiątej nagle zawyły syreny. Oppenheimer siedział w bocznym wózku motocykla, z karkołomną prędkością wieziony Kronprinzenallee.

Wycie, które usłyszał mimo głośnego warkotu silnika, było jednoznaczne.

– Pełen alarm – wyszeptał.

To mogło oznaczać tylko jedno: że nie wiadomo skąd pojawiły się bombowce, zmierzające prosto na Berlin.

Spojrzał na kierowcę. On też już wiedział. Do osiedla funkcjonariuszy pozostał im niecały kilometr. Hoffmann zacisnął usta i dodał gazu.

Oppenheimer sądził, że Hoffmann i tak jechał już z maksymalną prędkością, ale okazało się, że bardzo się mylił. Przyśpieszenie wcisnęło go w fotel. Hoffmann w sportowym stylu omijał góry gruzu, zwalone tu i tam na jezdnię. Za to dziury w nawierzchni dużo trudniej było dojrzeć z daleka, zwłaszcza z perspektywy pasażera. Oppenheimer dopiero wtedy dowiadywał się, że zbliżają się do krateru, gdy Hoffmann szarpał gwałtownie za kierownicę i jechał zygzakiem, nie zmniejszając tempa. Zastanawiał się, czy nie bezpieczniej byłoby po prostu zaufać Bogu i gdzieś na skraju drogi zaczekać na grad bomb, zamiast będąc zdany na łaskę wyścigowych talentów Hoffmanna, siedzieć jak na wyrzutni rakiet.

W ostatnich dniach stolicy dopisało szczęście. Po tym, jak odwetowa broń V Hitlera uderzyła w Londyn, berlińczycy czekali na wielkie kontrnatarcie Brytyjczyków. Wprawdzie co jakiś czas rozlegał się alarm, ale atak nie nastąpił. Dla Oppenheimera te ciągłe alarmy stanowiły raczej uciążliwość niż prawdziwe zagrożenie. Poza tym był tak bardzo pochłonięty śledztwem, że ledwie rejestrował wycie syren.

Z wielkim trudem zdołał popatrzeć w górę. Wydało mu się, że słyszy groźny pomruk, chciał zlokalizować jego źródło. Jednak jego wzrok, wiedziony instynktem samozachowawczym, przy każdym manewrze

Hoffmanna kierował się z powrotem na jezdnię. Wreszcie wjechali na odcinek, który był w całkiem niezłym stanie.

Kiedy w końcu zdołał się odwrócić, ścierpł. Niebo było usiane czarnymi kropkami, ciągnącymi za sobą białe smugi kondensacyjne. Zmierzały prosto nad centrum miasta. Karta się odwróciła. Nie było wątpliwości, że nadchodzi wielkie odwetowe natarcie.

– Gaz do dechy, człowieku!! – wrzasnął.

Osiedle funkcjonariuszy zostało oszczędzone, mimo to Oppenheimer przeczuwał, że w mieście musiały wydarzyć się straszne rzeczy.

Spędzili w piwnicy długie godziny, czekając w niepewności na koniec nalotu. Radiotelegrafista wsłuchiwał się z napięciem w odgłosy w słuchawkach, Vogler zaś siedział na krześle z założonymi rękoma. Oppenheimerowi nie przychodziło do głowy nic sensownego. Myślał o Lisie. Co się z nią działo? Widział ją rano. Jeśli dobrze pamiętał, w tym tygodniu miała poranną zmianę. To znaczy, że gdy zaczęło się natarcie, musiała być już w pracy.

Kiedy kwadrans po pierwszej syreny odwołały alarm, przez radiotelefon nadeszła wiadomość. Radiotelegrafista podał Voglerowi słuchawki.

– Hauptsturmführer Vogler – zameldował się esesman.

Nawet Oppenheimer, siedzący po przeciwnej stronie pomieszczenia, słyszał dochodzące ze słuchawek trzaski. Ktoś na drugim końcu linii wrzeszczał na całe gardło. Wiadomość zrobiła na Voglerze piorunujące wrażenie. Pobladł, słuchając. Początkowo miał trudności z mówieniem, ale przełknął i wydobył z siebie chrapliwe „tak jest”.

Oszołomiony, zdjął słuchawki. Niekontrolowane drganie mięśni jego twarzy zdradzało, że musiało się wydarzyć coś straszliwego.

– Co się dzieje? – zapytał Oppenheimer.

Vogler nie zareagował. Z rumorem wbiegł po schodach i zawołał:

– Gdzie się podział Hoffmann i samochód?

22

środa, 21 czerwca 1944 – czwartek, 22 czerwca 1944

Świat wyglądał jak obca planeta z wrogą dla życia atmosferą i osobliwym krajobrazem. Oppenheimer po pierwszym wahaniu postanowił zaufać własnym oczom. To musiało być realne. Miał zbyt mało wyobraźni, by uroić sobie taką scenerię.

Atak był wyjątkowo brutalny. Im bliżej dzielnicy rządowej, tym robiło się ciemniej. Już wkrótce zaczęli napotykać pojazdy z włączonymi światłami, by cokolwiek rozpoznać w smogu z sadzy i pyłu. Mijali pierwsze ulice, na których paliły się elektryczne latarnie. W końcu i Hoffmann włączył światła. Robił, co mógł, aby dotrzeć do Voßstraße, ale we wszechobecnym chaosie było to niezmiernie trudne.

Całe ciągi ulic były odcięte od świata przez hałdy gruzu zbombardowanych budynków, drogę blokowały oddziały straży pożarnej, rozpaczliwie próbujące zdławić ogień pożarów; ci, którzy przeżyli, błądzili wokół bez celu albo ratowali swój dobytek. Jazda przez zrujnowane ulice przypominała bieg z przeszkodami. Kierowca wypróbowywał objazdy, ale w końcu skapitulował i kazał im wysiąść.

Oppenheimer otworzył drzwi i w twarz buchnęło mu powietrze rozgrzane ogniem. Natychmiast oblał się potem. Zdjął i przewiesił przez ramię płaszcz. Rozejrzał się wokół, rejestrując to, co niepojęte.

Słońce było mleczną tarczą przeświecającą zza czarnogranatowego dymu, spowijającego śródmieście. Choć panował nieznośny skwar, płonęły domy, a z nieba sypały się iskry; ziemię pokrywał śnieg głęboki po kostki. Nawet w pomroku zatrutego powietrza widać było, że nie jest biały. Zielonkawe płatki składały się z drobin pyłu i wapnia.

Vogler na próżno próbował się zorientować w okolicy.

– Jasna cholera – zaklął. – Hoffmann, gdzie my w ogóle jesteśmy?

– Minęliśmy kanał. Jesteśmy już chyba niedaleko. Gdzieś tam na wprost powinna być Leipziger Straße. Tam skręci pan w lewo, a potem już prosto do Kancelarii Rzeszy.

Vogler zatrzasnął drzwiczki i powiódł wzrokiem wzdłuż ulicy. Światło ulicznych latarni nie zdołało rozproszyć dymu. Parę metrów dalej droga nikła w ciemnościach.

– No to w drogę – powiedział do Oppenheimera i podążył przodem.

Już po paru minutach komisarza zaczęły piec oczy. Ciężki dym palił mu płuca. Pomyślał, że przydałyby im się teraz maski przeciwgazowe, które zdobył pod naciskiem Lisy, tyle tylko, że zostały w domu. Stąpając przez warstwy pyłu i stawiając kroki ponad pustymi ramami okiennymi, przetrząsnął kieszenie. Znalazł okulary motocyklowe, które dostał od Voglera z okazji przymusowych wycieczek w wózku pasażera. Dmuchnięciem usunął z twarzy najgorszy brud i docisnął je szczelnie.

Na ulicach roiło się od strażaków, esesmanów, przymusowych robotników i więźniów, którzy ostatkiem sił próbowali walczyć ze skutkami nalotu.

Byli też inni.

Ofiary.

Mechanicznie przemieszczały się przez piekło; ciała poparzone, ubrania w strzępach.

– Dlaczego nikt nas nie chroni? – wołała jakaś kobieta.

Przed zrujnowaną kamienicą siedzieli ci, którzy uszli z życiem, podczas gdy tuż przy nich młokosy z Hitlerjugend znosiły trupy do cynkowych wanien. W ich stronę zataczał się mężczyzna z wyschniętymi gałkami ocznymi. Oppenheimer starał się nie patrzeć, ale wokół było zbyt wiele grozy, by jej nie widzieć. Gdziekolwiek spojrzał, dostrzegał nowe szczegóły, każdy z nich bardziej przerażający. Matka pakująca do walizeczki zwęglone zwłoki dziecka; poszarpane ciało z wystającym kawałkiem kręgosłupa, którego reszta tkwiła w roztopionym asfalcie; trupy w otwartym piwnicznym bunkrze, ugotowane wrzątkiem z bojlera; zasłony ognia powiewające w pustych otworach okien; upieczone ludzkie ciała z brązową popękaną skórą, wpatrujące się w żywych pustymi oczodołami, z ustami rozwartymi w niemym krzyku, który nie zdołał zagłuszyć huku ognia; stężałe od gorąca ścięgna wyginające kończyny; stygnące czarne

kałuże roztopionego ludzkiego tłuszczu, w których leżały trupy; smród spalonych ciał.

Przyśpieszył kroku, ale od tych doznań nie było ucieczki. Zauważył coś jeszcze. Podczas gdy niektóre kamienice stały w płomieniach, inne, choć były tuż obok, wyglądały na nienaruszone. Ulice okazały się zbyt szerokie, by ogień mógł rozprzestrzenić się w niekontrolowany sposób. Berlin trudno się palił, ale przytłaczająca ilość bomb, które spadły na miasto, nie dawała straży pożarnej ani chwili spokoju.

Nad miejskim zamkiem niebo raz po raz lizały pojedyncze języki ognia. Tam spadło najwięcej bomb. Vogler poprowadził komisarza wokół leja pełnego spienionej wody.

Nagle rozległ się wybuch.

Ulicą wstrząsnęła fala uderzeniowa, a po chwili z czarnych chmur nad ich głowami posypały się cegły. Obaj umknęli, szukając schronienia pod murem.

– Te przeklęte zapalniki czasowe! – zawołał rozwścieczony Vogler.

Nikt nie wiedział, ile bomb leży wokół, czekając na detonację, by nieść śmierć ekipom ratowniczym, strażakom, mieszkańcom.

Parę metrów dalej sterczała osmalona plątanina drutów, będąca niegdyś dziecięcym wózkiem. Oppenheimer uświadomił sobie boleśnie, że nawet przeciwnicy Hitlera byli gotowi poświęcić wzniosłe ideały w imię cynicznych racji. Ich bomby nie rozróżniały nazistów i przeciwników systemu, nie mówiąc o Niemcach, których nie dało się przyporządkować do żadnej z tych kategorii. Trudno było dyskutować, czy wobec Boga wszyscy są równi, ale jeśli chodziło o bomby, nie było najmniejszych wątpliwości: niosły śmierć każdemu. Pytanie, na ile zła mogli sobie pozwolić dobrzy, kiedy zwalczali zło, dla Oppenheimera przestało już istnieć. Odpowiedzią na terror był czysty terror.

Trzy kwadranse zajęło im przedarcie się do Kancelarii Rzeszy, przed którą czekał już na nich umundurowany mężczyzna. Był komendantem gwardii przybocznej Hitlera, która miała za zadanie ochronę budynku.

– Czy to pan jest Vogler? – zawołał do nich.

– Hauptsturmführer Vogler melduje się na rozkaz! – zasalutował.

– No, wreszcie. Gdzie się pan podziewał? – niecierpliwił się komendant.

– Mieliśmy trudności z dotarciem – odparł Vogler.

W odpowiedzi tamten zaśmiał się chrapliwie.

– Ach, co pan powie! No to gazu, trzeba sprzątnąć to jak najprędzej!

Nowa Kancelaria Rzeszy zajmowała kilka budynków, ciągnących się wzdłuż północnej strony Voßstraße. Między kancelarią Führera a właściwą Kancelarią Rzeszy mieścił się średniej wielkości budynek, nieco cofnięty od ulicy. Podwórze tej budowli oddzielała od chodnika niewysoka kamienna balustrada. Komendant poprowadził ich do zachodniego przejścia. Na środku dziedzińca leżała płachta, której pilnowało dwóch żołnierzy gwardii przybocznej. Była prawie kwadratowa, miała rozmiar może półtora metra na półtora, w każdym razie zbyt mało, by pod spodem mogło się skrywać ludzkie ciało.

Komendant odsłonił plandekę i Oppenheimer z niedowierzaniem zerwał z twarzy motocyklowe okulary. Ciało nie tylko zostało spalone, lecz także uległo przeformowaniu i scaleniu, by tu, w samym sercu dzielnicy rządowej, połączyć się w nowy cudaczny kształt. Nie umiał znaleźć innego wytłumaczenia.

U jego stóp leżała swastyka, ale nie była to zerwana flaga ze znakiem nabazgranym farbą. Dobrze znany symbol narodowego socjalizmu został wykonany z dziwnego materiału: kości, ścięgien i mięśni. Swastyka uformowana z ludzkich kończyn.

– Całe szczęście, że Führer przebywa w Berchtesgaden – mruknął komendant. – Bierzcie się do roboty, żebyśmy mogli uprzątnąć ten szajs.

Morderca udrapował na ziemi czworo ramion. Dwoje z nich uległo już dość zaawansowanemu rozkładowi. Oppenheimer wiedział, że to ręce prostytutki z Salonu Kitty. Pozostałe bez najmniejszych wątpliwości należały do Traudel Herrmann.

– Odciski palców? – Komisarz odzyskał głos.

– Już załatwione – pośpieszył z odpowiedzią komendant. – Zdjęcia też już mamy. Czy panowie życzą sobie coś jeszcze?

Oppenheimer potrząsnął głową.

– Nie, to wszystko.

– Serdeczne dzięki – odparł z sarkazmem komendant.

Skinieniem głowy polecił podkomendnym usunąć szczątki. Oppenheimer wrócił na chodnik i oparł się o kamienny słupek. Choć tej nocy dobrze spał, poczuł się nagle bezgranicznie zmęczony. Wyłowił z fiolki tabletkę pervitinu, połknął ją i pogrążył się w rozmyślaniach.

Morderca zdołał sprawić coś, co zdarzało się niezmiernie rzadko. Udało mu się wprawić go w szok. Po śledztwie w sprawie Großmanna sądził, że nic już nie zdoła nim wstrząsnąć, ale dziś to przeświadczenie okazało się iluzją.

Przynajmniej wyjaśniła się zagadka, co sprawca zrobił z odciętymi ramionami dwóch ostatnich ofiar. Nie napisał zwykłego listu z apelem do przywódców NSDAP, tylko przygotował niespodziankę mającą w sposób zrozumiały dla każdego zademonstrować, że jest zwolennikiem partii.

Komisarz zastanawiał się, dokąd to wszystko zaprowadzi. Przez chwilę stał nieruchomo z zamkniętymi oczami, oparty o słupek.

Otworzył oczy i drgnął, nagle zaalarmowany. Wydało mu się, że po przeciwległej stronie ulicy coś dostrzegł.

W kripo obowiązywała stara zasada, że przestępca zawsze powraca na miejsce zbrodni. Hilde często się z tego naśmiewała, ale on wiedział, że takie są fakty. Różne były przyczyny takiego zachowania. Niektórzy przestępcy chcieli się upewnić, że zatarli wszystkie ślady, inni napawali się spektaklem urządzanym przez policję i czuli się utwierdzeni w swej przewadze. Oppenheimer wiedział, że ich morderca łaknie potwierdzenia, jego listy unaoczniały to nader wyraźnie. Tym razem podjął maksymalne ryzyko, podrzucił szczątki tuż pod nos gwardzistów, zaledwie parę metrów dalej strzegących wejścia do kancelarii Hitlera. A wszystko to podczas ciężkiego bombardowania, które w perfidny sposób zadziałało na jego korzyść, bowiem podczas gdy zwykle aż roi się tu od partyjnych dygnitarzy, w czasie nalotu wszyscy schronili się w bunkrze. Dzięki temu zabójca, niezauważony przez nikogo, mógł zrealizować swój plan. Mimo wszystko komisarz nie spodziewał się, że sprawca zaryzykuje obserwację miejsca zbrodni. Kiedy otworzył oczy, zajrzał w twarz bestii.

Naprzeciwko Kancelarii Rzeszy paru przechodniów zerkało ciekawie, co się dzieje na podwórzu. Nie przystawali, odstraszani obecnością gwardzistów. Jednak nieco dalej w stronę Wilhelmstraße, przed siedzibą Niemieckich Kolei Państwowych, ktoś stał i wpatrywał się w Oppenheimera. Przechodnie wokół pośpiesznie zdążali przed siebie, ale ten człowiek, z rękoma w kieszeniach skórzanego płaszcza i w kapeluszu nasuniętym na czoło, wyglądał, jakby zupełnie nie przejmował się upływem czasu. To nie jego bezruch przyciągnął jednak uwagę Oppenheimera. Wpatrzony w niego mężczyzna uśmiechał się szyderczo, co dopuszczało

tylko jeden wniosek: on dobrze wie, co się tu dzieje, jakiego przerażającego odkrycia tu dokonano.

Zalała go fala energii.

– *Herr Hauptsturmführer?* – zawołał.

Ale Voglera nie było. Kiedy z powrotem powędrował spojrzeniem na drugą stronę ulicy, mężczyzna zniknął. Zbytnio skupił się na szyderczym uśmieszku, by dokładnie zapamiętać twarz. Nie mógł pozwolić mu umknąć. Pośpiesznie przeszedł przez ulicę. Obcy musiał pójść w stronę Wilhelmstraße. I rzeczywiście, mężczyzna oddalał się szybkim krokiem w odległości jakichś dwustu metrów. Płaszcz przewieszony przez ramię przeszkadzał w pościgu, więc komisarz prędko założył go na siebie.

Mężczyzna zauważył, że ktoś za nim idzie, ale nie przyśpieszył. Przeszedł przez ulicę, zszedł po schodach do stacji metra Kaiserhof i skierował się ku Mauerstraße. Poruszał się w dziwny sposób – utykał, a mimo to nie miał trudności z szybkim chodem.

Mijając Zietenplatz, Oppenheimer usiłował skrócić dystans, ale wszechobecne leje po bombach nie ułatwiały pościgu. Zaklął w duchu i potykając się, minął zrujnowany hotel Kaiserhof. Z hałd gruzu sterczały niczym osobliwe narośle powyginane stalowe wsporniki.

Rozległ się gruchot cegieł.

– Ostrożnie!

Murowana ściana po prawej stronie wybrzuszyła się i runęła.

– Patrz pan, gdzie leziesz! – nakrzyczała na niego z kłębów pyłu stara kobieta z twarzą pooraną bruzdami.

Oppenheimer skinął jej głową. Nie miał czasu na odpowiedź, ścigany mężczyzna nie czekał. Kiedy komisarz powrócił wzrokiem ku Mauerstraße, zdążył zauważyć, jak tamten znika za załomem.

Puścił się biegiem. Gdy dotarł do rogu, mężczyzna wykonał kolejny unik i ruszył skosem ku ruinom kościoła Świętej Trójcy. Kopuła świątyni została doszczętnie zmieciona przez bombę, w niebo sterczały puste oczodoły okien. Oppenheimer okrążył barokową nawę i w ostatniej sekundzie dostrzegł, jak tamten skręca w Kronenstraße.

Nie zwracał już uwagi na otoczenie. Ignorował robotników ze Wschodu wymachujących łopatami i trąbiące wozy straży pożarnej. Pędził ulicą, wymijając przeszkody – ludzi i materiały budowlane. Czuł, że jest blisko rozwiązania sprawy. Nie mógł zmarnować tej okazji.

Ścigany musiał przedrzeć się przez Friedrichstraße. Była to jedna z głównych arterii miasta i miała stosowną szerokość, przez co trudno było się tu ukryć. Zbieg próbował się ratować, szybszym krokiem przemierzając skrzyżowanie z Leipziger Straße. Oppenheimerowi zaschło w ustach. Kurz i popiół paliły płuca. Oczy zaczęły łzawić, bo w pośpiechu zapomniał założyć okulary.

Rzężąc, przedarł się przez Leipziger Straße. Zaczynał tracić siły. Czuł, że nie da rady długo utrzymać tego tempa.

Uciekinier zagłębił się w kwartał o ciaśniejszej zabudowie. Komisarz musiał przystanąć na skrzyżowaniu, by zorientować się w okolicy. Z desperacją patrzył na prawo i lewo, zaglądając w zaułki i uliczki. Obawiał się już, że tamten umknął, kiedy zobaczył go znowu. Ścigany też opadł z sił. Ciężko dysząc, opierał się o mur, a dzielący ich dystans znacznie zmalał. Oppenheimer już miał podjąć pościg, gdy coś go powstrzymało.

Z irytacją opuścił wzrok. Obok stał smarkacz w mundurze Hitlerjugend. Miał może z metr pięćdziesiąt wzrostu i napominającym gestem wyciągał ku niemu łopatę.

– Hej, Żydzie! – krzyknął.

Oppenheimer zadrżał. Po czym go poznał? W tym momencie uświadomił sobie, że po wizycie starej Schlesingerowej zapomniał odpruć gwiazdę Dawida. Gonił przez Berlin z żółtą odznaką na rękawie.

– Bierz się do pomocy, gruz odgarniać! – rozkazał smarkacz, nie popuszczając.

Oppenheimer miał ważniejsze rzeczy na głowie niż odgruzowywanie ulicy.

Człowiek w skórzanym płaszczu zauważył go już i znowu puścił się biegiem, z ciężkim sapaniem oddalając się coraz bardziej. Komisarz chciał się wyrwać, ale młodociany hitlerowiec uczepił się jego płaszcza.

– Nie słyszysz, Żydzie? – wykrzykiwał chłopięcym sopranem.

Oppenheimer zrobił to, co jego zdaniem już dawno powinni zrobić rodzice chłopca. Bez słowa wymierzył mu policzek.

Zobaczył tylko, jak smarkacz gapi się na niego z rozdziawioną buzią, po czym podjął pościg za mordercą. Kiedy dobiegł do następnego skrzyżowania, gdzie właśnie zniknął ścigany, usłyszał za sobą niewyraźne wołania, ale nie zwrócił na nie uwagi. Dotarł do najbliższego węgła i przystanął. Mężczyzna zniknął.

Popatrzył na lewo, lecz uliczka była pusta. W tej po prawej też nikogo nie było. Myślał gorączkowo. Tamten nie mógł odbiec daleko. Wprawdzie ciągi ulic były tu dość krótkie, ale wydawało się niemożliwe, by dotarł do kolejnej przecznicy. Mimo to zniknął, jakby zapadł się pod ziemię. Oppenheimer stanął przed zagadką. Ścigany musiał przebiec przez zgliszcza na skraju ulicy.

Już miał ruszyć dalej, kiedy jego wzrok padł na otwarte drzwi domu. Możliwe, że mężczyzna wbiegł do środka: może chciał się ukryć, a może szukał tylnego wyjścia. Część kamienicy była zrujnowana, ale jej druga połowa wyglądała na zamieszkaną.

Uchylił szeroko drzwi i wszedł do budynku. W półmroku niewyraźnie rozpoznał poręcz barierki. Starał się uspokoić oddech i wytężył słuch. Początkowo słyszał tylko pulsowanie własnej krwi. Wokół panowała cisza. Wszystko trwało w bezruchu. Lecz nie do końca.

Nasłuchiwał. Jakiś dźwięk dochodził z wyższego piętra. Ktoś tam musiał być. I czekał. Liczył, że nie zostanie odkryty. A może chciał zostać odkryty? Czyżby zamierzał zwabić prześladowcę w pułapkę, aby zlikwidować go niezauważenie?

Komisarz zaczął ostrożnie skradać się po schodach w górę. Poruszał się cicho, próbował unikać gwałtownych ruchów, ale drewniane stopnie skrzypiały pod jego stopami.

Miał wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim dotarł do pierwszego podestu. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu, mięśnie były napięte. Zatrzymał się i wpatrywał w półmrok.

Pusto. Tylko para drzwi i wejście na schody na następne piętro. Stanął przy barierce i nasłuchiwał dźwięków z góry. Skąd dobiegał tamten odgłos? Z najbliższego piętra czy z jeszcze wyższego? Przymknął oczy i skupił się na ciszy, próbując złowić dźwięki z samej góry. To był błąd.

Jedne drzwi otwarły się z głośnym rumorem. Na klatkę schodową wtargnęło światło dnia. Oppenheimer obrócił się gwałtownie – za późno. Czyjaś ręka otoczyła mu szyję, druga przechyliła jego tułów przez barierkę. Bezradnie próbował wyrwać się z uścisku, sięgając ku nadgarstkom napastnika. Kiedy ujrzał jego twarz, doznał szoku.

Oblicze nie przypominało ludzkiego. Z odległości zaledwie paru centymetrów spoglądała na niego para owadzich oczu. W miejscu ust sterczał z głowy szlauch. Istota wyglądała tak groteskowo, jakby żywcem

wyjęto ją z koszmarnego snu. Oddychała świszcząco, urywanie. W tym momencie Oppenheimer zrozumiał. Ten człowiek miał na twarzy maskę przeciwgazową. Kiedy to do niego dotarło, zmienił taktykę, puścił nadgarstki napastnika i chwycił jedną ręką dolną część maski, drugą próbując dosięgnąć rzemyka na głowie. Desperacko szarpał, starając się ją przesunąć i zasłonić przeciwnikowi widoczność.

Nagle mężczyzna puścił. Oppenheimer nie zdążył zareagować, bo tamten błyskawicznym ruchem chwycił go za nogi i podniósł. Komisarz zawisł w powietrzu.

Panicznie wyrzucił ręce do tyłu, broniąc się przed zrzuceniem w dół. Wyczuł coś twardego i instynktownie zacisnął dłonie. Przelatując nad barierką, uchwycił się poręczy.

Zawisł nad przepaścią. Rozpętała się zaciekła szamotanina. Mężczyzna w masce usiłował oderwać od poręczy jego kurczowo zaciśnięte dłonie. Oppenheimer nie wiedział, ile metrów ma pod sobą, jak długo by spadał, zanim uderzy o podłoże. Wyciągnął prawą rękę, chwycił napastnika za ubranie, ale barierka utrudniała mu przyciągnięcie go do siebie. Może zdoła pozbawić go równowagi. Jeśli tamten nie puści, obaj runą w dół. Był gotów na ostateczność – jeśli tamten miał zwyciężyć, zapłaci za to wysoką cenę.

W całej tej szarpaninie nie usłyszał przenikliwego krzyku dobiegającego z dołu. Poczuł, jak przeciwnik ustępuje, wycofuje się do mieszkania i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Na schodach zatupotały kroki kilku osób, ale Oppenheimer nie zwracał na nie uwagi. Ostatkiem sił wciągnął się przez barierkę i wreszcie poczuł grunt pod stopami. Nie było czasu na ulgę. Jednym susem dopadł do drzwi, w których zniknął mężczyzna, i niewiele brakowało, a przeoczyłby przepaść, nad którą stanął.

Znalazł się w mieszkaniu, a właściwie w czymś, co było jego żałosną pozostałością. W twarz uderzył go podmuch wiatru. Dziurawa fasada niedyskretnie odsłaniała widok na pasiaste tapety. Z pomieszczenia pozostał jedynie wąski gzyms, na którego skraju stał w kącie zapomniany fotel. Resztę zniszczyła eksplozja bomby.

Oppenheimer wyjrzał ostrożnie za kruszącą się krawędź. Uciekinier był na dole. Mężczyzna, zwieszając się na rękach, powoli zsuwał się po strzaskanej fasadzie. Komisarz wiedział, że schodami będzie na dole

szybciej od niego. Okręcił się na pięcie i już był z powrotem na podeście, kiedy wpadł w grupkę wyrostków.

– To ten Żyd! – zawołał spotkany przed chwilą chłopak, wskazując na niego.

Chwyciły go czyjeś ręce. Desperacko próbował się wyrwać, ale opór wobec tej zgrai mijał się z celem. Byli jednakowo ubrani: przez ich piersi przechodziły wąskie skórzane koalicyjki, szyje zostały ozdobione przez spięte klamrami chusty, na pagonach widniały naszywki – Oppenheimer napatoczył się na hordę członków Hitlerjugend.

– To on mnie uderzył i uciekł! – oburzał się chłopak. – Nie możemy pozwolić, żeby Żyd traktował nas w ten sposób!

Wyrostki zapałały gniewem.

– Heini, ale czego on tu szuka? – zapytał jeden.

– To na pewno szpieg – odpalił natychmiast mały hitlerowiec, którego Oppenheimer spoliczkował. – Przekazuje Anglikom współrzędne i tak dalej.

Rozległy się wrogie okrzyki. Komisarz był uwięziony. Czuł, że sytuacja wymyka się spod kontroli.

– Porozmawiajcie z Hauptsturmführerem SS Voglerem – próbował ich ułagodzić. – On wam wszystko wyjaśni.

– To na pewno jakaś sztuczka – odezwał się trzynastoletni na oko chłystek. – SS już dawno by takiego zamknęła.

Oppenheimer poczuł ogarniającą go rozpacz.

– Nic nie rozumiecie, pracuję dla Hauptsturmführera Voglera. Na ulicach grasuje morderca. Wymknie się, jeśli mnie nie puścicie.

Piegowaty chłopak o imieniu Heini uśmiechnął się szyderczo.

– Taki jak ty na pewno nie pracuje dla SS – oznajmił kategorycznie. Wpatrywał się w Oppenheimera pałającym wrogo wzrokiem. Podetknął komisarzowi pod nos wyjęty z kieszeni przedmiot. Był to kordzik, z rodzaju tych, jakie nosiły przy sobie wszystkie chłopaki z Hitlerjugend. – Nie wywiniesz się nam. Choćbyś nie wiem jak błagał o litość. – Przycisnął Oppenheimera do ściany i zwrócił się do towarzyszy: – To jak, co z nim robimy?

– Zasłużył na kulkę w łeb – zawołał jeden.

– Powiesić go! – wtrącił inny.

– Ale Jürgen, nie możemy go tak po prostu zabić – sprzeciwił się wątły chłopak.

– A czemu nie?

Odpowiedź wyraźnie nie spodobała się chudzielcowi. Niezadowolony wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł w końcu z westchnieniem.

Ostrze kordzika niebezpiecznie zbliżyło się do szyi Oppenheimera. Błysk w oku chłopaka zdradzał, że Heini jest w pełni świadom swej władzy. Komisarz rozpoznał w nim sadystyczną iskrę. Przed oczami miał jego rozchylone, wykrzywione grymasem usta.

– Słyszałeś, trzeba cię ukarać – wysyczał Heini. I rozkazał: – Na dół z nim. Niedaleko jest latarnia.

– Nie możecie tego zrobić! – zaprotestował Oppenheimer.

Na próżno. Wzięli go w środek i z rumorem zbiegli po schodach. Nie wiedział, co począć.

Stanęli na chodniku. Dwaj chłopcy wykręcili mu ręce do tyłu i trzymali go mocno, podczas gdy Heini, wymachując nożem, przechadzał się przed nim jak paw.

– Ma ktoś sznur?

– A niby skąd?

– Przecież ojciec Detlefa ma sklep z pasmanterią!

Heini rozważał przez chwilę tę możliwość.

– Nie ma co – zadecydował w końcu. – To za długo potrwa. Możemy go zadźgać.

– Nie możemy go przecież zabić – odezwał się znowu chudzielec, chrząkając.

Heini z irytacją zamknął oczy. Potem wcisnął koledze nóż do ręki.

– Dobrze więc. Ty to zrobisz, Götz. To rozkaz.

Götz z przerażeniem popatrzył na Heiniego, a potem na trzymany w ręku kordzik. Oddychał ciężko, potrząsając głową.

– Nie mogę – wyksztusił zdławionym głosem.

Chłopcy stali w ciszy. Heini wyprostował się przed Götzem.

– Chyba nie tchórzysz?

– Ale tak po prostu… człowieka… – zaczął tamten.

– To nie jest człowiek – przerwał mu Heini. – To jest Żyd.

Götz powoli uniósł kordzik. Ręka mu drżała. Na jego twarzy malowały się wątpliwości, lecz nie ośmielił się sprzeciwić. Wszyscy na niego patrzyli.

– No już, a może jesteś tchórzem? – wyszeptał Heini.

Götz utkwił nieruchomy wzrok w Oppenheimerze. Potem z wahaniem postąpił krok naprzód, i jeszcze jeden. Był już tylko parę centymetrów od niego. Zgiął rękę.

Komisarz w pierwszym odruchu chciał wołać o pomoc. Był jednak pewien, że nikt nie przyjdzie mu z odsieczą. Napiął mięśnie ramion, ale sztubacy trzymali go z całych sił.

Götz był już tak blisko, że Oppenheimer słyszał jego oddech. Do oczu chłopca napłynęły łzy.

– Przecież widzisz, co wyrabiają nasi wrogowie – szeptał Heini. – To on jest temu winien.

Nagle Götz zacisnął z determinacją usta. Z jego oczu zniknęło współczucie. Zamachnął się. Oppenheimer wiedział, że chłopak jest gotów zadać śmiertelny cios.

– Stać! – dobiegło ich wołanie.

Głos był niski, dorosły.

Götz znieruchomiał i się odwrócił. Oppenheimer podniósł wzrok.

– Dobra robota, chłopaki! – To był Vogler. – Właśnie go szukaliśmy. Przejmuję nad nim nadzór.

Młodociani hitlerowcy zasalutowali. Tylko Götz wciąż stał przed Oppenheimerem z kordzikiem w dłoni. Opuścił rękę, jego ciało się rozluźniło. Nie widać było po nim ulgi, tylko konsternację. Niepewnie wzruszył ramionami i oddał kordzik Heiniemu. Potem i on zasalutował.

– Bardzo mi pomogliście – pochwalił Vogler. – Złożę wniosek o przyznanie wam nagrody.

Chłopaki z Hitlerjugend rozpromieniły się z dumą.

– Widział pan jego twarz? – dopytywał się Vogler.

Znajdowali się w pokoju konferencyjnym w Kancelarii Rzeszy.

– Tylko przez moment – odparł Oppenheimer. – Nie potrafię go opisać. Widziałem tylko jego oczy i zaraz potem zniknął. Kiedy mnie zaatakował, miał na twarzy maskę gazową.

– Maskę gazową? – zdumiał się Vogler.

– Tak, starszy model. Stosowano takie w czasie pierwszej wojny. Właściwie nie nadają się do niczego. Dziś już i tak nie dostanie się do nich odpowiednich filtrów.

– Po co mu ona? Dlaczego nosi maskę, która nie działa?

– Nie mam pojęcia. Może tylko chciał zasłonić twarz. Albo ma ona dla niego jakąś wartość sentymentalną. Ustaliliśmy przecież, że musi istnieć powiązanie z pierwszą wojną. Te cholerne gnojki! Już go prawie miałem! – Oppenheimer wciąż gotował się ze złości.

A smarkacze z Hitlerjugend jeszcze dostały pochwałę. Choć szanse na znalezienie podejrzanego były niemal zerowe, Vogler natychmiast wszczął poszukiwania.

Oppenheimerowi nie mógł wyjść z głowy obraz Heiniego, paradującego tam i z powrotem z nożem w ręku. Zastanawiał się, jak duże jest podobieństwo między Voglerem a tym chłopakiem. To było ciekawe pytanie: czy dzisiejsza młodzież naśladowała dorosłych, czy też było dokładnie odwrotnie, to dorośli zachowywali się jak dzieci.

Czuł się wyczerpany i na resztę dnia wziął wolne. Vogler się nie sprzeciwił; musiał jeszcze przesłuchać pracowników Kancelarii i nadzorować poszukiwania zbiega. Zapewne zdawał sobie sprawę, że Oppenheimer na niewiele mu się już dziś przyda. Poza tym prawdopodobieństwo, że ktoś zaobserwował, jak sprawca układa swastykę, było znikome.

Komisarz wstał, by udać się do domu, ale Vogler zatrzymał go na moment.

– Niech pan zaczeka – powiedział. Jednym ruchem oderwał gwiazdę Dawida od jego płaszcza. – Lepiej będzie, jak to skonfiskuję.

Oppenheimer pokiwał głową.

– Taaa, żywy zdam się na więcej – zauważył cierpko.

Skierował się w stronę Levetzowstraße, ale ostatecznie zmienił plany i postanowił odwiedzić Billhardta. Musiał wyciągnąć od niego nazwisko człowieka z SA, pal sześć zmęczenie. Był zdeterminowany tak długo wiercić mu dziurę w brzuchu, aż kolega mu je wyjawi. Poza tym nadarzała się doskonała okazja. W całym tym zamieszaniu było raczej mało prawdopodobne, aby ktoś go śledził.

– Powiedz im, że to wiadomość od Schillera. Nazwisko podejrzanego to Johannes Lutzow. Dochodzenie prowadzono we wrześniu 1932. Potrzebuję wszelkich akt, jakie da się znaleźć. Lüttke jest poinformowany.

Hilde zanotowała wiadomość.

– Johannes Lutzow, dobrze – mruknęła. – Czy Billhardt od razu dał ci to nazwisko?

Oppenheimer się skrzywił.

– Dość trudno było to z niego wyciągnąć. Słuchaj, nie masz może sznapsa czy czegoś w tym rodzaju?

Spojrzała na niego zdumiona.

– Że też tego dożyłam…!

– Nie masz pojęcia, co to był za tydzień.

– Co takiego się stało?

– Najpierw sznaps – zażądał.

Po trzech głębszych opowiedział o kolejnym morderstwie i znalezieniu swastyki ze szczątków przed Kancelarią Rzeszy.

– Nie podoba mi się to – zauważyła Hilde z niepokojem. – Sytuacja eskaluje. Odstępy między zbrodniami stają się coraz krótsze. On wyraźnie jest pod presją. Jednocześnie podejmuje coraz większe ryzyko. To, co dziś zrobił, to kompletna brawura. Musi wierzyć, że ma nad wami ogromną przewagę.

– Właśnie to działa na naszą korzyść – odparł. – On się w końcu zdradzi. Dziś, pojawiając się tam, popełnił poważny błąd.

– Oczywiście, to pewien plus. Tylko zastanawiam się, jaką cenę będziemy musieli jeszcze zapłacić, zanim zostanie schwytany. Nie chodzi mi o tę głupią krowę, którą ukatrupił jako ostatnią. Niepokoi mnie to, że on teraz już wie, kto go ściga. To może być dla ciebie bardzo niebezpieczne.

– Niech no tylko się pojawi. Nie mogę się doczekać, aż go dorwę w swoje ręce. Sztubacy z Hitlerjugend są znacznie bardziej niepokojący. – Zamyślił się. – Skąd ta ich nienawiść? To przecież dzieci, na litość boską.

– Ta nienawiść była od zawsze. To nic niezwykłego u młodych chłopaków, oni lubią się buntować, próbują każdej, nawet najgłupszej rzeczy. Nie mam pojęcia, dlaczego tak jest. Niektórzy pewnie tylko tak mogą umocnić poczucie własnej wartości. Hitler wykorzystał tę nienawiść do własnych celów. W tym tkwi cała perfidia.

– Zastanawiam się, co będzie z tymi dziećmi, kiedy skończy się wojna.

– To pokolenie jest stracone – powiedziała Hilde i wychyliła kieliszek czystej. – Ich formowano od małego. Wpajano im teorię rasy, antysemityzm, cały ten brud.

– Jeśli zostali tak uwarunkowani, powinno być możliwe odwrócenie tego procesu.

– Może i tak. Ale rzeczywistość to coś innego niż laboratorium. Oni już się z tego nie otrząsną. Obawiam się, że szkoda, jaką ci kryminaliści wyrządzili dzieciom, jest nie do naprawienia.

Oppenheimer powrócił myślami do młodocianego Götza, do wątpliwości w jego oczach. Nie był taki pewien, czy tym razem Hilde ma rację.

Kolejne popołudnie przyniosło druzgocącą wiadomość.

– Kurza jego parszywa mać!! – wrzasnął Oppenheimer i cisnął przez pokój pierwszy z brzegu skoroszyt. – Co to znaczy „żaden z podejrzanych nigdy nie mieszkał w Köpenick”? Musiał mieszkać. Nie mogę się mylić! Inaczej ta ostatnia zbrodnia nie ma najmniejszego sensu!

Vogler siedział na sofie i bez komentarza przyglądał się wybuchowi komisarza. Coś w jego wzroku zdradzało, jak bardzo jest rozczarowany. Wskazał ręką na karteluszkowy bałagan Oppenheimera.

– Prześwietliliśmy wszystkie osoby znajdujące się na tablicy. Jeśli pana przypuszczenia są słuszne, to sprawcą nie jest żadna z nich.

Komisarz wziął głęboki oddech i z namysłem przeczesał palcami włosy.

– No dobrze. Podejdźmy do tego w inny sposób. Skupmy się na tym, co mamy. Wczoraj w biały dzień morderca spokojnie umieścił w centrum miasta cztery fragmenty ludzkich zwłok. Jak się tam dostał? Dlaczego nikomu nie rzucił się w oczy?

– Pracownicy Kancelarii byli już w bunkrze – wyjaśnił Vogler. – W czasie nalotu gwardia przyboczna pilnuje głównego wejścia od wewnątrz. Później, po odwołaniu alarmu, wszyscy powrócili na posterunki. Szczątki zauważył sekretarz wyglądający przez okno. Cztery odcięte ramiona zajmują stosunkowo niewiele miejsca, mogły zostać umieszczone w walizce. To nie rzucałoby się w oczy.

– Mógłby go zdradzić jedynie zapach rozkładu – podjął wątek Oppenheimer. – Dwie ręce zostały odcięte tydzień temu. Sądząc po ich stanie, nie były przechowywane w chłodni. To znaczy, że morderca nie mógł przyjechać pociągiem ani autobusem. Ktoś mógłby poczuć fetor.

– A zatem przyszedł pieszo albo dysponował jakimś środkiem transportu.

– Środek transportu – wymamrotał Oppenheimer. Przeszedł parę kroków po dywanie ze wzrokiem wbitym w ziemię i z rękoma założonymi na piersi. – Sprawca ma furgonetkę, to już wiemy. Nie ma ich w Berlinie zbyt wiele, większość przerzucono na front. To powinno nam pomóc. Czy mamy już odlew bieżnika?

– Na wszelki wypadek kazałem wykonać dodatkową kopię. Jeśli potrzebuje pan swojego egzemplarza, możemy odebrać go z prezydium. To samo dotyczy odcisku buta.

Oppenheimer się zamyślił. Nocny stróż stadionu zeznał, że nad skrzynią ładunkową furgonetki była rozpięta plandeka. Komisarz widział już gdzieś podobny furgon. Obraz mignął mu przed oczami jak błyskawica. Salon Kitty. Napoje. Furgonetka dostawcza. Kierowca, który wyładowywał skrzynki napojów wyskokowych. Oczywiście. To może być jakieś powiązanie, przynajmniej między hotelem Adlon a domem uciech Kitty. Oba lokale zaopatrywano w napoje alkoholowe. W składzie Höcker & Söhne na podwórzu stało kilka takich furgonów.

– Niech pan powiadomi Hoffmanna. Musimy natychmiast udać się do prezydium. Potrzebuję pilnie tego odlewu. To jedyny pewny trop, który mamy. Przyjrzę się pojazdom w składzie Höckera.

Zerknął na zegarek. Była piąta. Höcker zamyka za godzinę. Nie wątpił ani przez chwilę, że Hoffmann zdąży na czas. Na wszelki wypadek zadzwonił do składu, aby zapowiedzieć swoją wizytę. Odebrała panna Behringer.

– Mówi komisarz Oppenheimer. Chciałbym zaraz zajrzeć do państwa, żeby wyjaśnić kilka szczegółów. To nie potrwa długo. Będę najpóźniej o siódmej, choć prawdopodobnie zdążę przed szóstą. Czy da się to załatwić?

W słuchawce rozległ się odgłos, który zinterpretował jako ciche westchnienie. Panna Behringer wyraźnie nie była zachwycona. Mimo to zachowała uprzejmość.

– Domyślam się, że to pilne?

– Mamy pewien trop. Im prędzej go sprawdzimy, tym lepiej.

Zawahała się chwilę.

– Będę czekać w biurze do siódmej, panie komisarzu.

Oppenheimer podszedł do wieszaka i włożył płaszcz. Nie miał chwili do stracenia.

– Gdzie jest Hoffmann?! – wrzasnął w kierunku piwnicy.

Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi wyjściowe.

Nagle usłyszał metaliczny szczęk odbezpieczanej broni. Za późno, drzwi były już otwarte. Zobaczył wymierzone w siebie dwie lufy karabinów.

Instynktownie cofnął się o krok. Obaj esesmani postąpili do przodu, z rutynową precyzją nie spuszczając go z celownika. Za nimi wyrósł mężczyzna w cywilu. To on wydawał rozkazy. W jego ręku coś błysnęło: okazał metalową odznakę. Oppenheimer nie musiał czytać napisu, by wiedzieć, że widnieją na niej słowa „GEHEIME STAATSPOLIZEI” i wybity poniżej numer. Człowiek z Gestapo. Chciał zastosować wobec niego areszt prewencyjny? Wysłać go do obozu koncentracyjnego?

– Pan Oppenheimer?

Komisarz przełknął ślinę i skinął głową.

– Co tam się dzieje? – zawołał Vogler, wbiegając po schodach na górę. Na widok esesmanów stuknął obcasami i zasalutował. – Hauptsturmführer Vogler!

Gestapowiec powiódł wzrokiem między nimi. Oppenheimer nie był pewien, czy rzeczywiście na jego twarzy przez krótką chwilę pojawiło się coś w rodzaju rozbawienia.

– Pójdziecie ze mną, obaj – padł rozkaz.

Nie było sensu się sprzeciwiać.

23

czwartek, 22 czerwca 1944 – piątek, 23 czerwca 1944

Oppenheimer z niepokojem wpatrywał się w gołą ścianę z cegły. Czekali już od dwóch godzin. Vogler siedział bezradnie na krześle i gapił się markotnie w przestrzeń. Jeśli tym czekaniem chciano ich zastraszyć, to osiągnięto cel.

Przynajmniej wiedział, dokąd ich przywieźli. Tyle że wcale nie był przez to spokojniejszy. W czasie jazdy czarną limuzyną niewiele widział, bo na szyby opuszczono osłony. Ale kiedy wysiedli, okolica wydała mu się znajoma. Zaledwie wczoraj parę metrów dalej oglądali szczątki. Znajdowali się w dzielnicy rządowej. Po przeciwległej stronie ulicy mieściła się zbombardowana stara Kancelaria Rzeszy; byli na Wilhelmstraße. Budynek, do którego ich zaprowadzono, miał ciężką szarą fasadę. Po prawej stronie wielkich drzwi we fronton była wtopiona masywna kolumna. Siedzący na jej szczycie kamienny orzeł wpijał się pazurami w swastykę. Słusznie się domyślał: przywieziono ich do Promi, Ministerstwa Propagandy.

W tych murach pociągał za sznurki minister propagandy i oświecenia publicznego Joseph Goebbels; polecał gazetom, co miały drukować, i sprawdzał aktualne kroniki filmowe, zanim kierowano je do każdej, nawet najmniejszej wioski. Stąd trząsł ogromnym propagandowym sztabem. Tu wymyślano, cenzurowano i odpowiednio przycinano wszystko, co wkładano do głów towarzyszy narodowych. Oppenheimer doskonale zdawał sobie sprawę, co to miało wspólnego z ich śledztwem.

Niespokojnie poruszył się na krześle. Zza drzwi dobiegł stłumiony odgłos kroków i do środka zajrzał młody mężczyzna z równiutkim przedziałkiem.

– Ach, tu panowie są! – powiedział i zerknął do teczki na dokumenty. Zanotował coś, zamknął teczkę i wetknął ołówek za prawe ucho. – Proszę za mną – poprosił uprzejmie i przytrzymał im drzwi.

Oppenheimer i Vogler wymienili spojrzenia.

Mężczyzna poszedł przodem. Poprowadził ich do obszernej klatki schodowej. Na każdy z kroków odpowiadały dziesiątki fantomów odbitych echem. Spartański wystrój dawał jasno do zrozumienia, że panuje tu chłodny racjonalizm. Oppenheimer nie pozostawał obojętny na ten rodzaj architektury, jednocześnie czuł, jak zamarza mu dusza. Dotarli na piętro. Młody człowiek pociągnął do siebie ciężkie drzwi, obite od wewnątrz grubą skórą. Tuż za nimi znajdowały się drugie podobne wrota. Była to śluza. Oppenheimer znał tę budowlaną zasadę. Podwójne drzwi służyły do tłumienia dźwięków. Tylko jakie dźwięki nie mogły opuścić pokoju ukrytego za wrotami? Krzyki masakrowanych więźniów? Czy przesłuchiwano tu wrogich agentów? Mężczyzna otworzył drugie drzwi i gestem zaprosił ich do środka.

– Proszę, niech panowie spoczną. Będą panowie łaskawi zaczekać jeszcze chwilę.

Oppenheimer z ociąganiem wszedł do pomieszczenia zalanego sztucznym światłem i zatrzymał się zdumiony. Vogler również zamarł na moment i prędko obrzucił wzrokiem pokój. Dość dobrze maskował swoje zaskoczenie. Drzwi zatrzasnęły się za nimi z soczystym plaśnięciem. Byli zupełnie odcięci od świata zewnętrznego.

Oppenheimer rozejrzał się ciekawie. Choć z zewnątrz nie wpadało światło dnia, w środku nie było ciemno. Pomieszczenie rozświetlał śnieżnobiały ekran. W przeciwległej ścianie widniały dwa małe okna, zza których spoglądały szklane oczy projektorów filmowych. Znajdowali się w pokoju projekcyjnym. Komisarz nigdy przedtem nie widział prywatnego kina. Rozmieszczone tarasowo rzędy mogły pomieścić kilkunastu widzów. Nieużywane pomieszczenie robiło ponure wrażenie. Światła były zgaszone, a kinooperator zaprzątnięty był aparaturą.

– Pięknie, zwiedzanie mamy za sobą – mruknął Oppenheimer. – A co teraz?

Nie musieli długo czekać, kiedy drzwi otworzyły się ponownie. Oppenheimer dobrze znał twarz przybysza – każdy ją znał. Przed nimi stał człowiek, który władał tym budynkiem i wszystkimi, którzy tu pracowali. Komisarz rozumiał już, dlaczego mężczyznę, którego mieli przed sobą, nazywano pogardliwie „germańskim karłem”. Joseph Goebbels był od niego o głowę niższy.

Vogler pośpiesznie ustąpił miejsca ministrowi i zasalutował. Potem jak słup soli zastygł pod ścianą. Oppenheimer w pierwszej chwili nie wiedział, jak się przywitać. Hitlerowski salut wydał mu się nie na miejscu, w końcu był Żydem. Nie mógł też ni stąd, ni zowąd wyciągnąć do Goebbelsa ręki. Zdjął więc kapelusz i skłonił się uprzejmie.

Ale minister nie zwracał na niego uwagi. Wyglądał na rozkojarzonego, jakby miał za sobą ciężki dzień. Nie odpowiedział na powitanie, tylko przechodząc obok, wcisnął Voglerowi do ręki kopertę.

– Może mi pan to wyjaśnić?

Vogler ocknął się z bezruchu. Otworzył kopertę i wyjął z niej kilka kartoników o przyciętych faliście brzegach. Oppenheimer domyślił się, że to odbitki. Vogler w oszołomieniu wpatrywał się w zdjęcia. Komisarz podszedł bliżej i rzucił na nie okiem. W ostrym czarno-białym kontraście od kamienistego podłoża odcinało się czworo ramion, ułożonych w kształt swastyki. Na niektórych zdjęciach dostrzegł fragmenty Kancelarii Rzeszy. Nie było wątpliwości, że zdjęcia przedstawiały wczorajsze szczątki.

Goebbels z założonymi rękoma obserwował ich reakcję.

– Co, odjęło panu mowę?! – huknął w końcu. Cały się spiął, zapominając o trudach minionego dnia. – Żądam odpowiedzi na moje pytanie.

Na zdjęciach nie było widać członków gwardii Hitlera, którzy osłaniali miejsce przed ciekawskimi spojrzeniami przechodniów.

– Skąd się wzięły te fotografie? – zapytał Oppenheimer.

– To nie ma teraz nic do rzeczy – odparł Goebbels. – Chcę wiedzieć, co to za świństwo. A zatem, Hauptsturmführer, z kim lub czym mamy tu do czynienia?

– Szukamy wielokrotnego mordercy – wyjaśnił Vogler. – Śledztwo wszczęto z inicjatywy Gruppenführera Reithermanna po tym, jak jego asystentkę znaleziono martwą.

W kilku zdaniach streścił dotychczasowe wyniki dochodzenia. Goebbelsowi nie było do śmiechu.

– Ta sprawa ma klauzulę tajności. To, że wyciekły takie zdjęcia, jest nieodpowiedzialne.

– Mogę zapewnić, że to nie są zdjęcia, które kazaliśmy wykonać na miejscu zdarzenia – włączył się Oppenheimer. – Te tutaj powstały wcześniej. Szacuję, że zrobiono je tuż po odwołaniu alarmu, zanim ludzie z Kancelarii znaleźli szczątki.

Goebbels popatrzył uważnie na Oppenheimera. Pomyślał chwilę i odpowiedział:

– Odpowiadając na pańskie pierwsze pytanie: zdjęcia pochodzą od fotografa, który od czasu do czasu wykonuje zlecenia dla rozmaitych gazet. Właśnie otrzymał wezwanie na front. Zobaczymy, czy będzie tam równie sumienny.

Oppenheimer chętnie zadałby temu człowiekowi parę pytań. Musiał być na miejscu przed nimi. Co widział? Goebbels sprawił, że już się tego nie dowiedzą.

– Czy to wszystkie zdjęcia? – zapytał.

– Taką mam nadzieję! – warknął minister. – Ten człowiek próbował sprzedać je temu, kto da więcej. Na szczęście redaktor naczelny jednej z gazet bezzwłocznie mnie o tym powiadomił. Czy panowie zdają sobie sprawę, co by było, gdyby ktoś to opublikował?

Vogler myślał intensywnie. Zapewne obawiał się udzielić błędnej odpowiedzi. Wreszcie Oppenheimer wybawił go z opresji.

– Przypuszczalnie wybuchłaby masowa panika.

– Panika? Owszem, w najlepszym razie.

Minister propagandy należał do tych ludzi, którzy lubili słuchać samych siebie. Przejęty własną ważnością, wypiął pierś i z uniesionym do góry palcem rozpoczął swój wywód:

– Możliwe, że nie zdają sobie panowie sprawy z sytuacji. Znajdujemy się w punkcie o wadze strategicznej. Dzięki broni V1 naród odzyskał ufność w nas. Ale nie możemy lekkomyślnie roztrwonić tego politycznego kredytu. Zwłaszcza teraz, kiedy totalizacja naszych wojennych wysiłków nawet się nie rozpoczęła. Sporo się jeszcze wydarzy, moi panowie. Musimy ukrócić luksus czynnika ludzkiego w naszej ojczyźnie. W przyszłości konieczne będzie jeszcze radykalniejsze wyczesywanie narodu z mężczyzn zdolnych do służby wojskowej. W zależności od stanu rzeczy może się okazać konieczne, aby Führer sam bezpośrednio zaapelował do narodu i obudził zryw przeciwko wrogowi. Ale jeśli teraz zaczniemy szerzyć takie makabryczne historie, znajdziemy się zaledwie o krok od defetyzmu. Nie możemy sobie pozwolić na coś takiego.

Oppenheimer stał obok Voglera, ale nie czuł się uczestnikiem tej rozmowy. Podczas gdy Hauptsturmführer z wyraźną skruchą słuchał zwierzchnika, komisarz odpłynął myślami. Patrzył na Goebbelsa jak na

kiepskiego aktora, który wyszedł z ekranu. Usilnie myślał o sytuacji, w jakiej się znalazł. Był sam na sam z ministrem i esesmanem, którego broń znajdowała się w zasięgu ręki. Rozważał różne możliwości. Czy udałoby mu się obezwładnić Voglera i przywłaszczyć sobie jego broń? I czy powinien zastrzelić Goebbelsa? Z pewnością nie uszedłby daleko. Przez krótką chwilę zastanowił się, czy ma zadatki na męczennika. I czy to w ogóle cokolwiek by dało? Czy teki ministra nie przejąłby natychmiast kolejny nazista? Nawet po śmierci Heydricha prędko zapełniono powstałą lukę, a w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy sprawy toczyły się, jakby nic się nie stało. Niezliczeni partyjni karierowicze aż się ślinili, żeby objąć schedę po Goebbelsie. NSDAP jawiła się Oppenheimerowi niczym hydra z mnóstwem głów, które odrastały szybciej, niż dało się je odciąć. A może myślał tak tylko z tchórzostwa?

Goebbels wciąż coś perswadował, ale jego głos dochodził jakby z oddali. Komisarz rejestrował ruchy ministra przechadzającego się w tę i we w tę: zwinne, choć – ze względu na szpotawą stopę – niepozbawione pewnego wysiłku. Przyszło mu na myśl kolejne przezwisko, jakie nadali Goebbelsowi berlińczycy: „kulawy diabeł”. To ciekawe, że akurat on propagował światopogląd wychwalający idealny obraz jasnowłosego supermana ze stali. Co powiedziałaby na to Hilde? Czy Goebbels nawykł do surowego traktowania siebie, by jakoś kompensować własną ułomność? Czy dlatego rasowy obłęd nazistów był dla niego tak nęcący, bo dzięki niemu mógł odwrócić uwagę od własnych deficytów i dorównać Aryjczykom czystej krwi, w ten sposób poniewczasie upokarzając każdego, kto kiedykolwiek z niego szydził? Oppenheimer postanowił, że przy najbliższej okazji podyskutuje o tym z przyjaciółką.

Uważnie przyglądał się Goebbelsowi. Minister miał ciemne włosy, nos – wydatny. Rysy twarzy Voglera były znacznie mniej wyraziste. Oppenheimer nie mógł powstrzymać nikłego uśmiechu. Z obecnych tutaj on sam najbardziej przypominał z wyglądu Aryjczyka – akurat on, Żyd.

Wreszcie Goebbels, zakończywszy wywód trwający całą wieczność, przeszedł do rzeczy:

– Krótko mówiąc: daję panom tydzień, do tego czasu sprawa ma zostać wyjaśniona.

– Tak jest, panie ministrze – potwierdził dobitnie Vogler.

– Nie będę tolerował dłuższej zwłoki. W czwartek za tydzień przekaże mi pan sprawcę wraz z całą dokumentacją, w przeciwnym razie osobiście pociągnę pana do odpowiedzialności.

Vogler przełknął ślinę.

– Tak jest!

Ale Goebbels jeszcze nie skończył. Usiadł i przeniósł spojrzenie na Oppenheimera. Zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

– Jest pan Żydem, Oppenheimer?

– Tak.

– No cóż, to się zdarza. Hauptsturmführer Vogler zdaje się pokładać wielkie zaufanie w pańskie umiejętności. Mimo to nikt nie może się dowiedzieć o pana niearyjskim pochodzeniu. Gdyby nie to pana nazwisko, można by się pomylić. Zakładam, że na czas śledztwa otrzymał pan inną kwaterę?

Oppenheimer ze zdumieniem popatrzył na ministra.

– Mieszkam w *Judenhausie*.

– A rano? Jak pan to robi? Czyżby każdego ranka dojeżdżał pan z *Judenhausu*?

Oppenheimer nie wiedział, do czego właściwie zmierza Goebbels.

– Przyjeżdża po niego jeden z moich kierowców – pośpieszył z wyjaśnieniem Vogler. – Urządziliśmy mu biuro na osiedlu funkcjonariuszy w Zehlendorfie.

Goebbels poderwał się nagle.

– Czy pan do reszty postradał rozum, Vogler? Nie, to jeżdżenie po Berlinie musi się skończyć. Niech pan mu przydzieli jakieś mieszkanie niedaleko. Ale w żadnym razie w *Judenhausie*! – Zwrócił się bezpośrednio do Oppenheimera i rozkazał: – Jeśli o mnie chodzi, do czasu zakończenia dochodzenia jest pan zwolniony z przynależności do narodu żydowskiego. Do tego momentu należy pana traktować jak Aryjczyka. Koniec, kropka. Vogler zatroszczy się o wszystko. To tyle, panowie.

Oppenheimer popatrzył na Goebbelsa skonsternowany. Nie wiedział, że przynależność religijna również podchodzi pod zakres kompetencji ministra propagandy. I co teraz? Czy cudownym sposobem odrośnie mu napletek?

Minister pożegnał ich niedbałym machnięciem ręki, jakby chciał ich przegnać jak uciążliwe myśli. Na koniec, ze wzrokiem utkwionym w ekran, upomniał ich jeszcze.

– I proszę nie zapominać, że macie tylko tydzień. Odmaszerować.

Posłuchali rozkazu, podczas gdy w pomieszczeniu powoli gasły światła. W drzwiach Oppenheimer obejrzał się za siebie. Goebbels kazał operatorowi puścić film. Na ekranie zamigotała wielka podobizna pięknej aktorki.

– Niech pan spakuje swoje rzeczy – rozkazał Vogler. Siedzieli na tylnym siedzeniu limuzyny. Ręce Hauptsturmführera wciąż jeszcze drżały po spotkaniu z Goebbelsem, które najwyraźniej poruszyło go do głębi. – Proszę przygotować je do zabrania, zanim przyjedzie po pana Hoffmann. Jutro w południe moi ludzie wszystko przetransportują.

– Nie ma tego wiele – odparł Oppenheimer. – Wszystkiego dwie, może trzy walizki.

Kiedy trzy kwadranse później przestąpił próg swojego pokoju, Lisa już spała. Zegar wskazywał kilka minut po północy. Delikatnie potrząsnął nią i ją obudził. W końcu sprawa była ważna.

– Jutro się przeprowadzamy.

Lisa zamrugała, zaspana. Minęła chwila, zanim dotarła do niej nowina. Wyprostowała się gwałtownie.

– Kto tak mówi?

– Obawiam się, że mi nie uwierzysz. – I opowiedział jej wszystko.

Oppenheimer ostrożnie trzymał między nogami dwie konserwy ze spadku po doktorze Kleinie. Tam te bezcenne skarby były najbezpieczniejsze, podczas gdy nim samym zarzucało z lewa na prawo. W bocznym wózku motocykla Hoffmanna musiał cierpliwie znosić każde przyśpieszenie.

Tego ranka wstał wcześniej, by pomóc Lisie w porządkowaniu ich dobytku. Prawdę mówiąc, z podekscytowania oboje niewiele spali. Prędko poradzili sobie z pakowaniem, ponieważ już od kilku lat żyli na walizkach i niewiele rzeczy tak naprawdę należało do nich. Nie potrafił powiedzieć żonie, gdzie zakwateruje ich Vogler, dlatego zaproponował, że pod koniec zmiany sam przyjedzie po nią do wytwórni płaszczy nieprzemakalnych.

Mimo tej niepewności opuścił *Judenhaus* bez żalu. Obyło się bez wielkiego pożegnania ze Schlesingerami. Zdeponował u nich tylko walizki, zostawiając komentarz, że ktoś po nie przyjedzie, po czym wsiadł do

piekielnego pojazdu Hoffmanna, odebrał z prezydium odlewy i pojechał do składu Höcker & Söhne.

Panna Behringer przyjęła go z marsową miną.

– Ach, pan komisarz. Domyślam się, że wczoraj nie zdołał pan dojechać?

– Jestem naprawdę niepocieszony, że kazałem pani na siebie czekać – odparł ze skruchą i wręczył jej puszki.

Panna Behringer odczytała napisy na etykietach i całe jej niezadowolenie się ulotniło. Przez chwilę stała oniemiała, wreszcie odchrząknęła z niedowierzaniem.

– Ja… nie wiem, nie mogę tego przyjąć.

– Ależ owszem, jestem to pani winien. W końcu z mojego powodu spędziła pani wczorajszy wieczór w biurze.

Mimowolnie odnotował proporcjonalność rysów jej twarzy. Kiedy się uśmiechała, jej oczy iskrzyły się żywo. Czy podarowałby jej konserwy również wtedy, gdyby nie była tak atrakcyjna? Odpędził tę myśl. Usprawiedliwiał swoje zachowanie tym, że musiał zdobyć informacje i nie zamierzał przebierać w środkach, by dopiąć swego.

– Potrzebuję pewnych danych – powiedział prędko, wyprzedzając jej słowa. – Czy na liście państwa klientów są pensjonat Schmidt i hotel Adlon?

– Chwileczkę, niechże pan spocznie. – Panna Behringer podeszła do wielkiej szafy na akta i wyjęła z niej skoroszyt. – Od razu mogę panu powiedzieć, że hotel Adlon zaopatrujemy od czasu do czasu, ale pensjonat Schmidt… – Poszperała w kartotece i znalazła odpowiedni rejestr. – Giesebrechtstraße 11?

Słysząc to, poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

– Zgadza się.

– Cóż, pensjonat nie należy do naszych stałych klientów, ale dostarczaliśmy już towar pod ten adres. Owszem, w ciągu ostatnich kilku lat zaopatrywaliśmy ich wielokrotnie.

Wszystko się zgadzało. Tu, w składzie Höckera, zbiegały się wszystkie nitki. Oppenheimer był już pewien, że jest na właściwym tropie. Christina Gerdeler bywała w Adlonie, by pozyskiwać zamożnych klientów, również Julie Dufour w towarzystwie Gruppenführera Reithermanna odwiedzała hotel, zaopatrywany przez firmę Höcker & Söhne, w której z kolei pracowała jako sekretarka Inge Friedrichsen. I ta sama firma dostarczała

towar do Salonu Kitty, którego pracownica o pseudonimie Friederike poniosła tragiczną śmierć. To nie mógł być przypadek. Wprawdzie to jeszcze nie tłumaczyło, jak do tego schematu pasuje ostatnia ofiara, Traudel Herrmann, ale Oppenheimer był pełen optymizmu i wierzył, że uda się znaleźć powiązanie.

– Pięknie, w takim razie chciałbym teraz przeprowadzić małą inspekcję firmowych ciężarówek.

Panna Behringer, chowająca właśnie mięsne konserwy w szufladzie biurka, zamarła.

– Czyli ma pan trop? Wie pan już, kto zamordował Inge?

Komisarz wzruszył ramionami.

– To na razie tylko domysły – zbył ją.

Jeszcze było za wcześnie na triumfy.

Ponieważ partia od chwili rozpoczęcia wojny rekwirowała pojazdy silnikowe potrzebne na froncie, ich widok w Berlinie stał się rzadkością. Te nieliczne samochody, które jeszcze jeździły, były w większości wozami służbowymi. Höcker widać umiejętnie użył swych wpływów w SS i zorganizował własny tabor.

Oppenheimerowi wszystko to było jednak obojętne. Pośpiesznie zbiegł po schodach. Miał szczęście. Panna Behringer potwierdziła, że wszystkie wozy dostawcze firmy znajdują się na miejscu. Właśnie przygotowywała listy przewozowe pierwszej dostawy, kiedy zrobił jej niespodziankę swym prezentem. Oppenheimer energicznym krokiem zbliżył się do otwartej hali.

Stojący w środku mężczyzna w długim fartuchu odwrócił się w jego stronę. Był to Häffgen, nastawiony tak samo wrogo jak podczas pierwszej wizyty. Skrzywił się na widok niepowołanej osoby w magazynie, nawet jeśli był to komisarz policji.

– Ach, to znowu pan. Czego pan chce?

– Muszę zbadać bieżniki opon pańskich furgonetek.

– To teraz pracuje pan w drogówce?

Oppenheimer tego nie skomentował. Lepiej było postawić Häffgena przed faktem dokonanym.

– Ile pojazdów znajduje się w posiadaniu firmy?

– W sumie cztery dostawczaki.

– Pozostałe trzy są jeszcze w baraku?

– Tak myślę.

Oppenheimer wyjął gipsowy odlew owinięty w szmatkę, pochylił się i porównał z nim profil opony furgonetki, którą właśnie załadowywano. Nie zgadzały się.

Następnie przeszedł do baraku, gdzie stały pozostałe pojazdy. W jednym drzemał kierowca. Przednie opony bez trudu dało się porównać z odlewem. Z tylnymi poszło gorzej, ponieważ niebo było zasnute chmurami i do mrocznych zakątków baraku docierało niewiele światła. Czołgał się na kolanach od opony do opony i pochylał nad gumową powierzchnią. Na wszelki wypadek sprawdzał rowki palcem.

Spędził w baraku prawie pół godziny, by uzyskać całkowitą pewność. Sprawdził nawet koła zapasowe. Lustrował je po kilka razy, aż w końcu musiał dojść do druzgocącego wniosku. Żaden z profilów nie pasował do śladu, który morderca zostawił na miejscu znalezienia ciała.

Oppenheimer wiedział oczywiście, że podobne gorące tropy często okazują się złudne. Dlatego był ostrożny z wyciąganiem pochopnych wniosków. Tym razem jednak miał taką cholerną pewność! Z rękoma wbitymi w kieszenie płaszcza i cygarniczką w zębach przemierzał markotnie podwórze, łamiąc sobie głowę. Wszystko tak idealnie do siebie pasowało.

Wszedł do biura i napotkał wyczekujące spojrzenie panny Behringer.

– I co? Znalazł pan coś?

– Niestety, nie miałem szczęścia – odpowiedział, zwiesiwszy głowę. – Jeszcze tylko jedno pytanie: czy któryś z pojazdów był może w tym tygodniu w naprawie? Może zmieniono mu opony?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie dostałam żadnego rachunku. A gdyby któryś wóz nawalił, musiałabym zawiadomić pana Zieglera. – Zamyśliła się. Potem dodała, cedząc słowa: – Oczywiście. Ziegler. Jest jeszcze jeden pojazd. – Zapatrzyła się nieobecnym wzrokiem w przestrzeń, a potem pokiwała głową.

– Co ma pani na myśli? – dopytywał.

– Ziegler. Karl Ziegler. Najmujemy go, jeśli jakiś dostawczak się zepsuje albo kiedy trzeba dowieźć więcej, niż dadzą radę nasze cztery. Ma własną ciężarówkę. No cóż, właściwie to nie ciężarówka, tylko stary gruchot, ale przynajmniej ze skrzynią ładunkową. Dzwonię po niego, kiedy jest potrzebny.

– Nigdy nie słyszałem o żadnym Karlu Zieglerze. Na liście pracowników, którą dostałem od pana Höckera, go nie ma.

– Nie znalazł go pan na liście płac, bo nie pobiera regularnej pensji. Niech pan zaczeka.

Podeszła do szafy i po krótkich poszukiwaniach wyciągnęła fiszkę.

– Tu, proszę. Jego adres i numer telefonu.

Oppenheimer wziął od niej kartonik. Zobaczył adres i zadrżały mu ręce.

– Ziegler mieszka w Köpenick?

– Jak pan widzi.

– A ten cały pan Ziegler, jaki on jest? Jak by go pani scharakteryzowała?

Panna Behringer jak zwykle nie owijała w bawełnę.

– Jest trochę nierozgarnięty. Prawie się nie odzywa. Dlatego wszyscy mówią na niego „głupi Kalle”. Poza tym, no cóż… moim zdaniem jest podglądaczem.

Komisarz nastawił uszu.

– Zdarzył się jakiś incydent?

– Właściwie nie ma o czym mówić. Raz go nakryłam, jak mi zaglądał pod spódnicę. Stał pod schodami i gapił się do góry między stopniami. Od tego czasu zakładam do pracy wyłącznie spodnie. Lepiej dmuchać na zimne.

Klocki zaczęły się układać. To by również tłumaczyło, jak morderca trafił na Traudel Herrmann. Na pierwsze ofiary natknął się, pracując u Höckera. A panią Herrmann znał, ponieważ mieszkał niedaleko niej, dokładnie tak, jak przypuszczał Oppenheimer. Wiedzieli, kim jest podejrzany. Teraz wystarczyło go już tylko znaleźć.

24

piątek, 23 czerwca 1944

Choć Billhardt był u siebie, w obecności nieoczekiwanego gościa nie czuł się zbyt komfortowo. Z niechęcią przypomniał sobie, jak w nagłym przypływie lojalności napisał ten przeklęty list. Kiedy prosił w prezydium policji o jego przekazanie, nie liczył, że ktoś go odwiedzi tak szybko. A już zupełnie nie spodziewał się, że tym kimś będzie Hauptsturmführer SS. Zaklął w duchu. Tyle mu z tego przyszło.

Na przekór nieprzyjemnej sytuacji próbował zachować spokój. I rzeczywiście jego myśli były klarowne jak nigdy przedtem. Znalazł się między młotem a kowadłem. Musiał wymyślić jakiś sposób, by zbagatelizować własną rolę w tym wszystkim. Za żadne skarby nie mogło wyjść na jaw, że to on naprowadził Oppenheimera na Lutzowa.

Esesmanowi, który przedstawił się nazwiskiem Vogler, wyraźnie się śpieszyło. Poproszony, by usiadł, odmówił i stanął przy oknie, wpatrując się wyzywająco w Billhardta. Ten tłumaczył mgliście:

– Przyszedł do mnie przedwczoraj po południu. Komisarz Oppenheimer. Znaczy, były komisarz, oczywiście. Było dokładnie tak, jak opisałem.

– Chciałbym usłyszeć to od pana jeszcze raz – zażądał Vogler.

– Odwiedził mnie tydzień wcześniej. Początkowo nie wiedziałem, że miał w tym swój cel. Myślałem, że chce odnowić kontakt ze starym kolegą. Przedwczoraj w końcu wyjawił, o co mu chodzi. Chciał mieć wgląd w akta pewnego śledztwa. To ja miałem mu to umożliwić, ale oczywiście odprawiłem go z kwitkiem i powiedziałem, że nie mogę tego zrobić.

– O jakie śledztwo chodziło?

– O sprawę pewnego członka SA. Jego nazwisko brzmi Johannes Lutzow. We wrześniu 1932 roku został aresztowany za napad na bolszewika. Lutzow urządził u niego w mieszkaniu prawdziwą jatkę. Żona ofiary została ciężko zraniona nożem.

– Czy miała okaleczenia w okolicach genitaliów?

Billhardt nie potrafił ukryć zdumienia. Zły na siebie, natychmiast spuścił wzrok. Nie wolno mu było okazywać żadnych emocji. To mogło być niebezpiecznie. Lepiej nie przyznawać się, jakie szczegóły z bieżącego śledztwa zdradził mu Oppenheimer.

– Możliwe. Słyszałem coś o podobnych ranach. Nie można tego nazwać zwykłą sprawą, w prezydium było o niej głośno. Lutzow został skazany na śmierć, ale rok później go zwolniono. Amnestia Führera, jak pan wie. Oppenheimer też słyszał o tym śledztwie. Wtedy pracował jeszcze w policji. Teraz, prowadząc to nowe dochodzenie, przypomniał sobie o nim i chciał, żebym mu udostępnił akta. Tak po prostu. Oczywiście odmówiłem.

– Czy Oppenheimer powiedział panu dokładniej, nad czym pracuje?

Billhardt pokręcił energicznie głową.

– Nie chciał niczego zdradzić. Wspomniał tylko coś o zwłokach kobiet. A ja nie wypytywałem. Ni z tego, ni z owego wyskoczył z tamtą sprawą Lutzowa. Początkowo nie wiedziałem, co o tym sądzić, ale potem wydało mi się to podejrzane i uznałem za swój obowiązek to zgłosić.

– Ale musiał panu wspomnieć moje nazwisko, w przeciwnym razie nie mógłby pan napisać tego listu do mnie.

– Ot, wpadło mi w ucho. – Popatrzył na Voglera z miną winowajcy. – Ale poza tym nic mi o tej sprawie nie wiadomo. Mogę przysiąc na Führera, panie Hauptsturmführer Vogler.

Vogler zmarszczył czoło i ze zwieszoną głową jął przechadzać się tam i z powrotem.

– Czy wie o tym ktoś jeszcze?

– Zwróciłem się z tym bezpośrednio do swojego przełożonego.

Vogler przystanął i wbił wzrok w Billhardta. Na jego twarzy malowały się wątpliwości. Billhardt z całych sił próbował zapanować nad mimiką. Wiedział, że jeśli chce być przekonujący, nie może odwrócić wzroku.

– Bardzo dobrze, postąpił pan właściwie, Billhardt. – Dla podkreślenia swych słów Hauptsturmführer poklepał go po ramieniu. – Szkoda, że nie każdy jest tak uważny jak pan. Widzi pan, moje zadanie jest szczególne. Ta sprawa podlega ścisłej tajemnicy. W tej chwili nie wiadomo, czy opinia publiczna zostanie poinformowana o sukcesie tego śledztwa. Nie ja o tym zadecyduję. Moje instrukcje polegają na tym, by zagwarantować, aby nic,

co mogłoby łączyć tę sprawę z naszą partią, nie przedostało się na zewnątrz. Rozumie pan, co mam na myśli?

Billhardt pokiwał głową. Rozumiał aż za dobrze.

– Za tą sprawą kryje się więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Być może maczają w niej palce wrogowie państwa. W ich interesie leży, by partia została skompromitowana. Prawdopodobnie fabrykują dowody, aby wyglądało na to, że sprawca pochodzi z naszych kręgów. Nawet najmniejsza sugestia lub pogłoska mogłaby wyrządzić ogromną szkodę narodowemu zrywowi, zwłaszcza w tych czasach. Rozumie pan, że musi zachować w tej sprawie absolutne milczenie?

– Oczywiście – odparł odruchowo Billhardt. – Nikt się ode mnie niczego nie dowie.

Odetchnął z ulgą. Hauptsturmführer potwierdził na szczęście, że zachował się poprawnie. Czyli nic nie mogło mu się stać. Mimo to odczuwał ten sam niepokój, który od jakiegoś czasu często go ogarniał. Czy jego zachowanie można zakwalifikować jako zdradę wobec Oppenheimera? Próbował uspokoić sumienie, wmawiając sobie, że to przecież nie było nic osobistego. Zrobił tylko to, co musiał zrobić dobry Niemiec. To całkiem proste. Przekonywał się, że nie ma sensu roztrząsać tego dłużej.

Chociaż Oppenheimerowi niespodziewanie dopisało szczęście i tego dnia funkcjonowały telefony, nie zastał Voglera w Zehlendorfie. Radiotelegrafista, który trwał na posterunku w piwnicy domku, zapewnił go, że natychmiast zawiadomi Hauptsturmführera i że posiłki są w drodze.

Komisarz niespokojnie krążył w mroku przed wejściem, ze wzrokiem utkwionym w budynek po drugiej stronie. Ze składu Höckera natychmiast udał się do Köpenick. Wprawdzie bez Voglera niewiele mógł zdziałać, ale na wszelki wypadek wolał obserwować mieszkanie Zieglera, żeby ten się nie wymknął. Nie teraz, nie po tych wszystkich trudach, jakie kosztowało go znalezienie elementu łączącego ofiary morderstwa. Hoffmann stał gdzieś na tyłach budynku i pilnował tylnego wyjścia. Teraz pozostawało im już tylko czekać na przybycie Voglera i jego ludzi.

W takich sytuacjach czas dłużył się nieznośnie. Minęła wieczność, zanim wreszcie komisarz dojrzał limuzynę. Samochód zatrzymał się w odległości kilkudziesięciu metrów. Razem z Hauptsturmführerem wysiadło trzech

mężczyzn po cywilnemu. Oppenheimer wyłonił się z bramy i dołączył do nich.

– Nazywa się Karl Ziegler – wyszeptał. – Wynajmuje mieszkanie od właściciela warsztatu samochodowego, niejakiego Brauna. Prawdopodobnie znał wszystkie ofiary.

Vogler wciągnął ze świstem powietrze.

– Pięknie, no to idziemy.

Przeszli przez ulicę. Wjazd do warsztatu był otwarty. Zanim doszli do garażu, wyszedł im naprzeciw mężczyzna około sześćdziesiątki.

– Mogę panom w czymś pomóc? – zapytał, wycierając szmatką palce powalane smarem i taksując wzrokiem mundur Voglera.

– Pan Braun? – zapytał esesman.

– Tak.

– Jesteśmy tu, żeby porozmawiać z pańskim lokatorem, panem Zieglerem.

– Chce pan gadać z Karlem? Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa. Nie widziałem go od wczoraj.

– Czy może nam pan pokazać jego mieszkanie? – wtrącił się Oppenheimer.

Nie mieli wiele do oglądania. Lokum Zieglera było zbitym z desek drewniakiem na tyłach warsztatu, tylko parę metrów oddalonym od starego wychodka. Składało się z dwóch pomieszczeń: sieni, w której wisiało nędzne ubranie, i pokoju mieszkalnego, gdzie ledwie mieściły się łóżko, żeliwny piecyk i stół. Oppenheimer był rad, że ludzie Voglera zaczekali na zewnątrz. Gdyby wszyscy naraz chcieli wejść do środka, zrobiłoby się ciasno.

– Ależ tu bardach – odezwał się i zsunął kapelusz na tył głowy.

Ziegler posiadał niewiele, najcenniejszym przedmiotem w pokoju był gramofon, królujący na małym taborecie. Obok leżało trochę płyt, porządnie pochowanych do kopert. Resztą dobytku podejrzany wyraźnie się nie przejmował. Wszędzie bezładnie walały się ubrania, stare czasopisma, a w tym wszystkim mnóstwo tandety, jaką można było wygrać na strzelnicy w wesołym miasteczku. Ziegler nie należał do porządnickich. Oppenheimer sięgnął po parę butów stojącą w kącie. Po krótkich oględzinach pokazał zelówki Voglerowi.

– Takie same jak ślad buta w parku olimpijskim.

– Kalle coś nabroił? – zapytał ciekawie pan Braun od strony drzwi.

Odwrócili się.

Vogler odchrząknął.

– Nie, to rutynowa sprawa. Pan Ziegler mógł być świadkiem wypadku i mielibyśmy do niego parę pytań.

Spojrzenie Brauna wyraźnie mówiło, że nie wierzy w ani jedno słowo Voglera. Ale nie wypytywał dalej. Za to Oppenheimer chętnie skorzystał z okazji, by zadać parę pytań.

– Od kiedy pracuje u pana pan Ziegler?

– Niech no się zastanowię. W sierpniu będzie ze cztery lata. Kalle nie jest z tych lotnych, ledwie umie czytać, i to tylko jak się dobrze wysili. Ale maszyny reperować to potrafi. Na to nie jest za głupi. Sam nie wierzyłem, dopóki nie zobaczyłem.

– Pracuje w warsztacie, a dodatkowo wozi towary dla firmy Höcker?

– Jak się nadarzy. Kiedyś sam dla nich rozwoziłem, ale teraz za ciężko mi targać skrzynki. Ale Kalle daje sobie radę.

– Często go nie ma?

– W weekendy przeważnie. Już w piątek wieczorem chwyta go jakiś taki niepokój i zmyka, jak tylko się nadarzy sposobność. Czasem znika już w czwartek. Nie mam pojęcia, gdzie się włóczy. W poniedziałek rano zawsze jest z powrotem. Zegarek można nastawiać.

Oppenheimer z namysłem powiódł wokół wzrokiem.

– Gdzie stoi furgonetka, którą pan Ziegler przewozi towary?

– Wziął ją. Jak zawsze w weekend.

Komisarz się zdumiał. Braun na sporo pozwalał swemu pracownikowi.

– Chce pan powiedzieć, że on jeździ po okolicy pana dostawczakiem?

– E tam, źle mnie pan zrozumiał. To jego gruchot. Kalle mówi, że sam go złożył. Z części ze złomu. Mnie to się zdaje, że on nawet w nim pomieszkiwał, zanim trafił do mnie.

Braun zaprowadził Oppenheimera do baraku, w którym Ziegler zwykł przechowywać swój pojazd. Komisarz starannie obejrzał podłoże. Wczoraj było mokro. Ziemia miała dość czasu, by nasiąknąć deszczówką, przez co szanse na znalezienie śladów opon były spore. I rzeczywiście, niedaleko szopy odkrył wśród kępek traw wyraźny odcisk.

– Trochę zamazany ten profil – rzucił do Voglera. – Na terenie parku olimpijskiego samochód przejechał przez wilgotną glinę, która potem podeschła. Te ślady znacznie trudniej rozpoznać. Za mało jako dowód dla sądu, ale mnie to wystarczy. – Wyprostował się. – Moim zdaniem to ta sama opona. Niech pan wyśle list gończy za Zieglerem. Musimy go ująć jak najprędzej. Jest wysoce podejrzany o popełnienie przestępstwa.

Tymczasem ludzie Voglera przeszukiwali domostwo.

– Jeśli gdzieś znajdziecie adres, zanotowany na skrawku papieru czy czymś, może jakiś plan miasta, szkic, cokolwiek w tym rodzaju, proszę mnie powiadomić – zarządził Oppenheimer. – Szukamy wskazówek co do miejsca pobytu tego człowieka. Wszystko może być pomocne.

Ludzie Voglera na moment przerwali swe czynności. Jeden z nich popatrzył pytająco w stronę zwierzchnika. Kiedy ten w odpowiedzi niemal niezauważalnie skinął głową, podjęli pracę. Ta krótka zwłoka przypomniała Oppenheimerowi, że oficjalnie nie ma tu nic do gadania. Wprawdzie ledwie się powstrzymywał, żeby samemu nie dołączyć do poszukiwań, ale nieprzychylna postawa tamtych otworzyła mu oczy. Po kilku minutach udało im się jeszcze pogłębić bałagan. Pracowali niemal bezgłośnie, wystudiowanymi, precyzyjnymi ruchami rozcinali materac, wyjmowali deski podłogowe i opukiwali ściany w poszukiwaniu pustych przestrzeni, w których można było coś ukryć. Na ich twarzach nie dostrzegł ani śladu zapału typowego dla łowczych, mężczyźni wykonywali swoje obowiązki beznamiętnie i sumiennie jak księgowi. Nie miał wątpliwości – to byli eksperci.

Oppenheimer stał niezdecydowany na tylnym podwórzu i wodził dokoła wzrokiem. W oddali odezwał się dzwon kościelny. Zegarek wskazywał za kwadrans piątą. Niedługo będzie musiał się zbierać, żeby odebrać z pracy Lisę. Zdał sobie sprawę, że wciąż nie wie, gdzie teraz będą mieszkać, po tym jak Goebbels zabronił im przebywać w *Judenhausie*.

Zawrócił i zapukał we framugę drzwi.

– Niech pan zostawi tu swojego człowieka – powiedział do Voglera. – Ja muszę lecieć, żeby odebrać żonę. Czy wie pan już, gdzie mamy nocować?

Vogler popatrzył na niego bez wyrazu. Po chwili przypomniał sobie o mieszkaniowym problemie Oppenheimera.

– Tak, oczywiście. Znaleźliśmy rozwiązanie. Ale musieliśmy trochę improwizować.

Ponieważ w bocznym wózku nie pomieściłaby się dodatkowa osoba, nadrobili drogi do Zehlendorfu, by zamienić motocykl na samochód. Kiedy Hoffmann wyłonił się zza węgła, Lisa stała już przed czarną żelazną bramą fabryki i wyczekująco wypatrywała męża. Hoffmann z piskiem opon zahamował tuż przy niej. Lisa zdrętwiała, ale po chwili zobaczyła w środku męża. Oppenheimer wysiadł z uśmiechem i przytrzymał jej drzwi.

– Wsiadaj, mamy własnego szofera.

Opuszczające fabrykę koleżanki Lisy przystawały na ten niecodzienny widok. Słysząc, jak zaczynają szeptać między sobą, prędko wsiadła do środka.

– Dziś w fabryce obijaliśmy się przez parę godzin, brakowało materiału – powiedziała. – I? Co teraz? Gdzie nas ulokują?

– Nie przejmuj się – odpowiedział Oppenheimer. – W gruncie rzeczy to całkiem przytulne miejsce.

Widział, że Lisa chce jeszcze o coś zapytać, ale poprzestała na tym. I tak nie powiedziałby więcej, chciał jej zrobić niespodziankę.

Niebo już cały dzień było pochmurne i szare. Wierzchołki drzew czepiały się mgły. Hoffmann, dżentelmen starej daty, otworzył Lisie drzwi. Wysiadła oszołomiona, z szeroko otwartymi oczami. Nie zwracała uwagi na to, gdzie stawia stopy, tylko z niedowierzaniem wpatrywała się w otoczenie. Niemal jesienna aura pogłębiała jeszcze wrażenie, jakby wchodzili do zaczarowanego lasu. Lisa wciągnęła w płuca jego zapach. Widok poruszył ją do głębi.

– Tu jest naprawdę przepięknie.

Oppenheimer dobrze rozumiał zaskoczenie żony. Przypomniał sobie własną reakcję, kiedy po raz pierwszy zobaczył osiedle. W kolejnych latach to miejsce, na skutek codziennej rutyny, powoli traciło swój czar. Lisa odwróciła się do męża z pytającym spojrzeniem.

– Ale…

– Zehlendorf – powiedział tylko.

Zrozumiała w lot.

– Chcesz powiedzieć, że będziemy mieszkać ulokowani na osiedlu funkcjonariuszy?

– Taaa, z deszczu pod rynnę. Nie mieli akurat nic innego. Ale spodoba ci się tu. Pomijając sąsiedztwo. – Mrugnął do niej okiem. – To tam – dodał i pokazał na domek.

Nie miał serca pozbawiać jej złudzeń, lecz uznał za konieczne ostrzec ją delikatnie.

– Pamiętaj, że to przypuszczalnie tylko na tydzień. Nie sądzę, żeby pozwolili nam mieszkać tu dłużej. Nawet jeśli do tego czasu namierzymy mordercę.

– W takim razie potraktuję to jak urlop – oświadczyła Lisa, patrząc mu w oczy.

– Tak, niech to będzie nasz urlop – zgodził się.

Westchnął, a z tym westchnieniem opadł z niego ciężar ostatnich tygodni. Wziął żonę za rękę i poprowadził do wejścia.

W korytarzu prawie się potknął o trzy walizki, które ktoś tu postawił. Niemal natychmiast usłyszał dudnienie kroków na schodach. Z piwnicy wyłonił się staranny przedziałek radiotelegrafisty.

– Przepraszam, ale jeszcze nie miałem sposobności zanieść walizek na górę – powiedział mężczyzna i prędko wziął pod pachę jeden z bagaży, drugą ręką chwytając za rączki pozostałe. – Na górze są dwie sypialnie. – I wtaszczył walizki na piętro.

Lisa uśmiechała się, zdziwiona, że mają nawet portiera.

– Ile to już czasu minęło, odkąd ktoś wnosił za nas walizki.

– A najlepsze, że nawet nie oczekuje napiwku. – Oppenheimer uśmiechnął się szeroko.

Na piętrze znajdowały się łazienka i dwie sypialnie. Radiotelegrafista gorliwie zaoferował, że pomoże rozpakować walizki, ale tego już było dla Lisy za wiele. Od zawsze marzyła o własnym domku, lecz Oppenheimer nigdy nie zdołał odłożyć dość pieniędzy, by mogli sobie na to pozwolić. Kiedy tak patrzył na żonę w nowym otoczeniu, uświadomił sobie, że ten dom w zastraszający sposób odpowiada jej ideałowi.

Obejrzeli sypialnie. Druga okazała się większa i miała łóżko małżeńskie. Było już nawet pościelone.

– Sprawdźmy materac – zaproponował, zdejmując buty i wyciągając się na łóżku.

Jego plecy dotkliwie odczuwały brak takich wygód. Posłania w *Judenhausie* nie były nawet w połowie tak miękkie, a ze względu na alarmy większość nocy i tak spędzali ostatnio na twardej podłodze piwnicy. Już chciał się wyciągnąć i odprężyć, kiedy zobaczył pełen dezaprobaty wzrok Lisy.

– Doprawdy, człowiekowi wszystkiego się odechciewa – oznajmiła, podpierając boki rękoma.

Nie patrzyła na męża, tylko na ścianę nad nim. Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył obraz, wiszący pośrodku nad wezgłowiem. Zaciekawiony popatrzył na przeszkloną oprawę, ale ze swojego miejsca widział jedynie jasne odbicie okna. Wyprostował się, spodziewając się wizerunku jakiegoś świętego, ale z obrazu spoglądał na niego zza okularów Reichsführer SS Heinrich Himmler.

Szok był bezbrzeżny.

– No, są pewne granice – prychnął.

Czy portret Himmlera wisiał tu, by zachęcać podwładnych do płodzenia dzieci dla narodu i ojczyzny? Oppenheimer wątpił w skuteczność takiej strategii.

– Chyba naprawdę trafiliśmy z deszczu pod rynnę – dodał i odwrócił wizerunek kata Europy twarzą do ściany.

– Lepiej mi powiedz od razu – zażądała Lisa. – Czy w tym domu jest więcej portretów partyjnych bonzów?

– To jeszcze nic. Mamy tu kompletny gabinet horroru – blagował. – Nad odbiornikiem wisi obraz naszego szczególnego przyjaciela Goebbelsa. I jest jeszcze taki, na którym widnieje wciśnięty w mundur Göring przypominający baleron. Jak myślisz, gdzie wisi?

– Niech zgadnę, w spiżarni?

Usłyszał wydobywający się z jej gardła niecodzienny dźwięk. Lisa się śmiała.

Tym razem Vogler nie pozwolił się zatrzymać sekretarzowi. Pośpiesznym krokiem przemierzał korytarze, ściskając pod pachą akta policyjne Lutzowa. Był już wystarczająco pewny. Miał wszystko, co potrzebne, by samemu wybrnąć z opresji i zadowolić przywódców partii. Właściwe rozwiązanie sprawy było dla niego tylko formalnością. Teraz zadba o to, aby wszystko potoczyło się po jego myśli. Nie da swemu rywalowi Graeterowi sposobności do zagarnięcia sukcesu, jakim było rozwikłanie sprawy. Vogler miał świadomość, że jeśli chce nadać swej karierze nieco tempa, musi wywrzeć wrażenie na Oberführerze Schröderze.

Wietrzył szansę, że po zakończeniu sprawy zabójstw pojawi się nowe, ważniejsze zadanie. I rzeczywiście, szanse na to były spore, ponieważ

wojna wkraczała w decydującą fazę. Po inwazji na zachodzie rozstrzygała się kwestia zwycięstwa lub klęski, każdy to wiedział. Sepp Dietrich, Oberstgruppenführer Waffen-SS i szef gwardii przybocznej Hitlera, zbłaźnił się niecałe dwa tygodnie temu, kiedy z zamiarem dokonania wielkiego propagandowego wyczynu nazwał nieudaną próbę wyparcia wrogich oddziałów z powrotem na morze „rezultatem genialnej taktyki wojennej". Jego zdaniem amerykańskie i brytyjskie siły zbrojne miały zostać najpierw, jak się wyraził, „wessane" na terytorium opanowane przez Rzeszę, tak by niemiecka armia błyskawicznym uderzeniem mogła wyeliminować wroga. Vogler, jak większość, uważał Oberstgruppenführera za idiotę. Był to jednak niebezpieczny idiota, którego lepiej było nie mieć za wroga. Skoro Dietrich uznał obecność licznych wrogich oddziałów na kontynencie za szczególny sukces, to wkrótce może się okazać, że miał rację. Cherbourg był o krok od kapitulacji. Vogler wiedział, że to będzie dotkliwa porażka dla OKW[8], gdyż Cherbourg był miastem portowym, które – zajęte przez wroga – otworzyłoby możliwość wspierania inwazji przez okręty dalekomorskie. Ciężkie materiały, czołgi, posiłki dla armii – to wszystko nie stanowiłoby wówczas żadnego problemu.

Zdecydowanym krokiem przemierzył sekretariat Schrödera. Nie zwracał uwagi na zaskoczonego sekretarza, którego zatkało z oburzenia. *Pro forma* zapukał do ciężkich dębowych drzwi. Nie czekając na wezwanie, wszedł do środka. Zobaczył, że Schröder nie jest sam. W pokoju siedziała, zajęta rozmową, jeszcze jedna osoba. Rozeźlony Oberführer zorientował się, że ktoś ma czelność mu przeszkadzać. Graeter drgnął, obejrzał się i rozpoznał Voglera. Hauptsturmführer z dumnie wysuniętym podbródkiem zatrzymał się w progu. Teatralny trzask obcasów odbił się echem od boazerii.

– Hauptsturmführer Vogler! – wykrzyknął i zasalutował.

Już wiele lat temu przekonał się, że nadgorliwe posłuszeństwo było w SS najlepszą metodą usprawiedliwienia lekceważącego traktowania zwierzchników. Nie czuł respektu dla Schrödera jako człowieka, tylko dla jego władzy jako Oberführera SS. To była dla niego istotna różnica.

Schröder w pierwszej chwili zdębiał. A potem wpadł w furię.

– Coś podobnego, Vogler, że też ma pan czelność! Czy pan oszalał? – Oburzył się tak, że jego łysina zapłonęła. – Jeśli okaże się, że wtargnął pan tu bez dobrego powodu, poniesie pan stosowne konsekwencje!

Vogler otaksował obu wzrokiem. Było dokładnie tak, jak przypuszczał. Graeter od samego początku chciał zagarnąć śledztwo dla siebie. Wszyscy wiedzieli, że ma odpowiednie koneksje. To on oczywiście poinformował Schrödera, że w zespole Voglera jest Żyd. Graeter robił wszystko, by mu zaszkodzić. Być może to on zadbał o to, że Vogler został wezwany do Goebbelsa. Czy to przypadek, czy opatrzność, że znajdował się teraz w tym gabinecie? W każdym razie Vogler z tym większą satysfakcją będzie przypatrywał się, jak pętla zaciska się na szyi rywala.

– Są istotne ustalenia w sprawie Dufour – oznajmił. – Uznałem za swój obowiązek poinformować pana o tym bezzwłocznie. Mamy podejrzanego. Za kilka godzin sprawa powinna być wyjaśniona.

Na tę nowinę z twarzy Graetera odpłynęła cała krew. Schröder wbił w Voglera oko cyklopa i podniósł się powoli.

– Mam nadzieję, że to prawda.

– Wszczęliśmy już poszukiwania. Żądam przekazania pod moje dowództwo wszystkich zespołów zaangażowanych w tę sprawę, w celu prędkiego ujęcia przestępcy.

Schröder z namysłem przespacerował się po gabinecie. Stracił całe zainteresowanie Graeterem. Vogler zdawał sobie jednak sprawę, że autorytet zabrania mu z miejsca spełnić życzenie Hauptsturmführera.

– Rozważę to. Gdy tylko podejmę decyzję, zostanie pan o tym poinformowany. Coś jeszcze?

Vogler kątem oka dostrzegł, jak siedzący w fotelu Graeter zapadł się w sobie. I dobrze. To był właściwy moment, by napawać się triumfem. Wiedział, że swym następnym posunięciem upokorzy go bez reszty.

– Muszę jeszcze spełnić nadzwyczaj ważną powinność.

Schröder podniósł wzrok.

– Niech pan mówi.

– W morderstwa uwikłanych jest dwóch podejrzanych. Podkreślam, że ta sprawa musi zostać rozpatrzona wewnętrznie. Tylko w ten sposób możliwe będzie utrzymanie jej w największej tajemnicy.

Schröder spoważniał.

– Skąd ta ostrożność? Czyżbyśmy mieli do czynienia z drugim Ogorzowem?

– To mało prawdopodobne, ale nie możemy tego wykluczyć. Drugi podejrzany nazywa się Lutzow, jest członkiem SA i jakiś czas temu popadł

w konflikt z prawem. Tu są jego akta policyjne. – Wręczył Schröderowi teczkę. – Potrzebuję wszelkich informacji, jakie tylko zdołamy zebrać. Najlepiej, gdybyśmy natychmiast aresztowali go celem przesłuchania, lepiej dmuchać na zimne. Ale musimy postępować z ogromną ostrożnością. Opinia publiczna nie może się o tym dowiedzieć. To zadanie powinniśmy powierzyć osobie w pełni wiarygodnej. Proponuję Hauptsturmführera Graetera.

Z zadowoleniem przyjął szok na twarzy rywala, który natychmiast pojął, że pochwała Voglera była zaprawiona porcją trucizny. Ta pozornie ważna misja, jaka miała mu zostać powierzona, była wyjątkowo niewdzięczna. Graeter będzie musiał wziąć pod lupę towarzysza partyjnego. To bardzo delikatne zadanie. Jeśli niczego nie znajdzie, sprawa się rozmyje, ale gdyby się okazało, że Lutzow ma coś na sumieniu, dowie się o tym zaledwie garstka osób. Tak czy siak, laury zgarnie Vogler, wszak to on wykrył trop mordercy.

Schröder przeniósł ciężar ciała na pięty i zamyślił się nad propozycją Voglera. W końcu pokiwał głową.

– Podzielam pańską ocenę sytuacji. Graeter, od tej chwili podlega pan rozkazom Hauptsturmführera Voglera. Ma pan mu raportować o wszystkim, co pan ustali. – Przeniósł wzrok na Voglera. – A pan, drogi Hauptsturmführerze, od tej chwili ponosi odpowiedzialność za to, by to dochodzenie zakończyło się sukcesem. Jest mi obojętne, jak pan to zrobi! Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno.

Warunki Schrödera jak najbardziej odpowiadały ryzykanckiej naturze Voglera. Od teraz obowiązywała zasada: wszystko albo nic. Zasalutował.

– Tak jest, *Herr Oberführer*!

Hilde potrzebowała czasu, by przetrawić wiadomość. Potem roześmiała się na cały głos. Jej śmiech wprawił w wibracje słuchawkę telefonu.

– Na osiedlu funkcjonariuszy? Kurwa przenajświętsza! – Oppenheimer tylko tyle zrozumiał wśród jej chichotu.

Po wczesnej kolacji zjedzonej na nowym miejscu udał się z Lisą do najbliższej gospody, by z tamtejszego telefonu podzielić się z Hilde nowinami.

Przyjaciółka wreszcie się uspokoiła.

– To rzeczywiście cwane posunięcie ze strony świńskiego ryja. Ile czasu dał wam Joseph?

– Do końca tygodnia. Ale jak mówiłem, mamy już potencjalnego sprawcę.

– I tak mi się to nie podoba. To zbyt niebezpieczne. Powiadomię Kruszynkę i Antosia, niech ruszają z operacją. Wiesz, o czym mówię. Najlepiej nie rozpakowujcie walizek.

– Hilde, tej sprawie daleko jeszcze do zakończenia – zaprotestował bez przekonania.

– Bzdura. Ratuj dupę!

Mimo mglistej pogody było jeszcze dość widno, aby pokazać osiedle Lisie. Pory roku zupełnie się wymieszały, bo chociaż mieli dopiero połowę czerwca, powietrze było rześkie jak jesienią. Las majaczył niewyraźnie, rozmywając się we mgle. Opatuleni ciasno płaszczami, zanurzyli się w miękkim półmroku.

Z żoną pod rękę Oppenheimer minął ulicę, która nosiła suchą pruską nazwę Dienstweg – Droga Służbowa.

– Miłe – skomentowała tabliczkę z nazwą Lisa.

– Nieco dalej jest ulica, która nazywa się Im Kinderland, W Krainie Dzieci – wyjaśnił. Na ustach błąkał mu się ironiczny uśmiech. – Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale to ślepa uliczka.

Lisa potrząsnęła głową.

– Ci ludzie są szaleni. – Myślała przez chwilę. – Ale i tak tu pięknie. Gdybyśmy tylko mogli zostać. Wreszcie odnajduję spokój. – Zatrzymała się i odetchnęła głęboko, zamykając oczy. Potem popatrzyła na męża. – Ale to nie będzie na zawsze, prawda?

– Nie pozwolą nam tu mieszkać. To miejsce wyłącznie dla uprzywilejowanych esesmanów. Bonzowie stoją w kolejce, by ulokować tu swoje rodziny. Ale przynajmniej zasłużyliśmy sobie na parę dni sielanki.

– A potem…

– Hilde już nad tym pracuje – wyszeptał. – Możemy na niej polegać. Jeśli komukolwiek uda się ocalić nam skórę, to właśnie jej.

– Wiem, że można na nią liczyć. Ale i tak wolę nie myśleć, co będzie potem.

– Nie ma co się martwić na zapas. Teraz jesteśmy tutaj. I tak jest dobrze.

Objęli się i trwali tak, jakby czas przestał istnieć. Poczuł się jak wtedy, kiedy dopiero poznał Lisę i wszystko było takie nowe, ekscytujące. Myślał o jej karku, długich włosach spływających w dół jak woda, kiedy się nad nim pochylała, o jej zawstydzeniu, kiedy kochali się po raz pierwszy. Natychmiast poczuł, jak zaciska mu się żołądek. Choć sądził, że zachowa się jak głupi uczniak, i tak nie mógł się powstrzymać, musiał ją pocałować. Gdy się nachylił, w pierwszej chwili odpowiedziała mu zaskoczonym spojrzeniem, ale zaraz zrozumiała i dała się musnąć wargami z dobrotliwym uśmiechem na ustach.

Starał się zachować w pamięci każdy szczegół tej chwili, zatrzymać go na czas próby, który był jeszcze przed nimi.

25

sobota, 24 czerwca 1944

Oppenheimer był pewien, że zbudził go jakiś dźwięk. Przez okno wpadało do środka słońce i świeciło mu prosto w twarz. Mrużąc oczy, usiadł na łóżku i powiódł wzrokiem po pokoju. Na widok kwiecistej tapety poczuł konsternację, to nie było otoczenie, które znał. I wtedy przypomniał sobie, że są w Zehlendorfie.

Lisa leżała obok niego. Była dziesiąta. Długo spał, jak na niego. Jego uwagę przyciągnęły drzwi do pokoju, uchylone odrobinę, choć dobrze pamiętał, że wieczorem je zamknął. „Pewnie Lisa wstawała w nocy do łazienki" – pomyślał. Nagle rozległo się nieśmiałe pukanie. Ktoś chrząknął znacząco.

– Panie Oppenheimer, czy już pan nie śpi? – odezwał się głos radiotelegrafisty.

– Co się dzieje? – burknął.

– Hauptsturmführer Vogler kazał mi pana obudzić. To pilne.

Komisarz wiedział, co to oznacza. Znaleźli kolejne zwłoki. To musiało być to. Z przygnębieniem opadł na łóżko i zamknął oczy. Pościel była przyjemnie ciepła. Nienawidził myśli, że poza obrębem prześcieradła istnieje jeszcze jakiś świat.

– Panie Oppenheimer? Idzie pan?

– No już, niech pan to z siebie wyrzuci, skoro to takie ważne! Co się stało?

– Złapali go.

Później komisarz nie mógł sobie przypomnieć, jak zarzucił na siebie wszystkie części garderoby. W mig był gotowy i stanął w pełnym ubraniu obok łóżka. Lisa powoli się budziła, przeciągając się pod kołdrą. Uśmiech zniknął jej z twarzy, kiedy zobaczyła męża krzątającego się gorączkowo po pokoju.

– Richardzie, co się stało?

Nachylił się ku niej.

– Musisz iść do Hilde – szepnął. – Idź zaraz po moim wyjściu. Powiedz jej, że schwytaliśmy podejrzanego. Nazywa się Karl Ziegler. Tylko uważaj, żeby cię nikt nie śledził.

Już z daleka widać było ogromne okna po obu stronach potężnej mansardy. Niegdyś w tym budynku mieściła się szkoła rzemiosła artystycznego, ale atelier i sale wykładowe służyły teraz do innych celów. Od 1939 roku miał tu swą siedzibę Departament IV Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, odpowiedzialny za poszukiwanie i represjonowanie wrogów systemu. Porzucając biurokratyczną terminologię: w budynku znajdowała się główna siedziba Gestapo.

Po mieście od dawna krążyły pogłoski o tym miejscu. Szeptano o specjalnym więzieniu, w którym osadzano najzagorzalszych przeciwników reżimu. Powtarzano historie o brutalnych torturach, przez funkcjonariuszy nazywanych „zaostrzonymi przesłuchaniami”. A ponieważ nikt tak naprawdę nie wiedział, co się dzieje za tymi murami, ludność coraz bardziej paraliżował lęk, co okazało się jak najbardziej zgodne z wolą przywódców partii. Było uderzające, że żaden z wyższych funkcjonariuszy nigdy nawet nie próbował dementować tych okropności, ponieważ im bardziej przerażające domysły krążyły na temat tego, co Gestapo wyprawia z więźniami, tym lepiej. Już w pierwszych latach zamieszek ulicznych nazistowscy hierarchowie wiedzieli, że strach jest ich sprzymierzeńcem. System inwigilacji, po przejęciu władzy stworzony przez Göringa pod egidą Gestapo, był konsekwentną kontynuacją tej koncepcji.

Nic zatem dziwnego, że Oppenheimer czuł się nieswojo, kiedy Hoffmann wysadził go na rogu Prinz-Albrecht-Straße. Z ociąganiem zbliżył się do potężnych kamiennych filarów po obu stronach wejścia. Przed portalem stali dwaj uzbrojeni strażnicy. Nie znał chyba innego miejsca na ziemi, do którego czułby większą odrazę. Poza tym dla człowieka w jego sytuacji nie było raczej wskazane przekraczanie progu tego budynku. Ale nie miał innego wyjścia, jeśli chciał doprowadzić tę sprawę do końca.

Niebo zaciągnęło się chmurami. Krople deszczu, które towarzyszyły im podczas jazdy do śródmieścia, zrobiły się zimne i twarde. Przechodnie, szukający schronienia przed pierwszymi grudkami gradu, omiatali go

zdziwionym spojrzeniem. Zwolnił. Wreszcie stanął bezradnie na środku chodnika, przestępując z nogi na nogę i nie ośmielając się wejść do środka. Jeden ze strażników zaczął mu się podejrzliwie przypatrywać, i wtedy komisarz uświadomił sobie, jak musi wyglądać. Uznał, że nie ma sensu wystawać dłużej przed wejściem i roztrząsać możliwego ryzyka. Zdecydowanym krokiem wszedł na schody i pociągnął do siebie ogromne drzwi.

Wszedł do przedsionka. Po prawej stronie była portiernia.

– Pan do kogo? – zapytał dyżurny funkcjonariusz.

W jego głosie nie usłyszał wrogości, raczej znudzenie. Mimo to aż się wzdrygnął.

– Jestem umówiony – wydusił z siebie jak winowajca.

– On do mnie! – rozległo się z wnętrza budynku i po chwili dołączył do nich Vogler. – Hauptsturmführer Vogler. Ten pan to Richard Oppenheimer. Potrzebny mi będzie podczas przesłuchania.

Portier skwitował te wyjaśnienia wzruszeniem ramion i gestem przepuścił Oppenheimera. Za ciężkimi wrotami znajdował się reprezentacyjny hol pełen zamaszystych łuków, sztukaterii i ogromnych okien, ale esesman od razu skręcił w korytarz po lewej stronie, który w porównaniu z holem sprawiał dość surowe wrażenie.

– Ziegler jest na dole – oznajmił.

Po kilku metrach pojawiły się schody. Korytarz w podziemiach wyglądał niemal identycznie. Brakowało tu tylko okna na końcu. Po obu stronach mieściły się drzwi do pokojów przesłuchań.

Vogler zdecydowanie kroczył przed siebie. Nagle z któregoś pomieszczenia dobiegł wrzask. Oppenheimer zamarł i popatrzył w kierunku, z którego dochodził odgłos. Przełknął ślinę, wyobrażając sobie, co musi się dziać za drzwiami.

Dał się słyszeć kolejny wrzask. Cień komisarza zatańczył na posadzce, kiedy ten ruszył przed siebie, by dogonić Voglera, czekającego już przed drzwiami innego pomieszczenia.

– Do pana wiadomości: Ziegler został zatrzymany dziś o piątej rano niedaleko swojego mieszkania. Do tej pory nie podał, dlaczego wrócił. Poruszał się pieszo. Po furgonetce nie ma śladu.

– Hm, więc milczy?

– Chcę zamknąć tę sprawę tak prędko, jak to możliwe. Mamy już wystarczająco dużo poszlak. Najlepiej byłoby oczywiście, gdyby Ziegler przyznał się do winy.

Oppenheimer chciał zaprotestować. Jego zdaniem wszystko to działo się trochę zbyt szybko. Tyle istotnych kwestii nie zostało jeszcze rozstrzygniętych. Gdzie zabójca zawoził swoje ofiary, by je okaleczać i uśmiercać? Jaki miał w tym cel? Czy istniało jakieś wyjaśnienie dla tych zbrodni? Honor policjanta nakazywał mu, by takich pytań pozostało jak najmniej, i komisarz ani myślał zmieniać swoje przekonania, choć miał na karku samego Goebbelsa. Nie liczył na zrozumienie Voglera. Tamten chciał tylko rezultatów, i to jak najprędzej.

– Zobaczymy, co da się zrobić – odpowiedział tylko.

Już miał wejść do środka, gdy nagle otwarły się drzwi, zza których przed chwilą dobiegały krzyki. Teraz było cicho. Na korytarz wyszedł krępy gestapowiec z purpurową głową. Przez ramię miał przewieszoną marynarkę od munduru. Był cały spocony; wyjął chustkę i otarł mokre czoło. Potem zauważył na białej koszuli ciemnoczerwoną plamę. Zaklął i spróbował wytrzeć ją chustką. Widząc, że jest obserwowany, znieruchomiał na moment. Popatrzył na Oppenheimera i po koleżeńsku skinął mu głową. Po chwili podjął swoje bezskuteczne wysiłki oczyszczenia koszuli.

Komisarz wszedł do pokoju przesłuchań. Wydało mu się dziwne, że akurat tam poczuł się bezpiecznie.

– Chce pan papierosa? – zapytał Oppenheimer, otwierając papierośnicę.

Głupi Kalle popatrzył na niego bez wyrazu, potem zatrzymał spojrzenie na białych papierosach. Na jego twarzy nie pojawił się nawet cień pożądania, jakie w obliczu deficytu wyrobów tytoniowych poczułby każdy palacz. Oppenheimer wyjął jednego i poczęstował nim aresztowanego. Ten bez słowa komentarza wziął go i włożył sobie do ust. Przez ostatnie pół godziny, które spędzili razem w pokoju, wydusił z siebie może z tuzin słów. Zapowiadało się ciężkie przesłuchanie.

Ziegler na próżno przeszukał kieszenie w poszukiwaniu zapałek. Esesmani odebrali mu wszystko, co miał przy sobie.

– Ognia?

Kiwnął głową. Oppenheimer powoli obszedł stół i podał mu ogień. W kącie pomieszczenia czekał z naostrzonym ołówkiem stenograf, młody

mężczyzna około dwudziestu lat. Komisarz przyglądał się podejrzanemu, zastanawiając się, co też może się dziać w jego głowie. Nie dowie się tego, dopóki ten będzie milczał.

– Dlaczego nie opowie mi pan, gdzie był minionej nocy? – podsunął. – Czy to jest dla pana krępujące?

Głupi Kalle odpowiedział wzruszeniem ramion. Oppenheimer zastosował metodę przesłuchań, której nauczył go stary Gennat. Często był świadkiem, jak przełożony w ten sposób rozgryza najtrudniejsze przypadki. Choć jego mistrz zawsze emanował pewnym autorytetem, chyba nigdy nie zdarzyło się, by podniósł głos podczas przesłuchania. Dzięki swej tuszy sprawiał wrażenie skały i opoki, mądrego i współczującego Buddy, któremu nawet najbardziej zatwardziali kryminaliści w końcu zawierzali swe tajemnice. A Gennat naprawdę interesował się przesłuchiwanymi osobami. W pracy chodziło mu nie tylko o wyjaśnianie zbrodni, on chciał też wiedzieć, jak do nich doszło, chciał demaskować zło, aby je zwalczać. Jak na tamte czasy było to podejście jednocześnie odważne i przełomowe, a Gennat mógł się wykazać licznymi sukcesami.

Już jako młody aspirant Oppenheimer wziął sobie do serca powtarzaną wielokrotnie zasadę Gennata: „Kto tknie przesłuchiwanego, wylatuje! Nasza broń to mózg i nerwy!”. Gestapo za bardzo się tym nie przejmowało. Oppenheimer musiał teraz zachować spokój i pozyskać zaufanie Zieglera. Tyle że głupi Kalle nie ułatwiał mu tego zadania.

– Wie pan, o co jest oskarżony?

Puste spojrzenie.

– Znaleziono pięć okaleczonych kobiet. Zostały uprowadzone i zamęczone w okrutny sposób. Chce pan coś powiedzieć na ten temat?

Na twarzy Zieglera nie było najmniejszej reakcji, ani zaskoczenia, ani odrazy. Nie zaprzeczał też, że to zrobił. Reagował zbyt chłodno jak na niewinnego, to jasne.

– Rozumie pan, o czym mówię? Podbrzusza tych kobiet przypominały jedną wielką ranę. Sprawca musiał być jak zwierzę. Nie, gorzej niż zwierzę, bo on się cieszył z cierpienia ofiar.

Ziegler wreszcie się ożywił. Odchrząknął.

– Ja żem nikogo nie zakatrupił.

– Skoro tak, to dlaczego nie powie mi pan, gdzie był w ostatni weekend? Możemy to sprawdzić. To całkiem proste. Jeśli pana informacje okażą się

prawdziwe, dopilnuję, żeby został pan natychmiast zwolniony.

Ziegler sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał. Potem potrząsnął przecząco głową.

– Ja żem nikogo nie zakatrupił – powtórzył.

– Jak panu jest u starego Brauna? Lubi pan pracę w warsztacie?

– Może być.

– Mówił mi, że ma pan furgonetkę. Nie myślał pan nigdy o tym, by pracować na swoim? Założyć firmę? Przewozy, przeprowadzki, coś w tym rodzaju? To z pewnością byłoby interesujące dla człowieka o pańskich zdolnościach. Dla firmy Höcker & Söhne też wykonywał pan zlecenia, jeśli dobrze pamiętam?

Ziegler zaciągnął się papierosem. Błękitny dym zasłonił jego twarz.

Kiedy dwie godziny później Oppenheimer uświadomił sobie, że przez cały czas mówił tylko on, zaczęło mu świtać, że w ten sposób donikąd nie zajdzie. Ziegler nie chciał gadać nawet o samochodach, tematyce, dzięki której komisarz miał nadzieję nawiązać z nim nić porozumienia. Głupi Kalle pozostawał zagadką. Komisarz musiał przyznać, że nie ma pojęcia, na co go wziąć. Jedno było jasne: musieli jeszcze odrobić swoje lekcje.

Oppenheimer przeszukiwał wzrokiem bałagan, jaki pozostawili w drewniaku ludzie Voglera. Gdzieś w tych śmieciach znajdowało się dojście do Karla Zieglera. Czy miał jakieś życzenia? O czym marzył? Czym gardził? Co robił w wolnym czasie? Stary Braun nie umiał pomóc w tym względzie. Braunowa też niewiele wiedziała o pomocniku męża. Wprawdzie pracował u nich już od prawie czterech lat, ale pozostał obcym przez cały ten czas. Wziąwszy pod uwagę, jak wielkim był mrukiem, Oppenheimer nie widział w tym nic dziwnego.

Głupi Kalle wieczorami zaszywał się w swojej chacie. Braunowie nie wiedzieli, co tam robił. Nieszczególnie ich to obchodziło, dopóki zachowywał się spokojnie. Raz Braunowa chciała mu zanieść trochę zupy, ale ją wyrzucił. Potem nie podejmowała już więcej prób wtargnięcia do jego królestwa.

Komisarz podrapał się z niezadowoleniem po głowie. Wychodząc, Ziegler zwykł zamykać swą budę na klucz. Było prawdopodobne, że przechowywał tu coś, co miało dla niego ogromne znaczenie. Tylko co? Może był tu jakiś przedmiot mający dla niego wielką wartość

sentymentalną, podczas gdy inni wzięliby go za zwykły rupieć. Komisarz zabrał ze sobą listę wszystkich rzeczy. Nie było wśród nich żadnych wartościowych przedmiotów. Ziegler nie posiadał fotografii ani podobnych pamiątek, które pozwoliłyby się domyślić czegoś o jego pochodzeniu. Można było odnieść wrażenie, że pojawił się znikąd.

Oppenheimer westchnął smętnie i zaczął jeszcze raz przeszukiwać chatę. Kompletna kolekcja płyt leżała w nieładzie na walającej się brudnej bieliźnie. Ludzie z SD powyjmowali płyty z kopert i z zimną krwią rozrzucili je po ziemi. Dla komisarza było to świętokradztwo. Gdyby ktoś obszedł się tak z jego płytami, zmyłby mu głowę, nawet gdyby to był Vogler. Niewiele brakowało, a posłuchałby instynktu i uporządkował płyty, ale przypomniał sobie, że nie po to tu przyszedł. Skupił się na tym, by znaleźć w tym bałaganie jakiś punkt zaczepienia.

Stały tu łóżko, komoda i dwa stoły. Ostrożnie ominął płyty. Łóżko okazało się prostym stelażem zbitym z drewna, na którym poza materacem nie dało się umieścić niczego więcej, nie mówiąc o schowaniu czegoś. Przyciągnął do siebie komodę i zbadał jej tył. Oczywiście ludzie z SD pomyśleli i o tym, ale to mu nie przeszkodziło, by jeszcze raz powyciągać szufladki, od spodu obejrzeć ich dna i sprawdzić puste przestrzenie w poszukiwaniu schowanych przedmiotów. Nie znalazł niczego. Stoły nie miały szuflad, były to proste surowe blaty na czterech nogach. Tu również niczego nie dało się schować. Komisarz zaklął pod nosem.

Zrobił krok w tył i stanął na bieliźnie, wyczuwając pod stopą coś twardego. Zdawało mu się, że usłyszał stłumiony trzask. Odwrócił się zaskoczony i podniósł palcami slipy. I rzeczywiście, nie mylił się. Pod nimi leżała pęknięta płyta. Uznał, że jednak je pozbiera, by móc się swobodnie poruszać bez ryzyka podeptania kolejnych.

Szukając koperty, przypomniał sobie, że Ziegler utrzymywał swoją kolekcję w takim samym porządku jak on własną. Niespodziewanie zakiełkowała w nim nadzieja, że może zdoła przełamać lody miłością do płyt dzieloną z podejrzanym. Może muzyczny gust Zieglera stanowił sposób na zrozumienie jego osobowości. Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej obiecujący wydawał mu się ten pomysł. Przeszukał całą podłogę i znalazł około trzydziestu płyt, które poustawiał w porządku na metalowym stojaku. Niektóre koperty były podarte, ale większość

zachowała się w dobrym stanie, więc Oppenheimer mógł pochować do nich krążki.

Ziegler nie miał wyrafinowanych upodobań. Było tu trochę marszów i popularnych przebojów w rodzaju *Heimat deine Sterne*. Niektóre płyty nie były oznakowane. Oppenheimer przyjrzał im się bliżej, zaintrygowany. To nie były zwykłe krążki, jakie kupuje się w sklepie. I rzeczywiście. Rozpoznał płyty acetatowe. Wyglądało na to, że Ziegler nagrywał je sam. Cztery matryce były jeszcze dziewicze, ale na pozostałych wytłoczono ścieżkę dźwiękową. Oppenheimer zastanawiał się, co takiego tamten mógł nagrywać. Audycje radiowe?

Położył jedną z matryc na talerzu gramofonu i ostrożnie opuścił igłę.

Gramofon zaczął krzyczeć. Głosem kobiety. Dobiegł go cichy skowyt, przeradzający się w paniczny krzyk. Oppenheimer zawsze uważał się za rutyniarza. Choć w karierze policjanta sporo już przeżył i miał opinię faceta o żelaznych nerwach, słysząc to, poczuł, jak ścina mu się krew w żyłach. Słuchał dźwiękowego zapisu tortur, stając się świadkiem niewyobrażalnej grozy. Wprawdzie to już była przeszłość, ale poczuł się, jakby przebywał na miejscu zbrodni. Słyszał metaliczny stukot młotka trafiającego na stal; gwóźdź, z każdym uderzeniem wchodzący głębiej w kanał słuchowy ofiary. Zaczęło docierać do niego, co musiały przeżywać kobiety we władzy tego szaleńca.

Nagranie na tej stronie płyty trwało niecałe cztery minuty. Oppenheimer prawie żałował, że je odtworzył, lecz jednocześnie odczuwał coś w rodzaju ponurej ulgi, że ten koszmar wreszcie się skończy. Podniósł ramię gramofonu, przekonany, że nigdy w życiu nie zapomni tych dźwięków.

26

sobota, 24 czerwca 1944

– Chcesz umrzeć? – wysyczał głos.

– Tak – załkała kobieta.

– Poproś.

– Zabij mnie! Proszę, zabij mnie!

Oppenheimer nie mógł tego dłużej znieść. Wyłączył gramofon i wbił spojrzenie w Zieglera. Mężczyzna miał rozszerzone oczy i zaczerwienioną twarz, ale nie odzywał się ani słowem, tylko wpatrywał się milcząco w tubę gramofonu.

– Co to za nagrania?! – huknął na niego komisarz. Odrobinę głośniej, niż zamierzał. Z trudem przełknął gniew. Zachowanie spokoju sporo go kosztowało. – Jeśli mi pan nie powie, co to za nagrania, będę zmuszony przyjąć, że to pan ich dokonał. Że to pan jest sadystą, który uprowadził i dręczył te kobiety.

Ziegler poruszył się niespokojnie.

– Koniec wymówek. Te płyty znajdowały się w pana posiadaniu. To zapis dźwiękowy potwornych zbrodni. Nie ma sensu zaprzeczać.

– Ja żem nikogo nie zakatrupił!

Oppenheimer musiał wziąć głęboki wdech, żeby zadać rzeczowe pytanie.

– Gdzie pan to nagrał?

– To nie byłem ja!

– Kalle, nie rozumiesz, że w ten sposób tylko pogarszasz sprawę?

– Mnie tam życie miłe, nie powiem… – Ziegler urwał w pół zdania.

– Czego nie chcesz mi powiedzieć?

– To nie byłem ja, panie komisarzu!! – krzyknął na całe gardło Ziegler, po czym zapadł się w sobie. – Wrobić mnie chcecie! Od samego początku! Nic ze mnie nie wydusicie. Nikogo nie zakapuję!

– Co powiedziałeś o kapowaniu? Chcesz mi wmówić, że to był ktoś inny?

Żadnej reakcji.

– Kalle! Mówię do ciebie!

Czyżby Ziegler chciał się wykręcić? Taka reakcja nie była niczym niezwykłym. Oskarżeni często zrzucali winę na wyimaginowanego znajomego albo wręcz kogoś obcego, na fantom, który nigdy nie zostanie ujęty, ponieważ nie istnieje. Ale Oppenheimer dysponował dowodami, że Ziegler ma coś na sumieniu, i chciał się dowiedzieć co. Czy ten człowiek był szaleńcem? A może tylko wyobrażał sobie wspólnika, by przed sobą samym nie przyznawać się do winy? Komisarz poszukał w pamięci, co Hilde opowiadała mu o schizofrenii.

– Kalle, czy ty czasem słyszysz głosy?

– Jak ktoś do mnie gada, to tak. Nie mam kuku na muniu, panie komisarzu.

Oppenheimer wielkodusznie postanowił spróbować jeszcze raz.

– Czy ktoś ci kazał zabijać te kobiety?

– Psiakrew, ja żem nikogo nie zakatrupił! – wybuchnął Ziegler.

Komisarz zadał sobie pytanie, czy Ziegler rzeczywiście ma dość oleju w głowie, żeby zrealizować ten odrażający plan i przez wiele tygodni bawić się w kotka i myszkę z SS. Przypomniał sobie Karla Großmanna i płynący z tamtej sprawy wniosek, że mordercy o niewielkiej inteligencji są szczególnie trudni do ujęcia, ponieważ nie da się przewidzieć ich posunięć. Przywołał w myślach niegodziwe wystawienie na pokaz okaleczonych kobiecych zwłok, pięć kobiet pozbawionych życia, bo tak chciał ten uparty idiota. I stało się coś, czego jeszcze nigdy nie doświadczył podczas przesłuchania. Ogarnęła go nienawiść, tak wielka, że ledwie mógł nad nią zapanować.

Posępnie mierzył wzrokiem to żałosne indywiduum, bełkoczące w kółko to samo, z którego z trudem dało się wydobyć sensowne informacje. Było oczywiste, że Ziegler uczestniczył w morderstwach i próbował grać na zwłokę. Odmawiał współpracy dla samej zasady. Ostatnia iskra współczucia, jaką komisarz zdołał w sobie wykrzesać, zgasła. Chciał odpowiedzi. I było mu już obojętne, jak je uzyska.

Zerwał się jednym susem i obiema rękoma chwycił podejrzanego za gardło.

Krzesło pękło pod ich ciężarem. Wylądowali na podłodze, ale nie puszczał. Chciał, żeby ten żałosny łajdak zapłacił za wyrządzone zło. Twarz przed nim poczerwieniała, oczy wyszły na wierzch, usta rozwarły się w niemym krzyku. Ziegler okładał go pięściami po plecach, ale on nie czuł bólu. Był za bardzo opętany żądzą wymierzenia sprawiedliwości, oko za oko, życie za życia.

Kątem oka zauważył ruch. To pewnie stenograf. Dwoje silnych rąk chwyciło go i oderwało od Zieglera łapczywie chwytającego powietrze.

Nie chciał zwolnić chwytu, wyciągał ręce, ale ktoś mocno szarpnął go w tył i wypchnął na korytarz. Usłyszał trzask zamykanych drzwi.

– No co? – zaperzył się. – Już go prawie miałem!

Ręce go puściły. I wtedy zobaczył, że to Vogler wyrzucił go za drzwi.

– To już nasze zadanie – oznajmił Hauptsturmführer. – Dziękuję za pomoc. Teraz, kiedy już mamy mordercę, sprawę przejmuje SS.

Komisarz był zbyt wzburzony, by zrozumieć jego słowa.

– Niech mi pan da godzinę. Jedną godzinę. Wydobędę z niego te informacje!

– Dziękuję za propozycję, ale mamy własne metody. Proszę czekać na dalsze instrukcje. Odezwę się, jeśli będzie pan mógł coś jeszcze dla nas zrobić. – To rzekłszy, zniknął w pokoju.

Oppenheimer uspokoił oddech. Pulsowanie w głowie ustało. Powoli docierało do niego, że nie gra już żadnej roli w tym śledztwie. To był koniec, on zaś na pożegnanie dał niechlubny spektakl. Stopniowo zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, co narobił. O mały włos nie zabił podejrzanego. W ciągu kilku sekund zniweczył wszystko, w co wierzył. Zlekceważył świętą zasadę mistrza Gennata. Zaatakował oskarżonego, by wymusić na nim przyznanie się do winy. Nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek to sobie wybaczy. Co by się stało, gdyby Vogler w porę go nie powstrzymał? Bał się o tym myśleć. Zza drzwi docierały wrzaski esesmana.

– Mamy świadków, którzy cię widzieli, Ziegler! – blefował Vogler.

Będzie tak długo wywierać na Kallego presję, podsuwając mu fałszywe dowody, aż ten przyzna się do wszystkiego. Komisarz wiedział, że to standardowa metoda Gestapo. Przestał zaprzątać sobie głowę esesmanem, myślał o sobie.

Schwytał mordercę, ponosząc jednocześnie ogromną klęskę. Oszołomiony, do głębi zawstydzony swym zachowaniem, tkwił na środku korytarza.

Przytrzymywał się gładkiego emaliowanego brzegu umywalki. Było ciemno. Przez okienko wąskie jak otwór strzelniczy wpadał do środka cienki promień słońca. Ogarnęła go apatia, tak silna, że sądził, iż nigdy nie uda mu się z niej wyrwać. Musiał się skoncentrować, odzyskać spokój, by zacząć jasno myśleć. Nie widział wyjścia. Tylko wiara w swą misję powstrzymywała go od kapitulacji.

Już w czasie wojny podobało mu się zabijanie. Ale wtedy nie było w tym nic szczególnego. Jego towarzysze broni na froncie doświadczali tego samego. Wrócił do ojczyzny i dopiero po kilku latach zorientował się, że jest inny.

Wtedy, gdy podczas ataku szału udusił kurwę, która bezczelnie wyśmiewała się z jego organu płciowego, jeszcze o niczym nie wiedział. Wpadł w panikę, kiedy dotarło do niego, że zdzira z ordynarnym makijażem jest martwa. Uciekł z jej pokoju w nadziei, że nikt go nie widział. Przez kolejne dni unikał swojego lokum, zaszył się na mieście, gotów do ucieczki na widok każdego posterunkowego. Ale nikt go nie szukał, nikt nie chciał pociągnąć go do odpowiedzialności. W końcu odważył się wrócić do domu i życie potoczyło się zwykłym biegiem. A jednak świat nieodwracalnie się zmienił.

Odwrócił się i spojrzał na budzik. Upewnił się, że farba była nałożona wystarczająco długo, po czym nachylił się i spłukał włosy.

Kiedy przypomniał sobie, jak się patyczkował po zamordowaniu tej pierwszej baby, zachciało mu się śmiać. Ależ był z niego amator. Niepewny. Zalękniony. Pchany popędem, którego początkowo nie potrafił zrozumieć.

Długo bił się z myślami, aż w końcu nadszedł moment, w którym wszystko zyskało sens. Zrozumiał, jak to się ze sobą wiąże, pojął, jaką rolę w tym odgrywa. Od tamtej pory wiedział, że już dawno zalęgło się w nim coś, co nieustannie rosło, potężniało i w końcu uwolniło się w gwałtownym wybuchu.

Wytarł do sucha rozjaśnione włosy. Odłożył ręcznik i nie mógł oderwać wzroku od swego odbicia w lustrze. Znowu przypominał osobę, jaką

pragnął być. Przepełniony dumą widział bestię niosącą śmierć, ucieleśnione proroctwo Führera.

Z zadowoleniem upewnił się, że u nasady włosów nie widać ich naturalnego koloru. Wiedział, że istota w lustrze jeszcze nie jest doskonała. To był nieustający proces uczenia się. Przez ostatnie lata zrobił wiele kroków we właściwym kierunku. Z jednej umiejętności był szczególnie dumny: ze swego instynktu, który pomagał mu namierzać ofiary. Potrafił znajdować kurwy w miejscach, gdzie się ich w swej początkowej naiwności nie spodziewał. Nawet lekarze, u których przez jakiś czas się leczył, nie umieli powiedzieć, jak wielkie zagrożenie stwarzają prostytutki. Był niemal wdzięczny tamtej głupiej dziwce, że go wyśmiała i obudziła w nim podejrzenia.

Ułożył czworo odciętych ramion przed Kancelarią Rzeszy, żeby sprowokować reakcję. Ale ta okazała się inna, niż oczekiwał. Role się odmieniły. On sam stał się zwierzyną. Sługusy z SS ścigały go jak kryminalistę. Chciały go wyeliminować. Nie miał wątpliwości, że sytuacja stała się poważna.

Ruszył do drzwi, lecz przystanął po paru krokach. Słuchając wewnętrznego nakazu, podszedł do słoików, stojących w równym rządku na półce. Miał nadzieję, że ich widok mu pomoże, ale jego serce opanowały wątpliwości. Nie wiedział, czy pomimo swych zdolności zdoła kontynuować swą misję. Musiał się jakoś odnaleźć bez pomocy Kallego.

Zganił się w duchu za naiwność, która kazała mu zaufać takiemu idiocie. Ale Kalle był użyteczny, dobrowolnie odwalał robotę, przed którą on sam się wzbraniał. Bez niego nie byłoby tak łatwo ustrzec się przed skażoną krwią kurew. Kalle nie miał oporów przed odrzynaniem narządów płciowych i wkładaniem ich do roztworu soli. Kalle nie podzielał jego przekonań, on zaś nie zamierzał go oświecać. Kallemu i tak było wszystko jedno, dopóki mógł wykorzystywać baby do tych swoich zabaw. A teraz go nie ma. Ulotnił się, ot tak.

Oparł się o zimną ścianę i stawił czoła nieuniknionemu pytaniu. Czy cała jego praca poszła na marne? Dla dodania sobie odwagi znów spojrzał na słoiki. Ale zamknięte w nich złe narządy płciowe zdawały się jedynie martwymi kawałkami tkanki. Uświadomił sobie, że wspomnienie jego czynów blednie. Potrzebował tych myśli, potrzebował ich na potwierdzenie, że nie jest bierny, że nadal podąża właściwą drogą.

Wydało mu się, że gdzieś w oddali słyszy perlisty śmiech kurwy, ale wiedział, że to tylko złudzenie. Założył maskę gazową, którą nosił stale przy sobie. Pod swą drugą skórą czuł się bezpiecznie. Umocował ją, a znajome poczucie bezpieczeństwa zaczęło powoli powracać. Wziął głęboki wdech i odległy śmiech umilkł. Dochodził już tylko ostry syk filtra. Wątpliwości zostały wyparte.

Chłodno rozważył różne możliwości. To, że Kalle zniknął, oznaczało prawdopodobnie, że został złapany przez SS. Poddadzą go przesłuchaniom i w końcu zacznie sypać. Wprawdzie ukrył magazyn w lesie, ale przestał on być bezpiecznym miejscem. Prześladowcy mogli pojawić się tam w każdej chwili.

Wiedział już, czego się spodziewać. Zdawał sobie sprawę, że ma przewagę. Mógł w spokoju poczynić wszelkie przygotowania, zanim dorwie kolejną kurwę.

Nie miał już najmniejszych wątpliwości, że musi kontynuować swoje zadanie. Nawet jeśli będą go ścigać, on nie przestanie prześladować tych dziwek. Łapać ich. Zabijać. Wiele jeszcze było takich, które należało ukarać. Musiał tylko znaleźć jakiś sposób, by się zabezpieczyć na wypadek, gdyby wpadli na jego trop.

Stanął pośrodku magazynu, powiódł dokoła wzrokiem i zastanowił się, jak postąpiliby prześladowcy. Żeby dostać się na posesję, musieli nadejść opuszczonym leśnym traktem. Do magazynu prowadziło dwoje drzwi, ale tylne wejście zamurował już wiele lat temu, żeby odciąć drogę ucieczki kurwom. Poza tym był jeszcze żelazny właz do piwnicy na węgiel, ale rosły na nim chaszcze i dało się go otworzyć wyłącznie palnikiem. Wiedział więc, którędy musiałby się tu dostać chcący go zaskoczyć intruz: przez przednie drzwi, potem przez magazyn i do pracowni. Tam, gdzie wykonywał wyroki.

Postawił się na miejscu prześladowców. Skulony zakradł się wzdłuż ściany i wychynął przez otwarte drzwi.

Stanął w pracowni. Spojrzał na drewnianą podłogę, która zaskrzypiała pod jego ciężarem. Zewnętrzne ściany magazynu były wprawdzie zbudowane z solidnej cegły, ale wnętrze groziło zawaleniem. Tylko parę spróchniałych desek chroniło przed zarwaniem podłogi i upadkiem do piwnicy.

I wtedy pojawił się pomysł, na który czekał. Nie, nic mu nie mogą zrobić. Wiedział, jak im się wymknie. Poczuł, że jest gotów. Na kolejny atak.

– Wyścig dobiega końca. Jest jeden faworyt, ale tuż przed linią mety wymieniono konia. Myślę, że możemy ściągnąć już z Hoppegarten naszą starą chabetę.

Hilde zrozumiała zawoalowany opis sytuacji.

– Hycel powiadomiony. Ale dotarcie do Hoppegarten potrwa co najmniej trzy godziny. Do torów wyścigowych jest dość daleko.

– Tak jak mówiłem, nie możemy zrobić nic więcej. Na razie. – W głosie Oppenheimera pobrzmiewało rozczarowanie.

Odłożył słuchawkę na widełki i przez chwilę wpatrywał się w aparat. Musiał teraz pomyśleć o innych rzeczach. Cóż, Vogler odebrał mu sprawę, a jej zakończenie było niestety rozczarowujące, ale nie dało się tego zmienić. Teraz, kiedy już nie był potrzebny, znalazł się w nadzwyczaj groźnym położeniu. Nie wolno mu było oglądać się do tyłu. Jego celem miał być wyjazd z Niemiec i poszukanie schronienia gdzie indziej. Miał jeszcze trzy godziny. Wydały mu się one nieskończenie długie. Tak wiele mogło się nie udać.

Wyszedł z poczty i nie wiedział, dokąd iść. Miał przed sobą Potsdamer Platz, w stronę dworca zdążali śpiesznie liczni przechodnie, co nie było dziwne, o tej porze niektórzy kończyli już bowiem pracę. Z Leipziger Straße skręciła w Hermann-Göring-Straße furmanka, wpadając przy tym na rowerzystę, który – zepchnięty na jezdnię – dzwonkiem dał wyraz swemu oburzeniu. Życie toczyło się własnym biegiem, ale komisarz czuł się odcięty od tego wszystkiego. Tkwił zagubiony pośrodku wieczornego gwaru, nagle obcy w tętniącej życiem metropolii.

Hoffmanna nie było widać, pewnie woził teraz po Berlinie ważniejsze osoby. Oppenheimer postanowił pojechać linią metra AII do przystanku Krumme Lanke. Uznał, że stamtąd będzie bliżej do stacji West-Zehlendorf. Okazało się jednak, że w środę bomby uszkodziły strop dworca. Stacja była zamknięta, a prace wciąż trwały. Miał nadzieję, że zorganizowano przynajmniej jakąś komunikację zastępczą.

Zamierzał właśnie przejść na drugą stronę Saarstraße, gdy ktoś zawołał go po nazwisku.

– Panie Oppenheimer! Niech pan zaczeka!

Obejrzał się za siebie, nie zauważył jednak nikogo znajomego. Przez tłum kuśtykała jakaś wymachująca kapeluszem postać z niemal łysą głową. Güttler. Przypomniał sobie. Dał mu do wykonania zadanie, po tym jak znaleźli ciało prostytutki o imieniu Friederike, która naprawdę nazywała się Verena Opitz, zanim Waffen-SS nadało jej pseudonim Edith Zöllner. Panna Becker widziała mordercę, jak wykradał się z cmentarza w Steglitz. Ale podane przez nią opisy sprawcy przeczyły sobie.

– Tu pan jest! – zawołał z radością Güttler. – Nie zastałem pana w Zehlendorfie i już się wybierałem do Hauptsturmführera Voglera.

– Jak się pan miewa, panie Güttler?

– Powierzył mi pan pewne zadanie. Odnalezienie tej panny Becker to była iście syzyfowa praca. – Z dumnym uśmiechem oznajmił: – Ale podołałem temu.

– Dowiedział się pan, gdzie mieszka?

– Panna Becker przeniosła się do Dahlem. W urzędzie meldunkowym błędnie zapisano jej nazwisko. Elfriede Bäcker, „ä” zamiast „e”, rozumie pan? Trochę trwało, zanim do tego doszedłem. Podała, że wszystkie jej papiery zaginęły podczas bombardowania.

Oppenheimera coś tknęło. To wszystko do siebie nie pasowało. Kiedy rozmawiał z panną Becker, miała się czym wylegitymować. A do czasu jej zniknięcia nie było nowych nalotów. Tak się nie zachowuje niewinna osoba. Ta kobieta coś ukrywała. Zanotował sobie jej nowy adres.

– Czy ktoś jeszcze o tym wie?

– Oczywiście, że nie. Pan mi to zlecił, i to panu składam raport.

– Dziękuję panu, Güttler. Dobry z pana człowiek. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy. Może przy okazji następnego śledztwa.

Pożegnał się pustą obietnicą i podaniem ręki. Ani się obejrzał i znów myślał o sprawie. Upewnił się, że metro kursuje zgodnie z planem, i postanowił, że wysiądzie wcześniej. Stacja Dahlem-Dorf znajdowała się cztery przystanki przed stacją końcową Krumme Lanke. Jeśli odwiedzi pannę Becker, nie nadłoży wiele drogi, a przecież ma jeszcze niemal trzy godziny.

Pożółkły szyld informował wielkimi literami: „Zamknięte do ostatecznego zwycięstwa”. Właściciel zakładu krawieckiego wetknął kartkę za szybę

drzwi. Czy był to cyniczny komentarz do aktualnej sytuacji, czy krawiec rzeczywiście wierzył w zwycięstwo niemieckiej armii, nie dało się wywnioskować.

Oppenheimer odszukał wzrokiem numer domu. Była to siódemka, adres podany przez Güttlera. Jeśli jego informacje okażą się prawdziwe, to tutaj mieszka teraz panna Becker.

Bomby oszczędziły kamienicę, podobnie jak cały ciąg ulicy. Nad zakładem krawieckim były jeszcze dwa piętra. W oknach wisiały firanki, a więc ktoś tu przebywał.

Wejście znajdowało się z boku budynku. Oppenheimer poszukał na skrzynkach na listy nazwiska panny Becker i rzeczywiście, widniało ono na jednej.

Dotarł na najwyższe piętro, zadzwonił i usłyszał dochodzący z mieszkania nerwowy tupot. Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich Elfriede Becker, mrugająca oczami zza szkieł okularów.

– Tak? – zapytała niepewnie.

– Elfriede Becker? – zapytał.

– O co chodzi? – Kobieta odruchowo owinęła się ciaśniej swetrem.

– Komisarz Oppenheimer. My się już znamy. Chodzi o tamtą sprawę z cmentarzem w Steglitz. Miałbym jeszcze parę pytań. Mógłbym wejść?

– Ja… to jest, niestety, niekorzystny moment. Muszę zaraz wyjść. Mam spotkanie, rozumie pan.

– To potrwa tylko chwilę – zapewnił ją i zanim zdążyła zareagować, wśliznął się do środka.

Kobieta wyglądała odrobinę młodziej niż tamtej nocy na posterunku. Oppenheimer ocenił ją na trzydziestkę. Z ociąganiem zaprosiła go do salonu.

– Trudno panią znaleźć – powiedział, siadając w fotelu.

– Co ma pan na myśli?

– Adres, który miałem zapisany, jest już nieaktualny. Dom został zrównany z ziemią. No i podała pani błędne nazwisko w urzędzie meldunkowym.

– Co? To niemożliwe. To pewnie pomyłka urzędnika. Nie moja. Mają taki nawał pracy.

Pod lampką na stole stała fotografia w ramce. Ze ślubnego zdjęcia uśmiechała się promiennie nieco młodsza Elfriede Becker. Czyli ściśle

rzecz biorąc, była panią Becker, nie panną.

– Mieszka pani sama?

– Mój mąż poległ w zeszłym roku na froncie wschodnim, jeśli o to pan pyta. Może od razu przejdziemy do tego, po co pan przyszedł.

– Twierdzi pani, że widziała osobę, która tamtej nocy opuszczała cmentarz. Głupia sprawa, ale podała pani dwa różne opisy sprawcy.

– Przez pomyłkę. Kiedy przemyślałam sprawę, wszystko sobie dokładnie przypomniałam.

Oppenheimer nadstawił uszu. W pokoju obok ktoś zakasłał, wprawdzie dźwięk był przytłumiony, lecz wyraźny.

– Sąsiedzi – pośpiesznie wyjaśniła pani Becker.

– Cienkie tu mury, prawda?

– Tak, słychać wszystko, co się dzieje za ścianą.

Popatrzył jej w oczy. Potem podniósł się i bez słowa poszedł do pokoju obok, z którego dobiegł zdradliwy dźwięk. Była to sypialnia. Całą tylną ścianę zajmowała ogromna szafa na ubrania.

– Przecież mówię, że sąsiedzi – zaprotestowała pani Becker.

– To pani szafa, czy pokój był już umeblowany?

– Już tu była. Tak samo jak reszta sprzętów.

Przeszedł się wzdłuż szafy i przyjrzał dużym drzwiom. Potem zwrócił się w stronę mebla i polecił stanowczym tonem:

– Może pan wyjść! Gra skończona! Słyszał pan?

Cisza.

Jedne drzwi uchyliły się powolutku. Ze środka spoglądała para zalęknionych oczu.

– Czekam.

Szelest. Zza ubrań wyłonił się mężczyzna. Miał może ze dwadzieścia lat, w każdym razie był w wieku poborowym. Oppenheimer nagle przejrzał osobliwe zachowanie pani Becker.

– Która kompania?

– Ósma armia – odparł wystraszony mężczyzna.

Oczywiście. Dezerter. Jeden z wielu, którzy nie wrócili na front z przepustki i woleli ryzyko rozstrzelania z wyroku sądu doraźnego. Zobaczył, jak pani Becker otacza drżącego mężczyznę ramieniem, i zrozumiał. Jeśli wierzyć jej słowom, mąż zginął, a ona zakochała się na nowo. Pech chciał, że kochanek był dezerterem. Nikt nie mógł się

dowiedzieć o jego istnieniu. Musiała chyba oszaleć na punkcie tego młokosa, w przeciwnym razie nie brałaby na siebie ryzyka ukrywania go we własnym domu. Jego życie zależało od tego, czy ona nie popełni błędu. Stąd te pokrętne wyjaśnienia na policji. A teraz zbudowany przez nich domek z kart runął.

– Mówiłem ci, że to nie ma sensu, Friede – powiedział z rezygnacją.

Kobieta zaczęła cicho łkać.

– Nic mnie pan nie obchodzi – oświadczył spokojnie Oppenheimer. – Chcę tylko jeszcze raz usłyszeć zeznanie świadka. Kiedy sobie pójdę, nie zobaczycie mnie nigdy więcej. Ode mnie nikt się niczego nie dowie. Daję na to słowo honoru. Ale proszę panią, by szczerze opowiedziała mi, co naprawdę widziała wtedy na cmentarzu.

Pani Becker zaskoczona odwróciła się do komisarza. W spojrzeniu jej kochanka pojawiła się nadzieja.

– Jak mam się do pana zwracać? Chodzi mi tylko o imię, aby łatwiej mi było poprowadzić rozmowę.

– Ernst – odparł młodzieniec.

– Znamy się od niedawna – wyrzuciła nagle z siebie pani Becker. – Po raz pierwszy zobaczyliśmy się w czasie nalotu. Byliśmy w jednym bunkrze i… no cóż, od razu się zaprzyjaźniliśmy.

– Tamtej nocy odprowadzałem ją do domu – dodał Ernst.

– Dobrze, więcej nie chcę wiedzieć. Czyli szliście razem wzdłuż muru cmentarnego. Przejdźmy do najistotniejszej kwestii: kto co zaobserwował? Ernst, zacznijmy od pana.

Mężczyzna przełknął ślinę i wysilił pamięć.

– Było tak: zobaczyłem, jak ktoś się dobiera do bramy.

– Mężczyzna?

– Powiedziałbym, że tak. Poruszał się jak mężczyzna. Co miał na sobie, trudno było rozpoznać.

– Kolor włosów?

– Powiedziałbym, że brązowe albo czarne. W każdym razie na pewno nie jasne. Ale mógł też mieć na głowie czapkę.

– Co pan zrobił, kiedy go pan zobaczył?

– Wydało mi się to dość dziwne. Mężczyzna pchał wózek z dyszlem. Ale przecież w nocy nikt nie powinien pałętać się po cmentarzu. Zwróciłem na to uwagę Friede, to znaczy pani Becker.

– I nie widzieliście już niczego więcej? Czy ten mężczyzna zniknął? Nie mógł się przecież rozpłynąć w powietrzu.

Ernst zmieszany spuścił wzrok.

– Cóż, ja natychmiast rozejrzałem się za miejscem, gdzie mógłbym się schować w razie czego. Nie wiedziałem przecież, kto to. Pan rozumie, w mojej sytuacji trzeba być ostrożnym.

W ogólnych zarysach jego relacja zgadzała się z zeznaniem pani Becker.

– A teraz pani. Ernst zwrócił pani uwagę na mężczyznę przy bramie. Co pani widziała?

– Popatrzyłam w tamtym kierunku i w tym momencie księżyc wyjrzał zza chmury. Normalnie nic nie byłoby widać, ze względu na zaciemnienie. Zrobiło się jasno, tylko na chwilę, ale pierwsze, co zobaczyłam, to głowa z białymi włosami.

– Platynowy blond, tak to pani opisała.

– Tak, to brzmi dziwnie, w końcu to mężczyzna. Nie znam żadnego, który farbowałby włosy. W każdym razie prędko przeszedł przez ulicę i zniknął w ciemnościach.

– A wózek?

– Słyszałam coś, ale nie potrafiłam rozpoznać, co to.

– Które z was zauważyło, że brama jest wyłamana?

– Ja – powiedziała pani Becker. – Ktoś się włamał na cmentarz. Chciałam od razu pójść na policję, ale to było zbyt ryzykowne. Uznałam jednak, że muszę to komuś zgłosić, nie mogłam tak po prostu oddalić się cichaczem. Teraz wiem, że to nie było zbyt mądre. – Wykrzywiła usta w cierpkim grymasie. – Ernst uważa, że to ta moja pruska krew. W każdym razie powiadomiłam cmentarnego stróża, to wydało mi się najlepszym kompromisem.

– Ale on wysłał panią prosto na policję.

Skwitowała to wzruszeniem ramion.

– Na posterunku obawiała się pani dalszych kłopotów z powodu Ernsta i podała fałszywy adres? – zapytał.

– Tak naprawdę nie był fałszywy. Tylko nieaktualny. Zrobiłam to pod wpływem impulsu. Prościej byłoby pewnie podać inne nazwisko. Ale wtedy musiałabym kłamać. Ta sytuacja z Ernstem i cała reszta… przestałam jasno myśleć.

– Dlaczego nie została pani przy swojej pierwszej wersji?

– Za pierwszym razem po prostu powtórzyłam to, co powiedział Ernst. On był święcie przekonany, że tak właśnie wyglądał tamten mężczyzna.

– A potem ogarnęły panią wątpliwości. Kiedy wypytywałem, opisała pani scenę tak, jak sama ją zapamiętała – podsumował Oppenheimer.

Pani Becker siedziała skruszona na brzegu łóżka.

– Głupia gęś ze mnie. Ale nie mogłam skłamać. Sama widziałam tego człowieka. Tylko że dla mnie on wyglądał inaczej.

Oppenheimer się zamyślił. Jej relacja wydała mu się wiarygodna. Istniało proste wytłumaczenie różnicy w jej obu zeznaniach.

– Czy to możliwe, że widzieliście dwoje różnych ludzi?

– Też się nad tym zastanawiałem – powiedział Ernst. – W każdym razie nie można tego wykluczyć w stu procentach.

– Dziękuję bardzo – powiedział w końcu komisarz. – Myślę, że otrzymałem odpowiedzi na swoje pytania.

Poszedł do drzwi i odwrócił się raz jeszcze. Pani Becker i Ernst spoglądali na niego niepewnie.

– Jeśli o mnie chodzi, to wszystko – oznajmił z ręką na klamce. – Uważajcie na siebie.

Zamykając drzwi, zobaczył ich w uścisku. Kobieta przywarła do Ernsta, który pocieszał ją, jak umiał.

– Friede, nic takiego się nie stało – mówił, gładząc ją delikatnie po włosach.

Friede. Ernst nadał swej ukochanej ładne pieszczotliwe imię. Pasowało do sytuacji dezertera[9].

Idąc w stronę metra, komisarz przerzucał w myślach informacje, jakich udzielili mu pani Becker i jej kochanek.

Mimowolnie powrócił wspomnieniem do bezowocnego przesłuchania Karla Zieglera. Założył wtedy, że głupi Kalle chce się wywinąć i dlatego wymyślił nieistniejącego wspólnika, na którego mógł zrzucić całą winę. Musiał przyznać, że ta ocena sytuacji była przedwczesna. To, że Ziegler miał nagrania z tortur, oznaczało jedynie, że był obecny przy zbrodni. Ni mniej, ni więcej.

Istotne też było, że wtedy, w siedzibie Gestapo, Ziegler cały czas siedział. Podejrzany, którego ścigał przez pół Berlina, utykał. Mimo to Oppenheimer nie znalazł czasu, by dowiedzieć się, czy Kalle utyka.

Przełknął ślinę, myśląc o konsekwencjach. Jeśli rzeczywiście istniał ów tajemniczy partner, a nowe zeznania świadków dopuszczały taką możliwość, to morderca wciąż był na wolności. Stracił pomocnika, więc niechybnie zmieni swój *modus operandi*, ale nie przestanie zabijać kobiet, dopóki ktoś nie ukróci tego procederu. Choć nie było chłodno, komisarzowi po plecach przeszedł dreszcz. Postawił kołnierz płaszcza i przygnębiony szedł dalej. Nowe ustalenia sprawiły, że koniec koszmaru oddalił się w nieokreśloną przyszłość.

– To było ledwo, ledwo. Następnym razem musi nam pan dać więcej czasu – powiedział z pretensją Bauer, patrząc na niego z boku.

– Gdzie jest Hilde? – zapytał wciąż zadyszany Oppenheimer z tylnego siedzenia.

– Spotkamy się z nią później – wyjaśnił Lüttke, wrzucił drugi bieg i dodał gazu.

– Amatorzy – mruknął pod nosem Bauer i założył ramiona na piersi, demonstrując niezadowolenie.

Kruszynka i Antoś znaleźli go, jak maszerował w kierunku osiedla funkcjonariuszy. Bauer wyskoczył znienacka na chodnik i wciągnął go do samochodu. Wszystko odbyło się tak szybko, że Oppenheimer wciąż nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Błyskawiczna akcja zaskoczyła nawet przechodnia, który wyprowadzał psa zaledwie parę metrów dalej. Obejrzał się za nimi ciekawie, ale komisarz już zniknął we wnętrzu samochodu. Obaj funkcjonariusze Abwehry widać zaadaptowali dla swych celów klasyczne metody Gestapo. I wyraźnie byli utalentowani w tym względzie.

Lüttke zatrąbił z irytacją. Jakiś pojazd zajechał mu drogę

– Te cholerne zwały gruzu! Wszyscy jeżdżą, jak im się podoba!

– Czy moja żona już wie? – domagał się odpowiedzi Oppenheimer.

– Nie byliśmy jeszcze u was – burknął Bauer. – Niech pan lepiej powie, co nowego w sprawie.

Oppenheimer zrelacjonował możliwie szczegółowo wydarzenia dnia, ale przemilczał na razie nowe zeznanie pani Becker.

– Aha, czyli Vogler ma kozła ofiarnego – podsumował Lüttke. – Czeka go teraz niechybnie wielka kariera.

– Pozostaje tylko pytanie, czy zadowoli się takim zamknięciem sprawy – skomentował ponuro Bauer.

Oppenheimer wpuszczał te informacje jednym uchem. Vogler nic dla niego w tej chwili nie znaczył. Zaprzątały go ważniejsze sprawy. Był rad, że za kilka godzin wyjedzie z Niemiec, ale nie umiał się z tego naprawdę cieszyć. Nie potrafił zignorować druzgocącego faktu, że nie tylko Kalle odpowiada za cierpienia tych kobiet.

– A ta dokumentacja w sprawie Lutzowa, udało się ją zdobyć? – zapytał niby mimochodem.

– Akta jakby zapadły się pod ziemię – przyznał Bauer. – Nasz łącznik przeszukał całe archiwum. Nie ma żadnej adnotacji, żadnej notki, nic.

– Interesujące – mruknął Oppenheimer. – Albo akta zaginęły, kiedy zbombardowano prezydium przy Aleksie, albo ktoś kazał je usunąć.

– Właśnie dlatego chcieliśmy jeszcze z panem pomówić – przerwał mu Bauer. – Musi pan zrobić dla nas coś jeszcze.

Oppenheimer popatrzył na niego pytająco i zamarł. Dopiero teraz zauważył szeregi mijanych domów. Pośpiesznie zerknął przez prawie ramię. Mimo zmierzchu zdołał wyraźnie rozpoznać niknący w oddali plac Führera. Przejechali zjazd na osiedle funkcjonariuszy. Co się dzieje z Lüttkem? Nie wie, dokąd jadą?

– Pojechaliśmy za daleko! – zaprotestował, chwytając kierowcę za ramię.

– Tak jak mówiłem, zanim zapewnimy panu bezpieczeństwo, mamy jeszcze coś do omówienia – powtórzył Bauer.

– Co to ma znaczyć? Hilde nic nie wspominała.

– Nie tak prędko. – Tym razem odezwał się Lüttke. – Nie wiemy, co dziś jeszcze zeznał Karl Ziegler, a raczej, w co go wrobiono. To jasne, że SD wykorzystuje fałszywe zeznania. Możliwe, że poniewczasie będą chcieli oczernić kogoś z naszych szeregów. Dla Schellenberga i jego popleczników te zabójstwa byłyby mile widzianym pretekstem do pozbycia się rywali raz na zawsze.

– To już pan wyjaśnił wyczerpująco, tylko co ja tu mogę?

– Jeśli mamy ewakuować pana dzisiejszej nocy – rzucił beznamiętnie Bauer – musi pan jeszcze raz przejrzeć protokół z przesłuchania. Dziś wieczorem. Ponieważ dzielnica rządowa jest nieustannie bombardowana, SD przenosi swoje departamenty do Wannsee. Zajęli kilka tamtejszych willi. Voglerowi przydzielono tam na czas śledztwa własne biuro, gdzie przechowuje wszystkie materiały sprawy.

Słychać było tylko odgłos opon samochodu przejeżdżającego przez kałuże. Bauer czekał na jakąś reakcję, ale opadły z sił Oppenheimer myślał z przygnębieniem, o ile jeszcze odwlecze się to wszystko. W końcu podjął próbę wykręcenia się z tego zadania.

– Myśli pan, że to naprawdę konieczne?

– Musimy wiedzieć, co Vogler dopisał do zeznania albo co w nim zmienił. Dla naszego łącznika byłoby to zbyt ryzykowne i zajęłoby mu za dużo czasu. Pan zna sprawę, wie, czego szukać. Dla pana to kwestia dwudziestu minut.

– I uważa pan, że to takie proste? Mam się włamać do budynku SD? Przecież tam jest wszystko świetnie zabezpieczone.

Bauer nie przyjmował do wiadomości jego sprzeciwu.

– Nie będzie tak źle. Mają tam wielkie zamieszanie, bo trwa przeprowadzka. Ze wsparciem łącznika jest to wykonalne. Wszystko przygotowaliśmy, mamy być na miejscu około dziesiątej. Przemycimy pana do środka, a pan wyszuka dla nas informacje. Bułka z masłem.

A zatem to już postanowione. Oppenheimer potrzebował chwili, żeby pomyśleć.

– Chyba pan rozumie, że nie mogę zadecydować o tym sam. Muszę najpierw porozmawiać z żoną.

Bauer prychnął z niezadowoleniem.

– Panie Oppenheimer, nie ma innej możliwości.

– Panie kolego – wtrącił się Lüttke. – Niech mu pan da czas do namysłu. Bardzo nam już pan pomógł, panie Oppenheimer. Mamy powody, dla których prosimy pana o tę przysługę. Dla kilku naszych kolegów to kwestia życia lub śmierci. Mogę pana zapewnić, że to nie była łatwa decyzja. Jeśli się pan zgodzi, uchronimy naszych ludzi przed wielkim niebezpieczeństwem.

To rzekłszy, zawrócił na osiedle funkcjonariuszy. Resztę drogi spędzili w milczeniu.

Bauer przestał tryskać energią, tylko dąsał się, obrażony. Oppenheimer domyślał się, że tamci dwaj byli odmiennego zdania. Najwyraźniej Bauer chciał postawić komisarza przed faktem dokonanym, podczas gdy Lüttke uważał, że wystarczy zaapelować do jego poczucia przyzwoitości. Czasami sprawiali wrażenie starego małżeństwa, które nieustannie się czubi, ale mimo to nie potrafi bez siebie żyć.

Dotarłszy na osiedle, Lüttke wyłączył światła. Wąski snop, oświetlający drogę przed nimi, zniknął. Czarny pojazd, ledwie widoczny dla ludzkiego oka, dotoczył się do pętli, gdzie stanął.

Lüttke nie wyłączył silnika, gotów odjechać natychmiast, gdyby ich plan się nie powiódł. Oppenheimera ogarnął niepokój. Chrząknął.

– To jak robimy?

– Czy o tej porze ktoś jest jeszcze w domu? – odzyskał mowę Bauer.

– Zazwyczaj nie. Najwyżej radiotelegrafista. Czasami dyżuruje w piwnicy.

– W takim razie niech pan się ma na baczności. Proszę wziąć małżonkę oraz bagaż i natychmiast wsiąść do wozu. Im szybciej stąd znikniemy, tym lepiej. Resztę omówimy po drodze.

Oppenheimer powoli wysiadł. Zgięty w pół zastygł w otwartych drzwiach pojazdu, by obrzucić wzrokiem okolicę, i uświadomił sobie, że zachowuje się podejrzanie. Wbił ręce w kieszenie płaszcza i starając się nie zwracać na siebie uwagi, nieśpiesznie poszedł do wejścia.

Już z ulicy było widać, że światła są pogaszone. Zdziwiło go to trochę. Czyżby Lisa poszła już spać? Zwykle nie potrzebowała wiele snu, a dziś rano zostali w łóżku wyjątkowo długo.

Po cichu wszedł do środka. Z obawy, że mogą zaskrzypieć zawiasy, uchylił pomału drzwi. Domknęły się za nim z lekkim trzaskiem. Podszedł do przeciwległych drzwi, prowadzących do piwnicy. Były zamknięte.

Kamień spadł mu z serca. To oznaczało, że radiotelegrafista poszedł już do domu. Kontrolnie omiótł wzrokiem pokój, w którym mieściło się biuro. Nie było żywej duszy.

To mu dodało otuchy. Wszystko szło jak po maśle. W głębi duszy obawiał się, że plan ucieczki jest zbyt piękny, by mógł się ziścić. Cały czas się bał, że coś się nie powiedzie. Mimo to ciągnął tę grę, aby nie tracić nadziei. Wmawiał sobie, że pech nie może prześladować go przez całe życie. W końcu raz musiało dopisać mu szczęście.

Z tą myślą wszedł na górę. To, co zobaczył, sprawiło, że jego nieśmiały optymizm ulotnił się bez śladu.

Łóżko w sypialni nadal było rozgrzebane. Walizki stały spakowane w kącie. Brakowało jednego: Lisy.

27

sobota, 24 czerwca 1944

– Do mnie! Widziałem go!

Słychać było kolejne nawoływania. W ostatniej chwili zdołał wskoczyć na skrzynię furgonetki i natychmiast opuścić za sobą plandekę. Próbował leżeć nieruchomo z bijącym sercem, przykrywając ciałem nieprzytomną kurwę.

Prześladowcy podjęli trop, deptali mu po piętach. Wiedział, że bezpieczeństwo pod płachtą jest złudne. Za osłonę przed esesmanami służyła jedynie cienka tkanina. Cały czas łamał sobie głowę, ale nie potrafił dojść, gdzie popełnił błąd. Jedno było pewne, tym razem coś poszło cholernie nie tak.

Kilka centymetrów od jego twarzy plandeka była naderwana. Mógł widzieć przez rozdarcie ręce i nogi esesmanów. Nie sposób było policzyć, ilu ich było. Pole widzenia dodatkowo ograniczała mu maska gazowa.

Do grupy dołączyli kolejni ludzie. Stali tuż obok.

– Ulice są puste! – zawołał jeden. – Nie mógł przecież zniknąć.

– Musi być gdzieś tutaj – rozległ się przeszywający głos. – Gdzieś całkiem blisko.

Zrobiło się cicho. Mężczyźni kręcili się w kółko i przeszukiwali okolicę.

Usłyszał ciężkie kroki i przywarł jak najmocniej do bezwładnego ciała kurwy. Znowu rozległ się głos, ten sam co poprzednio. Choć mężczyzna szeptał, wiadomo było, że nawykł do wydawania rozkazów.

– Powiedziałem, że on tutaj jest!

Zbierało się coraz więcej mundurowych, aż w końcu dowódca upomniał ich opryskliwie.

– Stójcie! I zachowujcie się spokojnie, na litość boską!

Szepty natychmiast ustały. Oddychał nierówno. Tamci nasłuchiwali. Wiedział, że przy najmniejszym ruchu zostanie odkryty. Rozległo się

chrząknięcie.

– Cisza, powiedziałem!

– Ale Obersturmbannführer, nie możemy przecież…

– Nie słyszał pan tego? Coś tu jest! Jakby jakiś syk.

Drgnął z przestrachu. W pierwszej chwili nie wiedział, co tamten miał na myśli, ale zaraz zrozumiał. Filtr! Słyszeli filtr jego maski! Naturalnie. Z każdym oddechem wydawał z siebie syk.

Zaczął myśleć gorączkowo. Nie wolno mu było ściągać ich uwagi, ale przecież musiał jakoś oddychać. Rozpaczliwie szukał rozwiązania, jak wydostać się z tej pułapki.

Powoli, nieskończenie powoli wypuścił powietrze z płuc. Filtr ledwie szemrał. Ale nawet ten ledwie słyszalny dźwięk był zbyt głośny.

– Znowu! – rozległo się na zewnątrz. – Słyszycie?

Musiał podjąć decyzję, która miała zaważyć na wszystkim. Czy chronić się przed kurwą, czy ważniejsza jest jego misja? Nie musiał zastanawiać się długo.

Jego płuca protestowały, łaknęły chciwie tlenu, lecz oparł się tej żądzy. Przesuwając centymetr po centymetrze rękę, wymacał filtr, wiszący gdzieś u pasa. Palce znalazły szlauch. Miał punkt zaczepienia. W końcu, kiedy już wiedział, że nie da rady powstrzymywać dłużej oddechu, powoli wciągnął powietrze, wydając z siebie ledwie tchnienie, przy którym filtr milczał. Kiedy płuca w połowie wypełniły się powietrzem, powstrzymał oddech i przejechał dłonią wzdłuż węża, aż wyczuł filtr. Kolejne wyzwanie polegało na tym, by bezdźwięcznie wykręcić szlauch z gwintu. I to jedną ręką.

Zalegała przygniatająca cisza. Mężczyźni na zewnątrz wciąż tkwili w bezruchu. Ich instynkt łowiecki został obudzony. Nie chcieli wracać bez zwierzyny.

Teraz musiał zdobyć się na największą samokontrolę, do jakiej był zdolny. Uciskając kciukiem filtr, zaczął odkręcać szlauch. Gwint zapiszczał cichutko.

Instynktownie zamarł w pół ruchu i zdał sobie sprawę, że odkręca zbyt szybko. Na czoło wystąpił mu zimny pot.

Kiedy ośmielił się ostrożnie zerknąć przez rozdarcie, mężczyźni wciąż stali na posterunkach. Żaden z nich niczego nie zauważył. W końcu zaryzykował i podjął czynność. Udało się.

– Obawiam się, że tu nikogo nie ma – odezwał się głos.

W tym momencie filtr gwałtownie odczepił się od węża. Rozległ się metaliczny szczęk, gdy końcówka uderzyła o sprzączkę paska.

Szczęk wydał mu się ogłuszający. Mężczyźni drgnęli z przestrachu. Nieufnie odwrócili się ku furgonetce. Jeden z nich nachylił się w zwolnionym tempie. Kiedy twarz esesmana pojawiła się w szczelinie, drgnął przestraszony.

Błyszczące wilgotne oczy wpatrywały się prosto w niego. Mężczyzna miał szpakowate włosy i ostre rysy twarzy. To musiał być Obersturmbannführer. Ale w mroku, podobnie jak cała reszta, nie miał najmniejszych szans, aby go dostrzec. Komendant przez kilka sekund trwał oko w oko z wrogiem.

– Musimy to zgłosić, *Herr Sturmbannführer*, bo czas leci!

Komendant się wyprostował. Twarz znikła.

– Dobra, jak chcecie. Idź, Plate! A reszta niech przetrząśnie tu każdy kąt!

Esesmani wykonali rozkaz. Upłynęły długie minuty, zanim tupot ich ciężkich butów całkowicie ucichł. Dopiero wtedy odważył się normalnie odetchnąć. Wraz z pierwszą falą ulgi powróciło bolesne ukłucie niechęci. Na myśl o esesmanach i ich aroganckiej szopce wykrzywił usta w grymasie pogardy. Mieli się za lepszych od innych, a przy tym byli tak ślepi, że nie zdołali go znaleźć.

Mimo to postanowił zachować ostrożność i zaczekać jeszcze jakiś czas. Jeśli tamci znajdowali się niedaleko stąd, mogli usłyszeć odjeżdżający pojazd. Nie mógł się zdradzić. Nie teraz, kiedy udało mu się zmylić pościg.

Tkwił w bezruchu na drewnianym podłożu skrzyni. Wyrównał oddech. Powietrze było rzeźkie, za plecami czuł przyjemne ciepło gazogeneratora. Uspokoił się.

Leżąc tak, uświadomił sobie, że jest ze zdzirą całkiem sam. Trzymał ją w objęciach. To właśnie te chwile tak lubił, ten moment, gdy rozpierała go oszałamiająca świadomość nieograniczonej władzy nad życiem ofiary. Euforia ulotniła się gwałtownie, kiedy zdał sobie sprawę, co się dzieje z jego ciałem.

Zapach perfum kurwy przeniknął pod maskę. Czuł przez ubranie miękkość kobiecego ciała. Mimo rękawiczek z łatwością wyczuwał palcem wskazującym zagłębienie jej pępka. Napierające na jego lędźwie pośladki

wywołały erekcję. Oddychał ciężko, teraz już nie ze strachu przed odkryciem.

Z przerażeniem przetoczył się na bok. Do oczu napłynęły mu łzy, kiedy uświadomił sobie, jaki jest słaby. Coś takiego nie mogło się zdarzyć. Nawet kiedy były nieprzytomne i tak stanowiły wielkie zagrożenie. Nie wolno mu dać się uwieść. I tak już ściągnęły na niego dość nieszczęść. Nawet myśl o ich ciałach była zła.

Poleżał chwilę, czekając, aż zmięknie mu członek. Kiedy ochłonął, wyjrzał ukradkiem spod plandeki, by się upewnić, że prześladowcy odeszli. Miał rację. Mundurowych nie było.

Prowizorycznie zakneblował i związał ofiarę, po czym zsunął się z paki i starannie przymocował plandekę. W cieniu drzew przekradł się do szoferki i bezgłośnie wśliznął na fotel.

Hałasu przy uruchamianiu silnika nie dało się uniknąć, ale na szczęście gruchot zaskoczył za pierwszym razem. Nie chcąc ściągać uwagi, ruszył bez świateł. Dopiero kiedy skręcił w najbliższą przecznicę, poczuł się na tyle bezpiecznie, że włączył reflektory i przyśpieszył.

Nagle wszystko wydało mu się takie proste, jakby szybował ponad asfaltem. Nie musiał już łamać sobie głowy, co się stanie, gdy ktoś go odkryje. Już dawno podjął odpowiednie przygotowania. Przeniesie kurwę przez piwnicę do pracowni, a tam ją zabije. Na wszelki wypadek zatarasuje za sobą dojście ciężkimi workami z węglem. Wtedy do kryjówki będzie prowadziła tylko jedna droga, przez drzwi do pracowni. Nadpiłował jeden z dźwigarów w piwnicy. Podłoga zarwie się pod intruzami, gdy tylko wejdą. Będzie mógł wykorzystać moment zaskoczenia, by uciec przez żelazny właz w piwniczce na węgiel i zaszyć się w chaszczach. Wprawdzie istniało pewne ryzyko, że mu się nie uda, ale gotów był je na siebie wziąć. Fortel, który obmyślił, to kolejne potwierdzenie druzgocącej przewagi nad prześladowcami. W skrytości ducha miał nawet nadzieję, że ktoś wpadnie na jego trop. Wtedy będzie mógł w praktyce sprawdzić swą teorię. Na tę myśl nie mógł powstrzymać chichotu. Przepełniała go bezgraniczna duma. Poradził sobie i bez Kallego. Jechał przez pogrążone w nocy miasto z nieprzytomną kurwą na pace, a wszystko to zdziałał samodzielnie. Zdany wyłącznie na siebie, obezwładnił babę i zaciągnął ją do dostawczaka.

Myśl o jej ciele sprawiła, że triumf nabrał cierpkiego smaku. Całe szczęście zdołał poskromić popęd i zachować kontrolę. Kontrola była

najważniejsza, jeśli chciał przetrzymać to wszystko bez uszczerbku dla siebie.

Bo właściwa próba była jeszcze przed nim.

W czasie jazdy zdjął ostrożnie maskę, a potem rękawiczki, którymi dotykał kurwy. Jego spojrzenie spochmurniało, gdy uświadomił sobie, że czeka go długa noc. Noc pełna jadu, który teraz jeszcze pulsował w żyłach tej dziwki i który wkrótce zostanie uwolniony. Nie mógł pozwolić sobie na lekkomyślność, nie mógł się zarazić.

Trzej mężczyźni w samochodzie milczeli przez długie minuty. Silnik pomrukiwał usypiająco, ale nie byli senni.

– I nie zostawiła żadnej wiadomości? – spytał kolejny raz Lüttke.

– Wszystko przetrząsnąłem – odparł ochrypłym głosem Oppenheimer. – Nic.

– Dokąd mogła pójść?

– Rano wysłałem ją do Hilde. Ale już dawno powinna być z powrotem.

Bauer nie mógł usiedzieć na miejscu.

– Musimy się zwijać.

– Nie zrobię niczego, dopóki się nie dowiem, gdzie jest moja żona! – oświadczył Oppenheimer.

– A skąd my ją panu wytrzaśniemy?

– Nie obchodzi mnie to. To trzeba wyjaśnić.

Bauer już się szykował do reprymendy, ale Lüttke go uprzedził.

– Chwileczkę. Tam coś jest.

Oppenheimer wyjrzał przez szybę. I rzeczywiście, ktoś zbliżał się do domu. Rozpoznał ciemne kontury roweru, opartego o drewniany płot. Osoba, która właśnie z niego zsiadła, kierowała się prosto do wejścia. Poruszała się sztywno, zupełnie jakby wyczuwała obce spojrzenia. Wysiadł. Chyba rozpoznawał tę sylwetkę. Chwycił ją za ramię i obróciła się gwałtownie. Miał rację. To była Hilde.

– No wiesz! Mało nie narobiłam w spodnie! – wyszeptała z pretensją.

– Gdzie jest Lisa? – wysyczał.

– Wszystko w porządku, jest u mnie.

Odetchnął z ulgą.

– Tędy. – Poprowadził ją do samochodu.

Wsiedli do środka i Lüttke od razu ruszył. Z trudem się powstrzymywał, by nie odjechać z piskiem opon.

– Pozostając w ruchu, mniej ściągamy uwagę – wyjaśnił i skręcił w pierwszą przecznicę.

– Była u mnie, kiedy zadzwoniłeś – tłumaczyła Hilde. – Zagadałyśmy się. W każdym razie uznałam, że bezpieczniej będzie, jeśli zostanie. Właśnie zamierzałam zabrać walizki i zostawić to. – Podetknęła Oppenheimerowi kartkę.

– Co to jest?

– List pożegnalny. – Widząc, że nie rozumie, wyjaśniła mu. – Napisała go Lisa, a ja jej podyktowałam. To fałszywy trop dla świńskiego ryja Voglera. Jeśli uwierzą, że odebraliście sobie życie, zyskacie trochę na czasie.

Oppenheimer pokiwał głową. Hilde myślała o wszystkim.

– Dobry plan – zgodził się.

– Czy to znaczy, że musimy tam wrócić? – wtrącił się Bauer.

Hilde dopiero teraz skierowała uwagę na funkcjonariuszy Abwehry.

– Macie coś przeciwko temu?

– Musimy się udać do biura Voglera – zaprotestował poirytowany Bauer, jakby nie mogło mu się pomieścić w głowie, że musi pracować z takimi ludźmi.

– Chwileczkę, co to ma znaczyć? – spoważniała nagle Hilde. – Nie tak się umawialiśmy.

Lüttke wyłuszczył jej swój plan, a ona zapieniła się ze złości.

– Szlag by was trafił, chyba do reszty oszaleliście! Naczytaliście się Karola Maya, co? Włamać się do siedziby SD, dobre sobie. Wysłanie Richarda do Wannsee w tej sytuacji to chyba najgłupszy pomysł, jaki można sobie wyobrazić. Czemu miałby tak ryzykować? Przekazał wam wszystkie informacje. Dostaliście, co trzeba, podane na srebrnej tacy. Czego jeszcze chcecie? Sami odwalajcie swoją robotę, z łaski swojej, a jego macie tylko przerzucić za granicę!

– Zostało jeszcze do wyjaśnienia parę ważkich kwestii – sprzeciwił się Bauer, energicznie potrząsając głową.

– Może i tak, ale Richardowi ziemia powoli usuwa się spod nóg. Nie możecie ni z gruszki, ni z pietruszki wrobić go w tak ryzykowne przedsięwzięcie tylko po to, by sporządzić potem ładny raporcik. Jeśli

o mnie chodzi, to niech ten wasz łącznik sam buchnie protokół przesłuchania. Richard wypełnił swoją część z nawiązką.

Kiedy Bauer, ocierając pot z czoła, zaczął gderać, do dyskusji wmieszał się Oppenheimer.

– Chwileczkę. Proponuję, co następuje: wróćmy jak najszybciej do domku, zostawmy tam list pożegnalny, a potem pójdę poszukać protokołu.

Hilde wlepiła w niego wzrok, rozdziawiając usta.

– Richardzie, czyś ty oszalał?

– Mam tylko jeden warunek – ciągnął, popatrując wyzywająco na ludzi z Abwehry. – Morderców jest dwóch. Czy, jeśli dojdę, kim jest ten drugi, pomożecie mi go unieszkodliwić?

Nowina trafiła ich jak grom z jasnego nieba. Z purpurowej twarzy Bauera nagle odpłynęła krew.

– Jest pan stuprocentowo pewien? – zapytał Lüttke.

– Pojawiło się nowe zeznanie świadka. Sprawców było dwóch.

Hilde potrząsnęła głową.

– To już nie jest twoja sprawa, Richardzie. Pogódź się z tym. Vogler i tak zawziął się na Zieglera.

– Nie mogę się wycofać tak po prostu – zwrócił się do niej. – Jeśli nie podejmę jakichś kroków, zginą kolejne kobiety, i to ja będę za to odpowiedzialny. Nie rozumiesz? Znowu mamy weekend. On pewnie uprowadził już następną ofiarę i właśnie się nad nią pastwi. Jeśli czegoś nie zrobię, to się nigdy nie skończy.

Mógł wyczytać z twarzy przyjaciółki, że nie podoba jej się to, ale w końcu uległa.

– Cóż, w takim razie nie ma o czym dyskutować.

Oppenheimer wychylił się do przodu i rzekł do Lüttkego:

– To jak? Zdobędę dla was te informacje, a wy pomożecie mi ująć sprawcę. Prosta transakcja.

– Wchodzę w to – odparł bez wahania Lüttke.

– Niech będzie – burknął Bauer.

Zawrócili na osiedle i Oppenheimer ostatni raz przestąpił próg domku. Zastanawiając się, gdzie zostawić list pożegnalny, zatrzymał wzrok na tablicy z karteluszkami.

Pod wpływem impulsu wziął pineskę i przypiął list dokładnie pośrodku. Z zadowoleniem omiótł spojrzeniem tablicę i wtedy ogarnął go niepokój.

Miał tu do załatwienia jeszcze jedną rzecz, i to był właściwy powód, dla którego nakłonił Lüttkego do powrotu.

Upewnił się, że nikt nie wszedł za nim do środka. Potem po cichu zakradł się do kuchni. Nie był dumny z tego, co zamierza zrobić, ale nie dało się tego uniknąć. Tego wieczoru musiał być wyjątkowo czujny, wiedział, że bez pervitinu nie da rady. Dwoma rutynowymi ruchami wydobył ze skrytki pakunek z lekami i od razu zażył jedną tabletkę, popijając wodą.

Nie musiał długo czekać, aż poczuje działanie. Przez parę sekund rozważał, czy nie zabrać ze sobą całego opakowania, ale wiedział, że Hilde nigdy by na to nie pozwoliła. Na tę myśl poczuł złość, że nie pomyślał wcześniej, by schować pervitin w walizce. Tęsknym wzrokiem popatrzył na swój skarb.

Napełnił fiolkę tabletkami. Dodatkowo wypchał nimi kieszenie. Liczył, że Hilde tego nie zauważy. Tego wieczoru naprawdę nie miał nastroju na kazania. W końcu jest dorosły i sam odpowiada za swoje czyny. Nagle wydał się sobie żałosny. „Oczywiście, że nie jestem uzależniony” – uspokajał sam siebie, z odrazą wpatrując się w białe pigułki w swych drżących dłoniach. Zawahał się chwilę, a potem dokończył upychanie tabletek po kieszeniach. Choć nie chciał się do tego przyznać, wiedział, że będzie ich potrzebował.

– To jest kopia protokołu z przesłuchania Karla Zieglera. Sprawa jest zamknięta. – Vogler wręczył dokument Schröderowi. Wydawało mu się, że nawet przez opaskę na oku wyczuwa srogie spojrzenie Oberführera.

Schröder bez słowa wziął papiery, każąc stać Voglerowi na baczność, podczas gdy sam usiadł i wydąwszy wargi, przeglądał strony. Choć protokół nie był zbyt wyczerpujący, jego lektura zajęła trochę czasu.

Znajdowali się w holu miejskiego domu Oberführera Schrödera. Vogler dostarczył, czego od niego oczekiwano. Owszem, po odebraniu sprawy Oppenheimerowi osobiście przesłuchał Zieglera, ale tylko *pro forma*. Znał na pamięć każde zdanie protokołu, w końcu sam go sporządził. Spisał ustalenia śledztwa na długo przed schwytaniem podejrzanego. Dokument, który trzymał w ręku Schröder, z góry zakładał, co powinien był zeznać Ziegler, aby mogli doprowadzić sprawę do końca i powiązać ze sobą wszystkie luźne wątki. Do założeń należało i to, że oskarżony nie przeżyje przesłuchania.

Po wykonaniu egzekucji na Zieglerze Vogler bezzwłocznie pojechał do swojego biura, aby spreparować akta. Ponieważ była już sobota wieczór, a on chciał się uporać z tym jak najszybciej, po wszystkim udał się do domu Schrödera, ryzykując, że zakłóci mu wolny czas. Prawdę mówiąc, był nawet ciekaw, jaki jest jego zwierzchnik jako człowiek. Ale spotkanie z przełożonym nie dostarczyło mu wiele materiału oglądowego. Voglerowi kazano zaczekać w holu, a kiedy zjawił się Schröder, był w pełnym rynsztunku. Nie dało się zauważyć niczego, co mogłoby podważyć wizerunek autorytarnego zwierzchnika. Nie ciągnął za sobą zdradzieckiej woni alkoholu, nie pokazał się w sweterku niegodnym herosa – nic, co dowodziłoby, że Oberführer Schröder ma jakieś życie prywatne. Tylko jego dom był w pewien sposób ekstrawagancki, ponieważ wystrój miał zdecydowanie wiejski charakter. Nic nie wskazywało na to, że znajdowali się w stolicy Rzeszy Niemieckiej. Wszędzie stały rustykalne drewniane meble, surowo rzeźbione i ciężkie. Zamiast obrazów ściany były ozdobione niezliczonymi porożami i kilkoma strzelbami myśliwskimi. Vogler zastanawiał się, gdzie w Berlinie można ustrzelić jelenia.

Ale im dłużej czekał, z tym większym trudem mógł się skupić na otoczeniu. Chociaż wypełnił rozkaz, trawił go nieokreślony niepokój. Próbował ignorować to uczucie i wmawiał sobie, że właśnie tego żądał od niego Schröder. Vogler dostarczył mu winnego, który nie skompromituje partii. Może i naciągnął parę faktów, może niektóre z poszlak były odrobinę niekompletne, ale to nie mogło zachwiać jego przekonania, że schwytali właściwą osobę.

W końcu Schröder z zadowoleniem odłożył dokument. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę i wręczył ją Voglerowi.

– Nasze plany co do pana dalszej służby uległy zmianie. Pilnie potrzeba nam ludzi na zachodnim froncie. Tu jest pański rozkaz. Jutro rano wyruszy pan w kierunku Caen. Tam zgłosi się do dziewiątej dywizji pancernej SS Hohenstauffen.

Vogler zasalutował, trzaskając obcasami. A więc wszystko było już przygotowane zawczasu. Schröder miał dla niego rozkaz od dawna. Voglerowi to nie przeszkadzało, rezultat przewyższał jego oczekiwania. Nie musiał już zadowalać się nieciekawym życiem cywila. W duchu odetchnął z ulgą. Im szybciej pojedzie na front, tym lepiej.

Uznał spotkanie za zakończone i czekał tylko, aż Schröder pozwoli mu odmaszerować. Ale przełożonemu wyraźnie coś jeszcze leżało na duszy. Z niezwykłą poufałością odezwał się szeptem:

– Niech mi pan powie, co właściwie zmalował ten Icek u Reithermanna?

Słysząc nazwisko opasłego bonzy, Vogler wzmógł czujność.

– Co pan ma na myśli?

Schröder zrobił poważną minę.

– Otrzymałem od Gruppenführera wyraźny rozkaz usunięcia tego Oppenheimera natychmiast po zamknięciu sprawy. A zatem, co zaszło?

– Oppenheimer nalegał, by osobiście przesłuchać Gruppenführera.

– I? No już, kawa na ławę, Vogler!

– Zapytał go o alibi.

Schröder zastygł, jakby zdjęła go trwoga. A potem wybuchnął głośnym śmiechem.

– No nie, ten Oppenheimer, a to szałaput. – Otarł łzy śmiechu. – Nikt dotąd nie poważył się na coś takiego. Już tylko za to należałoby puścić go wolno. Szkoda, że mnie przy tym nie było. – Rozbawienie przebrzmiało i Schröder znów przybrał nieprzeniknioną minę. – Zdaje się, że poważnie traktuje swoją pracę?

– Oppenheimer jest bardzo sumienny.

– Cóż, mimo wszystko proszę dopilnować, by rozkaz został wykonany. Najlepiej, jeśli zatroszczy się pan o to osobiście.

– Tak jest – odparł bez wahania Vogler.

Wrócił do samochodu. Kiedy przemierzał ścieżką ogród, wsłuchując się w rytmiczny chrzęst żwiru pod zelówkami, dotarł do niego sens otrzymanego właśnie rozkazu. Miał zlikwidować Oppenheimera.

Przez cały czas ani przez chwilę nie zaprzątnął sobie głowy myślą, co się z nim stanie po zakończeniu śledztwa. Łudził się, że w każdej chwili będzie mógł cofnąć komisarza do miejsca, gdzie go znalazł. Ale sprawy okazały się o wiele bardziej skomplikowane, niż sądził, a Gruppenführer zadecydował za niego.

Ponuro kopnął kamyczek na angielski trawnik. Musiał przyznać, że nie spodobał mu się ten rozkaz. Już od jakiegoś czasu żywił wobec Oppenheimera uczucia, których nie potrafił do końca nazwać.

Jął dociekać, co było jądrem ich relacji. Przez ostatnie tygodnie przekonał się, że można na nim polegać. Pochodził wszak z całkiem innego

świata i był komisarzem policji kryminalnej. Niemal wszyscy, których znał Vogler, należeli do SS, a tym samym stanowili potencjalnych rywali. On i Oppenheimer byli sobie równi, a jednak nie istniało niebezpieczeństwo, że tamten kiedykolwiek stanie się dla niego konkurentem.

Usiadł za kierownicą i przyłapał się na tym, że szuka jakiegoś wyjścia. Ściśle rzecz biorąc, Reithermann podważał osobisty rozkaz Goebbelsa. Chociaż nie, minister propagandy jednoznacznie wziął komisarza pod ochronę tylko do czasu zakończenia śledztwa. Co się z nim stanie potem, było mu obojętne. Vogler przez długie minuty łamał sobie głowę, ale nie znajdował żadnego rozwiązania. Niechętnie doszedł do wniosku, że nie ma sensu roztrząsać tego dłużej. Był przecież funkcjonariuszem SS. Wprawdzie czuł przy tym jakiś gorzkawy posmak, ale uruchamiając silnik, wiedział już, że wykona rozkaz. Jak wszystkie.

Nie, to tylko fałszywy alarm. Oppenheimer z natężeniem wsłuchiwał się w noc, wychwytując każdy, nawet najcichszy dźwięk. Przywarł do ściany willi. Ale choćby nie wiem jak bardzo wytężał słuch, nie było tu nikogo oprócz niego.

To oznaczało, że wszystko idzie zgodnie z planem. Bauer podsadził go i pomógł mu pokonać ogrodzenie. Pod osłoną nocy komisarz przebiegł na przełaj przez ogród i obszedł budynek, przechodząc na jego tyły. Teraz pozostawało już tylko czekać.

Jazda z Zehlendorfu do niedużej willi, w której mieściło się biuro Voglera, trwała zaledwie parę minut. Musieli pokonać tylko kilka kilometrów w kierunku zachodnim i przejechać przez Wannseebrücke. Okolice jeziora były nader popularną lokalizacją. To tutaj elity finansowe wzniosły na przełomie wieków liczne wille przypominające zamki i otoczone pseudośródziemnomorskimi ogrodami. Berlińską prominencję od zawsze ciągnęło nad Wannsee. Zaledwie paręset metrów od biura Voglera rezydowały takie osobistości jak światowej sławy chirurg Ferdinand Sauerbruch czy aktor Heinz Rühmann. W latach inflacji do ekskluzywnej dzielnicy sprowadzili się spekulanci ciągnący za sobą aurę skandalu, a na koniec dygnitarze NSDAP. Poza tym rozmaite organizacje nazistowskie, jak NS-Frauenschaft albo Nationalsozialistische Volksfürsorge, korzystały z tutejszych ośrodków wypoczynkowych i szkoleniowych.

Wannsee miało opinię spokojnej dzielnicy i w dużej mierze uniknęło bombardowań. Tym samym okolica była wręcz predestynowana do rozmaitych dyskretnych operacji. Lüttke mówił, że po dojściu Hitlera do władzy SD i Gestapo zajęły liczne obiekty w koloniach willowych lub dokonały przymusowego przejęcia w aryjskie posiadanie. Oppenheimer ze zdumieniem odnotował, że SD, oprócz paru instytutów, utrzymywało nawet przypominający pałac dom gościnny nad samym brzegiem jeziora. Willa, którą miał odwiedzić, nie była aż tak wielka, ale wystarczała, by pomieścić kilka biur. Bauer twierdził, że pilnowano tylko wejścia. Z tego względu łącznik punktualnie o dziesiątej zamierzał przemycić Oppenheimera przez okno.

Komisarz przeciągnął się i zaczął snuć ponure rozważania, czy może ufać ludziom z Abwehry. Okno miało się otworzyć tuż nad nim. Ale łącznik kazał na siebie czekać. Oppenheimer zerknął na zegarek, było jednak zbyt ciemno, by coś rozpoznać. Za pięć dziesiąta wysiadł z samochodu i przeszedł przez płot. Czy pięć minut mogło trwać aż tak długo? A jeśli zepsuł mu się zegarek? Przyłożył go do ucha: cykał.

Niepewnie powiódł wokół wzrokiem i upewnił się po raz kolejny, że wybrał właściwie okno. To musiało być tu. Miejsce co do joty zgadzało się z opisem Bauera. Tylko tutaj mógł się dostać do środka, nie zostawiając zdradzieckich śladów na rabatce. A mimo to panował całkowity bezruch.

Wciągnął w płuca chłodne powietrze nocy i zaklął w duchu. W tej fatalnej sytuacji wszystko mogło się zdarzyć. Może łącznik został zdemaskowany. Albo pomylili godzinę. Albo SD już dawno wszystkich zlikwidowała, tylko o nim zapomniano.

Nagle usłyszał jakiś dźwięk. Okno nad jego głową się otworzyło. Drgnął, kiedy poczuł lądującą na sobie linę. Ktoś wychylił się na zewnątrz.

– Halo? – rozległ się szept. – Schiller, jest pan tam?

Z opóźnieniem przypomniał sobie, że to jego pseudonim.

– Tutaj – wyszeptał pośpiesznie, zanim linka została wciągnięta z powrotem.

Pech chciał, że nie miał zbytniej wprawy we wspinaniu się po ścianach domów. Stękając, zawisł na linie. Posuwał się do góry w ślimaczym tempie. Wreszcie chwyciła go czyjaś ręka i wciągnęła do środka.

Znalazł się w długim korytarzu z licznymi drzwiami. Pojedyncza lampa w przejściu rzucała na podłogę długie cienie. Z półmroku wpatrywała się

w niego jakaś postać. Osłupiał, kiedy zobaczył, że jest nią kobieta w średnim wieku.

– To pani jest łącznikiem? – zapytał zdumiony.

– W Abwehrze dla osoby pełniącej moją funkcję stosuje się wyłącznie męską formę – mruknęła, po czym odwiązała linkę od grzejnika, zwinęła ją i zamknęła okno. – Proszę nie pytać dlaczego. W środku nie ma straży. Jeśli się pan na kogoś napatoczy, niech pan się zachowuje normalnie, byle nie zwracać na siebie uwagi. Niektórzy pracują tu także w nocy. Proszę za mną, nie mamy czasu na długie wyjaśnienia.

Wcisnęła mu do ręki linę i ruszyła korytarzem. Podążył za nią. Choć bardzo się starał poruszać cicho, wydawało mu się, że odgłos jego kroków odbija się echem po stokroć. Na szczęście do pokoju Voglera nie było daleko. Kobieta wyjęła połyskujący metalicznie przedmiot i wsunęła go do zamka. Usłyszeli kliknięcie i drzwi się otworzyły. Oppenheimer już miał przekroczyć próg, kiedy zamarł.

– Co jest? – szepnęła agentka, zauważywszy jego ociąganie.

W końcu straciła cierpliwość i bez ceregieli wepchnęła go do środka. Nie usłyszał trzasku zamykanych drzwi. Jak urzeczony wpatrywał się w drewnianą tablicę na przeciwległej ścianie.

Cały czas sądził, że w śledztwie nikt szczególnie się nim nie interesuje, nie sprawdza, czym się zajmuje, dopóki on dostarcza odpowiednich rezultatów. Wprawdzie był śledzony, ale wychodził z założenia, że to jedyny stosowany wobec niego środek inwigilacji. Teraz zrozumiał, jak bardzo się mylił.

W tym biurze Vogler odtwarzał każdą jego myśl. Komisarz bez trudu rozpoznał karteluszki na tablicy, które dla niego układały się w pewien wzór. Vogler albo któryś z jego podwładnych zadał sobie trud, by uporządkować je dokładnie tak jak w domku w Zehlendorfie. Miał tu przed sobą rezultaty ostatnich tygodni, owoce swojej pracy do momentu ujęcia Karla Zieglera.

– Co jest? – powtórzyła niecierpliwie agentka.

W ustach miał dziwną suchość.

– Nic – wydusił w końcu.

– Tam, z tyłu. – Kobieta wskazała na biurko w kącie. – To, co leży na biurku, to nowe dokumenty.

Musiał się przemóc, by po tej niespodziance skupić się na swej właściwej misji. Oderwał wzrok od tablicy i przyjrzał się teczkom leżącym na biurku.

Pośpiesznie przekartkował papiery, ale było zbyt ciemno, aby cokolwiek rozpoznać. Ośmielił się jedynie zapalić lampkę na biurku. Na samym wierzchu leżał protokół z przesłuchania. Oppenheimer gorączkowo przewracał strony w poszukiwaniu jakiegoś nazwiska lub adresu, jakichś wskazówek prowadzących do drugiego sprawcy albo do miejsca, gdzie zawozili uprowadzone kobiety. Dość prędko stwierdził, że zeznanie było fałszywe. Ziegler przyznawał się w nim do tego, że sam uprowadził i torturował kobiety. Jako motyw podał chęć poznania, jak działa ludzki organizm. Po prostu był ciekaw. I w swej, tu cytat, „wrodzonej ignorancji” w kwestii tego, czym jest dobro, a czym zło, uczynił pierwszą rzecz, jaka mu się nasunęła – rozcinał ciała tak samo, jak rozbierałby na części silnik Diesla, by przyjrzeć się jego elementom. Jedno tylko nie było w jego mocy, a mianowicie złożenie pociętych kobiet w całość, i dlatego po prostu pozbywał się zwłok nocą.

Oppenheimer niespokojnie wodził wzrokiem po stronach, słowo po słowie, linijka po linijce. W zeznaniu nie było mowy o miejscach złożenia zwłok. Nie wspomniano ani słówkiem o monumentach ku czci poległych w ostatniej wojnie. Oczywiście, bo nawet przy najlepszych chęciach nie dało się znaleźć związku między Zieglerem a pierwszą wojną światową. To po prostu nie pasowało do koncepcji pojedynczego sprawcy.

Czytał tak prędko, jak się dało. Jako ogniwo łączące morderstwa podano pracę Zieglera w składzie Höcker & Söhne. Dotąd wszystko się zgadzało. Nie wspomniano jednak, że zamordowane kobiety były jakoś powiązane z partią. Nie było też ani słowa o kryjówce, w której dokonywano okaleczeń. Oppenheimer z rozczarowaniem przewrócił ostatnią stronę. Zobaczył, że zeznanie nie jest podpisane. Wypunktowana linia przeznaczona na podpis Zieglera była pusta. I wtedy jego spojrzenie zatrzymało się na ostatnim zdaniu.

„Oskarżony zmarł w trakcie przesłuchania”, napisano lapidarnie. Nie patyczkowali się z nim, tylko go zamordowali.

Potrząsnął głową.

– No to się rzeczywiście napracowali – mruknął do siebie.

Wiedział, że i tak powiesiliby Zieglera. Jednak w tej sytuacji tym większe znaczenie miało to, że teraz już nie można go było przesłuchać.

Kalle nie mógł zdradzić, gdzie znajduje się kryjówka.

Zawiedziony, odłożył protokół. Przez chwilę trwał w bezruchu, wpatrzony gdzieś przed siebie. Wiedział, co to znaczy. Morderca nadal będzie prowadził swoją okrutną grę, okaleczał kobiety, torturował i zabijał, kiedy mu się znudzą.

– Skończył pan?

Oppenheimer drgnął. Kobieta niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę.

– Jeszcze chwileczkę – wymamrotał w zamyśleniu i skupił się na pozostałych dokumentach.

Były to trzy skoroszyty. Na pierwszym widniało nazwisko Karla Zieglera. Prędko przekartkował zawartość. Nie było tego wiele. Dotychczasowe adresy zamieszkania, zaświadczenie komisji poborowej, poświadczony odpis aktu urodzenia. Kiedy wziął do ręki drugi skoroszyt, zamarł. Wielkimi literami napisano na nim „Johannes Lutzow”. Oppenheimer przypomniał sobie: miał przed sobą akta funkcjonariusza SA, których nie mogli znaleźć Lüttke i Bauer.

To nie mógł być przypadek.

Zakiełkowała w nim nadzieja. Czyżby jednak Billhardt podsunął mu właściwy trop? Czy to Lutzow był właściwym mózgiem tych zbrodni?

Gorączkowo przeglądał akta. Protokoły policyjne, fotografie napadniętej żony związkowca, raporty lekarskie. W przeciwieństwie do niezwykle skąpych akt Zieglera te były bardzo obszerne. Wertował je i wertował, oglądał każdy dokument, i nagle zastygł. Ktoś włożył do skoroszytu wycinek z planu miasta Pharusa. Oppenheimer rozpoznał kształt jeziora Müggelsee, a zaraz obok skreślony tuszem krzyżyk.

Znak postawiono tuż pod Wieżą Bismarcka. Obok było jeszcze kilka plamek. Miały brunatny kolor, prawdopodobnie pochodziły od zaschniętej krwi. Na marginesie widniała zaś sygnatura Karla Zieglera, podpis, którego brakowało na protokole przesłuchania. Krew uderzyła mu do głowy. Kalle rzeczywiście zdradził przed śmiercią miejsce kryjówki.

– Musimy się zwijać – oznajmił, zabierając oba skoroszyty.

Agentka popatrzyła na niego z konsternacją i pokazała na akta.

– Ale nie może pan tego zabrać.

– Rozkaz specjalny – skłamał. – Chodźmy.

Zanim wyszedł na korytarz, schował skoroszyty pod płaszczem. W ten sposób nie wzbudzą niczyjego zainteresowania. Postąpił dwa kroki na korytarz i nagle zalała go oślepiająca jasność.

Ktoś włączył górne światło.

Odwrócił się czym prędzej, by wśliznąć się z powrotem do pokoju, ale drzwi już zamknięto. Po agentce nie było śladu.

W korytarzu rozległy się kroki, zbliżały się. Oppenheimer przygotował się na to, co nieuniknione, i skierował wzrok na zbliżającą się postać.

Natychmiast go rozpoznał. Był to ten sam potężny gość, którego tamtego popołudnia widział w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy: mężczyzna w śnieżnobiałej koszuli. W jego oczach zabłysła iskierka; poznał go. Przystanął na moment zaskoczony i ruszył w jego stronę. Nie było mowy o ucieczce. Oppenheimer ze strachu bał się poruszyć. To koniec. Wszystko zawalił.

28

sobota, 24 czerwca 1944 – niedziela, 25 czerwca 1944

– Jeszcze tutaj, o tej porze? – zagadnął mężczyzna. I dodał przyjaźnie: – Narada operacyjna?

Oppenheimer sterczał nieporadnie na środku korytarza i przypatrywał się, jak stojący przed nim olbrzym pociera machinalnie knykcie dłoni.

Ogarnęło go zdumienie. Tamten odezwał się do niego jak do kolegi. Czyżby wcale go nie podejrzewał? Oppenheimer wziął się w garść. Musiał coś odpowiedzieć.

– Ach, papierkowa robota – odparł ogólnikowo. Miał nadzieję, że tamten nie zauważy drżenia w jego głosie. – Wszystko ma być gotowe na jutro rano. Nie mam pojęcia, gdzie się podziała sekretarka. Musiałem sam się wziąć do przepisywania.

– Ma pan na myśli Iris? Pannę Haferkamp? Niezła z niej sztuka. Niczego sobie zderzaki. – Wyszczerzył się szeroko. – Ale trzeba uważać, jest niestety mężatką. Na domiar złego szczęśliwą mężatką. Ktoś powinien oddać nam przysługę i wysłać jej starego na front, prawda? Ale cóż, jak wspomniałem, nie ma jej. Chyba wyjechała na pogrzeb. Takie czasy, nikogo to nie omija. Co za marnotrawstwo ludzkiego materiału.

Komisarz postanowił skorzystać z okazji. Zmarszczył czoło i zmierzył rozmówcę lodowatym spojrzeniem.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Czyżby krytykował pan decyzje Führera?

Atak okazał się w tym przypadku najlepszą obroną. Mężczyzna na sekundę otworzył szerzej oczy. Podawanie w wątpliwość lojalności było nadzwyczaj drażliwą sprawą. W ten sposób dało się postawić przed murem niemal każdego. Oppenheimer zarejestrował z zadowoleniem, że tajniak nie stanowi wyjątku. Mężczyzna niezgrabnie wydobył z kieszeni chustkę i otarł nią czoło.

– Co? Nie, nie, panie kolego, ja… absolutnie nie – jąkał się. – Ależ oczywiście, że popieram naszego Führera, stu-pro-cen-to-wo! – I kiedy zabrakło mu argumentów, wrzasnął niespodziewanie, strzelając w górę ramieniem: – *Heil Hitler!!*

Oppenheimer podpatrzonym u Voglera gestem strzelił obcasami, wyprężył się i odwzajemnił salut. Zauważył przy tym z przestrachem, że przesunęły się skoroszyty schowane pod płaszczem. Nie mógł pozwolić, aby tamten coś zauważył. Jeśliby powziął podejrzenie, że Oppenheimer chce wykraść dokumenty, to byłby koniec. Kurczowo docisnął papiery do ciała. By odwrócić uwagę tajniaka, poklepał go jowialnie po ramieniu.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, panie kolego. Nie chciałem pana krytykować. Niektóre z pana argumentów nawet rozumiem. Ale trzeba być czujnym, takie słowa łatwo można poczytać za defetyzm. Z całym szacunkiem dla pańskich poglądów, ale niech pan lepiej zachowa ostrożność, wobec kogo je pan wypowiada.

Tamten odetchnął z ulgą.

– No tak, pewnie, że rozumiem. I słusznie. Słusznie. Swoją drogą, nazywam się Holm, Peter Holm.

– Richard – odparł Oppenheimer. I po sekundzie dodał: – Richard… Opel.

Widząc zdziwienie Holma, zdał sobie sprawę, jak idiotyczne wybrał nazwisko.

– Opel? O, jak ten od automobili? Jakiś krewny?

– Niestety nie.

Uścisnęli sobie dłonie. Oppenheimer musiał uważać, by skoroszyty nie wysunęły się bardziej. Holm założył płaszcz i ruszył przed siebie. Komisarz uznał, że wyda się mniej podejrzane, jeśli dotrzyma mu towarzystwa.

– Aha, pan też już skończył na dzisiaj?

Myślał gorączkowo. Był ubrany w płaszcz, więc raczej nie mógł zaprzeczyć.

– Owszem, zbieram się już. Potrzebuję choć paru godzin snu – skłamał.

Holm się przeciągnął i chwycił za bark.

– Ech, chyba się zaczynam starzeć. Miałem dziś opornego klienta. Wyszedłem z wprawy. Kiedyś mi to nie robiło różnicy. Godzinami mogłem przesłuchiwać.

Po łączniczce nie było ani śladu. Dotrzymując kroku Holmowi, Oppenheimer skręcił w prawo. Kierowali się prosto do wielkich drzwi. Dostrzegł mundurowego, który z karabinem na ramieniu pilnował wyjścia. Uświadomił sobie niewesoło, że nie może bez wytłumaczenia rozstać się teraz z Holmem. Powiedział, że idzie do domu, więc tamten będzie oczekiwał, że wyjdą razem. Nawet najmniejsze wahanie mogło ściągnąć na niego podejrzenie. Jednak przejście przez główny portal było zbyt ryzykowne, nie, to wręcz szaleństwo, wszak dostał się do budynku ukradkiem. Z drugiej strony nie szedł sam, lecz w towarzystwie kogoś, kto najwyraźniej był tu stałym bywalcem, kogo nikt nie będzie podejrzewał, że na oczach strażnika zamierza przemycić intruza.

Machinalnie stąpał dalej. Nie miał wyboru, musiał postawić wszystko na jedną kartę. Albo uda mu się wymknąć w ten sposób, albo nie wyjdzie stąd wcale.

Usłyszał głos. Ktoś coś do niego mówił. Holm. Tak bardzo skupił się na strażniku, że słowa tajniaka do niego nie dotarły.

– Słucham?

– Pana żona, czy przebywa na wsi?

– Nie, jest w mieście. Niedaleko stąd.

– Ach, rozumiem. Muszę przyznać, że lubię czasem, kiedy Margarete nie siedzi mi na głowie. Ale na dłuższą metę bez niej ciężko. No i bez dzieci. Martwi się człowiek, kiedy ich nie ma.

– Doskonale rozumiem. Tak to jest z dziećmi.

Strażnik obrzucił ich spojrzeniem i popatrzył gdzie indziej.

– Do widzenia – zawołał do niego Holm.

Ciężkie wrota zamknęły się za nimi i Oppenheimer odetchnął z ulgą. U boku Holma przemierzył ogród i wyszedł przez bramę. Udało się, wydostał się stamtąd. Nie wierzył, że to będzie takie łatwe. Na najbliższym rogu dostrzegł samochód Lüttkego.

– Wypijesz ze mną jednego? – zapytał Holm.

– Innym razem. Żona czeka.

– No, to do następnego razu.

– To tymczasem – odparł z ulgą Oppenheimer.

Odwrócił się śpiesznie. Zbyt śpiesznie, skoroszyty wyśliznęły się bowiem spod płaszcza i wylądowały na chodniku, tuż pod nogami Holma.

Zamarł. Zdradził się. Bauer i Lüttke byli zbyt daleko, by przybyć mu z pomocą. Poza tym nie oczekiwali, że pojawi się od strony wjazdu na podwórze.

– Hopla! – zawołał Holm i schylił się ze stęknięciem. Podniósł skoroszyty i obejrzał je ciekawie. – Co my tu mamy? – W ciemności ledwie dało się odczytać napisy. Bacznie zerknął na Oppenheimera. – To pańskie?

– Ja… wziąłem je z sobą – wyjąkał.

Holm z powątpiewaniem popatrzył na akta, jakby się zastanawiał, co o tym sądzić. Potem na jego twarz powoli wypłynął uśmiech, kiedy wydało mu się, że pojął.

– Praca domowa, co? Szacuneczek, sumienny pan jesteś.

Podał mu dokumenty. Ten wziął je, usiłując poskromić nerwowość.

– Dziękuję bardzo. Tiaa, praca.

– Tylko tak dalej, panie kolego. – Holm uśmiechnął się lekko. – *Heil Hitler!*

Tymi słowami się pożegnał, obrócił na pięcie i po chwili zniknął w mroku.

Musiał wystarczyć płomyk zapalniczki. Chociaż przebywali już poza miastem, Oppenheimer ze względu na zaciemnienie nie odważył się zaświecić latarki.

Bauer i Lüttke nie byli zachwyceni, że wykradł akta, ale usprawiedliwił się tym, że nie zdołał pozbyć się ich dyskretnie, po tym jak napatoczył się na tajniaka. Dzięki temu mógł teraz przejrzeć z Hilde papiery i ustalić tożsamość sprawcy. Prędko podzielili się zadaniami. Hilde zajęła się orzeczeniami lekarskimi Lutzowa, on zaś przekopywał akta obu delikwentów w poszukiwaniu zbieżności. Już po paru minutach coś znalazł.

– Mamy – oznajmił, z trudem powstrzymując podniecenie. – Mamy powiązanie między Zieglerem a Lutzowem. Tu są kopie meldunków. Trzy i pół roku temu przez kilka miesięcy mieszkali w tej samej czynszówce w Köpenick.

– Czyli się znają.

– To dość prawdopodobne, ale nie da się udowodnić. Trzeba by popytać wśród mieszkańców. Gdybym jeszcze pracował w kripo, kazałbym przekopać archiwum w poszukiwaniu niewyjaśnionych zabójstw z tamtego

okresu na obszarze Köpenick. Może już wcześniej jakieś kobiety padły ofiarą tych dwóch.

– Bzdura na resorach. Ty zawsze jesteś taki ostrożny, Richardzie. Zdrowy rozsądek mówi, że poznali się właśnie tam.

Oppenheimer nie mógł ukryć rozbawienia.

– Zdrowy rozsądek? Aha! I ty to mówisz? Zwykle to ty domagasz się faktów!

– Popatrz, Lutzow wiekowo w stu procentach pasuje do wypracowanego profilu. Jeśli założymy, że ze sobą współpracowali, to by wyjaśniało odmienne obrażenia u ofiar. Cały czas łamałam sobie nad tym głowę. Początkowo nie umiałam znaleźć wytłumaczenia, ale teraz to jasne.

– Zaczekaj – przerwał jej wywód. – Wybiegasz trzy kroki naprzód.

Hilde wzięła głęboki oddech. Z największą wyrozumiałością, na jaką mogła się zdobyć, zaczęła tłumaczyć swój tok myślenia.

– To całkiem proste. Załóżmy, że Ziegler był tylko pomocnikiem. Powiedzmy, że chciał tylko zaspokoić swe sadystyczne potrzeby. W tym przypadku nagrania byłyby dla niego czymś w rodzaju pamiątki. Albo trofeum, jeśli wolisz. Na płytach utrwalono błagania ofiar w chwili, gdy wbijano im gwoździe w uszy. To dzieło Zieglera.

– Owszem, można tak na to patrzeć – zgodził się. – A co z usuniętymi narządami płciowymi?

– Właśnie chciałam do tego przejść. To musi być dzieło drugiego sprawcy, Lutzowa. Sądząc po listach, facet nienawidzi kobiet. Jego motywacja to unieszkodliwianie tak zwanych kurew. I właśnie to robi. On je nie tylko zabija, lecz także pozbawia ich narządu płciowego, aby nie stanowiły już zagrożenia. W każdym razie to Lutzow musiał być autorem listów, Ziegler był na to po prostu za głupi. Lutzow podszył swoje zbrodnie ideologią. Chodzi mu o ogólną akceptację. I idzie przy tym tak daleko, że wystawia zwłoki na pokaz. To on bez dwóch zdań jest siłą napędową.

– Dobrze, tu jest dokument stwierdzający, że Lutzow podczas ostatniej wojny był na froncie. Coś go łączy z tamtym okresem, to by się zgadzało. Nie został, zdaje się, odznaczony żadnym wyróżnieniem, ale też nigdzie nie zapisano, że zwolniono go w sposób niehonorowy.

Hilde rzuciła okiem na dokument i postukała w niego palcem.

– Anormalne zachowanie Lutzowa musi mieć jakiś związek z tamtym okresem. Inaczej nie widać żadnego sensu w tym, że składał ciała przy

pomnikach upamiętniających pierwszą wojnę światową.

– Sądzisz, że wówczas doświadczył z kobietami czegoś, co go w jakiś sposób naznaczyło?

Pomachała mu przed oczami orzeczeniem lekarskim, a na jej ustach wykwitł cyniczny uśmieszek.

– Wiesz, jaką to nosi datę? 1920. Lutzow był wtedy leczony na kiłę. Czytałeś?

Oppenheimer potrząsnął głową ze zdziwieniem.

– Co ma z tym wspólnego jakaś dawna choroba?

– To, że na własnej skórze doświadczył tego, co opisuje w listach. Zaraził się od kobiety, a wiele lat później rozprawia o tym, jak to kurwy szkodzą narodowi. To przecież oczywiste. Prawdopodobnie widział w tym jakieś odbicie swych wojennych przeżyć. Może to właśnie na froncie po raz pierwszy odwiedził burdel, być może nawet wtedy miał swoje pierwsze zbliżenie. To wcale nie byłoby niezwykłe. Jest młody, żyje wśród żołnierzy, czuje się dorosły, no i szaleje.

Oppenheimer zmarszczył czoło.

– Trochę za dużo domniemań.

– Wcale nie gra roli, czy odpowiadają one prawdzie. Ważne, że wierzy w nie Lutzow. Musiał skonstruować sobie jakieś ogniwo łączące, a tamto doświadczenie rzuca cień na jego późniejsze poczynania. Najbardziej szalone w tym wszystkim jest to, że wcale nie musiało do tego dojść.

– Masz na myśli amnestię Hitlera? Billhardt o tym wspominał. Pewnie jest to gdzieś w aktach. – Zaczął przewracać strony, ale Hilde mu przerwała.

– To nie Hitler. Mam na myśli lekarzy, na których trafił wtedy Lutzow. Błędnie go leczyli. Na sto procent. Znasz objawy niedoleczonego syfilisu? – Nie czekała na odpowiedź. – Może skutkować stopniowym zanikiem tkanki w rdzeniu lub mózgu. A z tym wiążą się zaburzenia osobowości, halucynacje, mania wielkości, co tylko zechcesz. To są właśnie symptomy, które można wywnioskować z listów naszego mordercy. Lutzow, kiedy udawał się na leczenie, nie był chory psychicznie. To się stało tylko dlatego, że panowie doktorzy pokpili sprawę. Cholerni felczerzy.

Westchnęła z niezadowoleniem i skierowała wzrok za szybę, na płaskie pola oświetlone blaskiem księżyca. Lüttke zdecydował się objechać miasto

od południowej strony. To była najkrótsza droga do kryjówki mordercy. Oppenheimer nie miał pojęcia, gdzie się znajdują.

– Lutzow może i stał się bydlakiem – mruknęła Hilde – ale jednocześnie jest ciekawym przypadkiem. Szkoda, że te akta nie wpadły mi w ręce wcześniej. Co się z nim stało po wojnie?

Oppenheimer zerknął w papiery.

– Zaraz… w pierwszych latach jego ślad się gubi. To orzeczenie lekarskie jest jedynym dokumentem z tamtego okresu. Reszta brzmi jak typowa kariera partyjna. Na podstawie dokumentów sądowych można w miarę dokładnie odtworzyć, czym się zajmował. Był weteranem wojennym, ale nie udało mu się nigdzie zapuścić korzeni. Podejrzewam, że było z nim tak jak z wieloma innymi, którzy wrócili z wojny: czuł się nieakceptowany przez społeczeństwo. W każdym razie jakoś wiązał koniec z końcem jako pomocnik, imał się każdej pracy, jaka się nadarzyła. Pracował nawet w masarni, co tłumaczyłoby precyzyjne cięcia u ofiar. Ale nigdzie nie zagrzał miejsca na dłużej. Potem w połowie lat dwudziestych wstąpił do SA.

– Oczywiście – prychnęła Hilde. – Idealny azyl dla wiecznych nieudaczników. Lutzow mieszkał wtedy w Charlottenburgu. Członkowie SA spotykali się tam w restauracji Zur Altstadt przy Hebbelstraße. Kiedy już się tam zagnieździli na dobre, oficjalnie przemianowali knajpę na Sturmlokal[10]. Restauratorzy tolerowali to, choć ich stali klienci skłaniali się raczej ku poglądom komunistycznym. Podobno w piwnicy mieściły się nawet lochy dla więźniów politycznych.

W miarę jak mówił, twarz Hilde tężała coraz bardziej.

– Nie musisz mi tego tłumaczyć – rzuciła. Czując na sobie jego spojrzenie, dodała: – Miałam kiedyś pacjenta. Jego pech polegał na tym, że pewnego razu zaciągnięto go do takiego właśnie lokalu. Był bity płonącymi pochodniami i kazano mu pić środek do ochrony drewna. Trudno to sobie wyobrazić. Kiedy go w końcu wypuścili, mogłam go już tylko skierować do szpitala. Cały czas leżał w wannie z wodą borową i męczył się jeszcze tydzień, zanim zmarł. Jeśli pomyśleć, że istnieją dziesiątki takich lochów, trzeba sobie zadać pytanie, ilu zbirów w rodzaju Lutzowa chodzi jeszcze po Berlinie.

Oppenheimer z przygnębieniem zapatrzył się przed siebie. Odchrząknął i powiedział:

– Cóż, na to pytanie nie umie odpowiedzieć nikt. W każdym razie wymiar sprawiedliwości zwrócił uwagę na Lutzowa dopiero wtedy, gdy w Moabicie zaatakował żonę związkowca. To było we wrześniu 1932. Pierwotnie te dokumenty zgromadzono na potrzeby zarzutów popełnienia morderstwa. Sędzia zaklasyfikował czyn Lutzowa jako napad ze szczególnym okrucieństwem i skazał go na śmierć.

– Parę miesięcy później Hitler przejął władzę.

– Zgadza się. Lutzow miał niebywałego farta. Jego czyn uznano za umotywowany politycznie i zniesiono wyrok. Bez większych formalności wypuszczono go na wolność. Ale jakiś czas później jego partyjna kariera ulega załamaniu. Kiedy w szeregach NSDAP doszło do przepychanek pomiędzy poszczególnymi obozami, on pozostał wierny SA.

Hilde zastanawiała się przez chwilę.

– To dość głupie z jego strony. Jeśli rzeczywiście zależało mu tylko na karierze, to powinien był przejść do SS najpóźniej po „nocy długich noży”, kiedy zmasakrowano Röhma i całe dowództwo.

– To mogę zrozumieć – odparł komisarz. – On i jego kompani z SA byli facetami od brudnej roboty, a uliczne zamieszki umożliwiły przecież Hitlerowi dojście do władzy. Ale podziękowań ze strony Führera się nie doczekali, a zamiast tego konkurencja z SS zdobywała coraz większe wpływy.

Hilde pokręciła głową.

– Momencik, nie wolno ci zapominać o jednym. To nie była wina wyłącznie SS, że SA poszła w odstawkę. Röhm okazał się na tyle stuknięty, że zadarł z Reichswehrą. Ten dureń z przerostem ambicji marzył o tym, by całe wojsko tańczyło, jak on zagra.

– Ależ ja to wiem – zaprotestował. – Może Lutzow żywił taką samą nadzieję. W każdym razie SA nie miała szans, aby się przebić. Ten brunatny motłoch, dzięki któremu Hitler doszedł do władzy, nagle stał się dla Führera nieelegancki. W końcu jako kanclerz Rzeszy starał się o godny wizerunek. Pech chciał, że w tej sytuacji przywódcą SA był akurat Röhm, który widział w swoich ludziach przyczółek nowej ideologii, podczas gdy Hitler chciał w głównej mierze umocnić władzę. Röhm nie dał się łatwo zbyć i zaczął podskakiwać, a tym samym podpisał na siebie wyrok śmierci. A teraz wyobraź sobie, co w tej sytuacji myślał Lutzow. SS miała po masakrze wolną drogę, SA wprawdzie oficjalnie nadal istniała, ale już bez żadnych

wpływów. Lutzow i jego towarzysze byli przydatni co najwyżej na takie okazje jak parady, by robić za masę.

Jej wzrok zwęził się, kiedy podchwyciła wątek.

– Lutzow musiał uznać, że znów został na lodzie, to pewne. Widział, że narodowy socjalizm zaczyna zmierzać w kierunku, który mu się nie podobał. To mógł być bodziec wyzwalający stopniowe dystansowanie się od linii partii.

– Ale jest jeszcze jeden istotny punkt. – Oppenheimer podniósł palec wskazujący. – On nie podważa fundamentów tej ideologii. On tylko chce narodowego socjalizmu zgodnego z jego wyobrażeniami.

– Z tym że jego postawa staje się coraz dziwaczniejsza. – Hilde nie mogła ukryć podekscytowania. Wyglądało na to, że na coś wpadła. – Nie umywa się do niej nawet polityka takiego szaleńca jak Hitler. Przy tym skrywana nienawiść Lutzowa do kobiet znowu odgrywa tu istotną rolę. Kiedy dowiedział się, że ma kiłę, zaczął demonizować kobiety, które uważa za prostytutki. Nieważne, w jaki sposób, istotne jest, że klasyfikuje je jako nieczyste i boi się ponownego zarażenia. W momencie zamordowania żony związkowca dochodzi do eskalacji. Po tej zbrodni jego nienawiść do kobiet i ideologia faszystowska są już nierozdzielne.

Oppenheimer się zamyślił.

– Potem Lutzow sklecił z tych elementów własną ideologię. I to z jej skutkami musimy teraz walczyć. Masz rację, Hilde, to by się zgadzało.

– Cholera! – zaklął Lüttke.

Samochodem zarzuciło. Oppenheimer kątem oka zauważył, że w ostatniej chwili wyminęli hałdę gruzu na środku drogi. Była to pewna oznaka, że powoli zbliżają się do terenów miejskich.

Hilde skupiła się na okolicy. Drapiąc podbródek, wpatrywała się w plan miasta.

– Dziwne miejsce wybrał sobie Lutzow na kryjówkę.

Oppenheimer popatrzył na wycinek planu. Był już nad Müggelsee mnóstwo razy. Na południowym brzegu jeziora, między Köpenick a Müggelheim, znajdowała się Wieża Bismarcka. Budowla ta ze względu na taras widokowy, z którego roztaczał się wspaniały widok na cały Berlin, stanowiła popularny cel wycieczek. Panorama była tak imponująca, że na tym samym wzgórzu wzniesiono jeszcze jedną wieżę widokową. Poza tym stała tam leśna gospoda, a nieco dalej znajdowało się sielankowo położone

Teufelssee. Prawie każdy berlińczyk odwiedził to miejsce przynajmniej raz. Wycieczkowicze wesoło dokazywali w wodzie lub urządzali sobie piesze wędrówki po wzgórzach, nie mając pojęcia, że zaledwie paręset metrów dalej działy się przerażające rzeczy.

– Chodzi ci o to, że Lutzow wybrał miejsce, w którym w weekendy roi się od ludzi? – upewnił się Oppenheimer. – Racja, to dziwne. To znacznie zwiększa szanse odkrycia.

– Nie, nie w tym rzecz. Kryjówka leży niedaleko Wieży Bismarcka. Nie kojarzy ci się to z miejscem znalezienia zwłok?

W pierwszej chwili nie wiedział, o co jej chodzi. Ale kiedy przywołał z pamięci obraz Wieży Bismarcka, zrozumiał. Konstrukcja przypominała wieżę ciśnień w Steglitz. Zakończona tępym czubkiem, zwieńczonym potężnym paleniskiem sygnalizacyjnym, mogłaby nawet ujść za powiększony do olbrzymich rozmiarów wariant monumentów, pod którymi morderca zostawiał ofiary.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Może i są tutaj pewne zbieżności, ale w przeciwieństwie do pozostałych miejsc nie widzę tu bezpośredniego związku z pierwszą wojną światową. Wieżę Bismarcka wzniesiono na przełomie wieków. To równie dobrze może być przypadek.

– To się zgadza – przyznała Hilde – ale Lutzow wykazuje pewne upodobania do symboli fallicznych. I co robi? Szuka schronienia akurat w pobliżu największego kamiennego fiuta, jaki można znaleźć w bliższej i dalszej okolicy.

Oppenheimer pozostał sceptyczny, ale nie widział sensu w obstawaniu przy swoim.

– Nieistotne – zbagatelizował. – Najważniejsze, że to odkryliśmy.

Samochód się zatrzymał.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Lüttke.

Oppenheimer ukradkiem obserwował Hilde, która rozglądała się po okolicy. Ze zdumieniem stwierdziła, że zaparkowali przy stacji kolejki.

– Hej, co to ma znaczyć? – zaprotestowała. – Jesteśmy w Adlerhof. To nie tu.

– To tu – odparł spokojnie Oppenheimer. By podkreślić wagę swych słów, spojrzał jej w oczy. – Wysiadasz tu.

Na sekundę oniemiała.

– Ani mi się śni! – wykrzyknęła. – Przewieźliście mnie taki szmat drogi, więc chcę doprowadzić to do końca!

– Hilde, to może być niebezpieczne. Pociągi jeszcze kursują. Wsiądź do następnego w kierunku centrum. Spotkamy się u ciebie.

– Faceci! – zawołała, zupełnie wytrącona z równowagi. – Nie wyjeżdżać mi tu z tą waszą rycerskością!

– Nie rozumiesz. Chodzi mi o Lisę!

Gdy to usłyszała, zamarła. Oppenheimer ciągnął dalej, próbując wyjaśnić jej, w czym rzecz:

– Ktoś musi się o nią zatroszczyć, jeśli coś mi się stanie. Hilde, to moja ostatnia prośba do ciebie. Obiecasz mi, że będziesz na nią uważać?

Zobaczył, jak rysy jej twarzy się wygładzają, i wiedział już, że rozumie. Wiedział też, że nie zgodzi się bez sprzeciwu. W końcu jednak wzruszyła ramionami i powiedziała z udawanym westchnieniem:

– Byłoby lepiej, gdybym poszła z wami, ale jak uważasz.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– No to sio, wyskakuj.

Z udawaną niechęcią otworzyła drzwiczki. Na chodniku obejrzała się za siebie i wskazała głową akta leżące na siedzeniu.

– A co z tym? Potrzebne ci?

– Po co ci to?

– No cóż, akta mają nieocenioną wartość dla nauki. Ten przypadek może się okazać przydatny do wyjaśnienia przestępstw na tle seksualnym.

Oppenheimer pomyślał chwilę. Potem wręczył jej papiery.

– Może rzeczywiście to dobry pomysł. Jeśli ktoś nas przyłapie, przynajmniej nie będzie dowodów, że włamaliśmy się do siedziby SD.

Zdał sobie sprawę, że to wszystko, co mieli sobie do powiedzenia. Nadszedł moment pożegnania. Hilde, świadoma tego, popatrzyła na niego długo i wyszeptała mu do ucha:

– Uważaj na siebie. – I dodała nieco głośniej: – I daj ode mnie Lutzowowi solidnego kopa w jaja.

– Możesz na mnie liczyć – zapewnił ją ponuro i zamknął drzwi wozu.

Patrzył przez tylną szybę, dopóki Hilde nie zniknęła w mroku. Chwilę potem już jechali nocnymi ulicami Köpenick. Jeszcze tylko kilka kilometrów i znaleźli się nad Müggelsee. Naszła go myśl, że będą mijali okolicę, którą przed tygodniem kazał przeczesywać w poszukiwaniu

Traudel Herrmann. Byli wtedy tak cholernie blisko, minęli kryjówkę mordercy o zaledwie parę kilometrów. Uświadomiwszy to sobie, zaklął cicho pod nosem.

W wodzie odbijało się światło księżyca, dość jasne, by powlec powierzchnię jeziora rozmytą poświatą. Znajdowali się w lasach wokół Müggelsee.

Bauer odwrócił się do niego.

– Którędy dalej? – zapytał.

Oppenheimer zaświecił latarkę i podał mu ją razem z mapką. Ta była jedynym dokumentem z akt, jaki zatrzymał.

– Skręcimy w prawo, w boczny trakt. Trzeba dojechać do wzgórza. To mniej więcej w połowie drogi między wieżą widokową a Wieżą Bismarcka. Lutzow ma tam od paru lat zakład. Uprawia grzyby czy coś w tym rodzaju. W każdym razie musi tam być jakiś dom albo barak.

Bauer zmarszczył brwi.

– Uprawia grzyby?

– Praktyczna rzecz w tych czasach – zauważył Lüttke. – Sam się nad tym zastanawiałem. To o wiele łatwiejsze od uprawy warzyw. Ma się gwarancję, że urosną, potrzebują jedynie wilgoci. Tylko u mnie w domu jest za mało miejsca, niestety.

Bauer popatrzył na kolegę, jakby miał poważne wątpliwości co do jego zdrowego rozsądku.

– Grzyby – mruknął, kręcąc głową.

Gdzieś tam, nad główną bramą, musiał znajdować się ogromny lew. Była to jedyna rzeźba, jaką umieszczono na fasadzie Wieży Bismarcka. Oppenheimer z napięciem wpatrywał się w zbocze, zastanawiając się, czy w dzień lew byłby stąd widoczny. Ale czubek budowli niknął w czerni nocnego nieba.

Musieli raz jeszcze zawrócić w stronę Müggelheimer Damm, zanim odkryli wąską leśną przecinkę. Dojazd do posiadłości był mało uczęszczanym traktem przeznaczonym dla pojazdów rolniczych, prowadzącym prosto jak strzelił w stronę wzgórza Müggelberg. Lüttke zatrzymał samochód przy drewnianym ogrodzeniu, chroniącym posesję przed nieproszonymi gośćmi. W jasnym snopie reflektorów widać było tabliczkę z nazwiskiem właściciela wiszącą przy furtce. Oppenheimer

stanął przy niej spięty. Lüttke zgasił światła, ale te kilka sekund wystarczyło, by napis na tabliczce wrył się w siatkówkę.

Lutzow.

Komisarz pchnął furtkę. Była oczywiście zamknięta. Nie dostrzegł żadnych zabudowań. Zaniepokoił się, czy tu w ogóle coś jeszcze jest. Może kryjówka uległa zniszczeniu i Lutzow znalazł sobie jakieś inne lokum? Nocny las był pogrążony w głębokiej ciszy. Wydawało się nie do pomyślenia, że dokonywano tutaj tak okrutnych zbrodni. Jeśli dobrze się przyjrzeć, właśnie to sprawiało, że miejsce okazało się podejrzane. Tu było zbyt spokojnie. Zbyt normalnie.

Obawiał się wkroczyć na teren posesji. Instynkt mówił mu, że czyha na nich jakaś zasadzka. Z drugiej strony wcale nie było wykluczone, że nikogo tu nie zastaną. Że Lutzow, zaniepokojony zniknięciem Kallego, nie znalazł nowej ofiary. Może już dawno wpadł? Oppenheimer wziął głęboki wdech i przygotował się wewnętrznie, że za chwilę się o tym przekona.

Dołączył do niego Lüttke.

– Proszę to wziąć – powiedział i wcisnął mu do ręki broń palną. – Odda mi pan, kiedy będzie po wszystkim. Chce pan latarkę?

– Wolę nie. Mogłaby mnie zdradzić. Spróbuję się podkraść pod osłoną ciemności. Jeśli on się tu ukrywa, to przy odrobinie szczęścia może uda się go zaskoczyć. Niech pan poczeka pięć minut, a potem przyjdzie z latarką. W charakterze posiłków.

Tymczasem z samochodu wysiadł Bauer i skinął mu krótko głową.

– Powodzenia.

Oppenheimer przesadził płot i spróbował pójść ścieżką, którą dostrzegł w świetle reflektorów. Korony drzew zasłaniały księżyc. Komisarz wpatrywał się z natężeniem w mrok. Gdyby Lutzow czekał tu na niego i teraz zaatakował, byłby bez szans. Prawie. Odbezpieczył broń.

Wyczuł pod stopami jakąś nierówność. Na szczęście oparł się pokusie założenia porządnych butów od Hilde. Zdarte zelówki były mu bardzo na rękę, ponieważ w starych trzewikach bez problemu wyczuwał każdy garbek nawierzchni. Przystanął i się pochylił. Tak, to były koleiny wyżłobione ciężkim pojazdem. Znakomicie. Miał jakiś punkt zaczepienia. Odciski kół zaprowadzą go do kryjówki. Ostrożnie ruszył przed siebie po śladach.

Ścieżka zatoczyła łuk i Oppenheimer zauważył między drzewami światło. Zobaczył niewielki magazyn – kryjówkę Lutzowa. Jeszcze parę

kroków i dostrzegł lampę wiszącą przy drzwiach wejściowych. Zgodnie z przepisami o ochronie przeciwlotniczej szkło było zabarwione na niebiesko.

Parę metrów dalej majaczył ciemny kontur. Aż mu zaparło dech, kiedy rozpoznał obiekt obok wejścia. Furgonetka z plandeką. „Dostawczak Zieglera” – przemknęło mu przez głowę. To mogło oznaczać tylko jedno: że Lutzow tu jest i że uprowadził kolejną ofiarę.

Przystanął odruchowo i rozejrzał się wokół. Odczekał kilka sekund, ale nikt się nie pojawił. Żadnego niespodziewanego ataku z ciemności, żadnego mordercy, który doskoczyłby do niego.

Nerwowo wsunął lewą rękę do kieszeni płaszcza, nie przestając się rozglądać. Wziął tabletkę pervitinu i włożył ją do ust, rozgryzł, a potem połknął.

Zastanawiał się, dlaczego Lutzow zostawił zapaloną lampę. Przypomniał sobie, że od strony leśnego duktu światła i tak nie było widać. Lutzow niewiele ryzykował. W każdym razie wyglądało na to, że czuł się dość bezpiecznie. Zbyt bezpiecznie? Nie liczył się z możliwością, że ktoś ośmieli się tu wtargnąć?

W normalnych okolicznościach Oppenheimer najpierw okrążyłby budynek, by poszukać tylnego wyjścia. Ale być może właśnie w tej chwili w środku jakaś kobieta błaga o pomoc? Nie miał wyboru, musiał się tam dostać. Natychmiast.

Zebrał się w sobie i zrobił krok naprzód. Stąpał delikatnie, starając się iść bezszelestnie. Nacisnął klamkę. W przeciwieństwie do furtki drzwi nie były zamknięte.

Wstrzymał oddech, kiedy uderzył w niego stęchły zapach. Ostrożnie zajrzał przez wąską szczelinę, ale niewiele mógł rozpoznać w mroku.

Przemógł się i błyskawicznie wpadł do środka, z pistoletem gotowym do strzału. Wnętrze magazynu oświetlał tylko niebieski blask lampy z zewnątrz.

Wysilił wzrok i z trudem rozpoznał jakieś kontury. Upłynęła dobra chwila, zanim dotarło do niego, co widzi. Były to niewysokie koryta pod hodowlę grzybów. Stały stłoczone ciasno w cieniu. Uświadomił sobie z niepokojem, że jest tu mnóstwo załomów i zakamarków, w których można się schować. A mimo to odnosił wrażenie, że w pomieszczeniu nikogo nie ma. Ani śladu Lutzowa i jego ofiary. Zauważył w pobliżu czarny

kwadrat w podłodze. Otwór musiał prowadzić do piwnicy. Błyskawicznie rozważył różne możliwości. Było dość prawdopodobne, że Lutzow ukrywa się właśnie tam. Musiał zaryzykować i tam zejść. Bezszelestnie zbliżył się do otworu. Schylał się, by wymacać stopień, kiedy usłyszał dźwięk.

Rozpaczliwe kwilenie.

Drgnął. Wydało mu się, że przytłumiony odgłos nie dochodzi z piwnicy. Ofiara musiała być na tym poziomie. Czyżby znajdowało się tu jeszcze inne pomieszczenie? Rozejrzał się, ale światło z zewnątrz nie sięgało wystarczająco głęboko.

Zadał sobie pytanie, gdzie się podziewają Bauer i Lüttke. Czy nie sensowniej zaczekać na nich, żeby uderzyć razem?

Lęk paraliżował mu umysł. Nagle ogarnęła go niepewność, myślał wyłącznie o tym, co czyha na niego w mroku. To mogło oznaczać, że pervitin jeszcze nie zaczął działać. I to akurat teraz, kiedy najbardziej go potrzebował.

Rozległo się skrzypnięcie. Poderwał broń i obrócił się gwałtownie. Zamarł w bezruchu. Spodziewał się ataku, który nie nastąpił.

Fałszywy alarm. Nikt tu na niego nie czekał. Nikt nie chciał go obezwładnić.

Odetchnął głęboko, starając się uspokoić. Dopóki nie zacznie działać pervitin, nie może dać się zwieść demonom, tworzonym przez wyobraźnię. Serce waliło mu z całej siły. Musiał się o coś oprzeć. Pomacał wokół drżącą ręką.

Palce dotknęły czegoś twardego. Ostrożnie przejechał nimi po powierzchni. Ściana. Odważył się powoli przejść wzdłuż niej.

Centymetr po centymetrze Oppenheimer skradał się naprzód. Gwałtowne ruchy tylko zwiększały niebezpieczeństwo, że zdradzi się jakimś dźwiękiem.

Na domiar złego przekonał się, że podłoże jest bardzo nierówne. Przesuwał się wzdłuż koryt, ale nie miał najmniejszego punktu zaczepienia, by ocenić, jaką drogę już pokonał.

Cofnął się nagle i natrafił na coś palcami. Po dokładnym zbadaniu okazało się, że to druga ściana, biegnąca pod kątem prostym do poprzedniej. Przesunął się ostrożnie wzdłuż niej.

Skradał się dalej, aż zauważył coś na podłodze. Początkowo dostrzegł tylko jaśniejszy wzór. Ale po bliższym przyjrzeniu zorientował się, że to

żłobienie desek podłogowych. Oheblowane surowo brzegi były skierowane do góry. Naszła go nagła myśl. Osobliwe kształty odstających drzazg rzucały długie cienie. To oznaczało, że źródło światła znajduje się gdzieś blisko podłogi.

I rzeczywiście, kiedy się pochylił, parę centymetrów dalej zobaczył wąską smużkę światła. Znalazł się przy zamkniętych drzwiach. Światło dochodziło z sąsiedniego pomieszczenia. Miał rację. Jeśli Lutzow więził nową ofiarę, musiała być za tymi drzwiami.

Wstrzymał oddech i przywarł do ściany, z bronią gotową do strzału. Słyszał wyraźnie, że w pokoju coś się porusza. Rozległ się szelest i zdławiony krzyk. Lutzow uprowadził kolejną kobietę. Oppenheimer z ulgą odnotował, że ta jeszcze żyje.

Z doświadczenia w pracy policjanta wiedział, że w tej sytuacji ma tylko jedną szansę. Musi za wszelką cenę spróbować oddzielić Lutzowa od jego ofiary.

Przygotował się na frontalny atak. Głęboko odetchnął, a kiedy poczuł, że jest gotów, policzył do trzech. I wziął rozpęd.

Zamek wyłamał się z framugi i Oppenheimer z wymierzoną bronią wpadł do środka.

Oślepił go blask nagiej żarówki. Zanim zdołał cokolwiek rozpoznać, zarejestrował po prawej stronie jakiś ruch.

Rozległy się pośpieszne kroki. Wycelował w kierunku, z którego dochodziły, i zastygł w pół ruchu.

Na odległym krańcu pokoju siedziała na krześle związana i zakneblowana kobieta. Wyglądała żałośnie. Miała na sobie wieczorową suknię, odpowiednią na bal. Jej długie brązowe włosy były potargane. Łzy pozostawiły na bladych policzkach czarne smugi tuszu do rzęs. Ciało zwisało bezwładnie, jakby już poddała się losowi.

Gdy znalazł się w jej polu widzenia, ożywiła się. Poderwała głowę i próbowała krzyczeć, choć miała zakneblowane usta. Zaczęła szarpać więzy i wić się na krześle.

Gdzie, do diabła, podział się Lutzow?

Oppenheimer odwrócił się gwałtownie, rzucił szybkie spojrzenie w kąt za sobą. Nie. Pomieszczenie okazało się puste. Przebywali tu tylko on i ofiara.

Sytuacja była jasna. Lada moment nadejdą Lüttke i Bauer. Niech oni zajmą się Lutzowem. Chciał instynktownie pośpieszyć kobiecie z pomocą,

nie mógł zostawić jej samej w tym piekle. Zbyt późno zorientował się, że ta reakcja przypieczętowała jego własny los.

Kiedy ruszył w stronę kobiety, usłyszał głuchy łomot walących się drewnianych wsporników. To, co się wydarzyło potem, nie miało najmniejszego sensu. Oppenheimer biegł i biegł.

To miejsce było zaklęte. Lutzow musiał jakoś oszukać prawa natury. Komisarz biegł coraz szybciej, coraz bardziej oddalając się od ofiary.

Pomieszczenie zmieniło kształt. Obraz krzyczącej panicznie kobiety stawał się coraz mniejszy, aż w końcu się przekrzywił. Oppenheimer poczuł, jak pistolet wyślizguje mu się z ręki. Zamiast ściany miał przed sobą obelkowanie stropu. Rzuciło nim brutalnie na plecy, zaparło mu dech i już było po wszystkim.

Zrobiło się cicho.

Oszołomiony przeturlał się na bok i odetchnął głęboko. Skrzywił się, czując ostry ból w plecach.

Rozejrzał się wokół. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie leżały drewniane belki. Unoszący się w powietrzu pył dostał się do jego płuc i wywołał napad kaszlu.

Belki dwukrotnie usuwały się na bok, kiedy próbował się podźwignąć, ale w końcu udało mu się jakoś złapać równowagę.

Wyprostował się i spojrzał w górę, mrugając powiekami. Dopiero teraz zrozumiał, co się stało. Lutzow musiał nadpiłować dźwigary podtrzymujące podłogę. Ciężar jednej osoby wystarczył, aby wszystko się zawaliło. Oppenheimer znalazł się w piwnicy. Z góry kapała woda, wyciekająca zapewne z koryt na grzyby. A może zawalenie się podłogi uszkodziło jakieś przewody z wodą? Schylił się po pistolet.

Z zewnątrz dobiegł odgłos wystrzału. Potem drugi, trzeci i znowu zapadła cisza. Coś musiało się stać. Stanął na palcach, ale niczego nie zobaczył.

Gorączkowo szukał sposobu, aby się stąd wydostać. Przekonał się, że pomysł, by wspiąć się do góry po śliskich belkach, jest niewykonalny. Zanim znalazł inne rozwiązanie, rozległy się ciężkie kroki. Po budynku rozeszli się ludzie i weszli do pomieszczenia, w którym znajdowała się kobieta.

Oppenheimer odetchnął z ulgą. To musieli być Lüttke i Bauer! Widać dorwali Lutzowa.

– Tutaj jestem! Na dole! – zawołał.

Nie dostał odpowiedzi. Niecierpliwie odsuwał na bok luźne deski, badając piwnicę, do której wpadł. Gdzieś tu musiało być przecież jakieś wyjście. Ponownie usłyszał kroki. Zdawały się rozlegać w pomieszczeniu obok. Podążył za dźwiękiem i natknął się na drzwi, zza których dochodziły odgłosy.

Zapadła ołowiana cisza.

Pociągnął za klamkę – były zamknięte. Wycelował i nacisnął spust. Był słabym strzelcem, potrzebował dwóch strzałów, żeby roztrzaskać zamek i uchylić drzwi.

Naprzeciwko znajdowały się kolejne drzwi, tym razem otwarte na oścież. W twarz wionęło mu chłodne powietrze. Pomieszczenie spowijał mrok. Panował tu spokój. Oppenheimer nie słyszał najmniejszego ruchu.

Po lewej stronie zobaczył schody prowadzące w stronę światła. To tam, na górze widział uprowadzoną kobietę. Ostrożnie podszedł do nich i zaczął się wspinać. Musiał się upewnić, co się stało z ofiarą.

Na górze zatrzymał się zaskoczony. Nikogo nie dostrzegł. Już chciał uwierzyć, że wszystko, co tutaj przeżył, to tylko zły sen. Ale nie, przeczyły temu szczegóły. Nie miał wątpliwości, że w ciągu ostatnich minut coś tu się wydarzyło. Krzesło, na którym siedziała kobieta, było przewrócone. Obok leżały na ziemi przecięte więzy. A więc jednak. Lüttke i Bauer zdążyli uwolnić ofiarę. Odetchnął z ulgą.

Ale po chwili naszły go wątpliwości.

Dziwne, dlaczego agenci Abwehry nie pokazali się, kiedy wołał. Czy to miało znaczyć, że Lutzow mimo wszystko im się wymknął? A może wystrychnął ich na dudka? Albo miał jeszcze jednego wspólnika? Pułapka, w którą wpadł Oppenheimer, świadczyła, że jego przeciwnik przygotował się na wszelkie ewentualności. Może i był szalony, ale na pewno nie głupi. Komisarz uświadomił sobie, że czym prędzej musi się stąd wydostać, by wyrobić sobie ogląd sytuacji. Pech chciał, że połowa pomieszczenia nie miała podłogi. Nie było jak ominąć przepaści, by dostać się do drzwi, przez które wszedł do budynku. Przypomniał sobie, że w piwnicy słyszał kroki. Tam też czuł przeciąg. Musiało tu być inne wyjście.

Już chciał się odwrócić, żeby zejść po schodach, kiedy ktoś się odezwał.

– Dorwaliśmy Lutzowa. Chciał dać nogę.

Oppenheimer zamarł. Nie spodziewał się usłyszeć tu tego głosu. Znał go aż za dobrze. Odwrócił się i znalazł się twarzą w twarz z Voglerem.

29

niedziela, 25 czerwca 1944

Vogler na jego widok nie okazał najmniejszego zdziwienia. Wokół jego ust błąkał się uśmiech zadowolenia.

– Tym razem nasz system wczesnego ostrzegania zadziałał – oznajmił.

Po krótkim namyśle Oppenheimer skinął głową.

– A więc powiadomiono pana o uprowadzeniu?

– Kiedy otrzymałem wiadomość o tym, natychmiast zebrałem paru ludzi i przyjechałem tutaj. W samą porę. Zastrzeliliśmy Lutzowa, kiedy wychodził z kotłowni.

Vogler doszedł zatem do tego samego. Torturując Zieglera, dowiedział się, gdzie zlokalizowali kryjówkę. Było prawdopodobne, że Lutzow zaszyje się tutaj z nową ofiarą.

W tym momencie Oppenheimer uzmysłowił sobie, że nie ma usprawiedliwienia dla swej obecności w tym miejscu. Przyznanie się, że wykradł akta Voglera, nie wydało mu się mądrym posunięciem.

– Dobrze – powiedział ostrożnie. – Przepraszam, ale muszę wyjść na zewnątrz.

Esesman go nie zatrzymywał. Komisarz poszedł za przeciągiem. Nagle ogarnęło go wrażenie, że nie wytrzyma tu ani sekundy dłużej. Pragnął tylko wydostać się z katowni Lutzowa, wypełnionej bólem i obłędem.

Obijając się po omacku, natknął się wreszcie na zsyp na węgiel, prowadzący w górę ku ciężkim żelaznym drzwiom. Na zewnątrz przywitało go wieczorne powietrze. Dobrze było odetchnąć nim po tym wszystkim. To koniec. Lutzow nie żyje. Oppenheimer odzyskiwał spokój. Chwilę potem zjawił się Vogler. Stali przed magazynem, dwie sylwetki w nocnym lesie, oświetlone niebieskim blaskiem.

Komisarz potoczył wkoło wzrokiem. Ludzie Voglera najwyraźniej już odjechali. Jedynym towarzystwem było leżące na ziemi parę metrów dalej

martwe ciało z maską gazową na twarzy.

– Lutzow? – zapytał.

Vogler założył ramiona na piersi i oparł się o ścianę.

– Instynkt pana nie zawiódł, Oppenheimer. Lutzow był w zmowie z Zieglerem.

– Co z kobietą? – Widząc pytający wzrok Voglera, sprecyzował: – Ofiara. Gdzie ona jest?

– Bez obaw. Moi ludzie zawieźli ją w bezpieczne miejsce. Nie będziemy jej długo męczyć pytaniami.

– Bardzo dobrze.

– Jest jeszcze coś – dodał Vogler. Ociągał się, szukał właściwych słów. – Schwytaliśmy niedaleko stąd dwóch… osobliwych jegomości. Niestety, nie chcieli nam powiedzieć, co robią tu późną porą. Nie wie pan przypadkiem nic na ten temat, Oppenheimer?

Zamarł. Wiedział, co to znaczy. To koniec. Jego plany legły w gruzach. W głębi duszy miał nadzieję, że Bauer i Lüttke zdążyli w porę uciec. Ale Vogler ich dorwał, a bez nich on nie mógł wyjechać z kraju. Już się nie zrewanżuje Lisie za te wszystkie ciężkie lata. W jednej sekundzie Vogler pogrzebał nikłą nadzieję, że będą mogli zapomnieć o tym wszystkim.

Wiedział, że jest kiepskim kłamcą, a na jego twarzy wymalował się szok. Starał się uciec przed bacznym spojrzeniem esesmana.

– A co ja mam z tym wspólnego? – zapytał obojętnym tonem.

Vogler skwitował śmiechem jego wątpliwy talent aktorski.

– Właściwie mnie to nie obchodzi, Oppenheimer. Ci dwaj pewnie poddawani są właśnie przesłuchaniu. Kto wie, co wyśpiewają. Ja już nie mam z tym nic wspólnego. Jutro wyjeżdżam na front. Pod ostrzałem wszystko widać wyraźniej. – Utkwił wzrok w oddali.

Komisarz skinął głową. Chyba wiedział, co Vogler ma na myśli. Na froncie liczyło się to, by przeżyć. Były tylko dwa rodzaje reakcji: ta właściwa – i człowiek żył dalej, i ta niewłaściwa – wtedy ginął. Wprawdzie i na domowym froncie ryzykowało się życie, ale podejmowane tu decyzje były znacznie bardziej złożone.

Obaj oddawali się podobnym myślom. Chociaż w żyłach Oppenheimera krążył pervitin, komisarz czuł w sobie ogromną pustkę.

Wysiłkiem woli zmobilizował się, by wyrwać się z tego stanu i zmusić oporne ciało do jakiegoś ruchu. Chciał ostatni raz spojrzeć na Lutzowa.

Schylił się i po krótkim wahaniu ściągnął maskę z twarzy trupa.

Nie wiedział, czego tak naprawdę się spodziewał. Może jakiejś oznaki szaleństwa, utrwalonej w rysach twarzy? Spojrzenia wariata? Szyderczego uśmiechu? Żadne z tych oczekiwań się nie spełniło. Martwy Lutzow wyglądał banalnie. Otwarte oczy miały tępy wyraz. Twarz, okolona wianuszkiem platynowoblond włosów, emanowała spokojem, właściwym tylko zmarłym. Oppenheimer wiedział, że nie znajdzie tu odpowiedzi. Pozostała mu tylko niepokojąca bezradność.

Dostrzegł w oczach trupa odbity ognik i się odwrócił. Vogler zapalał papierosa.

– Czy tak jest zawsze? – zapytał, zdmuchnąwszy zapałkę. – Czy rozwiązanie zawsze jest inne, niż się człowiek spodziewa?

Oppenheimer wyprostował się i zamyślił nad odpowiedzią.

– Tak bywa. Ale myślę, że to nie zakończenie nas zaskakuje. Raczej to, z czym zostajemy skonfrontowani w czasie śledztwa. Początkowy obraz zmienia się powoli i niezauważalnie.

Vogler wydał z siebie dźwięk aprobaty.

– Teraz rozumiem, co pan miał wtedy na myśli. Że trzeba podchodzić do sprawy bez uprzedzeń i tak dalej. – Chciał schować papierosy, ale zmienił zdanie i podsunął paczkę Oppenheimerowi. – Proszę. Dla uczczenia pomyślnego zakończenia sprawy.

Komisarz potarł zapałką o draskę i w tym momencie usłyszał tuż obok inny dźwięk.

Metaliczne kliknięcie.

Natychmiast pojął, że Vogler odbezpieczył broń. Stał zesztywniały, bojąc się drgnąć. Czuł ciężar własnego pistoletu. Pech chciał, że kiedy wspinał się węglowym zsypem, włożył spluwę do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Nie zdołałby wyciągnąć jej w porę.

Przez kilka sekund obaj stali bez ruchu. W końcu Oppenheimer głęboko zaciągnął się dymem. Koniuszek papierosa rozżarzył się czerwono. Rzucił prawie wypaloną zapałkę na ziemię. Wiedział, że nie ma szans. Był zdany na łaskę i niełaskę Voglera. Bardzo powoli odwrócił się w jego stronę. Ale tamten nie patrzył na niego, tylko na trupa.

– Nikt się nie dowie, że Johannes Lutzow był mordercą – mruknął Hauptsturmführer. Jego głos brzmiał dziwnie chrapliwie. – Nie dziwi to pana, Oppenheimer?

Komisarz musiał przełknąć ślinę, by odpowiedzieć.

– Spodziewałem się takiego obrotu sprawy.

– Jutro rano znikną wszelkie ślady, że kiedykolwiek istniał. Podobnie jak ten budynek. Nikt nie będzie o nim pamiętał.

Oppenheimer zdał sobie sprawę, co Vogler chce przez to powiedzieć. Należało uciszyć i jego. Na czoło wystąpił mu pot. W milczeniu obserwował, jak esesman wymierza broń w coś w pobliżu. Zapomniał, że w ustach żarzy mu się papieros. Panicznie szukał jakiegoś wyjścia, możliwości ucieczki. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak jasno jest wokół. Ta cholerna lampa przy wejściu! Nie miał szans, aby zniknąć w ciemnościach. Oszacował odległość od furgonetki, drogę do najbliższych drzew, ale wszystko znajdowało się za daleko. Jeśli puści się biegiem, Vogler będzie mógł położyć go strzałem na komorę.

Przeniósł na niego wzrok i zauważył, że nastrój esesmana uległ zmianie. Na jego twarz wypełzł osobliwy uśmiech. Wyglądał jak ktoś, kto dobrze się bawi z dowcipu, którego puentę rozumie tylko on. Zamknął na chwilę oczy i opuścił broń.

– Będzie lepiej dla pana, jeśli nie wróci pan już na osiedle. Proszę się też nie pokazywać w *Judenhausie*. Będą pana szukać. Ten tłusty wieprz Reithermann poruszy niebo i ziemię, żeby pana dorwać. I proszę, niech pan nie popełni tego błędu, żeby strzelać do mnie. Jestem szybszy. – Wyrzucił na wpół wypalonego papierosa i wypuścił kłąb dymu w nocne powietrze. – Ta rozmowa się nie odbyła. To by było na tyle, panie komisarzu.

Oppenheimer wpatrywał się w niego ze zdumieniem. Dlaczego Vogler go oszczędził? Czyżby hiobowe proroctwa Hilde były nieuzasadnione? Czy to on miał rację, twierdząc, że Vogler jest zdolny do czegoś więcej niż do ślepego posłuszeństwa?

Zrozumiał słowa esesmana jako wezwanie do odejścia. Odchrząknął zmieszany i się odwrócił.

Odszedł zaledwie parę kroków, kiedy Vogler powiedział:

– Oppenheimer?

Hauptsturmführer podszedł bliżej i podał mu nieduży podłużny metalowy cylinder. Oppenheimer ze zdziwieniem zbadał wzrokiem przedmiot.

– Kapsułka z cyjankiem – wyjaśnił Vogler. – Myślę, że panu przyda się bardziej niż mnie.

Pod sierpem przybierającego księżyca rozpościerał się cały Berlin. Przejrzyste powietrze działało jak skracająca odległości lupa. Oppenheimer miał wrażenie, że jeśli wyciągnie rękę, dotknie najbliższych budynków. Tej nocy blady, zielonkawy blask płonącego fosforu nadawał miastu upiorny wygląd.

Zaledwie parę minut po pożegnaniu z Voglerem ogarnęła go dawna nieufność. Przeświadczenie, że jest wolny jak ptak, sprawiło, że stał się ostrożniejszy. Naszła go myśl, że Vogler może tylko dlatego puścił go wolno, by nie brudzić sobie rąk. Jego ludzie zapewne czekają u stóp wzgórza, na wypadek gdyby Hauptsturmführer jednak zmienił decyzję. Nie musiał jednak wracać przez Müggelheimer Damm. Wprawdzie inna droga była nieco uciążliwsza, miała jednak tę zaletę, że prowadziła dokładnie w przeciwnym kierunku. Znał ją na tyle dobrze, by znaleźć nawet w nocy. Musiał tylko pójść granią na zachód i dotrzeć do wieży widokowej na Kleiner Müggelberg. Stamtąd zejdzie schodami na południowym zboczu do Langersee i spróbuje przebić się wzdłuż brzegu jeziora do Köpenick.

W końcu nie wybrał jednak zejścia schodami, wymagającego pokonania trzystu siedemdziesięciu czterech stopni w dół. Postanowił zakraść się pod osłoną mroku na taras gospody Müggelturm. Zanim zstąpi do piekielnego kotła, chciał najpierw zorientować się w sytuacji. Wprawdzie panorama rozciągająca się z tarasu nie była tak imponująca jak z wieży, gdzie trzeba było płacić za wstęp, ale i tak z zachwytu zaparło mu dech w piersi.

Z tej perspektywy trudno było uwierzyć, że w mieście tli się jeszcze życie. A mimo to tam w dole znalazły schronienie miliony ludzi. Miasto opinał pierścień reflektorów flaków, które wbijały się w niebo niczym wędrujące powoli przezroczyste pajęcze nogi. Ale to nie wszystko. Nad budynkami wisiały jak karuzela nad łóżeczkiem dziecka ciężkie od bomb cielska samolotów. Flaki pluły w niebo jaskrawymi smugami, na ziemię z wizgiem spadały bomby. To nie był wielki, starannie zaplanowany nalot, tylko zwykły atak moskitów, przeprowadzany pod osłoną nocy. A jednak nawet on miał dość niszczycielskiej siły, by wymazać setki ludzkich istnień.

Niebo co jakiś czas przecinały niebieskie błyskawice. Gdzieś ze świstem wybuchł kanister z fosforem, rażąc ulice gorącym oddechem. Oparty o barierkę Oppenheimer jak urzeczony wpatrywał się w ten spektakl. Widok, który rozciągał się z jego loży, był niemal obsceniczny. Wiedział, że

nie wolno mu zabawić tu dłużej. Musiał wrócić do Lisy, musiał trwać u jej boku, zapewnić ją, że jeszcze żyje. A mimo to coś kazało mu zwlekać.

Przyłapał się na tym, że odruchowo położył rękę na kieszeni na piersi. Pod tkaniną wyczuł twardy metalowy obiekt, otrzymany od Voglera. Ciekawie wyjął cylinder i odkręcił nakrętkę. Kapsułka z trucizną była przezroczysta i wąska, miała dwa–trzy centymetry długości. Idealna, by ukryć ją w ustach i rozgryźć w razie potrzeby. Potrzymał ją pod światło księżyca. Ospowate oblicze srebrnego globu nadawało klarownej substancji nęcący blask. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

I w tym momencie poczuł coś zgoła odmiennego: przepełnił go niepojęty spokój. Upłynęła chwila, zanim zrozumiał, że to nie była chemiczna reakcja organizmu na tabletki pervitinu. Pojął, że źródłem uczucia jest kapsułka z cyjankiem.

To dziwne, ale kiedy tak wpatrywał się w cylinder, dający mu możliwość samobójczej śmierci, poczuł się bardziej żywy niż kiedykolwiek. Dzięki tej kapsułce miał władzę, by samemu zadecydować o końcu. Nie zastraszy go już żaden gestapowiec, żaden wrzeszczący nazista. Nie mogą mu już nic zrobić. Jest panem swego losu. Ta myśl napełniła go odwagą. Zastanawiał się, w jakim celu Vogler dał mu cyjanek. Czy był to niewypowiedziany rozkaz, by odebrać sobie życie? A może w ten pokrętny sposób chciał okazać mu uznanie, może ten gest zawierał w sobie szczyptę człowieczeństwa? Jak długo by to roztrząsał – odpowiedź pozostawała zagadką. Jedno tylko było pewne: od tej chwili kapsułka z cyjankiem miała być jego najcenniejszym skarbem.

Posłowie

Fabuła *Germanii* to wprawdzie fikcja, ale tło powieści – już nie. Tworząc ją, starałem się unikać retrospektywnego podejścia do ówczesnych wydarzeń, zależało mi przede wszystkim na pokazaniu, jak ludność Berlina przeżywała tamte burzliwe dni na początku lata 1944 roku, nie wiedząc, jak zakończą się działania wojenne.

Istotnym elementem kompozycji stało się dokładne zdefiniowanie ram czasowych. Bez analizy bezpośrednich źródeł historycznych niemożliwe byłoby zrekonstruowanie co do dnia wydarzeń w Berlinie i jego okolicach na poziomie przewyższającym koloryzowane relacje popołudniówek. Nieocenioną wartość miały w szczególności pamiętniki: Ruth Andreas-Friedrich, Victora Klemperera, Wasyla Timofiejewicza Kudrenki, Ursuli von Kardorff, Hansa-Georga von Studnitza i Marii Wasilczikow, które ukazały się w formie książkowej. Tę lekturę polecam gorąco wszystkim czytelnikom, którzy chcieliby głębiej poznać codzienność w Trzeciej Rzeszy. Ponieważ chciałem możliwie szczegółowo oddać okres od maja do czerwca 1944, pozwoliłem sobie zapożyczyć niektóre fragmenty z tych książek. Ponadto wiele szczegółów bombardowań zaczerpnąłem z książki *Pożoga* autorstwa Jörga Friedricha. Innego punktu widzenia, opisów sytuacji widzianej z perspektywy wieży z kości słoniowej zamieszkiwanej przez nazistowskich przywódców, dostarczyły zapiski Josepha Goebbelsa. Posłużyły one również do zweryfikowania opisu nalotów bombowych.

Chociaż moja praca polegała głównie na ślęczeniu nad manuskryptem w ciszy gabinetu, nie obyło się bez pomocy wielu osób, które wspierały mnie w tym projekcie.

Podziękowania należą się nieustraszonym pierwszym czytelnikom Stephanowi Eichenbergowi, Johannesowi-Paulowi Hanischowi i Andreasowi Haunowi, którzy służyli mi cennymi wskazówkami we wczesnej fazie pracy nad tą książką.

Szczegóły medyczne zweryfikowały Jennifer Gmeiner i Miriam Partilla. Jeśli zakradły się jakieś błędy w tym względzie, to zawiniłem wyłącznie ja, ponieważ nie chcąc nadwyrężać uprzejmości obu pań, przedłożyłem im tylko fragmenty tekstu.

Ute Gröbel pomogła mi w wyszukaniu autentycznych przekleństw. By uprzedzić możliwe błędne interpretacje, chciałbym wyraźnie podkreślić, iż stosowane przez nią słownictwo w żaden sposób nie przypomina nieokrzesanego wokabularza Hilde.

Szczere podziękowania kieruję do Hendrika Boehnkego, który jako pierwszy otrzymał do przeczytania gotowy manuskrypt i był uprzejmy polecić go dalej.

Dziękuję Ilse Wagner za to, że podjęła się ważkiego zadania redakcji tekstu.

W grupie wydawniczej Droemer Knaur jest mnóstwo osób, które przyczyniły się do publikacji tej książki, choć niestety nie miałem okazji poznać ich wszystkich osobiście. W tym miejscu chciałbym w ich zastępstwie wymienić Patricię Keßler, odpowiedzialną za współpracę z mediami, oraz Margaretę Klein, która zajmuje się organizacją spotkań autorskich.

Szczególne podziękowania kieruję wreszcie do dr. Petera Hammansa, który z wielką serdecznością przyjął mnie do kręgu wydawnictwa Knaur, oraz do mojej agentki Franki Zastrow, która dodawała mi otuchy, kiedy tego najbardziej potrzebowałem. *Germania* nigdy nie ukazałaby się w tej formie, gdyby nie upór tych dwojga. Mam wobec nich ogromny dług wdzięczności.

Harald Gilbers
maj 2013

Źródła

Gross Leonard, *Versteckt. Wie Juden in Berlin die Nazi-Zeit überlebten*, Reinbek 1982.

Höhne Heinz, *Zakon trupiej czaszki*, tłum. Sławomir Kędzierski, Wydawnictwo Wołoszański, Warszawa 2006.

Jörg Friedrich, *Pożoga. Bombardowania Niemiec w latach 1940–1945*, tłum. Paulina Dziel, Damian Kocur, Jan Liniwiecki, MDI Books, Warszawa 2011.

Kardorff Ursula von, *Może to po raz ostatni*, tłum. Emilia Bielicka, Reporter, Warszawa 1992.

Kiess Walter, *Der Doppelspieler. Arthur Nebe zwischen Opportunismus*, Verbrechen und Opposition, Stuttgart 2011.

Klemperer Victor, *Chcę dawać świadectwo aż do końca. Dzienniki 1933–1945*, t. I–III, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas", Kraków 2000.

Krogel Wolfgang G., Hg., *Bist du Bandit? Das Lagertagebuch des Zwangsarbeiters Wasyl Timofejewitsch Kudrenko*, Berlin 2005.

Mueller Michael, *Canaris*. Hitlers Abwehrchef, München 2006.

Norden Peter, *Salon Kitty*, tłum. Krzysztof Żak, Bellona, Warszawa 2005.

Ruth Andreas-Friedrich, *Der Schattenmann. Tagebuchaufzeichnungen 1938–1945*, Berlin 1983.

Schmitz-Köster Dorothee, *W imię rasy. Dzieci dla Führera – mity i rzeczywistość*, tłum. Ryszard Wojnakowski, Trio, Warszawa 2002.

Shirer William L., *Berliner Tagebuch. Das Ende. 1944–45*, Köln 1994.

Shirer William L., *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy. Historia hitlerowskich Niemiec*, tłum. Małgorzata Sągin-Urbanik, Lilla Nabielec, Art Books, Kraków 1987.

Studnitz Hans-Georg von, *Als Berlin brannte. Diarium der Jahre 1943–1945*, Stuttgart 1965.

Topographie des Terrors. Gestapo, SS und Reichssicherheitshauptamt in der Wilhelm- und Prinz-Albrecht-Straße, Ausstellungskatalog, Stiftung Topographie des Terrors, Berlin 2008.
Wasilczikow Maria, *Dzienniki berlińskie*, tłum. Marta Glińska, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1993.
Watson John B., *Psychology as the Behaviorist Views it*, „Psychological Review" 20, s. 158–177.

Przypisy

[1] Reichssippenamt – Urząd do spraw Rasowych [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

[2] Deutsches Jungvolk – organizacja w strukturach Hitlerjugend, zrzeszająca chłopców w wieku 10–14 lat. Jej członków określano mianem *Pimpf*.

[3] NS-Frauenschaft – hitlerowska organizacja kobiet.

[4] Blockwart – tytuł paramilitarny w NSDAP. Był najniższą rangą polityczną. Blockwart obejmował dowództwo nad wspólnotą mieszkalną.

[5] BDM – Bund Deutscher Mädel, czyli Związek Niemieckich Dziewcząt. Sekcja żeńska nazistowskiej organizacji młodzieżowej Hitlerjugend.

[6] AOK (Allgemeine Ortskrankenkasse) – jedna z największych niemieckich kas ubezpieczenia zdrowotnego.

[7] Nationalsozialistische Volkswohlfahrt (Narodowosocjalistyczny Dobrobyt Ludowy) – organizacja charytatywna firmowana przez NSDAP.

[8] OKW (Oberkommando der Wehrmacht) – Naczelne Dowództwo Wehrmachtu.

[9] *Friede* (niem.) – pokój.

[10] Sturmlokal – stałe lokale bojówkarzy.

===Lx4nFSQVI1BhVG1cbQcxBTJUZVAxAmBZP1xlBjEEZlZmU2pdbVk=

Polecamy także inne książki z oferty
Domu Wydawniczego PWN

Przez lata
na czele listy
najbardziej
poszukiwanych
i nieuchwyt-
nych
zbrodniarzy
III Rzeszy.

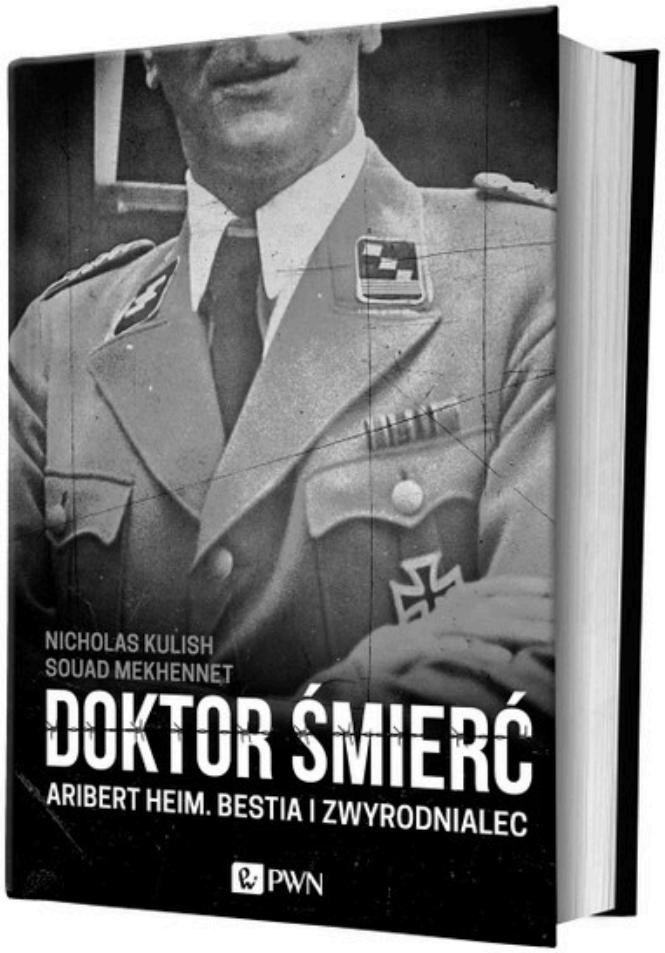

Należał do lekarzy SS, którzy zamienili medycynę z nauki o leczeniu w naukę o zabijaniu. Na więźniach Mauthausen i innych obozów koncentracyjnych przeprowadził setki sadystycznych eksperymentów. Jednym z najbardziej szokujących było uśmiercanie więźniów mających doskonałe uzębienie, którym odcinał i preparował głowy.

W zamęcie lat powojennych Heim zdołał ukryć swoją mroczną przeszłość i zyskać reputację szanowanego lekarza w kurorcie Baden-Baden. Jednak nowe zeznania świadków dowiodły jednoznacznie jego winy. Uciekł do Egiptu, a w ślad za nim

ruszył trwający kilkadziesiąt lat pościg.

Polecamy także inne książki z oferty
Domu Wydawniczego PWN

Trzeba geniusza, by schwytać psychopatę. Śledztwo profilera Jeffersona Wintera.

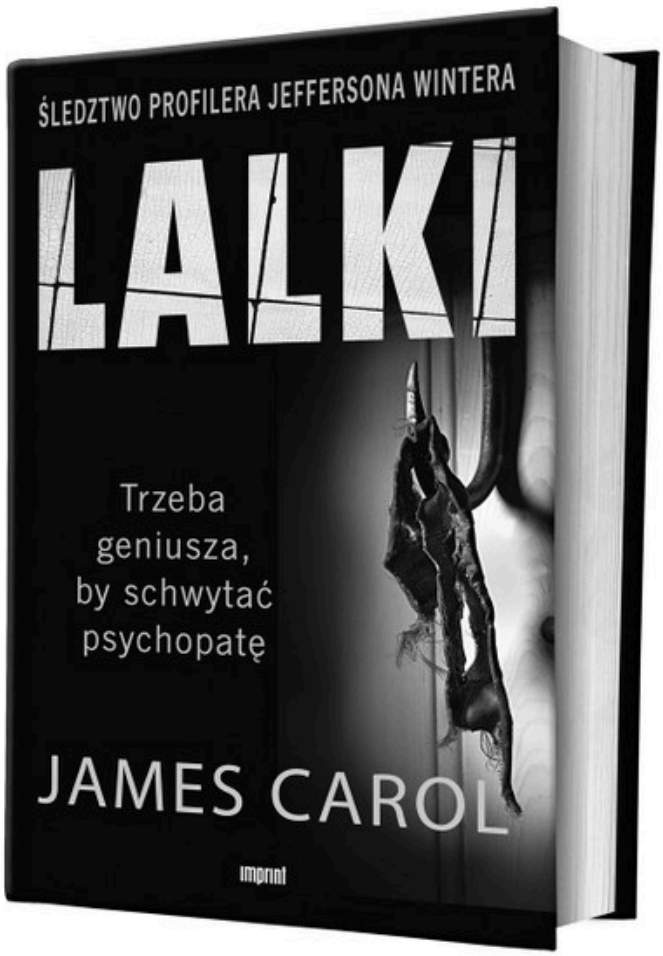

Kiedy profiler Jefferson Winter przyjmuje szczególnie nieprzyjemną sprawę w zasypanym śniegiem Londynie, zaczyna tropić psychopatę, który porywa i torturuje młode kobiety, a na koniec przeprowadza im lobotomię. Żadna z ofiar nie jest w stanie wskazać oprawcy, ich życie staje się wegetacją. Są jak niepotrzebne lalki, które wyrzucono po zabawie.

Winter będzie musiał wykorzystać swoje niezwykłe zdolności, aby odkryć, kto stoi za porwaniami, zanim kolejna ofiara zostanie nieodwracalnie okaleczona. Rozpoczyna się

wyścig z czasem...

Polecamy także inne książki z oferty
Domu Wydawniczego PWN

Ciało nie jest dla Theo niczym nadzwyczajnym, ponieważ jest lekarzem. A martwe ciało tym bardziej, ponieważ prowadzi on zakład pogrzebowy.

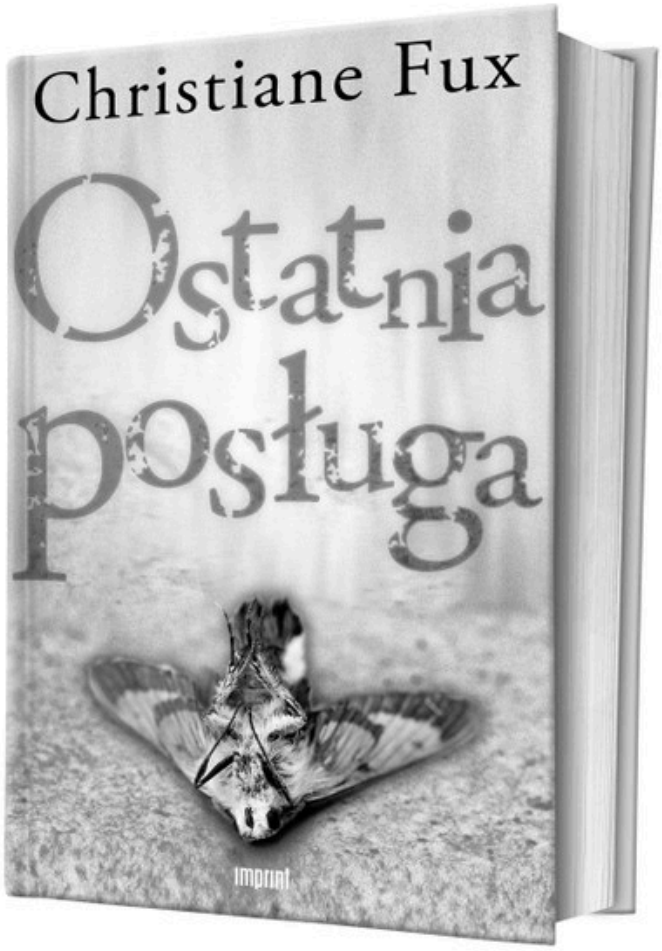

Śmierć starszej kobiety, Anny, którą znaleziono zamarzniętą na plaży nad Łabą, budzi podejrzenia młodego lekarza. Policja zamyka sprawę, a Theo wszczyna prywatne dochodzenie. Odkrywa przy tym straszliwą zbrodnię, sięgającą czasów drugiej wojny światowej – i zbrodniarza, który oficjalnie nie żyje

od kilkudziesięciu lat.

Polecamy także inne książki z oferty
Domu Wydawniczego PWN

Książka dla amatorów mocnych wrażeń.

Sarah Keller mieszka w spokojnym, odludnym regionie Oklahomy wraz z pięcioletnią córką Zoe. Jest ekspertem w tropieniu ludzi, którzy uciekają przed policją, unikając więzienia, sądu lub długów.

Kiedy w wyniku niegroźnego wypadku Zoe trafia do szpitala, spokojna egzystencja Sarah zostaje wywrócona do góry nogami. Badania Zoe ujawniają fakty, które Sarah starała się ukryć za wszelką cenę. Biologiczną matką dziewczynki jest bowiem Beth, siostra Sarah, która została zamordowana wkrótce po narodzinach Zoe. Sarah nie jest w stanie udowodnić swojej niewinności, więc musi porzucić dotychczasowe życie i uciekać przed policją, FBI i prawdziwymi mordercami Beth…

Czy Sarah będzie w stanie znaleźć bezpieczną kryjówkę dla

siebie i Zoe? Czy uda jej się przechytrzyć prześladowców?

Polecamy także inne książki z oferty
Domu Wydawniczego PWN

Londyn,
rok 1816.
Właśnie
skończyła
się wojna
z Napoleonem.

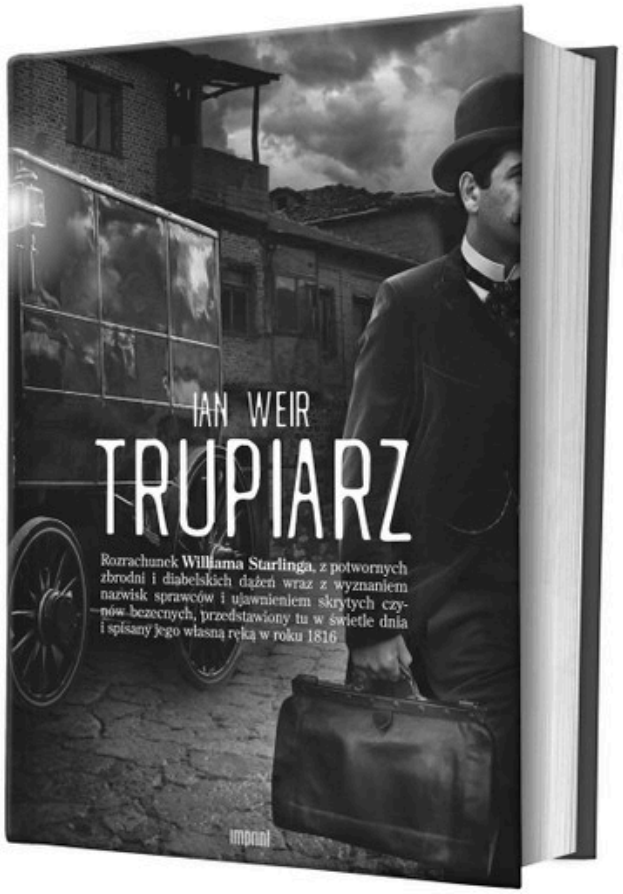
IAN WEIR
TRUPIARZ
Rozrachunek Williama Starlinga, z potwornych zbrodni i diabelskich dążeń wraz z wyznaniem nazwisk sprawców i ujawnieniem skrytych czynów bezecnych, przedstawiony tu w świetle dnia i spisany jego własną ręką w roku 1816
imprint

Z kontynentu po pięciu latach pracy w charakterze asystenta chirurga wojskowego Aleca Comriego powraca dziewiętnastoletni Will Starling, wychowanek dziecięcego przytułku. Zarozumiały, czarujący i skrzywdzony przez los chłopak pomaga poczciwemu Comriemu prowadzić lekarską praktykę w szemranej londyńskiej dzielnicy Cripplegate.

Ich działalność wymaga nawiązania trudnego sojuszu z trupiarzami: rabusiami grobów zaopatrującymi chirurgów i anatomów w zwłoki do sekcji, oraz uzyskania przychylności wszechmocnego Dionysusa Athertona, najjaśniejszej spośród gwiazd wschodzących na firmamencie londyńskiej chirurgii.